

PAPIEROWE IMPERIUM

Thriller szpiegowski łączący elementy powieści
mistrzów gatunku – Johna Le Carré i Roberta Harrisa.
Wciągający, ale też przyprawiający o gęsią skórę...



C.J. SANSOM

O książce

Rok 1952. Minęło 12 lat od bitwy pod Dunkierką. Europa jest podbita przez Niemców, którzy wciąż toczą wyniszczającą wojnę ze Związkiem Radzieckim. Mają jednak wiernego sojusznika, Wielką Brytanię, w której władza faszystów wydaje się coraz silniejsza. Jest to jednak pozorne, bo sędziwy Winston Churchill, który po sfałszowanych wyborach wycofał się wraz ze swymi poplecznikami z parlamentu, staje na czele ruchu oporu.

David Fitzgerald, ukrywający swoje żydowskie pochodzenie urzędnik Ministerstwa do spraw Dominów, już od jakiegoś czasu wykrada tajne rządowe akta i przekazuje je członkom ruchu oporu. Teraz czeka go nowe zadanie. Wraz z kilkusobową ekipą musi wydobyć ze szpitala psychiatrycznego naukowca, który przypadkiem wszedł w posiadanie dokumentów mogących odwrócić bieg historii.

C.J. SANSOM

PAPIEROWE IMPERIUM

Z angielskiego przełożył
ANDRZEJ SZULC



Wydanie elektroniczne

C.J. SANSOM

Współczesny brytyjski pisarz. Ukończył University of Birmingham, gdzie obronił pracę doktorską z historii. Do 2003 r. pracował jako adwokat, potem poświęcił się karierze literackiej. Napisał 8 powieści przełożonych na 20 języków – **Dominium** i 6 kryminałów historycznych, których akcja toczy się w okresie rządów dynastii Tudorów, m.in. **Komisarz**, **Alchemik**, **Rebelia** i **Księga Objawienia**. Wszystkie zdobyły popularność w wielu krajach. SANSOM był trzykrotnie nominowany do prestiżowej nagrody Ellis Peters Historical Dagger, przyznawanej przez Stowarzyszenie Autorów Powieści Kryminalnych CWA, i otrzymał ją za **Alchemika**.

www.cjsansombooks.com

Tego autora

PAPIEROWE IMPERIUM

Matthew Shardlake

KOMISARZ
ALCHEMIK
REBELIA
KSIĘGA OBJAWIENIA
INWAZJA

Tytuł oryginału:
DOMINION

Copyright © C.J. Sansom 2012
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2015

Redakcja: Beata Kołodziejska

Ilustracja na okładce: © Central Press/Hulton Archive/Getty Images

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-142-3

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

Pamięci moich rodziców
TREVORA SANSOMA (1921—2000)
i
ANN SANSOM (1924—1990),
którzy doświadczyli utrapień lat 1939—1945
i wnieśli swój wkład w pokonanie nazistów.

Oraz pamięci
ROSALITY
R.I.P. 19.02.2012 r.

Cała wściekłość i potęga nieprzyjaciela wkrótce skieruje się przeciwko nam. Hitler wie, że aby wygrać wojnę, musi złamać naszego ducha walki na tej wyspie. Jeśli potrafimy stawić mu czoło, to cała Europa będzie wolna, a życie świata potoczy się po rozległych, słonecznych wyżynach. Jeżeli jednak przegramy, cały świat, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi, ze wszystkim, co jest nam znane i drogie, stoczy się w otchłań nowego średniowiecza, bardziej ponurego i, być może, bardziej długotrwałego na skutek perwersyjnej nauki.

WINSTON CHURCHILL, 18 czerwca 1940¹

*Wszystkie wydarzenia,
które mają miejsce po godzinie siedemnastej
9 maja 1940 roku, są fikcją.*

Prolog

*Sala posiedzeń rządu, Downing Street 10, Londyn,
16.30, 9 maja 1940*

Churchill przyszedł ostatni. Zapukał ostro i wszedł do środka. Za wysokimi oknami dobiegał końca ciepły wiosenny dzień, na Horse Guards Parade kładły się cienie. Szef klubu konserwatystów, Margesson, siedział razem z premierem Chamberlainem i ministrem spraw zagranicznych lordem Halifaxem przy długim, podobnym do trumny stole, który zajmował większą część sali posiedzeń. Kiedy Churchill podszedł bliżej, Margesson, ubrany jak zawsze w nieskazitelny czarny żakiet, wstał z krzesła.

— Winstonie.

Churchill skinął głową, mierząc go surowym spojrzeniem. Margesson, będący człowiekiem Chamberlaina, utrudniał mu życie, gdy przed wojną występował przeciwko partyjnej polityce wobec Indii i Niemiec. Następnie odwrócił się do Chamberlaina i lorda Halifaxa, który wspierał premiera w polityce ustępstw wobec Niemiec.

— Neville. Edwardzie.

Obaj mężczyźni wyglądali marnie; z ust Chamberlaina zniknął drwiący, arogancki uśmiezek, którym zraził sobie członków Izby Gmin poprzedniego dnia podczas debaty na temat wojskowej klęski w Norwegii. Dziewięćdziesięciu konserwatystów głosowało razem z opozycją bądź też wstrzymało się od głosu; Chamberlain opuścił salę posiedzeń przy akompaniamencie okrzyków „Odejdź!”. Oczy premiera były zaczerwienione z niewyspania, a może nawet od łez — choć trudno było wyobrazić sobie płaczącego Neville’a Chamberlaina. Poprzedniego wieczoru w rozgorączkowanej Izbie Gmin powtarzano, że nie przetrwa na swoim stanowisku.

Halifax wyglądał trochę lepiej. Wysoki, chudy jak tyczka minister spraw zagranicznych był jak zawsze wyprostowany, ale jego twarz oblekła się śmiertelną bladością. Biała skóra opinała kości policzkowe. Krążyły pogłoski, że

nie kwapi się wcale do objęcia stanowiska premiera, brakuje mu odwagi — w stresowych sytuacjach cierpiał na dotkliwie bóle brzucha.

— Jakie są najnowsze wiadomości? — zapytał ponurym głębokim głosem Churchill, lekko sepleniąc.

— Siły niemieckie nadal gromadzą się przy granicy z Belgią. Mogą zaatakować w każdej chwili.

Przez moment trwała cisza, w której zaskakująco głośno brzmiało tykanie stojącego na kominku podróżnego zegara.

— Usiądź, proszę — powiedział Chamberlain.

Churchill zajął krzesło.

— Dyskutowaliśmy wczoraj dość długo na temat głosowania w Izbie Gmin — podjął smutnym głosem premier. — Uważamy, że trudno mi będzie pozostać na stanowisku. Postanowiłem odejść. Moje poparcie w partii słabnie. Gdyby trzeba było uzyskać wotum zaufania, ci, którzy wczoraj się wstrzymali, mogliby zagłosować przeciwko rządowi. A w Partii Pracy dają do zrozumienia, że przystąpią do koalicji tylko z nowym premierem. Nie mogę kontynuować mojej misji przy tym poziomie osobistych antypatii.

Chamberlain spojrzał na Margessona, jakby oczekiwał od niego pomocy, ale szef klubu pokiwał tylko ze smutkiem głową.

— Jeśli mamy zawrzeć koalicję, co jest konieczne, kluczową sprawą jest jedność narodowa.

Patrząc na Chamberlaina, Churchill poczuł, że jest mu go nawet żal. Stracił wszystko; przez dwa lata starał się spełniać żądania Hitlera, wierząc w Monachium, że Führer po raz ostatni wysunął roszczenia terytorialne. Tymczasem zaledwie kilka miesięcy później zajął on Czechosłowację, a potem najechał Polskę. Po klęsce Polski nastąpiło kilka miesięcy militarnego impasu, „dziwna wojna”. W zeszłym miesiącu Chamberlain oznajmił w Izbie Gmin, że Hitler „spóźnił się na autobus”, jeśli chodzi o wiosenną kampanię, lecz zaraz potem Niemcy najechały Norwegię, wypierając z niej siły brytyjskie. Następna miała być Francja. Chamberlain spojrzał na Churchilla i Halifaxa.

— Tekę obejmie któryś z was — powiedział. — Jeśli takie będzie życzenie, mogę pracować pod kierownictwem jednego albo drugiego.

Churchill pokiwał głową i odchylił się w krzesło. Spojrzał na Halifaxa, który zmierzył go chłodnym, badawczym spojrzeniem. Churchill wiedział, że tamten trzyma w ręku prawie wszystkie karty, że w roli premiera widzi go większość Partii Konserwatywnej. Był wicekrólem Indii, przez długie lata ważnym ministrem, chłodnym, dostojnym arystokratą, człowiekiem szanowanym i budzącym zaufanie. A większość torysów nigdy nie wybaczyła Churchillowi jego liberalnej przeszłości i tego, że sprzeciwiał się polityce własnej partii wobec

Niemiec. Uważali go za awanturnika, kogoś nieobliczalnego i niewiarygodnego. Chamberlain chciał, by premierem został Halifax. Popierał go również Margesson i większość gabinetu, a także, o czym wiedział Churchill, król, który był jego przyjacielem. Ale Halifax nie miał w sobie ani trochę ognia. Podczas gdy Churchill szczerze nienawidził Hitlera, Halifax traktował przywódcę nazistów z patrycjuszowskim lekceważeniem; oświadczył kiedyś, że jedynymi ludźmi, którym Führer utrudnił życie w Niemczech, są Żydzi i paru działaczy związkowych.

Z drugiej strony od wypowiedzenia wojny we wrześniu 1939 roku Churchill złapał wiatr w żagle; kiedy jego dotyczące Hitlera ostrzeżenia okazały się w końcu słuszne, Chamberlain musiał dokooptować go do rządu. Ale jak rozegrać tę jedyną kartę? Churchill usadowił się wygodniej na krześle. Lepiej nic nie mówić, pomyślał, zobaczyć, co zamierza Halifax, czy w ogóle chce tego stanowiska, a jeśli tak, to jak bardzo.

— Winstonie. — W głosie Chamberlaina zabrzmiał pytający ton. — We wczorajszej debacie bardzo surowo potraktowałeś laburzystów. I zawsze byłeś ich zaciekle przeciwnikiem. Nie sądzisz, że może to stanowić pewną przeszkodę?

Churchill nie odpowiedział, ale raptownie wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Nie odpowiadaj, pomyślał. Niech Halifax się odsłoni.

Zegar na kominku wybił z metalicznym brzękiem piątą. A potem z zewnątrz dobiegło głębsze, bardziej tubalne brzmienie Big Bena. Kiedy ucichło, Halifax zdecydował się w końcu przemówić.

— Uważam — powiedział — że mnie akurat łatwiej będzie współpracować z laburzystami.

Churchill utkwiał w nim płonący wzrok.

— Będzie trzeba stawić czoło straszliwym przeciwnościom, Edwardzie — stwierdził.

Halifax robił wrażenie zmęczonego i bardzo nieszczęśliwego, ale na jego twarzy malowała się determinacja. Znalazł jednak w sobie dość odwagi.

— Dlatego właśnie, Winstonie, chciałbym mieć cię przy swoim boku w nowym, mniejszym gabinecie wojennym. Byłbyś w nim ministrem obrony, odpowiedzialnym za całościowe prowadzenie wojny.

Churchill rozważał przez chwilę tę propozycję, poruszając powoli swoją ciężką szczęką. Jeśli będzie kierować całym wojennym wysiłkiem, być może uda mu się zdominować Halifaxa, który stanie się premierem tylko z nazwy. Wszystko zależało od tego, kogo jeszcze Halifax dobierze do rządu.

— A inni? — zapytał. — Kogo nominujesz?

— Z Partii Konserwatywnej będę ja, ty i Sam Hoare; moim zdaniem to najlepiej odzwierciedla spektrum opinii w partii. Attlee z ramienia laburzystów oraz Lloyd George jako przedstawiciel liberałów i symbol narodowy, człowiek, który doprowadził nas do zwycięstwa w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku. — Halifax popatrzył na Chamberlaina. — Myślę, że ty byłbyś najbardziej użyteczny jako przewodniczący Izby Gmin, Neville — powiedział.

To był fatalny układ, najgorszy z możliwych. Lloyd George, który, choć ostatnio się z tego wycofał, przez całe lata trzydzieste wielił Hitlera, nazywając go niemieckim George'em Washingtonem. No i Sam Hoare, mistrz polityki appeasementu, stary wróg Churchilla. Attlee, mimo całej swojej nieśmiałości, był wojownikiem, ale we dwóch znajdują się w mniejszości.

— Lloyd George ma siedemdziesiąt siedem lat — zauważył Churchill. — Czy poradzi sobie z brzemieniem, które trzeba będzie udźwignąć?

— Uważam, że tak. Poza tym jego obecność w rządzie podniesie morale. — Halifax odzyskał chyba pewność siebie. — Chciałbym bardzo, żebyś w tym momencie stał u mego boku, Winstonie — powtórzył.

Churchill wahał się. Wiedział, że gabinet wojenny w tym nowym składzie nie pozwoli mu na samodzielność. Miał świadomość, że Halifax zgodził się zostać premierem niechętnie, z poczucia obowiązku. Będzie robił co w jego mocy, ale nie miał serca do czekającej ich walki. Jak tylu innych walczył w wielkiej wojnie i bał się powtórzenia tamtej rzezi.

Przez chwilę Churchill zastanawiał się, czy nie wyjść z rządu; ale co by to dało? Margesson miał rację; najważniejsza była teraz powszechna jedność. Zrobi, co będzie mógł, dopóki będzie to możliwe. Wcześniej tego dnia wydawało mu się, że nadeszła w końcu jego godzina, okazało się jednak, że jest inaczej.

— Będę pracował pod twoim kierownictwem — powiedział z ciężkim sercem.

Rozdział pierwszy

Listopad 1952

Prawie wszyscy jadący metrem w kierunku stacji Victoria wybierali się, podobnie jak David i jego rodzina, na obchody Dnia Pamięci. Ranek był zimny, mężczyźni i kobiety mieli na sobie czarne zimowe palta. Czarne lub ciemnobrązowe były również szaliki i damskie torebki; tylko w butonierkach mieli zatknięte jasnoczerwone maki. David wsiadł razem z Sarah i jej matką do wagonu, znaleźli dwie wolne drewniane ławki i usiedli naprzeciwko siebie.

Kiedy metro wyjechało z turkotem ze stacji Kenton, David rozejrzał się. Wszyscy, jak przystało tego dnia, mieli smutne i poważne miny. Stosunkowo niewielu było starszych mężczyzn — większość weteranów wielkiej wojny znajdowała się już w centrum Londynu i szykowała do marszu przed Grobem Nieznanego Żołnierza. David był weteranem drugiej wojny, krótkiego konfliktu w latach 1939—1940, który ludzie w zależności od poglądów politycznych nazywali kampanią dunkierską albo żydowską wojną. Ale o nim, służącym wówczas w Norwegii, a także o innych niedobitkach pokonanej, upokorzonej armii, po której wycofaniu się z Europy nastąpiła szybka kapitulacja Wielkiej Brytanii, w ogóle nie wspominało się podczas obchodów Dnia Pamięci. Nie mówiło się również o brytyjskich żołnierzach poległych w niekończących się konfliktach w Indiach — a ostatnio w Afryce — które wybuchły po zawarciu traktatu pokojowego w 1940 roku. Dzień Pamięci miał teraz wyraźnie polityczne przesłanie: pamiętajcie o rzezi, do jakiej doszło, gdy Wielka Brytania i Niemcy walczyły z sobą w latach 1914—1918; pamiętajcie, że nigdy nie można do tego ponownie dopuścić. Brytania musi pozostać sojusznikiem Niemiec.

— Zbierają się chmury — powiedziała matka Sarah. — Mam nadzieję, że nie zacznie padać.

— Nie martw się, Betty — pocieszył ją David. — Zapowiadali, że skończy się na zachmurzeniu.

Betty pokiwała głową. Nieduża, pulchna kobieta koło sześćdziesiątki przez całe życie opiekowała się ojcem Sarah, któremu w bitwie nad Sommą w 1916

roku odstrzelono pół twarzy.

— Maszerowanie w deszczu jest dla Jima bardzo uciążliwe — powiedziała.
— Woda kapie mu pod protezę, a on oczywiście nie może jej zdjąć.

Sarah wzięła matkę za rękę. Na jej kwadratowej twarzy z odziedziczonym po ojcu mocno zarysowanym, zaokrąglonym podbródkiem malowała się powaga. Spod skromnego czarnego kapelusza wystawały zakręcone przy końcach długie blond włosy. Betty uśmiechnęła się do córki. Pociąg zatrzymał się na stacji i do wagonu wsiadło dużo ludzi.

— Jest więcej pasażerów niż zwykle — zauważyła Sarah.

— Ludzie chcą pewnie obejrzyć po raz pierwszy królową — odparł David.

— Mam nadzieję, że uda nam się odnaleźć Steve'a i Irene — powiedziała Betty. W jej głosie znowu zabrzmiała troska.

— Powiedziałam, żeby poczekali na nas przy kasach biletowych — uspokoiła ją Sarah. — Na pewno ich znajdziemy, mamo.

David wyjrzał przez okno. Niezbyt mu się uśmiechało spędzenie całego popołudnia z siostrą żony i jej mężem. Irene była dość sympatyczna, choć często opowiadała głupoty i nigdy nie zamykały się jej usta, ale z trudem znosił Steve'a, z jego mieszanką fałszywej poufałości i arogancji oraz poglądami wywodzącymi się z ideologii Czarnych Koszul. Wiedział, że będzie musiał jak zwykle nabrać wody w usta.

Pociąg zatrzymał się z nagłym zgrzytem tuż przed wjazdem do tunelu. Gdzieś w pobliżu zasyczały hamulce.

— Tylko nie dziś — jęknął ktoś. — Te spóźnienia są coraz częstsze. To niedopuszczalne.

Tory biegły między ustawionymi do nich tyłem i pokrytymi sadzą ceglanymi domami. Z kominów unosił się szary dym, na podwórkach suszyło się pranie. Ulice były puste. W witrynie sklepu spożywczego tuż pod nasypem wisiał duży napis SPRZEDAŻ NA KARTKI. Pociąg zadygotał nagle i wjechał do tunelu, ale już po chwili ponownie się zatrzymał. David zobaczył odbijającą się w ciemnej szybie własną twarz i szerokie klapy jego grubego ciemnego palta. Spod melonika wystawało kilka niesfornych kosmyków ostrzyżonych krótko czarnych włosów. Gładkie, regularne rysy sprawiały, że nie wyglądał na swoje trzydzieści pięć lat. Przypomniał sobie nagle dzieciństwo, matkę, która zagadywała stale odwiedzające ją przyjaciółki: „Przystojny z niego chłopczyk, prawda? Można by go schrupać żywcem”. Mówiła to z wyraźnym dublińskim akcentem, a on nie wiedział, gdzie ma podziąć oczy. Nieproszone pojawiło się kolejne wspomnienie, z czasów, gdy miał siedemnaście lat i wygrał międzyszkolny puchar w skokach do wody. Pamiętał, jak stał wysoko na wieży, widząc niżej twarze widzów i czując pod stopami lekko drżącą deskę. Dwa kroki

do przodu i skok w dół, w taflę nieruchomej wody. Chwila lęku, a potem radość, kiedy zanurzał się w otchłannej ciszy.



Steve i Irene czekali na nich na stacji Victoria. Starsza siostra Sarah była podobnie jak ona, wysoka i jasnowłosa, z odziedziczonym po ich matce dołeczkiem pośrodku podbródka. Miała na sobie czarne palto z brązowym kołnierzem z gęstego futra. Steve był przystojny w nieco łajdacki sposób: z cienkim czarnym wąsikiem wyglądał niczym Errol Flynn dla ubogich. Włosy pod czarną fedorą miał mocno wypomadowane. David poczuł zapach chemikaliów, wymieniając ze szwagrem uścisk dłoni.

— Co słyszać w służbie cywilnej, stary? — zapytał Steve.

— Jakoś leci.

— Nadal strzeżecie imperium?

— Tak jakby... Jak się miewają chłopcy?

— Wspaniale. Z każdym tygodniem robią się coraz więksi i bardziej hałaśliwi. W przyszłym roku chyba ich zabierzemy, będą już wystarczająco duzi.

David spostrzegł, jak przez twarz Sarah przelatuje cień. Domyślił się, że pomyślała o ich nieżyjącym synu.

— Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy złapać metro do Westminsteru — powiedziała Irene. — Patrzcie, ile narodu.

Dołączyli do tłumu zmierzającego do ruchomych schodów. W zbitej masie ludzi musieli zwolnić kroku i David przypomniał sobie, jak w 1940, powłócząc nogami, wchodził wraz z innymi znużonymi żołnierzami na pokład jednego ze statków ewakuujących brytyjskie oddziały z Norwegii.



Skręcili w Whitehall. Ministerstwo Davida mieściło się tuż za Grobem Nieznanego Żołnierza. Mijający go przechodnie nadal zdejmowali z szacunkiem nakrycia głowy, ale z każdym rokiem było ich coraz mniej — od zakończenia wielkiej wojny minęły już trzydzieści cztery lata. Niebo było szarobiałe, powietrze mroźne. Ludzie, których oddechy zamieniały się w obłoczki pary, zajmowali w milczeniu miejsca za niskimi metalowymi barierkami, naprzeciwko wysokiego, białego i prostokątnego pomnika, otoczonego szpalerem policjantów w ciężkich płaszczach. Sporo było wśród nich zwykłych konstablów w hełmach,

ale dużą część stanowili funkcjonariusze Wydziału Specjalnego w płaskich czapkach z daszkiem i bardziej dopasowanych niebieskich mundurach. Kiedy powołano tę formację w latach czterdziestych, żeby tłumiała coraz częściej wybuchające zamieszki, ojciec Davida powiedział, że przypominają mu Black and Tans, agresywnych wojennych weteranów zwerbowanych przez Lloyda George'a do wspierania policji podczas irlandzkiej wojny o niepodległość. Wszyscy byli uzbrojeni.



W ciągu ostatnich lat ceremonia zmieniła swój charakter; żołnierze służby czynnej nie stali już wokół Grobu Nieznanego Żołnierza i nie zasłaniaли widoku, a za barierkami ustawiono drewniane schodki, żeby można się było na nie wspiąć. Odbywało się to zgodnie z tym, co premier Beaverbrook określał mianem „demistyfikacji obchodów”.

Rodzinie Davida udało się zająć dobre miejsce naprzeciwko Downing Street i wielkiego wiktoriańskiego gmachu Ministerstwa do spraw Dominii, w którym pracował. Za barierkami, po trzech stronach pomnika, ustawili się już przywódcy wojskowi i przedstawiciele hierarchii kościelnej. Żołnierze byli w galowych mundurach, a arcybiskup Headlam, przewodzący temu odłamowi Kościoła anglikańskiego, który nie odłączył się w proteście przeciwko kompromisom zawartym z reżimem, we wspaniałych zielono-złoty szatach liturgicznych. Obok nich stali politycy i ambasadorowie, każdy z własnym wieńcem. David uważnie im się przyjrzał; był tam premier Beaverbrook z pomarszczoną drobną twarzą i mięsistymi szerokimi wargami, które wykrzywił w smutnym grymasie. Przez czterdzieści lat, odkąd w atmosferze biznesowych skandali po raz pierwszy przybył do Anglii z Kanady, Beaverbrook łączył budowę swego prasowego mocarstwa z politycznymi machinacjami, opowiadając się za wolną przedsiębiorczością, trwaniem imperium brytyjskiego i polityką appeasementu. Ufało mu niewiele, nie głosował na niego nikt, a po śmierci w 1945 roku jego bezpośredniego poprzednika, Lloyda George'a, koalicja wybrała go na premiera.

Przy Beaverbrookowi stał, przewyższając go o głowę, lord Halifax, premier, który skapitulował po upadku Francji. Był teraz całkiem łysy. Pod kapeluszem widać było wychudłą, siną twarz i głęboko osadzone oczy, które lustrowały tłum z wyrazem dziwnej konsternacji. Obok niego stali koalicyjni koledzy Beaverbrooka: wysoki i prosty jak tyczka minister spraw wewnętrznych Oswald Mosley; minister do spraw Indii Enoch Powell, dopiero czterdziestoletni, ale wyglądający znacznie starzej z czarnymi wąsami i posępnym wyrazem twarzy;

szef Davida, minister do spraw dominiów, wicehrabia Swinton, wysoki i arystokratyczny; minister spraw zagranicznych Rab Butler z obwisłą, żabią twarzą, a także Ben Greene, jeden z niewielu laburzystowskich polityków podziwiających nazistów w latach trzydziestych. Kiedy doszło do rozłamu w Partii Pracy, przywódcą protraktatowej mniejszości, która zawiązała koalicję z Halifaxem, został Herbert Morrison; należał do tych polityków, dla których najważniejsza jest żądza władzy. Lecz i on zrezygnował w 1943 roku; podobnie jak konserwatysta Sam Hoare i inni politycy, nie mógł się pogodzić z rozmiarami brytyjskiego wsparcia dla Niemiec; wszyscy wycofali się w domowe zacisze.

Obok nich stali w ciemnych płaszczach przedstawiciele dominiów; David rozpoznał kilku wysokich komisarzy, wśród nich tęgiego, nachmurzonego Vorstera ze Związku Południowej Afryki. Za nimi widać było ambasadorów reprezentujących inne kraje, które walczyły w wielkiej wojnie: Rommla z Niemiec, zięcia Mussoliniego, hrabiego Ciana, ambasadorów Francji i Japonii oraz Joego Kennedy'ego z Ameryki. Nie było tylko przedstawiciela Rosji. Wielka Brytania jako sojusznik Niemiec oficjalnie nadal pozostawała w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim, choć żadne jej oddziały nie trafiły do tej gigantycznej maszyny do mięsa, którą była wojna niemiecko-sowiecka, tocząca się od jedenastu lat na olbrzymim, mierzącym dwa tysiące kilometrów froncie.

Trochę dalej grupka mężczyzn tłoczyła się przy kamerze transmisyjnej, wielkim kanciastym urządzeniu otoczonym zwojami grubych kabli i ozdobionym z boku napisem „BBC”. Obok widać było zwalistą postać mówiącego coś do mikrofonu Richarda Dimbleby'ego, ale David stał zbyt daleko, by cokolwiek usłyszeć.

Sarah zadrżała i zatarła dłonie w rękawiczkach.

— Jezu, jak zimno. Biedny tato zamarznie tam, czekając, aż zaczną maszerować — mruknęła, spoglądając na pozbawiony ozdób biały Grób Nieznanego Żołnierza. — Boże, jakie to wszystko smutne.

— Wiemy przynajmniej, że nigdy już nie będziemy toczyli wojny z Niemcami — powiedziała Irene.

— Patrzcie, już się pojawiła — oświadczyła cichym, pełnym szacunku tonem Betty.

Królowa wyszła z gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i w towarzystwie królowej matki, a także swojej babki, starej królowej Marii, oraz trzymających wieńce koniuszych zajęła miejsce przed arcybiskupem. Ciemny strój wcale nie pasował do jej ładnej młodej twarzy. To było jedno z pierwszych publicznych wystąpień królowej po śmierci ojca, który zmarł w lutym tego roku. David odniósł wrażenie, że jest zmęczona i pełna obaw. Wyraz jej twarzy przypominał mu nieżyjącego króla, kiedy w 1940 roku Jerzy VI wraz z Adolfem

Hitlerem przemierzał Whitehall w otwartej karecie podczas państwowej wizyty Führera po podpisaniu traktatu pokojowego w Berlinie. David, wciąż wracający do zdrowia po odmrożeniach z Norwegii, oglądał ceremonię na ekranie nowego telewizora, który jego ojciec kupił jako jeden z pierwszych przy ich ulicy, kiedy BBC wznowiła nadawanie. Wydawało się, że Hitler, z promiennym uśmiechem i zaróżowionymi policzkami, był w siódmym niebie. Spełniało się jego wielkie marzenie o przymierzu z aryjskimi brytyjskimi braćmi. Pozdrowiał uniesioną dłonią milczący tłum, podczas gdy król siedział z obojętną miną, maksymalnie od niego odsunięty, tylko co jakiś czas podnosząc rękę. „Dosyć tego”, powiedział wówczas ojciec Davida. Oświadczył, że wyjeżdża do Nowej Zelandii, do swojego brata, i jeśli David wie, co dla niego dobre, powinien zrobić to samo i machnąć ręką na swoją pracę w służbie cywilnej. „Chwała Bogu — dodał z pasją — że matka Davida nie musi tego oglądać”.

Sarah wpatrywała się w królową.

— Biedna kobieta — powiedziała.

David pobiegł za jej wzrokiem.

— Nie powinna pozwolić, by robili z niej marionetkę — szepnęła.

— A jakie miała inne wyjście?

David nie odpowiedział.

Ludzie w tłumie zerkali na zegarki. W końcu wszyscy umilkli i zdjęli z głów kapelusze i czapki. Po drugiej stronie Westminsteru Big Ben wybił jedenaście uderzeń. Potem zaskakująco głośno w nieruchomym powietrzu zabrzmiał strzał z wielkiego działa, upamiętniający chwilę, gdy w 1918 roku umilkły armaty. Wszyscy pochylili w milczeniu głowy, rozpamiętując straszliwe straty, jakimi okupione zostało zwycięstwo Brytanii w wielkiej wojnie, względnie, tak jak David, wspominając jej klęskę w 1940. Po dwóch minutach połowe działa ustawione na Horse Guards Parade zagrzmiało ponownie, kończąc ciszę. Trębacz zagrał niewiarygodnie smutny i posępny ostatni capstrzyk. Tłum wysłuchał go bez słowa z odkrytymi głowami; słyhać było tylko ściszone kasznięcia. Za każdym razem, gdy brał udział w tej ceremonii, David dziwił się, że nikt w tłumie nie wybucha płaczem albo — wspominając niedawną przeszłość — nie pada z krzykiem na ziemię.

Kiedy ucichła ostatnia nuta trąbki, orkiestra gwardii zaczęła grać *Marsza żałobnego*. Młoda królowa wzięła o wiele dla niej za duży wieniec z maków, złożyła go przy Grobie Nieznanego Żołnierza i skłoniła w hołdzie głowę. Gdy wróciła na miejsce, w jej ślady poszła królowa matka.

— Została wdową w tak młodym wieku — szepnęła Sarah.

— Tak — mruknął David.

W powietrzu czuć było słaby zapach dymu. Podnosząc wzrok, zobaczył niewyraźne opary. Noc powinna być mglista.

Wieńce złożyli pozostali członkowie rodziny królewskiej, a po nich wojskowi, premier, politycy oraz przedstawiciele rządów imperium. Przy prostym surowym pomniku leżały ciemnozielone wieńce z czerwonymi makami. W tym momencie wystąpił do przodu ambasador Niemiec, Erwin Rommel, jeden z przywódców zwycięskiej kampanii we Francji. Miał na sobie elegancki mundur, z przypiętym do piersi Krzyżem Żelaznym; na jego twarzy malowały się powaga i smutek. Wieniec, który niósł, był olbrzymi, większy nawet od wieńca królowej. Pośrodku na białym tle widniała czarna swastyka. Rommel położył go i z pochyloną głową stał przez dłuższą chwilę w miejscu. Za nim czekał następny w kolejce Joseph Kennedy, długoletni ambasador Stanów Zjednoczonych.

Nagle za plecami Davida rozległy się głośne okrzyki:

— Precz z nazistowską władzą! Niech żyje demokracja! Niech żyje ruch oporu!

Coś przeleciało nad głowami tłumu i rozbiło się u stóp Rommla. Sarah jęknęła cicho. Irene i kilka innych kobiet w tłumie zaczęły krzyczeć. Stopnie pomnika i dolna część płaszcza Rommla pokryły się czerwienią i David przez moment myślał, że to krew, że ktoś rzucił bombę. Ale potem zobaczył, że po stopniach toczy się w dół puszcza po farbie. Rommel nawet nie mrugnął, pozostał tam, gdzie był, za to ambasador Kennedy odskoczył spanikowany do tyłu. Policjanci sięgnęli po pałki i pistolety. Grupa żołnierzy z karabinami gotowymi do strzału dała krok do przodu. David zobaczył, że eskorta pośpiesznie wyprowadza rodzinę królewską.

— Naziści precz! — krzyknął ktoś w tłumie. — Chcemy Churchilla!

Policjanci przeskakowali przez barierki. Kilku mężczyzn w tłumie również wyciągnęło broń i rozglądało się gorączkowo dokoła: byli to najprawdopodobniej tajniacy z Wydziału Specjalnego. David przyciągnął do siebie żonę. Ludzie rozstąpili się, żeby przepuścić policjantów, i spostrzegł, że na prawo od niego doszło do przepychanki. Ujrzał uniesioną pałkę i usłyszał, jak ktoś krzyczy: „Załatwcie tych drani!”, zachęcając policję.

— O Boże, co oni robią?! — zawołała Sarah.

— Nie wiem — odparła Irene, obejmując Betty. Starsza pani płakała, a Steve patrzył z chmurną miną na całe zbiegowisko. W tłumie zaczęło być głośno. „Cholerni komuniści, dajcie im popalić!”, krzyczeli jedni. „Mają rację, trzeba wyrzucić Niemców!”, odpowiadali inni.

Chudy brytyjski generał z opaloną twarzą i siwymi wąsami wszedł z megafonem w rękę na schodki otaczające pomnik, przecisnął się między wieńcami i wezwał ludzi do zachowania porządku.

— Złapali ich? — zapytała Sarah. — Nic nie widzę.
— Chyba tak. Moim zdaniem było ich bardzo niewiele.
— To cholerni zdrajcy! — mruknął Steve. — Mam nadzieję, że powieszają sukinsynów.



Ceremonia została wznowiona, złożono kolejne wieńce, a potem arcybiskup Headlam odprawił krótkie nabożeństwo. Kiedy odmawiał modlitwę, głościki powtarzały jego słowa z dziwnym metalicznym brzękiem.

— O Panie, wejrzyj na nas, gdy wspominamy dzielnych mężczyzn, którzy zginęli, walcząc o Wielką Brytanię. Pamiętamy o legionach poległych między rokiem tysiąc dziewięćset czternastym i tysiąc dziewięćset osiemnastym, w tym wielkim i tragicznym konflikcie, którego ślady nadal wszyscy nosimy, tutaj i w całej Europie. Panie, pomnij na cierpienia tych, którzy się tu zgromadzili i którzy stracili swoich bliskich. Pociesz ich, pociesz ich.

Następnie ruszyła defilada; tysiące żołnierzy, wielu już w podeszłym wieku, maszerowały dumnie w rytmie granych przez orkiestrę dętą popularnych melodii z okresu wielkiej wojny. Każdy kontyngent składał własny wieniec. David i jego rodzina jak zwykle wypatrywali ojca Sarah, ale nie zdołali go dostrzec. Stopnie pomnika wciąż zbryzgane były czerwoną farbą, swastyka Rommla kłuła w oczy pośród innych wieńców. David zastanawiał się, kim byli manifestanci. Być może wywodzili się z jakiejś niezależnej grupy pacyfistów; gdyby nie obawa przed represjami, bojownicy ruchu oporu zastrzeliliby po prostu Rommla i wielu innych stacjonujących w Wielkiej Brytanii nazistów. Biedni nieszczęśnicy, kimkolwiek byli; w tym momencie zbierali pewnie ciągi w ośrodku śledczym Wydziału Specjalnego albo nawet w podziemiach Senate House, gdzie mieściła się niemiecka ambasada. Ponieważ doszło do ataku na Rommla, policja brytyjska przekazała, być może, manifestantów Niemcom. David czuł, jak ogarnia go bezradność. Nie próbował nawet spierać się ze Steve'em. Musiał zachowywać pozory. Nigdy się nie wychylać, odgrywać rolę wzorowego urzędnika służby cywilnej. Szczególnie ze względu na przeszłość rodziny Sarah. Poczł niezrozumiałą niechęć do żony.

Ponownie popatrzył na maszerujących weteranów. Mijał go właśnie starszy, mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna z poważnym obliczem i dumnie wypiętą piersią. Po jednej stronie munduru miał przypięty rząd medali, po drugiej dużą, jasnożółtą gwiazdę Dawida. Żydzi nauczyli się nie rzucać w oczy i nie ściągać na siebie uwagi, ale ten starszy facet wbrew zdrowemu rozsądkowi

maszerował z wyraźnym żółtym symbolem, choć mógł przecież przypiąć do klapy małą odznakę z gwiazdą Dawida, bardzo brytyjską i dyskretną, którą musieli teraz nosić wszyscy Żydzi.

— Żydłak! — zawołał ktoś w tłumie.

Stary weteran nawet nie mrugnął okiem, za to David zagotował się ze złości. Wiedział, że zgodnie z przepisami on też ma obowiązek nosić żółtą odznakę, a poza tym nie powinien w ogóle pracować w państwowym urzędzie, bo Żydom nie wolno było tego robić. Jednak o tym, że matka Davida była irlandzką Żydówką, wiedział wyłącznie jego ojciec, który mieszkał dwadzieścia tysięcy kilometrów stąd. A pół-Żyd był teraz w Wielkiej Brytanii Żydem; karą za zatajenie pochodzenia było bezterminowe internowanie. W spisie powszechnym w 1941 roku, kiedy ludzi po raz pierwszy zapytano o ich wyznanie, David zadeklarował, że jest katolikiem. To samo robił za każdym razem, gdy odnawiał dowód tożsamości, i podczas spisu w 1951 roku, gdy pytano również o żydowskich rodziców i dziadków. Mimo że na ogół starał się o tym nie myśleć, czasami budził się przerażony w środku nocy.



Reszta obchodów minęła bez żadnych przeszkód, a potem spotkali się z ojcem Sarah, Jimem, i pojechali do domu Davida i jego żony, naśladowującego styl Tudorów bliźniaka w Kenton, gdzie Sarah miała ich wszystkich ugościć obiadem. Jim zauważył czerwoną plamę na stopniach pomnika, ale dopiero od nich dowiedział się, że ktoś cisnął farbą w Rommla. W drodze powrotnej zarówno on, jak i Sarah, i David prawie się nie odzywali, za to Irene i Steve nie posiadali się z oburzenia. Kiedy weszli do domu, Steve zaproponował, żeby obejrzelі wiadomości, zobaczyli, co mówią o ataku.

David włączył telewizor i ustawił krzesła przodem do odbiornika. Nie podobało mu się to, że w większości domów telewizor zajmował obecnie centralne miejsce. W ciągu ostatnich dziesięciu lat już połowa ludności dorobiła się tego, co niektórzy nadal nazywali skrzynką dla idiotów. Posiadanie telewizora stanowiło wyznacznik zamożności. Telewizja w coraz większym stopniu odzwierciedlała życie kraju. Nie nadeszła jeszcze pora wiadomości; nadawano serial dla dzieci, ekranizację przygód Bulldoga Drummonda, z udziałem bohaterskich przedstawicieli imperium oraz zdradzieckich tubylców. Sarah przyniosła herbatę, a David puścił w obieg papierośnicę. Zerknął na Jima. Mimo że jego teść nawrócił się po wielkiej wojnie na pacyfizm, zawsze brał udział w paradzie z okazji Dnia Pamięci; bez względu na to, jak bardzo nienawidził

wojny, składał hołd dawnym towarzyszom broni. David zastanawiał się, co myśli o incydencie z farbą, ale Jim siedział odwrócony do niego swoją protetyczną maską. To była dobra proteza, przylegająca do skóry i w kolorze ciała; namalowane płaskie oko otaczały nawet sztuczne rzęsy. Sarah wyznała mu kiedyś, że w dzieciństwie przerażała ją prymitywna maska, jaką nosił wówczas ojciec. Kiedy wziął ją raz na kolana, wybuchła płaczem i Irene musiała ją zabrać. Matka zarzuciła jej, że jest samolubnym, wstrętnym dzieckiem, ale Irene, która była cztery lata starsza od siostry, czule ją objęła. „Nie przejmuj się — powiedziała. — To nie jest wina taty”.

Zaczęły się wiadomości. Obejrzeni królową oddającą hołd poległym i wysłuchali pełnej szacunku relacji Dimbleby’ego. BBC nie pokazała jednak incydentu z Rommlem; po przedstawicielach imperium składających wieńce pojawił się po prostu ambasador Kennedy. Nie było żadnej przerwy w relacji i ktoś, kto o niczym nie wiedział, nie zauważyłby nawet trwającego ułamek sekundy mignięcia na ekranie. Technicy BBC musieli zmontować na nowo materiał.

— Ani słowa — mruknęła Irene.

— Musieli zdecydować, że tego nie pokażą — stwierdziła Sarah, która zajrzała na chwilę z kuchni do salonu.

— Ciekawe, czego jeszcze nie pokazują — powiedział cicho Jim.

Steve odwrócił się w jego stronę. Był ubrany w jeden ze swoich kolorowych swetrów, który ciasno opinał wystający brzuch.

— Nie chcą, żeby ludzie się denerwowali — powiedział. — Żeby oglądali takie rzeczy w Dniu Pamięci.

— Ale ludzie powinni wiedzieć — oświadczyła z zapalczywością Irene. — Powinni zobaczyć, do czego posuwają się ci podli terroryści. I to w obecności królowej! Biedna dziewczyna! Nic dziwnego, że tak rzadko pokazuje się publicznie. To hańba!

— Takie rzeczy dzieją się, kiedy ludziom zabrania się protestować przeciwko rządzącym — rzucił David i od razu tego pożałował.

— Rozumiem, że masz na myśli Niemców — odparł Steve. Nadal był podenerwowany i wyraźnie szukał zwady.

David wzruszył obojętnie ramionami, choć najchętniej wybiłby mu wszystkie zęby.

— Niemcy to nasi sojusznicy i mamy cholerne szczęście, że nimi są — podjął jego szwagier.

— Szczęście mają ci, którzy zarabiają na handlu z nimi — odpalił David.

— Co to ma znaczyć, do diabła? To aluzja do moich interesów w Towarzystwie Anglo-Niemieckim?

David popatrzył na niego spode łba.

— Na złodzieju czapka gore.

— Wolałbyś pewnie, żeby rządzili ludzie z ruchu oporu? Churchill... jeżeli ten stary podżegacz jeszcze żyje... razem z bandą komunistów, z którymi się skumał. Ci, którzy mordują żołnierzy, wysadzają ludzi w powietrze... jak choćby tę małą dziewczynkę, która nastąpiła na minę w Yorkshire w zeszłym tygodniu.

— Steve poczerwieniał na twarzy.

— Proszę! — zawołała Sarah, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie z Irene. — Nie zaczynajcie się kłócić.

— W porządku — zgodził się Steve. — Nie chcę popsuć do reszty świątecznego nastroju. Ci dranie i tak go już popsuli. To tyle, jeśli chodzi o bezstronność służby cywilnej — dodał z przekąsem.

— O co ci chodzi, Steve? — zapytał ostro David.

— O nic. — Steve podniósł pojednawczo rękę. — Pasuję.

— Rommel — odezwał się ze smutkiem Jim. — Podobnie jak ja, walczył na frontach wielkiej wojny. Dzień Pamięci nie powinien mieć tak ściśle wojskowego charakteru. Wtedy ludzi nie korciłoby, żeby protestować. Krążą plotki, że Hitler jest bardzo chory — dodał. — Ostatnio w ogóle nie pokazuje się w telewizji. A teraz, kiedy w Ameryce wracają do władzy demokraci, może dojdzie do jakichś zmian. — Jim uśmiechnął się do żony. — Zawsze mówiłem, że to nie może trwać wiecznie, musimy tylko poczekać.

— Gdyby Herr Hitler był chory, z pewnością by nam powiedzieli — stwierdził kategorycznym tonem Steve. David zerknął na Sarah, ale nic nie powiedział.



Później, kiedy reszta rodziny odjechała nowym morrisem minorem Steve'a, David i Sarah zaczęli się kłócić.

— Dlaczego musisz się z nim zawsze handryczyć? — zapytała. Była wyczerpana; przez całe popołudnie obsługiwała rodzinę, włosy miała w strączkach, głos schrypnięty. — I to w obecności taty, akurat dzisiaj. Przecież sam powiedziałaś przed kilku laty, że bym trzymała się z dala od polityki — dodała z goryczą po krótkim wahaniu. — Mówiłeś, że bezpieczniej jest nabrać wody w usta.

— Wiem. Przepraszam. Ale Steve mógłby czasem zamknąć jadaczkę. Nie mogłem się po prostu powstrzymać.

— Jak, twoim zdaniem, czujemy się podczas tych awantur ja i Irene?

— Przecież nie lubisz go tak samo jak ja.

— Musimy go znosić. Ze względu na rodzinę.

— Tak, i chodzić do niego w gości. Patrzeć na to zdjęcie na kominku, na którym stoi razem ze Speerem i swoimi kolegami z biznesu, oglądać na półce książki Mosleya i *Protokoły mędrców Syjonu* — mruknął z niechęcią David. — Nie wiem, dlaczego nie zapisze się do Czarnych Koszul. Miałyby to już za sobą. Ale wtedy musiałyby ćwiczyć, zrzucić trochę sadła.

— Czy nie dosyć już wycierpieliśmy?! Nie dosyć?! — zawołała niespodziewanie Sarah i wyszła z salonu.

David usłyszał, jak wchodzi do kuchni i zatrząskuje za sobą drzwi. Wstał i zaczął stawiać na wózku brudne talerze i sztućce. Wytaczając go do holu, nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć w górę schodów, gdzie przy zdartej teraz tapecie zamontowana była kiedyś bramka dla dziecka. Od śmierci Charliego on i Sarah mówili o położeniu nowej tapety, ale, podobnie jak w wielu innych sprawach, nigdy się do tego nie zabrali. Za chwilę do niej pójdzie, przeprosi, spróbuje choć trochę zasypać coraz bardziej dzielącą ich przepaść. Jednak wiedział, że nigdy jej do końca nie zasypie. Nie teraz, kiedy miał przed nią tyle tajemnic.

Rozdział drugi

Wszystko zaczęło się dwa lata wcześniej, po ogłoszeniu wyników wyborów w 1950 roku, kilka miesięcy po śmierci Charliego. Po węgierskim krachu bankowym, do którego doszło w 1948 w wyniku wyniszczającej gospodarkę Europy, niekończącej się niemieckiej wojny w Rosji, sytuacja polityczna i ekonomiczna stale się pogarszała. W północnej Anglii i Szkocji wybuchły strajki, Indie były w stanie permanentnego wrzenia, coraz więcej osób aresztowano na mocy nigdy nieuchylonych specjalnych przepisów z 1939 roku. Ludzie, którzy w 1940 nie protestowali przeciwko zawarciu traktatu z Hitlerem, tracili cierpliwość i powtarzali, że nadszedł czas, by Wielka Brytania uniezależniła się trochę od Niemiec. Mówili, że po dziesięciu latach trzeba dać szansę Partii Zjednoczonych Demokratów Churchilla i Attlee. Mimo płynącej z gazet i BBC prorządowej propagandy Beaverbrook nie był popularny i uważano, że Zjednoczeni Demokraci mogą dużo zyskać.

Jednak kiedy ogłoszono wyniki, okazało się, że stracili większość ze swoich stu miejsc w parlamencie i zostali wyprzedzeni przez faszystowską partię Mosleya, Unię Brytyjską, która powiększyła swój stan posiadania z trzydziestu do stu czterech mandatów i dołączyła do koalicji traktatowych konserwatystów i laburzystów Beaverbrooka. Ostatecznie Churchill wyprowadził swoich zwolenników z Izby Gmin, wygłosivszy wcześniej mowę potępiającą „sfalszowane wybory, które powołały do życia gangsterski parlament”. Tak przynajmniej szeptano w kuluarach. W gazetach i telewizji ogłoszono, że opuścili parlament rozwścieczeni. Wkrótce potem Zjednoczonych Demokratów oskarżono o podżeganie do strajków politycznych i zdelegalizowano. Partia zeszła do podziemia i na murach zaczęła się pojawiać nowa nazwa, Resistance, ukuta na wzór francuskiego ruchu oporu.

Nowy rząd jeszcze bardziej zacieśnił związki z Niemcami. Na mocy traktatu berlińskiego niemieccy Żydzi, którzy schronili się wcześniej w Wielkiej Brytanii, zostali w 1940 roku deportowani z powrotem do Niemiec, jednak mimo rosnącego antysemityzmu restrykcje wobec brytyjskich Żydów były w latach czterdziestych dość ograniczone. Obecnie rząd ogłosił, że Żydzi są nieprzejednanymi wrogami wielkiego sojusznika Brytanii i zostaną wobec nich

wprowadzone pewne elementy ustaw norymberskich. W nocy David budził się zlany potem, bojąc się, że wyjdzie na jaw jego tajemnica. Wszyscy wiedzieli, że Niemcy od lat chcą deportować na Wschód brytyjskich Żydów, ostatnich — prócz tych, którzy żyli jeszcze we Francji — wolnych Żydów w Europie. Być może teraz miało do tego dojść. David zdawał sobie sprawę, że tym bardziej nie wolno mu nikomu, a zwłaszcza żonie, zdradzić, kim była jego matka.

W następnych latach, w rozmowach z Sarah i zaufanymi przyjaciółmi, zaczął jednak otwarcie mówić o innych sprawach: o niekończącej recesji, o rekrutowaniu faszystów Mosleya do pomocniczych formacji Wydziału Specjalnego powołanych do zwalczania strajków i demonstracji, a także o zapowiedziach Churchilla, że „ruch oporu podpalił aktami sabotażu Wielką Brytanię”. Churchill i jego ludzie nie mieli oczywiście dostępu do radia i telewizji, ale kolportowane były podobno nielegalnie płyty gramofonowe z jego przemówieniami o niezgodzie na kapitulację i „mrocznej tyranii, która zapanowała w Europie”. Coś pękło w Davidzie po wyborach, a może nawet wcześniej, po śmierci Charliego.

Najczęściej rozmawiał ze swoim starym przyjacielem, Geoffem Draxem. Geoff studiował razem z nim w Oksfordzie i wstąpił do służby kolonialnej w tym samym czasie, gdy David zaczął pracować w Ministerstwie do spraw Dominii. Spędził sześć lat w Afryce Wschodniej, ale w 1948 roku wrócił do pracy za biurkiem w Londynie i już wtedy nie krył, że doznał prawdziwego szoku, przekonawszy się na własne oczy, jakim ponurym, konformistycznym, satelickim krajem stała się Wielka Brytania.

Pobyt w Afryce zmienił Geoffa. Pod grzywą jasnych włosów na jego pociągłej twarzy pojawiły się nowe zmarszczki, usta miał wiecznie ściągnięte w grymasie niezadowolenia. Zawsze odznaczał się zgryźliwym poczuciem humoru, ale ostatnio jeszcze bardziej zgorzkniał i często wygłaszał kostyczne uwagi, którym towarzyszyły krótkie parsknięcia śmiechu. Opowiadał o nieszczęśliwym romansie, który nawiązał w Kenii z zamężną kobietą. Tłumaczył Davidowi, że nie zdołał się po nim pozbierać i zazdrościł przyjacielowi ustabilizowanego życia z żoną i synem. Nie lubił swojej pracy w wielkim nowym gmachu Ministerstwa Kolonii, a kiedy spotykali się na lunchu, David miał wrażenie, że Geoff niezbyt dobrze się czuje w czarnym garniturze i prążkowanych spodniach — zupełnie jakby tęsknił za workowatymi szortami i korkowym kaskiem.

Geoff mieszkał w Pinner, niedaleko Kenton, i w sobotę rano często się spotykali, żeby popływać i pograć w tenisa. Potem siadali gdzieś w rogu baru i rozmawiali o polityce — półgłosem, ponieważ niewielu członków klubu tenisowego podzielało ich poglądy.

Pewnej soboty w lecie 1950 roku Geoff opowiadał mu o tym, co dzieje się w Kenii.

— Mają tam teraz sto pięćdziesiąt tysięcy osadników — stwierdził z przejęciem. — Panuje cholerny chaos. Bezrobotne rodziny z Durham i Sheffield zwabione obietnicami darmowej ziemi i nieograniczonych zasobów tubylczej siły roboczej zapisują się na trzymiesięczny kurs uprawy ziemi, a potem dostają tysiąc hektarów w buszu. Gdyby nie czarni, nie mieliby pojęcia, co robić. Ale to jest ziemia czarnych. Czekają nas poważne kłopoty z plemieniem Kikuju. Poleje się krew. Niektórzy z tych pionierów nowego dominium Afryki Wschodniej pożałują, że w ogóle wyjechali z domu — dodał i parsknął tym swoim suchym śmiechem.

— Pewnym dominiom bardzo nie podoba się to, co robi nasz nowy rząd — odparł po chwili wahania David. — Kanadyjczycy i Nowozelandczycy przebąkują o oderwaniu się od imperium. W ministerstwie mamy z nimi poważne kłopoty.

Mówiąc o tym, popełniał niedyskrecję, na którą nie pozwoliłby sobie jeszcze rok wcześniej. Wspomniał również o protestach Nowej Zelandii w sprawie niedawnych zakazów prowadzenia działalności związkowej. Kiedy skończył, Geoff przez chwilę wpatrywał się w niego w milczeniu.

— Mam znajomego, z którym, być może, chciałbyś się spotkać — szepnął w końcu. David poczuł ukłucie niepokoju, uświadamiając sobie, że za dużo powiedział. — Wydaje mi się, że macie podobne poglądy — podjął Geoff. — Właściwie jestem tego całkowicie pewien.

David spojrział mu prosto w oczy. Zaczął podejrzewać, że Geoff ma na myśli kogoś z ruchu oporu. Wskazywałaby na to jego nerwowość.

— No nie wiem — odparł. Pomyślał o żonie siedzącej w domu i oplakującej ich nieżyjącego syna.

Geoff uśmiechnął się półgębkiem i machnął ręką.

— Nie mówię, żebyś się w coś angażował. Pogadasz po prostu z kimś, kto... kto podobnie do nas ocenia sytuację. Dobrze jest uświadomić sobie, że nie jesteśmy sami.

David miał ochotę odmówić, zmienić temat, zacząć mówić o sporcie i pogodzie albo w ogóle zakończyć tę rozmowę. Ale potem ogarnęła go gniewna niecierpliwość i przestał się bać.



Tydzień później Geoff przedstawił go Jacksonowi. Była pełnia lata, ciepłe słońce świeciło na bezchmurnym niebie. David spotkał się z Geoffem na stacji Hampstead Heath i razem weszli na Parliament Hill. Po parku spacerowały, trzymając się za ręce, pary zakochanych, kobiety w jasnych letnich sukienkach z białymi wstawkami, mężczyźni w koszulach z rozpiętymi kołnierzykami i lekkich marynarkach. Były tam również rodziny; dzieci puszczały latawce, których jaskrawe kolory mieniły się na błękitnym niebie.

David spodziewał się, że znajomy Geoffa będzie kimś w ich wieku, ale siedzący na ławce szpakowaty mężczyzna miał koło pięćdziesiątki. Na ich widok wstał. Był wysoki i tęgi, ale poruszał się dość zwawo. Geoff przedstawił go i Jackson wymienił mocny uścisk dłoni z Davidem. Miał dużą, budzącą zaufanie twarz i bystre jasnoniebieskie oczy.

— Miło mi pana poznać, panie Fitzgerald — powiedział, uśmiechając się szeroko do Davida. Miał głos, który matka Sarah określiłaby mianem la-di-da. W jego zachowaniu można było zauważyć pewność siebie absolwenta publicznej szkoły, coś, co nazywają naturalnym poczuciem wyższości i co zawsze budziło w Davidzie, który skończył grammar school, pewną rezerwę.

— Przespacerujmy się — zaproponował wesoło Jackson.

Ruszyli w stronę Highgate Ponds. Grupa chłopców w mundurkach skautów ustawiała się w piramidę; trzej stali w rzędzie, dwaj kolejni balansowali na ich ramionach, trzeci wdrapywał się powoli na szczyt. Obserwowało ich kilka osób. Zastępowy wydawał półgłosem instrukcje.

— Teraz powoli, najważniejsze jest równomierne rozłożenie ciężaru waszych ciał.

Jackson przystanął, żeby popatrzeć.

— Mój Boże — mruknął cicho. — Pamiętam, kiedy skauci pomagali przejść starszym paniom przez ulicę. Teraz mają wyłącznie ćwiczenia gimnastyczne i wojskowe. Oczywiście boją się, że przyłączą ich na siłę do Ligi Młodzieży Faszystowskiej.

— Ludzie by się na to nie zgodzili — powiedział David. — Zabraliby swoich synów z organizacji.

Jackson cicho się roześmiał.

— Kto wie, na co zgodziliby się dzisiaj niektórzy ludzie? — odparł, po czym odwrócił się i ruszył na przelaj przez błonia. Geoff i David podążyli za nim. — Geoff powiedział, że martwi pana to, w jakim kierunku zmierza nasz biedny stary kraj — podjął Jackson.

— Owszem. — David zawahał się, a potem pomyślał: raz kozie śmierć. — Uszło im na sucho sfalszowanie wyborów. Coraz więcej ludzi aresztuje się na mocy paragrafu 18a. A z Mosleyem, jako ministrem spraw wewnętrznych, i z

ustawami antyżydowskimi będziemy wkrótce tak samo faszystowscy jak reszta Europy.

Mówiąc o ustawach antyżydowskich, poczuł, że się czerwieni, i zerknął szybko na Jacksona, ale starszy mężczyzna chyba tego nie zauważył. Pokiwał tylko głową i przez chwilę się zastanawiał.

— Od dawna pan się na to tak zapatruje? — zapytał w końcu.

— Chyba od dawna. Wzbierało to we mnie od kilku lat. Ale zwrotnym momentem były wybory.

— Słyszałem, że stracił pan niedawno dziecko — powiedział Jackson. — W wypadku.

David nie spodziewał się, że Geoff powie mu o Charliem.

— Tak — mruknął oschle, rzucając gniewne spojrzenie przyjacielowi.

— Bardzo mi przykro.

— Dziękuję.

Jackson odchrząknął.

— Wiem od Geoffa, że brał pan udział w wojnie.

— Tak, w Norwegii.

Jackson uśmiechnął się ze smutkiem.

— Kampania norweska to był koniec Chamberlaina — powiedział. — Niektórzy twierdzą, że gdyby Churchill został wtedy premierem, po upadku Francji walczylibyśmy dalej. Ciekawe, czym by się to skończyło?

Szli teraz szybkim krokiem; mimo swojej tuszy Jackson wcale nie dostał zadyszki.

— Norwegia była katastrofą — stwierdził David. — Widziałem, jak giną ludzie, Niemcy wydawali się... niezwyciężeni. Po upadku Francji uważałem, że musimy zawrzeć pokój. Myślałem, że tylko traktat pokojowy pozwoli nam uniknąć podboju.

— A Hitler obiecał, że pozostawi imperium w nienaruszonym stanie. Wielu uważało, że zachował się bardzo wielkodusznie. Ale Churchill przepowiadał, że traktat uczyni z nas niemieckie dominium, i miał rację.

Jackson uśmiechał się uprzejmie do Davida, ale nadal uważnie mu się przyglądał. David zdał sobie sprawę, że w bardzo angielski sposób jest sprawdzany, poddawany próbie. Coś w Jacksonie pozwalało się domyślić, że, podobnie jak on, jest pracownikiem służby cywilnej, ale bardzo wysokiego stopnia. Zastanawiał się, do czego to wszystko zmierza. Jackson uśmiechnął się zachęcająco. David wziął głęboki oddech, niczym przed zanurkowaniem, kiedy jako chłopiec skakał z trampoliny.

— Moja żona jest pacyfistką — powiedział. — Kiedyś się z nią zgadzałem. Nadal uważa, że uniknęliśmy przynajmniej wojny. Chociaż wie, że Wielka

Brytania wspiera to, co dzieje się w Rosji. Niekończącą się krwawą jatkę.

Jackson zatrzymał się i spojrzał na Highgate Ponds.

— Niemcy nigdy nie wygrają z Rosją — powiedział tym samym cichym głosem. — Walczyli jedenaście lat, żeby uświadomić sobie, jaki chcą osiągnąć cel: państwo niemieckich osadników rozciągające się od Archangielska do Astrachania i jakieś kapitalistyczne półkolonialne rosyjskie państwo za Uralem i na Syberii. Ale nigdy im się to nie uda. Każdego lata posuwają się trochę dalej na wschód, przełamują linię Wołgi i każdej zimy Rosjanie odpierają ich z powrotem, tymi swoimi karabinami Kałasznikowa, które produkują za Uralem w milionach sztuk, lekkimi i skutecznymi. A za linią frontu partyzanci zajmują połowę okupowanego obszaru. W pewnych miejscach Niemcy kontrolują tylko miasta i linie kolejowe. Wie pan, co się zdarzyło, kiedy przed dziesięciu laty zdobyli Leningrad?

— Chyba nikt tego nie wie... Dowiadujemy się tylko, że Niemcy posuwają się powoli do przodu.

— Właśnie o to chodzi, że się nie posuwają. Co do Leningradu, nie weszli wcale do środka, okrążyli tylko miasto i zagłodzili na śmierć całą ludność. Ponad trzy miliony ludzi. Od tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku w Leningradzie zapanowała kompletna cisza radiowa. Nic, nawet jednego ćwierknięcia. Po zajęciu Moskwy wyrzucili z niej wszystkich mieszkańców, zamknęli ich w obozach i skazali na głodową śmierć. To samo dotyczy europejskich Żydów. Mówią, że zamknięto ich wszystkich w obozach pracy, gdzieś na Wschodzie. Widzieliśmy kroniki filmowe, miłe drewniane domki z kwiatami w oknach i trawnikami na zewnątrz. Jednak żaden angielski Żyd nie dostał wiadomości od swoich znajomych i krewnych, których tam wysłano. Żadnego listu, nawet pocztówki. Nic.

David popatrzył na Jacksona. Czy on wie, kim jestem? — pomyślał. Ale z wyjątkiem ojca nikt nie znał jego sekretu. Po ogłoszeniu nowych ustaw ludzie zaczęli po prostu częściej mówić o Żydach.

— Do obozów pracy wysłano ich ile... sześć, siedem milionów? — zapytał.

Jackson pokiwał ponuro głową.

— Zgadza się. Dzisiaj zostali tylko nasi i trochę francuskich Żydów. Niezgoda na ich deportację, mimo niemieckiej presji, stała się kwestią narodowej dumy i suwerenności. Jednak Mosley chce ich wydać i z każdym miesiącem ma coraz silniejszą pozycję. — Jackson westchnął. — I dokąd to twoim zdaniem prowadzi, Fitzgerald? — zapytał.

— Moim zdaniem prosto do piekła.

Minęła ich młoda para. Kobieta miała słoneczne okulary w białych oprawkach i różową sukienkę w kwiaty. Między sobą trzymali za ręce

dziewczynkę, huśtając ją w powietrzu; mała piszczała z uciechy. Wokół nich biegał owczarek szkocki, machając ogonem. Jackson uśmiechnął się do nich i kobieta odwzajemniła uśmiech. Młoda rodzina oddaliła się w stronę wody.

— W Indiach też jest coraz gorzej — powiedział Geoff, kiedy znaleźli się wystarczająco daleko. — Sytuacja pogarsza się od śmierci Gandhiego w więzieniu w czterdziestym siódmym. I nie ma znaczenia, ilu jeszcze przywódców zamkną razem z Nehru. Nadal organizowane są strajki czynszowe, bojkot brytyjskich towarów i strajki w zakładach eksportujących do Wielkiej Brytanii. Bunt hinduskich oddziałów przeciwko oficerom mogą naprawdę doprowadzić do klęski. Ironia losu polega na tym, że traktat berliński ograniczył nasz handel z kontynentem. Zobaczcie, jak wysokie płacimy cła importowe i eksportowe, żeby cała Europa mogła być rynkiem zbytu dla niemieckiego przemysłu. Ale tego właśnie chcieli ludzie Beaverbrooka. Wolnego handlu w imperium i taryf celnych z całą resztą świata. To było marzenie jego życia. Ma teraz, czego chciał — dodał Geoff i parsknął tym swoim niewesołym śmiechem. — A my mamy depresję, która trwa już od dwudziestu lat.

— Słyszałem w biurze — odezwał się z wahaniem David — że Enoch Powell chce sformować kilka nowych dywizji i wysłać je do Indii. Ale to zwiększyłyby stan liczebny naszej armii ponad limity wyznaczone w traktacie.

— Słyszeliście, że Hitler zaproponował kiedyś, że pożyczmy nam kilka dywizji SS, żebyśmy zrobili porządek w Indiach? — powiedział Jackson.

Jak dużo wie ten człowiek? — pomyślał David. Kim on jest?

Jackson spojrzał na niego.

— Geoff wspomniał, że pracuje pan w Ministerstwie do spraw Dominiów — rzucił.

— Zgadza się.

To działo się zbyt szybko. David zdał sobie sprawę, że za dużo rzeczy opowiedział Geoffowi.

— Jest pan kierownikiem w wydziale politycznym, do głównych pana zadań należy obsługa cotygodniowych zebrań z wysokimi komisarzami dominiów. — Ton Jacksona znowu się zmienił, stał się rzeczowy i dziarski.

— Tak jest.

Cotygodniowe spotkania ministra z wysokimi komisarzami dominiów — Kanady, Australii, Nowej Zelandii, Związku Południowej Afryki, a od zeszłego roku również Rodezji — były przygotowywane i prowadzone przez zwierzchnika Davida, ale to David wykonywał większość czarnej roboty.

— Jest pan obecny na wszystkich zebraniach?

David nie odpowiedział. Przez chwilę trwało milczenie.

— Przebywał pan, zdaje się, za granicą? W Nowej Zelandii? — odezwał się w końcu luźnym tonem Jackson.

— Tak. Byłem tam na placówce od czterdziestego czwartego do czterdziestego szóstego roku. Mój ojciec ma rodzinę w Auckland. Przeniósł się tam przed kilku laty. On też uważał, że zmierzamy prosto do piekła.

— A pańska matka?

— Zmarła, kiedy uczęszczałem do szkoły.

— Sądząc po nazwisku, pochodzi pan z Irlandii.

— Mój ojciec pochodzi z rodziny dublińskich notariuszy. Kiedy miałem trzy lata, sprowadził tutaj mnie i moją matkę. W Irlandii trwała wtedy wojna o niepodległość.

Jackson uśmiechnął się.

— Proszę się nie gniewać, ale wygląda pan na Irlandczyka.

— Takiego zdania jest wielu ludzi.

— Czuje się pan lojalny wobec Irlandii?

David pokręcił głową.

— Wobec republiki de Valery? Nie. Ojciec zawsze nienawidził tego zacieklego katolickiego nacjonalizmu.

— Rozważał pan pozostanie w Nowej Zelandii razem z ojcem?

— Tak. Ostatecznie jednak postanowiliśmy wrócić. To w końcu nasz kraj.

I wtedy nie było jeszcze antyżydowskich ustaw, pomyślał David. Represje nie były zbyt uciążliwe.

Jackson spojrzął na rozciągający się przed nimi pod błękitnym niebem Londyn.

— Wielka Brytania stała się niebezpiecznym miejscem. To znaczy, kiedy przekroczy się pewne granice. Ale opozycja rośnie w siłę — dodał cicho.

David spojrzął na Geoffa. Nos przyjaciela zaczerwienił się od słońca. Zastanawiał się, jak z taką jasną skórą Geoff dawał sobie radę w Afryce.

— Owszem — potwierdził — rośnie w siłę.

— I to szybko.

— Wielu ludzi ginie po obu stronach — powiedział David. — Strajkujący. Żołnierze. Policjanci. Robi się coraz gorzej.

— Po sfałszowanych wyborach Churchill powiedział, że musimy „podpalić Brytanię”.

— Czy on nadal żyje? — zapytał David. — Wiem, że kiedyś kolportowane były nielegalne nagrania, w których namawiał nas do stawiania oporu, ale od jakiegoś czasu już się o nich nie słyszy. Obecnie zbliża się do osiemdziesiątki. W zeszłym roku zmarła na zapalenie płuc jego żona Clementine, odnaleziono ją w tej wspaniałej rezydencji w Lancashire. Dla ludzi w wieku Churchilla stała

ukrywanie się i przenoszenie z miejsca na miejsce musi być... — David potrząsnął głową. — Jego syn Randolph jest kolaborantem. Oświadczył w telewizji, że popiera rząd. A jeśli Churchill nie żyje, kto rządzi teraz ruchem oporu? Komuniści?

Jackson zmierzył go długim, uważnym spojrzeniem.

— Churchill żyje — powiedział cicho. — A ruch oporu jest czymś znacznie szerszym niż tylko partia komunistyczna. — Pokiwał powoli głową i nagle zerknął na zegarek. — Możemy wrócić na stację? Żona czeka na mnie w domu. Mamy jedną z tych rodzinnych imprez.

David zdał sobie sprawę, że dokądkolwiek chciał go wprowadzić Jackson, nie przyszła jeszcze na to pora.



W drodze na stację Jackson rozprawiał wesoło o krykiecie i rugby; był absolwentem Eton. Kiedy się rozstawali, podał rękę Davidowi, uśmiechnął się do niego i odszedł. Geoff, co nie zdarzało mu się zbyt często, ścisnął Davida za ramię.

— Polubił cię — powiedział cicho.

— O co w tym wszystkim chodzi, Geoff? Dlaczego tyle mu o mnie naopowiadałeś?

— Wydawało mi się, że będziesz chciał do nas dołączyć.

— Żeby co robić?

— Być może kiedyś nam pomóc. — Geoff posłał mu swój szybki, niespokojny uśmiech. — Ale to zależy od ciebie, Davidzie. Ty musisz podjąć decyzję.



David słyszał, jak Sarah zmywa w kuchni naczynia i stawia je gniewnie na suszarce. Przestał patrzeć na schody. Od samego początku, od pierwszego spotkania z Jacksonem na Hampstead Heath, najbardziej obawiał się właśnie o jej bezpieczeństwo. Żonę wolno poinformować o tym, co robi jej mąż, poinstruowali go później jego mocodawcy, tylko kiedy ona też jest zaangażowana w podziemną robotę. I chociaż Sarah gardziła rządem, jej pacyfizm oznaczał, że nie popierała ruchu oporu, zwłaszcza gdy zaczęły się zamachy bombowe i zabójstwa

policjantów. I od tego czasu David żywił do niej pretensję. Uważał, że to przez nią dźwiga nieznośne brzemie kolejnego sekretu.

Rozdział trzeci

W następną niedzielę Sarah wybrała się do miasta, żeby spotkać się z Irene i pójść z nią do kina. W środku tygodnia rozmawiały z sobą przez telefon, dyskutując na temat tego, co wydarzyło się w Dniu Pamięci. Nadal ani słowem nie wspomniano o tym w wiadomościach; tak jakby w ogóle nie doszło do ataku na Rommla i aresztowań.

Poszły do kina Gaumont przy Leicester Square na nową amerykańską komedię z Marilyn Monroe. Główny seans był jak zwykle poprzedzony jakimś banalnym niemieckim musicaliem, musiały także obejrzeć zatwierdzoną przez rząd kronikę *Pathé*. W trakcie jej wyświetlania nie gaszono świateł na widowni, żeby zapobiec gwizdom ze strony sympatyków ruchu oporu, gdyby na ekranie pojawił się któryś z nazistowskich przywódców. Najpierw nadano sprawozdanie z europejskiej konferencji eugenicznej w Berlinie: Marie Stopes rozmawiała w jakiejś sali kolumnowej z niemieckimi lekarzami. Następny materiał przypominał relację z piekła: zaśnieżony krajobraz, odziana w łachmany starucha, która lamentowała i krzyczała coś po rosyjsku przy dymiących zgliszczach chaty, niemiecki żołnierz w hełmie i szynelu, próbujący ją pocieszyć.

— „W Rosji trwa wojna przeciwko komunizmowi” — komentował poważnym głosem Bob Danvers-Walker. — „Sowieccy terroryści nadal popełniają okrutne zbrodnie nie tylko przeciwko Niemcom, ale także członkom własnego narodu. W pobliżu Kazania tchórzliwa grupa kryjących się w lasach partyzantów odpaliła katuszę na wioskę, której mieszkańcy ośmielili się sprzedać niemieckim żołnierzom trochę żywności”. — Kamera cofnęła się i objęła całą zniszczoną wieś. — „Niektórzy Rosjanie wolą zapomnieć, przed czym wybawiły ich Niemcy: przed tajną policją, pracą przymusową i znajdującymi się za kołem podbiegunowym obozami koncentracyjnymi, do których wtrącono miliony”. — Na ekranie pojawiły się znajome ziarniste fotografie jednego z obozów odkrytych przez Niemców w 1942 roku: leżące w śniegu ludzkie szkielety, druty kolczaste i wieże strażnicze. Sarah odwróciła wzrok od straszliwych scen. Głos lektora nabrał mocy. — „Nie ma wątpliwości, że Europa zwycięży w walce z tą nikczemną azjatycką doktryną. Niemcy pokonały Stalina i pokonają jego następców”.

Dla przypomnienia pokazano słynne zdjęcia Stalina zrobione po ujęciu go w październiku 1941 roku, kiedy zdobyto Moskwę; niewysoki, ospowaty mężczyzna z sumiastymi wąsami i potarganymi włosami wił się na ziemi trzymany za ręce przez roześmianych niemieckich żołnierzy. Później powieszono go publicznie na placu Czerwonym. W dalszym ciągu kroniki pokazano nowe gigantyczne niemieckie czołgi Tygrysy IV z sześciometrowymi działami wjeżdżające w brzezinę w pogoni za partyzantami, miażdżące młode drzewa jak zapalki, podczas gdy w górze unosiły się z głośnym hurgotem helikoptery. Następnie start rakiety V3: kamera śledziła wielki spiczasty cylinder wzbijający się z pióropuszem ognia w niebo i znikający po drugiej stronie Uralu. W tle słychać było optymistyczną marszową muzykę. Kolejna relacja przedstawiała Beaverbrooka otwierającego nową lśniącą fabrykę telewizorów w Anglii Środkowej. A potem światła na widowni ponownie zgasły i przy dźwiękach skocznej muzyki wyświetlono film w jaskrawym technikolorze.



Kiedy Sarah i Irene wyszły z kina, kończył się krótki zimowy dzień: wokół zapalanych w sklepach i restauracjach świateł tworzyła się niewyraźna żółtawa aureola.

— Zaczyna się mgła — powiedziała Sarah. — Zapowiadali ją w prognozie pogody.

— W metrze nie będzie nam przeszkadzać — odparła Irene. — Mamy dość czasu, żeby napić się kawy.

Ruszyła pierwsza przez ulicę, ale zatrzymała się, żeby przepuścić dzwoniący tramwaj. Tuż obok nich przebiegło dwóch młodzieńców w długich marynarkach i wąskich rurkowych spodniach, z uczesaniem w kaczki kuper, wypomadowanymi włosami. Stojący nieopodal w policyjnej budce funkcjonariusz zmierzył ich nieprzyjaznym spojrzeniem.

— Czy nie wyglądają śmiesznie? — prychnęła Irene. — Bikiniarze — dodała z odrazą.

— To zwykli chłopcy, którzy chcą się odróżnić od innych.

— Te ich marynarki...

— Z wywatowanymi ramionami. — Sarah roześmiała się. — W amerykańskim stylu.

— A co powiesz na tę bijatykę, w którą wdali się z Młodymi Faszystami w Wandsworth w zeszłym miesiącu? — zapytała z oburzeniem Irene. —

Z nożami i kastetami? Wiele osób odniosło poważne rany. Nie pochwalam chłosty, ale z całą pewnością na nią zasłużyli.

Sarah mimowolnie się uśmiechnęła. Irene była zawsze taka zasadnicza, tak łatwo się zaperzała. Ale Sarah wiedziała, że to tylko pozory: jej siostra miała gołębie serce. Informacja o konferencji eugenicznej przypomniała jej pewien epizod. Przed kilkoma miesiącami, również po wyjściu z kina, zobaczyły, jak kilku chłopców dokucza opóźnionemu w rozwoju dziecku, krzycząc, że kiedy wejdą w życie nowe przepisy, zostanie wysterylizowane. I to właśnie Irene, zwolenniczka eugeniki, wzięła w obronę dziecko i przepędziła prześladowców.

— Nie wiem, czym się skończy ten cały terroryzm — powiedziała teraz. — Słyszałaś, że w Liverpoolu ruch oporu wysadził w powietrze koszary? Zginął jeden żołnierz!

— Słyszałam. Ruch oporu odpowiedziałby ci pewnie, że toczy się wojna.

— Na wojnie giną ludzie.

— Nie możesz wierzyć we wszystko, co mówią o ruchu oporu. Pamiętasz, jak przemilczeli to, co zdarzyło się w zeszłą niedzielę?

Zmierzały w stronę kawiarni British Corner House, jak przemianowane zostały wszystkie Lyons Corner Houses po ich odebraniu żydowskim właścicielom. Herbaciarnia, cała w lustrach i chromach, była zatłoczona, ale zdołały znaleźć dwuosobowy stolik. Kiedy schludna kelnerka w białym fartuszkach i czepku odbierała od nich zamówienia, Irene rozejrzała się.

— Muszę zacząć myśleć o bożonarodzeniowych prezentach — powiedziała. — Nie mam pojęcia, co kupić chłopcom. Steve mówi, żeby sprawić im zestaw elektrycznej kolejki Hornby'ego, ale wiem, że po prostu sam chce się nią bawić. Babcia twierdzi, że chcą całą armię ołowianych żołnierzyków.

— Jak się miewa babcia?

— Nadal kaszle. Nie sądzę, żeby ten państwowy doktor, do którego chodzi, dużo jej pomógł. Wiesz, jacy oni są. Umówiłam ją z moim lekarzem. Martwię się, że zarażą się od niej dzieci, i widać, że biedaczka nie czuje się najlepiej.

— Nie znoszę Bożego Narodzenia — rzekła nagle posępnie Sarah. — Nie znoszę go od śmierci Charliego.

Irene z wyrazem skruchy położyła rękę na dłoni siostry.

— Przepraszam, kochanie, papłam tak bezmyślnie...

— Nie mogę oczekiwać, że ludzie przestaną mówić w mojej obecności o dzieciach.

W niebieskich oczach Irene malowała się troska.

— Wiem, że to dla ciebie trudne. Dla ciebie i dla Davida...

Sarah wyjęła z torebki papierosy i poczęstowała siostrę.

— Można by sądzić, że po dwóch latach będzie mi łatwiej — powiedziała z gniewem.

— Nie kroi się następne? — zapytała Irene.

Sarah pokręciła głową.

— Nie — odparła, powstrzymując łzy. — Przykro mi, że David wdał się w sprzeczkę ze Steve'em w zeszłą niedzielę. Robi się humorzasty.

— Nieważne. Wszyscy byliśmy podenerwowani.

— Powiedział później, że mu przykro. Choć chyba naprawdę wcale tak nie myślał — dodała ciężko Sarah.

— Ty i David... Niełatwo wam chyba stawić czoło nieszczęściu? — zapytała nieśmiało Irene.

— Dawniej byliśmy z sobą tak blisko związani. Ale David stał się... jakiś niedostępny. Kiedy pomyślę... kiedy pomyślę, jak wyglądało nasze życie razem z Charliem... — Sarah spojrzała siostrze prosto w oczy. — Wydaje mi się, że on ma romans — powiedziała nagle.

— Och, kochanie — zachnęła się Irene. — Jesteś tego pewna?

Sarah znowu pokręciła głową.

— Nie. Ale mam takie wrażenie.

Kelnerka wróciła z posrebrzaną tacą i postawiła na stoliku ciasteczka i herbatę. Irene nalala ją i podała siostrze filiżankę.

— Dlaczego tak myślisz? — zapytała półgłosem.

— Jest pewna kobieta w pracy, z którą się zaprzyjaźnił. Pracuje w archiwum ministerstwa. Spotkałam ją kilka razy na przyjęciach, nie jest zbyt ładna, ale wykształcona, skończyła studia. Jest inteligentna. — Sarah parsknęła śmiechem. — Boże, kiedyś mówili to samo o mnie. — Zawahała się. — David pracuje czasami w weekendy, to trwa już od roku. Dzisiaj też pojechał do ministerstwa. Twierdzi, że mają mnóstwo pracy, i chyba to prawda, stosunki z dominiami są coraz bardziej napięte. Ale czasami wychodzi również wieczorem, mówi, że idzie do klubu tenisowego zagrać ze swoim kumplem Geoffem. Mają tam teraz kryty kort. Mówi, że to go odpręża.

— Może tak rzeczywiście jest.

— Bardziej niż bycie w domu ze mną? Niech go diabli — mruknęła Sarah, ponownie wpadając w gniew, po czym pokręciła głową. — Nie, wcale tak nie myślę.

— Dlaczego sądzisz, że interesuje się tą kobietą? — zapytała po chwili Irene.

— To ona interesuje się nim. Zauważyłam to, kiedy się spotkaliśmy. Irene uśmiechnęła się.

— David jest bardzo przystojnym mężczyzną. Ale chyba nigdy jeszcze cię nie zdradził, prawda? Nie tak jak Steve.

Sarah wypuściła z ust obłoczek dymu.

— Ostatnim razem mówiłaś, że postawiłaś sprawę na ostrzu noża. Zagroziłaś, że odejdziesz i zabierzesz z sobą chłopców.

— Tak. To go chyba otrzeźwiło. Wiesz, jak bardzo kocha chłopców. I mnie też, na swój sposób. Nie masz chyba zamiaru odejść od Davida?

— Nie. Kocham go bardziej niż kiedykolwiek. Jakie to żałosne...

— Skądże znowu, kochanie. Ale nie masz chyba prawdziwych powodów, żeby coś podejrzać. — Irene przyjrzała się uważnie siostrze. — Czy może jednak masz? Ostatnim razem Steve'a zdradził zapach obcych perfum na kołnierzyku.

— Kilka tygodni temu, kiedy zrobiło się chłodniej, David poprosił mnie, żebym zniosła jego zimowe palto do prania. Tak jak zawsze opróżniłam jego kieszenie... zostawia w nich czasami chusteczki. Znalazłam skasowany bilet na jeden z tych koncertów, które urządzają czasem w kościołach w pobliżu Whitehall. Na odwrocie było jej nazwisko, Carol Bennett. Musiała je zarezerwować.

— Może poszli całą grupą. Pytałaś go o to?

— Nie — zaprzeczyła Sarah. — Jestem tchórzem — dodała cicho.

— Nigdy nie byłaś tchórzem — stwierdziła z naciskiem Irene. — To był sobotni koncert?

— Nie. W środku tygodnia. — Sarah wzięła głęboki oddech. — A potem w ostatni czwartek, kiedy David powiedział, że idzie grać w tenisa, zadzwoniłam do klubu, żeby zapytać, czy tam jest. Sprawdzić, czy mnie nie okłamuje. Nie było go.

— Och, kochanie — szepnęła Irene. — I co zamierzasz zrobić? Zapytasz go o to?

— Chyba powinnam to zrobić, ale widzisz... — Sarah wzięła ciasteczko ze swojego talerzyka. — Boję się, że jeżeli to prawda, to będzie koniec naszego małżeństwa. A jeśli się mylę, postawienie tego na ostrzu noża jeszcze bardziej nas od siebie oddali. Więc jak widzisz, jestem tchórzem. Ale nie mogę tego dłużej wytrzymać — dodała, marszcząc czoło. — Siedzę w tym cholernym domu przez cały dzień i bez przerwy wałkuję ten temat.

— Nie myślałaś, żeby wrócić do zawodu nauczycielki?

— Nie zatrudniają mężatek. — Sarah westchnęła. — No cóż, udzielam się przynajmniej charytatywnie. W przyszłym tygodniu mamy zebranie w sprawie kupna zabawek dla dzieci bezrobotnych. Dzięki temu będę mogła się przynajmniej wyrwać z domu. Ale nie przestanę się martwić.

— Nie możesz się zdręzczać podejrzeniami. Wierz mi, to cię wykończy.

— Mam go na oku. Porozmawiam z nim, ale muszę być pewna. — Sarah spojrzała błagalnym wzrokiem na siostrę. — Mogę wszystko stracić.



Kiedy wyszły z Corner House, było już ciemno, w powietrzu unosiła się mgiełka. Szyny tramwajowe lśniły w świetle latarni. Sarah i Irene objęły się na pożegnanie. Sarah ruszyła na stację metra. Pomyślała, że jeśli pociągi będą kursowały normalnie, powinna zdążyć ugotować obiad przed powrotem Davida o wpół do ósmej. Na ulicach panował tłok, wszyscy byli ciepło ubrani, mężczyźni mieli na głowach meloniki, czapki i homburgi, kobiety chustki i duże, podobne do spodków kapelusze z piórkami, które były modne w tym roku. Przy wejściu na stację Leicester Square robotnicy ścierali ze ściany białą literę „V”, jeden z symboli ruchu oporu. „V” jak Victory. Ktoś musiał ją wymalować ukradkiem w nocy.



Kiedy wróciła do domu, panował w nim chłód. Stała w małym holu, w którym stał wieszak na płaszcze i stół z telefonem i dużym kolorowym wazonem w stylu regencji. Gdy Charlie zaczął raczkować, musieli schować wazon, żeby się nie stłukł.



Sarah, która dorastała między wojnami, uważała się za kobietę niezależną, nauczycielkę. Przed poznaniem Davida zaczynała się już w wieku dwudziestu trzech lat martwić, że zostanie starą panną, nie dlatego, żeby mężczyźni uważali ją za nieatrakcyjną, ale ponieważ tylu z nich robiło na niej wrażenie nudziarzy. Podczas wojny 1939—1940 miała nadzieję, że kobiety, których mężowie wyjechali na front, zdobędą więcej niezależności, lecz później wszystko wróciło do normy i polityka państwa nakierowana była obecnie na to, żeby żony siedziały w domu. Więcej stanowisk pracy zostawało w ten sposób dla mężczyzn.

W rodzinie najładniejsza była Irene, ale Sarah też nie była brzydka, z niebieskimi oczyma i prostym małym nosem. Kwadratowa szczeka dodawała

jej stanowczości. Zanim na potańcówce w klubie tenisowym poznała Davida, nigdy nie była zakochana. Na jego widok, jak piszą w romansach, ziemia usunęła się jej spod nóg. Rok później wyszła za mąż, a potem na dwa lata wyjechała z nim na placówkę do Nowej Zelandii. Po powrocie zaszła w ciążę z Charliem. Czasami tęskniła za swoją pracą, ale kochała synka i cieszyła się na myśl o kolejnych dzieciach.

Charlie był inteligentnym, żywym, wesołym chłopcem, który szybko zaczął chodzić i chętnie się wszystkiego uczył. Miał jej jasne włosy i podobną do niej twarz, ale czasami na buzi syna pojawiała się poważna mina, która przypominała jej męża, choć w obecności syna David był zawsze skory do zabaw, zupełnie jak dziecko, i rosło jej serce, kiedy na niego patrzyła. Starał się jak najwcześniej przychodzić do domu i trzymając się za ręce, patrzyli, jak Charlie bawi się przy nich na podłodze.

Schody w ich domu były całkiem strome i w związku z tym na dole i na górze zainstalowali bramki zabezpieczające. Aktywnemu małemu chłopcu wcale się to nie spodobało i uważał to za zamach na swoją wolność. Pewnego dnia, kiedy miał już prawie trzy lata, Sarah poszła do sypialni, żeby przed wyjściem na zakupy trochę się umalować. Zabrała z sobą na górę Charliego i zamknęła zasuwkę bramki. Na dworze padał śnieg — drzewko w ich małym ogródku i żywopłot z ligustru były przysypane białym puchem — i Charlie bardzo chciał pobawić się na zewnątrz. Wyszedł z sypialni do małego holu na górze i zawołał do niej:

— Mamo, mam, chcę obejrzeć śnieg!

— Zaraz, kochanie. Bądź cierpliwy.

Nagle rozległ się niewyraźny stukot, stłumiony krzyk i głucho łupnięcie, po którym zrobiło się tak cicho, że usłyszała pulsującą w uszach krew. Przez sekundę siedziała jak sparaliżowana.

— Charlie! — zawołała i wybiegła z sypialni. Bramka na górze była nadal zamknięta, ale spoglądając w dół, zobaczyła synka, który leżał u stóp schodów z rozrzuconymi beładnie kończynami. Zaledwie przed kilkoma dniami rozmawiali z Davidem, że Charlie jest już całkiem duży i muszą uważać, żeby nie przelazł przez bramkę.

Łudząc się nadzieją, zbiegła na dół, ale już w połowie schodów poznała po jego nieruchomych oczach i przekrzywionej pod nienaturalnym kątem głowie, że Charlie nie żyje, że skreślił kark. Podniosła i przytuliła do siebie małe ciało. Było nadal ciepłe i tuliła je do siebie z szaloną, dziką myślą, że jeśli tylko zdoła je w wystarczający sposób ogrzać, nie pozwoli, by ostygło, jakimś cudem przywróci go do życia. Później, kiedy zatelefonowała w końcu pod numer 999,

kiedy wezwano Davida do domu, powiedziała mu, dlaczego trzymała tak długo Charliego, i David zrozumiał.



Sarah wzdrygnęła się, zdjęła palto i uruchomiła centralne ogrzewanie. Zapaliła ogień w kominku, a potem weszła do kuchni i włączyła radio. Ciszę przerwała wesoła taneczna muzyka. Zaczęła szykować obiad. Wbrew temu, o czym zapewniała siostrę, wiedziała, że nie ma dość odwagi, żeby stawić czoło Davidowi.

Rozdział czwarty

W to niedzielne popołudnie David również pojechał do centrum Londynu, z kluczem i aparatem fotograficznym, które wyjął z szuflady i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki obok dowodu tożsamości. Dwa lata w roli szpiega wzmocniły go i zahartowały, chociaż czasami, okłamując wszystkich dokoła, czuł się całkowicie zagubiony.

W wagonie było niewiele osób: kilku jadących na drugą zmianę robotników i ludzie, którzy wybierali się na spotkanie ze znajomymi. Pod płaszczem David miał na sobie sportową marynarkę i flanelowe spodnie; urzędników pracujących w ministerstwie w weekendy nie obowiązywał strój oficjalny.

Siedząca naprzeciwko niego kobieta czytała „Timesa”. Gazeta wykupiona została przez Beaverbrooka i wzbogaciła jego prasowe imperium, tuż zanim objął funkcję premiera; należała do niego obecnie prawie połowa brytyjskiej prasy, natomiast stajnia „Daily Mail” lorda Rothermere’a przejęła większą część reszty. „Jaką drogę obierze Ameryka?”, pytano w tytule nad fotografią nowo wybranego prezydenta Adlaia Stevensona, który miał poważną twarz naukowca. „Przez dwanaście lat rządzona przez republikanów Ameryka pilnowała własnego nosa. Czy Stevenson, podobnie jak Roosevelt, będzie chciał naiwnie wtrącać się w sprawy Europy?”. To spędza im sen z powiek, pomyślał z satysfakcją David. Teraz nic nie będzie dla nich takie proste. W innym artykule spekulowano, czy przyszłorocznej koronacji królowej nie można by w jakiś sposób połączyć z dwudziestą rocznicą dojścia do władzy Hitlera, której obchody zaplanowano na wielką skalę, większą nawet niż uroczystości, które odbyły się wcześniej w tym roku we Włoszech w związku z trzydziestą rocznicą objęcia władzy przez Mussoliniego.



Po wyjściu ze stacji Westminster skręcił w Whitehall. Popołudnie było chłodne i mokre. Kilka skulonych osób w burych płaszczach przemykało ulicą. W ciągu ostatnich dziesięciu lat David zaobserwował, że ludzie coraz nędzniej

się ubierają, wydają się coraz bardziej samotni. Na murze wisiał okopcony plakat z zeszłorocznego Festiwalu Imperium w Greenwich: młoda para pomagała małemu dziecku nakarmić cielaka na tle widniejących w oddali wzgórz. „Szczęśliwe nowe życie w Afryce”, głosił podpis.

Ministerstwo do spraw Dominiów mieściło się na rogu Downing Street. David spostrzegł stojącego przy numerze 10 policjanta. Leżąca przy Grobie Nieznanego Żołnierza sterta wieńców wyglądała smutno i niechlujnie. Wszedł po stopniach. Nad drzwiami widniał fryz przedstawiający panoramę imperium: Afrykanów z dzidami, Hindusów w turbanach oraz wiktoriańskich mężów stanu. Wszyscy stłoczeni byli razem i pokryci czarną londyńską sadzą. Hol wejściowy był pusty. Portier Sykes pozdrowił go skinieniem głowy. Nie był już najmłodszy, ale miał czujne spojrzenie.

— Dzień dobry, panie Fitzgerald. Znowu pracuje pan w niedzielę?

— Owszem. Niestety, obowiązki wzywają. W biurze jest ktoś jeszcze?

— Sekretarz stanu, na najwyższym piętrze. Poza tym nie ma nikogo. Ludzie przychodzą czasami do pracy w sobotę, ale bardzo rzadko w niedzielę. — Sykes uśmiechnął się do Davida. — Pamiętam, kiedy zaczynałem tu pracować, podsekretarze rzadko przychodzili przed jedenastą. A w weekendy nie było nikogo z wyjątkiem archiwistów — dodał, kręcąc głową.

— Trudy rządzenia imperium — odparł David, odwzajemniając uśmiech i podpisując się w księdze wejść.

Sykes sięgnął za siebie, zdjął z tablicy klucz do gabinetu Davida z numerem na metalowej przywieszce i podał mu go. David podszedł do windy. Była bardzo stara i czasami zatrzymywała się z ludźmi między piętrami. Zastanawiał się, czy stuletnie liny któregoś dnia nie pękną, wysyłając wszystkich na tamten świat. Powoli, ze skrzypieniem winda wjechała na drugie piętro. David odsunął ciężką kratę i wysiadł. Przed sobą miał archiwum. W ciągu tygodnia urzędniczki bez końca wydawały tu i przyjmowały akta przy długiej ladzie, a zza drzwi hali maszyn dochodziło stukanie klawiszy. Przy samym końcu lady, naprzeciwko oszklonych drzwi z napisem „Osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony, stało puste biurko Carol. David przyglądał mu się przez chwilę, a potem ruszył długim wąskim korytarzem. W pustym biurze jego kroki odbijały się dziwnym echem.

Gabinet Davida zajmował połowę wiktoriańskiego pokoju, ścianka działowa wcinała się w elegancki gzyms. Pośrodku swojego biurka zobaczył grubą teczkę z dokumentami dotyczącymi zebrania wysokich komisarzy. Na przypiętym na górze proponowanym porządku dnia, który przygotował dla Hubbolda, widniało kilka słów napisanych drobnym charakterem pisma jego zwierzchnika. *Rozmawialiśmy. Przedyskutujemy to jeszcze w poniedziałek.*

David zdjął płaszcz i wyjął z kieszeni mały srebrzysty aparat fotograficzny. Niewiele większy od pudełka zapalek był, co zabawne, niemiecki, firmy Leica, i można nim było sfotografować dziesiątki dokumentów przy zwykłym świetle lampy. Kiedy go dostał, wydawał mu się czymś nadzwyczajnym, prosto z jakiejś fantastycznonaukowej powieści, ale zdążył już do niego przywyknąć. Zapalił papierosa, żeby uspokoić nerwy.



— Ten facet, Jackson, pracuje w służbie cywilnej, prawda? — zapytał David po tamtym pierwszym spotkaniu na Hampstead Heath, kiedy znowu zobaczył się z Geoffem w klubie tenisowym.

Na twarzy przyjaciela pojawił się grymas irytacji i jednocześnie poczucia winy.

— Nie mogę ci powiedzieć, stary. Musisz zrozumieć, że nie mogę.

— Jackson sporo o mnie wiedział. Czy interesuje się mną z jakiegoś szczególnego powodu?

— Nie mogę ci powiedzieć. Najpierw musisz zdecydować, czy chcesz nas popierać.

— Przecież was popieram. Masz raczej na myśli, czy chcę dla was pracować.

— Pracować z nami — poprawił go z naciskiem Geoff, uśmiechając się z przekąsem. — Sytuacja się zaostrza, teraz jesteśmy nielegalni. Chyba to zauważyłeś.

David słyszał już w radiu głosy mówiące, że brytyjski ruch oporu jest organizacją wywrotową, a ludność ma obowiązek informować o jego działalności. Widział nowe plakaty z Churchillem — wykorzystano jego podobiznę z okresu, gdy był ministrem w latach 1939—1940 — w ciemnym garniturze i kapeluszu, z pistoletem maszynowym w ręku i podpisem *Poszukiwany żywy lub martwy*.

— W wiadomościach opowiadają o uzbrojonych strajkujących i o tym opancerzonym pojeździe policji, który wysadzono w Glasgow — powiedział, przysuwając się bliżej do Geoffa. — Czy to prawda?

— Ci ludzie sfałszowali wybory — odparł z ciężkim westchnieniem Geoff. — I wypowiedzieli nam wojnę. Wiesz, czym jest wojna.

— Nigdy nie byłem pacyfistą tak jak Sarah. Ale jeśli zacznę z wami współpracować, położę wszystko na szalę. Całe moje życie. I życie mojej żony.

— Nie, jeśli nie będzie o niczym wiedziała — powiedział Geoff i przez dłuższą chwilę milczał. — W porządku, Davidzie — odezwał się w końcu. — Wiem, że ciąży na tobie odpowiedzialność.

— Nienawidzę tego wszystkiego — odparł cicho David.

Geoff spojrział na niego.

— Chciałbyś się znowu spotkać z Jacksonem?

David wziął głęboki oddech.

— Tak — odparł w końcu.



Dopiero po kilku kolejnych spotkaniach, pod koniec 1950 roku, Jackson wyjawiał, że chce, by David został szpiegiem ruchu oporu w Ministerstwie do spraw Dominioń. Siedzieli w prywatnym gabinecie w jednym z ekskluzywnych westminsterskich klubów.

— Potrzebne nam są informacje o tym, co zamierza i co robi rząd. Nie tylko w kwestiach polityki krajowej, ale także zagranicznej i dotyczącej imperium. Istotą zawartego w czterdziestym roku traktatu była przecież zasada, że Hitler bierze Europę, a my zatrzymujemy imperium. I rozbudowujemy je do rozmiarów, o których nam się wcześniej nie śniło, żeby zrekompensować sobie utratę rynków w Europie. — Jackson smutno się uśmiechnął. — Ucieczka w imperium. Stare marzenie politycznej prawicy. Marzenie Beaverbrooka.

— Ale doprowadziliśmy do tego, że imperium nas nienawidzi.

— Owszem, do tego doprowadziliśmy. — Znowu ten smutny uśmiech. Jackson zmierzył go długim spojrzeniem. — Ruch oporu ma swoich ludzi w Ministerstwie do spraw Indii i w Ministerstwie Kolonii. Od tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego mieliśmy na przykład trzy klęski głodu w Bengalu, o których nigdy nam nie powiedziano. Potrzebujemy kogoś, kto poinformowałby nas, jak to wygląda w dominiach. W białym imperium. Wiemy, że Kanada, Australia i Nowa Zelandia nie są zadowolone z rozwoju sytuacji politycznej w metropolii, natomiast Afryce Południowej to zbytnio nie przeszkadza. Chcemy wiedzieć, jak realizowane są wielkie programy osadnictwa w Afryce, znać plany tworzenia nowych dominiów Afryki Wschodniej i Rodezji. Mógłbyś przekazywać nam informacje, a także dokumenty. Spotykałbyś się co jakiś czas ze mną, naszym człowiekiem w Ministerstwie do spraw Indii i naszym facetem z Ministerstwa Kolonii.

— Naszym facetem w Ministerstwie Kolonii jest Geoff, prawda? — zapytał David. A ty pracujesz w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, dodał w myślach.

Jackson nie odpowiedział. — Pracuję na zbyt niskim stanowisku, żeby wolno mi było wnosić papiery z biura — wyjaśnił David.

Jackson pokiwał wielką siwą głową i uśmiechnął się w typowy dla siebie, jednocześnie poufały i protekcyjny sposób.

— Można to jakoś załatwić — rzucił.

— Jak? — zapytał David. Uświadomił sobie, że podjął ostateczną, nieodwołalną decyzję.

— Więc do nas przystępujesz? — chciał się upewnić Jackson.

— Tak — odparł po krótkim wahaniu David.

Jackson uśmiechnął się, tym razem z autentyczną serdecznością.

— Dziękuję — powiedział i uściśnął mu mocno dłoń.

I tak, krok po kroku, David dowiedział się, że ruch oporu ma swoich ludzi wszędzie, w fabrykach, biurach i wioskach, że organizuje protesty i kampanie plakatowe, strajki i demonstracje. Były nawet niewielkie obszary, górnicze wioski i odległe wiejskie tereny, gdzie mieli pełną władzę. Policja nie śmiała się tam zapuszczać, chyba że z potężnym wsparciem. Bierny opór się skończył; policja, wojsko i zajmowane przez nie budynki były teraz uprawnionymi celami. Kontaktowali się z innymi podziemnymi organizacjami na całym kontynencie. I wszędzie mieli swoich szpiegów, pracujących w instytucjach w całym kraju „śpiochów”, którzy czekali na sygnał.

— Pora już, żebyś poznał nasze mieszkanie w Soho — powiedział Jackson, kiedy wkrótce potem spotkali się ponownie w klubie.

— Dlaczego w Soho?

— To dobre miejsce na spotkania, pełno tam najróżniejszych ludzi. — Jackson uśmiechnął się. — Jeśli wpadniesz na ulicy na kogoś z ministerstwa, pomyśli, że przyszedłeś tam w tej samej sprawie co on, i nie będzie raczej o tym nikomu mówił, prawda?



Po raz pierwszy David odwiedził mieszkanie kontaktowe tydzień później, wieczorem. Wsiadając z metra przy Piccadilly Circus i skręcając w Soho, czuł się trochę nieswojo. Dom, którego adres mu podano, stał przy wąskiej alejce. Obok drzwi pomalowanych łuszczącą się farbą była włoska kafejka. W środku dwóch bikiniarzy stało przy szafie grającej, z której płynął jakiś straszny, nowy amerykański rock and roll. W gazetach pisali, że szafy grające zabijają żywą muzykę i że powinny być zakazane. David zapukał i usłyszał, jak ktoś schodzi po schodach. Drzwi otworzyły się. Stała za nimi ciemnowłosa kobieta; nawet

w przyćmionym, padającym ze środka świetle wydała mu się atrakcyjna. Miała na sobie bezkształtny fartuch pomazany farbą.

— Wejdz — powiedziała krótko, przyglądając mu się zielonymi, lekko skośnymi oczyma. Miała trochę obcy akcent, którego nie potrafił zlokalizować.

Czując zapach wilgoci i nieświeżych warzyw, ruszył w ślad za nią wąskimi schodami i wszedł do mieszkania, dużego pojedynczego pokoju z obrazami stojącymi przy ścianach i na sztalugach, a także wąskim łóżkiem i małą kuchenką w jednym z rogów. Obrazy były olejne, całkiem dobre. Część przedstawiała miejskie pejzaże, z wąskimi uliczkami i barokowymi kościołami, inne — zaśnieżone pola i wznoszące się w oddali góry. Na jednym z nich na śniegu leżały postaci pokryte czerwonymi plamami, jak zdał sobie sprawę, krwi. Przypomniawszy sobie Norwegię i niemieckie samoloty ostrzeliwujące kolumnę brytyjskich żołnierzy, którzy potykając się, uciekali przez zasy.

Geoff i Jackson siedzieli przy elektrycznym kominku. Geoff uśmiechnął się nieśmiało. Kobieta odezwała się pierwsza.

— Witam, panie Fitzgerald. Jestem Natalia.

Jej uśmiech był życzliwy, lecz trochę nieprzystępny. W świetle lampy wydawała się starsza, niż z początku myślał, gdzieś w połowie trzydziestki. W kącikach skośnych, lekko zmrużonych oczu zobaczył kurze łapki. Miała długie, proste brązowe włosy, pełne wargi i wystający podbródek.

— Tutaj będzie się spotykać nasza mała imperialna grupa — oświadczył Jackson i spojrzał na kobietę z respektem, który zaskoczył Davida. — Natalii można ufać we wszystkim. Kiedy mnie nie ma, ona przejmuje dowodzenie. Spotykamy się wyłącznie w tym składzie oraz ewentualnie z naszym człowiekiem z Ministerstwa do spraw Indii.

— Rozumiem.

— A zatem... — Jackson położył ręce na kolanach. — Herbata dla wszystkich? Natalio, czy możesz pełnić honory pani domu?

Pierwszą sprawą, jaką omówili tamtego wieczoru, pod koniec 1950 roku, było znalezienie dostępu do tajnej kancelarii w ministerstwie. David nie miał pojęcia, jak mógłby tam się dostać. Klucze do kancelarii miał tylko kierownik archiwum, niejaki Dabb, oraz kobieta zajmująca się tajnymi aktami, panna Bennett. Oboje musieli je oddawać portierowi za każdym razem, kiedy wychodzili z budynku.

— Nie potrzebujemy klucza — stwierdził Jackson. — Wystarczy nam numer, który widnieje na przywieszce. Każdy klucz ma czterocyfrowy numer, żeby w razie jego zgubienia można było dorobić nowy na podstawie wzorów, które mają w dziale gospodarczym.

— Wszystkie klucze do drzwi i szafek z aktami dorabiają ślusarze z działu gospodarczego ministerstwa — wyjaśnił Geoff. — Kiedy w czterdziestym ósmym zabroniono Żydom pracować w służbie cywilnej, wszyscy musieli odejść. Ze względów bezpieczeństwa.

— Zgadza się. — David przypomniał sobie, jak z zaciśniętymi pięściami i szeroko otwartymi oczyma leżał w nocy obok śpiącej żony, kiedy parlament uchwalił kolejne antyżydowskie prawa.

— Jednym z wyrzuconych wówczas z roboty Żydów był stary ślusarz z działu gospodarczego — powiedział Jackson. — Przeszedł do nas razem z wzorami wszystkich kluczy. Wystarczy, że podasz nam numer klucza do tajnej kancelarii, a on zrobi duplikat. Te idiotyczne antyżydowskie ustawy czasami bardzo nam pomagają — dodał z uśmiechem.

— Ale skąd wezmę ten numer? — zapytał David.

Jackson popatrzył znacząco na Geoffa.

— Opowiedz mi o pannie Bennett — poprosił Davida.

— Jest z naboru z trzydziestego dziewiątego i czterdziestego roku, kiedy z powodu wojny dopuszczono kobiety do stanowisk administracyjnych.

Jackson pokiwał głową.

— Często mam wrażenie, że kobiety, które zaczęły tam pracować po zawarciu traktatu, muszą czuć się bardzo nie na miejscu. Pod warunkiem oczywiście, że nie są zamężne. W takim wypadku musiałyby odejść. Jaka jest panna Bennett?

David zawahał się.

— To miła kobieta. Chyba się nudzi... marnuje się na tym stanowisku.

Pomyślał o Carol siedzącej za ladą, na której piętrzyły się opatrzone sygnaturą „ściśle tajne” żółte teczki. W popielniczce na jej biurku zawsze żarzył się papieros.

— Atrakcyjna? — zapytał Jackson.

David zdał sobie nagle sprawę, do czego to może prowadzić, i poczuł, jak ściska go w piersi.

— Niekoniecznie. — Carol była wysoka i chuda, miała duże piwne oczy, ciemne włosy, duży nos i podbródek. Nosiła się elegancko, zawsze z jakimś kolorowym akcentem, broszką lub szalem, nie uznając zasady, że kobiety w służbie cywilnej powinny się ubierać konserwatywnie. Ale nigdy w najmniejszym stopniu go nie pociągała.

— Zainteresowania? Hobby? Jakiś narzeczony? Jakiego rodzaju życie prowadzi poza biurem?

— Rozmawiałem z nią tylko kilka razy. Chyba lubi koncerty. — David zawahał się. — Jak wielu urzędników niższej rangi dorobiła się przezwiska.

Mówią na nią „emancypantka”.

— Pewnie jest samotna. — Jackson uśmiechnął się zachęcająco. — Więc może uda ci się z nią zaprzyjaźnić. Zabierzesz ją, powiedzmy, raz czy dwa razy na lunch. Na pewno będzie jej miło, że zainteresował się nią taki przystojny, wykształcony facet. Może znajdziesz jakiś sposób, żeby zerknąć na jej klucz.

— Sugerujesz, żebym... — David potoczył wzrokiem po swoich towarzyszach. Natalia smutno się do niego uśmiechnęła.

— Uwieść tę dziewczynę? — zapytała. — W żadnym wypadku. To dałoby asumpt do plotek, a nawet mogłoby doprowadzić do problemów, zważywszy, że jesteś żonaty.

— Ale mógłbyś się z nią zaprzyjaźnić — wyjaśnił Jackson. — Trochę ją do siebie zachęcić.

David nie odpowiedział.

— Wszyscy musimy teraz robić rzeczy, które niezbyt nam się podobają — powiedziała Natalia.



I tak David zaprzyjaźnił się z Carol, podchodząc do jej biurka, kiedy musiał zabrać albo oddać jakieś papiery, wykorzystując każdą okazję, by z nią pogawędzić. Okazało się to łatwe. W dusznej konserwatywnej atmosferze archiwum Carol nie była zbyt popularna, więc cieszyła się, że ma do kogo otworzyć usta. Rzucił mimochodem, że studiowała podobno w Oksfordzie, tak jak on. Okazało się, że skończyła anglistykę w Somerville College, że jej prawdziwą miłością jest muzyka, ale nie potrafi grać na żadnym instrumencie. Zorientował się, jaka jest samotna, mając tylko dwie przyjaciółki i starą, niełatwą w pożyciu matkę, którą się opiekowała.

Powiedzieli mu, żeby się nie spieszył, ale to Carol przejęła po miesiącu inicjatywę. Oznajmiła, że czasami chodzi na urządzane w porze lunchu koncerty w pobliskich kościołach. Czy nie zechciałby kiedyś wybrać się tam razem z nią? David przyznał już wcześniej, że interesuje się muzyką, i widział w jej oczach nieśmiałą nadzieję.

Poszli zatem na recital.

— Twoja żona nie lubi muzyki? — zapytała, kiedy jedli potem szybki lunch w British Corner House.

— Sarah nie lubi jeździć do miasta — wyjaśnił. — Na początku roku straciliśmy synka — dodał po krótkim wahaniu. — Wypadek w domu.

— Och, nie. — Carol wydawała się autentycznie wstrząśnięta. — Tak mi przykro.

David nie był w stanie na to nic odpowiedzieć. Poczuł, jak coś dławi go w gardle. Wyciągnęła nieśmiało rękę, żeby dotknąć jego dłoni, ale on gwałtownie ją cofnął.

— Przepraszam — powiedział.

— Rozumiem.

— Dobrze jest oderwać się od pracy w porze lunchu, zająć się czymś innym.

— Tak, oczywiście.

Po tym pierwszym spotkaniu były kolejne recitale i kolejne lunchy. Carol opowiedziała mu o swoich problemach z matką. A na koncertach starała się zawsze tak siadać, by ich ciała się dotykały. Mierziło go to, jak wobec niej postępuje. Ale był coraz bardziej oddany sprawie ruchu oporu i to go zahartowało. Dowiadywał się w Soho coraz więcej o tym, co kryło się za propagandą w gazetach i w BBC: o strajkach i zamieszkach w Szkocji i na północy Anglii, o chaosie w Indiach, niekończących się okrucieństwach wojny w Rosji. Był świadkiem coraz większej buty Czarnych Koszul na ulicach i widział, jak Żydzi, napiętnowani żółtymi gwiazdami, przemykali ze wzrokiem utkwionym w ziemi.

Dopiero w styczniu udało mu się zobaczyć klucz. Obserwując Carol, zauważył, że w pracy trzyma go w torebce i przed wyjściem z budynku zawsze oddaje portierowi. W trakcie ostatniego koncertu dostrzegł, że jest trochę rozkojarzona. Przy lunchu powiedziała, że matka sprawia jej więcej kłopotów niż zwykle. Oskarżała córkę, że wyjmuje jej pieniądze z torebki, co było absurdem, ponieważ obie utrzymywały się z pensji Carol. Obawiała się, że starsza pani może zapaść na starczą demencję.

Zaplanował sobie, jak to zrobić. W następnym tygodniu zaproponował, że pójdą na kolejny koncert w kościele przy Smith Square. Carol chętnie się zgodziła, a on obiecał, że załatwi bilety w drodze do domu. W dniu recitalu, odnosząc akta do archiwum, podszedł do jej biurka. Dzielila na dwie jedną z tajnych teczek, uważnie przekładając dokumenty do drugiej teczki. David jak zwykle starał się nie patrzeć. Carol była dobrze wykształcona i zauważyłaby to, bez względu na to, co do niego czuła.

— Cieszysz się na nasz koncert? — zapytał.

Carol zaświeciły się oczy.

— O tak. Powinien być dobry.

— Jakie mamy miejsca?

Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

— To ty masz bilety.

— Nie, nie. Dałem ci je.

— Kiedy? — zapytała, patrząc mu prosto w oczy.

— Wczoraj. Na pewno ci dałem.

Carol zamknęła starannie teczkę, wzięła do ręki torebkę i tak, jak się spodziewał, otworzyła ją na biurku. Wyjęła portmonetkę i zajrzała do środka, żeby sprawdzić przegródki. Torebka leżała otwarta. David rozejrzał się szybko, ale nikt ich nie obserwował; ich znajomość nie budziła już takiego zainteresowania i kierownik archiwum, Dabb, nie podniósł nawet wzroku znad swoich akt. Nachylił się lekko i zajrzał do torebki. Zobaczył w niej puderniczkę, paczkę papierosów i klucz z metalową przywieszką. Zezując, odczytał wybity na niej numer, 2342, i odsunął się w tym samym momencie, kiedy Carol spojrzała na niego.

— Naprawdę ich nie mam. — W jej głosie zabrzmiał niepokój.

David wyjął swój portfel, sprawdził go i z zaskoczoną miną wyciągnął bilety.

— Strasznie mi przykro. Miałem je przez cały czas. Przepraszam, Carol.

— Przez chwilę bałam się, że przez te zmartwienia z matką pomieszało mi się w głowie — odparła z westchnieniem ulgi.

Wracając do swojego gabinetu, David musiał zajrzeć do toalety. Zamknął się w kabinie, gwałtownie zwymiotował i kucając przy misce klozetowej, przez dłuższą chwilę ciężko oddychał. Torsje pomogły mu się pozbyć napięcia, ale w niczym nie złagodziły dręczącego go wstydu.



Niebawem zaczął przychodzić w weekendy do pracy i fotografować tajne dokumenty. Przynajmniej raz w miesiącu spotykał się w Soho z Jacksonem, Geoffem — okazało się, że jego przyjaciel faktycznie był agentem ruchu oporu w Ministerstwie Kolonii — oraz Boardmanem, wysokim facetem z Ministerstwa do spraw Indii, który, podobnie jak Jackson, skończył szkołę w Eton. Ciche dyskusje w obskurnej kawalerce w Soho trwały czasem godzinami, podczas gdy w sąsiednim lokalu uprawiała swój zawód prostytutka, również wspierająca ruch oporu. Co jakiś czas słyszeli przez ścianę jęki i łomoty.

David dowiadywał się coraz więcej o fatalnej sytuacji, w jakiej znalazła się faszystowska Europa. Kryzys oraz konieczność pokrywania gigantycznych, nieustających kosztów niemieckiej wojny w Rosji niszczyły gospodarczo kraje kontynentu, a przymusowy pobór do pracy w Niemczech powodował, że młodzi ludzie we Francji, Włoszech i w Hiszpanii dosłownie wiali gdzie pieprz rośnie.

Na drugim końcu świata Japonia toczyła śmiertelny bój z Chinami w podobny sposób jak Niemcy z Rosją. Jej strategia wobec Chińczyków była taka sama jak strategia Niemiec wobec Rosjan i opierała się na trzech zasadach wojny totalnej: zabić wszystkich, spalić, co się da, zrównać wszystko z ziemią. Całkiem niedawno Jackson — który, jak dowiedział się David, pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych — poinformował ich, że pogłoski o zawirowaniach politycznych w Niemczech są prawdziwe. Powodem, dla którego Hitler nie pokazywał się publicznie, była choroba Parkinsona, uniemożliwiająca mu niemal podejmowanie decyzji. Führerowi wydawało się, że widzi szczerzących do niego zęby pejsatych Żydów z trupimi czaszkami zamiast głów; halucynacje były symptomem ostatniego, najpoważniejszego stadium choroby. Po śmierci Göringa, który zmarł rok wcześniej na udar, nominowanym przez Hitlera następcą był Goebbels, miał on jednak wielu wrogów. Armia, partia nazistowska i SS wzajemnie się szachowały i knuły intrygi.

David dowiedział się również więcej o samym ruchu oporu: o sojuszu socjalistów i liberałów z konserwatystami starej daty w rodzaju Jacksona i Geoffa, ludźmi, którzy nienawidzili faszystowskiego autorytaryzmu i uświadomili sobie ze smutkiem, że misja imperium dobiegła końca. Ich szeregi stale rosły i żeby zdestabilizować państwo policyjne, musieli odwoływać się do przemocy.

Natalia zawsze uczestniczyła w tych spotkaniach, uważnie słuchała i kopciła jak lokomotywa. David nie miał pojęcia, jakie ma poglądy polityczne, wiedział tylko, że jest uchodźczynią ze Słowacji, odległego zakątka wschodniej Europy, o którym niewiele wiedział. Rzadko się odzywała, ale kiedy już zabierała głos, trafiała w samo sedno. Z czasem zauważył, że spogląda na niego w podobny sposób jak Carol i jak kiedyś Sarah. Nie reagował, ale poruszało go to, jak bardzo oddana jest sprawie, a jednocześnie wykorzeniona.



Zgasił papierosa. W tę niedzielę miał sfotografować kilka dokumentów przygotowywanych na następne spotkanie wysokich komisarzy, dotyczących pomocy wojskowej, której Związek Południowej Afryki mógł udzielić Kenii. A także tajne memorandum, o którym słyszał, ale dotąd go nie widział, na temat kanadyjskich dostaw uranu do Stanów Zjednoczonych. Amerykanie potrzebowali uranu do swojego programu nuklearnego. Wiadomo było, że Niemcy również pracują nad bronią jądrową, ale bez większych sukcesów. Przede wszystkim brakowało im uranu; wydobywali go w byłym Kongu Belgijskim, ale stracili

duży transport, który Belgowie wysłali do Stanów Zjednoczonych, zanim jeszcze w 1940 roku kolonia została zaanektowana przez Niemcy na mocy traktatu pokojowego z Belgią. Musiał również poszukać jakichś dokumentów na temat zapowiedzi Nowej Zelandii, że opuści imperium. To sprawiło, że pomyślał o ojcu, który był tam szczęśliwy, i poprosił Davida i Sarah, by do niego dołączyli. Schował z westchnieniem aparat do kieszeni, wziął pękata teczkę z materiałami na spotkanie wysokich komisarzy i wyszedł z gabinetu.

Idąc korytarzem, starał się jak najmniej hałasować. Mógłby skopiować dokumenty dla wysokich komisarzy w swoim gabinecie, lecz papiery lepiej fotografowało się w sztucznym świetle, a w pokoju, w którym przechowywano tajne akta, była lampa z wysięgnikiem. W archiwum podniósł klapę w kontuarze i stanął przy biurku Carol. Z popielniczki wysypywały się niedopałki. Podszedł do przeszklonych matowym szkłem drzwi tajnej kancelarii i otworzył je swoim dorobionym kluczem.

Pomieszczenie było całkiem nieduże, pośrodku stał stół, przy ścianach półki z aktami. Znał już teraz całkiem dobrze system ich katalogowania. Na stole stała lampa z wysięgnikiem i mocną żarówką.

David położył na stole akta wysokich komisarzy i zaczął zdejmować z półek żółte koperty oznaczone czerwonym ukośnym krzyżem. Godzinę zabrało mu znalezienie dokumentów, których potrzebował, szybka ocena ich znaczenia, a potem wyciągnięcie ich i ułożenie na stole razem z papierami dla wysokich komisarzy. Pracował efektywnie, spokojnie i bardzo cicho, bez przerwy nasłuchując odgłosów z zewnątrz. Następnie włączył lampę i uważnie sfotografował jeden po drugim wszystkie dokumenty. Kiedy skończył, zgasił lampę, schował aparat do kieszeni marynarki i zaczął wkładać z powrotem tajne papiery do leżących na stole teczek.

Na stole zostało ich jeszcze całkiem sporo, kiedy nagle usłyszał, jak ktoś wymienia głośno za drzwiami jego nazwisko. Trzymając w ręku jeden z tajnych dokumentów, zastygł w bezruchu.

— Fitzgeralda nie ma w jego gabinecie. — David poznał głęboki głos szefa, Archiego Hubbolda. — Zszedłem do archiwum. Jak pan wie, telefon w moim gabinecie nie działa. Informowałem o tym. — Hubbold rozmawiał z aparatu telefonicznego w archiwum z portierem, zwracając się do niego, jak zawsze gdy miał do czynienia z niższym personelem, niczym do mało rozgarniętego dziecka. — Na pewno widział pan, jak wchodził? — David usłyszał kilka chrząknięć. — W porządku. Do widzenia — zakończył rozmowę Hubbold. Przez parę sekund trwała złowroga cisza, a potem David usłyszał oddalające się kroki szefa.

Przy stole stało krzesło. David osunął się na nie, starając się uspokoić nerwy. Hubbold przychodził czasami do pracy w weekendy. Portier powiedział mu

najwyraźniej, że David jest w ministerstwie. Szef zajrzał do niego do gabinetu, a potem zszedł na dół do archiwum, żeby zatelefonować.

David musiał szybko wrócić do siebie; nie zastawszy go w gabinecie, Hubbold zostawił mu prawdopodobnie wiadomość. Wyjaśni, że był w toalecie; jego szef był zbyt taktowny, by kogokolwiek tam szukać. Uwijając się jak w ukropie, włożył pozostałe papiery do teczek. Zawsze sprawdzał dwa razy, czy wszystko jest w porządku, ale tym razem nie było na to czasu. Wsadził z powrotem papiery do teczki z materiałami na spotkanie wysokich komisarzy, po czym wziął głęboki oddech, otworzył kluczem drzwi, wyszedł i zamknął je za sobą.

Po powrocie do swojego gabinetu przekonał się, że Hubbold faktycznie zostawił mu wiadomość. *Podobno jesteś w biurze. Czy mógłbym obejrzeć jeszcze raz teczkę WK. AH.* David wsadził ponownie teczkę pod pachę i pobiegł piętro wyżej do gabinetu Hubbolda.



Archie Hubbold był niskim krępy męczyzną z przeredzonymi siwymi włosami. Jego oczy schowane za grubymi soczewkami okularów wydawały się większe niż w rzeczywistości i trudno było odczytać ich wyraz. On i David przeszli do wydziału politycznego w tym samym czasie, przed trzema laty. Dla Davida było to przesunięcie na równoległe stanowisko, choć od dawna należał mu się awans. Wiedział jednak, że choć ma opinię solidnego i skrupulatnego, zdaniem zwierzchników brakuje mu ambicji. Za to Hubbold z radością przyjął powołanie na stanowisko podsekretarza stanu. Był prózny, pompatyczny i wymagający, ale również spostrzegawczy i uważny. Przy omawianiu problemów politycznych, podobnie jak wielu innych pracowników służby cywilnej, lubił paradoksy i konfrontowanie z sobą różnych poglądów.

David zapukał do drzwi jego gabinetu.

— Wejść! — odezwał się głęboki głos. David przywołał uśmiech na usta i wszedł do środka.

Hubbold wskazał swojemu podwładnemu krzesło.

— Zatem ty też pracujesz w nadgodzinach.

— Owszem, panie podsekretarzu. Chciałem po prostu sprawdzić, czy wszystko znalazło się w porządku dnia. Dostałem pańską wiadomość. Przepraszam, byłem w toalecie. — David poklepał trzymaną pod pachą teczkę. — Chciał pan to obejrzeć?

Hubbold wielkodusznie się uśmiechnął.

— Skoro sam to sprawdziłeś, na pewno wszystko jest w porządku.

Wyciągnął z kieszeni małe srebrne pudełeczko i wysypał z niego na wierzch dłoni trochę brązowego proszku. Wielu wyższych urzędników lubiło się popisywać jakimś dziwactwem. Hubbard zażywał tabaki niczym jakiś osiemnastowieczny dżentelmen. Wciągnął ją szybko w nozdrza, po czym z umiarkowaną rozkoszą westchnął i spojrzał na Davida.

— Nie możesz pozwolić, żeby praca w weekendy weszła ci w krew, Fitzgerald. Co pomyśli sobie o nas twoja żona, jeśli będziesz bez przerwy tyrał jak wół?

— Od czasu do czasu wcale jej to nie przeszkadza — odparł David.

Hubbold miał okazję zamienić kilka słów z Sarah na biurowych przyjęciach. Brał w nich udział z własną żoną, arogancką, mało taktowną kobietą, która ku oczywistej irytacji męża nie dopuszczała nikogo do głosu.

— Spędzanie razem czasu to *fundamentum* dobrego małżeństwa, chyba o tym wiesz. — Hubbard jak wielu jego kolegów lubił szpikować swoje wypowiedzi łacińskimi słówkami.

— Tak jest, panie sekretarzu — odparł David. W jego głosie zabrzmiał niezamierzony chłód.

— Poproszono nas o zorganizowanie pewnego spotkania — dodał trochę bardziej oficjalnym tonem Hubbard. — To delikatna sprawa. Kilku oficjeli SS z ambasady pragnie się spotkać ze swoimi odpowiednikami z South Africa House. Chcieliby się zorientować, czy nie dałoby się zastosować pewnych regulacji apartheidu w odniesieniu do ludności rosyjskiej. Mógłbyś się tym jutro zająć? To zwykła bilateralna współpraca, na razie na dość niskim szczeblu. I nikomu o tym nie mów, dobrze?

Davidowi zdawało się, że dostrzegł na twarzy Hubbolda cień niesmaku, gdy padła nazwa SS. Nie wiedział jednak, jakie poglądy ma jego zwierzchnik, jeśli w ogóle miał jakiegokolwiek; wszyscy politycznie niepewni już dawno temu zostali usunięci ze służby cywilnej razem z Żydami. Wyżsi urzędnicy zawsze dyskutowali o sprawach politycznych w oderwany, abstrakcyjny sposób, ale ostatnio unikali deklarowania się po jakiegokolwiek stronie, chyba że rozmawiali w gronie zaufanych przyjaciół.

— Jutro porozmawiam z Afrykanerami — powiedział David i pożegnał się. Kiedy szedł korytarzem, lekko drżały mu ręce.



Wrócił do domu tuż przed szóstą. Sarah siedziała, szydełkując przy kominku. David wręczył jej duży bukiet astrów, które kupił na straganie w drodze do domu.

— Na przeprosiny — powiedział. — Za zeszłą niedzielę. Zachowałem się jak świnia.

Sarah wstała i pocałowała go.

— Dziękuję. Jak się grało w tenisa?

— Nieźle. Zostawiłem tam strój do prania.

— Co słychać u Geoffa?

— W porządku.

— Wyglądasz na zmęczonego.

— Dużo biegałem. Film był dobry?

— Bardzo dobry.

— Zrobiło się mgliście. Jak się miewa Irene? — zapytał po chwili.

— Dobrze. — Sarah uśmiechnęła się. — Widziałyśmy kilku bikiniarzy na Piccadilly i to ją zezłościło.

— Wyobrażam sobie. — Oboje rozmawiamy z sobą teraz tak oficjalnie, pomyślał. — Może położylibyśmy nową tapetę przy schodach? — zapytał pod wpływem nagłego impulsu.

Sarah wyraźnie się odprężyła.

— Och, Davidzie, bardzo bym tego chciała.

— Wydawało mi się wcześniej — dodał po chwili — że jeśli to zrobimy, to tak jakbyśmy o nim zapomnieli.

Sarah podeszła i uścisnęła go.

— Nigdy go nie zapomnimy — powiedziała. — Wiesz o tym. Nigdy.

— Może z czasem o wszystkim się zapomina.

— Nie. Nawet jeśli będziemy mieli następne dziecko, nigdy nie zapomnimy Charliego.

— Żałuję, że nie wierzę w Boga. Nie wierzę, że Charlie przebywa gdzieś w zaświatach.

— Ja też tego żałuję.

— Ale mamy tylko jedno życie, prawda?

— Tak — odparła i dzielnie się uśmiechnęła. — Tylko jedno. I musimy je przeżyć najlepiej, jak umiemy.

Rozdział piąty

Frank siedział przy oknie, patrząc na puste grządki i zalane wodą trawniki, które otaczały szpital psychiatryczny. Od samego rana padał ulewny, nieprzerwany deszcz. Lek, który mu podawali, largactil, sprawiał, że prawie przez cały czas czuł się spokojny i senny. Wcześniej, na izbie przyjęć, dostawał całkiem potężną dawkę, ale kiedy jego stan się ustabilizował i przeniesiono go na główny oddział, dawkę zredukowano i okresy otępienia i spokoju przerywały teraz czasami nagłe przebłyski pamięci. Przypominał sobie wówczas szkołę, panią Baker, duchową przewodniczkę matki, i to, jak został okaleczony. Podejrzewał, że przyzwyczaił się do leku i to osłabiło jego działanie, ale nie chciał przyjmować większej dawki, bo musiał mieć jasny umysł, musiał strzec swojego sekretu.

W ten poniedziałkowy rano schronił się w małej salce przy oddziale, w cichym pokoju, jak go nazywano, częściowo dlatego, że bał się innych pacjentów, a częściowo, by uciec przed smrodem papierosów. Nigdy w życiu nie palił. W szkole nigdy nie ośmielił się dołączyć do chłopców palących w kotłowni; podobnie jak wiele innych rzeczy, to też go ominęło. Pacjenci stale prosili personel o papierosa lub choćby niedopałek. Sufity były brązowe od dymu. Frank siedział w fotelu, który tak jak wszystkie szpitalne meble był wielki, stary i ciężki. W prawej ręce jak zwykle podczas deszczu czuł rwanie. Ból przeszywał dwa zdeformowane i zakrzywione jak szpony palce.

Kiedy przed trzema tygodniami trafił do szpitala, zdziwiło go, że nie ma tu w oknach krat. Ale gdy wiozący go samochód policyjny przejechał przez bramę, po wewnętrznej stronie wysokiego muru zobaczył żywopłot i szeroki rów z wodą. Jeden z pacjentów na izbie przyjęć, niemłody facet z pobrużdżoną zmarszczkami bladą twarzą i potarganymi włosami, zwierzył mu się z planów ucieczki: miał zamiar przepłynąć przez rów i przeskoczyć mur. Przepisy mówiły, że jeśli człowiek uciekł z wariatkowa i nie złapano go w ciągu czternastu dni, był wolny. Frank przyjrzał się mężczyźnie w szarym szpitalnym uniformie, który wydawał się jeszcze bardziej bezkształtny niż jego własny. Nawet gdyby ucieczka była możliwa, w co wątpił, nie miał teraz dokąd pójść. Po tym, co

zdarzyło się w jego mieszkaniu, sąsiedzi wezwaliby policję, gdyby tylko się tam pokazał.

Tak samo było w szkole, nie miał dokąd uciec. Brama była zawsze otwarta, ale wiedział, że jeśli kiedykolwiek uda mu się przejść posępne szkockie wzgórza i dostać jakoś do domu w Esher, matka odeśle go z powrotem. Szpital psychiatryczny — z żelaznymi łózkami w wielkiej sypialni i noszącymi uniformy pensjonariuszami, którzy go na ogół ignorowali — przypominał mu stale okropności szkoły. To był wyłącznie męski świat; jak we wszystkich tego rodzaju instytucjach, istniało osobne skrzydło dla kobiet i osobne dla mężczyzn, przedstawiciele obu płci byli od siebie odizolowani. Ze spojrzeń, które mu czasem posyłano, Frank domyślał się, że pacjenci wiedzą, co zrobił, być może nawet się go boją. Personel również przypominał mu nauczycieli, wojskowym drylem i tym, jak brutalnie traktował pacjentów, kiedy wyłaniały się jakieś trudności. Frank od lat starał się nie myśleć o szkole, lecz teraz wszystko mu ją przypominało; ogólnie jednak w szkole było mu chyba gorzej niż tutaj.



Po południu miał wyznaczoną wizytę u dyrektora, doktora Wilsona, w jego gabinecie w budynku przyjęć. Nie chciał tam iść, chciał zostać w cichym pokoju. Czasami przychodzili tu inni pacjenci, ale tego dnia był sam. Miał nadzieję, że o nim zapomną — czasami to się zdarzało — ale po godzinie drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł młody mężczyzna w czapce z daszkiem i brązowym uniformie starszego pielęgniarza. Frank nigdy wcześniej go nie widział. Niski i krępy, miał pociągłą twarz, wystający nos ze śladami złamania i czujne brązowe oczy. W ręku trzymał duży zwinięty parasol. Skinął mu głową i przyjaźnie się uśmiechnął. Zdziwiło to Franka; pielęgniarze traktowali na ogół pacjentów jak krnąbrne dzieci.

— Frank Muncaster? — zapytał z wyraźnym szkockim akcentem. — Jak się czujemy?

Frank wyszczerzył zęby i jego twarz wykrzywiła się w nagłym grymasie. Szkocki akcent wyprowadzał go z równowagi, bo przypominał mu szkołę. Ale w wymowie pielęgniarza nie słychać było typowych dla edynburskiej klasy średniej długich samogłosek i miękkiego „r”, które dominowały w szkole w Strangmans; mówił szybko, łącząc z sobą słowa, i w bardziej gardłowy sposób. W uszach Franka nie brzmiało to tak złowieszczo.

Pielęgniarz otworzył trochę szerzej oczy; robili to wszyscy, którym dane było zobaczyć po raz pierwszy szympansi grymas na twarzy Franka.

— Mam na imię Ben. Przyszedłem cię zabrać do doktora Wilsona — oświadczył. — Powiedzieli mi w świetlicy, że tu będziesz.

Frank niechętnie wyszedł z Benem z pokoju i minął świetlicę, w której kilku pacjentów oglądało telewizję. Nadawano akurat program dla dzieci, na ekranie tańczyła pociągana za sznurki kukiełka w pasiastym uniformie.

Ich kroki odbijały się echem od ścian korytarza. Kiedy minęli główne drzwi i wyszli na dwór, Ben otworzył parasol i dał Frankowi znak, żeby się do niego przysunął. Rozchlapując wodę, ruszyli alejką między trawnikami.

— Rozumiem, że poznałeś już doktora Wilsona na izbie przyjęć — rzucił luźnym tonem Ben.

— Tak, widziałem go także w zeszłym tygodniu. Powiedział, że chce mnie poddać jakiejś terapii.

Frank spojrzał z ukosa na Bena; od przyjęcia do szpitala prawie do nikogo się nie odzywał, ale ten facet wydawał mu się sympatyczny.

— Jakiej dokładnie terapii?

Frank wzruszył ramionami.

— Nie wiem — odparł.

— Doktor Wilson lubi nowe metody leczenia. Przypuszczam, że niektóre jego pomysły nie są złe... na przykład ten nowy lek, largactil, jest lepszy od starego fenobarbitalu czy paraldehydu... Jezu, jak to świństwo śmierdziało.

— Powiedziałem mu, że chcę się wypisać i wrócić do pracy, ale odparł, że nie jestem na to w żadnym wypadku gotowy. Chciał porozmawiać ze mną o moich rodzicach. Nie mam pojęcia dlaczego.

— Zgadza się, często to robi — mruknął Ben, na poły z rozbawieniem, na poły z pogardą.

— Zapytałem, jaki to ma sens. Mój ojciec zmarł, zanim się urodziłem, a matka też już nie żyje. Był na mnie chyba zły.

— Zanim tu trafiłeś, byłeś naukowcem, prawda?

— Tak. — W głosie Franka zabrzmiał ślad dumy. — Jestem asystentem na Uniwersytecie Birmingham. Na wydziale geologii.

— Można by pomyśleć, że stać cię na pobyt w prywatnym skrzydle. Miałbyś wtedy własny pokój.

Frank pokręcił ze smutkiem głową.

— Kiedy mnie tu przyjęli, odebrano mi prawo dysponowania własnymi pieniędzmi. I nie mam nikogo, kto mógłby zostać moim powiernikiem.

Ben pokiwał ze współczuciem głową.

— Powinien to załatwić opiekun chorych. Zapytaj o to doktora Wilsona.

Podeszli do bloku przyjęć, kwadratowego, dwupiętrowego budynku wzniesionego, podobnie jak wszystkie inne, z czerwonej cegły. W progu Ben

strząsnął wodę z parasola. Frank obejrzał się i zmierzył wzrokiem główny budynek szpitala. Stał na niewielkim wzniesieniu, w pogodne dni widać było z niego unoszącą się nad Birminghamem mgiełkę. Z zewnątrz szpital z wieloma oknami od frontu i eleganckim ogrodem przypominał wiejską rezydencję, ale w środku wyglądało to zupełnie inaczej: tysiąc pacjentów upchnięto w olbrzymich salach ze sfatygowanymi meblami i ścianami, z których obłaziła farba. Z bloku przyjęć wyszły dwie pielęgniarki z oddziału kobiecego, w czepkach i wykrochmalonych fartuchach.

— Dzień dobry, panie Hall — powiedziała wesoło jedna z nich do Bena. — Paskudny dzień.

— Święta racja.

Pielęgniarki otworzyły parasolki i ruszyły szybko aleją do zamkniętej bramy. Frank powiódł za nimi wzrokiem. Ben dotknął jego ramienia.

— No, chłopie, obudź się — powiedział łagodnie.

— Chciałbym się stąd wydostać.

— Nie po tym, co zrobiłeś, Frank — odparł poważnym tonem Ben. — Chodź, zaprowadzę cię do doktora.



Umysł Franka bał się wracać do tego, co go tutaj przywiodło. Ale czasami, kiedy przestawał działać largactil, zaczynał się nad tym zastanawiać.

Wszystko zaczęło się przed miesiącem, od śmierci matki. Była zgarbioną, kłótniwą, ponadsiedemdziesięcioletnią staruszką, mieszkała samotnie w domu w Esher. Frank odwiedzał ją parę razy w roku z poczucia obowiązku. Jego starszy brat Edgar widywał się z nią tylko wtedy, kiedy nader rzadko przyjeżdżał z Kalifornii. Gdy odwiedzał ją Frank, pani Muncaster powtarzała mu, tak jak to robiła przez całe życie, jak bardzo różni się od brata. Edgar był żonaty i dzieciaty, pracował jako fizyk na wspaniałym amerykańskim uniwersytecie, a Frank od dziesięciu lat wykonywał tę samą nudną robotę. Twierdziła, że tylko listy od Edgara trzymają ją przy życiu. Frank nie sądził, by ostatnio widywała się z kimkolwiek poza nim. Jej przygoda ze spirytyzmem dobiegła końca pięć lat wcześniej, kiedy zmarła jej duchowa przewodniczka, pani Baker, i skończyły się cotygodniowe seanse w jadalni.

Policja zadzwoniła do Franka do pracy, żeby zakomunikować mu, że matka dostała udaru w trakcie robienia zakupów i dwie godziny później zmarła w szpitalu. Frank wysłał telegram do Edgara, który ku jego zaskoczeniu od razu odpowiedział, informując, że przyjedzie na pogrzeb. To wcale nie ucieszyło

Franka, który nie znosił brata. Mimo to i mimo że nie lubił podróżować pociągiem, pojechał jednak z Birminghamu do Esher, żeby spotkać się z Edgarem w domu, w którym dorastali. W pociągu zastanawiał się, jak wygląda teraz jego starszy brat. Był obecnie obywatelem amerykańskim. W listach, które pokazywała mu matka, pisał zawsze o tym, jak ciężko pracuje w Berkeley, jak bardzo lubi San Francisco i jakie ma wspaniałe stosunki z żoną i trójką dzieci.

Odwiedziwszy matkę na Wielkanoc, przekonał się jednak, że Edgar po raz pierwszy w życiu ją zawiódł. Napisał do niej, że bierze rozwód z żoną. Pani Muncaster była zszokowana; kręcąc młynka sękatymi dłońmi, powtarzała Frankowi, że żona Edgara wcale jej się nie spodobała, kiedy przyjechał z nią ten jeden raz do Anglii; była arogancka i przemądrzała — typowa Amerykanka. W końcu się popłakała, narzekając, że nigdy już nie zobaczy swoich wnuków, i dodając z goryczą, że raczej nie doczeka się ich od Franka. Zastanawiał się, czy nie dostała udaru ze zmartwienia.

Podróż zatłoczonym pociągiem wytrąciła go z równowagi; z zadowoleniem wysiadł na stacji w Esher i ruszył w stronę domu. Było zimne, mgliste popołudnie. Kiedy przejechał koło niego chłopak na jednym z tych nowych skuterów marki Vespa, aż podskoczył z wrażenia. Po wejściu do pustego domu zdał sobie sprawę z panującej w nim ciszy. Pani Baker powiedziałaaby, że zabrakło w nim ducha. Przeszedł go dreszcz. Wszędzie leżał kurz, z pokrytych mokrymi plamami ścian schodziły tapety. Wcześniej nie zauważył, jak bardzo matka zapuściła dom.

Edgar przyjechał kilka godzin później. Przybrał na wadze, odkąd go ostatnio widział. Skończył już czterdzieści lat, nosił okulary, miał czerwoną nalaną twarz i przerzedzone włosy. Po jego młodzieńczej urodzie, której Frank tak mu zazdrościł, zostało tylko wspomnienie.

— No cóż, Frank — mruknął. — Już jej nie ma. — Kiedyś w Strangmans zaciągał po szkocku, teraz z kolei nabrał amerykańskiego akcentu.

Frank przeszedł się z nim po domu.

— Jest w złym stanie — powiedział Edgar. — Niektóre pokoje wyglądają, jakby od lat nikt do nich nie zaglądał. — Weszli do jadalni. Na podłodze leżały mysie bobki. — Niech to szlag! — zaklął Edgar. — Nie wiem, jak mogła mieszkać w takich warunkach. Nie próbowałeś jej namówić do przeprowadzki?

Frank milczał. Patrzył na duży stół. Wisząca nad nim lampa wciąż osłonięta była płóciennym szalem: pani Baker potrzebowała przyćmionego światła, by komunikować się ze światem duchów.

Edgar wydał w zamyśleniu wargi.

— Jakie są dzisiaj w Anglii ceny nieruchomości? — zapytał.

— Spadają. Sytuacja gospodarcza nie jest dobra.

— Najlepsze, co możemy zrobić, to jak najszybciej opchnąć ten dom. Sprzedać go jakiemuś deweloperowi.

Frank dotknął palcami stołu.

— Pamiętasz te seanse?

— Cholerne bzdury. — Edgar roześmiał się drwiąco. — Wszystkie one miały nierówno pod sufitem. Mama też. Wierzyła, że tato przychodzi do niej co tydzień, żeby mogła go przepędzić za to, że poszedł na wojnę w tysiąc dziewięćset czternastym i ją zostawił.

— Chyba nigdy mu nie wybaczyła, że poszedł na front.

Edgar popatrzył na brata, nad czymś się zastanawiając.

— Może właśnie dlatego nigdy cię za bardzo nie lubiła. Bo byłeś do niego taki podobny.



Wieczorem Edgar zaproponował, żeby zjedli coś na mieście. Poszli do restauracji kilka ulic dalej. Lokal był taki sobie. Zjedli gulasz wołowy z brukselką i ziemniakami pływającymi w wodnistym sosie. Edgar zamówił piwo. Frank jak zwykle prawie nie pił, ale zauważył, że Edgar nie wylewa za kołnierz. Wypijał jedno piwo za drugim.

— Jedzenie w tym kraju nadal jest okropne — stwierdził. — W Kalifornii możesz dostać co tylko dusza zapragnie, dobrze przyrządzone i w dużej ilości. Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, ten kraj coraz bardziej schodzi na psy.

— Byłeś w lecie na igrzyskach olimpijskich w San Francisco?

— Nie. Trudno było wtedy poruszać się po mieście, mówię ci. Następną olimpiada będzie w Rzymie, prawda? Stary Mussolini na pewno da dupy, makaroniarze nie potrafią nic zorganizować. Swoją drogą, wciąż widzę tutaj litery „R” i „V” wymalowane na murach. Co to znaczy?

— To znaki ruchu oporu. „R” jak Resistance, „V” jak churchillowska Victory.

— Ja mu dam „V” — roześmiał się Edgar. — Jak się miewa Beaverbrook? Nadal liże dupę Niemcom?

— Tak, nadal — odparł Frank.

— Chwała Bogu, że Wielka Brytania przegrała wojnę, Roosevelt nie wygrał w wyborach, a Taft dogadał się z Japończykami. Chociaż jeśli ten nawiedzony lewak Adlai Stevenson wygra w listopadzie wybory, może zacząć znowu wtykać nos w sprawę Europy.

— Tak uważasz? — zapytał Frank, trochę się ozywając.

Edgar zmierzył go ostrym spojrzeniem.

— Słyszałem, że ludzie z ruchu oporu nieźle tu mieszają. Kradną broń z posterunków policji, zbroją strajkujących, podkładają bomby, a nawet zabijają ludzi.

— Więc może Stevenson powinien się wtrącić, spróbować to naprawić — rzucił prowokacyjnie Frank.

— Ameryka powinna się zająć swoimi sprawami. Nikt nie będzie z nami zadzierał — powiedział z zadowoloną miną Edgar. — Zwłaszcza odkąd mamy bombę atomową.

Cztery lata wcześniej, w 1948 roku, Amerykanie ogłosili, że zdetonowali bombę atomową i pokazali nawet film przedstawiający eksplozję na pustyni w Nowym Meksyku. Niemcy stwierdzili, że to mistyfikacja.

— Nigdy nie miałem pewności, czy te relacje są prawdziwe — mruknął Frank. — Wiem, że bomba atomowa jest teoretycznie możliwa, jednak ilość potrzebnego do tego uranu jest kolosalna. Słyszałem, że Niemcy też próbują ją zbudować, ale do niczego nie doszli. Gdyby im się udało, już byśmy o tym wiedzieli. — Frank popatrzył na brata. — Co o tym sądzisz? — zapytał jak naukowiec naukowca.

Edgar ponownie zmierzył go twardym spojrzeniem.

— Mamy bombę atomową. A także inne rodzaje broni, nowe bomby zapalające i broń chemiczną. Za parę lat będziemy mieli pociski międzykontynentalne. Niemcy prawdopodobnie też, ale my będziemy mieli na nich głowice atomowe.

— Co nas wtedy wszystkich czeka? — zapytał ze smutkiem Frank.

— Nie wiem jak ty, ale my będziemy bezpieczni.

— A Wielka Brytania związana sojuszem z Niemcami — odparł Frank i pokręcił głową. Nienawidził nazistów i Czarnych Koszul, wszystkich tych agresywnych drani. Żałował, że Wielka Brytania skapitulowała w 1940 roku.

Edgar nie lubił, kiedy młodszy brat mu odszczekiwał. Nachmurzył się i pociągnął kolejny łyk piwa.

— Masz już jakąś dziewczynę? — zapytał.

— Nie.

— Nigdy żadnej nie miałeś, prawda?

Frank nie odpowiedział.

— Kobiety to cholerne zdziury — oznajmił nagle Edgar tak głośno, że ludzie przy sąsiednich stolikach obejrżeli się na nich. — Miałem romansik z moją sekretarką. I co z tego? A teraz Ella zabiera mi pół pensji na alimenty.

— Przykro mi.

— Przydałaby mi się moja część pieniędzy za dom mamy.

— Proszę bardzo. Jeśli chcesz, możemy go sprzedać — odparł Frank.

A więc to dlatego Edgar przyjechał na pogrzeb: chciał swojej części spadku. Na twarzy brata odbiła się ulga.

— Czy dokumenty notarialne są w domu? — zapytał.

— Tak. W szufladzie. Razem z książeczkami bankowymi mamy.

— Jeśli nie masz nic przeciwko, wziąłbym je. Żeby... jak to się mówi... urzędowo je zatwierdzić.

— Proszę bardzo.

— Nadal pracujesz jako laborant na Uniwersytecie Birmingham? — zapytał Edgar.

— Nie jestem laborantem. Jestem badaczem.

— I co takiego badasz? — zapytał wojowniczym tonem Edgar.

Frank zdał sobie sprawę, że brat ma już nieźle w czubie. Pamiętał wykładowcę z Birminghamu, który rozpił się po rozwodzie; posłano go szybko na wcześniejszą emeryturę.

— Strukturę meteorytów — odparł. — Jak łączą się z sobą ich elementy.

— Meteoryty! — roześmiał się Edgar.

— A ty nad czym pracujesz?

Edgar postukał się śmiesznym pijackim gestem po nosie i przekrzywił okulary.

— To praca na potrzeby rządu — odparł półgłosem. — Nie mogę ci powiedzieć. Nie byli wcale zadowoleni, że przyjeżdżam tu na pogrzeb. Muszę się codziennie meldować w ambasadzie. — Edgar wziął do ręki jadłospis. — Co tu mają na deser? Jezu, szkocki pudding.



Pogrzeb pani Muncaster odbył się kilka dni później. Frank zamówił go u miejscowego pastora, nie mówiąc nic o religijnych poglądach matki. Poza Frankiem i Edgarem przyszły tylko dwie panie z czasów seansów spirytystycznych; Frank znalazł ich dane w książce adresowej matki. Były teraz stare, smutne i zwiędłe. Po nabożeństwie jedna z nich podeszła do braci i powiedziała, że ich matka jest już po drugiej stronie razem ze swoim mężem i przechadza się z nim po duchowych ogrodach. Frank grzecznie jej podziękował, ale Edgar spojrzał na nią z odrazą.

— Skoro mowa o spirytystach, chętnie bym się czegoś napił — powiedział, kiedy wyszli z cmentarza.

Poszli do pubu przy High Street. Edgar znowu dużo pił, ale tym razem nie był agresywny. Dla Franka nabożeństwo było zwykłym rytuałem, przedstawieniem, podobnie jak seanse spirytystyczne, ale na Edgarze najwyraźniej wywarło ono wrażenie.

— Strach pomyśleć, że matki już nie ma — mruknął. — Jezu, ale z niej była dziwaczka.

— To prawda. — Przynajmniej w tej jednej kwestii bracia mogli się zgodzić.

— Muszę szybko wracać do Ameryki. Potrzebują mnie w Berkeley. Ale mogę jeszcze zostać przez kilka dni. — Edgar spojrzął na brata. — Pomogłoby mi, gdybyśmy wystawili dom na sprzedaż.

Frank miał już serdecznie dosyć Edgara; liczył godziny do końca jego pobytu.

— Rób, co chcesz — powiedział. — Ja muszę wrócić dziś do Birminghamu.

— Mógłbyś zostać dzień albo dwa. Nie wiem, kiedy się znów spotkamy. Jezu, matki już nie ma — powtórzył Edgar. — Całe moje życie się zawaliło — dodał, użalając się nad sobą.

— Powiedziałem im, że jutro będę z powrotem w pracy — oświadczył Frank i wstał. — Przykro mi, Edgarze, ale naprawdę muszę już iść, jeśli mam wrócić na czas.

Edgar zrobił obrażoną minę i przez chwilę przyglądał się bratu przez swoje okulary. W końcu wyciągnął do niego wielką mięsistą dłoń. Frank uścisnął ją.

— To by było na tyle — powiedział ponuro Edgar. A potem spojrzął na zdeformowane palce Franka i zaświeciły mu się złośliwie oczy. — Jak sobie z tym teraz radzisz?

— Trochę mnie rwą przy złej pogodzie.

— To był dziwny wypadek, prawda?

Frank spojrzął mu prosto w oczy i zorientował się, że Edgar wie, co się naprawdę wydarzyło. Był już wtedy na studiach, ale kontaktował się z ludźmi ze Strangmans i ktoś musiał mu powiedzieć.

— Do widzenia, Edgarze — powiedział, po czym wstał i szybko wyszedł z pubu.



Wrócił do Birminghamu i do pracy. Październik był piękny, dni słoneczne i pogodne, żółte liście spadały łagodnie z gałęzi drzew.

Od dziesięciu lat mieszkał w dużej wiktoriańskiej willi podzielonej na wynajmowane mieszkania. Miał cztery pokoje na pierwszym piętrze. Budynek był zaniedbany, farba obłaziła z frontowych drzwi i okien, połowa futryn była spróchniała.

W niedzielę, dwa dni po pogrzebie matki, siedział, czytając *20 000 mil podmorskiej żeglugi*, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Poderwał się gwałtownie, zszedł na dół i otworzył frontowe drzwi. Stał za nimi Edgar, najwyraźniej po paru głębszych, chociaż była dopiero trzecia po południu. Frank wpatrywał się w niego osłupiały.

— Zaskoczył cię mój widok? — zapytał Edgar. — Nie zaprosisz mnie do środka?

— Oczywiście. Przepraszam.

Zaprowadził brata na górę. Serce łomotało mu w piersi. Po co tu przyjechał? Czego chciał? Weszli do mieszkania, które po wprowadzeniu się umeblował starociami.

— Jezu — mruknął Edgar. — Zupełnie jak u mamy. Nawiasem mówiąc, pokazałem dom agentowi i dałem notariuszowi dokumenty do zatwierdzenia.

— W porządku — odparł Frank.

— Pomyślałem, że przyjadę i ci o tym powiem. Powinieneś sobie załatwić telefon. W Stanach prawie wszyscy mają telefony.

— Nie potrzebuję.

Edgar spojrział na dwie oprawione w ramki, zakurzone fotografie.

— Widzę, że masz zdjęcie taty. Boże, wygląda zupełnie tak jak ty.

Frank spojrział na portret w sepii ubranego w mundur ojca, wpatrującego się niespokojnym wzrokiem w obiektyw aparatu. Zastanawiał się czasami, czy ojciec już wtedy nie widział przed sobą okopów, nie przewidywał, co go czeka.

— A to drugie zdjęcie? — zapytał Edgar.

— To ze studiów w Oksfordzie.

Po co on przyjechał, zastanawiał się w dalszym ciągu Frank. Czego ode mnie chce?

Edgar podszedł do regału i przyjrzał się zaczytanym powieściom science fiction.

— Hej, pamiętam niektóre z czasów, kiedy byłeś mały. Czytałeś je zawsze w wakacje. — Odwrócił się do Franka z pijackim uśmiechem. — Jutro wieczorem wylatuję do Stanów. Pomyślałem, że przyjadę i powiem ci o domu. Nie chciałem, żebyśmy się rozstali w gniewie.

— Aha.

— Może mógłbym u ciebie przenocować? Poszlibyśmy jutro obejrzeć twoje laboratorium.

— Przykro mi — wymamrotał Frank. — Nie mam warunków. Jest tu tylko jedno łóżko, rozumiesz.

Edgar wydawał się urażony. Na jego twarzy odbiły się gniew i konsternacja.

— Tak naprawdę nikt mnie tu nie odwiedza — dodał Frank.

Edgar zacisnął wargi.

— Na to wygląda. Mogę usiąść? — Zataczając się lekko, podszedł do fotela.
— O Boże, Frank, nie rób tej swojej małpiej miny.

Frank przypomniał sobie nagle coś, co zdarzyło się, kiedy miał dwanaście lat. On i Edgar przyjechali ze Strangmans do domu na letnie wakacje. Edgar miał wtedy szesnaście lat; był wysoki, jasnowłosy i arogancki. Matka, co niezwykle, zaproponowała, żeby wybrali się razem do zoo.

— Nie poświęcamy dość uwagi zwierzętom — oznajmiła. — Pani Baker twierdzi, że mają dusze tak samo jak my — dodała, mierząc ich smutnym i poważnym spojrzeniem.

Pojechali do Whipsnade i chodzili wokół wybiegów dla zwierząt.

— Zajrzyjmy tam — powiedział Edgar, kiedy mijali dom małp, i wszedł pierwszy do środka. Frank niechętnie ruszył za nim wraz z matką, która zapadła w jeden ze swoich snów na jawie.

Wewnątrz wyglądało to strasznie: po obu stronach długiego betonowego korytarza były zakratowane zagrody. W powietrzu unosił się ostry, nieprzyjemny zapach, na podłodze leżała słoma, którą małpy wyrzucały ze swoich klatek. Korytarzem szło parę osób, śmiejąc się z wygłupów małych małpek. Duży płowy orangutan łypał na nich ze swojej pogrążonej w półmroku zagrody. Edgar spojrział na Franka, a potem odwrócił się do matki.

— Popatrz na tego szympansa, mamo!

Szympanś był tylko jeden; gapił się na nich, siedząc samotnie w klatce na stercie brudnej słomy. Edgar pomachał do niego ręką i szympans odchylił się, szczerząc zęby w grymasie, który według Franka wyrażał lęk i przerażenie.

— Co za brzydactwo — rzuciła pani Muncaster.

Edgar roześmiał się.

— Czy te wyszczerzone zęby nie przypominają ci Franka? — zapytał.

Pani Muncaster zmierzyła smutnym wzrokiem młodszego syna.

— Tak, trochę.

— Przez ten jego uśmiech chłopcy w szkole przezywają go małpą. Małpa Muncaster.

— Wolalabym, żebyś tego nie robił, Frank — powiedziała pani Muncaster.

Frankowi zrobiło się tak gorąco, że o mało nie zemdlał. Edgar zerknął na niego drwiąco.

— Strasznie tutaj śmierdzi — zauważyła matka. — Muszę przyznać, że nie wyobrażam sobie tych stworzeń w duchowych ogrodach — dodała. — Chodźmy obejrzyć ptaki.

A teraz Edgar był w jego domu. Siedząc w nadgryzionym przez mole fotelu, rozejrzał się ponownie po pokoju.

— Myślałem, że dorobisz się czegoś lepszego — mruknął.

— Mnie to wystarcza.

Na twarzy Edgara znowu pojawiła się konsternacja.

— Nigdy nie rozumiałem, dlaczego na uniwersytecie wybrałaś nauki ścisłe. Chciałaś ze mną konkurować, pokazać, że dasz sobie radę?

— Nie — odparł drżącym z gniewu głosem Frank. — Wybrałem nauki ścisłe, bo je lubię. Jestem w nich dobry.

Edgar wydawał się rozczarowany. A potem uśmiechnął się drwiąco, dokładnie tak samo jak wtedy w zoo.

— Dobry w badaniu meteorytów?

— Tak.

Edgar poruszył się niespokojnie w fotelu.

— Masz coś do picia?

— Tylko herbatę i kawę. — Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. — Nie powinieneś już chyba pić. Masz dosyć — powiedział Frank.

Edgar poczerwieniał, zacisnął wargi i pochylił się do przodu.

— Chcesz wiedzieć, czym się zajmuję, na czym polega moja praca? — zapytał.

— Nie. Słuchaj, powinieneś już chyba iść. Nie mam tu nic do picia...

Edgar wstał, kołysząc się lekko na nogach, z groźnym wyrazem twarzy. Frank również wstał; nagle obleciał go strach. Brat podszedł do niego po zakurzonej dywanie.

— Powiem ci, nad czym, do cholery, pracuję! — rzucił mu prosto w twarz, zionąc alkoholem. Przedstawił mu, na czym polega jego praca, wyjaśnił to jak naukowiec naukowcowi. Wszystko stało się w straszliwy sposób logiczne. — Więc widzisz. Udało nam się to rozwiązać — zapał triumfalnie.

Frank zatoczył się do tyłu z przerażoną miną. Zrozumiał teraz, dlaczego zwierzchnicy Edgara nie chcieli, żeby przyjeżdżał na pogrzeb. Przez całe życie pragnął, by zostawiono go w spokoju, a teraz zdał sobie sprawę, że już go nie zazna, nie będzie bezpieczny aż do śmierci. Stworzono rzecz okropniejszą od wszystkiego, o czym można przeczytać w powieściach science fiction, i Edgar wytłumaczył mu, jak to było możliwe. Wpatrując się w niego, zrozumiał nagle, że brat — rozwiedziony, zrujnowany mężczyzna — chciał, żeby Frank przekonał się, jaki z niego waśniak.

— Nie powinienes mi tego mówić — szepnął z rozpaczą. — Dobry Boże. Czy powiedziałaś o tym komuś jeszcze? — Złapał się za włosy i zaczął krzyczeć. — Jezu, Niemcy nie mogą się dowiedzieć!

Edgar zastygł w bezruchu. Do jego odurzonego alkoholem umysłu zaczęło docierać znaczenie tego, co zrobił.

— Oczywiście, że nikomu nie mówiłem — zachnął się. — Uspokój się.

— Jesteś pijany. Byłeś pijany prawie przez cały czas, odkąd tu przyjechałeś. — Frank złapał brata za ramię. — Musisz wracać do domu, nie wolno ci o tym nikomu mówić. Jeśli ktoś dowie się o tym, co mi powiedziałaś...

— W porządku! — Edgar był coraz bardziej zaniepokojony. — Zapomnij, że to powiedziałem...

— Mam zapomnieć! — zawył Frank. — Jak... mogę... o tym... zapomnieć!

— Na litość boską, zamknij się, przestań wrzeszczeć! — Edgar spociał się i był teraz czerwony jak burak. Przez dłuższą chwilę przyglądał się bratu. — Nawet jeśli coś chlapiesz, nikt ci nie uwierzy — powiedział cicho, w równym stopniu do siebie co do Franka. — Pomyślą, że jesteś stuknięty, pewnie już teraz tak myślą. Popatrz tylko na siebie, ty szczerząca zęby mała kaleko...

I w tym momencie, po raz drugi w życiu, Frank stracił nad sobą panowanie. Wymachując rękoma, rzucił się na brata. Edgar był od niego o wiele większy, ale osłabił go alkohol. Próbując się bezskutecznie bronić, podniósł ręce i dał krok do tyłu. Frank okładał go pięściami i nagle Edgar potknął się i oparł o okno. Spróchniała futryna pękła, a Edgar, kręcąc rękoma młynka i dziko krzycząc, zniknął w kaskadzie szkła z pola widzenia.

Frank gapił się na wybite okno. Do pokoju wpadł podmuch październikowego wiatru. Z podwórka dobiegł go jęk. Dał krok do przodu i spojrzał w dół. Edgar leżał na plecach na kamiennych płytach, trzymając się za prawą rękę i wijąc z bólu. Wpadłem po same uszy, pomyślał Frank, policja przyjedzie i dowie się wszystkiego.

— To będzie koniec świata! — wrzasnął na całe gardło.

Gniew i przerażenie odebrały mu rozum. Odwrócił się, odsunął stojący za nim stół, wybiegł do kuchni, otworzył szafki i zaczął wyciągać z nich talerze i tłuc je na podłodze. Uroił sobie, że niszcząc wszystko, co go otacza, pozbędzie się w jakiś sposób z umysłu tego, co usłyszał od Edgara. Pozbędzie się tej wiedzy, a razem z nią całego gniewu, który go wypełniał. Kiedy przyjechała policja, nadal biegał po mieszkaniu, rozbijając meble i krwawiąc z kilku skaleczeń.



Doktor Wilson był niskim, tęgawym i łysym mężczyzną w białym fartuchu, włożonym na trzyczęściowy garnitur. Siedział za wielkim zagraconym biurkiem. Jego oczy za okularami w szylkretowych oprawkach były znużone, lecz czujne. Kiedy Frank wszedł do gabinetu, odłożył na bok dokument opatrzony państwową pieczęcią z tarczą, lwem i jednorożcem. Frank dostrzegł tytuł: *Sterylizacja jednostek niezdatnych. Dokument do konsultacji*. Wilson posłał mu zmęczony uśmiech.

— Jak się dziś czujesz, Frank?

— Dobrze.

— Co robiłeś?

— Siedziałem na oddziale. Padało i nie zabrali nas na przechadzkę po terenie.

— No tak — potwierdził z uśmiechem doktor Wilson. — Za parę tygodni organizujemy specjalną wycieczkę dla części pacjentów. Do katedry w Coventry. Dziekan zgodził się przyjąć jednocześnie dwunastu pacjentów, oczywiście pod nadzorem pielęgniarzy. Zastanawiałem się, czy nie chciałbyś pojechać. To piękny średniowieczny budynek. Chyba z piętnastego wieku. Chciałbym tam zabrać jakichś... wykształconych pacjentów. Jesteś może zainteresowany?

— Nie, dziękuję — odparł Frank, wykrzywiając twarz w małym grymasie. Kościoły go nie interesowały, nigdy w żadnym nie był — nie spodobałoby się to pani Baker — i wstydziłby się tam wchodzić w bezkształtnym szpitalnym ubraniu, w grupie umysłowo chorych.

Doktor Wilson przez chwilę zastanawiał się nad jego odpowiedzią.

— Pielęgniarz oddziałowy mówi, że unikasz innych pacjentów — odezwał się w końcu.

— Lubię po prostu siedzieć sam.

— Boisz się ich? — zapytał doktor Wilson.

— Czasami. Chciałbym wrócić do domu — powiedział błagalnym tonem Frank.

— Ubolewam, Frank, że ktoś z twoim wykształceniem, z twoim pochodzeniem, trafił na oddział publicznej służby zdrowia. Właściwie powinienem cię tytułować doktor Muncaster, prawda?

— Tak.

— Naprawdę nie powinieneś przebywać razem z tymi ubogimi pacjentami. Niektórzy z tych biedaków zupełnie postradali zmysły. Ale nie mogę cię po prostu wypisać. Wypchnąłeś swojego brata z okna na pierwszym piętrze. To cud, że skończyło się tylko na złamanej ręce. Nie mówiąc już o tych wrzaskach o końcu świata. Ktoś usłyszał je z ulicy. Policja nadal prowadzi sprawę; za spowodowanie poważnego uszczerbku na zdrowiu można trafić do więzienia.

Twój brat nie złożył na szczęście skargi. Uznano cię za umyślowo chorego i musisz tu pozostać, aż będziesz wyleczony. Jak się czujesz przy tej zredukowanej dawce largactilu?

— Dobrze. To lekarstwo mnie uspokaja.

Doktor Wilson uśmiechnął się z zadowoleniem.

— To świetnie. Nasz szpital jest jednym z pierwszych w Wielkiej Brytanii, w których podaje się largactil. To był mój pomysł. To francuski lek, rozumiesz, więc ze względu na cło importowe jest droższy. Udało mi się jednak przekonać radę naukową. Mam pewne wpływy, bo mój kuzyn pracuje w Ministerstwie Zdrowia.

— Po largactilu robi mi się sucho w ustach. I czuję się zmęczony.

— Ale jesteś spokojny. W tych okolicznościach to najważniejsze.

— Nigdy już nie zrobię czegoś takiego.

Doktor złączył dłonie w piramidkę. Były małe i zaskakująco delikatne.

— Pytanie brzmi, dlaczego to w ogóle zrobiłeś?

— Nie wiem.

— Jeśli mam ci pomóc, musimy o tym porozmawiać. — Wilson wyduł swoje nieduże wargi. — Wierzysz, że zbliża się koniec świata? — zapytał. — Tak uważają niektórzy wierzący.

Frank pokręcił głową. Rzeczywiście czekał ich koniec świata, ale religia nie miała z tym nic wspólnego.

— Kiedy tu przyjechałeś, zapytano cię o wyznanie — nie dawał za wygraną doktor Wilson. — Odparłeś, że matka była spirytystką, ale ty sam nie wierzysz w Boga.

— Tak.

— Czy matka zabierała cię do świątyń spirytystów?

— Nie. Urządzała seanse w swoim domu z udziałem kobiety, która twierdziła, że potrafi kontaktować się ze zmarłymi.

— Twoim zdaniem mogła to robić?

— Nie — odparł kategorycznym tonem Frank.

— Więc nie wierzyłeś w te wszystkie rzeczy?

— Nie.

— Nie masz żadnych krewnych poza bratem?

— Nie.

— Nikt cię nie odwiedza.

— W laboratorium nigdy mnie nie lubili. Nie pasowałem tam — odparł Frank i poczuł, że łyżki stają mu w oczach.

— Cóż, ludzie boją się szpitali psychiatrycznych, ich pacjenci są stygmatyzowani. Nawet krewni przestają ich po pewnym czasie odwiedzać. —

Doktor poruszył się na krześle. — Ale jeśli mamy cię przenieść na prywatny oddział, który, moim zdaniem, będzie dla ciebie bardziej odpowiedni, rada będzie potrzebowała funduszy.

— Mam pieniądze. Wasza administracja z pewnością będzie mogła to załatwić.

Doktor Wilson cierpko się uśmiechnął.

— Kiedy chcesz, potrafisz być całkiem komunikatywny, nieprawdaż? Nasz problem, Frank, polega na tym, że jesteś umyślowo chory i twoje pieniądze powinny być w związku z tym zarządzane przez powiernika. Takie są przepisy. Potrzebny jest do tego ktoś z rodziny.

— Mam tylko brata. Powiedzieli, że wrócił już do Ameryki.

— Wiem. Próbowaliśmy się z nim skontaktować. — Doktor Wilson uniósł brwi. — Zadałem sobie nawet tyle trudu, żeby zatelefonować do niego do Kalifornii. Ale poinformowali mnie, że wyjechał w misji rządowej i nie można się z nim skontaktować.

— Nie oddzwoni — rzekł z goryczą Frank.

— Widzę, że jesteś na niego zły. Musiałeś być zły, skoro zrobiłeś to, co zrobiłeś.

Frank nie odpowiedział.

— Dlaczego zostałeś naukowcem tak jak twój brat? — zapytał doktor Wilson tonem luźnej pogawędki. — Chciałeś z nim konkurować?

— Nie — odparł ze znużeniem Frank. — Interesowały mnie po prostu nauki ścisłe, geologia, to, jak stara jest Ziemia, w jakiej małej drobinie kosmosu żyjemy. Zrobiłem to dla siebie samego — dodał z nagłą żarliwością.

— To nie miało nic wspólnego z Edgarem?

— Nie.

— Jeśli mam ci pomóc, Frank, musisz powiedzieć coś więcej. Zastanawiam się, czy w wyrwaniu cię z tego stuporu nie pomogłaby seria elektrowstrząsów. Powinniśmy o tym pomyśleć.



Szkocki pielęgniarz Ben odprowadził później Franka z powrotem na oddział. Deszcz przestał padać. Ściemniało się.

— Jak poszło? — zapytał Ben.

Frank ponownie mu się przyjrzał. Przyszło mu do głowy, że doktor Wilson kazał Benowi przekazywać sobie wszystko, co mówią pacjenci. Udzielił zatem swojej standardowej odpowiedzi.

— Nie wiem.

— Masz szczęście, że jesteś z klasy średniej i wykształcony. Wilsona nie interesują chroniczne przypadki, ci biedacy bez pieniędzy, którzy leżą na oddziałach od wielu lat. Nawiasem mówiąc, uważa, że się tu marnuje. Jego ojciec był lekarzem, a kuzyn jest wysokim urzędnikiem w Ministerstwie Zdrowia. To snob. Dla nich najważniejsza jest klasa. — Ben mówił cicho, ale w jego głosie słychać było rozgoryczenie.

— Wspominał coś o elektrowstrząsach — mruknął nieśmiało Frank i przełknął ślinę. — Słyszałem, co mówili o tym inni pacjenci.

Ben skrzywił się.

— To nie jest przyjemne. Przywiązują cię skórzanymi pasami i puszczają ci prąd przez mózg. Mówią, że to leczy depresję. Może czasami leczy. Ale trochę za często to stosują. I powinni znieczulać pacjenta.

— To boli?

Ben pokiwał głową.

— Widziałeś, jak to się odbywa?

— Tak.

Frankowi zaczęło szybciej bić serce. Wziął kilka głębokich oddechów. Czując ból w chorej ręce, zaczął masować dwa zdeformowane palce. Podeszwy ich butów mlaskały na mokrej ścieżce.

— Są gorsze rzeczy — powiedział Ben. — Lobotomia. Co parę miesięcy przyjeżdża z Londynu chirurg, żeby to robić. Wycina ci część mózgu. Jezu, żal patrzeć, jak wyglądają po tym niektórzy. Nie bój się, tobie to nie grozi. — Ben zerknął nagle na niego z poczuciem winy. — Przepraszam, że ci o tym mówię.

— Z jakiej części Szkocji pochodzisz? — zapytał ostrożnie Frank.

— Z Glasgow. — Ben uśmiechnął się. — Glesca. Znasz Szkocję?

— Uczyłem się w szkole niedaleko Edynburga.

— Wydawało mi się, że słyszę ślad akcentu z Morningside. W jednej z tych prywatnych szkół?

— Tak.

— W której?

— Strangmans — odpowiedział szybko Frank, chcąc zmienić temat.

— Słyszałem, że uczniowie mają tam nielekkko. Gorzej nawet niż w szkołach w Glesca.

— Tak.

— Choć z drugiej strony publiczne szkoły w Anglii podobno wcale nie są lepsze.

— Pewnie tak — odparł Frank, zacinając się. — Zanim tutaj trafiłem, słyszałem o tej planowanej nowej ustawie. O przymusowej sterylizacji. Doktor

Wilson czytał coś na ten temat.

— To dotyczy tylko upośledzonych umysłowo i tych, których nazywają degeneratami moralnymi. Wilson całkiem chętnie by ich wysterylizował. Stary drań uważa ich za szumowiny. — W głosie pielęgniарza znowu zabrzmiała nutka goryczy. — Co ci się stało w dłoń? — zapytał, patrząc na rękę Franka.

— Miałem wypadek. W szkole. — Frank popatrzył na Bena. — Chcę się stąd wydostać.

— Nie możesz, dopóki Wilson nie stwierdzi, że znowu jesteś zdrowy. — Ben przez chwilę się zastanawiał. — Chyba że ktoś zacznie ich naciskać. Może przenieśliby cię do prywatnej kliniki.

Frank potrzęsnał desperacko głową.

— Edgar nie odbiera nawet ich telefonów.

— A ludzie, z którymi pracowałeś?

— Doktor Wilson już mnie o to pytał. Nie są zainteresowani. Tak naprawdę na wydziale wcale nie chcą, żebym wrócił — powiedział Frank i jego twarz wykrzywiła się w znajomym grymasie.

— Będę przez jakiś czas pracował na twoim oddziale — powiedział Ben przy drzwiach głównego budynku. — Mógłbym ci pomóc kogoś znaleźć.

— Nie mam nikogo.

— A twoi znajomi ze szkolnej ławy? Albo z uniwersytetu? Przecież musiałeś gdzieś studiować.

Frank pomyślał nagle o Davidzie Fitzgeraldzie i przypomniał sobie jesienny wieczór, kiedy siedzieli w wynajętym pokoju w Oksfordzie, rozmawiając o Hitlerze i polityce appeasementu. Po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie wówczas ze zdumieniem, że kogoś interesuje, co miał do powiedzenia. Podobnie jak interesowało to tego pielęgniарza, choć Frank nie miał pojęcia dlaczego. Od lat nie utrzymywał już bliskich kontaktów z Davidem, ale kiedyś był jego najlepszym przyjacielem.

— Może znam kogoś takiego — powiedział ostrożnie.

Rozdział szósty

W następny czwartek David wyszedł jak zwykle o ósmej do pracy i ruszył do metra w meloniku, czarnej marynarce i prążkowanych spodniach. Naprzeciwko domu był mały skwer, właściwie zwyczajny trawnik z kilkoma kwiatowymi rabatkami; na jego drugim końcu nadal stał jeden z kwadratowych betonowych schronów wybudowanych w 1939 roku na wypadek nalotów, do których nigdy nie doszło; niski, brzydki i opuszczony. Nastolatki chowały się tam czasem, żeby palić papierosy; złożono w tej sprawie skargę do rady miejskiej. Po drodze pozdrawiał skinieniem głowy sąsiadów, ubranych podobnie jak on, którzy również zmierzali na stację. Dzień był jasny i bezchmurny, dość chłodny jak na połowę listopada. Jego oddech zmienił się w obłoczek pary podobnie jak spaliny przejeżdżającego obok starego austina 7.

Metro było zatłoczone, powietrze gęste od papierosowego dymu. Trzymając się uchwytu, zaczął czytać „Timesa”. *Beaverbrook i Butler lecą dziś do Berlina na rozmowy gospodarcze*, głosił wielki tytuł. To było coś nowego; wczoraj nie zapowiadali tego w wiadomościach. *Optymizm w kwestii nowych zasad handlu z Niemcami*, brzmiał podtytuł artykułu. Zastanawiał się, czego Niemcy zażądają w zamian.

Na dworcu Victoria roiło się od ludzi, tysiące przyjeżdżających sunęły przez wielką halę, para i dym z pociągów kłębiły się pod wysokim sklepieniem. Przy wejściu na peron stała grupka Niemców w szarych mundurach, prawdopodobnie w drodze do bazy na wyspie Wight. Bardzo młodzi, śmiali się i żartowali. Wracali pewnie z przepustki. Ci, którzy stacjonowali na wyspie Wight, mieli szczęście; maszynka do mięsa na froncie rosyjskim od jedenastu lat nieprzerwanie zabijała podobnych do nich chłopców, ostatecznie i ich pewnie zabije. Ogarnęło go niespodziewane współczucie.

Z dworca ruszył Victoria Street w stronę Parliament Square, a potem Whitehall do Ministerstwa do spraw Dominii. Na portierni ponownie dyżurował Sykes.

— Dzień dobry, panie Fitzgerald. Kolejny zimny dzień.

Wypełniona ludźmi winda trzeszczała głośno, wjeżdżając na górę. David stał obok Daniela Brightmana z wydziału gospodarczego, który wstąpił do służby

cywilnej w tym samym czasie co on. Podobnie jak David, ukończył grammar school, ale z biegiem lat przyswoił sobie akcent klasy wyższej.

— Kolejny dzień kieratu — wycedził.

— Zgadza się. Masz co robić?

— Spotykamy się dziś z Australijczykami, żeby omówić taryfy zbożowe. — Brightman westchnął. — Pewnie znowu będzie dużo krzyku. Trudy rządzenia imperium.

David wysiadł na drugim piętrze i minął archiwum. Urzędnicy już tam siedzieli. Carol uśmiechnęła się do niego zza biurka i pomachała ręką. Odwzajemnił uśmiech, przypominając sobie z poczuciem winy, co robił w niedzielę.

Stary Dabb, który przeglądał karty w katalogu, podniósł wzrok.

— Czy mogę na słówko, panie Fitzgerald?

— Oczywiście. — David zauważył łupież na jego kołnierzyku.

— Z przykrością zauważyłem, proszę pana — oznajmił powolnym i ponurym głosem kierownik archiwum — że zostawił pan wczoraj wieczorem na kontuarze teczkę dotyczącą zebrania wysokich komisarzy, nie zgłaszając jej do zwrotu urzędnikowi. — Dabb pokręcił ze smutkiem głową. — Krótka chwila mogłaby nam oszczędzić później dużego zamieszania.

— Przepraszam, Dabb, byliśmy wszyscy tacy zajęci. To się już więcej nie zdarzy.



Ranek był spokojny. David zatelefonował do South Africa House, żeby ustalić, kto mógłby wziąć udział w spotkaniu, o które prosili oficjele SS. W tym tygodniu rozmawiał już kilkakrotnie z gorliwym młodym Afrykanerem, podkreślając potrzebę zachowania dyskrecji.

— Chcą nauczyć Rosjan, kto tu rządzi, tak? — zaśmiał się tamten. — Niemcy nie zaczęli jeszcze zasiedlać Konga, mają dość problemów z próbami zasiedlenia Rosji.

Nie, pomyślał David, na razie tylko plądrują Kongo, podobnie jak to robili wcześniej Belgowie. Mierzili go ci ludzie spod znaku apartheidu i to, jak przyjaźnie traktowali nazistów, jednak dyskutując, którzy przedstawiciele SS udadzą się — oczywiście bez mundurów — do South Africa House, był grzeczny i oficjalny. Następnie przestudiował raport na temat zbliżającego się Tygodnia Imperium w Birminghamie. Miały w nim wziąć udział ważne firmy, takie jak Unilever i Lonrho, i trzeba było ustalić, kto poprowadzi stoiska różnych

wysokich komisji. Pomyślał, że w porze lunchu może popływa w basenie w pobliskim klubie, do którego należał. Nadal lubił zanurzyć się w spokojnej cichej toni.

Przed południem rozległo się energiczne pukanie do drzwi i do środka wszedł z chmurną miną Hubbard.

— Dostałem wiadomość od sekretarza stanu. Na spotkaniu wysokich komisarzy mamy unikać kwestii związanych z koronacją.

— „Times” pisze, że mogą ją połączyć z obchodami dwudziestej rocznicy dojścia Hitlera do władzy.

Hubbold cicho się roześmiał.

— Ach, ten „Times”. Zawsze zasiewa właściwe ziarna w naszych umysłach. Tak czy owak, instrukcje z samej góry brzmią, żeby odwlekać sprawę. To przykre, wiesz, jacy marudni są wysocy komisarze we wszystkim, co dotyczy królestwa. Będą chcieli wiedzieć, czy to będzie na wiosnę, czy jesienią, czy suknię zaprojektuje Hartnell. Szkoda, że będziemy im musieli zakomunikować, że nic jeszcze nie zdecydowano. To zostawi więcej czasu na niewygodne pytania w punkcie poświęconym innym sprawom. Słyszałem, że Kanadyjczycy zamierzają znowu poruszyć temat ustaw żydowskich.

— Czy to wiadomość z Canada House, panie sekretarzu? — zapytał David, nadstawiając uszu.

— Nieoficjalna. — Hubbard uśmiechnął się. — *Arcana imperii*, rozumiesz. Sekrety władzy. — Lubiał dawać do zrozumienia, że ma własne źródła informacji; podkreślało to jego wysoką pozycję. Część kolegów Davida była ze swoimi zwierzchnikami na ty, ale Hubbard nigdy nie zaproponował, żeby opuścić „panie sekretarzu”. — Minister będzie chyba zakłopotany, kiedy z tym wyskoczą — podjął. — Tak czy owak, lepiej, żebyś znał wszystkie niuanse.



Zaraz po jedenastej do drzwi Davida zapukał jeden z międzyministerialnych gońców i wręczył mu list w kopercie Ministerstwa Kolonii. *Czy możemy się spotkać na lunchu nie o 13.30, ale o 13.15?* — napisał do niego Geoff.

Po wyjściu gońca David siedział przez chwilę ze zmarszczonym czołem. Słowa stanowiły szyfr oznaczający, że jest coś, o czym muszą porozmawiać, i że spotkają się w klubie Oxford and Cambridge piętnaście po pierwszej. Jeśli nie było to konieczne, nigdy nie rozmawiali przez telefon. Krążyły plotki, że Wydział Specjalny podsłuchuje obecnie rutynowo telefony służby cywilnej. David zapalił papierosa i wyjrzał przez okno na Whitehall. Coś takiego zdarzyło

się wcześniej tylko raz, kiedy Jackson dostał z wyprzedzeniem wiadomość o nalocie na burdele w Soho i odwołał regularne spotkanie w ich mieszkaniu. Nie była to w każdym razie jakaś sytuacja nadzwyczajna, na to mieli inny szyfr.

Wyszedł z ministerstwa o pierwszej i ruszył w stronę Trafalgar Square. Na postumencie kolumny Nelsona umieszczono wielki plakat. *Eksport to konieczność. Praca albo bieda. Wyzwanie dla Brytyjczyków*. Zastanawiał się, co przyniosą rozmowy gospodarcze z Niemcami. Czy zamiast hillmanów i morrisów wokół Trafalgar Square będą jeździły volkswageny?

Skręcił w Pall Mall. Dwaj policjanci z sił pomocniczych w niebieskich mundurach i czapkach szli powoli ulicą z bronią u pasa, obserwując przechodniów. Dwaj kolejni patrolowali równolegle drugą stronę ulicy. Coś się szykowało. Uświadomił sobie, że Sarah przyjeżdża dziś do centrum na jedno ze swoich zebrań. W niedzielę, po rozmowie na temat Charliego, kochali się, co ostatnio zdarzało się coraz rzadziej. Czuł, że Sarah się od niego odsuwa, krótki moment serdeczności szybko minął.

Wszedł do klubu. Z jadalni dochodził szum rozmów, ale ruszył od razu do biblioteki. W porze lunchu zaglądało tam niewiele osób i teraz siedział tu wyłącznie Geoff, w fotelu, z którego widać było drzwi. David usiadł naprzeciwko niego.

— Wysłałeś mi wiadomość — powiedział półgłosem.

— Dzięki, że przyszedłeś. — Geoff pochylił się do przodu. — Dostałem wiadomość od Jacksona. Chce się z nami jutro spotkać.

— Wiemy dlaczego?

— Nie. Od razu się z tobą skontaktowałem. Wiem tylko, że mamy tam być o siódmej.

— Sarah czeka na mnie w domu. Nie mogę powiedzieć, że umówiliśmy się ni z tego, ni z owego na mecz tenisa. Nie tak nagle. — Moja żona stała się kimś, kogo muszę ustawicznie okłamywać, pomyślał David. — Wymyślę coś — dodał po chwili.

— Przykro mi. Wiem, że to dla ciebie trudne. Mnie jest łatwiej, mieszkam sam.

David przyjrzał się przyjacielowi. Wydawał się zmęczony, bardziej podenerwowany niż zwykle.

— Co słyhać u twoich rodziców? — zapytał.

— Och, to samo co zawsze. — Geoff, podobnie jak David, był jedynakiem, jego ojciec, biznesmen, przeszedł na emeryturę. Uregulowane życie jego rodziców w Hertfordshire kręciło się wokół kręgli, róż i golfa. — Pytają mnie ciągle, czy poznałem jakąś miłą dziewczynę — dodał Geoff. — Kusi mnie, żeby

odpowiedzieć, że te, które ostatnio poznaję, wcale nie są miłe. — Roześmiał się chrapliwie i zmienił temat. — Jak się miewa twój tato?

— Dobrze. Dostałem od niego list w zeszłym tygodniu. W Auckland jest teraz wiosna. Pojechał z rodziną swojego brata do Rotorui. Choć raz nie padało.

— Nadal nie zaprzyjaźnił się z żadną nowozelandzką wdową?

— Już nigdy się nie ożeni. Za bardzo kochał mamę.

Na twarzy Geoffa pojawił się cień smutku. David zrozumiał, że myśli o swojej znajomej z Kenii.

— Słyszałeś, że Beaverbrook leci do Berlina? — zapytał, zmieniając temat.

— Wieść niesie, że Hitler nie będzie mógł się z nim spotkać.

— Może to prawda, że nie żyje. Jak długo nie pokazywał się już publicznie? Od dwóch lat?

Geoff pokręcił zdecydowanie głową.

— Hitler żyje. W przeciwnym razie naziści walczyliby już o spuściznę po nim. Kiedy zmarł Göring, walczyli jak szczury o jego gospodarcze imperium.

— Chciałbym, żeby Hitler już nie żył.

— Módlmy się za to — rzekł z przekonaniem Geoff.



Dorastając w Barnet, David nie zastanawiał się nad tym, że jest Irlandczykiem. Wiedział, że w Irlandii zdarzyło się coś złego i rodzice przenieśli się z nim do Anglii, kiedy był bardzo mały. Rodzice ojca zostali w Dublinie i odwiedzali ich od czasu do czasu; a potem zmarli oboje w ciągu sześciu miesięcy, gdy miał dziesięć lat. Matka nigdy nie mówiła o swojej rodzinie; z biegiem lat David domyślił się, że doszło tam do jakiegoś sporu.

Matka zawsze wiele od niego oczekiwała. Ojciec był solidnym, spokojnym, pogodnym mężczyzną, ale Rachel Fitzgerald była drobna, chuda, wiecznie pobudzona i wiecznie czymś zajęta. Bez przerwy słychać było jej podniesiony melodyjny głos; rozmawiała z mężem, z Davidem, z kobietą do sprzątania i swoimi przyjaciółkami w Klubie Konserwatywnym. Kiedy nic nie mówiła, słuchała radia, nucąc różne melodie i czasami zaskakująco dobrze grała je na fortepianie w jadalni. Stale powtarzała Davidowi, żeby dobrze się uczył; po wielkiej wojnie panowało bezrobocie i bardzo ważne było zdobycie kwalifikacji. W jej głosie wyczuwało się niepokój, jakby ich bezpieczne dostatnie życie mogło się w każdej chwili skończyć.

David był cichy i opanowany jak ojciec. Był też do niego podobny z wyglądu, tylko kręcone włosy miał po matce, tyle że nie rude, lecz czarne.

— Ty i twój tato — mówiła — jesteście do siebie podobni jak dwie krople wody. Kiedy dorośniesz, będą się w tobie kochały wszystkie dziewczęta.

David czerwienił się i dęsał. Kochał matkę, ale czasami doprowadzała go do szału.

Chodził do prywatnej dziennej szkoły, a potem w wieku jedenastu lat zdał bez trudu egzamin wstępny do grammar school. Kiedy ogłosili wyniki, ojciec oświadczył, że jest mądrym chłopcem, i patrzył na niego z czułą satysfakcją przy stole w jadalni. Za to matka zmierzyła go płomiennym spojrzeniem.

— To dla ciebie życiowa szansa, Davy — oświadczyła. — Oczekują, że będziesz ciężko pracował, więc nie zawieź ich. Niech mamusia będzie z ciebie dumna.

— Mów do mnie David, mamó, nie Davy.

— Zmieniasz się w powściągliwego małego Anglika. — Matka wyciągnęła rękę i zmierzwiła mu włosy. — Mój ty kędziorku. Och, nie patrz tak groźnie na swoją mamusię.

David dobrze sobie radził w szkole. Na początku raziła go surowość i oficjalność nauczycieli w czarnych togach, lecz wkrótce się dostosował. Łatwo się zaprzyjaźniał, ale nigdy nie został przywódcą, zawsze trzymał się nieco z boku. W pierwszym semestrze klasowy łobuz zaczął go przezywać głupim Irlandczykiem. David przez jakiś czas go ignorował, pragnąc uniknąć kłopotów, ale któregoś dnia chłopak powiedział, że jego matka jest irlandzką wieśniaczką i zupełnie niespodziewanie David rzucił się na niego i przewrócił. Nauczyciel zobaczył bójkę i obaj chłopcy dostali trzcina, ale łobuz nie zaczepiał już później Davida.

Należał do najlepszych uczniów w klasie. Dobrze szło mu również w sportach i grał w młodzieżowej drużynie rugby, chociaż właściwie nie lubił tej gry. Był bardzo dobrym pływakiem i uwielbiał skoki do wody — wspinanie się po drabinie na najwyższą wieżę, skakanie z niej, przecinanie nieruchomej tafli i zanurzanie się coraz głębiej i głębiej w cichym pastelowym błękicie. Później brał udział w zawodach międzyszkolnych. Skoki obserwowała niewielka bijąca brawo publiczność, ale najlepsze było nadal to zanurzenie się w ciszy.

Zdobywał puchary, które matka z uporem stawiała na kominku. Czasami, kiedy wracał ze szkoły, gościła akurat na podwieczorku swoje przyjaciółki. Wołała go wtedy do jadalni i mówiła: „To jest mój Davy, który zdobył te wszystkie puchary. Zobaczcie, jaki się z niego robi przystojny chłopak. Och, Davy, daj spokój, nie patrz tak na mnie. Widzicie, zarumienił się”. Panie uśmiechały się pobłażliwie, a David uciekał do swojego pokoju. Nienawidził być w centrum uwagi. Chciał być zwyczajnym, niewyróżniającym się chłopcem.

W wieku osiemnastu lat przystąpił do egzaminów na studia w Oksfordzie. Brał przed nimi dodatkowe lekcje i po raz pierwszy w życiu czuł się zmęczony, nie był pewien, czy mu się uda. Matka raczej mu nie pomagała, wierząc mu dziurę w brzuchu w sprawie egzaminów, powtarzając, że nie powinien wychodzić wieczorem z domu, że musi poświęcić cały czas nauce. Od jakiegoś czasu wyglądała nie najlepiej. Niekiedy wyprowadzało ją z równowagi to, co wyczytała w gazetach; był rok 1935, w Niemczech rządzili naziści, a Włosi najechali Abisynię. W przeciwieństwie do niektórych swoich przyjaciółek z Klubu Konserwatywnego pani Fitzgerald uważała Hitlera i Mussoliniego za potworów, które doprowadzą świat do ruiny, i nigdy nie przestawała tego powtarzać. Nie chodziło zresztą tylko o to. Zaczęła tracić na wadze i przestała wypowiadać się na każdy temat, zupełnie jakby ktoś zakręcił kran. David odkrył, że mu tego brakuje. Zastanawiał się, czy to nie z powodu jego egzaminów. Budziło to w nim gniew, bezradność i poczucie winy. Przecież zawsze starał się, jak mógł. Dlaczego to nigdy nie wystarczało? Zaczął być wobec niej oschły i nieuprzejmy.

Pewnego wieczoru po kolacji zaczęła narzekać, że David marnuje czas na treningi pływackie. Stracił wtedy nad sobą panowanie i nazwał ją wrzaskliwą Irlandką. Rachel zalała się łzami, pobiegła do swojej sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi. Ojciec Davida, który rzadko wpadał w gniew, nakrzyczał na niego, kazał traktować matkę z należytyym szacunkiem i mimo że David był już tak samo duży jak on, zagroził, że sprawi mu manto, jeśli kiedykolwiek jeszcze odezwie się do niej w ten sposób.

W dniu, kiedy dowiedzieli się, że Davida przyjęto do Oksfordu, ojciec oświadczył, że musi mu o czymś powiedzieć. Zabrał go do jadalni i spojrzał na niego tak, jak nie patrzył jeszcze nigdy dotąd, ze smutkiem i powagą.

— Twoja matka jest bardzo chora — powiedział. — Obawiam się, że ma raka. — W jego głosie słychać było drzenie. — Nie chciała ci tego mówić przed egzaminami, nie chciała cię martwić. Ale teraz czuje się bardzo źle i będzie musiała do niej przychodzić pielęgniarka. Tak naprawdę powinniśmy ją wezwać wcześniej.

David przez dłuższą chwilę zupełnie się nie ruszał.

— Byłem dla niej strasznie niedobry — powiedział łamiącym się głosem.

— Nie mogłeś tego wiedzieć, synu. — Ojciec popatrzył na niego. — Ale teraz musisz być dla niej miły. Nie zostanie z nami zbyt długo.

David zrobił coś, czego nie robił, odkąd był małym dzieckiem: schował twarz w dłoniach i wybuchnął głośnym szlochem. Spazmy wstrząsały całym jego ciałem. Ojciec podszedł i położył mu rękę na ramieniu.

— Tak, synu — powiedział. — Rozumiem.

Przez całe lato David robił wszystko, co mógł, dla swojej matki. Pomagał pielęgniarce i gosposi, wykonywał różne prace w domu, zanosił matce na górę posiłki. Zżerało go poczucie winy, tym bardziej że jej gwałtowna i zaborcza miłość zmieniała się teraz w znużoną bezradność. Czasami pomagał jej wstać i kłaść się z powrotem do łóżka; zostały z niej teraz tylko skóra i kości. Uśmiechała się dzielnie, dotykała drżącym palcem jego policzka i szeptała cicho, że dobry z niego chłopiec, zawsze o tym wiedziała.

Był przy niej, kiedy umarła. Stało się to w pewną ciepłą wrześnieową sobotę, za parę tygodni miał wyjechać do Oksfordu. Ojciec siedział po drugiej stronie łóżka. Rachel traciła i odzyskiwała przytomność, obserwując z niepokojem wędrujące po niebie słońce. Nagle spojrzała prosto na Davida i smutnym głosem powiedziała, a właściwie wyszeptała kilka słów, których nie zrozumiał.

— *Ich hob dich lieb.*

David popatrzył na ojca, który pochylił się i uścisnął dłoń żony.

— Nie zrozumieliśmy cię, kochanie — powiedział.

Rachel zmarszczyła czoło i próbowała się skupić, ale potem głowa opadła jej do tyłu i umarła.



Później ojciec powiedział mu prawdę.

— Rodzice twojej matki byli Żydami. Pochodzili z Rosji. W czasach carskich, kiedy dochodziło do pogromów, wielu Żydów wyjechało do Ameryki. Rodzice twojej matki... twoi dziadkowie... wyjechali z Rosji razem z twoją matką i jej trzema siostrami. Miała wtedy osiem lat.

David potrząsnął głową, próbując to jakoś zrozumieć.

— Ale jak została Irlandką? — zapytał.

— W tamtych czasach emigracją zajmowało się wielu aferzystów. Rodzice twojej matki nie znali ani jednego słowa po angielsku. Przyłączyli się do statku do Dublina i myśleli, że kolejny statek zabierze ich do Ameryki, ale po prostu ich tam zostawiono. Utknęli w Irlandii. Twój dziadek był stolarzem meblowym, bardzo dobrym, i dzięki innym Żydom udało mu się otworzyć sklep. Prowadził dobrze prosperującą firmę. Dzieci dorastały, mówiąc po angielsku. Zachęcano ich do tego, żeby nie czuły, że różnią się od innych. Jednak w głębi duszy chyba nigdy nie zapomniwały swojego pierwszego języka.

— Mama mówiła po rosyjsku?

— Nie. Żydzi we wschodniej Europie mieli własny język, jidysz. Jest podobny do niemieckiego, ale trochę się od niego różni. Rodzina twojej matki

nosiła nazwisko Feldman. — Ojciec uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Typowo żydowskie, nie? — Na dłuższą chwilę umilkł. — W późniejszych latach twoja matka została nauczycielką muzyki. To było tuż przed tym, zanim ją poznałem. Zbliżało się powstanie wielkanocne i sytuacja w Irlandii zrobiła się nieciekawa. Pan Feldman postanowił sprzedać sklep i wyjechać do Ameryki. Mieli tam krewnych. Lepiej późno niż wcale, nie? — Ojciec ponownie uśmiechnął się ze smutkiem. — Chciał zabrać całą rodzinę. Ale twoja matka nie chciała wyjeżdżać, chciała zostać w Irlandii. Były i inne problemy: rodzina twojego dziadka była bardzo religijna, lecz ona, podobnie jak ja, uważała, że to wszystko hokus-pokus. W rodzinie doszło do sporu, jej rodzice i siostry odpłynęli i nigdy już się z nimi nie zobaczyła. Nigdy do niej nie pisali, ojciec miał tam decydujący głos i wyrzekł się córki. Moim zdaniem pan Feldman był po prostu starym durniem. Nie wiem, gdzie są teraz siostry twojej matki. Nie mogę ich nawet zawiadomić o jej śmierci — dodał ponuro.

— Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłeś?

— Och, synu, uważaliśmy, że będzie lepiej, jeśli wszyscy uznają po prostu, że twoja matka jest Irlandką. Chciała, żeby ci się dobrze wiodło, a wiedziała, że tutaj... — Ojciec zmrużył oczy. — Nie mówię, że jest tak samo jak kiedyś w Rosji czy jak dzisiaj w Niemczech, ale... dają o sobie znać pewne uprzedzenia. Zawsze tak było. Nieoficjalne ograniczenia dla Żydów. Nawet w szkołach średnich istnieje numerus clausus. Matka dla twojego dobra chciała, żeby zapomniano o jej pochodzeniu. Odkryłem, że jej dokumenty imigracyjne uległy zniszczeniu podczas walk na początku lat dwudziestych. Na naszym świadectwie ślubu oboje mamy wpisaną narodowość brytyjską. Irlandia była wtedy oczywiście brytyjska. — Ojciec wpadł nagle w gniew. — Najgorzej jest, kiedy ludzie dzielą się ze względu na narodowość lub religię. To prowadzi wyłącznie do nędzy i rozlewu krwi. Zobacz, co się dzieje w Niemczech.

David przez chwilę się zastanawiał. W szkole było kilku żydowskich chłopców, którzy wychodzili podczas porannych modlitw. Na placu zabaw czasami wołano za nimi „żydki” albo „parchy”. Współczuł im. W stosunku do Irlandczyków też istniały uprzedzenia, ale wiedział, że Żydzi są w gorszej sytuacji.

— A więc jestem Żydem — powiedział.

— Zgodnie z ich zasadami jesteś Żydem, ponieważ twoja matka była Żydówką. Ale z naszego punktu widzenia nie jesteś ani żydem, ani chrześcijaninem. Nie zostałeś obrzezany ani confirmowany. — Ojciec pochylił się i wziął go za rękę. — Jesteś po prostu małym Davym swojej mamy i możesz zostać, kim zechcesz.

— Nie czuję się Żydem — powiedział cicho David. — I co to w ogóle znaczy „czuć się Żydem”? — Nagle zmarszczył czoło. — Ale skoro mama nie chciała, żebym o tym wiedział, dlaczego odezwała się do mnie w jidysz? Co ona powiedziała, tato?

Ojciec pokręcił głową.

— Przykro mi synu, ale nie wiem. Nigdy nie mówiła do mnie w jidysz. Myślałem, że zupełnie zapomniała ten język. Może u schyłku życia jej umysł cofnął się w przeszłość.

David rozplakał się. Łzy płynęły mu z oczu równym strumieniem. On i ojciec siedzieli długo w milczeniu. Kiedy David trochę się uspokoił, ojciec pochylił się i ścisnął go za ramię.

— Nie powinienes o tym nikomu mówić, Davidzie — powiedział. — To nie miałoby sensu. Ograniczyłoby tylko twoje możliwości, a poza tym postąpiłbyś wbrew woli matki. To będzie nasz sekret.

David pokiwał głową.

— Rozumiem — odparł z ciężkim westchnieniem. — Masz rację. Zrobię to dla niej. Jestem jej to winien.

— Dla ciebie też tak będzie lepiej.

I było. Po traktacie berlińskim uratował dzięki temu swoją pracę i karierę. Ale zawsze czuł, że nie zasługuje na swój los. Kiedy mijał na ulicy tych z żółtymi odznakami, z każdym rokiem coraz bardziej zaniedbanych i żalosnych, dręczyły go lęk i poczucie winy. Lecz czuł się również z nimi w dziwny sposób związany.

Rozdział siódmy

W czwartek rano Sarah pojechała metrem do Londynu na zebranie Londyńskiego Komitetu Pomocy Bezrobotnym we Friends House przy Euston Road. W drodze czytała wypożyczoną w bibliotece książkę, *Rebekę* Daphne du Maurier. Doszła do sceny, w której szalona ochmistrzyni, pani Danvers, nakłania drugą panią de Winter, żeby wyskoczyła z okna. *To pani jest cieniem, to pani jest duchem! To pani jest zapomniana i odrzucona. Pani powinna jej zostawić Manderley, powinna pani opuścić ten dom!*². Nie podobała się jej ta książka; była oczywiście wciągająca, ale posępna. Nie licząc romansów i kryminałów, półki biblioteczne były ostatnio takie ubogie. Trudno było zdobyć książki tylu lubianych przez nią niegdyś pisarzy — Priestleya, Forstera, Audena — autorów, którzy nie zgadzali się z rządem w kwestii traktatu oraz w innych sprawach i którzy, podobnie jak ich książki, zniknęli z pola widzenia.

Odchyliła się do tyłu na ławce. Po tamtej niedzieli David już się z nią nie kochał. Zresztą ostatnio robił to coraz rzadziej. Przez większą część ich małżeństwa uprawiał z nią seks powoli i delikatnie, lecz ostatnio, jeśli w ogóle do tego dochodziło, robił to z jakimś niepokojem i gwałtownością; wchodząc w nią, jęczał, jakby przysparzała mu bólu, a nie przyjemności. *To pani jest cieniem, to pani jest duchem*. Przesunęła dłonią po twarzy. Jak do tego doszło? Pamiętała ich pierwsze spotkanie, na potańcówce w klubie tenisowym, w 1942 roku.

Stojąc z przyjaciółką, przyglądała się Davidowi, który rozmawiał w rogu z innymi mężczyznami. Był w klasyczny sposób przystojny, smukły i muskularny, ale tym, co już wówczas ją w nim pociągało, była pewna łagodność i wewnętrzny smutek. Zauważywszy, że mu się przygląda, przeprosił znajomego, podszedł do niej i poprosił do tańca, z pewnością siebie, ale również z dziwną pokorą. Sarah miała wtedy włosy przycięte na pazia — ta moda trwała całkiem długo — i kiedy wirowali po parkiecie w rytmie granej przez orkiestrę muzyki, nie krępując się, stwierdziła, że chciałaby mieć jego naturalne kędziory.

— Nie widziałas mnie w lokówkach — odparł z uśmiechem i subtelnym poczuciem humoru, który teraz prawie już utracił.

W następnym roku wzięli ślub i krótko potem David został na dwa lata wysłany do biura brytyjskiego wysokiego komisarza w Auckland. W Nowej

Zelandii przebywał już jego ojciec, starsza, pulchniejsza wersja Davida z wyraźnym irlandzkim akcentem. Często dyskutowali w trójkę o pogarszającej się sytuacji w kraju; mieli podobne poglądy: obawiali się sojuszu z Niemcami i coraz silniej obecnego w Anglii autorytaryzmu. Ale to było przed wyborami w 1950 roku; w parlamencie Churchill wciąż jeszcze pomrukiwał groźnie w ławach opozycji, mając u swego boku Clementa Attlee, i łudzono się nadzieją, że sytuacja zmieni się po następnych wyborach. Ojciec Davida chciał, żeby zostali, Nowa Zelandia nie miała zamiaru zrywać z demokracją; nic nie zagrażało tam wolności słowa i myśli, której coraz mniej było w Anglii. Mimo że perspektywa porzucenia rodziny przyprawiała ją o ból serca, Sarah z tygodnia na tydzień coraz bardziej się wahała i ostatecznie to David podjął decyzję o powrocie.

— To, co się dzieje, nie może trwać wiecznie, nie w Anglii — powiedział.
— Dopóki tam jesteśmy, mamy prawo głosu. Powinniśmy wrócić. To nasz kraj.

Nie wiedzieli jeszcze wtedy, że Sarah jest w ciąży z Charliem; gdyby zorientowali się wcześniej, być może by zostali.



Sarah wyjrzała przez okno wagonu. Dzień był jasny, ale Londyn wydawał się tak samo brudny i ponury jak zawsze. Przypomniała sobie nagle, jak wybrała się z Davidem na wycieczkę do zachodniej części nowozelandzkiej Wyspy Południowej. Obozowali w starym, dużym wojskowym namiocie kupionym w Auckland i spędzali całe dni pośród olbrzymich gór porośniętych wielkimi jodłami. W nocy słyszeli szum srebrzystych górskich potoków i hałasujące w zaroślach ptaki nieloty. Przytuleni do siebie, śmiali się z tego, jacy są brudni i nieporządni, niczym pionierzy w puszczy albo Adam i Ewa w rajskich ogrodach.

Wzdrygnęła się, kiedy metro zatrzymało się z dygotem na stacji Euston. Schowała książkę do teczki i wyszła z wagonu. W kiosku przy stacji sprzedawano już jemiolę. Do świąt Bożego Narodzenia zostało trochę ponad miesiąc; wkrótce zacznie się cała ta fałszywa serdeczność. Ciężko to było znieść, kiedy straciło się dziecko.

Ruszyła w stronę Friends House. Przed siedzibą kwakrów jak zwykle stał na posterunku policjant. Kwakrzy sprzeciwiali się używaniu przemocy w imperium i wojnie w Rosji i nadal ośmielali się urządzać od czasu do czasu siedzące demonstracje. Sarah pamiętała, że kiedy była mała, każdy policjant był dla niej kimś miłym, solidnym i opiekuńczym. Teraz byli groźni i potężni. W kinach nie

przedstawiano ich już jako niewydarzonych towarzyszy prywatnych detektywów, ale jako bohaterów, twardzieli walczących z komunistami, amerykańskimi szpiegami i żydowskimi kombinatorami. Okazała policjantowi swój dowód tożsamości i zaproszenie na zebranie, a on wpuścił ją do środka.



Londyński Komitet Pomocy Bezrobotnym założony został na początku lat czterdziestych i zajmował się załatwianiem paczek z jedzeniem, odzieży i wakacji dzieciom czterech milionów bezrobotnych. Sarah należała do podkomisji organizującej gwiazdkowe prezenty dla dzieci z północy. Czasami zastanawiała się, jak muszą się czuć rodzice, przekazując prezenty od anonimowych darczyńców; alternatywą było jednak, że dzieci w ogóle nic nie dostaną. Miała dryg do tej pracy i zdarzało się, że zastępowała przewodniczącą, panią Templeman, budzącą respekt małżonkę biznesmena. Tego dnia jednak pani Templeman sama pewnie prowadziła zebranie, siedząc za stołem prezydyjnym w tkwiącym na siwych włosach małym kapelusiku, ze sznurem grubych pereł na potężnym biuście. Kiedy Sarah informowała o swojej korespondencji z dużymi sklepami zabawkowymi oraz rabatami, które mogliby otrzymać przy zakupach hurtowych, przewodnicząca kiwała zachęcająco głową. Sarah dowodziła, jak ważne jest, by dzieci dostawały różne zabawki — nie chcieli przecież, żeby każde dziecko z górniczej wioski w Yorkshire miało takiego samego pluszowego misia albo pociąg. Wyjaśniając, że zapewnienie różnorodności pociągów za sobą większe koszty, ale jest bardzo istotne dla rodzin, uśmiechnęła się do pana Hamiltona, pulchnego niskiego człowieka z goździkiem w butonierce, który był kierownikiem do spraw dobroczynności w dużym sklepie zabawkarskim. Hamilton pokiwał w zadumie głową, a pani Templeman popatrzyła na nią z aprobatą.

Po zebraniu podeszła do Sarah, podziękowała jej w wylewny, protekcyjny sposób za wszystko, co zrobiła, i zapytała, czy nie poszłaby z nią na lunch. Miała na sobie ciężkie palto, a na szyi etolę z lisa, maskarę z łypiącym na Sarah szklanym okiem i ogonem tkwiącym w pysku. Kiedy Sarah czymś się wymówiła, nie kryła rozczarowania. Wiedziała, że jest tak samo znudzona i samotna jak ona, ale gdy jadła z nią lunch poprzednim razem, pani Templeman nie dopuściła jej ani razu do głosu, rozprawiając o swoim mężu, swoich komitetach i swojej działalności kościelnej. Była żarliwą chrześcijanką i Sarah miała zawsze wrażenie, że widzi w niej materiał na neofitkę. Tego dnia nie miała na to siły.

Nie wróciła jednak od razu do domu. Zjadła sama lunch w Corner House, a potem wybrała się na spacer; dzień był jasny i chłodny, w powietrzu czuło się lekki mróz. Po śmierci Charliego dość często jeździła do śródmieścia Londynu, żeby uciec przed samotnością w domu; na ogół spacerowała starymi uliczkami, o których pisał Dickens, z ich składami, biurami i zaprojektowanymi przez Wrena uroczymi kościółkami w rodzaju St Dunstan i St Swithin³, w których siadała i oddawała się świeckiej kontemplacji. Tego dnia postanowiła pójść do opactwa westminsterskiego; nie była tam od lat. W końcu skręciła w Gower Street i minęła wielki biały Senate House, drugi pod względem wysokości budynek w Londynie. W byłej siedzibie London University mieściła się teraz największa na świecie ambasada Niemiec; z dachu aż do połowy budynku zwisały dwie olbrzymie flagi ze swastykami. Wzdłuż wysokiego ogrodzenia, które zwieńczono drutem kolczastym na wypadek ataku ruchu oporu, stali z pistoletami maszynowymi funkcjonariusze Wydziału Specjalnego; wewnątrz wysiadał z limuzyny jakiś dygnitarz w brązowym uniformie partii nazistowskiej. Witaa go grupka mężczyzn, część w garniturach, część w mundurach feldgrau, jeden w lśniącej czarnej skorupie munduru SS. Sarah przyspieszyła kroku. Kiedy w 1940 roku do Anglii zaczęli przyjeżdżać niemieccy dygnitarze, zdumiała ją ostre żywe kolory, czarne opaski z czerwonymi swastykami na białym tle; wcześniej widywała nazistów wyłącznie na czarno-białych filmach. Znali się na kolorach.

Jak bardzo szarzy, zmarznięci i zmęczeni wydawali się w porównaniu z nimi zwykli ludzie, pomyślała, idąc dalej. Na chodniku siedział, grając na skrzypcach, mężczyzna bez nogi. Przed sobą położył czapkę i kawałek tektury, na której widniał nagryzmołony napis *Pomóżcie weteranowi z 1940*. Policja powinna go stamtąd szybko przepędzić; żebracy przez jakiś czas stanowili problem w Londynie. Dopiero przed kilku laty po kampanii „Daily Mail” zostali przymusowo przesiedleni do gospodarstw rolnych, które utworzył Lloyd George, by można było produkować żywność na wiejskich nieużytkach. Sarah wrzuciła do czapki mężczyzny pół korony. Ostatnio coraz częściej widziała oznaki ubóstwa i ucisku. Przez wiele lat przymykała na nie oczy. Kiedy poznała Davida, miała już za sobą lata politycznej aktywności; stało się to zbyt niebezpieczne. Po powrocie z Nowej Zelandii uważali razem z Davidem, że nie pozostaje im nic innego jak czekać, aż sytuacja ulegnie zmianie. W końcu musiało to kiedyś nastąpić.

Skręcając w stronę Westminsteru, zauważyła ponownie wzmożoną obecność pomocniczych formacji policji. W kilku miejscach widziała nowy plakat faszystów Mosleya; krzykliwy i wstrętny, przedstawiał kobietę broniącą dziecko przed gigantycznym, podobnym do King Konga małpiszonem z haczykowatym

żydowskim nosem, w hełmie z czerwoną gwiazdą na głowie. *Walcz z bolszewickim terrorem! Wstąp do Brytyjskiej Unii Faszystów!* Idąc Whitehall, spojrziała w okna Ministerstwa do spraw Dominiów, gdzie pewnie pracował teraz David. W ostatnich tygodniach była na niego coraz bardziej zła, ale rozmowa z Irene uświadomiła jej, jak bardzo go kocha i jak bardzo boi się go stracić.

Minęła Pałac Westminsterski i weszła do opactwa. W chłodnym i ciemnym wnętrzu świątyni było niewielu ludzi, jej kroki odbijały się głośnym echem. Przed Grobem Nieznanego Żołnierza nadal piętrzyły się wieńce z Dnia Pamięci. Sarah rozejrzała się. W przyszłym roku miała się tutaj odbyć koronacja. Współczuła królowej, młodej i osamotnionej w tym całym zamęciu. Przypomniała sobie nagle orędzie jej ojca Jerzego VI w 1939 roku, w tamto wojenne Boże Narodzenie. Rodzina zasiadła wokół radia i w pełnym powagi milczeniu, mimo że na głowach mieli tekturowe czapeczki. Król, jak zwykle fatalnie się zacinając, czytał słowa wiersza:

*I rzekłem do człowieka, który stał u progu roku,
Daj mi światło, bym mógł bezpiecznie wkroczyć w nieznane.
A on odrzekł: Wejdz w mrok i podaj dłoń Bogu.
Lepsze to dla ciebie od światła i bezpieczniejsze od znanej drogi⁴.*

Biedny król, pomyślała. Nigdy nie zależało mu na tronie, ale musiał na nim zasiąść, kiedy abdykował jego brat, nieodpowiedzialny sympatyk nazistów. Edward VIII razem z Wallis Simpson nadal wiódł wygodne życie na Bahamach, gdzie był gubernatorem. Po 1940 roku król Jerzy, jak wiele postaci z lat trzydziestych, usunął się w cień, rzadko pojawiał się publicznie, a kiedy do tego dochodziło, wydawał się smutny i spięty.

Przed nabożeństwem w nawie ustawiono krzesła i Sarah usiadła na jednym z nich. W chłodnym półmroku zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od wielu lat się modli. „Boże, jeśli istniejesz, daj nam następne dziecko. Dla ciebie to drobiazg, a dla nas nie ma nic ważniejszego”. Zaczęła cicho płakać.



Sarah miała szczęśliwe dzieciństwo. Była rodzinnym beniaminkiem, ładną blondyneczką uwielbianą przez matkę i starszą siostrę. Wiedziała jednak, że na pierwszym miejscu zawsze stoi jej ojciec Jim, którego okaleczona twarz przerażała ją czasami, kiedy była mała.

Jim był księgowym w ratuszu i w wolnym czasie udzielał się w organizacjach pacyfistów, w Unii na rzecz Ligi Narodów, a później w Unii

Roty Pokojowej. Starał się zapobiec kolejnej wojnie, przekonany, że ludzkość z pewnością jej nie przetrwa.

To, czego dowiadywała się w domu, różniło się od tego, czego uczyli w szkole.

— Irene, przecież pan Briggs powiedział na lekcji, że to kaiser rozpoczął wojnę, i trzeba go było powstrzymać — kłóciła się z siostrą.

— Nie miał racji. Niesłuszne jest obwinianie Niemców o wszystko. A traktat wersalski był niesprawiedliwy, bo oddał część Niemiec innym krajom i kazał im płacić reparacje. Nie było ich na nie stać i dlatego ich gospodarka tak kuleje. Tato był na wojnie, zginęło na niej wielu jego przyjaciół, i w końcu nikomu nic z tego nie przyszło. Nie wolno nam dopuścić, żeby coś takiego się powtórzyło.

— Ale czy nie musimy mieć armii, żeby się bronić, gdyby nas ktoś zaatakował?

— Jeśli wybuchnie kolejna wojna, nikt nie zdoła się obronić. Wszystkie kraje zostaną zbombardowane, z samolotów zrzucą gaz. Nie płacz, Sarah, to się nie zdarzy, dobrzy ludzie tacy jak tato do tego nie dopuszczą.

Dorastając, Sarah stała się, podobnie jak ojciec i siostra, zagorzałą obrończynią pokoju. Jako nastolatka podpisała Rotę Pokojową i brała udział w zebraniach, które odbywały się często w ich domu, choć szczerze mówiąc, wiele uczestniczących w nich osób robiło na niej wrażenie swarliwych nudziarzy. Matka zawsze odgrywała wtedy rolę zabieganej gospodyni, gotując wodę na herbatę i donosząc półmiski z ciastkami i kanapkami. Ojciec niewiele się odzywał w trakcie tych spotkań, palił tylko z ponurą miną fajkę.

Jednak pewnego razu zabrał zdecydowanie głos i Sarah nigdy tego nie zapomniała; jeśli kiedykolwiek zaczynała wątpić w racje pacyfistów, zawsze wracała pamięcią do tamtej chwili. To było zaraz po jej osiemnastych urodzinach, w parny letni wieczór w 1936 roku. Trwała kampania mająca na celu zdobycie większej liczby podpisów pod Rotą Pokojową i uczestnicy zebrania siedzieli przy stole, wkładając ulotki do kopert. Sarah była zmęczona i poirytowana, myślała o tym, jak będą wyglądały studia nauczycielskie — właśnie skończyła szkołę średnią — a poza tym denerwował ją pewien chłopak, który chciał z nią chodzić i który wcale jej się nie podobał.

Niedawno wybuchła hiszpańska wojna domowa i zagorzałym przeciwnikom wojny trudno było nie opowiedzieć się po jednej ze stron.

— Jak możemy winić Hiszpanów, że walczą z militarystami, którzy chcą obalić legalnie wybrany rząd? — zapytał pewien młody człowiek, członek Partii Pracy.

— Hiszpańska armia twierdzi, że przywraca tylko ład i porządek — odparła z pasją Irene. — Tak czy owak, nie możemy popierać przemocy po żadnej ze stron. Musimy trzymać się naszych zasad.

— Wiem — mruknął młody człowiek. — Ale trudno jest patrzeć, jak faszyci depczą zwykłych ludzi.

— Więc co chcesz, żebyśmy robili? Budowali umocnienia przeciwko Hitlerowi, jak chce tego ten wściekły podżegacz wojenny Churchill?

Młody człowiek pokręcił głową.

— Nie wiem. To takie trudne. To okropne, że w całej Europie obejmują władzę partie faszystowskie i nacjonalistyczne. Rok tysiąc dziewięćset czternasty to była orgia nacjonalizmów i powiewania flagami i można by pomyśleć, że ludzie uświadomili sobie, do czego to prowadzi. Ale teraz... — dodał ze smutkiem i umilkł.

— Nocą w okopach — odezwał się wtedy Jim — czasami robiło się naprawdę cicho. Ludzie nie zdają sobie z tego sprawy. A potem gdzieś wzdłuż linii frontu po niemieckiej stronie zaczynały grzmieć wielkie działa. A ja siedziałem tam, zastanawiając się, czy huk się nie zbliża, czy pociski nie zaczną przypadkiem padać na nas. I często myślałem, że po drugiej stronie jest taki sam młody chłopak jak ja, ładujący w pocie czoła jeden ciężki pocisk po drugim. Taki sam chłopak jak ja. W takie noce uświadamiałem sobie, że wojna jest totalnym złem. Nie w ogniu walki, ale w momentach ciszy, kiedy człowiek miał szansę się zastanowić.

W pokoju zapadło milczenie. Młody człowiek odwrócił wzrok.

Jednak po wybuchu wojny domowej w Hiszpanii ruch pokojowy znalazł się w zupełnie innej sytuacji. Podobnie jak większość pacyfistów, Sarah uważała się za postępową, lecz teraz niektórzy oskarżali ich, że są zaślepionymi głupcami, a nawet reakcjonistami. Zbliżała się wojna, faszyzm był w natarciu i trzeba było opowiedzieć się po jednej ze stron. Razem z Irene poszły na film według scenariusza H.G. Wellsa, *Rzeczy, które nadejdą*, i prześladowały ją później obrazy zasłaniających całe niebo bombowców, chmur gazu i obszarpańców żyjących na zbombardowanych niezmiernych pustkowiach. Pamiętała, jak po Anschlussie Austrii próbowała wytłumaczyć politykę appeasementu premiera Chamberlaina klasie trzynastolatek w żeńskiej szkole, gdzie pracowała jako stażystka.

— Nie mówię, że Herr Hitler jest dobrym człowiekiem, ale Niemcy mają prawo czuć się w pewnym stopniu poszkodowani. Dlaczego nie wolno im połączyć się z Austrią, skoro chcą tego oba kraje? Polityka appeasementu oznacza próbę złagodzenia pretensji, uspokojenia sytuacji, a nie jej zaognianie. Czy to nie jest rozsądna droga?

Kiedy jednak oglądała na kronice filmowej, jak żołnierze wyrzucają austriackich Żydów z ich domów i kopiąc ich, każą zamiatać ulice, odczuwała może jeszcze nie wątpliwości, ale udrękę.

Irene było łatwiej; zawsze należała do tych, którzy oddają się całym sercem jakiejś sprawie, i obecnie wstąpiła do Ligi Porozumienia Anglo-Niemieckiego. Poznała tam Steve'a i, podobnie jak on, stała się entuzjastką Hitlera. Sarah zapytała ją, jak ktoś, kto wierzy w pokój, może widzieć coś dobrego w faszyzmie.

— Hitler to człowiek pokoju i wizjoner, kochanie — odparła siostra. — Nie wolno ci wierzyć w całą tę propagandę. Chce wyłącznie sprawiedliwości dla Niemiec i przyjaźni z Wielką Brytanią.

Sarah zwróciła się o radę do ojca.

— Masz rację, kochanie — powiedział. — Hitler jest wrednym militarystą. Ale jeśli pójdziemy z nim na wojnę, będziemy używać tych samych metod co on. Premier Chamberlain ma słuszność.

Mówił to cicho, ze smutkiem. Zebrania były teraz rzadsze i Jim siedział często w salonie, wpatrując się w przestrzeń, wyraźnie przygnębiony.

A potem nadeszła jesień 1938 roku i kryzys monachijski. Mężczyźni kopali okopy w parkach, żeby ludzie mogli się w nich skryć, kiedy będą spadały bomby. Na szybach w oknach szkoły nalepiono krzyże z taśmy, żeby odłamki szkła nie pokaleczyły dzieci. Tym razem cywile też będą szukali schronienia w okopach, pomyślała Sarah. Szkoła odebrała dostawę masek przeciwgazowych, szkaradzieństw z gumy i szkła, większych dla dorosłych i mniejszych z twarzą Myszki Miki dla dzieci. Kiedy przyszła do szkoły i zobaczyła na stole stos tych strasznych gogli, musiała złapać się oparcia krzesła, żeby nie zemdleć. Inne nauczycielki również wpatrywały się z przerażeniem w maski. Dyrektorka oświadczyła, że mają pokazać dzieciom, jak je założyć.

— Jak mamy powiedzieć tym małym szkrabom — odparła, płacząc jedna z nauczycielek — do czego służą te rzeczy? Jak mamy im powiedzieć, że ludzie w samolotach będą na nich zrzucali bomby z gazem? Jak mamy to zrobić?

— Musimy to zrobić, do cholery! — krzyknęła na nią łamiącym się głosem dyrektorka. — Bo jeśli tego nie zrobimy, zginą. Myślicie, że te maski są takie straszne? Powinniście zobaczyć oddział położniczy, na którym pracuje moja siostra! Mają tam cholerne skafandry przeciwgazowe dla niemowląt!

Ale do wojny nie doszło. Wydarzył się cud. Chamberlain wrócił z Monachium z porozumieniem, na mocy którego Niemcy otrzymały część Czechosłowacji.

— Tylko tę część, w której mieszkają Niemcy, nie Czesi — oświadczyła z triumfem Irene, a Steve dodał, że gdyby wybuchła wojna, doprowadziłoby to

kraj do ruiny; wszyscy bankierzy i przedsiębiorcy byli przerażeni taką perspektywą. — Ten podżegacz wojenny Churchill srodze się zawiódł!

Kiedy Sarah dowiedziała się o porozumieniu, poczucie ulgi było dla niej niczym narkotyk. Ale rok później, w sierpniu 1939 roku, wszystko zaczęło się od nowa w związku z Polską: okopy, maski przeciwgazowe oraz plany ewakuacji i tym razem wojna została wypowiedziana, Chamberlain łamiącym się głosem ogłosił to przez radio. Po raz pierwszy zawyły straszliwe syreny przeciwlotnicze, co prawda w ramach ćwiczeń, ale następnym razem mogło się to stać na serio. Wszędzie w Londynie widywało się ludzi, którzy zapłakani zabierali swoje psy i koty do usypienia, ponieważ nie dałoby im się pomóc podczas bombardowań. W pierwszym tygodniu września Sarah poprowadziła smutny korowód dzieci, które w towarzystwie zgnębionych matek zmierzały z maskami przeciwgazowymi i małymi walizkami na stację Victoria, skąd miały zostać ewakuowane.

Później nastąpił kolejny zwrot w tej huśtawce nadziei i horroru. W ciągu kilku miesięcy po ewakuacji nic się nie wydarzyło; po pokonaniu Polski przez Niemcy nie było żadnych nalotów ani walk. Rodzice zaczęli sprowadzać dzieci z powrotem do domu. Ludzie nazywali to „dziwną wojną”. Niektórzy pytali, jaki jest sens ją kontynuować; wypowiedziano ją, żeby pomóc Polsce, ale Polska została pokonana, zniknęła podzielona między Niemcy i Rosję. Podczas surowej zimy 1939/1940, obserwując dzieci rzucające śnieżkami na placu zabaw, Sarah znowu zaczęła mieć nadzieję. Ale w kwietniu Niemcy nagle najechały Danię i Norwegię i brytyjskie oddziały zostały bez trudu odparte.

Chamberlain podał się do dymisji i został zastąpiony przez lorda Halifaxa. Zaraz potem Niemcy zaatakowały Holandię, Belgię i Francję. Niemcy znowu okazali się niezwyciężeni, rozbijając francuskie dywizje i wypierając z kontynentu brytyjski korpus, który ewakuował się z Dunkierki, porzucając tam cały sprzęt. Głosy spikerów BBC były coraz poważniejsze; ludzie ponownie zaczęli patrzeć z lękiem na niebo nad Londynem, upstrzone teraz balonami zaporowymi. Francuska armia cofała się coraz dalej i dalej, a potem w środku czerwca nadeszła wiadomość, że Francja i Wielka Brytania poprosiły o zawieszenie broni. Miesiąc później zawarty został pokojowy traktat berliński, zdaniem gazet i BBC świadczący o zaskakującej wielkoduszności Hitlera: żadnej okupacji, żadnych reparacji, Wielka Brytania, imperium i marynarka wojenna pozostały nietknięte, jedyną przejętą przez Niemców europejską kolonią było Kongo Belgijskie. Jedynym okupowanym brytyjskim terytorium miała stać się wyspa Wight z dużą niemiecką bazą wojskową. Niemieccy Żydzi, którzy uciekli do Wielkiej Brytanii po objęciu władzy w Niemczech przez nazistów, mieli zostać deportowani, ale w traktacie nie było ani słowa o brytyjskich Żydach.

Sarah pamiętała, jak oglądała w kinie kronikę filmową: lord Halifax wracał z Berlina, obok niego na płycie lotniska stali Butler i Douglas-Home, w arystokratycznym głosie brzmiało wzruszenie, gdy premier deklarował, że „pokój, który podpisaliśmy z Niemcami, będzie z Bożą pomocą trwał wiecznie”. W całym kinie rozległy się brawa i okrzyki „Hurra!”. Sarah poszła do kina z całą rodziną; Irene wiwatowała głośniej niż inni, a ich matka płakała z ulgi. Sarah zerknęła na ojca, ale był odwrócony do niej protezą i nie widziała wyrazu jego twarzy.

Rok później, zaraz po wybuchu wojny z Rosją, Halifax podał się do dymisji, jak ogłoszono, z powodów zdrowotnych. Kiedy opuszczał Downing Street, na jego wymizerowanej twarzy malował się głęboki smutek i krążyły plotki, że był przeciwko „niemieckiej krucjacie”. Zastąpił go wiekowy, lecz agresywnie wesoły Lloyd George, który uważał Hitlera za największego niemieckiego męża stanu. Mówiono, że jest tylko marionetką. W telewizji wyglądał jak relikw z innej epoki, z powiewającymi siwymi włosami i sztuczną szczęką klekoczącą podczas transmitowanych przemówień. Po jego śmierci w 1945 roku władzę objął właściciel gazet i minister gabinetu Beaverbrook, bezwzględnie ignorujący relacje o popełnianych w Europie bestialstwach i realizujący swoje marzenie o wolnym handlu w ramach imperium.



Kiedy Sarah wyszła z opactwa, zdziwiło ją, że jest tak późno. Słońce już zachodziło i setki okien Pałacu Westminsterskiego migotały odbitym światłem, które raziło ją w oczy. Niebo na zachodzie było w czerwonych i fioletowych smugach niczym na obrazie Turnera. Dzięki modlitwie i łzom poczuła się lepiej, choć nie wierzyła, by istniał jakikolwiek Bóg, który by jej wysłuchał.

Kierując się do metra, przeszła przez ulicę. Przy stacji panował ruch. Owinięta grubym szalem kobieta sprzedawała warzywa ze straganu.

— „Evening Standard”! — wołał kioskarcz. — Beaverbrook spotyka się z Lavalem!

Sarah postanowiła, że kupi gazetę. W drodze do Berlina Beaverbrook zatrzymał się w Paryżu i w gazecie było jego zdjęcie z prezydentem Lavalem; podobnie jak Wielka Brytania, Francja rządzona była teraz przez prawicowego magnata prasowego.

Nagle zaczęło się coś dziać. Czterej mniej więcej dwudziestoletni chłopcy, w płaszczach przeciwdeszczowych, z zawieszonymi na ramionach torbami, biegli

ulicą przez tłum, wyciągając z toreb ulotki, wciskając je w ręce zdumionych przechodniów i rzucając całe ich garście w powietrze.

— Hej! — zawołał ktoś.

Sarah myślała z początku, że to jakiś sztubacki żart, ale chłopcy mieli poważne twarze. Przebiegli obok niej, ciskając plik ulotek na stragan z warzywami.

— Sukinsyny! — wrzasnął kioskarz, kiedy mijali wejście do metra. Gorący podmuch ze środka porwał ulotki, które zawirowały niczym konfetti. Jedna z nich otarła się o jej płaszcz i Sarah ją złapała.

Nie mamy
WOLNEGO PARLAMENTU!
WOLNEJ PRASY!
WOLNYCH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH!
Niemcy okupują wyspę Wight!
Strajkujący są rozstrzeliwani!
Niemcy każą nam ścigać Żydów!
KTO BĘDZIE NASTĘPNY?
WALCZ Z NIEMIECKIM PANOWANIEM!
WSTĄP DO RUCHU OPORU!
W.S. Churchill

Sarah podniosła wzrok. Czterej chłopcy skręcali właśnie za rogiem. Nagle nie wiadomo skąd pojawiło się kilkunastu funkcjonariuszy pomocniczych formacji policji. Podbiegli do rzucających ulotki i wyrócili ich na chodnik. Jeden wpadł do rynsztoka i jadąca ulicą taksówka skręciła ostro w bok, trąbiąc. Policjanci chwycili za kołnierz chłopców i ustawili ich przy ścianie, brutalnie odpychając na bok kilka innych osób. Niosąca torbę z zakupami starsza kobieta upadła i na ulicę wysypały się zawinięte w pergamin pakunki. Przewrócili także mężczyznę z parasolem, w meloniku na głowie. Sarah widziała, jak melonik toczy się pod autobus i jak miażdżą go koła. Pasażerowie w środku patrzyli z otwartymi ustami na całą scenę, ale większość odwróciła szybko wzrok.

Policjanci, w większości też młodzi ludzie, wyciągnęli pałki i zaczęli okładać bezlitośnie chłopaków. Sarah usłyszała trzask drewna uderzającego w głowę i zaraz potem krzyk. Zobaczyła zalane krwią usta schwytanego. Jeden z policjantów, z pobladłą z wściekłości twarzą, regularnie tłukł innego chłopca, podkreślając każde uderzenie obelgami.

— Ty jebany... kochający żydków... zasrany... komuchu.

Większość ludzi oddaliła się, odwracając twarze, ale kilku zatrzymało się w miejscu.

— Hańba! — krzyknął ktoś.

Policjant bijący chłopca odwrócił się, sięgnął do kabury przy biodrze i wyciągnął pistolet. Gapie cofnęli się przerażeni.

— Kto to powiedział?! — wrzasnął policjant. — Który to?!

Chwilę później do krawężnika podjechała, głośno trąbiąc, policyjna suka. Wyskoczyli z niej kolejni czterej policjanci i otworzyli podwójne drzwi z tyłu. Chłopców wrzucono jak worki do środka, zatrzaśnięto drzwi i suka odjechała, skrzecząc klaksonem. Policjanci z formacji pomocniczych poprawili mundury i spojrzeli na tłum, jakby czekali, czy ktoś się jeszcze odezwie. Nikt się nie ośmielił. Wówczas, torując sobie drogę łokciami, odeszli. Sarah spojrzała na pochłapany krwią chodnik przy murze.

Obok niej stał, drżąc ze zdenerwowania, starszy mężczyzna w czapce i szaliku. Niewykluczone, że to on krzyknął.

— Sukinsyny — wymamrotał. — Sukinsyny.

— To zdarzyło się tak nagle — powiedziała Sarah. — Dokąd ich zabrali?

— Pewnie do Scotland Yardu. — Starszy mężczyzna popatrzył Sarah prosto w oczy. — Na dół, na przesłuchanie. Biedacy. Przecież to jeszcze dzieci. Prawdopodobnie ściągną do nich czarnych diabłów z Senate House. Rozerwą ich na strzępy.

— Czarnych diabłów?

Starszy mężczyzna posłał jej pogardliwe spojrzenie.

— Gestapowców. Esesmanów. Nie wie pani, kto tu naprawdę rządzi?

Rozdział ósmy

Gunther Hoth przybył do Londynu w piątek wczesnym popołudniem. Przyleciał dziennym lotem Lufthansy z Berlina. Na lotnisku Croydon czekał na niego wielki czarny mercedes ze znakami rejestracyjnymi ambasady.

— *Heil Hitler!* — przywitał go schludnie ubrany młody kierowca.

— *Heil Hitler!*

— Lot był udany, Herr Sturmbannführer?

— Dość udany.

— Jestem Ludwig. Będę dzisiaj do pańskich usług.

Młody człowiek przemawiał niczym przewodnik turystyczny, ale miał bystre oczy. Należał prawdopodobnie do SS. Gunther z przyjemnością rozsiadł się w wygodnym wnętrzu samochodu. Był zmęczony i bolały go plecy. Poprzedniego wieczoru prosto z zebrania z Karlsonem pojechał się spakować i trochę zdrzemnąć, a potem wstał wcześnie, żeby zdążyć na samolot. Z okna jadącego samochodu patrzył na szare przedmieścia Londynu. Anglia była dokładnie taka, jak ją zapamiętał: zimna i mokra. Wszyscy wydawali się bladzi i czymś zaabsorbowani, ubrania robotników były liche i sfatygowane. Wiele brudnych budynków było chyba w złym stanie. W rynsztokach, ale i na chodnikach widać było wszędzie psie kupy. Kraj prawie się nie zmienił, odkąd był tu siedem lat wcześniej; właściwie wyglądał tak samo, jak wówczas, gdy przyjechał tu po raz pierwszy w 1929 roku na studia.

Mimo to cieszył się z powierzonego zadania. Miał już dosyć pracy w gestapo, dosyć przesłuchiwanie informatorów, w których oczach płonęła chciwość i złość, dosyć grzebania w kartotekach. Ostatnio nie odczuwał już nawet tak dużej satysfakcji, kiedy dzięki przebłyskowi intuicji odnajdywał któregoś z nielicznych, wciąż ukrywających się Żydów.

Od ponad dwudziestu lat nienawidził Żydów za wszystkie te straszne rzeczy, które wyrządzili Niemcom. Wiedział, że nadal są groźni, nadal mają dużo do powiedzenia w Ameryce i w tym, co pozostało z Rosji, ale w ostatnich latach, w miarę jak się starzał — niebawem miał skończyć czterdzieści siedem lat — jego gniew jakby się wypalał. Poprzedniego dnia podjechał o świcie przed dom na zamożnym przedmieściu Berlina. Towarzyszący mu czterej policjanci zaczęli

walić w drzwi i krzyczeć, żeby im otworzono. W wilgotnej piwnicy odnaleźli rodzinę Żydów: matkę, ojca i jedenastoletniego syna. Mieli tam prycze, fotele, nawet mały zlew. Wywlekli całą trójkę na górę, z awanturującą się i wrzeszczącą matką, i zabrali ich do kuchni, gdzie czekali już gospodarze, państwo Mullerowie, ze swoimi córeczkami, dwiema małymi blondynkami w identycznych niebieskich nocnych koszulach. Mniejsza ścisłała w rękach szmacianą lalkę.

Podwładni Gunthera ustawili trójkę Żydów przy ścianie. Kobieta przestała krzyczeć i stała, cicho szlochając, z głową schowaną w dłoniach. Mały chłopak rzucił się nagle jak wariat do ucieczki. Jeden z ludzi Gunthera złapał go, cisnął z powrotem na ścianę i uderzył w twarz. Z ust chłopca pociekła krew. Gunther zmarszczył brwi.

— Dosyć tego, Peter — powiedział i odwrócił się do rodziny Niemców. Wiedział, że pan Muller był urzędnikiem na kolei, politycznie niezaangażowanym. — Dlaczego to zrobiliście? — zapytał ze smutkiem. — Wiecie, że to dla was koniec.

Muller, chudy jak tyczka, łysiejący mężczyzna, wskazał głową mały drewniany krzyż wiszący na ścianie. Gunther pokiwał głową.

— Rozumiem. Luteranie? Kościół Wyznający?

— Tak — odparł mężczyzna i spojrzał na schwytanych Żydów. — Oni mają dusze, tak samo jak my — dodał z nagłym gniewem.

Gunther słyszał już wielokrotnie ten głupi argument. Westchnął.

— Ściągnęliście sobie tylko na głowę kłopoty — powiedział. — I im też ich przysporzyliście. Jak wszyscy inni już dawno powinni zostać przesiedleni. Zamiast tego przez całe lata błakali się po cudzych domach.

Ludzie pokroju państwa Mullerów byli tacy głupi. Mogli prowadzić spokojne normalne życie, ale teraz czekało ich przesłuchanie w siedzibie SS i śmierć przez powieszenie.

Pan Muller wziął głęboki oddech.

— Proszę, nie krzywdźcie naszych małych córeczek — poprosił drżącym głosem.

— Czy nie powinien pan o nich pomyśleć, zanim pan to zrobił? — Gunther ponownie westchnął. — Ale dobrze, waszym córkom nic się nie stanie, zostaną zaadoptowane przez porządne niemieckie rodziny, które straciły prawdopodobnie swoich synów na froncie wschodnim — dodał z goryczą, patrząc kobiecie prosto w oczy.

— Czy mam na to pańskie słowo? — zapytał jej mąż.

Gunther pokiwał głową.

— Dziękuję — powiedziała kobieta, po czym opuściła głowę i zaczęła płakać.

Gunther zmarszczył brwi. Nigdy dotąd nie usłyszał podziękowań od kogoś, kogo aresztował. Spojrzał na mały krzyż na ścianie. On też został wychowany w religii luterańskiej i zdawał sobie sprawę, że krzyż jest symbolem poświęcenia. Wiedział, czym jest prawdziwe poświęcenie. Przed ośmiu laty partyzanci na Ukrainie zabili jego brata bliźniaka, Hansa. Siedząc w wygodnym samochodzie jadącym przez Londyn, przypomniał sobie pierwszy urlop brata po inwazji na Rosję w 1941 roku. Hans służył tam w SS Einsatzgruppe, która likwidowała bolszewików i Żydów. Kiedy wrócił stamtąd w grudniu, miał trzydzieści trzy lata, ale wyglądał na więcej. Żona Gunthera poszła spać, lecz Hans siedział dalej w pokoju. Na tle czarnego munduru SS jego twarz wydawała się biała i wycieńczona.

— Zabiłem setki ludzi, Guntherze — powiedział. — Dzieci i starców. — Nagle zaczął mówić szybciej: — Kiedyś otoczyliśmy całe żydowskie miasteczko, sztetl, kazaliśmy im wykopać wielki dół, a potem klęczeć nago na jego skraju, kiedy do nich strzelaliśmy. Było tak mroźno, że zaraz po tym, jak się rozebrali, zaczęli się trząść z zimna i oczywiście ze strachu. — Hans zadygotał i głęboko odetchnął, a potem wziął się w garść i splótł ręce na piersi. — Ale Himmler mówi, że musimy być twardzi i bezwzględni. Zwrócił się do nas, zanim wyjechaliśmy do Rosji. Powiedział, że musimy to zrobić dla przyszłości Rzeszy. Dla nienarodzonych pokoleń. — Hans wlepił w brata zdesperowane płonące oczy. — Bez względu na to, ile nas to będzie kosztowało.



Po aresztowaniach Gunther spędził resztę dnia, wykonując papierkową robotę w kwaterze głównej gestapo przy Prinz-Albrecht-Strasse. Podpisał dokumenty, na mocy których żydowska rodzina miała zostać skierowana do Departamentu Ewakuacji Żydów Heydricha, a Mullerowie na przesłuchanie. Potem znużony zszedł na dół szerokimi centralnymi schodami, mijając popiersia niemieckich bohaterów, i ruszył na piechotę do swojego mieszkania. Trasa wiodła obok rozciągającego się w śródmieściu wielkiego placu budowy Germanii, zaprojektowanego przez Speera nowego Berlina, który miał być gotowy przed rozpoczęciem igrzysk olimpijskich w 1960 roku. Gmachy, które zaplanowali, były tak olbrzymie, że w piaszczystej glebie trzeba było umieścić sięgające trzydzieści metrów w głąb betonowe fundamenty. Wykopany piasek wywożono specjalną linią kolejową. W taki jak ten zimny, bezwietrzny dzień

w powietrzu unosiły się tumany pyłu; czasami były tak gęste, że Gunther, podobnie jak inni alergicy, zakładał na nos i usta małą białą maskę, którą sprowadzono z Ameryki. Wokół olbrzymich wykopów tworzących największy na świecie plac budowy roiły się tysiące polskich i rosyjskich robotników przymusowych. W ciągu dnia zawsze kilku ginęło i Gunther zobaczył wystające spod plandeki ręce i nogi trupów. Teren patrolowali policjanci z karabinami; było ich zdecydowanie mniej niż robotników, ale jeden człowiek z bronią może pilnować wielu, którzy nie są uzbrojeni.

Zauważył, że ostatnio mniej przechodniów nosi swoje opaski partii nazistowskiej. Ulice, których nie przebudowano, wydawały się coraz bardziej zaniedbane. Dzięki taniemu importowi z Francji i okupowanych terenów na Wschodzie standard życia Niemców jeszcze parę lat wcześniej utrzymywał się na wysokim poziomie, ale teraz, w miarę jak przedłużała się wojna w Rosji, zaczynał się obniżać; zginęło już pięć milionów Niemców i co tydzień informowano o następnych poległych. Wywiad policyjny codziennie donosił o obniżającym się morale; wielu obywateli nie używało już niemieckiego pozdrowienia *Heil Hitler*.

W swoim mieszkaniu jak zwykle zjadł sam obiad przy kuchennym stole, a potem słuchał przez chwilę radia. Otworzywszy piwo, pomyślał o byłej żonie i synu. Przed czterema laty Klara opuściła go dla kolegi z policji; zabrali jego syna Michaela i wyjechali jako subsydiowani osadnicy na Krym, będący jedyną częścią Rosji, z której całkowicie usunięto rdzenną ludność, a poza tym jako półwysep łatwą do obrony i z tego względu uważaną za bezpieczną. Gunther wiedział jednak, że prowadząca tam, długa na tysiąc sześćset kilometrów linia kolejowa, którą zbudowali Niemcy, jest stale atakowana przez partyzantów.

Wyłączył radio — puszczała akurat muzykę Mozarta, którą uważał za zniewieściałą i irytującą — i nastawił uwerturę *Rok 1812* Czajkowskiego. Lubił jej potężny miażdżący rytm, mimo że Czajkowski był Rosjaninem i kimś nieakceptowanym. Muzyka poprawiła mu humor, ale kiedy ucichła, poczuł, że znowu ogarnia go ponury nastrój. Mówił sobie, że takie nastały czasy: ci, którzy wierzyli w Niemcy, musieli płacić wysoką cenę za ich przyszłość.

Wzdrygnął się, słysząc dzwonek telefonu. Dzwoniono z komendy głównej gestapo. Miał się natychmiast zgłosić do nadkomisarza Karlsona.



Karlson urzędował w dużym gabinecie na najwyższym piętrze budynku przy Prinz-Albrecht-Strasse. Na podłodze leżał gruby dywan, na ścianach wisiły

obrazy przedstawiające osiemnastowieczny Berlin, na biurku i stołach stały małe figurki. Skonfiskowano je prawdopodobnie Żydom; Karlson był w partii od lat dwudziestych i cieszył się wszystkimi przywilejami nazistowskiego „złotego bażanta”. Zwalisty i wysoki, roztaczał wokół siebie atmosferę pogodnej życzliwości i był jak wielu starych członków partii nieokrzesany, lecz sprytny. Przy wielkim biurku, pod portretami Himmlera i Führera, siedział jeszcze jeden mężczyzna — wysoki, szczupły, koło czterdziestki, z czarnymi włosami i błękitnymi bystrymi oczyma, ubrany w elegancki czarny mundur SS, z którym idealnie kontrastowała opaska ze swastyką na białym tle. Karlson też był w mundurze, chociaż normalnie nosił garnitur, podobnie jak Gunther, którego praca polegała między innymi na tym, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Gunther zauważył, że nieznajomy ma nieskazitelnie uprasowane spodnie i trzyma na kolanach otwartą teczkę.

Karlson powitał go ciepło i wskazał krzesło przed biurkiem.

— Dziękuję, że tak szybko się zameldowałeś — powiedział.

— Nie miałem żadnych innych zajęć, panie nadkomisarzu.

— Pozwól, że przedstawię ci Obersturmbannführera Rennera z sekcji E7 — oznajmił Karlson, wymieniając z szacunkiem stopień i nazwisko gościa. Gunther zdał sobie sprawę, że ma przed sobą brygadiera, który w Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy zajmował się Wielką Brytanią. Musiało im zależeć na kimś ważnym. — Sturmbannführer Hoth należy do moich najbardziej cenionych oficerów — podjął Karlson. — Poluje na Żydów, którzy nadal ukrywają się w Berlinie. Dziś udało mu się złapać trzech.

Brunet pokiwał głową.

— Gratulacje. Dużo ich jeszcze zostało pana zdaniem?

— W Berlinie niewielu. Operacja dobiega końca. Ale słyszałem, że w Hamburgu jest ich jeszcze trochę.

— Może więcej, niż nam się wydaje — dodał Karlson. — Są jak szczury; człowiek myśli, że się ich pozbył, a one wracają i podgryzają mu palce u nóg tymi swoimi ostrymi ząbkami, prawda?

Popisuje się przed gościem, pomyślał Gunther.

— Nie — powiedział cicho Renner. — Moim zdaniem Sturmbannführer Hoth ma rację, niewielu ich teraz tu zostało — dodał, spoglądając na Hotha z zainteresowaniem. — Podobno spotkał się pan z zastępcą Reichsführera Heydrichem.

— Tylko parę razy. Zaraz po tym, jak wstąpiłem do Hitlerjugend.

Renner pokiwał w zamyśleniu głową. Chyba nadal oceniał Gunthera.

— Jak pan myśli, co pan będzie robił, Sturmbannführer Hoth, kiedy w Niemczech nie będzie już ani jednego Żyda?

— Nie wiem, Herr Obersturmbannführer. Do emerytury zostało mi trochę lat. Być może pojedę do Polski, słyszałem, że jest tam jeszcze sporo do zrobienia. — Może jeśli tak zrobię, pomyślał, odzyskam życiową energię, a może dorwą mnie partyzanci i dopełni się nasza rodzinna ofiara.

— Ma pan interesujący życiorys, Hoth. Studiował pan anglistykę, spędził pan rok w Anglii, a po powrocie stamtąd wstąpił do partii i przez pięć lat służył w policji kryminalnej.

— Tak jest, Herr Obersturmbannführer. Mój ojciec też był policjantem.

Renner pokiwał głową; na jego czarnej esesmańskiej czapce błysnęła srebrna odznaka z czaszką i pieszczelami.

— Wiem. W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku wstąpił pan do kontrwywiadu gestapo, kierowanego wówczas przez Brigadeführera Schellenberga. Zajmował się pan tam problematyką Anglii, w tym planami jej okupacji, która na szczęście — dodał Renner z chłodnym uśmiechem — nie okazała się konieczna. Następnie, po tysiąc dziewięćset czterdziestym, przez pięć lat przebywał pan na placówce w Anglii, współpracując z ramienia naszej ambasady z brytyjskim Wydziałem Specjalnym i pomagając im stworzyć programy zwalczania działalności wywrotowej. — Renner zerknął do rozłożonych na kolanach papierów i Gunther zorientował się, że zagląda do jego teczki personalnej. — A mimo to w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym — podjął Renner, podnosząc wzrok i mierząc go zaintrygowanym spojrzeniem — poprosił pan o przeniesienie do Berlina, do departamentu trzeciego. I tutaj pan pozostał, zajmując się kwestiami etnicznymi oraz przez ostatnich parę lat tropieniem ukrywających się Żydów. I nie starając się o awans.

— Miałem dość Anglii, Herr Obersturmbannführer — odparł Gunther. — Moja żona jeszcze bardziej. I wystarcza mi mój obecny stopień.

— Słyszałem, że żona odeszła od pana.

— Tak jest, Herr Obersturmbannführer.

Renner spojrział na niego łagodniejszym wzrokiem.

— Przykro mi, współczuję. Pański dorobek jest wzorowy, oddał pan wielkie zasługi Rzeszy. Piszą tutaj, że ma pan analityczny umysł, potrafi pan zauważyć prawidłowości, których nie widzą inni funkcjonariusze.

Renner znowu przez dłuższą chwilę mierzył Gunthera wzrokiem, a potem popatrzył na Karlsona.

— To prawda — potwierdził tamten i odchylił się w fotelu, spoglądając na Gunthera dużymi, przekrwionymi oczyma. — Do sekcji Obersturmbannführera Rennera zwrócili się z prośbą pewni wysoko postawieni urzędnicy w naszej londyńskiej ambasadzie. Potrzebna im jest tam osoba... — Karlson uśmiechnął się — która wykonałaby pewne ważne zadanie. Mówi pan po angielsku,

studiował pan tam na uniwersytecie, a potem pracował jako oficer łącznikowy policji w Senate House. Chcieliby, żeby przyjechał pan do nich na tydzień lub dwa.

— Oczywiście, jeśli będę mógł okazać się przydatny — odparł po krótkim wahaniu Gunther.

— Mimo że nie lubi pan Anglii? — zapytał Renner.

— Wiem, że Wielka Brytania jest naszym sojusznikiem, ale nie lubię i nie darzę zaufaniem Brytyjczyków. Zawsze uważałem, że są... dekadency. — Renner pokiwał głową. — A Beaverbrook to palant — dodał Gunther.

Renner ponownie pokiwał głową.

— Zgadzam się. Ale Mosley nie jest jeszcze dość silny, by przejąć władzę. Anglicy są Aryjczykami, lecz mimo swoich dokonań nie myślą w kategoriach rasowych. I owszem, są dekadency, nie panują już nad swoim imperium. A ludzie Churchilla przysparzają coraz więcej kłopotów.

— Tak słyszałem.

— Beaverbrook jest teraz we Francji, prowadzi rozmowy z Lavalem. — Renner lodowato się uśmiechnął. — Potem przyjeżdża do Berlina. Chce zacieśnić stosunki gospodarcze z Niemcami i sformować więcej oddziałów w Indiach. Brytyjczycy nie potrafią ściągać pieniędzy ze swojego imperium, więc chcą teraz zgarnąć okruszki z naszego stołu. Będą musieli za to zapłacić pewną cenę.

Renner spojrzał na Karlsona, który splótł razem pulchne dłonie i pochylił się do przodu.

— Operacja, w której miałby pan wziąć udział, prowadzona jest przez SS. Wiemy, że jest pan wobec nas lojalny. W Londynie będzie pan współpracował z przedstawicielem naszego wywiadu. Proszę nie informować o niczym personelu ambasadora Rommla, ludzi, których pan tam znał, i wojskowych, których jest pełno w ambasadzie.

A więc to część sekretnej wojny między SS i armią, pomyślał Gunther, wojny toczącej się od lat. Wojskowi uważali się za historycznych strażników Niemiec, a esesmani za forpocztę przyszłości, ludzi, którzy będą strzegli czystości rasy i pilnowali wymierania niższych ras na terenie Wielkich Niemiec. Hitler faworyzował SS, stworzył tę formację z niczego, jednak teraz był chory, zdaniem niektórych poważnie, i ani SS, ani armia nie wydawały się zdolne zwyciężyć w Rosji. W gestapo opowiadano, że armia chce zakończyć wojnę, zatrzymać Ukrainę, zachodnią Rosję i Zakaukazie i pozwolić, by Rosjanie utworzyli własne kadłubowe państwo na Wschodzie. Jednak Himmler wiedział, że jeśli Niemcy mają być bezpieczne, wojna musi zostać doprowadzona do samego końca. Po śmierci Göringa władza gospodarcza przeszła w dużej części

w ręce Speera, który miał po swojej stronie wojsko, lecz Himmler i SS uważali go za kogoś niewiele lepszego od bolszewika, z jego wielkimi państwowymi przedsięwzięciami i pogardą dla wolnego rynku. Goebbels, wybrany po śmierci Göringa na następcę Hitlera, zachowywał między nimi równowagę, ale ostatnio nikt nie wiedział do końca, po czyjej stronie stoi Goebbels.

— Więc ludzie Rommla nie są w to zaangażowani? — zapytał ostrożnie Gunther.

— Rommel o niczym nie wie. Operacja odbywa się wyłącznie w ramach SS — odparł Renner. — Jeśli masz z tym jakiś problem, Hoth, musisz nam powiedzieć od razu. Uznamy wtedy, że ta rozmowa nigdy nie miała miejsca.

— Nie mam żadnego problemu, Herr Obersturmbannführer.

— To świetnie. — Renner odchylił się w fotelu.

— Polecisz do Londynu jutro z lotniska Tempelhof o dziewiątej rano — powiedział Karlson. — Zawiozą cię stamtąd do ambasady, gdzie dowiesz się więcej o czekającym cię zadaniu. Tymczasem nie mów o tym nikomu.

— Tak jest, panie nadkomisarzu — odparł Gunther. Nie mam nikogo, komu mógłbym o tym powiedzieć, pomyślał.

— Przywieź mi trochę angielskiej herbaty, dobrze? Earl greya. — Karlson roześmiał się i spojrzał na Rennera. — Napój starszych pań. Żona lubi ją podawać, kiedy odwiedzają nas jej ciotki.



W śródmieściu Londynu ruch był większy. Wielki mercedes zatrzymał się na światłach pośród mniejszych angielskich samochodów z obłymi maskami. Gunther zobaczył w szybie swoje niewyraźne odbicie. Zaczynały mu się robić obwisłe policzki, mimo że usta i podbródek nadal miał wyraziste. Powinien więcej ćwiczyć; Hans zawsze dbał o formę. Kiedy skręcili w szeroką Euston Road, na przedniej szybie zaczęły osiadać kropelki mżawki.

Po raz pierwszy przyjechał do Anglii w 1929 i przez rok studiował w Oksfordzie. Już wówczas Anglicy wydali mu się zniewieściali. Mimo to po podpisaniu traktatu berlińskiego wrócił do Londynu i przez pięć lat współpracował z brytyjską policją, szkoląc ich, jak radzić sobie z zamieszkami, niepokojami społecznymi i terroryzmem. Brytyjczycy nauczyli się już sporo w Irlandii, ale w pokojowych latach czterdziestych osiedli na laurach.

Po jakimś czasie samochód skręcił w lewo i minąwszy kilka dużych starych gmachów i skwerów z pozbawionymi liści drzewami, podjechał do Senate House od tyłu. Teren ambasady był tu ogrodzony sześciometrowym betonowym murem

pilnowanym przez brytyjską policję. Niemiecki żołnierz otworzył stalową bramę, za którą znajdował się parking. Gunther sztywno wysiadł i spojrzał na dziewiętnastopiętrowy budynek przypominający wysoką, stromą piramidę. Zawsze podziwiał jego proporcje i funkcjonalność. W zimnym, ciężkim powietrzu zwisały wielkie flagi ze swastykami.

Kierowca zaprowadził go znajomymi kamiennymi korytarzami do rozległego centralnego holu, gdzie na wielkim piedestale stało trzymetrowe marmurowe popiersie Führera. Panował tu tak samo ożywiony ruch jak kiedyś. W przestronnym wnętrzu rozbrzmiewało echo wielu głosów i kroków: wszędzie widać było mężczyzn w mundurach. Maszynistki dźwigające akta przemierzały hol w eleganckich garsonkach, stukając wysokimi obcasami. Podeszli do wind. Kierowca okazał przepustkę windziarzowi, również żołnierzowi. Sami wjechali szybko na dwunaste piętro.

— Jakie to uczucie wrócić na stare śmieci, Herr Sturmbannführer?

— Przygnębiająco znajome. Ale w powietrzu nie ma przynajmniej tyle pyłu, co w Berlinie.

— Owszem. Choć brytyjskie mgły też potrafią dać w kość.

— Świetnie je pamiętam.

Drzwi kabiny otworzyły się. Ludwig ponownie przybrał oficjalny ton.

— Spotka się pan teraz ze Standartenführerem Gesslerem. Następnie odwiozę pana do pańskiego mieszkania. Mieści się przy Russell Square, jest bardzo wygodne.

— Dziękuję.

Pułkownik wywiadu musiał być jednym z najwyższych rangą esesmanów w ambasadzie. Gunther poczuł dreszcz podniecenia, jakiego od dawna już nie zaznał.



Gabinet, do którego wszedł, był niewielki, pomalowany na biało, z panoramicznym widokiem na spowity szarymi chmurami Londyn. Na stole przy oknie stał globus z sięgającą aż po Ural Rzeszą, za biurkiem wisiały obowiązkowe fotografie Hitlera i Himmlera. Zdjęcie Hitlera było zrobione w 1950 roku i przedstawiało go z siwymi włosami, zapadniętymi policzkami i zgarbionymi ramionami. Patrzył zgnębionym wzrokiem na Hotha, w uderzający sposób różniąc się od pewnego siebie Himmlera.

Mężczyzna, który wstał, żeby go przywitać, miał na sobie kompletny mundur SS. Niski i schludny, musiał niedawno skończyć pięćdziesiątkę.

Przerzedzone włosy zaczesał na bok, żeby zamaskować łysinę. Okrągłe binokle i pociągła twarz o surowych rysach przypominały Guntherowi jego dawnego dyrektora szkoły w Königsbergu. Standartenführer Gessler należał do sztywnych, bezbarwnych technokratów, których Himmler i Heydrich chętnie awansowali na wysokie stanowiska. Gunther wiedział jednak, że tacy ludzie potrafią być brutalni; podobnie jak jego dawny szkolny dyrektor, łatwo wpadali w gniew. Gessler podniósł ramię w narodowosocjalistycznym salucie.

— *Heil Hitler* — powiedział.

Gunther odwzajemnił pozdrowienie. Gessler poprosił go, żeby usiadł, położył dłonie na biurku i dokładnie mu się przyjrzał. Miał krótkie, grube palce. Na biurku panował wzorowy porządek, wszystkie leżące na małej tacce pióra i ołówki skierowane były w tę samą stronę, papiery równo poukładane.

— Powiedziano mi, inspektorze Hoth, że można zaufać pańskiej dyskrecji — odezwał się ostro, bez zbędnych wstępów. — Że zna pan Brytyjczyków, ich zwyczaje i ich policję. Że kiedy to potrzebne, potrafi pan być dyplomatą. Że jest pan gestapowcem do szpiku kości. — Wąskie wargi Gesslera rozchyliły się w uśmiechu. — I że potrafi pan polować na ludzi — dodał konfidencjonalnie.

— Mam nadzieję, że to wszystko prawda, Herr Standartenführer.

— Niech pan to powtórzy po angielsku.

Gunther wykonał polecenie. Gessler pokiwał głową.

— Dobrze. Powiedzieli, że nie ma pan prawie obcego akcentu. Słyszałem, że pański brat wstąpił do SS jako młody człowiek — dodał po chwili. — I że poległ śmiercią bohatera w Rosji.

— To prawda. — Gunther chętnie by zapalił, ale nigdzie w gabinecie nie widział popielniczki.

— Słyszałem też, że, podobnie jak on, wierzy pan, że Niemcy nie mogą się cofnąć przed niczym, by pokonać naszych wrogów i sprawić, by przyszłe pokolenia mogły żyć bezpiecznie w pokoju.

— Wierzę w to od ponad dwudziestu lat, Herr Standartenführer.

— Obaj z bratem wstąpiliście do partii w tysiąc dziewięćset trzydziestym.

— Tak jest. W latach weimarskiego chaosu.

Gessler założył nogę na nogę.

— A mimo to w przeciwieństwie do brata nigdy nie starał się pan o przyjęcie do SS. Jako funkcjonariusz gestapo podlega pan oczywiście automatycznie zastępcy Reichsführera Heydrichowi, ale nie należy pan do SS. Najwyraźniej nie przeszkadzało to moim kolegom w Berlinie, ale, moim zdaniem, wymaga to... jakiegoś wyjaśnienia. — Gessler ponownie się uśmiechnął, choć niezbyt serdecznie.

Gunther wziął głęboki oddech.

— Mojego brata Hansa zawsze pociągało życie idealisty. A mnie, podobnie jak ojca, praca w policji. Potrafię to robić. W ten sposób służę Niemcom — powiedział.

Gessler dyskretnie odchrząknął.

— Widzę, że raczej nie dba pan o kondycję fizyczną — zauważył. Sam sprawiał wrażenie silnego i wysportowanego w nieskazitelnym mundurze. — To dziwne. Wydawało mi się, że bliźniacy zachowują się w podobny sposób.

Gunther podejrzewał, że Gessler chce go sprowokować.

— Nie we wszystkim — odparł cicho.

Gessler przez chwilę się zastanawiał, a potem nagle wstał i podszedł do globusa.

— Pokazane tu granice są, jak obaj wiemy, fikcją — powiedział, kładąc rękę na Europie. — Sporo terytoriów na zachód od Wołgi pozostaje w rękach Rosjan. Nadal mają pola naftowe nad Wołgą, a także nowe, odkryte przez nich złoża na Syberii. Na większości zajętych przez nas terenów działają partyzanci. Podobnie jak w Polsce. Osiedla, które tam założyliśmy, są coraz mniej bezpieczne. Niektórzy twierdzą, że powinniśmy zakończyć wojnę, dogadać się z Chruszczowem i Żukowem, względnie z tymi drobnymi kapitalistami, których namnożyło się po drugiej stronie Wołgi i z którymi partia komunistyczna podzieliła się władzą. Co pan o tym sądzi?

Gunther wiedział, jakiej odpowiedzi oczekuje od niego Gessler. Tak się składało, że była to odpowiedź, w którą sam szczerze wierzył.

— Gdybyśmy dogadali się z Rosjanami i zgodzili na istnienie dużego państwa rosyjskiego, które mogłoby nam znowu zagrozić, okazałoby się, że na marne poszła śmierć pięciu milionów niemieckich żołnierzy — rzekł. — A przecież nasza technologia wojskowa przez cały czas się rozwija.

Gessler obrócił globus i wskazał Stany Zjednoczone.

— Ale nie tak szybko jak w Ameryce — stwierdził. — A za parę tygodni odejdzie prezydent Taft i władzę obejmie ten liberał Adlai Stevenson. Mówią, że jest ostrożny i przezorny, ale nie darzy nas sympatią.

— Amerykanie zawsze byli nieprzewidywalni.

— Owszem. I choć prowadzą politykę izolacjonizmu, wynaleźli groźną broń. Zapewniają, że mają bombę atomową, cudowną broń, która przewyższa wszystko, co posiadamy.

— Podobno to tylko czcze przechwałki. Te filmy to hollywoodzka lipa — odparł Gunther, chociaż wcale nie był tego taki pewny.

— Nie, to prawda — zaprotestował rzeczowym tonem Gessler. — Te filmy, które pokazują atomowe wybuchy na pustyni, są autentyczne. Piasek zamienił się w szkło — dodał, podnosząc gęste ciemne brwi. — Mamy w Ameryce agentów

i sympatyków. Mieliśmy ich już w czasach Roosevelta. I mamy ich również w amerykańskiej ambasadzie w Londynie. Później powiem panu o tym więcej. Wracając do nas, my też mamy swój program nuklearny, to żadna tajemnica. Mimo to nie idzie nam najlepiej. Uważamy, że Amerykanie wyprzedzili nas we wszystkich badaniach nad różnymi rodzajami broni. Nad bronią biologiczną. Wygląda na to, że dogonili nas nawet w technologii raketowej.

Gessler roześmiał się; w jego głosie zabrzmiała nieoczekiwana nerwowość.

— Może pisarze science fiction mieli rację i pewnego dnia wojna wybuchnie na Księżycu — powiedział i usiadł z powrotem za biurkiem. — Do tej pory — oznajmił — nie udało nam się zdobyć żadnych konkretnych informacji na temat amerykańskiego programu zbrojeń, ponieważ, jak pan się zapewne domyśla, bardzo pilnie go strzegą. Teraz jednak, być może, otwierają się przed nami pewne możliwości. Powtarzam: być może — dodał, uśmiechając się i otwierając szerzej oczy.

Gunther poczuł znowu dreszcz podniecenia.

— Czy to ma coś wspólnego z moją misją? — zapytał.

Gessler odchylił się w fotelu, jakby ogarnęło go nagłe zmęczenie.

— Sytuacja nie jest dobra — powiedział. — Chciałbym, żeby Führer przemówił do nas przez radio albo w telewizji tak, jak to kiedyś robił. W Rosji zaczyna się kolejna zima. Znowu atakowane są linie kolejowe, którymi zaopatrujemy nasze armie. Rosjanie wiedzą, jak wyżyć z ziemi, jakie jeść trawy, w co się ubrać, żeby nie marznąć, i jak przetrwać w temperaturze dochodzącej do minus czterdziestu stopni. Wiemy, że rozpoczną kolejną zimową ofensywę, zaopatrywani przez fabryki, które wybudowali w lasach daleko za Uralem. Nasze rakiety są prawie bezużyteczne, kiedy nie wiemy, w co je wycelować. Na dodatek rośnie w siłę ruch oporu w Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, we Włoszech i Francji... — Gessler pokręcił głową i popatrzył ostro na Gunthera. — Żeby wygrać wojnę z Rosją, musimy poznać sekrety amerykańskich naukowców.

Gunther poruszył się niespokojnie na krześle. Skoro nawet pułkownik SS z takim pesymizmem patrzy w przyszłość, co powiedzieć o Speerze i wojskowych? Gessler, który zauważył jego spojrzenie, wyprostował się i zmarszczył czoło.

— Słyszał pan o sprawie Tylera Kenta? — zapytał ostro.

— Kent był naszym sympatykiem. Pracował w amerykańskiej ambasadzie tuż przed naszym zwycięstwem w tysiąc dziewięćset czterdziestym.

— Zgadza się. Zanim go aresztowano, przekazywał użyteczne informacje na temat kontaktów Churchilla z Rooseveltem. Znał kilku brytyjskich faszystów, między innymi Maule'a Ramsaya, obecnego ministra do spraw Szkocji. Brytyjskie tajne służby dowiedziały się o jego działalności. Co do ambasadora

Kennedy'ego... jest tu od dawna, nie dba zbyt o bezpieczeństwo i jest nam przychylny. Mamy w ambasadzie swoich agentów, nowych Tylerów Kentów i przed kilkoma tygodniami jeden z nich przekazał nam bardzo ciekawą informację. — Gessler pochylił się do przodu i splótł palce. — Pewien amerykański naukowiec... nie mogę pana poinformować, jaką dokładnie dziedziną się zajmował, powiem tylko, że związana jest ona z ich programem zbrojeń... przyleciał do Anglii na pogrzeb swojej matki. Nazywa się Edgar Muncaster. Choć od prawie dwudziestu lat ma amerykańskie obywatelstwo, urodził się w Wielkiej Brytanii. Nasz człowiek w amerykańskiej ambasadzie odkrył, że ochroniarzy z Grosvenor Square niepokoiło, że facet włóczy się sam po Londynie.

— Jest sympatykiem ruchu oporu?

— W najmniejszym stopniu. Popiera potężną, izolacjonistyczną Amerykę. Zresztą nie w tym rzecz. Po niedawnym rozwodzie zaczął pić i stał się nieprzewidywalny. Zatrzymał się na jakiś czas w Londynie, bo chciał sprzedać dom matki. Przez kilka dni trzymał się w ryzach. I nagle ślad po nim zaginął. Był pod obserwacją, ale wieczorem nie zameldował się w ambasadzie, tak jak powinien. W końcu dostali od niego telefon. Leżał w szpitalu w Birminghamie ze złamaną ręką.

— Jak to?

— Pojechał odwiedzić brata. Geologa pracującego na Uniwersytecie Birmingham. Doszło między nimi do sprzeczki, w trakcie której brat wypchnął naszego amerykańskiego przyjaciela przez okno.

— Był bardzo poszkodowany?

— Skończyło się na tym jednym złamaniu. Ale Amerykanie, nie bacząc na złamaną rękę i w ogóle, wyciągnęli go ze szpitala, aresztowali i wpakowali na pokład samolotu lecącego do Stanów. Według naszego człowieka w ambasadzie facet wylądował w więzieniu w Folsom w Kalifornii. Pełna izolacja, maksymalny nadzór.

— Więc musiał coś zbroić — powiedział Gunther.

Gessler pokiwał energicznie głową.

— Albo coś chlapnąć. Nie wiemy co. Nasz szpieg nie ma dostępu do tego rodzaju informacji.

— Czy Brytyjczycy byli w to zaangażowani?

— Nie. Amerykanie nie chcą, żeby o czymkolwiek wiedzieli. Powiedzieli im tylko, że zabierają do domu swojego rannego obywatela.

Gunther przez chwilę się zastanawiał.

— Z kim kontaktuje się nasz człowiek w amerykańskiej ambasadzie? — zapytał.

Gessler uśmiechnął się.

— Nie z ludźmi Rommla. Pracuje dla nas, dla SS. A my nie przekazaliśmy nikomu tych informacji. Ale zasięgnęliśmy języka u naszych przyjaciół w brytyjskim Wydziale Specjalnym... mamy tam paru porządnych ludzi. Poprosiliśmy ich, żeby przyjrżeli się bliżej bratu. Zna pan chyba ich obecnego komisarza.

— Tak jest — potwierdził Gunther. — Poznałem go podczas mojego poprzedniego pobytu. Mocno wierzy w brytyjsko-niemiecką współpracę. I jest porządnym antysemitą.

Gessler pokiwał głową.

— Przy zachowaniu ostrożności z niektórymi z nich możemy śmiało współpracować. Ale nie z brytyjskimi tajnymi służbami, odkąd przejęliśmy archiwa na Kremlu i dowiedzieliśmy się o tych wszystkich komunistycznych agentach. Dzisiaj zostało tam tylko kilku patriotów spod znaku śmierci lub chwały.

— Owszem — zgodził się ponownie Gunther. Podczas poprzedniego pobytu w Anglii widział, jak Wydział Specjalny rozwija się z wyspecjalizowanej sekcji londyńskiej policji do rozmiarów całej policyjnej instytucji z informatorami i agentami w antyrządowych organizacjach.

— Czego dowiedział się Wydział Specjalny? — zapytał.

— Że ten brat, Frank Muncaster, został aresztowany za usiłowanie morderstwa. Zdemolował własne mieszkanie i kiedy go aresztowano, wrzeszczał coś o końcu świata. Krzyczał na brata, że ten nie powinien mu mówić tego, co powiedział.

Gunther nerwowo się roześmiał.

— O końcu świata?

— Tak. Na szczęście zarzuty zostały zredukowane do poważnego uszkodzenia ciała. Facet zachowywał się tak dziwacznie, że nie zamknięto go w więzieniu, ale w miejscowym szpitalu psychiatrycznym. Gdzie znajduje się teraz. Dowiedzieliśmy się tego z akt policji w Birminghamie. Poinformowaliśmy ludzi z Wydziału Specjalnego, że naszym zdaniem Frank może mieć niepożądane kontakty w Europie. Kiedy odpowiedzieli, że nie ma, podziękowaliśmy im i wycofaliśmy się.

— Jeśli brat opowiedział im, co się wydarzyło, Amerykanie mogą się zainteresować tym człowiekiem — rzekł po chwili zastanowienia Gunther.

— Tak. Z całą pewnością bardzo im zależało, żeby sprowadzić Edgara Muncastera z powrotem do Stanów. Mogą spróbować uśmiercić brata. Jednak nie mogą tego załatwić oficjalnymi kanałami. Nie chcą, żeby Brytyjczycy poznali ich wojskowe sekrety. Jeśli Edgar w ogóle wyjawiał je Frankowi.

— Wybaczy pan, Herr Standartenführer — odparł Gunther — ale właściwie nie wiemy, czy ten... wariat... jest w posiadaniu jakichkolwiek tajnych informacji.

— To prawda. Ale z całą pewnością warto to sprawdzić.

— Czy powiedział coś więcej podczas pobytu w szpitalu?

— Tego nie wiemy. Musieli go nafaszerować lekami, żeby się uspokoił. Na ogół tak robią, kiedy dojdzie do użycia przemocy. Niestety, dotarcie do niego w szpitalu psychiatrycznym będzie wymagało pewnej delikatności i lokalnego rozeznania. — Gessler wzruszył ramionami. — Zna pan Brytyjczyków, stale stwarzają jakieś biurokratyczne trudności. Różne części systemu są od siebie niezależne. Dyrektor szpitala, doktor Wilson, ma krewniaka w tutejszym Ministerstwie Zdrowia.

— Czy nie wdrażają tu przepisów o sterylizacji upośledzonych umysłowo?

Gessler machnął pogardliwie ręką.

— Cackają się z nimi. Powinni wszystkich zagazować tak jak my. Ale nie zrobią tego.

— To prawda — zgodził się Gunther. — Dziesięć lat trwało, nim powołali jakiś autorytarny rząd.

— Ale teraz są na właściwej drodze. — Gessler uśmiechnął się. — Niedługo będą mieli na głowie inne sprawy.

— Naprawdę?

Gessler ponownie się uśmiechnął, jak człowiek, który dysponuje jakąś tajną wiedzą. Przez chwilę wyglądało to całkiem dziecinnie.

— Naprawdę. Chcę, żeby pojechał pan do Birminghamu — dodał rzeczowym tonem. — Niech pan zajrzy do mieszkania Muncastera, sprawdzi, czy nie ma tam czegoś interesującego. I złoży mu wizytę. Być może później poprosimy pana o wykradzenie Muncastera i sprowadzenie go tutaj. Jednak najpierw niech pan spróbuje ocenić, w jakim jest stanie i czy czegoś nie wygadał. Pomoże panu Wydział Specjalny.

Gunther pokiwał głową. Był teraz czujny i skoncentrowany.

— Oczywiście — dodał Gessler — to wszystko może się okazać niewarte funta kłaków. Ale polecenie, żeby zająć się tą sprawą, przyszło z samej góry, bezpośrednio od zastępcy Reichsführera Reinharda Heydricha.

Gunther zobaczył w oczach Gesslera błysk ambicji.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Herr Standartenführer.

— Będzie pan tutaj miał własny gabinet. Pomoże panu inspektor z Wydziału Specjalnego. Nazywa się Syme. To nasz dobry przyjaciel; spędził trochę czasu w Niemczech. Jest młody, ale sprytny i ambitny. Tak się składa, że rekomendował go nam pański następca. Pomoże panu uporać się z tutejszą

biurokracją. — Gessler podniósł nagle w górę palec i ten gest ponownie przypomniał Guntherowi dyrektora jego dawnej szkoły. — Ale jeśli chodzi o Syme'a i każdego, kto by o to pytał, interesujemy się Muncasterem wyłącznie z powodów jego podejrzanych politycznych kontaktów. Wolałbym, żebyśmy załatwili to odgórnie i poprosili o interwencję samego Beaverbrooka, lecz w tych okolicznościach, jak mówią ludzie w Luftwaffe, musimy lecieć poniżej radaru. Przynajmniej na razie.

— Czy, pana zdaniem, rzeczywiście coś się za tym kryje, Herr Standartenführer?

— Wiem trochę więcej od pana. — Gessler nie mógł się powstrzymać, żeby znowu z wyższością się nie uśmiechnąć. — Na temat tego, czym mógł się zajmować Edgar Muncaster. Dostyc, żeby zdać sobie sprawę, że to może być ważne. Nie zdradzę panu tego, Hoth, bo mówiąc bez ogródek, tego, czego pan nie wie, nie powtórzy pan nikomu. Ważne, że Himmler i Heydrich chcą, żebyśmy zajęli się tą sprawą.

Gunther zastanawiał się już, jak powinien lawirować, żeby brytyjscy biurokraci nie dowiedzieli się, co knuje. Jeśli przecucie Heydricha okaże się słuszne — choć przecież było to tylko przecucie — być może dokona jednak czegoś ważnego w swoim życiu.

Rozdział dziewiąty

Dwa dni wcześniej, w środę, po deszczach przyszły mgły i zamglenia. Frank siedział tam gdzie zawsze, w cichym pokoju. Poprzedniego dnia opowiedział szkockiemu pielęgniarzowi Benowi o swoim przyjacielu Davidzie i Ben zasugerował, że dobrze byłoby do niego zadzwonić, wy badać, czy David mógłby mu pomóc przenieść się do prywatnej kliniki.

— Jest w końcu wysokim urzędnikiem, tacy wiedzą, jak załatwia się podobne sprawy. Możesz skorzystać z telefonu w pokoju pielęgniarzy, kiedy będę miał dyżur.

Frank nie był jednak pewien, czy powinien to zrobić. Im rzadziej z kimkolwiek rozmawiał, tym lepiej. Wszystko z powodu sekretu, który poznał. Tego, co usłyszał od Edgara. Poza tym nie ufał do końca Benowi; dlaczego pielęgniarz tak bardzo chciał mu pomóc? Mimo że wcześniej zauważył z goryczą, że doktor Wilson poświęca Frankowi więcej uwagi, bo ten należy do klasy średniej. Ben wydawał się dość bezpośredni i przyjaźnie nastawiony, ale było w nim coś podejrzanego. Frank zauważył, że czasami mówi z silniejszym szkockim akcentem, zupełnie jakby się nim popisywał.

Rano Ben sam do niego przyszedł i zapytał, czy zastanawiał się nad telefonem do przyjaciela.

— Dlaczego to robisz? — zapytał go nagle Frank. — Dlaczego mi pomagasz?

Ben podniósł ręce w geście kapitulacji.

— Podejrzliwy z ciebie facet. Chodzi po prostu o to, że tu nie pasujesz, powinieneś spróbować się stąd wydostać. Ale to zależy od ciebie, chłopie. Jeśli wolisz zaufać doktorowi Wilsonowi, twoja sprawa — powiedział i poszedł sobie.

Frank powiódł za nim niespokojnym wzrokiem. Wiedział, że Ben ma rację, traktował wszystkich podejrzliwie już jako mały chłopiec. Doktor Wilson nie wspominał więcej o terapii elektrowstrząsowej, ale Frank bał się, że mogą go jej poddać i wtedy wypaple wszystko, co wie. Pomyślał ponownie o Davidzie Fitzgeraldzie. Należał do niewielu osób, którym naprawdę ufał i które polubił, jednak od wielu lat się z nim nie spotykał. Po ukończeniu Oksfordu utrzymywali kontakt listowny. Frank dostał zaproszenie na ślub Davida w 1943 roku, ale nie

pojechał, czuł, że ciężko mu będzie się odnaleźć w takim tłumie ludzi. Potem listy od Davida zaczęły przychodzić rzadziej i przez kilka ostatnich lat wysyłałi sobie tylko kartki na Boże Narodzenie.

Frank wolałby pozostać w cichym pokoju, ale pielęgniarze często go stamtąd wyganiali, mówiąc, że powinien zajrzeć do świetlicy, spróbować integrować się z innymi pacjentami. Nie miał na to ochoty. Inni pacjenci unaoczniali mu, w jakiej się znalazł sytuacji. Niektórzy przez cały czas gapili się w ścianę, inni, nie wiadomo z jakiego powodu, wybuchali nagle gniewem. Lata szaleństwa wykrzywiły twarze niektórych w dziwnych grymasach. Frank wiedział, że on też ma swój „małpi uśmiech”, a poza tym rzucił się na brata. Czy on też był szalony? Kiedy działały leki, wszystko było w porządku, lecz tuż przed zażyciem następnej dawki — brał dziennie trzy tabletki — serce zaczynało mu walić jak oszalałe i miał ochotę krzyczeć. Od wyjazdu ze Strangmans szkoła nigdy mu się nie śniła, ale teraz przytrafiało mu się to coraz częściej. To miejsce pod wieloma względami ją przypominało. Kilka razy przyśniła mu się nawet pani Baker.



Pani Baker była spirytystką. Matka twierdziła, że potrafi kontaktować się z jego ojcem, który zginął pod Passchendaele w 1917 roku; dwa tygodnie później urodził się przedwcześnie Frank. Matka nigdy nie pogodziła się ze śmiercią męża. George Muncaster był lekarzem, nie musiał zgłaszać się na ochotnika i matka Franka błagała go, żeby tego nie robił, lecz on uznał, że ma obowiązek wstąpić do wojskowego korpusu medycznego. A potem, dokładnie tak, jak się obawiała, zginął, zostawiając ją w wielkim domu samą z dwoma chłopcami i dochodzącą na dzień gosposią Lizzie.

Frank wiedział, że matka go nie kocha, chociaż kochała Edgara. Ale brat, który był od niego prawie cztery lata starszy, urodził się, kiedy była młoda i szczęśliwa, zanim w 1914 roku świat wpadł w obłęd. Zawsze powtarzała, że Edgar jest dobrym chłopcem, mądrym i posłusznym, podczas gdy Frank, z przebytymi w dzieciństwie chorobami i dziwactwami, które dały o sobie znać bardzo wcześnie, to prawdziwe utrapienie.

Ale to Frank był bardziej podobny do ojca. Na stojącej na kominku fotografii widać było taki sam długi nos, pełne kobiece wargi i duże, zdziwione ciemne oczy. Ojciec, podobnie jak Frank, wyglądał, jakby bał się świata. Za to Edgar był duży, barczysty i pewny siebie. Zanim, korzystając ze stypendium przyznawanego wojennym sierotom, wyjechał do dawnej szkoły ojca w Szkocji,

często przezywał Franka „chuchrem”, „mięczakiem” i słowem, na które trafił w jednej z baśni braci Grimm. „Jesteś pokurcz, Frankie”, mawiał. „Pomarszczony pokurcz”.

W latach dwudziestych w spirytyzmie szukały pociechy tysiące kobiet, które straciły w okopach swoich synów, mężów i braci. Pani Baker złożyła po raz pierwszy wizytę w domu w Esher, kiedy Frank miał dziewięć lat. Edgar wyjechał już wtedy do Szkocji i Frank chodził do małej miejscowej szkoły. Był cichym, bojaźliwym dzieckiem i prawie z nikim się nie przyjaźnił.

Ich dom, w którym mieścił się wcześniej gabinet ojca, był bardzo duży i dlatego to właśnie u nich odbywały się seanse z panią Baker. We wtorkowe wieczory zbierała się tam cała grupa, złożona z sześciu przedwcześnie postarzałych kobiet. Gospoia Lizzie, która zawsze była miła dla Franka, powiedziała mu, że nie pochwała spirytyzmu i że powinien trzymać się od tych spraw z daleka.

Kobiety przychodziły w porze, kiedy Frank kładł się spać, i witały się przyjaźnie, choć oficjalnie, z jego matką. Lizzie przygotowywała wcześniej kanapki i zimne napoje — pani Baker twierdziła, że alkohol zakłóca komunikację z duchami — i panie gawędziły o codziennych sprawach, swoich służących i ogródkach, a także o tym, że ci okropni górnicy nie przestają strajkować. Po przyjściu pani Baker milkły i zapadało nabożne milczenie. Była bardzo wysoka, tęgą kobietą koło pięćdziesiątki, z dużą kwadratową twarzą okoloną krótkimi loczkami. Nosiła modne suknie, choć popularne w tamtym czasie proste linie niezbyt do niej pasowały. Na szyi zawsze miała długi sznur pereł sięgający talii, a na ramieniu dużą torbę w tureckie wzory.

Frankowi wolno było częstować panie kanapkami. Kobiety zawsze pytały grzecznie, co u niego słychać, a pani Baker patrzyła na niego z góry i mówiła, że ma nadzieję, iż jest grzecznym chłopcem i pomaga swojej matce. Któraś z kobiet stwierdziła kiedyś, że jest biednym osieroconym malcem, ale pani Baker skarciła ją spojrzeniem i oznajmiła z powagą głębokim kontralem, że ojciec Franka towarzyszy mu duchem. Po dwudziestu minutach luźnej rozmowy pani Baker klaskała w dłonie.

— Pora zaczynać, moje panie. Czuję, że zbliża się Meng Foo — mówiła. Meng Foo była jej duchową przewodniczką, księżniczką ze starożytnych Chin. — Jest gotowa — dodawała pani Baker. — Widzę, jak idzie ku mnie, taka delikatna, drepcząc skrępowanymi stópkami.

Kobiety spuszczały skromnie wzrok, a matka mówiła Frankowi, żeby szedł do łóżka, i otwierała podwójne drzwi do jadalni, w której stał wielki stół.

Przygotowując kiedyś posiłek, Lizzie zwierzyła się siedzącemu w kuchni Frankowi, że dziwi ją, dlaczego pani Baker nie pozwala paniom chodzić do

nowego, odległego o półtora kilometra spirytystycznego kościoła.

— Twoja mamusia może sobie mówić, że inni spirytyści odsunęli się od pani Baker, bo zazdroszczą jej tego, że jest na wyższym poziomie świadomości. Wiem, że płacą jej za te sesje. Nie wiem ile, ale na pewno sporo.

Matka Franka powiedziała mu, że pani Baker prawie co tydzień kontaktuje się z jego ojcem. Słyszała, jak przez nią przemawiał; to był głos mężczyzny, ze szkockim akcentem. Kiedy opowiadała o seansach, jej normalnie smutna twarz rozjaśniała się w uśmiechu. Ojciec Franka przebywał podobno w skąpanych w słońcu ogrodach otoczonych pięknymi pałacami. Czasami widywał w oddali przechadzającego się Jezusa, całego w białym blasku. Matka powiedziała Frankowi, że ojciec żałuje, że odszedł i ich zostawił; wiedział teraz, że źle postąpił. Zawsze z miłością przypatrywał się Frankowi.

Wizja przypatrującego mu się ojca nie porywała zbytnio Franka, ponieważ w ogóle go nie znał. Poza tym Lizzie zasiała w nim ziarno wątpliwości co do pani Baker i wszystkich jej poczynąń.

We wtorkowe wieczory wiedziony ciekawością zaczął wymykać się z łóżka, kiedy kobiety zamykały się w jadalni. Schodził do połowy schodów, zerkał przez słupki balustrady na zamknięte drzwi i nasłuchiwał. Czasami rozlegały się jakieś stuki i łomoty, krzyki kobiet, czasami płacz któregoś z nich. Stuki budziły w nim lęk, a gdy któraś z kobiet szlochała, jemu też zbierało się na płacz, ale nigdy nie ruszył się z miejsca.

W pewien wiosenny wtorek, kiedy jak zwykle tkwił na swoim posterunku na schodach, z jadalni dobiegł go męski głos, a potem jedna z kobiet zanosła się desperackim strasznym szlochem. Płakała bardzo długo. Frankowi łzy podeszły do oczu. I nagle drzwi do jadalni otworzyły się i pani Baker wyszła na korytarz. Zatrzasnęła za sobą drzwi, oparła się plecami o ścianę i zamknęła oczy.

Kucający na schodach Frank zamarł w bezruchu. W holu panował półmrok; miał nadzieję, że jeśli się nie poruszy, pani Baker go nie zauważy. Jak zwykle miała na ramieniu dużą wzorzystą torbę. Na oczach Franka położyła ją na podłodze i ku jego zdumieniu wyciągnęła z niej małą butelkę whisky. Zerknęła ukradkiem na zamknięte drzwi i pociągnęła z niej zdrowy łyk. A potem westchnęła, znowu zerknęła na drzwi, pociągnęła drugi łyk i otarła usta. Kobieta w jadalni nadal płakała. Pani Baker mruknęła coś pod nosem. Frank usłyszał słowa „głupie krowy”. Wyraz twarzy pani Baker zmienił się; malowała się na niej teraz pogarda. Schowała z powrotem butelkę do torby, wyjęła paczkę miętówek i łyknęła jedną. Nagle podniosła wzrok i zobaczyła wpatrującego się w nią Franka.

Zmrużywszy oczy, spojrzała szybko na drzwi do jadalni i podeszła energicznym krokiem do schodów. Długi sznur pereł kołysał się jej na szyi. Frank

był tak przerażony, że zastygł w miejscu. Pani Baker wspięła się po schodach i pochyliła nad nim. Skrzywił się odruchowo, gdy perły musnęły jego twarz. Pani Baker złapała go, wbijając grube silne palce w jego ramię.

— Ty paskudny, wścibski chłopcze — szepnęła z pasją. — To, co robimy, nie jest dla cudzych oczu. Dzieciom nie wolno tego oglądać. Duchy wpadną w gniew. Nie waż się pisnąć ani słówka o tym, co przed chwilę zobaczyłeś, bo wezwę złe duchy, naprawdę złe i okrutne, i będziesz cierpieć. — Potrząsnęła nim mocno. — Rozumiesz?

— Tak, pani Baker.

Jej palce wbiły się jeszcze mocniej w ramię Franka.

— Na pewno? I nie myśl, że nie zdołam wezwać złych duchów, bo potrafię to zrobić.

— Rozumiem.

— Lepiej, żebyś rozumiał. A teraz zmykaj do łóżka. Mały wstrętny szpieg.

Patrzyła w ślad za nim, kiedy kuśtykał do swojego pokoju. Drżąc, położył się po ciemku do łóżka. Był wystraszony, ale wcale nie bał się złych duchów. Wiedział teraz, że Lizzie miała rację: pani Baker była pozbawioną serca oszustką. Wiedział również, że prawdą jest to, czego zawsze się obawiał: świat był złym miejscem, pełnym ludzi, którzy czyhali tylko na okazję, żeby go skrzywdzić.



Seanse trwały dalej. Pani Baker traktowała Franka tak samo miło jak wcześniej, choć patrzyła teraz na niego z nowym błyskiem w oczach. Kilka tygodni później matka wezwała go do siebie i powiedziała, że ojciec wysłał jej z zaświatów wiadomość. Nadeszła pora, by wyjechał do szkoły i dołączył do brata. Mówiąc o tym, przyjrzała mu się z autentyczną troską.

— Jesteś delikatny i nie byłam pewna, czy Strangmans College jest dla ciebie odpowiednią szkołą, ale twój ojciec oznajmił mi za pośrednictwem pani Baker, że nauczą cię tam dyscypliny i wyjdzie ci to na dobre. Ona mówi, że musisz tam jechać, a świat duchów ma lepsze rozeznanie od nas. Och, Frank, proszę, nie szczerz znowu zębów w tym swoim głupim uśmiechu.

Kilka tygodni później, tuż po swoich jedenastych urodzinach, Frank wyjechał do szkoły. Lizzie ze łzami w oczach pomagała matce pakować dla niego kufer. Może będzie mi teraz lepiej, myślał, jadąc pociągiem do Edynburga. Ale wkrótce okazało się, że się mylił: pani Baker rzeczywiście nasłała na niego całą hordę złych duchów.



W szpitalu kładziono duży nacisk na ćwiczenia fizyczne. Pacjenci, jeśli tylko wystarczająco dobrze się czuli, wychodzili codziennie na godzinę na świeże powietrze. Służyły do tego duże dziedzińce położone wewnątrz kompleksu szpitalnego, z krytymi alejkami wzdłuż murów. Pacjenci chodzili przez godzinę w kółko, dyżurny pielęgniarz popędzał tych, którzy się ociągali. Niektórzy mogli spacerować po terenie sami, aż do tabliczek z napisem „przeście zabronione”, ale Frank do nich nie należał.

Siedział jak zwykle w swoim fotelu w cichym pokoju, twarzą do okna. W pokoju był jeszcze jeden pacjent, zwalisty starszy mężczyzna o nazwisku Martindale, który wierzył, że komuniści i Żydzi transmitują mu do mózgu wiadomości, i który najczęściej siedział z rękoma na uszach i mrucał pod nosem, żeby zagłuszyć przekaz. Przebywał w szpitalu od wielu lat; wcześniej pracował w odlewni. Frank wiedział, że pan Martindale nie znosił, gdy mu przeszkadzano, ale zachowywał się spokojnie, jeśli zostawiło się go w spokoju.

Był późny ranek, zbliżała się pora ćwiczeń. Frank usłyszał odgłos otwieranych drzwi i zdecydowane energiczne kroki. Ben nie miał tego dnia dyżuru; to był Sam, ekszołnier w średnim wieku, schludny w wyprasowanym uniformie.

— Znowu się tu kryjesz, Frank — powiedział z birminghamskim akcentem. — Chodźmy, czas poćwiczyć. Trzeba dbać o kondycję fizyczną. — Frank niechętnie wstał z fotela, a Sam odwrócił się do drugiego pacjenta. — Ty też.

Pan Martindale spojrzał na niego żałośnie.

— Proszę. Nie czuję się dobrze. Głosy huczą mi w głowie. Proszę, niech pan mi pozwole zostać.

— Damy ci później dodatkowe tabletki — odparł Sam. — Ale teraz musisz poćwiczyć! Migiem!

Pacjenci zaczęli chodzić dokoła dziedzińca. Franka kilka dni wcześniej ostrzyżono. Należało to do obowiązków pielęgniarzy i ten, który miał wtedy dyżur, zbytnio się nie wysilił, ścinając jego niesforne brązowe włosy prawie do samej skóry jak u rekruta. Frank czuł owiewające mu głowę chłodne wilgotne powietrze. Bezsensowność tego, co robili, przypomniała mu Strangmans College i ponownie uświadomiła, dokąd trafił: był teraz pacjentem w domu wariatów. Chciał wrócić do cichego pokoju.

Szedł obok kuśtykającego pana Martindale'a, który wciąż mrucał i zasłaniał rękoma uszy.

— Martindale! — zawołał poirytowany Sam. — Opuść ręce! Upadniesz, jeśli nie będziesz uważał! — Drugi pielęgniarz, młody człowiek, który pracował

w szpitalu od niedawna, miał chyba jakieś obawy, ale Sam najwyraźniej chciał pokazać, kto tu rządzi. — Martindale! — zawołał ponownie. — Opuść ręce!

Frank zauważył, że coś dzieje się z oczyma pana Martindale'a; wcześniej miał je spuszczone, ale teraz podniósł wzrok, popatrzył na Sama i zapłonęły w nich dzikie ogniki. Posłał groźne spojrzenie Frankowi, który cofnął się przerażony, a potem znowu popatrzył na pielęgniarzy i z zaskakującą szybkością i energią pognał ku nim po trawniku zajmującym środek dziedzińca.

— Ty pierdolony sukinsynu! Nie możesz mnie, kurwa, zostawić w spokoju?! — wrzasnął na Sama i rzucił się z pięściami nie na niego, ale na młodszego pielęgniarza.

Frank zobaczył, jak z nosa mężczyzny tryska krew i z głowy spada mu czapka. Sam wyciągnął gwizdek, przeciągle zagwizdał i zaczął się zmagać z panem Martindale'em, próbując mu wykręcić do tyłu ręce. Frank stał jak sparaliżowany w miejscu. Wszyscy pacjenci patrzyli na to, co się dzieje; jedni po prostu się gapili, kilku roześmiało się, a pewien młody człowiek zaczął płakać i podskakiwać w miejscu.

Na dziedziniec wyskoczyło sześciu pielęgniarzy. Pana Martindale'a wywrócono na ziemię, a Sam kopnął go w plecy. Inni pacjenci dali się zagonić do środka. Na oddziale Frank zdołał ponownie czmychnąć do cichego pokoju. Usiadł w swoim fotelu. Drżały mu ręce i bolała chora dłoń. Widział już wcześniej przeklinających i wrzeszczących pacjentów, widział, jak ludzi kładziono siłą do łóżek, ale po raz pierwszy był świadkiem takiego aktu przemocy. Nie był tutaj bezpieczny, na oddziale wszystko mogło się zdarzyć. Pomyślał ponownie o terapii elektrowstrząsowej i o tym, co może w jej trakcie wyjawić.

— Zrobię to — mruknął pod nosem. — Zadzwonię do niego. Proszę, pomóż mi, Davidzie.

Rozdział dziesiąty

W piątek David wyszedł o piątej z pracy i pojechał metrem na Piccadilly. Carol zapytała go wcześniej, czy w przyszłym tygodniu poszedłby z nią na kolejny recital, a on się zgodził; kazano mu, jak ujął to Jackson, podtrzymywać płomyk, i dlatego mniej więcej raz w miesiącu nadal chodzili na koncerty.

Zapуścił się w głąb Soho. Był wilgotny zimny wieczór, od mokrej jezdni odbijały się sklepowe neony — buliony Bovril, zapątki England's Glory, australijskie wina Emu na Boże Narodzenie. Wąskimi uliczkami przechadzali się mężczyźni w melonikach, wystrojeni alfonsi, ludzie wyglądający na aktorów i odziani w ciężkie szynele żołnierze z Indii i Afryki. Stojące w bramach prostytutki uczesane były w modnym niemieckim stylu, z zakręconymi za uszami mysimi blond ogonkami. Jedną z uliczek szedł, zataczając się, pijak w mundurze Czarnych Koszul.

David skręcił w boczną alejkę za kawiarnią i ominął psią kupę i rozgniecioną paczkę papierosów. Kilkunastoletni chłopcy siedzący w kawiarni nad kawami z pianką wodzili oczyma za przechodzącymi kobietami. Jeden z nich miał wypomadowany kaczy kuper sterczący kilka centymetrów nad czołem. Pewnej soboty, kilka tygodni wcześniej, do Soho wkroczył oddział Czarnych Koszul. Wyłapali wszystkich bikiniarzy, których udało im się znaleźć, i ogolili im głowy brzytwami. Ale nic nie mogło ludzi powstrzymać przed wyjściem na miasto.

Zielone drzwi nie były zamknięte na klucz. Schody oświetlała pojedyncza żarówka. Ze ścian łuszczyła się wilgotna farba. Z mieszkania prostytutki wyszedł, trzymając w ręku kapelusz, duży mężczyzna w średnim wieku. David, który wchodził na górę, zatrzymał się, żeby go przepuścić. Na spoconej twarzy mężczyzny malowało się zadowolenie.

— Nieziemska cipa — powiedział z rozmarzeniem. — Nieziemska.

David zapukał do drzwi po drugiej stronie. Natalia wpuściła go do środka. Była jak zwykle nieumalowana i nieuczesana, w starej poplamionej farbami koszuli. Normalnie uśmiechała się do niego porozumiewawczo na powitanie, ale tym razem była poważna.

— Wejdz — powiedziała.

W chłodnym dużym pokoju unosił się zapach farby. Na sztalugach stał kolejny obraz przedstawiający pochylone domy przy stromej uliczce, a w oddali duży kwadratowy zamek. Podobnie jak na innych pejzażach Natalii, ludzie na ulicy mieli opuszczone albo odwrócone głowy.

Przy kominku stał Jackson. Na jego twarzy malował się niepokój, usta miał zaciśnięte.

— Dziękuję, że przyszedł pan tak szybko — powiedział.

— Siadaj, proszę. — Natalia wskazała wytarte fotele stojące przy kominku. Często przemawiała takim jak ten oficjalnym, grzecznym tonem. W jej angielszczyźnie słycać było wtedy lekki niemiecki akcent, ale kiedy górę brały emocje, jej głos stawał się głębszy, samogłoski spłaszczają się i wydłużają.

— Wynikła nagle sprawa — oznajmił z pewnym zakłopotaniem Jackson. — Coś naprawdę ważnego.

— Geoff i Boardman nie przyjdą? — zapytał David.

— Dzisiaj nie. — Jackson nie spuszczał z niego wzroku.

David wziął głęboki oddech.

— Zostaliśmy zdemaskowani? — zapytał.

Jackson pokręcił przecząco głową.

— Nie, nie, niech pan się nie obawia. To nie ma nic wspólnego z działalnością naszej komórki. Chodzi o coś innego, o pewną informację, która dotarła do nas z samej góry. — David zerknął na Natalię. Kobieta pokiwała z powagą głową. — Tak się składa, że dotyczy to pewnej osoby, którą znał pan w Oksfordzie — podjął Jackson. — Niejakiego Franka Muncastera. Mówi panu coś to nazwisko?

Zaintrygowany David zmarszczył brwi.

— Tak. Geoff też go zna.

Jackson zrobił zdziwioną minę.

— No jasne, przecież studiowali w tym samym college'u — powiedział po chwili do Natalii.

— Nie przyszło im to do głowy — odparła.

— To może nam bardzo pomóc — oznajmił.

Davidowi stanął przed oczyma Frank siedzący razem z nim i Geoffem w oksfordzkim pubie, z jak zwykle długimi i potarganymi ciemnymi włosami i pociągłą twarzą, na której widniał niepokój. Frank bał się prawie wszystkich.

— Co mu się przytrafiło? — zapytał cicho.

— Słyszałem, że w Oksfordzie mieszkał pan z Muncasterem w jednym pokoju — powiedział Jackson. — Był pan jego najlepszym przyjacielem.

— Chyba tak.

— Jaki on był?

— Dziwny, nieśmiały. Bał się ludzi. Miał, zdaje się, dość paskudne dzieciństwo. Ale był przyzwoitym facetem, nigdy nikogo nie skrzywdził. I zastanawiał się nad różnymi rzeczami, miał ciekawe poglądy, jeśli pozwoliło mu się mówić.

— Byłeś kimś w rodzaju jego protektora — zauważyła Natalia.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Wiemy, że był w ciebie zapatrzony.

— Naprawdę?

— Tak nam się wydaje.

— Trzymał się mnie i Geoffa, naszej grupy przyjaciół. Kiedy wstąpiliśmy do służby cywilnej, Frank został w Oksfordzie i zrobił doktorat. Jest bardzo inteligentny. — Jackson i Natalia z uwagą słuchali Davida. — Ostatnio jakby straciliśmy kontakt. Wcześniej pisaliśmy do siebie listy, ale teraz ogranicza się to do kartek bożonarodzeniowych. — David spojrzał nagle na Natalię. — Czy on zmarł? — zapytał.

— Nie — odparła krótko. — Ale wpadł w poważne kłopoty.

— To znaczy?

— Muncaster został geologiem, tak? — odezwał się Jackson. — Pracował naukowo na Uniwersytecie Birmingham.

— Owszem. Ale nie mógł prowadzić wykładów.

Jackson pokiwał głową.

— Z tego, co słyszałem, jego ojciec zginął w wielkiej wojnie — dodał Jackson — i Muncastera wychowywała razem ze starszym bratem matka, niedaleko Londynu. Obaj uczyli się w szkole z internatem w Szkocji.

— Dużo pan wie — zauważył David.

— Musimy dowiedzieć się czegoś więcej — powiedziała Natalia. — Muncaster potrzebuje naszej pomocy.

David wziął głęboki oddech.

— Frank nigdy nie mówił wiele o swoim dzieciństwie. Ale wiem, że jego matka dała się omotać jakiejś uprawiającej spirytyzm oszustce.

— A starszy brat? — zapytała Natalia.

— Nie wydaje mi się, żeby byli w dobrych stosunkach. Brat wyjechał do Ameryki jeszcze w latach trzydziestych. Też był naukowcem. — David zmarszczył brwi. — Frank unikał mówienia o sobie. W jego szkole wydarzył się incydent, w którym został poważnie ranny w rękę, ale nigdy nie mówił, jak do tego doszło. Wydaje mi się, że nie było mu tam dobrze. Chyba się nad nim znęcali.

Jackson zrobił zdziwioną minę.

— Wielu chłopców jest prześladowanych w szkołach z internatem.

— To ktoś, komu trudno się przystosować — wtrąciła szybko Natalia. — Biedny chłopak.

— Brat Franka Muncastera, Edgar, jest fizykiem — podjął Jackson. — Przyjął obywatelstwo amerykańskie i przez ostatnie dziesięć lat zajmował wysokie stanowisko na czołowej uczelni w Kalifornii. Jego praca była związana z amerykańskim programem zbrojeń. Nie wiem dokładnie, na czym polegała, ale była ważna. — Jackson przerwał na chwilę, żeby to podkreślić. — W październiku zmarła pani Muncaster i Edgar przyleciał na pogrzeb. Wiemy, że dom pani Muncaster jest wystawiony na sprzedaż. Być może Edgar potrzebuje pieniędzy. Niedawno się rozwiódł i musi płacić alimenty. Poza tym wygląda na to, że poważnie się rozpił.

— Czy mamy te informacje z Ameryki? — zapytał David. — Amerykanie są w to zaangażowani?

— Owszem, są w to zaangażowani agenci ich tajnych służb — odparła Natalia. — Ale mamy również informacje z miejscowych źródeł.

Jackson wstał i zaczął chodzić po wytartym dywanie. Zza ściany dobiegł ich ekstatyczny śmiech najnowszego klienta prostytutki. David zastanawiał się, jak to znosi Natalia, siedząc tutaj sama w nocy. Jackson skrzywił się z niesmakiem.

— Ruch oporu ma powiązania z Amerykanami — powiedział. — Większość z nich nie darzy nas zbyt dużą sympatią, choć pod rządami Adlaia Stevensona powinno się to zmienić na korzyść. Ale nie darzą również sympatią nazistowskiej Europy i stanowimy dla nich użyteczny kanał. Czasami pomagamy im przemyścić pewnych ludzi do Stanów... ostatnio wysłaliśmy tam dwóch żydowskich naukowców, na których im zależało. Dwa tygodnie temu — podjął Jackson, biorąc głęboki oddech — skontaktował się z nami wysoki funkcjonariusz ich tajnych służb. Okazało się, że w zeszłym miesiącu Edgar Muncaster został odtransportowany do Ameryki ze złamaną ręką. Do czegoś im się przyznał.

— Przyznał się?

— Tak. Będąc w Anglii, odwiedził w Birminghamie swojego brata Franka. Wybuchła między nimi gwałtowna sprzeczka.

— Nie wyobrażam sobie, żeby Frank wdał się z kimś w sprzeczkę — rzekł David.

— Prawdopodobnie bał się tego, co może zrobić, kiedy straci nad sobą panowanie — powiedziała ze smutkiem Natalia.

Jackson zmierzył ją poirytowanym spojrzeniem.

— Nie wiemy, czego dotyczyła ta sprzeczka — kontynuował — a Amerykanie nie chcą nam tego powiedzieć. Podobnie jak Frank Muncaster. Ale Amerykanie uważają, że Edgar mógł zdradzić parę sekretów dotyczących badań

nad bronią. Cokolwiek to było, Frank Muncaster wpadł w taki szal, że wypchnął brata przez okno na pierwszym piętrze.

Pomysł, żeby Frank mógł kogoś zaatakować, wydał się Davidowi niedorzeczny. Przez całe życie starał się nie tracić nad sobą panowania. Co mogło go wytrącić z równowagi? I w co został zamieszany?

— Naszym zdaniem to był wypadek. Okno było spróchniałe, ale Edgar i tak miał szczęście, że skończyło się na złamanej ręce. Tymczasem Frank zaczął dewastować własne mieszkanie i wrzeszczeć coś o końcu świata. W rezultacie zabrano go do szpitala psychiatrycznego na peryferiach Birminghamu, gdzie przebywa do dzisiaj.

Jackson potrząsnął głową, jakby kompletnie nie rozumiał takiego postępowania.

— Dla Amerykanów jest bardzo ważne, żeby nikt nie dowiedział się, nad czym pracuje Edgar — powiedziała cicho Natalia. — Ani nasz rząd, ani Niemcy. Z tego, co wiemy, Frank nie pisał na razie ani słowa.

— Skąd o tym wiemy?

— Mamy naszego człowieka w szpitalu psychiatrycznym. Jest jednym z pracowników.

— Wielki Boże.

Jackson uśmiechnął się.

— Jak wszystkie tego rodzaju instytucje, szpital jest bardzo duży, ma ponad tysiąc pacjentów. Ten człowiek jest jednym z naszych wielu „śpiochów”, którzy wykonują normalną pracę do momentu, kiedy mogą okazać się potrzebni. To jeden z pielęgniarzy. Porządny człowiek, doświadczony.

— Pilnuje Franka — dodała Natalia. — Opiekuje się nim.

— Co się dzieje z Edgarem?

— Z tego, co wiemy, przebywa w tej chwili w odosobnieniu w jakimś pilnie strzeżonym miejscu w Stanach — odpowiedział Jackson.

— Więc powinni wiedzieć, czy coś powiedział Frankowi.

— Owszem — zgodził się Jackson. — Z pewnością wiedzą. Nie informują nas o tym, ale można wyciągnąć oczywisty wniosek, że Edgar coś jednak powiedział.

— Mój Boże. To mogło być coś na temat bomby atomowej.

— Albo broni rakietowej. Albo broni biologicznej — wtrąciła Natalia. — Amerykanie uważają się za ostatnich strażników demokracji, ale pewne rzeczy, nad którymi pracują, są... przerażające.

— Amerykanie chcą Franka Muncastera — oświadczył bez ogródek Jackson. — Naszemu człowiekowi udało się w pewnym ograniczonym stopniu

zdobyć jego zaufanie. Muncaster oczywiście nigdy w życiu nie widział wnętrza szpitala psychiatrycznego i jest przerażony tym, co mogą mu tam zrobić.

— A co mu tam grozi?

— Elektrowstrząsy albo coś jeszcze gorszego.

David pokręcił głową.

— Może uda nam się go stamtąd wyciągnąć — powiedziała Natalia.

Jackson ponownie usiadł i spojrzał na nią.

— Niewykluczone. Musimy być jednak ostrożni, żeby nie ściągnąć na niego uwagi. Jeśli powtórzy im teraz sekrety, które usłyszał od Edgara, mogą to oczywiście uznać za majaczenia szaleńca. Ale jeśli zaraz potem zniknie, spojrzą na to inaczej. — Jackson uniósł brwi. — Dyrektor szpitala, doktor Wilson, nie jest na szczęście zbyt wybitnym przedstawicielem profesji medycznej, ale wyraźnie zainteresował się Frankiem. Jego kuzyn podlega bezpośrednio wiceministrowi zdrowia Churchowi.

— Czy to nie Church próbował wprowadzić przepisy o sterylizacji niepełnosprawnych? — zapytał David.

— Tak, to stary zwolennik eugeniki. W tysiąc dziewięćset trzydziestym przedstawił projekt stosownej ustawy. Zarazem jednak nie jest wielkim sympatykiem Niemiec, wierzy w niezależność brytyjskich instytucji. — Jackson drwiąco się roześmiał. — Nie zdaje sobie sprawy, że ta bitwa jest już dawno przegrana. Tak czy inaczej, nasz człowiek twierdzi, że Muncaster jest bardzo zastraszonego. Wilson nie zdołał skłonić go do mówienia. Potrzebuje przyjaciela, który by się nim zainteresował. I z rozmowy z naszym pielęgniarzem wynika, że właśnie pan jest jedyną osobą, której może zaufać.

David poczuł spoczywające na nim brzemienie odpowiedzialności.

— Nie ma żadnych przyjaciół w Birminghamie?

— Był chyba bardzo osamotniony. Nie sądzę, żeby ceniono go na wydziale. A Amerykanie nie chcą w to angażować jego brata.

— Zawsze obawiałem się, że Frank może źle skończyć — mruknął David. — Ale żeby trafił do szpitala psychiatrycznego... Do tego ta historia z nowymi rodzajami broni... Czy nasz rząd wie, co się wydarzyło? — zapytał.

Jackson posłał mu zniecierpliwione spojrzenie.

— Sądzi pan, że Muncaster siedziałby spokojnie w szpitalu psychiatrycznym, gdyby o tym wiedzieli?

David przesunął palcami po krótko przyciętych, kręconych włosach.

— Jezu... — mruknął.

Natalia pochyliła się do przodu.

— Pomożesz mu? — zapytała. — Pojedziesz tam, spotkasz się z nim, odnowisz więzy przyjaźni?

David popatrzył na nich oboje.

— I co potem? Co się z nim stanie? Amerykanie na pewno będą go chcieli zlikwidować? — zapytał, wbijając wzrok w Jacksona. Ten pokręcił głową.

— Wprost przeciwnie. Oświadczyli, że chcą go mieć żywego, żeby móc go przesłuchać. Poza tym to my prowadzimy tę operację. — Jackson uśmiechnął się ponuro. — I gdybyśmy chcieli go zabić, już by nie żył. Nasz człowiek jest pielęgniarzem, ma dostęp do leków.

David odchylił się na krzesło. Nawet jeśli Frank był bezpieczny... na razie... słowa Jacksona przyprawiły go o dreszcz.

— Nie pozwolimy go zabić — powiedziała Natalia. — Chyba że istniałoby bezpośrednie zagrożenie, że wpadnie w ręce Niemców. Bo gdyby go dorwali, lepiej byłoby dla niego...

— ...żeby nie żył — dokończył za nią zdanie David.

— Nasz człowiek w szpitalu próbował przekonać Muncastera, żeby się z panem skontaktował — powiedział Jackson. — Jeśli damy mu sygnał, jutro wieczorem Frank zadzwoni do pana i poprosi, by pomógł mu pan wydostać się ze szpitala. Będziemy wtedy chcieli, żeby pan i Natalia, a także, moim zdaniem, Geoff Drax, jeżeli też był jego przyjacielem, pojechali na północ i złożyli mu wizytę. W niedzielę. To dzień odwiedzin. Zdobądźcie jego zaufanie i oceńcie, w jakim jest stanie. Ludziom, którzy was tam wpuszczą, podacie fałszywe nazwiska i będziecie udawali, że znacie Franka ze szkoły. Nasz człowiek dopilnuje, żeby władze szpitala nie dowiedziały się o waszym przyjeździe. Dostaniecie fałszywe dowody tożsamości, na wypadek gdyby trzeba je było okazać na portierni.

David wziął głęboki oddech.

— To poważna operacja, prawda?

Jackson pokiwał głową.

— Potencjalnie. Dostaliśmy instrukcje z samej góry. Misja nie jest niebezpieczna, w każdym razie nie na wczesnym etapie — powiedział, wykrzywiając usta w uśmiechu. — Pokładają w panu spore nadzieje.

David niewesoło się roześmiał.

— Znajdę się w centrum wydarzeń.

— To się zdarza. Kiedy ludzie do nas wstępują. Uważa pan, że da sobie radę? — zapytał Jackson.

— A co z moją żoną?

— Nie musi o niczym wiedzieć, podobnie jak nie wie o tym, co pan dla nas robi w pracy. Musi pan tylko wymyślić jakiś pretekst, żeby usprawiedliwić swoją nieobecność w niedzielę.

David wyobraził sobie Franka, który musi stawić czoło przesłuchującemu go esesmanowi. W ciągu ostatnich dwóch lat wyobrażał sobie czasami w tej sytuacji i siebie.

— Dobrze — powiedział. — Odwiedzę Franka.

— Dziękuję — odparł Jackson i wstał. — Muszę wykonać kilka telefonów. Jutro porozmawiam z Draxem. Rano spotkam się z wami dwoma w klubie.

Zakładając rękawiczki, uśmiechnął się z autentyczną wdzięcznością.

— Geoff nie zna Franka tak dobrze jak ja — zaznaczył David. — Widząc nas obu, Muncaster może się zdziwić.

— Może pan powiedzieć, że zepsuł się pański samochód i Geoff zaproponował, że pana podwiezie — poradził Jackson. — A ty — zwrócił się do Natalii — możesz udawać przyjaciółkę Geoffa. To dobra przykrywka. Dzięki temu będziemy mogli porównać wasze opinie na temat stanu jego zdrowia. I niech pan nie wypytuje Muncastera o tę historię z bratem, po prostu niech pan go skłoni do mówienia i zobaczy, w jakim kierunku to się potoczy. To ważne. Oceńcie stan jego umysłu. Swoją drogą, niedzielną akcją będzie dowodziła Natalia. Jeśli wydarzy się coś niespodziewanego, wykonujcie jej rozkazy. Na wszelki wypadek będzie uzbrojona. — Jackson się uśmiechnął. — Pamiętajcie, że świetnie strzela.

David spojrzał na Natalię, która pokiwała głową.

— Zatem wszyscy wiedzą, co mają robić? — zapytał sztucznie pogodnym tonem Jackson. — Najpierw odwiedźcie Muncastera, a potem zajrzą do jego mieszkania. Nasz człowiek zdobędzie klucz. Następnie zadzwonicie do mnie z budki telefonicznej.

— W porządku. Biedny stary Frank — odparł David.

— W istocie. — Jackson pokiwał głową. — Od nas zależy, czy mu pomożemy, czy uda nam się go stamtąd wyciągnąć. Słyszałem, że Beaverbrook spotyka się dzisiaj w Berlinie ze Speerem i Goebbelsem — dodał, zmieniając temat.

— Ale nie z Hitlerem — powiedziała Natalia.

— Nie. — Jackson ponuro się uśmiechnął. — W zeszłym roku pojechałem z delegacją Ministerstwa Spraw Zagranicznych do Niemiec. Wzięliśmy udział w otwarciu nowej galerii sztuki w Linzu. Wszystkie te wspaniałe dzieła, skarby sztuki skradzione we wschodniej Europie. Ktoś powiedział mi, że dzień wcześniej zorganizowano prywatne zwiedzanie dla Führera. Widziano, jak siedział w wózku, trzęsąc się w wyniku choroby Parkinsona tak mocno, że trudno mu było skupić się na obrazach, nie mówiąc już o oddaniu nazistowskiego salutu. — Jackson spochmurniał. — Wiecie, że kiedyś go spotkałem?

— Hitlera? — zdziwił się David.

— Tak. Towarzyszyłem ministrowi spraw zagranicznych, lordowi Halifaxowi, kiedy złożył mu wizytę w trzydziestym siódmym. Strasznie śmierdziało mu z ust i bez przerwy puszczał wiatry. Odrażający człowiek. Ale widziałem, jak potrafi panować nad tłumem.

— Może już wtedy nie był najzdrowszy.

— Niewykluczone. — Jackson uśmiechnął się półgębkiem. — A teraz jest ciężko chory. A w Ameryce wybory wygrał Stevenson. Może sytuacja zacznie się w końcu zmieniać — dodał i ruszył ku drzwiom; zawsze wychodzili oddzielnie. — Znowu bardzo się ochłodziło. Mam nadzieję, że nie będziemy mieli w tym roku tych fatalnych mgieł. No cóż, dobranoc — powiedział i wyszedł.

Chwilę później David usłyszał jego ciężkie kroki na schodach. Wstał. Nigdy wcześniej nie był z Natalią sam na sam.

— Pan Jackson jest taki angielski — oświadczyła. — Zawsze musi coś powiedzieć na temat pogody.

— Owszem. Typowy produkt angielskiej szkoły publicznej — odparł David. Natalia usłyszała chyba nutkę niechęci w jego głosie.

— Prowadzi bardzo niebezpieczne życie — powiedziała.

— Owszem.

— Przykro mi z powodu twojego przyjaciela. Znałam kogoś, kto cierpiał na podobną chorobę. Życie było dla niego wielką udręką.

David westchnął.

— Frank nie zawsze był nieszczęśliwy. Po prostu nie...

— Nie pasował do tego świata?

— Tak. Ale ma prawo na nim żyć. Wszyscy mamy to prawo. O to właśnie walczymy.

— Zgadza się. — Zobaczył w kąciku jej oka łzę i zapragnął nagle podejść i ją uściskać. A potem pomyślał o czekającej w domu Sarah; powiedział jej, że w ministerstwie mają nawał pracy i musi zostawać do późna. Teraz będzie musiał ją znowu okłamać. Odwrócił wzrok od Natalii i spojrzał na obraz, nad którym pracowała.

— Co to za miasto?

— Bratysława, we wschodniej Europie. Kiedyś miastem rządzili Węgrzy, później weszło w skład Czechosłowacji, teraz jest stolicą Słowacji. Jednego z marionetkowych państw Hitlera. — Natalia spojrzała na obraz, na ludzi idących mozolnie wąską uliczką. — Kiedy tam dorastałam, Bratysława była kosmopolityczna, jak większość miast we wschodniej Europie. Słowacy, Węgrzy, Niemcy. W żyłach wielu ludzi płynie tam krew wszystkich trzech narodowości. W moich też. — Na jej ustach znowu pojawił się ten smutny, cyniczny uśmiech.

— Jestem kosmopolitką. Ale w pewnym momencie zbudzili się bogowie nacjonalizmu.

— W Bratysławie mieszkało wielu Żydów?

— Tak. Miałam wielu żydowskich przyjaciół. Teraz wszyscy przepadli.

— Muszę wracać do żony — oświadczył nagle David.

Natalia pokiwała powoli głową, a on odwrócił się i wyszedł.

Rozdział jedenasty

W środę po południu Frank po raz kolejny spotkał się z doktorem Wilsonem. Ben znowu odprowadził go do bloku przyjęć. Polubił trochę tego młodego Szkota. Ben był dla niego miły i Frank poznał go wystarczająco dobrze, by zdać sobie sprawę, że nie przypomina ludzi, z jakimi miał do czynienia w Strangmans College. Mimo to było w nim coś, czego nie potrafił zdefiniować i co budziło podejrzenia.

Wilson przeglądał w swoim gabinecie jakieś papiery. Dał Frankowi znak, żeby usiadł.

— Jak się czujesz? — zapytał.

— Dobrze, dziękuję.

— Kontaktowała się z nami policja. — Frankowi szybciej zabiło serce. — Nadal nie podjęli decyzji, czy wniosą oskarżenie. Nie mogą także skontaktować się z twoim bratem. Cała sprawa jest w zawieszeniu. Jeśli trafi do sądu — dodał krzepiącym tonem — możemy dowodzić, że byłeś niepoczytalny. Chciałbym jednak, żeby twój brat się do nas odezwał. Nie mogę myśleć o przeniesieniu cię na prywatny oddział, dopóki nie zostanie wyznaczony powiernik, który mógłby wydać dyspozycje dotyczące twoich pieniędzy. Tymczasem musisz zostać na oddziale ogólnym.

— Rozumiem — odparł ponuro Frank.

Wilson uważnie mu się przyjrzał.

— Słyszałem, że nadal jesteś bardzo apatyczny. Nie masz dobrego kontaktu z personelem i innymi pacjentami.

Frank nie odpowiedział. Wilson odchylił się w fotelu, wziął do ręki pióro i zaczął się nim bawić.

— Czy ty i twój brat bawiliście się razem jako dzieci? — zapytał nagle. — Czy w tych zabawach brała udział wasza matka?

Frank przyjrzał się lekarzowi. Nie wolno mu było dać się wciągnąć w rozmowę o Edgarze.

— Nasza matka nie była skora do zabawy — powiedział.

— Czy kochała bardziej Edgara?

— Nie wiem.

— A jak ci się wydawało?

— Nie wiem.

Wilson westchnął.

— Skieruję cię na terapię elektrowstrząsową, Frank. W przyszłym tygodniu mają już zajęty grafik, ale zrobimy to w następnym. Musimy cię wydobyć z tej depresji.



Ben odprowadził Franka z powrotem na oddział. Zrobiło się zimniej; w powietrzu czuć było mróz. Franka przerażała myśl o elektrowstrząsach. Najchętniej uciekłby ze szpitala. Dostał od swoich kolegów z uniwersytetu kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia, ale oprócz tego nikt się nim nie interesował. A Edgar nie chciał z nim mieć nic wspólnego. Siedział pewnie w jakimś barze w San Francisco, wlewając w siebie whisky niczym pani Baker i próbując o wszystkim zapomnieć. Frank nienawidził alkoholu; picie pozbawiało ludzi wszelkich zahamowań, a tylko one powstrzymywały ich przed stoczeniem się w barbarzyństwo.

— Moczymordy — mruknął pod nosem.

— Że co? — zapytał Ben.

— Nic.

— Powinieneś przestać mruzczyć pod nosem, chłopie. To jest tutaj źle widziane.

Frank chciał dowiedzieć się od Bena czegoś więcej o elektrowstrząsach, ale nie miał odwagi zapytać. Ogarnęło go znużenie połączone z desperacją.

— Co ci powiedział Wilson? — zapytał Ben.

— Że jeszcze nie znaleźli mojego brata.

— Zastanawiałeś się, czy nie zadzwonić do tego twojego starego kumpla?

Frank nie odpowiedział, wbił tylko wzrok w swoje stopy. Nadal nie był pewien, czy to bezpieczne.



Ben zostawił go w pokoju dziennym. Pacjenci siedzieli wokół telewizora, oglądając Fanny Cradock pokazującą, jak zakisić kapustę. Inni siedzieli przy stole, tnąc papier na paski tępymi dzieciennymi nożyczkami. Chociaż do Bożego Narodzenia zostało jeszcze ponad miesiąc, część pacjentów została wyznaczona

do robienia dekoracji. Pana Martindale'a nie było już na oddziale; po swoim wybuchu został umieszczony w jednej z wyściełanych cel.

Frank wymknął się wkrótce do cichego pokoju i zasiadł jak zwykle w fotelu naprzeciwko okna. Myślał o swoim mieszkaniu w Birminghamie; czy ktoś je wysprzątał? Lubił je, mimo że było obskurne. Szkoda, że Birmingham leżał tak daleko od morza. Odkąd jako dziesięcioletni chłopiec pojechał z matką do kuzynki ojca w Skegness, kochał morze. Edgar nie wybrał się razem z nimi; był wtedy na szkolnej wycieczce we Francji. Frank przez cały dzień włóczył się samotnie po wydmach; nad brzegiem leżało mnóstwo plażowiczów, ale jego fascynowało morze: olbrzymie, nieprzeniknione i będące w ciągłym ruchu. Było zbyt zimno, żeby pływać. Frank brodził przy samym brzegu. Z zimna rozboleły go stopy, lecz i tak miał ochotę zniknąć pod wodą. Matka próbowała przekonać kuzynostwo, żeby zainteresowali się światem duchów, z którymi mogli nawiązać unikalny kontakt poprzez panią Baker. Nigdy więcej ich tam nie zaproszono.

W ciągu ostatnich dni Frank często myślał o tym, żeby się zabić; wolał zabrać swoją tajemnicę do grobu, niż ryzykować, że ktokolwiek, nawet David, wejdzie w jej posiadanie. Wiedział jednak, że brakuje mu odwagi. Poza tym przez cały czas ich pilnowano. Po każdym posiłku liczone używane przez pacjentów tępe noże i widelce, a w pokojach nie było porządnych opraw oświetleniowych, na których można by zawiesić sznur. Na poźółklej od nikotyny ścianie w cichym pokoju był jednak duży wiktoriański obraz przedstawiający jelenia osaczonego przez wilki; musiał być zawieszony na mocnym gwoździu albo haku. Frank przymknął oczy i mimowolnie zadrżał. Nie chciał umierać, chociaż czasami bardzo tego pragnął, kiedy uczył się w Strangmans. Żałował, że nie może przestać myśleć o szkole.



Strangmans College był jedną z wielu edynburskich szkół prywatnych i mieścił się w długim budynku wzniesionym na ponurym, smaganym przez wiatr zboczcu na obrzeżach miasta. Wiktoriański dyrektor przeniósł szkołę w nowe miejsce, wychodząc z założenia, że chłopcom lepiej będzie służyć rześkie morskie powietrze.

Było rzeczywiście rześkie, gdy Frank wysiadł ze szkolnego autobusu, który przywiózł go z dworca Waverley w tamto niedzielne popołudnie w 1928 roku. Padał marznący deszcz, a wiejący od Forth huragan o mało nie zwałił go z nóg. Poza nim w autobusie było jeszcze trzech nowych chłopców, którzy mieli zamieszkać w internacie — większość uczniów Strangmans dojeżdżała

codziennie z miasta. Ubrani w nowe czerwone mundurki czterej jedenastoletni chłopcy stali wystraszeni i nieśmiali, przytrzymując rękoma czapki, by nie porwał ich wiatr.

Frank wpatrywał się w stojący po drugiej stronie alejki gmach szkoły. Wydawał mu się olbrzymi. Choć wszystkie mijane przez niego w Edynburgu budynki były jeszcze bardziej niż w Londynie czarne od sadzy, obłożone płytami piaskowca mury szkoły zachowały czerwonożółty odcień. Dojeżdżający uczniowie mieli się pojawić dopiero nazajutrz i szkoła robiła wrażenie opustoszałej. Frank miał nadzieję, że przywita go Edgar, który wyjechał na północ dzień wcześniej, ale był tam tylko wychowawca z notesem w ręku — mierzący ich surowym spojrzeniem wysoki chudy okularnik w kapeluszu i płaszczu przeciwdeszczowym.

Frank, który wciąż rozglądał się za Edgarem, oberwał nagle sójkę w bok i podskoczył w miejscu.

— Hej! — zawołał ostrym głosem nauczyciel. — Przestań śnić na jawie, chłopcze! Jak się nazywasz? Muncaster?

Długie „r” sprawiło, że nazwisko zabrzmiało jak „Muncasterrr”.

— Tak. Jestem Frank.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

— Tak, i co dalej?

Frank popatrzył na niego zdezorientowany.

— Tak, proszę pana. Tak masz się tutaj zwracać do nauczycieli. I jesteś Muncasterem młodszym, do chłopców zwracamy się po nazwisku. — Wychowawca znowu się nachmurzył. — I przestań tak głupio szczerzyć zęby. Dlaczego się do mnie uśmiechasz?

Jeden z chłopców zachichotał. Frank stał jak sparaliżowany, walcząc z pokusą, by rzucić się do ucieczki.

Wychowawca zaprowadził chłopców do aneksu za głównym budynkiem i wszedł z nimi do ponurej izby z czterema żelaznymi łózkami. Przy każdym z nich stała szafka. Deszcz ponuro bębnił o szyby.

— To jest wasza sypialnia — usłyszeli. — Ma numer osiem, pamiętajcie. Ja nazywam się pan Ritner, chodźcie do klasy czwartej B. Zapamiętajcie, czwarta B. O czwartej będzie podwieczorek, jadalnia jest na pierwszym piętrze. A teraz rozpakujcie swoje rzeczy. Raz-dwa! — zakomenderował i oddalił się, stukając obcasami. Frank stał z rozdziawionymi ustami, w głowie miał mętlik.

Na podwieczorku podanym w olbrzymiej, zastawionej długimi ławkami jadalni pojawił się Edgar wraz z kilkunastoma innymi uczniami w różnym wieku. Miał teraz piętnaście lat, był wysoki i krzepki i pełnił funkcję młodszego prefekta, o czym świadczył frędzel przy czapce.

— Cześć, Edgar. Rany, jak się cieszę, że cię widzę.

Brat zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

— Słuchaj, Frank, to, że jesteś moim bratem, wcale nie znaczy, że będziemy się spotykali w szkole. Zrozumiano? — W głosie Edgara brzmiał miejscowy akcent. — Dla mnie jesteś po prostu jednym z małolatów. Nie będziesz mi zawracał głowy, jasne? Mieszkam w baraku seniorów, więc i tak nie będziesz mnie często oglądał.

— W baraku?

— Tak nazywamy bursy uczniowskie — odparł niecierpliwie Edgar, jakby Frank powinien to dobrze wiedzieć. — Musisz sobie radzić sam — dodał, wstając. — Tak to wygląda w Strangmans. Musisz się wziąć w garść.



W następnych dniach Frank żył w stanie bezustannej paniki; nie potrafił się odnaleźć w olbrzymim budynku, przez który przewalały się teraz tłumy chłopców. Kilka razy się zgubił i pytał innych uczniów o drogę, ale ci tylko się z niego naśmiewali.

— Czemu tak szczerzysz zęby? — zapytał groźnie jeden z nich. — Wyglądasz jak jakiś pieprzony świr. — Frank usiłował powstrzymać łzy. — Poryczałeś się, bekso?

Inni chłopcy patrzyli na niego z pogardą i odrazą. Bardzo szybko po szkole rozeszło się, że w internacie zamieszkał mięczak i że widziano, jak płakał. Co gorsza, był to brat Edgara Muncastera. Jak to się stało, że Ed Muncaster miał za brata takiego szczyła? To była hańba dla całej szkoły.

Życie Franka stało się udręką. Chłopcy otaczali go na boisku i zaczęli z niego szydzić, nabijać się, że jest chudy, ma wielkie uszy, wykrzywia twarz w dziwnym grymasie i płacze. Z początku stawał przerażony w środku i krzyczał, żeby dali mu spokój. To tylko pogarszało sytuację i w końcu zdał sobie sprawę, że musi milczeć. Nie wolno mu było płakać i okazywać w ogóle żadnych emocji.

Tylko raz stracił nad sobą panowanie. Do jego klasy chodził chłopiec o nazwisku Lumsden. Był duży, gruby i nosił okulary, i pewnie sam stałby się obiektem docinków, gdyby nie to, że udawał sprytnie chojraka i uczynił atut ze swojej tuszy. Wkrótce zaczął przewodzić grupie prześladowców Franka. Pewnego chłodnego jesiennego ranka, kiedy na twardych źdźbłach rosnącej na zboczu trawy osiadł pierwszy szron, banda chłopców otoczyła stojącego bez ruchu Franka i próbowała doprowadzić go do płaczu. Lumsden wystąpił nagle do

przodu, ukucnął i wymachując rękoma, wykrzywił twarz w grymasie, który, jak zdał sobie sprawę Frank, stanowił imitację jego własnej miny.

— Uuuu! Uuuu! — zawył, naśladowując krzyk małpy. — Muncaster jest jak te szympansy, które widziałem w zoo w wakacje. Szczęrzą zęby zupełnie jak on. Muncaster Małpison, Muncaster Małpison!

Chłopcy zarechotali; Lumsden celnie mu przygadał. Coś nagle pękło we Franku i skoczył na większego chłopca, zaciskając pięści i młóćąc dziko rękoma. Chciał mu wybić zęby, chciał go zabić, ale oślepiła go furia. Lumsden bez trudu podstawił mu nogę i Frank upadł na asfalt. Lumsden pochylił się nad nim.

— Doigrałeś się, Małpisonie — oznajmił z wściekłością.

— Bij tak, żeby nie zostawiać śladów, Hector — ostrzegł go któryś z pozostałych.

Lumsden siadł okrakiem na mniejszym chłopcu i zaczął bić go po brzuchu tak mocno, że Frankowi zabrakło tchu w piersi i o mało nie zemdłał.

— Dosyć, Hector! — zawołał ktoś. — Zabijesz tego szczyła!

Lumsden podniósł się z zaczerwienioną twarzą i spojrzał z satysfakcją na Franka.

— To ci da nauczkę. Będziesz pamiętał, kim jesteś — wycedził.



Frank wiedział, że nic nie może zrobić — był całkowicie bezradny. Nie mógł zwrócić się o pomoc do brata — Edgar, widząc go, przechodził na drugą stronę korytarza — ani do nauczycieli. Wiedzieli, jak jest traktowany — musieliby być ślepi i głusi, żeby tego nie zauważyć, ale jak stwierdził Edgar, w Strangmans kierowano się zasadą, że chłopcy muszą się nauczyć radzić sobie sami. Nauczyciele nie reagowali, dopóki nie zobaczyli, że któryś z uczniów nosi wyraźne ślady pobicia. Poza tym nie lubili Franka; w klasie nie potrafił się skoncentrować, przez cały czas dumał o niebieskich migdałach i często zwracano mu uwagę, żeby nie wyglądał przez okno. Czasami obrywał za to po łapach wąskim skórzanym paskiem z rozcięciem na końcu, żeby bardziej bolało.

Stopniowo Frank nauczył się schodzić wszystkim z oczu, stał się w tej dziedzinie ekspertem. Podczas przerw i w porze lunchu chował się w toaletach albo w pustych klasach. W rogu dużej auli, gdzie chłopcy odmawiali codziennie rano modlitwę, odkrył wielki stos drewnianych krzeseł, które wynoszono stamtąd wyłącznie w dni rozdawania nagród i innych ceremonii. Krzesła przykryte były starą grubą kurtyną. Przeciskając się między nimi, znalazł w środku przestrzeń,

w której mógł ukucnąć mały chłopiec taki jak on. Wiedział, że nie jest to zbyt bezpieczne miejsce, ale nie dbał o to, znalazł swoją kryjówkę.

Prześladowcy nigdy zbyt długo go nie szukali. W dużej szkole można było przecież zawsze dopaść kogoś innego, a Frank starał się maksymalnie wszystkich unikać. Brak reakcji na zaczepki sprawił, że przez większość czasu zostawiano go w spokoju, ale gdy mijał grupki chłopców i tak ścigały go często okrzyki „Małpison!”, „Świr!” i „Wyszczierz zęby, małpo!”.

Szykany trwały dalej, ponieważ nikt nie zamierzał położyć im kresu. Po lekcjach chłopcom wolno było wychodzić na wzgórza i Frank całymi godzinami włóczył się wśród granitowych skał i krzewów kolcolistu, po zboczach porośniętych długimi trawami, przygiętymi do ziemi przez wiecznie wiejące wiatry, bez przerwy lustrując horyzont i chowając się w zaroślach, kiedy tylko zobaczył innego ucznia.

Skończył dwanaście lat, a potem trzynaście i czternaście, ale nadal z nikim się nie zaprzyjaźnił. W 1931 roku Edgar skończył osiemnaście lat i wyjechał ze Strangmans do Oksfordu, żeby studiować fizykę. W tym czasie Frank właściwie nie żył już w realnym świecie. Jedynym lubianym przez niego miejscem była biblioteka. Najbardziej popularne książki z serii o Bulldogu Drummondzie i autorstwa George’a Henty’ego zbyt go nie pociągały, uwielbiał za to fantastykę naukową, zwłaszcza Juliusza Verne’a i H.G. Wellsa. Podziwiał ich opowieści o podziemnych i podwodnych światach, o wyprawach na Księżyc, najeżdżcach z Marsa i podróżach w przyszłość. Podczas wakacji przeczytał w jakimś czasopiśmie o niemieckim naukowcu, który przewidywał, że pewnego dnia rakiety zabiorą ludzi na Księżyc. Kiedy chłopcy zaczęli się uczyć fizyki i poznawać budowę Układu Słonecznego, Frank nadstawił uszu. Nauczyciel fizyki, któremu powiedziano, że z Muncasterem są wieczne kłopoty, przekonał się, że jest inteligentnym i uważnym chłopcem i świetnie radzi sobie ze skomplikowanymi obliczeniami. Po raz pierwszy Frank zaczął dostawać dobre stopnie z jakiegoś przedmiotu. Inni nauczyciele dziwili się i cmokali; zawsze mówili, że Muncaster ma swój rozum, ale jest zbyt leniwy i rozkojarzony, by go użyć. Teraz używał go, by zrozumieć Newtona, Keplera i Rutherforda. Frank wyobrażał sobie, że podróżuje do innych światów, których rozwinięci mieszkańcy traktują go z sympatią i szacunkiem. A czasami, kiedy leżał na żelaznym łóżku w zbiorowej sypialni, śnili mu się najeżdżający Ziemię Marsjanie i jeden z tych wymyślonych przez Wellsa trójnogów, z którego posłany promień śmierci obracał w gruzy Strangmans College niczym gigantyczny domek dla lalek.



Obudził się z nagłym wzdrygnięciem. Musiał zasnąć w fotelu. W cichym pokoju było zimno. Na zewnątrz szron pokrył trawę i gałęzie drzew. Kałuże były ścięte lodem. Zastanawiał się, która jest godzina; zapadał zmierzch, więc musiało być koło czwartej. Zaczynał się dyżur Bena. Pewnie znowu będzie mu wiercić dziurę w brzuchu, żeby skontaktował się z Davidem. Frank pomyślał o swoich studiach na uniwersytecie; przynajmniej tamten okres wspominał bez dreszczu trwogi.

Jego szkolny nauczyciel przedmiotów ścisłych, pan McKendrick, jedyny człowiek w Strangmans College, który próbował mu pomóc, przygotował go do egzaminu wstępnego.

— Myślę, że zdasz — powiedział mu. — Życie tam będzie chyba dla ciebie łatwiejsze, Muncaster — dodał po chwili. — Będiesz musiał ciężko pracować, żeby coś osiągnąć, ale możesz tam studiować indywidualnie, czego nie mogłeś robić jako uczeń. Jednak musisz się naprawdę postarać, jeśli chcesz się z kimś zaprzyjaźnić. Naprawdę postarać.

W 1935 roku Frank zaczął studiować chemię w Oksfordzie. Edgar skończył już wtedy studia i wyjechał na staż podyplomowy do Ameryki; Frank szczególnie za nim nie tęsknił. Chodząc po mieście, podziwiał piękne budynki kolegów. Miał nadzieję, że zamieszka sam. Wiadomość, że będzie dzielił z kimś pokoje, przyjął z pewną obawą. Nauczył się jednak oceniać ludzi na podstawie tego, czy mogą stanowić dla niego zagrożenie, i już jak tylko zobaczył Davida Fitzgeralda, poczuł się bezpiecznie. Wysoki, wysportowany londyńczyk robił wrażenie powściągliwego i sympatycznego.

— Co studiujesz? — zapytał Franka.

— Chemię.

— Ja historię współczesną. Słuchaj, którą sypialnię wolisz? Jedna jest trochę większa, ale z drugiej widać dziedziniec.

— Och... wszystko mi jedno.

— Jeśli chcesz, weź tę z widokiem.

— Dzięki.

Frank był zbyt nieśmiały i podejrzliwy, żeby się z kimś naprawdę zaprzyjaźnić; pracował z innymi studentami w laboratorium, ale nie brał udziału w rozmowach. Nie mógł się pozbyć obawy, że zwrócą się nagle przeciwko niemu i wyzwą go od małpisonów. Udało mu się jednak dołączyć do grupki Davida, której członkowie starali się być poważni, roztropni i nieskłonni do drwiny. David cieszył się mirom wśród innych studentów, ponieważ trenował wioślarstwo i zakwalifikował się do drużyny uniwersyteckiej.

Frank na zawsze zapamiętał pewien wieczór pod koniec pierwszego semestru. Włochy najechały właśnie Abisynię i zawarty przez Wielką Brytanię

i Francję pakt, który pozwalał zaanektować Włochom dużą część tego afrykańskiego kraju, budził gorące polityczne sprzeciwy. Frank i David siedzieli w akademiku, dyskutując na ten temat z najlepszym przyjacielem Davida, Geoffem Draxem.

— Musimy przyjąć do wiadomości, że Włochy wygrały wojnę — mówił Geoff. — Żałuję, że tak się stało, lecz lepiej jest zawrzeć teraz porozumienie i zaprzestać walk.

— Ale to oznacza koniec Ligi Narodów. — W spokojnym głosie Davida słychać było emocje. — Zezwalamy w ten sposób każdemu krajowi wszcząć agresywną wojnę.

— Liga Narodów jest skończona. Nie zdołała zapobiec atakowi Japonii na Mandżurię.

— Tym bardziej powinna teraz okazać stanowczość.

Frank oglądał podczas organizowanych przez szkołę wycieczek do kina, co się działo w Europie: widział złowrogiego Stalina i kroczących dumnie dyktatorów, Hitlera i Mussoliniego. Obrazy żydowskich sklepów rozbijanych przez szydzących nazistów budziły w nim instynktowne współczucie dla ofiar. Zaczął śledzić wiadomości.

— Jeśli Mussoliniemu ujdzie to na sucho — powiedział — to rozzuchwali Hitlera. Przywrócił już przymusowy zaciąg do wojska, a Churchill twierdzi, że rozbudowuje lotnictwo. Chce ponownie wywołać wojnę w Europie. Bóg jeden wie, co zrobi wtedy z Żydami.

Zorientował się, że przemawia z pasją, a nawet zaciekleścią, i nagle umilkł. David przyglądał mu się z zaciekawieniem i Frank zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy, odkąd pamięta, kogoś autentycznie ciekawiło to, co miał do powiedzenia. Geoff również wydawał się zainteresowany.

— Jeśli Churchill ma rację — powiedział — i Hitler stanowi zagrożenie, tym bardziej powinniśmy zaprzyjaźnić się z Mussolinim.

— Hitler i Mussolini są ulepieni z tej samej gliny — stwierdził Frank. — Wcześniej czy później dogadają się z sobą.

— Też tak sądzę — oświadczył David. — I masz rację, że Bóg jeden wie, co się wtedy stanie z Żydami.



Ktoś wszedł do cichego pokoju, wyrywając go z zamyślenia. To był Ben, który uważnie mu się przyjrzał.

— Dobrze się czujesz? — zapytał. — Wyglądasz, jakbyś się czymś strasznie martwił.

— Nic mi nie jest — odparł Frank.

Dlaczego tak się mną interesuje? — pomyślał znowu, a potem przypomniał sobie swoje wcześniejsze straszne myśli o samobójstwie, doktorze Wilsonie i elektrowstrząsach. Zdał sobie sprawę, że ma tylko jedno wyjście. Wziął głęboki oddech.

— Zastanawiałem się, czy nie powinienem jednak skontaktować się z tym moim znajomym z uniwersytetu, Davidem — powiedział.

Ben pokiwał szybko głową.

— W porządku. Możesz zadzwonić do niego w weekend, kiedy będę miał dyżur. I nie mów nic innym osobom z personelu. Nie chcemy, żeby Wilson się w to mieszał.

Frank ponownie pomyślał o wstydzie, jaki będzie musiał przezwyciężyć, mówiąc Davidowi, gdzie się znalazł. Kiedy studiował z nim i jego znajomymi na uniwersytecie, czuł się czasami jak ktoś zupełnie normalny, jak zwyczajny człowiek. Ale nie było już do tego powrotu.

Ben uniósł brwi i posłał mu pytające spojrzenie.

— Umowa stoi? — zapytał.

— Tak jest — odparł Frank i spróbował się uśmiechnąć, tym razem normalnie.

Rozdział dwunasty

Sarah wróciła do domu z zebrania kilka minut po piątej. Idąc ulicą, spojrzała na stary schron przeciwlotniczy stojący po drugiej stronie skweru. Wcześniej często dziękowała Bogu, że nie musieli z niego korzystać, lecz teraz zastanawiała się, czy wojna w 1940 roku naprawdę zakończyłaby się czymś gorszym od tego, co mieli teraz. Zdezorientowana pokręciła bezradnie głową.

Na macie przed drzwiami leżała zapisana odręcznie kartka. Był to kosztorys od majstra, z którym się skontaktowała i który miał położyć na nowo tapetę przy schodach. Trzymając w ręku kartkę, usiadła znużona w fotelu. Myślała o chłopcach, których pobito przy stacji metra, o krwi na trotuarze. Żałowała, że ojciec nie ma telefonu; mimo że kosztowałyby ją to całkiem sporo, zadzwoniłaby do niego do Clacton. Mogła zadzwonić do Irene, ale wiedziała, co powie siostra: trzeba przestrzegać ładu i porządku, nawet jeśli pomocnicza policja jest czasami zbyt brutalna.

Pamiętała, jak w 1941 roku aresztowano jej ojca. Pacyfiści, którzy popierali zawarcie traktatu berlińskiego — pokojowo nastawieni laburzyści, działacze Roty Pokoju oraz kwakrzy — wszyscy oni mieli wątpliwości już wtedy, gdy na mocy postanowień traktatu deportowano do Niemiec antynazistowskich uchodźców, w większości Żydów. Ale masowe protesty zaczęły się dopiero, kiedy na wiosnę następnego roku wybuchła wojna z Rosją i stary wiarus Lloyd George, uszczęśliwiony tym, że po prawie dwudziestu latach ponownie został premierem, wezwał brytyjskich ochotników do udziału w niemieckiej krucjacie przeciwko komunizmowi.

Powołano do życia nową organizację, Akcję na rzecz Pokoju w Europie, i ojciec Sarah postanowił do niej wstąpić. Urządzano marsze, kampanie ulotkowe, nawoływano do bojkotu niemieckich towarów. Gazety, wśród nich należący do Beaverbrooka „Express”, naśmiewały się z paradującej w sandałach brygady jaroszy, którzy radykalnie zmienili front, podobnie jak zrobili to komuniści po złamaniu przez Hitlera paktu nazistowsko-sowieckiego i zaatakowaniu ojczyzny światowego proletariatu.

W październiku 1941 roku, tuż po upadku Moskwy, miała się odbyć wielka demonstracja na Trafalgar Square i ojciec Sarah zdecydował, że weźmie w niej

udział. Między Sarah i Irene doszło wówczas po raz pierwszy do poważnej sprzeczki; Irene wyszła już wtedy za Steve'a i nie była taką zdeklarowaną pacyfistką, za to Sarah chciała koniecznie demonstrować razem z ojcem. W końcu to sam Jim zabronił jej tam iść; nawet BBC nazywała antywojennych demonstrantów niebezpiecznymi poplecznikami komunistów i Sarah w przeciwieństwie do ojca, który był już na emeryturze, mogła stracić pracę w szkole. Ostatecznie więc nie poszła na demonstrację; w radiu usłyszała, że w jej trakcie doszło do gwałtownych zamieszek. Dopiero później dowiedziała się od ojca, co się naprawdę wydarzyło. Tysiące ludzi siedziały pokojowo pod kolumną Nelsona: byli wśród nich Bertrand Russell, Vera Brittain, A.J.P. Taylor, setki duchownych, londyńscy dokerzy, gospodynie domowe, bezrobotni i członkowie Izby Lordów. Władze otoczyły plac pojazdami opancerzonymi i wysłały policję z pałkami. Wielu przywódców trafiło z dziesięcioletnimi wyrokami do obozów internowania na wyspie Man, a niektórych, jak głosiły plotki, odesłano Niemcom na wyspę Wight. Dalszych demonstracji zabroniono na mocy starych wojennych przepisów, których nie uchylono po 1940 roku. Lloyd George mówił o zmiążdżeniu dywersji żelazną ręką. Niektórzy słynni pacyfiści, tacy jak Vera Brittain i Fenner Brockway, ogłosili strajk głodowy na wyspie Man, ale pozwolono im umrzeć. To była ich decyzja, stwierdził Lloyd George. Organizowano kolejne mniejsze demonstracje, o których Jim dowiadywał się od starych znajomych, lecz wszystkie były bezwzględnie tłumione i w ogóle o nich nie informowano. Oświadczył, że jest za stary, żeby działać w podziemiu, i poradził Sarah, żeby się nie wychylała, czekała na lepsze czasy. Tak samo uważał David, kiedy go poznała. Sytuacja coraz bardziej się pogarszała; ludzie sarkali i narzekali, lecz byli teraz bezradni.

Stojąc w holu, Sarah zastanawiała się, czy kiedykolwiek powie Davidowi, co wydarzyło się tego popołudnia; miał wrócić za kilka godzin i nie wiedziała, czy mówił prawdę, twierdząc, że musi pracować po godzinach. Weszła do salonu i stała tam przez dłuższą chwilę, obejmując się ramionami. Westchnęła. Tak łatwo było zapomnieć o wszystkim, co się teraz działo; może to dobrze, że jej to unaocznili. Zapaliła drewno, ułożone w kominku przez gosposię, po czym wróciła do holu i przyjrzała się zdartej tapecie. Na stoliku stał duży kolorowy wazon w stylu regencji, który należał kiedyś do matki Davida i z którego była taka dumna. Wyjeżdżając do Nowej Zelandii, ojciec zostawił go u syna. Sarah przypomniała sobie inne popołudnie, pochodzące jakby z innego życia, kiedy raczkujący Charlie zbliżył się do stolika i powoli, ostrożnie usiłował stanąć, zaciskając pięści na jego krawędzi. Wazon zakołysał się. David podszedł cicho do syna, żeby go nie przestraszyć, wziął go pod pachy i przeniósł gdzie indziej. Mały odwrócił się i spojrzał na ojca z wyrazem takiego zdumienia, że oboje

rodzice wybuchli śmiechem; ich syn również się roześmiał. David podniósł go wysoko nad głowę. „Musimy schować gdzieś wazon, bo mały urwis Charlie wkrótce go rozbije”, powiedział. Wstawili wazon do szafy, ale po śmierci Charliego David uparł się, żeby postawić go z powrotem na stoliku. „Zawsze stał w holu naszego domu”, oznajmił.

Patrząc na wazon, Sarah zgięła się nagle w pół i zaczęła bezradnie płakać.



David wrócił do domu o ósmej. Zdążyła się do tego czasu uspokoić i ugotowała obiad. Robiła na drutach pulower, który miał być gwiazdkowym prezentem dla najstarszego syna Irene. Ostatnio coraz częściej dziergała; był to jeden ze sposobów, żeby nie zwariować, siedząc samotnie w domu. Odłożyła teraz pulower i przyjrzała się mężowi. Był blady i zmęczony i nie wyglądał na kogoś, kto właśnie przespał się z kochanką. Jak zwykle go pocałowała. Nie czuć było od niego perfum, wyłącznie stęchły, zimny zapach londyńskich ulic.

— Przepraszam, chciałem wrócić do domu o przyzwoitej porze — powiedział.

Może rzeczywiście pracował do późna, pomyślała, jest taki zmęczony. Chyba że zmęczył się odgrywaniem swojej roli. Odsunęła się od niego. David uważnie jej się przyjrzał.

— Dobrze się czujesz? — zapytał, a kiedy nie odpowiedziała, wziął ją delikatnie za ramiona. — Czy coś się stało, Sarah?

Epizod w śródmieściu musiał nią wstrząsnąć bardziej, niż jej się wydawało.

— Tak — odparła. — W mieście, dziś po południu. Widziałam coś strasznego.

Usiedli i opowiedziała mu o interwencji policji.

— Ci chłopcy rozrzucali tylko ulotki. Gliniarze z formacji pomocniczych to barbarzyńcy. Tłukli ich tak, żeby zabić, a potem wywieźli suką. Jakiś starszy mężczyzna powiedział, że zabierają ich na gestapo.

David wpatrywał się w ogień na kominku.

— Czy to nie Gandhi powiedział, że pokojowe protesty mają sens tylko wtedy, kiedy ci, przeciwko którym protestujemy, mają poczucie wstydu? — zapytał.

Sarah podniosła wzrok.

— Mieli odwagę zająć stanowisko — powiedziała. — Byli dzielni. Cała ta przemoc, do której ucieka się ruch oporu, tylko pogarsza sytuację. Dlatego rząd rekrutuje coraz więcej funkcjonariuszy formacji pomocniczych. To zaklęty krąg.

David zmierzył ją dziwnym, poważnym spojrzeniem.

— Więc co mają robić ludzie? Pozwoliliśmy, żeby nam wszystko odebrali. Demokrację, suwerenność, wolność.

— Po prostu czekać. — Sarah gorzko się roześmiała. — Czy nie to właśnie robimy od dwunastu lat? Przypuszczam, że tak właśnie zwykli ludzie radzili sobie zawsze w ciężkich czasach. Hitler nie pojawił się publicznie, żeby spotkać się z Beaverbrookiem, prawda? Ze swoim najważniejszym sojusznikiem. Może rzeczywiście jest umierający.

— Jeśli umrze, jego miejsce zajmie Himmler.

Sarah spojrzała na Davida. Był takim samym przeciwnikiem reżimu jak ona i spodziewała się, że oburzy go to, jak potraktowano tych chłopców.

— To wszystko, co się dzieje na świecie, jest po prostu nie do zniesienia — odezwał się w końcu.

— Jesteś zmęczony — odparła. — Idź na górę i przebierz się w domowe ubranie. Ja nakryję do stołu.

Położyła przy jego talerzu list od tapeciarza.

— Zostawił wiadomość dziś po południu, kiedy mnie nie było — powiedziała, gdy David usiadł przy stole, i podała mu kotlety jagnięce. — Może przyjść w przyszłym tygodniu.

David spojrzał na nią.

— To też wytrąciło cię z równowagi? — zapytał. — Nie tylko to, jak pobito tych chłopców?

— Tak, trochę — przyznała. — Chyba nie zawsze wspieramy się tak, jak moglibyśmy to robić — dodała po chwili.

— Wiem — odparł cicho. — Przepraszam.

Sarah uśmiechnęła się ze smutkiem.

— To były dla nas trudne lata. Pod każdym względem, prawda?

— Diabelnie trudne.

— W niedzielę mam kolejne zebranie komitetu.

— Czujesz się na siłach, żeby pójść?

— Tak. Tak, pójdę tam.



Potem, siedząc w osobnych fotelach, oglądali wiadomości w telewizji. Beaverbrook przemawiał z Berlina; stał na stopniach Kancelarii Rzeszy, uśmiechając się do reporterów, jak zwykle pogodny niczym skowronek. W jego piskliwym głosie słychać było wyraźny kanadyjski akcent.

— „Z przyjemnością informuję panów, że moje rozmowy z Herr Goebbelsem były bardzo udane. Dziś rano udzielił mi także audiencji Herr Hitler, który przesyła serdeczne życzenia Brytyjczykom i całemu imperium. W stosunkach z Niemcami zaczyna się nowa era współpracy gospodarczej i wojskowej, co może tylko pomóc naszemu krajowi w tych ciężkich czasach. Taryfy celne między Wielką Brytanią i Europą zostaną zredukowane, co ułatwi handel i wspomże nasz przemysł. Liczebność brytyjskiej armii zostanie podniesiona o sto tysięcy żołnierzy w stosunku do ustaleń traktatu berlińskiego, dzięki czemu będziemy mogli wzmocnić nasze siły imperialne. Przywożę do Londynu klucze do nowej pomyślności naszego kraju i imperium. Dziękuję”.

David drwiąco się roześmiał.

— Skoro Niemcy pozwalają nam w większym stopniu handlować z Europą i podnieść stan liczebny armii, będą chcieli czegoś w zamian — powiedział. — Co do handlu, przewiduję kontrakty dla naszego przemysłu zbrojeniowego. Od lat starają się dostarczać broń na front rosyjski.

— O Boże. — Sarah potrząsnęła głową. — Pamiętasz, jak w latach trzydziestych ludzie śmiali się z Mosleya i jego maszerujących z dumnymi minami Czarnych Koszul. Wydawało nam się kiedyś, że Brytyjczycy nigdy nie mogą zostać faszystami ani z nimi kolaborować. Tymczasem okazało się, że mogą. Przypuszczam, że każdy może w odpowiednich okolicznościach.

— Wiem.

W telewizji pokazywali teraz gigantyczną jodłę ścinaną w Norwegii, coroczny podarunek, który za kilka tygodni miał stanąć na Trafalgar Square. Premier Quisling bił brawo, kiedy wielkie drzewo runęło na ziemię, wzbijając w górę tuman śniegu. Sarah wiedziała, że ten widok przypomni Davidowi kampanię norweską z 1940 roku.

— Jutro rano muszę pojechać do biura — oznajmił. — Tylko na zebranie. Nudy na pudy. Wrócę w porze lunchu.

— Dobrze — odparła, wzdychając.

— Jestem zmęczony. Pójdę się położyć — powiedział. — Nie musisz iść ze mną na górę. Jeśli chcesz, możesz tu zostać.



W sobotę późnym rankiem David wrócił ze spotkania z Jacksonem spięty i podminowany. Sarah nie mogła się dowiedzieć o telefonie od Franka. Kiedy nazajutrz wybierze się do niego do Birminghamu, powinna być przekonana, że pojechał gdzie indziej.

W Northampton miał wuja, który pomógł jego rodzicom, gdy dawno temu przyjechali do Anglii. Prowadził niegdyś małą firmę budowlaną, ale teraz był już osiemdziesięcioletnim bezdzietnym wdowcem. Ojciec Davida prosił go, żeby opiekował się wujem Tedem i David odwiedzał kilka razy w roku starego Irlandczyka, przeważnie sam, bo Ted był znany ze swojej zrzędlivosti. Zamierzał teraz opowiedzieć Sarah, że Ted przewrócił się i leży w szpitalu. Kiedy Frank zadzwoni, co według Jacksona miało nastąpić między czwartą a piątą tego popołudnia, David uda, że to telefon od wuja.

— Co mam zrobić, żeby Sarah nie odebrała telefonu? — zapytał Jacksona, gdy się z nim spotkał. — Aparat stoi w sypialni na górze, ale dlaczego miałbym tam siedzieć o czwartej po południu?

— Udaj, że źle się czujesz — poradził mu Jackson. — Lecz nie aż tak źle, żebyś nie mógł jutro wyjechać.



Przed lunchem David wyszedł do ogrodu, żeby posprzątać liście. Był kolejny zimny, wilgotny dzień. Sarah też wyszła, w chustce na głowie i starym płaszczu, i pomogła mu zagrabić mokre liście na stertę. Rozpalili ognisko i w nieruchomym powietrzu wzbija się w górę cienka smuga dymu. Policzki Sarah zaróżowiły się od zimna; już dawno nie robili razem domowych porządków. Wyglądała ładnie, odprężona przy pracy. Była taka uczciwa, taka dobra. David czuł, jak wzbiera w nim miłość do żony i dręczy go równocześnie poczucie winy.

O wpół do dwunastej Sarah poszła przyrządzić lunch. Pracując dalej sam i wykopując zeschnięte rośliny z grządek, David zastanawiał się, co takiego, u licha, wiedział Frank. A może nie miał o niczym pojęcia? Może coś pękło w końcu w jego kruchym umyśle? Nie, to niemożliwe, Amerykanom bardzo na nim zależało. Trudno mu było znieść myśl, że Frank jest osaczony, że grozi mu poważne niebezpieczeństwo. Sam też od dawna się narażał.

Pamiętał, jak w 1946 roku stał z ojcem na nabrzeżu w Auckland, przed wejściem na pokład statku, który miał go odwieźć do Anglii po zakończeniu misji na placówce w Nowej Zelandii. Sarah poszła na chwilę do toalety.

— Mówią, że w Anglii jest teraz zła pogoda — mruknął ojciec. — Choć zanim tam dopłyniesz, na pewno się polepszy.

— Zgadza się, po późnym lecie będziemy mieli od razu wiosnę.

— Zostań tutaj, Davidzie — powiedział nagle ojciec. — Sytuacja w Anglii robi się coraz gorsza.

— Już o tym mówiliśmy, tato. Sarah i ja uważamy... to nasz kraj, tam jest nasze miejsce.

— Jest pewna sprawa, synu, która powoduje, że teraz to nie jest już twoje miejsce — odparł cicho ojciec. — A tutaj to zupełnie bez znaczenia.

— Nikt o tym nie wie. I nie ma sposobu, żeby ktokolwiek się dowiedział. Ojciec westchnął.

— Zawsze się zastanawiałem, co takiego chciała ci powiedzieć matka. Tuż przed śmiercią. Może to było ostrzeżenie.

David pamiętał, jak po raz ostatni patrzył z odpływającego statku na ojca, który stał na nabrzeżu z powiewającą na wietrze siwą czupryną i machał mu ręką na pożegnanie. Odłożył teraz szpadel i wszedł do środka.

— Za bardzo się pochylałem — powiedział do żony. — Rozbolały mnie plecy. Po lunchu chyba się położę.



Przy posiłku Sarah patrzyła na niego ze współczuciem.

— Przepracowałeś się — stwierdziła. — Idź na górę, przyniosę ci filiżankę herbaty. Połóż się płasko na plecach i zegnij kolana, to najlepszy sposób.

Uwierzyła mu i to sprawiło, że poczuł do niej niewytłumaczalną złość — chciał krzyknąć, że wcale go nie bolą te cholerne plecy. Zamiast tego poszedł jednak na górę i położył się w pozycji, którą mu zaleciła. Na stoliku obok stał aparat telefoniczny, zainstalowany tam przez niego w zeszłym roku; powiedział jej, że na wypadek gdyby zadzwonili do niego w nocy z pracy.

Sarah przyniosła mu herbatę, którą wypił. Po jakimś czasie zmęczyła go dziwna pozycja, więc usiadł na skraju łóżka i zaczął patrzeć przez firanki na bezlistne drzewa i szare niebo.

Dziesięć po czwartej, kiedy zaczęło już zmierzchać, zadzwonił telefon. Choć przez cały czas na to czekał, wzdrygnął się, słysząc przenikliwy dzwonek. Podniósł słuchawkę.

— Kenton czterdzieści osiem piętnaście.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. W końcu odezwał się głos, cichy i drżący.

— Czy mówię z Davidem Fitzgeraldem?

— Tak. Kto mówi?

— To ja, Frank, Davidzie. Frank Muncaster. Pamiętasz mnie?

— Oczywiście. Frank? Dawno się nie widzieliśmy. Co u ciebie? — zapytał cicho David.

— Och... — W głosie jego rozmówcy zabrzmiała desperacja. — Mam problemy. Nie czuję się zbyt dobrze.

— Przykro mi to słyszeć, Frank. Naprawdę przykro.

— Zamknęli mnie... to znaczy jestem w szpitalu psychiatrycznym. — Frank mówił teraz głośniej. — Naprawdę bardzo mi przykro, Davidzie, że ni stąd, ni zowąd zawracam ci głowę, ale ktoś musi mi pomóc. Jestem w szpitalu i wyłonił się pewien problem z opłatami. Nie chodzi o pieniądze, mam dużo pieniędzy, ale nie mogę nimi dysponować. — Frank przerwał nagle, jakby zabrakło mu słów.

— Słuchaj, Frank. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Powiedz tylko, co trzeba zrobić.

— Uważają, że jestem psychicznie chory, Davidzie. — Frank mówił teraz szybko i znowu zaczął mu drżeć głos. — Nie mogę stąd wyjść. Potrzebuję kogoś z rodziny, żeby został moim powiernikiem. Ale mama już nie żyje, a Edgar jest w Ameryce i nie mogą się z nim skontaktować. Czy jest możliwość, Davidzie, żebyś pomógł mi to jakoś zorganizować? Nie mam nikogo innego. Nikogo.

— Gdzie jesteś?

— W szpitalu Bartley Green, tuż pod Birminghamem.

David wziął głęboki oddech.

— Słuchaj, Frank. Mógłbym przyjechać do ciebie jutro — zaproponował szybko, na schodach słychać było kroki Sarah.

— Mógłbyś? Och, o tak wiele cię proszę.

Sarah stanęła w progu sypialni, posyłając mu pytające spojrzenie.

— Przyjadę — powiedział David do telefonu. — Pociągiem to żaden problem. Jakie są godziny odwiedzin?

— Czy mógłbyś przyjechać po południu? Jest tu pewien pielęgniarz, nazywa się Ben. Mają tutaj pielęgniarzy mężczyzn...

— Przyjadę jutro — przerwał mu David — powiedzmy, o trzeciej?

— Tak. Tak, o trzeciej będzie idealnie. Och, dziękuję. — Frankowi znowu zadrżał głos. — Jak dobrze będzie cię zobaczyć. Ale przepraszam cię... zepsuję ci weekend. Nie zapytałem nawet, co u ciebie, jak się czuje twoja żona...

— U Sarah wszystko w porządku. Słuchaj, zobaczymy się jutro. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

— Dziękuję, Davidzie. Muszę już kończyć, dzwonię ze szpitalnego telefonu, a to rozmowa międzymiastowa.

— W porządku. Do zobaczenia.

— Do zobaczenia, Davidzie. — W głosie Franka zabrzmiała niezmierna ulga. — Dziękuję ci, dziękuję.

W słuchawce rozległo się kliknięcie. Połączenie urwało się.

— Dobrze, wujku — odezwał się po sekundzie David. — Nie martw się, jutro się zobaczymy. Do widzenia. — Odłożył słuchawkę na widelki i odwrócił się do żony. — Dzwonił wujek Ted. Wywrócił się w domu i leży w szpitalu.

Rozdział trzynasty

Gunther rozejrzał się po salonie swojego dużego mieszkania przy Russell Square. Był piątkowy wieczór. Niewykluczone, że zostanie tu przez parę tygodni, pomyślał. Mieszkanie mieściło się w wiktoriańskim budynku, ale zostało zmodernizowane: wszędzie proste linie, prostokątne meble, na ścianach kinkiety w kształcie odwróconych muszli. Niemieckie pejzaże stanowiły standardowe wyposażenie placówek dyplomatycznych. Jego uwagę przyciągnął obraz przedstawiający kępę traw na pierwszym planie, a za nią szaroniebieski Bałtyk pod szerokim bladym niebem. Na horyzoncie widać było samotną żaglówkę. Przypomniało mu to wyjazdy nad morze w dzieciństwie.

W mieszkaniu była sypialnia dla dwóch osób i gabinet z dużym biurkiem. Na podkładce leżał notes i ołówek, w rogu stała fotografia przedstawiająca z półprofilu Reichsführera Himmlera w okularach, który wpatrywał się gdzieś obok obiektywu. Miał mu przypominać, że podlega teraz SS, a nie ambasadorowi Rommlowi.

Zajrzał do kuchni. W wysokiej lodówce był bochenek żytniego chleba, pikantna kiełbasa, ser i kilka butelek piwa. To dobrze, angielski policjant, który miał go odwiedzić, na pewno będzie chciał się czegoś napić. Gunther przeszedł do sypialni, zdjął marynarkę i buty i poczłapał z powrotem do salonu w samych skarpetkach. Na małym zegarze na kominku była za piętnaście siódma. Policjant, Syme, nie powinien się pojawić przed wpół do ósmej. Zastanawiał się, co to za facet. Idąc z Senate House do mieszkania, zauważył, jak brudny i zaniedbany jest Londyn: psie kupy i śmieci na ulicy, zmęczeni ludzie wlokący się z pracy do domu, zgaszone, pozbawione zapału twarze. Nagłówki gazet w kioskach mówiły o kolejnych strajkach w Szkocji, a także o nadzwyczajnym zjeździe Szkockiej Partii Narodowej, na którym postanowiono wspierać władze w zamian za traktat uznający autonomię za pierwszy krok w kierunku odzyskania niepodległości. Wizja przyszłości, jaką miał Gunther, niemiecka wizja, była jasna i logiczna i stanowiła całkowite przeciwieństwo chaosu i dezorientacji panującej w tym kraju. Włączył stojący w kącie telewizor. Puszczano właśnie jakiś western, tandetną amerykańską bzdurę, zabronioną w niemieckiej telewizji. Wyłączył

odbiornik, zapalił papierosa i wpatrując się w morski pejzaż, pomyślał o swoim dzieciństwie.



Urodził się w 1908 roku, sześć lat przed wybuchem wielkiej wojny. Jego ojciec był sierżantem policji w małym mieście niedaleko Königsbergu w Prusach Wschodnich, najdalej na wschód wysuniętej prowincji cesarskich Niemiec. Był o dziesięć minut starszy od swojego brata bliźniaka Hansa. Z wyglądu byli identyczni: te same kwadratowe twarze i jasne blond włosy, ale różnili się charakterem. Hans był szybszy i weselszy i miał w sobie ikrę, której brakowało bratu. Gunther bardziej przypominał ojca — był solidny i spokojny. W dzieciństwie był jednak niezgrabnym, nieporządnym chłopcem, chodzącym stale w pogniecionym ubraniu, podczas gdy Hans wyglądał zawsze jak spod igły.

Obaj radzili sobie dobrze w szkole, ale Gunther był kujonem, a Hans zdolnym i pełnym polotu uczniem, czasami aż za bardzo jak na upodobania surowych nauczycieli. Gunther zawsze czuł, że musi się opiekować bratem, a mimo to często zazdrościł mu cech, dzięki którym Hans był bardziej lubiany przez innych chłopców, a później przez dziewczęta. Ale to Hans lubił przebywać w towarzystwie starszego brata, podczas gdy Gunther wołał być sam.

Ich matka była drobną, znużoną, skromną kobietą. Ojciec był zwalistym mężczyzną z pobrużdżoną zmarszczkami twarzą i wąsami, których wypomadowane końce obracał ku górze zupełnie jak kaiser. Wierzył w dyscyplinę i porządek. Kiedy wybuchła wielka wojna, perorował z dumą o zaprowadzeniu niemieckiego ładu w całej Europie. Ale Niemcy przegrały wojnę. Starzejącego się policjanta przerażały chaos i dekadencja Republiki Weimarskiej.

— W mieście demonstrowali dziś studenci — powiedział im kiedyś ze łzami w oczach przy obiedzie, wkrótce po zakończeniu wojny. — Przyszliśmy i stanęliśmy z boku placu, żeby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. A oni stali tam, wyśmiewając się z nas, szydząc i wyzywając nas od świń i wazeliniarzy. Co z nami będzie?

Gunther z przerażeniem zdał sobie sprawę, że jego ojciec, jego silny ojciec, boi się przyszłości.



W szkole średniej zainteresował się angielskim; opanował dobrze język i zafascynowała go brytyjska historia, to, jak Wielka Brytania stworzyła gigantyczne, obejmujące cały świat imperium. Niemcy prześcignęły Wielką Brytanię gospodarczo, ale za późno zabrały się do tworzenia własnego imperium, żeby zapewnić sobie niezbędne surowce. Jego nauczyciel, niemiecki nacjonalista, mówił o dzisiejszym upadku Anglii, o wielkim narodzie, który ulegając demokratycznej dekadencji, zszedł na psy mimo swojej wspaniałej przeszłości. Gunther żałował, że Niemcy nie mają własnego imperium, że stały się, jak określał to nauczyciel, „zastraszonego narodem”, okrojonym terytorialnie przez traktat wersalski, zrujnowanym gospodarczo przez reparacje. Gunther zwierzał się Hansowi z tego, co myśli o imperium, a brat, który miał bujną wyobraźnię, opowiadał mu o wielkich bitwach toczonych na gorących równinach Indii, o walczących z wrogimi tubylcami osadnikami w Afryce i Australii. Gunther podziwiał Hansa, kiedy tak barwnie przedstawiał daleki świat.



W weekendy bliźniacy często wybierali się na wycieczki rowerowe, jadąc prostymi polnymi drogami, które przecinały pogrążony w mroku jodłowy bór. Pewnej słonecznej niedzieli, kiedy mieli trzynaście lat, pojechali dalej niż zwykle. Po drodze mijali telepiące się furmanki, małe wioski i otoczony szerokim trawnikiem masywny junkierski dwór z czerwonej cegły. W południe zatrzymali się na poboczu drogi, żeby zjeść kanapki. Było bardzo cicho i spokojnie, owady bzyczały leniwie w upalnym powietrzu. Hans przez cały ranek był zamyślony.

— Co będziemy robić, kiedy dorośniemy? — zapytał.

Gunther trącił stopą leżący na ziemi kamyk.

— Ja chcę studiować języki — powiedział.

Hans wyglądał na rozczarowanego.

— O — rzekł. — Ja nie mógłbym tego robić.

— A kim chcesz zostać?

— Chcę zostać policjantem jak ojciec. — Hans uśmiechnął się i w jego błękitnych oczach zapaliły się ogniki. — Moglibyśmy obaj wstąpić do policji. Łapać tych wszystkich drani. — Wskazał palcem pustą drogę. — Bach! Bach!



W 1926 roku, kiedy bliźniacy mieli osiemnaście lat, Gunther zdał na anglistykę na Uniwersytecie Berlińskim. Hans, znudzony szkołą, wyjechał już wcześniej z domu i przyjął urzędniczą posadę w Königsbergu. Najwyraźniej zapomniał o zamiarze pójścia w ślady ojca i wstąpieniu do policji. Gunther nie zapomniał; często o tym myślał, ale perspektywa studiów była zbyt nęcąca. Nigdy wcześniej nie wyjechał z Prus Wschodnich i chciał zobaczyć Berlin. Rodzice cieszyli się z jego sukcesu i zachęcali do studiów.

Wieczorem przed wyjazdem Gunther usiadł z ojcem przy kominku. Starszy pan zbliżał się do emerytury; ostatnio był w lepszym humorze, życie stało się łatwiejsze. Po koszarze wielkiej inflacji pod rządami Stresemanna w Niemczech zapanował względny dobrobyt. Ojciec podał Guntherowi piwo i poczęstował go papierosem, uśmiechając się pod poplamionymi nikotyną gęstymi wąsami, które opadały teraz w dół i zmieniły kolor z żółtego na siwy.

— Mój syn idzie na uniwersytet. Pociąg będzie cię wiozł przez polski korytarz, część Niemiec, którą ukradziono nam w 1918 roku. Kiedy będziesz jechał przez polskie terytorium, konduktor opuści rolety w oknach wagonu. Tak w każdym razie sądzę, mam nadzieję, że dalej tak robią. — Ojciec zmierzył go surowym wzrokiem. — Bądź ostrożny, nie wpadnij w złe towarzystwo, nie chodź do nocnych klubów i podobnych miejsc. W Berlinie dzieje się dużo złych rzeczy.

— Będę ostrożny, ojcze.

— Wiem, że będziesz. Porządny z ciebie chłopak. — Starszy pan ponownie się uśmiechnął, tym razem ze smutkiem. — Gdyby chodziło o Hansa, miałbym pewne obawy. Nie wiem, co on tam robi w Königsbergu.

Gunther nie odezwał się. Zawsze wiedział, że ojciec darzy go większym uczuciem, choć Hans był od niego pod wieloma względami lepszy.



Spędził w Berlinie trzy szczęśliwe lata. Rzadko odwiedzał jaskinie rozpusty; jego znajomi byli przeważnie spokojnymi, pilnymi studentami, którzy, podobnie jak on, pogardzali berlińską awangardą: artystami, pismakami i pedałami. Pewnego dnia, w pierwszym tygodniu pobytu w Berlinie, idąc razem z kolegami peryferyjną ulicą, zobaczył nagle gapiącego się nań dziwnie wyglądającego starca. Miał na sobie długi ciemny płaszcz. Wystające spod przylegającej do głowy czapki czarne włosy wiły się długimi pejsami wzdłuż policzków. Starzec wpatrywał się w niego strwożonym, wrogim wzrokiem.

— Kto to jest, do diabła? — zapytał ze śmiechem Gunther.

— Żyd — odparł z pogardą jeden z jego kolegów.

— Przecież oni tak nie wyglądają. Steiner i Rabinovich z naszej grupy ubierają się i wyglądają zupełnie tak samo jak my.

— Tamci Żydzi udają kogoś innego — stwierdził z gniewem jego kolega. — Naprawdę wyglądają tak jak ten stary, ale większość ubiera się i wysławia tak jak my, udaje Niemców, żebyśmy nie widzieli, jak nas okradają. Nie rozumiesz tego?

To spotkanie wprowadziło Gunthera w niepokój. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z obcego zagrożenia.



Latem 1929 roku wyjechał do Anglii, żeby przez rok studiować w Oksfordzie; przez cały czas czuł się tam obcy i samotny. Otaczali go ludzie, którzy albo byli pochodzącymi z arystokracji dekadentami, albo chcieli za takich uchodzić. Gunther nie interesował się polityką, lecz, podobnie jak ojciec, popierał niemieckich konserwatystów, którzy pragnęli, by Niemcy ponownie stały się wielkie i stabilne i by zapanował w nich ład i porządek. Zmęczony niekończącą się angielską mżawką tęsknił za czystym rzeńskim powietrzem Prus Wschodnich. Nie miał pieniędzy, by prowadzić życie towarzyskie albo podróżować, i czasami przez całe dni nie miał do kogo otworzyć ust; dlatego ciągle się uczył, przede wszystkim angielskiej historii. Dostawał listy od rodziców i rzadziej od Hansa, którego nudziła praca urzędnika, ale nie bardzo wiedział, co mógłby innego robić.

Jesienią tamtego roku załamał się amerykański rynek giełdowy. W Wielkiej Brytanii upadały firmy i rosło bezrobocie. Gunther dowiedział się, że w Niemczech też nie jest dobrze; skończyło się krótkie prosperity lat dwudziestych, liczba bezrobotnych szła w miliony, bezdomni robotnicy płacili, by móc przespać się na siedząco w niedogrzanych salach, z łokciami opartymi o rozwieszane sznury. Politycy byli bezradni, miotali się jak kurczaki z poucinanymi głowami. Hans napisał, że stracił pracę w Königsbergu i zamieszkał z powrotem z rodzicami. Nikt nie wiedział, co się wydarzy.

Latem 1930 roku Gunther wrócił do Niemiec, szczęśliwy, że może strzepnąć ze stóp angielski pył. Po przyjeździe do Berlina zobaczył bezdomnych żebraków i sprzedające się na rogach ulic kobiety i dzieci. Jadąc tramwajem do swojej bursy, minął komunistyczną demonstrację, mężczyzn w grubych szalach i czapkach, śpiewających *Międzynarodówkę*, maszerujących pod czerwonym sztandarem z sierpem i młotem i niosących transparenty, na których domagali się pracy.

Ponieważ semestr jeszcze się nie zaczął, wybrał się do rodziców. Znowu przejechał przez polski korytarz w wagonie z opuszczonymi roletami. Kiedy podchodził do rodzinnej posesji, ogrodzony płotem ogródek, który pielęgnowała matka, był jak zwykle zadbane, ale w jasnym świetle dnia dom sprawiał żałosne wrażenie; przydałaby mu się nowa warstwa farby. Matka otworzyła drzwi i objęła go na powitanie.

— Dzięki Bogu, że wróciłeś — powiedziała.

Ojciec siedział w tym samym co zwykle fotelu przy kominku, z dzbankiem piwa pod ręką. Duży mężczyzna jakby zmniejszył się i przygarbił.

— Witaj, synu — pozdrowił go.

Gunther usiadł z matką przy stole.

— Jak wam się żyje? — zapytał.

— Nie najlepiej — odparła matka. — Obniżyli emeryturę ojcu. Trudno jest związać koniec z końcem.

— Gdzie jest Hans?

— Powinien już wrócić. — Matka uśmiechnęła się. — Tak się cieszy na twój przyjazd.

— Ma jakąś pracę?

Ojciec wydał dźwięk podobny do warknięcia.

— O tak — mruknął gorzko. — Ma pracę, jak się patrzy.

Gunther spojrzał zaintrygowany na rodziców. Matka opuściła głowę.

Usłyszał, jak otwierają się kuchenne drzwi; do pokoju wszedł Hans. Uśmiechnął się do Gunthera, w opalonej twarzy błysnęły białe zęby. Miał na sobie mundur, który Gunther widział już wcześniej w Berlinie: brązową koszulę, nieskazitelnie uprasowane czarne spodnie, brązową czapkę, ciemny krawat i wysokie czarne buty. Jak on pięknie się prezentuje, pomyślał w pierwszej chwili Gunther, jak bardzo różni się ode mnie, wymizerowanego i w pogniecionym ubraniu. Na rękawie koszuli brata widniała opaska ze swastyką.



Tej nocy Hans zabrał Gunthera na wiec. Na wiosnę tego roku wstąpił do partii nazistowskiej i przez ostatnie dwa miesiące pracował dla nich jako instruktor młodzieżowy. Za kilka tygodni miały się odbyć wybory do Reichstagu i partia przyjmowała więcej członków.

Gunther niewiele wiedział o nazistach; słyszał, że są niewielką partyjką z kilkoma miejscami w Reichstagu. Pamiętał, że próbowali dokonać operetkowego puczu w Monachium, kiedy był chłopcem. W gazetach ukazały się

wtedy zdjęcia mężczyzny z marsową miną i krótkim wąsikiem. Na piętrze, w ich dawnym pokoju, Hans opowiedział mu z płonącymi oczyma o ruchu.

— Jesteśmy teraz na fali — oświadczył. — Mamy nadzieję, że po wrześnieowych wyborach będziemy mieć w Reichstagu stu deputowanych.

— Stu? — powtórzył kpiącym tonem Gunther.

— Zgadza się. Ludzie wstępują do nas całymi tysiącami. Partie burżuazyjne zawiodły Niemcy.

— Burżuazyjne? Przemawiasz, jakbyś był komunistą.

— W Berlinie przepędzamy komunistów z ulic — powiedział z powagą Hans. — Jesteśmy partią niemiecką, partią rasową, partią, która dba o wszystkich Niemców bez względu na to, do jakiej należą klasy społecznej.

— Ojcu nie bardzo się to chyba podoba. Nie dziwię się, skoro twoja partia wdaje się w uliczne bijatyki.

Hans potrząsnął energicznie głową.

— Robimy to tylko po to, żeby czerwoni nie oddali nas Rosjanom. Kiedy przejmemy władzę, przywrócimy ład i porządek. Prawdziwy porządek. Choć wiemy, że to nie będzie łatwe. Jesteśmy realistami. Ojciec myśli, że wystarczy machnąć czarodziejską różdżką i wrócimy do czasów kaisera, ale przecież nie o to chodzi. — W oczach Hansa zapłonął ogień. — Niemcy staną się władcami Europy. — Z nabożeństwem niczym pastor dotykający Biblii położył rękę na leżącym na stole grubym tomie. — Wszystko tu jest opisane, w książce wodza, *Mein Kampf*. — Błysk w jego oczach, tak podobnych do oczu Gunthera, był groźny i fascynujący. — Daj spokój, Gunther — oświadczył, otwierając szeroko ramiona. — Wiesz, że Niemcy zostały upokorzone i zniszczone, że wcale nie tak to miało wyglądać.

— Wiem, ale...

Hans pochylił się do przodu.

— W co wierzysz? — zapytał brata.

— Że trzeba uciec przed angielskim deszczem.

— I co będziesz teraz robił?

Gunther poruszył się niespokojnie. Hans zaskoczył go, nigdy wcześniej tak bezpośrednio go nie odpytywał. Ale brat zawsze bardziej brał sobie wszystko do serca.

— Nie wiem — odparł. — Kiedy byłem za granicą, uznałem, że całe to akademickie gadanie nie jest dla mnie. Myślałem, żeby dać sobie z tym spokój, może nawet wstąpić w końcu do policji. Zająć się czymś autentycznym, czymś uczciwym.

— Chodź ze mną dziś wieczór — powiedział cicho Hans. — Pokażę ci coś autentycznego, coś uczciwego.



Pojechali do lasu rowerami. Gunther był zmęczony, w głowie wirowały mu obrazki z ostatnich dni: wyjazd z Anglii, długa jazda pociągiem do Berlina, żebracy i demonstranci, Hans w mundurze. Ćmy tańczyły w przeszywających mrok rowerowych światłach. Obok nich pojawili się inni rowerzyści w mundurach Brązowych Koszul, wśród nich wielu nastolatków w czarnych szortach. Wszyscy pozdrawiali wesoło Hansa.

Dojechali do ścieżki prowadzącej przez las do jednego z wielu małych jezior, których pełno było w Prusach Wschodnich. W niedzielę przyjeżdżały tu całe rodziny. W dzieciństwie Hans i Gunther też bywali tu z rodzicami. Tej nocy na skraju lasu stała grupka starszych mężczyzn w mundurach Brązowych Koszul. Ustawione na ziemi lampy naftowe oświetlały szereg rowerów.

Podszedłszy do nich, Hans podniósł ramię i zawołał: „*Heil Hitler!*”. Gunther po raz pierwszy usłyszał nazistowskie pozdrowienie. Duży facet w mundurze Brązowych Koszul położył mu nagle rękę na piersi.

— Coś ty za jeden? — warknął groźnie. — Gdzie jest twój mundur? Wyglądasz jak jakiś pieprzony włóczęga.

Gunthera zabolalo, że mężczyzna nie zorientował się, iż są bliźniakami.

— To mój brat — powiedział Hans. — Właśnie wrócił z Anglii.

Facet zaświecił latarką w twarz Gunthera.

— W porządku, Hoth. Ale ty za niego odpowiadasz.

Gunther i Hans dołączyli do pochodu idących ścieżką chłopców i mężczyzn, którzy rozmawiali z ożywieniem, oświetlając przed sobą drogę rowerowymi lampami. Po dłuższej chwili doszli do jeziora. Przy brzegu płonęły wysokie pochodnie osadzone w żelaznych koszach, przy każdej stał chłopak, pilnujący, by od płomieni nie zajęły się suche gałęzie. Zgromadziło się tam około dwustu osób.

— Muszę ustawić w szeregu moich chłopców — powiedział Hans. — Z Berlina przyjeżdża dziś mówca. Stań gdzieś z boku i słuchaj. Nie siadaj — dodał. — Okazałbyś w ten sposób brak szacunku.

Gunther obserwował, jak brat sprawnie ustawił w szeregu dwudziestu kilku chłopców, którzy stanęli na baczność przy brzegu. Na dany rozkaz wszyscy ucichli. Słychać było, jak szeleszczą gałęzie. Scena była dramatyczna i piękna: płonące pochodnie, umundurowani mężczyźni stojący w ciszy przy brzegu spokojnego, oświetlonego księżycową poświatą jeziora. Gunther poczuł dreszcz podniecenia. A potem spomiędzy drzew wyszli czterej mężczyźni w Brązowych Koszulach, którym towarzyszył wysoki, szczupły młody mężczyzna w czarnym mundurze. Miał jasne blond włosy i niezwykle pociągłą, ascetyczną twarz z dumnym orlim nosem i szerokimi pełnymi wargami, które znamionowały

wewnętrzna siłą i stanowczość. Stał przy jednej z pochodni, plecami do lasu, twarzą do zgromadzonych. Przedstawiono go jako towarzysza Heydricha z Berlina, mianowanego niedawno osobistym ochroniarzem wodza.

— Szesnaście lat temu, w roku tysiąc dziewięćset czternastym — zagał zdecydowanym, przenikliwym głosem Heydrich — w lesie niedaleko stąd Niemcy stoczyli i wygrali wielką bitwę. Rosja napadła na nas, chciała nas podbić i zniszczyć. Ale my odparliśmy ją w bitwie pod Tannenbergiem. Rozbiliśmy ich armię. Nieliczni Rosjanie, którym udało się przeżyć, uciekli w popłochu. Niemcy stracili dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Kości tych dzielnych ludzi leżą w tych lasach, na niemieckiej ziemi, której bronili. Takich rzeczy dokonali dzielni Niemcy! Więc jak to się stało, towarzysze, że upadliśmy tak nisko?

Heydrich mówił o kapitulacji ogłoszonej pod koniec wojny przez niemieckich socjalistów, o zniszczeniu niemieckiej gospodarki przez aliantów, o wielkim kryzysie, o hamletyzujących partiach burżuazyjnych i rosnącym zagrożeniu ze strony marksistów. Mówił o wielkich Niemczech, które powstaną na gruzach. Przybierając wojskową postawę, splótł ręce na plecach i podniósł głos.

— Zwycięzimy, bo przeznaczeniem Niemiec jest wielkość. Tego uczy nas historia i widzą to wszyscy, którzy ją znają. Takie jest dziedzictwo przekazane nam przez przodków, którzy jako pierwsi zasiedlili te lasy, bohaterskich Krzyżaków.

Przez lata studiowałem angielską historię, pomyślał nagle Gunther. A co z moją historią, historią Niemiec? Czy zmarnotrawiłem cały ten czas?

Heydrich podniósł szczupłą dłoń ku stojącym przed nim szeregom.

— Ale jeśli mamy wypełnić tę misję, musimy być czujni, musimy rozpoznać wrogów wewnątrz i poza granicami Rzeszy! Pokonanie ich potrwa lata, ale zrobimy to. Pokonamy Francuzów, socjalistów, katolików rządzonych z Rzymu i komunistów rządzonych z Rosji. A także tych, którzy panują nad nimi wszystkimi, kontrolują wszystko, którzy zagrażają nam w kraju i poza jego granicami. Pokonamy Żydów!

Gunther od lat już nie myślał o starym Żydzie spotkanym na przedmieściach. Teraz nagle go sobie przypomniał.

Heydrich skończył mówić. Gunther zerknął na Hansa i zauważył, że tamten przygląda mu się z uśmiechem i kiwa głową. Na dany znak zgromadzeni zaczęli śpiewać, ich czyste młode głosy niosły się po wodzie.

*Podnieście w górę sztandary! Zewrzyjcie szeregi!
Szturmowcy SA dzielnym krokiem marsz...*

Teraz mogę być znowu dumny, że jestem Niemcem, pomyślał Gunther, kiedy ich słuchał.



Obudził się ze stęknieniem. Siedząc w fotelu i cofając się myślą w przeszłość, zapadł w sen. Spojrzał na zegar: Anglik powinien się pojawić za pół godziny. Czując głód, zajrzał do kuchni i usiadłszy przy małym stoliku, zjadł trochę chleba z kiełbasą. A potem wrócił do sypialni i wyjął z walizki świeże ubrania. Przeglądając się w lustrze, zmierzył krytycznym wzrokiem obwisłe policzki i wystający brzuch. Odkąd rozpadło się jego małżeństwo, mocno się zaniedbał. Jego żona również pochodziła z policyjnej rodziny, lecz mimo to nie mogła się przyzwyczaić do jego nieregularnych godzin pracy. Nienawidziła Anglii, kiedy przebywał tam na placówce. Po powrocie do Niemiec nie spodobała się jej jego nowa praca, polegająca na ściganiu Żydów i ludzi, którzy ich ukrywali.

— Wiem, że muszą zostać wysiedleni — mówiła — ale nie podoba mi się, że połujesz na ludzi, tropisz ich.

— Skoro akceptujesz to, że powinni zostać przesiedleni na Wschód, jak, twoim zdaniem, mamy to robić?

— Nie wiem. Ale nie chcę, żebyś o tym mówił przy naszym synu.

Zdał sobie wtedy sprawę, że nie pochwalala tego, czym się zajmował. Tak jakby mogła to zrozumieć. Nawet na początku pracy w policji, w niespokojnym schyłkowym okresie Republiki Weimarskiej, ścigając zwykłych złodziei i morderców, musiał być bezwzględny. Podobnie wyglądało to w przypadku Żydów; nie można było w łagodny sposób wyeliminować zagrożenia. Na kursach szkoleniowych odwiedzał getta na Wschodzie, widział, jacy są Żydzi, kiedy muszą żyć razem — brudni i śmierdzący, podlizujący się Niemcom, którzy sprawowali władzę. Robactwo, które trzeba wytępić. To było trudne i nieprzyjemne, ale konieczne, dokładnie tak jak mówił Hans.

Przypomniał sobie pewne zdarzenie. Policyjny informator doniósł na kogoś, kto był podobno Żydem. Gunther ujął podejrzanego, a później dowiedział się, że tamten zmarł podczas przesłuchania. Ostatecznie okazało się, że popełniono błąd, zmarły w ogóle nie był Żydem, a informator doniósł na niego z zemsty. Ta historia zasmuciła go i rozgniewała, ale na wojnie giną czasem i niewinni ludzie.

Nie tęsknił już za żoną, ale brakowało mu syna. Michael miał teraz jedenaście lat. Nie widział go od roku. Odwrócił się od lustra. Po raz kolejny przyszło mu do głowy, że nie sprostał pokładanym w nim nadziejom. Zwłaszcza

tym, które miał wobec niego brat. Przypomniął sobie entuzjazm Hansa, jego energię i czystość.



Syme spóźnił się dziesięć minut, co trochę zirykowało Gunthera. Otworzywszy drzwi, zobaczył w progu wysokiego chudego mężczyznę w połowie trzydziestki, w grubym palcie i kapeluszu. Anglik miał szczupłą sprytną twarz i przenikliwe brązowe oczy, w których malowała się bezinteresowna złośliwość.

— Herr Hoth? — zapytał z przyjaznym uśmiechem i podał mu długą chudą dłoń. — Jestem William Syme z londyńskiego Wydziału Specjalnego.

Gunther uściśnął mu rękę, wprowadził do środka i wziął od niego palto. Syme miał na sobie elegancki garnitur, białą koszulę i jedwabny krawat ze złotą szpilką, pośrodku której znajdował się czarny krąg przecięty białą błyskawicą, znak Brytyjskich Faszystów.

— Słyszałem, że przyleciał pan dzisiaj z Berlina — oświadczył wesołym tonem.

— Tak. Napije się pan herbaty albo kawy?

— Nie, dziękuję. Napiłbym się piwa, jeśli pan ma. — W jego głosie pobrzmiwał chwilami akcent cockney i Gunther domyślił się, że jak wielu robiących karierę ambitnych Anglików Syme stara się go ukryć.

Przyniósł dwie butelki piwa i poczęstował gościa papierosem. Anglik rozejrzał się po pokoju.

— Fajne mieszkanie — rzucił z uznaniem.

— Trochę zbyt modernistyczne jak na mój gust.

Syme uśmiechnął się.

— Byłem kilka razy w Berlinie — oznajmił. — Na partyjnych imprezach. Macie tam gigantyczne gmachy. Dwa lata temu pojechaliśmy na zjazd partii do Norymbergi. Żałowaliśmy, że Führer nie mógł wziąć w nim udziału. Chętnie bym go zobaczył. Słyszałem, że jest chory. — W jego oczach błysnęła ciekawość.

— Führer ma wiele obowiązków — oświadczył chłodno Gunther.

Syme nachylił się do niego.

— Beaverbrook jest teraz w Niemczech. Ciekawe, co uzgodnili?

Gunther też był tego ciekaw. Przypomniął sobie, co mówił Gessler o angielskiej policji: że wkrótce będą mieli pełne ręce roboty. Cokolwiek to było, Syme, jak widać, nie miał o tym pojęcia. Gunther zdał sobie sprawę, że go nie

lubi. To niedobrze, pomyślał, powinniśmy przecież z sobą ściśle współpracować. Uśmiechnął się do niego zachęcająco.

— Długo pan pracuje w policji, panie Syme? Jest pan dość młody jak na stopień inspektora.

— Wstąpiłem do służby, kiedy miałem osiemnaście lat. Awansowali mnie na inspektora dwa lata temu, kiedy przeszedłem do Wydziału Specjalnego.

Gunther uśmiechnął się.

— Byłem na placówce w Wielkiej Brytanii, kiedy powoływano pomocnicze jednostki policji. Pamiętam, co mówił wasz ówczesny komisarz do ludzi z pierwszego naboru: „Nie powinniście być zbyt nieśmiali, kiedy trzeba będzie odchodzić od ustalonych procedur, mających zastosowanie w normalnych czasach”. Wydawało mi się to wówczas bardzo angielskim postawieniem sprawy.

— Owszem — zgodził się Syme. — Dzisiaj naszym najważniejszym zadaniem jest walka z ruchem oporu. Przy użyciu wszelkich środków.

Gunther wskazał podbródkiem jego spinkę do krawata.

— Widzę, że jest pan członkiem partii faszystowskiej.

Syme pokiwał dumnie głową.

— Oczywiście.

— To dobrze. — Gunther wskazał mu ręką krzesło. — Proszę, niech pan siada. Jesteśmy wdzięczni, że wasi ludzie pomagają nam przy tej sprawie.

— W mojej sekcji Wydziału Specjalnego wszyscy darzymy Niemców sympatią.

Gunther pokiwał głową.

— Słyszałem, że w szeregach Brytyjskich Faszystów zgłaszano pewne obiekcje wobec koalicji ze starymi partiami, konserwatystami i laburzystami — oświadczył neutralnym tonem.

Syme wzruszył ramionami.

— To sposób na dojście do władzy. Herr Hitler też tak kiedyś zaczynał, czyż nie? A postawienie Mosleya na czele policji to duży krok naprzód.

Gunther ponownie pokiwał głową.

— Tak. Ma pan rację.

— Chociaż komisarza trochę dziwi, dlaczego uwzięliście się na tego szurniętego Muncastera. — Syme zmrużył oczy. — Według naszych źródeł nie ma żadnych powiązań z ruchem oporu.

Gunther pochylił się do przodu. Facet był zadufany, ale bynajmniej nie głupi.

— Żadna policja ani służba wywiadowcza nie jest nieomylna. Nawet nasza — dodał ze skromnym uśmiechem. — Uważamy jednak, że ten Muncaster może mieć polityczne kontakty w Niemczech. Zaniepokojone są najwyższe czynniki.

— Wydawało mi się, że uporaliście się z antynazistami.

Gunther podniósł rękę.

— Nie wolno mi o tym mówić, panie Syme. To wewnętrzna sprawa. Miałem wrażenie, że o tym pana poinformowano.

Syme uśmiechnął się.

— Nie może mnie pan winić, że próbowałem się czegoś dowiedzieć.

Gunther zmarszczył czoło. Ten młody człowiek za dużo sobie pozwalał.

— Jak już powiedziałem, warunki naszej współpracy zostały ustalone na bardzo wysokim szczeblu.

Syme'a zbiło to trochę z pantałyku. Miał pełną ekspresji twarz, być może zbyt pełną ekspresji jak na detektywa.

— Komisarz powiedział, że mam być do pana dyspozycji — rzekł z lekką urazą.

— Dziękuję.

— Co pan chce zrobić?

Gunther zaciągnął się papierosem.

— Chcemy dowiedzieć się wszystkiego, co się da, o Franku Muncasterze. W jakim znajduje się stanie umysłu, czy wyraża się koherentnie, a jeśli tak, to co mówi. Problem polega na tym, że my, to znaczy gestapo, nie możemy po prostu wejść do szpitala i zażądać z nim widzenia.

— Nie. — Syme zmarszczył brwi. — Brytyjska policja może dzisiaj w zasadzie robić wszystko, co chce, zwłaszcza Wydział Specjalny. Ale szpitale psychiatryczne znajdują się pod kuratelą Ministerstwa Zdrowia.

Gunther pokiwał głową.

— Zgadza się. Poza tym nie chcemy, aby wiadano, że interesujemy się Muncasterem.

— Rozumiem. To znaczy tak mi się wydaje.

— Czy interesował się nim ktoś spoza szpitala?

— Kto? Ruch oporu?

— Nie mamy dowodów, że coś o nim wiedzą. Ale musimy zachować ostrożność.

Syme wyjął paczkę papierosów, woodbine'ów bez filtra. Gunther wziął jednego, choć wolał łagodniejsze gatunki.

— Nikt nawet w najmniejszym stopniu nie interesuje się Muncasterem — powiedział Anglik. — Widziałem raporty miejscowej policji. Frank Muncaster nie był u nich w ogóle notowany. I nagle w październiku odbiła mu szajba, wypchnął brata przez okno w trakcie jakiejś rodzinnej sprzeczki, a potem zaczął wrzeszczeć o końcu świata. Wsadzili go do wariatkowa, i to wszystko, co wiemy. Jest geologiem, naukowcem. Wszyscy oni mają nierówno pod sufitem.

Gunther ponownie się uśmiechnął.

— Przykro mi, że nie możemy panu udzielić pełnych informacji. Ale będziemy pracować razem przy tej sprawie i dowiemy się, co jest grane. Jeśli jest w tym jakieś drugie dno, obaj otrzymamy stosowną gratyfikację.

To poruszyło odpowiednią strunę. Syme pokiwał powoli głową.

— Czy wywieziecie go do Niemiec, jeśli uznacie, że jest wam potrzebny? W ramach ekstradycji? — zapytał.

— Niewykluczone. Na razie chciałbym, żebyśmy obaj pojechali tam w ten weekend, porozmawiali z Muncasterem i obejrzeni jego mieszkanie. Jeśli nie ma pan nic przeciwko — dodał grzecznie Gunther.

— Już to załatwiliśmy. Wysłaliśmy do szpitala list z informacją, że chcemy porozmawiać z Muncasterem o policyjnym śledztwie w sprawie napaści. Niedziela jest u nich dniem odwiedzin. Tamtejszy dyrektor, doktor Wilson, zadzwonił do nas, żeby zapytać, o co dokładnie chodzi, i zaznaczyć, że chce być obecny podczas rozmowy. Dba o swoich podopiecznych — dodał wzgardliwie Syme. — Muncaster jest doktorem geologii, osobą o pewnym statusie, jak to ujął. Osobiście wiem, co bym zrobił z czubkami: to samo, co zrobiliście z nimi w Niemczech. W rozmowie z Wilsonem powołałem się na ustawę o obronie królestwa. To sprawiło, że się przymknął.

— Dobrze.

— Ale musimy na niego uważać, jego kuzyn jest wysokim urzędnikiem w Ministerstwie Zdrowia. To daje mu pewne możliwości, gdybyśmy go wkurzyli.

— Rozumiem — odparł z uśmiechem Gunther. — Postaramy się działać w aksamitnych rękawiczkach. Kiedy będziemy rozmawiać z doktorem Muncasterem, proszę mu powiedzieć, że jestem pańskim sierżantem. Nie będę się odzywał. Mieszkałem co prawda przez pięć lat w Anglii, ale mówię z lekkim niemieckim akcentem.

— Trudno to zauważyć.

— Dziękuję. Studiowałem tu na uniwersytecie i po podpisaniu traktatu pracowałem przez kilka lat jako doradca Wydziału Specjalnego. Znam obecnego komisarza. Osobiście zatwierdził tę operację — dodał po chwili.

Syme pokiwał powoli głową, najwyraźniej był pod wrażeniem. Zadrżały mu lekko dłonie, które trzymał na kolanach. Zapalił kolejnego papierosa.

— O co mam pytać Muncastera?

— Mam listę pytań, które możemy teraz przejrzeć. Nawiasem mówiąc, czy jest pan w stanie załatwić jakiś samochód?

— Możemy pojechać moim. Potem zajrzemy do mieszkania Muncastera. Klucze do niego trzymają w szpitalu. Nasi ludzie ściągną tam ślusarza. Już z nimi rozmawiałem.

Gunther pokiwał z uznaniem głową.

— Dziękuję. Jest pan bardzo operatywny.

— No cóż, my, Anglicy, nie jesteśmy tak kompletnie do niczego.

Przez resztę wieczoru omawiali pytania, które Gunther chciał zadać Muncasterowi. Niemiec kilka razy podkreślił, jak bardzo gestapo ceni sobie współpracę z Syme'em. Skończyli koło dziesiątej.

— Czas wracać do domu. — Syme wstał i przeciągnął się.

— Czeka na pana żona?

Anglik pokręcił głową.

— Nie, mieszkam w dawnym domu moich rodziców. Odziedziczyłem go, kiedy w zeszłym roku zmarła moja matka.

— Gdzie to jest?

— W Wapping — odparł po krótkim wahaniu Syme. — Ale ojciec wykupił dom na własność — dodał z dumą.

Gunther pokiwał głową.

— Co robił?

— Był dokerem. Zmiażdżyła go skrzynia. Urwała się z dźwigu i spadła wprost na niego.

— Przykro mi.

— Takie rzeczy zdarzają się na nabrzeżu. Ja już się stamtąd wyrwałem. — Kiedy to mówił, w jego głosie nie słychać było akcentu cockney. Popatrzył Guntherowi prosto w oczy.

— Mój ojciec był policjantem — powiedział Niemiec. — Niestety, też już nie żyje.

— W zeszłym tygodniu wydawało nam się, że wpadliśmy na trop Churchilla — oznajmił Syme, gdy szli do drzwi. — Podobno gościł u jakiegoś swojego dalekiego kuzyna w rezydencji w Yorkshire. Ale nawet jeśli to prawda, ulotnił się, zanim się tam zjawiliśmy. Krąży po całym kraju.

— Musi chyba zbliżyć się do osiemdziesiątki.

— Owszem, stary dziadyga długo już nie pociągnie. A w zeszłym roku złapaliśmy i zastrzeliliśmy jego pomagiera, Erniego Bevina. — Przy drzwiach Syme odwrócił się do Gunthera. — Mamy tutaj sporo Żydów. Ale przynajmniej nie panoszą się tak jak kiedyś.

— Zgadza się. To obcy element.

Na twarzy Syme'a pojawiła się niezdrowa ciekawość.

— Ludzie tutaj zadają sobie często pytanie, co z nimi zrobiliście. W różnych częściach Europy żyły ich wcześniej miliony, roili się jak robactwo. Wiem, że powie mi pan, że zostali wszyscy przesiedleni na Wschód, ale w wydziale słyszymy czasem różne rzeczy. O wielkich komorach gazowych...

Gunther uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Z tego, co wiem, inspektorze, wszyscy przebywają w obozach na terenie Polski i Rosji. Bezpiecznie przetrzymywani, pod właściwą opieką, skierowani do ciężkiej pracy.

Syme również się uśmiechnął i mrugnął okiem.



Po jego odejściu Gunther odetchnął z ulgą. Anglik nie przypadł mu do gustu. Ale był bardzo operatywny, wszystko dobrze przygotował. Pomyślał o tym, o co Syme pytał go tuż przed wyjściem. Jak wszyscy w jego sekcji gestapo dokładnie wiedział, co stało się z deportowanymi na Wschód Żydami; wszyscy zginęli, zagazowani i spaleni w wielkich obozach zagłady na terenie Rosji i Polski. Niektóre mniejsze obozy już zamknięto, inne działały nadal, przyjmując Żydów, nieujętych wcześniej wyrzutków społecznych oraz rosyjskich jeńców wojennych. Część ludzi z dawnej kadry obozowej objęła wysokie stanowiska w dowództwie gestapo; byli solidni i operatywni, jednak wielu nadużywało alkoholu. Ale jakie inne wyjście mieli Niemcy, skoro toczyła się wojna z Rosją? Nie mogli przecież zajmować się milionami nieprzyjaznych, niebezpiecznych Żydów żyjących w gettach na Wschodzie. Himmler wydał jednak wyraźny rozkaz zakazujący poruszania tego tematu poza siedzibami gestapo.

Pomyślał ponownie o swoich odczuciach wobec Syme'a. Znał siebie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że antypatia, jaką poczuł do Anglika, może mieć związek z tym, co usłyszał od Gesslera pod koniec ich wcześniejszej rozmowy: „Jeśli angielski policjant dowie się, co takiego ukrywa przed nami Muncaster, trzeba się go niezwłocznie pozbyć. Później będziemy się zastanawiać, jak to załatwić z brytyjskim Ministerstwem Spraw Wewnętrznych”. Słowa Gesslera nie dawały Guntherowi spokoju przez całą noc. Policjanci nie powinni zabijać swoich kolegów po fachu.

Rozdział czternasty

Nazajutrz rano, w niedzielę, David wyszedł z domu tuż po dziewiątej. Miał pojechać metrem do Watford, spotkać się tam z Geoffem i Natalią i wyruszyć z nimi samochodem do Birminghamu. Sarah spała jeszcze, kiedy wstał. Włożył ciemny garnitur. Na dole zjadł płatki i kilka grzanek. Zapowiadał się długi dzień. Przypomniawszy sobie, że Sarah wybiera się do miasta na kolejne zebranie. Miał nadzieję, że nie przytrafi się jej nic złego.

Ponieważ miał jeszcze trochę czasu do odjazdu metra, wyszedł do ogrodu i zapalił papierosa. Było zimno, na trawie osiadł szron, niebo miało mlecznobiały kolor. Bolały go spuchnięte oczy. Przez większą część nocy leżał, nie mogąc zasnąć. Zdawał sobie sprawę, że się boi. Wiedział, że odznacza się odwagą, przekonał się o tym w trakcie służby w Norwegii, a poza tym gdyby nie był odważny, nie szpiegowaliby w ministerstwie. Choć fotografowanie akt ocierało się o zdradę, czuł się jednak w dziwny sposób chroniony przez sam fakt, że jest członkiem służby cywilnej. Natomiast akcja, w której miał wziąć teraz udział, była czymś zupełnie innym i czuł się całkowicie bezbronny. Zerknął na zegarek. Pora iść.



Kiedy przyjechał do Watford, Natalia i Geoff czekali już na niego na parkingu, oparci o maskę dużego czarnego austina. Gdzieś w pobliżu biły kościelne dzwony. Natalia miała na sobie trencz, a pod nim sweter, na głowie zawiązała chustkę. Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, starannie się umalowała; wyglądała jak typowa przedstawicielka klasy średniej jadąca ze swoim chłopakiem i jego znajomym w misji humanitarnej.

— Wszystko w porządku? — zapytała. Zachowywała się jeszcze bardziej praktycznie i bezpośrednio niż zwykle.

David krótko przytaknął.

— Sarah uwierzyła w historię o moim wuju. Kiedy wychodziłem, jeszcze spała.

— Pamiętałeś, żeby zabrać oba dowody tożsamości? — zapytał Geoff z wisielczym humorem. On też wybrał stonowany, nierzucający się w oczy strój.

— Tak, fałszywy do okazania w szpitalu i prawdziwy na inne okazje. Chociaż nikt nas chyba nie będzie zatrzymywał?

— Nigdy nic nie wiadomo — rzuciła Natalia. David zauważył, że ona też jest spięta, być może nawet przestraszona.

— Zapowiadano, że w ciągu dnia w Anglii Środkowej mogą się pojawić zamglenia — powiedział Geoff.

— Pamiętaj, że po odwiedzinach u twojego przyjaciela pojedziemy do Birminghamu, żeby obejrzyć jego mieszkanie, sprawdzić, czy nie ma tam czegoś interesującego, jakichś papierów — oznajmiła Natalia. — Nasz człowiek w szpitalu dostarczy nam klucz.

David nie odpowiedział. Na myśl o wchodzeniu do mieszkania Franka poczuł się nieswojo.

Wjechali na nową autostradę M1, prowadzącą na północ i wzorowaną na niemieckich autobahnach. Natalia prowadziła gładko, zachowując stałą szybkość. Ruch był niewielki, kilka samochodów osobowych i ciężarówek. Za Welwyn Garden City wyprzedziła ich wojskowa ciężarówka. Plandeka z tyłu była podniesiona i siedzący na ławkach, ubrani w mundury khaki żołnierze gapili się w ich stronę. Widząc, że austina prowadzi kobieta, zaczęli wykonywać nieprzyzwoite gesty, a potem ciężarówka przyspieszyła i zniknęła im z oczu.

— Ciekawe, dokąd jadą — mruknęła Natalia.

— Chyba do jednego z wojskowych obozów na północy — odparł David. — Mówią, że szykuje się kolejny strajk górników.

Natalia przyjrzała mu się we wstecznym lusterku.

— W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym i czterdziestym byłś podobno w wojsku? — zapytała.

— Tak. W Norwegii.

— Jak to wyglądało? — Natalia uśmiechała się, ale miała uważne spojrzenie.

— Przez kilka miesięcy nic się nie działo. Zimę spędziłem w obozie w Kent. Podczas gdy ty wygrzewałeś się w Afryce — rzucił żartobliwym tonem do Geoffa.

— Funkcjonariuszom kolonii takim jak ja nie wolno było się zaciągnąć. Chciałem to zrobić.

— A potem Niemcy ni z tego, ni z owego najechali Danię i Norwegię. Mój pułk wysłano do Namsos, na północy Norwegii.

— Słyszałam, że to była chaotyczna kampania — powiedziała Natalia.

— Wszystkie kampanie w czterdziestym roku były chaotyczne. — David pamiętał, jak po wyjściu z portu płynęli przez rozkołysane wzburzone morze. Wszyscy żołnierze się pochorowali, a potem przyszły zamiecie śnieżne i zasypały cały pokład na biało. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyli w Norwegii, były wznoszące się nad morzem wielkie białe szczyty. — Po zawinięciu do portu zeszliśmy na ląd i od razu pomaszerowaliśmy na Niemców. Mieliśmy grube wojskowe szynele, w których się pociliśmy. Później w nocy pot zamarzał. Buty grzęzły nam w śniegu, kiedy tylko zeszliśmy z drogi. Ale słyszałem, że w innych miejscach żołnierze nie mieli nawet zimowych ubrań.

— Niemcy napotkali takie same trudności, a mimo to parli do przodu — powiedział Geoff.

— Oni to zaplanowali. My nie. Tak samo było we Francji. — David pamiętał, jak maszerował norweską drogą, pamiętał góry, lasy i śnieg... wszystko w niewyobrażalnej skali. Pamiętał atakujące ich niemieckie bombowce i myśliwce — te ostatnie nadlatujące tak nisko, że widać było nieruchome twarze pilotów — kule siekące maszerującą kolumnę, zabitych leżących na śniegu, który przybrał czerwoną barwę. Przypomniał mu o tym niedawno obraz, który zobaczył w mieszkaniu Natalii. — Niemcy wydawali się niezwycięzeni — powiedział cicho. — Nabawiłem się odmrożeń. Kiedy wracałem w kraju do zdrowia, zaordynowali nam to samo lekarstwo co we Francji. Nie wyobrażałem sobie, że będziemy mogli po takim laniu walczyć dalej.

— Ja też — przyznał ze skrucą w głosie Geoff. — Myślałem, że jeśli się nie poddamy, zaczną nas bombardować i obrócą Londyn w gruzy, tak jak to zrobili z Rotterdamem i Warszawą.

— Niemcy nie są niezwycięzeni — oświadczyła stanowczym tonem Natalia. — Pokazała nam to Rosja. W wielu miejscach nie mają tam nawet linii frontu. Niemcy kontrolują jedną wioskę, a partyzanci sąsiednią i wszystko to się zmienia z miesiąca na miesiąc. Kompletnie tam ugrzęzli.

— Ale Rosja też nie pokonała Niemców — zauważył David. — Są w impasie. Moim zdaniem to będzie trwać, dopóki jednej ze stron nie zabraknie ludzi — dodał gorzko.

— Nie tylko wskutek walk — dodał Geoff — jeśli prawdą jest to, co słyszymy o epidemiach cholery i tyfusu po obu stronach.

Natalia pokręciła głową.

— Rosjan jest więcej niż Żydów — zauważyła chłodno. — I mają po swojej stronie „generała mroza”. Rosjanie lepiej od Niemców radzą sobie z klimatem. Wiedzą, jak się ubierać, jak przeżyć w lasach, jakie można jeść grzyby i korzonki.

— Rozumiem, że tam, skąd pochodzisz, też macie surowe zimy — powiedział David.

— Zgadza się, długie zimy i dużo śniegu.

Mijali właśnie stary wiejski kościół, w którym skończyło się nabożeństwo; ciepło ubrani wierni rozmawiali w grupkach przy wejściu. Rumiany pastor w białej komży ścisnął ludziom ręce.

— Robią wrażenie zadowolonych — zauważył David.

— Owszem — przytaknął Geoff. — Są chyba spod znaku Headlama.

Dwa lata wcześniej w Kościele anglikańskim doszło do rozłamu: spora grupa pozostająca w opozycji do rządu utworzyła własny kościół, podobnie jak to uczynił niemiecki Kościół Wyznający — jednak ci wierni, sprawiający wrażenie zamożnych, pozostali prawdopodobnie przy proniemieckim arcybiskupie Headlamie.

— Czy dorastałeś w rodzinie anglikańskiej, Geoff? — zapytała Natalia.

— Mój wuj był pastorem. Przez długi czas wierzyłem, między innymi dlatego wstąpiłem do służby kolonialnej. Żeby pomagać biednym, nieoświeconym tubylcom. — Geoff parsknął krótkim ostrym śmiechem i przesunął palcem po jasnych wąsach w geście dziwnego zniecierpliwienia.

— Ty w Irlandii dorastałeś pewnie jako katolik, Davidzie?

— Moi rodzice mieli dość religii w Irlandii — odparł David. — A ty, Natalio?

— Zostałam wychowana w wierze luterkańskiej, chociaż większość Słowaków to katolicy. Ale mnie także religia rozczarowała. Wiecie, że nasz mały dyktator, Tiso, jest katolickim księdzem? Jego słowaccy nacjonaści z radością pomogli Hitlerowi rozbić Czechosłowację i teraz mamy własne małe faszystowskie państwo, zupełnie jak Chorwacja i Hiszpania. Nasi gwardziści Hlinki, odpowiednik waszych Czarnych Koszul, załadowali w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku Żydów do pociągów, kiedy naziści zażądali ich deportacji.

W jej głosie zabrzmiał gniew, którego David wcześniej nie słyszał.

— Myślałem, że Czechosłowacja była okupowana przez Niemców — powiedział Geoff.

— Nie. Jesteśmy państwem satelickim z własnym rządem. Podobnie jak Wielka Brytania i Francja.

Natalia odwróciła wzrok i skoncentrowała się na prowadzeniu. W tym samym momencie minął ich mały sportowy samochód, z parą młodych ludzi, którzy wybrali się na niedzielną przejażdżkę.

— Malujesz swoje rodzinne miasto? — zapytał Geoff.

— Przeważnie Bratysławę, stolicę Słowacji. Miasto, w którym mieszkałam przed przyjazdem tutaj.

— A sceny batalistyczne? — zapytał David.

— Kiedy Hitler najechał Rosję, Słowacja wysłała swoich żołnierzy, żeby walczyli u boku Niemców. Byliśmy jedynym słowiańskim krajem, który wziął udział w inwazji. Zresztą tylko w symbolicznym wymiarze. Mój brat walczył w szeregach tych wojsk — dodała po chwili. — Na froncie kaukaskim. Został ciężko ranny i zmarł.

— Przykro mi — powiedział David.

— Była w tym ironia losu, bo w latach trzydziestych był komunistą. Wyjechał na krótko do Rosji z wielkimi nadziejami, ale wrócił rozczarowany. Rosja zabiła jego nadzieje, a potem i jego samego.

— I wtedy przyjechałaś do Anglii?

— Tak, kilka lat później. I oto jestem — dodała tonem kończącym dyskusję.

Mijali właśnie założone przy autostradzie rolnicze osiedle dla bezrobotnych. Rządowa propaganda powtarzała, że wieś stanowi kwintesencję brytyjskości, że ludzie muszą wrócić na rolę. David zobaczył obskurne baraki z prefabrykatów i ogrodzone siatką i krzywymi płotkami małe spłachetki pola podobne do pracowniczych działek w miastach, tyle że trochę większe.

— Nawiązujemy do naszej średniowiecznej chwały — mruknął zgryźliwie Geoff.

Na polach pracowali zgięci wpół ludzie, sadząc patykowate drzewka. Jakaś kobieta w płaszczu i chustce na głowie szła znużona między barakami, niosąc ubłocone dziecko.

— Tak to wygląda w całej Europie — powiedziała Natalia. — Kult ziemi. Kluczowy element nacjonalistycznego marzenia. Popatrzcie.

Geoff zaproponował, żeby włączyli radio, i przez chwilę słuchali koncertu życzeń, w którym rodziny żołnierzy prosiły o przesłanie piosenek swoim bliskim, służącym gdzieś w Indiach, Adenie, na Malajach bądź w Afryce. Kiedy jakaś matka zamówiła piosenkę dla swojego syna w Kenii, Geoff poprosił Natalię, żeby wyłączyła radio. Audycja wpędzała go w depresję.



Miejsce, w którym zatrzymali się na lunch, było kiedyś zajazdem pocztowym, ale wewnątrz zostało zmodernizowane: ściany pobielono, belki pod sufitem pomalowano na czarno, a nad kominkiem zawieszono mosiężne elementy końskiej uprzęży, a także tarczę i skrzyżowane miecze. W rogu stał

telewizor, puszczano akurat tańce ludowe. W ciągu tygodnia w zajeździe roilo się pewnie od akwizytorów, jednak teraz przy stolikach siedziało tylko kilka starszych osób, a przy barze dwóch facetów, którzy wyglądali na emerytowanych wojskowych. David podszedł tam, żeby zamówić lunch i wziąć coś do picia.

— Problem z brytyjskimi robotnikami polega na tym — perorował jeden z typków przy barze — że szczerze mówiąc, nie chce im się pracować, są na to zbyt leniwi. Trzeba by im narzucić wojskową dyscyplinę — dodał, kiwając palcem — i spuścić kilku leniom porządne lanie na oczach innych. A także rozstrzelać tych demonstrujących związkowców, tak jak to zrobili latem w Bradford.

— Nie wiem, czy władze zgodzą się na publiczną chłostę, Ralph — odparł jego znajomy. — Beaverbrook jest na to zbyt miękki.

— To Mosley pociąga teraz za sznurki. Zmusi tych nierobów do porządnej pracy i wtedy nasz przemysł będzie mógł konkurować z Niemcami i tymi cholernymi jankesami. — Facet roześmiał się. — Jeszcze raz to samo?

Wracając do stolika, David przypomniał sobie, jak znajomi prawnicy ojca mówili kiedyś żartem o rozstrzeliwaniu związkowców; obecnie działo się to naprawdę i tacy, jak ci dwaj przy barze, nawet to pochwalali. Zajęli stolik przy oknie z widokiem na brązowe zaszronione pola. Geoff zapalił fajkę.

— Znowu zanudzałem biedną Natalię opowieściami o życiu w Kenii — powiedział, śmiejąc się ironicznie.

Natalia uśmiechnęła się do niego. David poczuł absurdalne ukłucie zazdrości.

— Wcale mnie nie zanudzałeś — odparła. — To brzmi jak historia nie z tego świata. Afryka. Kojarzy się z rajskim ogrodem.

— Gorącym i obfitującym w choroby.

— Grób białego człowieka.

— Można tak powiedzieć o Afryce Zachodniej. Ale praca tam jest ciężka. W miejscu, gdzie stacjonowałem, na terenach plemiennych, zaledwie kilku nas rządziło obszarem wielkości połowy Walii. To znaczy naprawdę rządzili wodzowie, ale musieli się z nami liczyć. Podczas mojego pobytu budowaliśmy tam drogę. Wydawało mi się, że to korzystne, pomoże im rozwinąć handel, ale korzystano z niej tylko po to, żeby dowozić czarną siłę roboczą na tereny zamieszkałe przez białych osadników.

Geoff zacisnął wargi.

— Musiałeś czuć się bardzo samotny — powiedziała Natalia.

— Tak, ich życie bardzo różni się od naszego. Tak naprawdę wcale nam nie ufają. Trudno im się chyba dziwić, przybyliśmy tam i przejęliśmy władzę. —

Geoff znowu gorzko się roześmiał. — Będąc wśród nich, czułem się czasami jak człowiek kuśtykający w mroku z przyćmioną latarką.

— W Ministerstwie do spraw Dominiów odwiedzają nas czasami czarni interesanci — powiedział David. — Pamiętam, że niedługo po tym, jak zacząłem tam pracować, miałem spotkanie ze studentem ze Związku Południowej Afryki, który został tu bez środków do życia i nie chciał wracać do kraju. Wydawało mi się, że w kwestiach rasowych jestem liberałem, ale kiedy wszedł, siedziałem bez słowa, gapiąc się na niego, bo wyglądał tak odmiennie. Musiał chyba pomyśleć, że zwariowałem. Wysławiał się z nienagannym oksfordzkim akcentem. Oczywiście, Afrykanom i Hindusom nie wolno już przyjeżdżać do Anglii, żeby tu studiować.

Geoff zaciągnął się fajką.

— Jeśli mam być szczery, widok innych białych, weterynarzy i leśników, zawsze sprawiał mi radość. I chętnie jeździłem do Nairobi.

Nagle posmutniał i umilkł. Choć minęło już tyle lat, nadal nie dawała mu spokoju myśl o kobiecie, którą tam poznał, pomyślał David. To był dziwny rodzaj wierności, godny podziwu, ale trochę przerażający. Zastanawiał się, czy Natalia zna tę historię. Pewnie tak, pewnie wie o nich wszystko.

Ich oczy spotkały się na chwilę, a potem Natalia wyjrzała przez okno.

— Zima wcześniej się zaczęła w tym roku — powiedziała. — To przypomina mi mój kraj — dodała ze smutnym uśmiechem.

Mężczyźni przy barze upili się i zaczęli hałasować.

— Na wielkiej wojnie, jeśli facet nie chciał wyjść z okopów i walczyć, stawiało się go przed sądem wojennym i rozstrzeliwało. Widziałem to nieraz. Dlaczego miałyby być inaczej z ludźmi, którzy nie chcą, do cholery, pracować?

David przypomniał sobie coś, co kiedyś powiedziała Sarah. Według niej wielka wojna sprawiła, że ludzie zaczęli uważać masowe rzezie za coś normalnego. Dlatego Stalin i Hitler mogli popełniać zbrodnie na niewyobrażalną przed 1914 rokiem skalę. I dlatego ci dwaj starzy mężczyźni mogli przemawiać jak sowieccy komisarze albo esesmani.

Barman podkręcił fonię w telewizorze. Wszyscy spojrzeli na ekran. Na tle obracającego się globu ukazały się litery BBC i rozległ się głos spikera:

— „...specjalną relację z wystąpienia ministra do spraw Indii i członka parlamentu, jego ekscelencji Enocha Powella...”.

Na ekranie pojawiła się ascetyczna twarz Powella z czarnymi wąsami i płonącymi, pełnymi pasji oczyma. Wszyscy patrzyli na niego, kiedy bez uśmiechu — Powell nigdy się nie uśmiechał — zaczął mówić dźwięcznym głosem z wyraźnym birminghamskim akcentem:

— „Chciałbym poinformować dziś państwa o naszej najcenniejszej imperialnej kolonii, Indiach. Wiecie o trwającej tam zdradzieckiej rebelii i aktach terroru. Objęły one nawet tubylcze pułki wchodzące w skład hinduskiej armii. Pragnę jednak państwu zakomunikować, że nigdy nie ustąpimy przed przemocą. Wiemy, że popiera nas większość indyjskiej ludności, zwyczajni ludzie, którym przynieśliśmy koleje, irygację i względny dobrobyt, władcy miejscowych księstw, nasi wierni sojusznicy, a także Liga Muzułmańska, obawiająca się dominacji hinduistów. Rządziliśmy Indiami przez dwieście lat pewnie i uczciwie. Jesteśmy stworzeni do rządzenia”.

Powell pochylił się do przodu; wydawało się, że jego płonący wzrok przykuwał uwagę każdego z osobna.

— „Dlatego, za zgodą niemieckich sojuszników, powołujemy sto tysięcy żołnierzy, żeby wzmocnić tam naszą obecność. W Indiach ponownie zapanują stanowcze i pokojowe rządy. Nigdy się stamtąd nie wycofamy i nie pójdziemy na żadne kompromisy. Naród, który okazałby taką słabość, kopałby sobie grób. Brytyjska władza i brytyjskie rządy w Indiach zostaną poważnie umocnione”.

Starsi mężczyźni przy barze zaczęli bić brawo i wiwatować.

— Wiedzieliśmy, że czeka nas coś podobnego — mruknął Geoff.

— Przed wojną Churchill też nie miał zamiaru ustąpić z Indii, czyż nie? — zapytała Natalia.

— Teraz wie, że są już stracone — odparł Geoff.

Kelnerka podała im placek z mielonym mięsem i ziemniakami, niezbyt smaczny, ale sycący. Po posiłku Natalia oznajmiła, że chce przez parę minut rozprostować nogi. Czekala ich długa droga. Geoff odparł, że dla niego jest za zimno na spacer i zaczeka w samochodzie. Przejść można się było tylko po prawie pustym parkingu za zajazdem, więc David i Natalia zaczęli chodzić po nim powoli w kółko, paląc papierosy. Natalia przez cały czas trzymała rękę w kieszeni. Pewnie ma tam pistolet, pomyślał. Jackson chwalił ją, mówiąc, że świetnie strzela. Ciekawe, kogo zastrzeliła? W oddali widzieli wioskę. Podobnie jak inne, które minęli wcześniej, zbudowana była z czerwonej cegły; znajdowali się już w Anglii Środkowej.

— Wkrótce spotkasz się ze swoim przyjacielem Frankiem — powiedziała.

— Wygląda na to, że ten człowiek ma sporo problemów — dodała ze współczuciem.

— Czasami zastanawiam się, jak udało mu się je pokonać.

— Mój brat też miał problemy. Przez całe życie. Choć nie powstrzymało to wcale rządu przed wysłaniem go na front do Rosji.

— Przykro mi. Nie wiedziałem.

Natalia uśmiechnęła się do niego i spojrzała na farmera, który pracował na polu, trzymając starodawny pług ciągnięty przez dwa konie. Po chwili znowu popatrzyła na Davida.

— Najwyraźniej istnieją ludzie, którzy mają jakąś skazę, coś, z czym nie mogą sobie poradzić — powiedziała.

— Moim zdaniem we wczesnym okresie życia Franka przydarzyło mu się coś złego.

Natalia zatrzymała się, obserwując konie.

— Z moim bratem coś było nie w porządku od samego początku. Ale miał prawo żyć. — Zmierzyła Davida płonąym spojrzeniem. — Miał prawo do życia jak wszyscy.

— Mówiłaś, że wasz rząd pomógł załadować Żydów do pociągów — zapytał po wahaniu David.

— Owszem, zrobił to.

Los Żydów był tematem, którego David starał się unikać. Jednak Natalia chyba wiedziała, co się z nimi stało w Europie.

— Wiesz, dokąd ich wywieziono? — zapytał.

— Nikt nie wie tego na pewno. Ale, moim zdaniem, w jakieś złe miejsce.

— Właściwie prawie nic o tym tutaj nie wiemy. Mówiło się coś o w miarę komfortowych obozach pracy.

Natalia ruszyła dalej.

— Przed wojną mieliśmy w Bratysławie dużo Żydów. Ja sama miałam kilku żydowskich znajomych. — David pokiwał głową i uśmiechnął się, zachęcając ją, by kontynuowała. — To się działo etapami: najpierw ograniczano miejsca, gdzie mogli pracować, potem odbierano im firmy, stopniowo przykręcano śrubę.

— Podobnie dzieje się tutaj.

— W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym wydalono wszystkich Żydów z Bratysławy. — Jej głos był znowu spokojny i beznamiętny i David zdał sobie sprawę, ile ją to kosztuje wysiłku. — Przy naszej ulicy mieszkała pewna rodzina, mężczyzna był piekarzem. Któregoś ranka zbudził mnie brzęk tłuczonego szkła. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, jak ludzie z Gwardii Hlinki, naszej rodzimej paramilitarnej organizacji faszystowskiej, wyciągają ich z domu, bijąc i kopiąc. Wcisnęli ich do furgonetki i wywieźli. Niektórzy z hlinkowców zostali i słyszałam, jak dewastują dom, a potem zobaczyłam, jak wychodzą z ukradzionymi ubraniami i ozdobami. Później dowiedzieliśmy się, że to samo działo się w całym mieście. Jeden z hlinkowców wprowadził się wraz z rodziną do piekarni i wypiekał w niej chleb, tak jakby zawsze do niego należała. Tacy właśnie są ci wszyscy faszyści. To złodzieje, czekający tylko, żeby coś splądrować.

David poczuł, jak przechodzi go dreszcz.

— I nikt nie protestował? — zapytał.

Spojrzała na niego ostro.

— A co miałam zrobić tamtego dnia? Podejść do hlinkowców i powiedzieć im, żeby przestali? Wiesz, co by mi zrobili?

— Nie, to oczywiste, że nie mogłaś nic poradzić.

— To wszystko stało się tak szybko. Niektórzy ludzie protestowali, kiedy to się zaczęło, było wśród nich nawet kilku księży, co popsuło trochę szyki Tiso. Na jakiś czas wstrzymano deportacje. Ale potem dowiedziałam się, że je wznowiono. — Natalia westchnęła. — Żałuję, że nie zdołałam nic zrobić.

— Przecież nie mogłaś. Przepraszam. Wiem, że nie mogłaś.

Uśmiechnęła się i nagle wydała mu się całkiem bezbronna.

— Nie mogłam — przytaknęła. — Ale ludzie powinni o tym wiedzieć. To dobrze, że się tym interesujesz.

— I załadowano tych Żydów do pociągów?

— To było rok później. Mówiono nam, że Żydzi przebywają w obozach pracy, gdzieś na głębokiej prowincji, nie wiadomo gdzie. Ludzie zaczynali o nich zapominać. Latem, pewnego pięknego dnia wybrałam się z narzeczonym na długą przejażdżkę. Miał samochód, co w Słowacji było rzadkością. Pojechaliśmy daleko. Bardzo daleko. — Natalia spojrzała gdzieś w dal. — Urządziliśmy piknik na zboczu wzgórza. Pamiętam, jak kilka jeleni wyszło z pobliskiego lasu i piło wodę ze strumienia. Siedzieliśmy i je obserwowaliśmy. A potem poszliśmy na wycieczkę. Wędrowaliśmy przez pola i łąki i zobaczyliśmy w oddali góry.

A więc miała narzeczonego, pomyślał David. Co się z nim stało?

— Weszliśmy na duże wzniesienie. Po drugiej stronie była linia kolejowa, która prowadziła przez góry do Polski. Zdaliśmy sobie sprawę, że pokonaliśmy kawał drogi. — Natalia zaczęła mówić wolniej. — W szczerym polu stał pociąg i myśleliśmy, że na torach jest jakaś przeszkoda. Długi pociąg towarowy, wagon za wagonem, które stały w słońcu. Niczego byśmy się nie domyślili, ale usłyszeliśmy hałasy. — Potrząsnęła lekko głową i zamknęła oczy. — Wszystkie wagony miały małe okienka wentylacyjne zabezpieczone drutem kolczastym. Usłyszeliśmy głosy wołające do nas w jidysz. Gustav i ja nie rozumieliśmy, co widzimy. Zeszliśmy trochę niżej w stronę pociągu i wtedy poczuliśmy ten straszny smród... nie wiem, jak długo jechali ci ludzie, ale musieli tam spędzić mnóstwo czasu w upale.

— Ile osób było w pociągu?

— Nie wiem. Setki. Jakaś kobieta wołała do nas bez przerwy, błagając o wodę. A potem zza pociągu wyszli dwaj mężczyźni w czarnych mundurach hlinkowców... musieli patrolować drugą stronę torów... i zaczęli do nas machać

i krzyczeć, żebyśmy odeszli. Więc zawróciliśmy. Bałam się, że dostaniemy kulkę w plecy za to, co zobaczyliśmy. Ale chyba nie zrobiliby nam nic złego. Z powodu munduru Gustava.

— Był żołnierzem?

— Tak. Gustav był Niemcem — odparła twardo.

David spojrział na nią zdumiony.

— Służył w niemieckim wywiadzie wojskowym, Abwehrze — dodała, jakby próbowała go usprawiedliwić. — Nie wiedział, co się dzieje, był na bardzo niskim stanowisku, to nim wstrząsnęło. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli ludzie przewożeni są w takim stanie, wielu umrze, zanim dotrą do celu. — Natalia odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. — Brytyjczycy, podobnie jak Francuzi, mówią z dumą, że obronili swoich Żydów, że deportowali tylko tych z zagranicy. Ale to właśnie stało się z tymi, których deportowali.

— Mój Boże, to straszne.

— Wiem. Na ogół o tym nie opowiadam — odrzekła, cierpko się uśmiechając.

— Chyba ciężko o tym mówić.

— Owszem.

— Co się stało z twoim narzeczoną?

— Wyszłam za niego. A teraz nie żyje. — Jej głos zmienił się, znowu zabrzmiał w nim ten ton, który kończył wszelką dyskusję. Odwróciła się i rozdeptała papierosa na asfalcie. — Powinniśmy już ruszać. I skupić się na twoim przyjacielu Franku.

Rozdział piętnasty

Frank siedział w tym samym co zwykle fotelu, wyglądając przez okno. Ranek był mglisty. Część pacjentów wyszła na niedzielne nabożeństwo. Na oddziale panował spokój.

Tego dnia przyjeżdżał do niego David. Po wczorajszym telefonie Frank czuł się ożywiony; rozmowa z przyjacielem spowodowała, że zaczął się na nowo zastanawiać nad tym, jak tu trafił i co wie. Bał się, że prędzej czy później zdradzi swój sekret. Siedząc w fotelu, zdał sobie sprawę, że wraca myślami do szkoły. Ponieważ niedawno wziął largactil, tym razem myślał o niej w oderwany sposób, zupełnie jakby to wszystko przytrafiło się komuś innemu.



W drugim i trzecim roku pobytu Franka w Strangmans jego sytuacja w dziwny sposób się ustabilizowała. Wszyscy na ogół go unikali, chociaż chłopcy nadal wołali za nim na korytarzach „Małpison!”, „Pokaż nam swój małpi uśmiech, szympanse”, wyzywali od świrów, oferm i angielskich cip. W szkole było kilku innych chłopców z Anglii, ale był to kolejny kij, którym mogli go okładać — metaforycznie, ponieważ uważano tam, że słowa w przeciwieństwie do kija nie mogą ranić. W sypialni czasami kradziono mu pościel albo ktoś sikał do jego stojącej na nocnej szafce szklanki z wodą, ale miał swoje książki i przez większość czasu żył, a raczej wegetował we własnym świetle. Mimo to świadomość, że inni chłopcy i większość nauczycieli głęboko nim pogardzają, wprawiała go w bezbrzeżną rozpacz.

Na początku czwartej klasy, kiedy miał czternaście lat, sytuacja znowu się pogorszyła. Edgar wyjechał na studia i chłopcy w klasie Franka zaczęli się zmieniać. Nie chodziło tylko o wygląd zewnętrzny, o to, że, podobnie jak on, robili się więksi i w pewnym miejscach na ciele wyrastały im włosy. Zmieniały się również ich charaktery. Jedni stawali się osowiali, w innych kipiała złośliwa energia. Frank słyszał, jak przed przyjściem nauczyciela rozmawiają w klasie o seksie, dziewczynach i wsadzaniu kutasów kobietom. On też miał seksualne

fantazje, ale były zupełnie inne, romantyczne i błogie. Podczas wakacji w Esher często chodził sam do kina. Był rok 1931, zaczynała się epoka filmów dźwiękowych. Romantyczne wątki w oglądanych filmach, z reguły czyste i niewinne, dziwnie go pobudzały; to było okno na świat, w którym panowało szczęście.

Lumsden, chłopak, który naprzykrzał mu się w pierwszej klasie, ponownie zaczął go prześladować. Był teraz duży, prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, sadło zmieniło się w twarde mięśnie. Hałaśliwy i butny paradował zawsze z grupką swoich kumpli. Pewnego dnia, kiedy Frank mijał ich na korytarzu, Lumsden pochylił się i bez słowa uderzył go mocno w brzuch, dokładnie tak samo, jak to zrobił wtedy, przed wielu laty. Frank zgiął się wpół, łapiąc rozpaczliwie powietrze, a Lumsden i jego kumple roześmiali się i odeszli.

Po tym epizodzie nie dawał mu spokoju. Razem ze swoimi znajomkami podchodził do Franka i opuszczał nisko ręce, tak jak to robi mała. Pewnego dnia stanął przed nim na korytarzu i zapytał, dlaczego jest takim beznadziejnym, szczerzącym zęby, pierdolonym szympansem, dlaczego nic nie powie na swoją obronę. Chciał, żeby Frank mu odpowiedział, tym razem nie miał zamiaru zadowolić się jego milczeniem. Frank spojrzał swojemu prześladowcy w oczy; były jasnobłękitne, powiększone przez soczewki okularów i płonęła w nich wściekłość.

— Proszę, nie dręcz mnie — powiedział płaczliwym tonem. — Przecież nic ci nie zrobiłem!

— Dlaczego miałbym, kurwa, zostawić cię w spokoju? Ty głupi, szczerzący zęby idioto! Przynosisz hańbę tej szkole, snując się wszędzie niczym durna mała. Może nie?

— Nie! Daj mi spokój, ty draniu! — krzyknął Frank, tracąc nad sobą panowanie.

Lumsden złapał go wilgotnym grubym łapskiem i wykręcił mu rękę do tyłu.

— Jesteś pierdolonym, szczerzącym zęby, małym szympansem! Powiedz to! — Wykręcił mu rękę jeszcze mocniej, aż Frank krzyknął z bólu. — No dalej, mów!

Frank omiół desperackim spojrzeniem kumpli Lumsdena; wszyscy uśmiechali się i, podobnie jak ich przywódcy, błyszczały im oczy.

— Jestem... pierdolonym... szczerzącym zęby... małym szympansem — wyjąkał.

— Ten mały świr zaraz się popłacze! — zawołał jeden ze znajomków Lumsdena.

— Nauczyciel! — szepnął inny.

W końcu korytarza pojawiła się postać w czarnej todze. Lumsden puścił Franka.

— Ja jestem draniem? Pokażę ci, jakim jestem draniem, Muncaster, spokojna głowa — powiedział złowróźnie i odszedł.



Frank wzdrygnął się, wracając do rzeczywistości; drzwi na oddział były lekko uchylone i usłyszał przez nie brzęk tłuczonego szkła, a potem krzyki i tupot stóp.

Chwilę później drzwi otworzyły się szerzej i do cichego pokoju wszedł Ben. Był nachmurzony, ale na widok Franka się uśmiechnął.

— O, znowu tu jesteś — powiedział.

Frank skurczył się w fotelu.

— Co się dzieje na oddziale?

— Nic, czym musiałbyś się przejmować. Nowy pacjent, Copthorne, walnął pięścią w szybę. Chciał poderżnąć sobie żyły — odparł lekkim tonem Ben; mimo wszystkich środków ostrożności w szpitalu dochodziło czasem do prób samobójczych.

— Dlaczego? — zapytał Frank.

Ben wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Był wcześniej na nabożeństwie; może wyprowadziło go z równowagi coś w kazaniu. Tak czy inaczej, słuchaj, za parę godzin będzie tu twój przyjaciel. Jeśli chcesz, możesz się z nim spotkać tutaj, wyproszę stąd innych.

— Dziękuję.

Ben uważnie mu się przyjrzał.

— Wydajesz się trochę rozkojarzony. Nie całkiem obecny duchem.

— Nic mi nie jest.

Frank miał świadomość, że w pokoju jest chłodno; kaloryfer w kącie jak zwykle dawał niewiele ciepła. Bolała go zdeformowana ręka. Pomasaował ją.

Z oddziału znowu dobiegły go podniesione głosy. Wydawało mu się, że słyszy doktora Wilsona.

— Muszę już iść — oznajmił Ben. — Szefostwo będzie chciało się dowiedzieć, co tu się działo z Copthorne'em. Po lunchu pójdziesz na spacer. Spróbuj przewietrzyć trochę głowę przed przyjazdem przyjaciela, dobrze?

Frank spojrzał Benowi prosto w bystre brązowe oczy. Dlaczego on to wszystko robi? — pomyślał znowu.



Podczas tamtego strasznego jesiennego semestru w Strangmans Frank czuł się stale zagrożony. Mijając go na korytarzu albo siadając gdzieś w pobliżu w jadalni, chłopcy z grupy Lumsdena łypali na niego spode łba. Kiedyś, siedząc kilka stolików dalej, Lumsden przeciągnął złowrogo palcem po szyi. Frank czuł się bezpieczniej, gdy dojeżdżający z miasta uczniowie wracali do domów i zostawał sam. W internacie mieli cichy pokój do nauki, w którym dyżurował na ogół nauczyciel, i najlepiej było tam spędzać wieczory. Najbardziej bał się po południu, kiedy wielu chłopców zostawało, żeby grać w rugby albo trenować razem ze słuchaczami szkoły kadetów.

Przejeżdżający obok szkoły czerwono-biały autobus z Edynburga przywoził dziennych uczniów rano i wywoził ich po południu. Przystanek końcowy był nieco dalej na południu, u podnóża Pentland Hills. Po południu, kiedy kończyły się lekcje, Frank wychodził przez bramę, wsiadał do prawie pustego autobusu i jechał nim na pętlę i z powrotem. Trwało to mniej więcej pół godziny w każdą stronę. Zabierał z sobą książkę i czytał. Czasami odbywał taką podróż dwa razy w ciągu jednego popołudnia. Konduktorzy przyglądali mu się podejrzliwie i raz czy dwa zapytali, dlaczego jeździ w tę i z powrotem. Odpowiadał, że lubi po prostu jeździć autobusem. Zawsze miał przy sobie pensa, żeby zapłacić za przejazd.

Pętla znajdowała się w niewielkiej zatoczce otoczonej ze wszystkich stron górami. Autobus stał tam dwadzieścia minut, kierowca i konduktor siedzieli pod niewielką drewnianą wiatą, popijając herbatę z termosów i paląc. Frank wybierał się czasami na krótki spacer ścieżką, która prowadziła w kierunku wzgórz. Jeśli trafił się akurat jeden z wietrznych dni, gdy chmury szybowały po niebie, mieniające się na wzgórzach światła i cienie były naprawdę piękne. Czasami miał ochotę pójść dalej, iść tak długo, aż w którymś momencie, w nocy, padnie ze zmęczenia. Ale kiedy po jesieni przyszła wczesna szkocka zima i przez całe dni padał zimny deszcz, a wysoko w górach śnieg, porzucił te myśli. Dlaczego ci dranie mieliby go zmusić do tego, żeby uciekł i zamarzył gdzieś na śmierć?



Na ostatnim apelu przed Bożym Narodzeniem dyrektor ogłosił, że w następnym semestrze, jeśli nie będzie dużych opadów śniegu, w środy po południu organizowane będą biegi przełajowe. W czasie ferii matka musiała

sprawić Frankowi buty do biegania. Nie obyło się bez narzekań, że tyle ją kosztuje.

Jej syn miał nadzieję, że śnieg przeszkodzi w biegach, ale kiedy wrócił do szkoły w styczniu, pogoda była łagodna i deszczowa. I tak w pierwszą środę po feriach Frank znalazł się w przylegającej do sali gimnastycznej wielkiej szatni, która śmierdziała potem i starymi skarpetkami. Tak jak się obawiał, był tam Lumsden ze swoimi kolegami; wkładając podkoszulek i szorty, Frank unikał ich wzroku. Miał zamiar trzymać się blisko nauczyciela, który biegł razem z nimi.

Ruszyli, ponad stu chłopców wybiegło truchtem przez bramę i skierowało się w stronę wzgórz. Nauczyciel gimnastyki, olbrzymi były zawodnik rugby o nazwisku Fraser, krzyczał na uczniów, żeby szybciej się ruszali, to nie zmarzną. Wystarczy utrzymywać stałe tempo i nic im nie będzie.

Frank starał się, jak mógł, dotrzymać kroku Fraserowi, ale lata spędzone w szkolnej ławce, na siedzeniu autobusu i w ukryciu pod krzesłami sprawiły, że nie był wysportowany. Nowe buty były ciasne i wkrótce zaczęły go uwierać. Długi sznur chłopców coraz bardziej się rozciągał, więksi i silniejsi wysuwali się do przodu, maruderzy, tacy jak Frank, zostawali w tyle. Pan Fraser biegł jako jeden z pierwszych i tylko co jakiś czas zerkał za siebie. Frank biegł coraz wolniej, ale z ulgą spostrzegł, że Lumsden i jego koledzy znacznie go wyprzedzili.

Kiedy zaczęli wbiegać na pierwsze wzgórze, coraz więcej chłopców zostawało w tyle. Pan Fraser nie widział albo nie przejmował się, że wielu z nich nie mogło wytrzymać narzuconego przez niego tempa. Kiedy sapiący ciężko Frank wbiegł na szczyt pierwszego wzgórza, pan Fraser i chłopcy biegnący na czele zniknęli już za granią następnego. Jeden z uczniów dostał kolki i trzymając się za bolący bok, padł z jękiem na mokrą trawę. Dwaj inni, orientując się, że nauczyciel ich nie widzi, przestali po prostu biec i też usiedli.

Frank dobiegł do kępy krzaków i jarzębin rosnących w jarze między wzgórzami. Był teraz ostatni. Skryję się tam, pomyślał. Kręciło mu się trochę w głowie, serce biło jak młotem i bardzo bolały go nogi. Między drzewami prowadziła wąska ścieżka. Niewidoczny z zewnątrz usiadł z westchnieniem na dywanie mokrych liści, opierając się plecami o pień jarzębiny. Ściągnął z ulgą buty i zamknął oczy. Jego oddech stopniowo wracał do normy. Czuł liście pod bosymi stopami i zimny pot schnący na jego ciele. Nagle coś poczuł. Znajomy zapach, mocny i ostry. Wyprostował się z bijącym sercem. Kilka metrów dalej stali, paląc papierosy i przyglądając mu się, Lumsden i jego koledzy. Ręce i nogi mieli zaczerwienione z zimna. Lumsden kpiąco się uśmiechał. Oczy, które utkwił we Franku, były chłodnymi oczyma drapieżnika.

— Popatrzcie na niego — powiedział wyraźnym ostrym głosem. — Dziecko lasu. Tak czy inaczej, mała.

Trzej chłopcy podeszli bliżej. Frank chciał się podnieść, ale Lumsden pchnął go mocno na ziemię.

— Na chwilę zniknąłeś nam z oczu, Małpiszonie — powiedział McTaggart, wysoki, szczupły chłopak z czarnymi włosami. Ton jego głosu był przyjazny, ale pobrzmiewała w nim groźba.

— Aha — mruknął trzeci chłopiec. — Tak jakby nas unikał. Można by pomyśleć, że nas nie lubi.

— Nie lubi nas — potwierdził Lumsden. — Był cholernie nieuprzejmy, kiedy z nami ostatnio rozmawiał. A teraz odpadł z wyścigu i schował się w krzakach — dodał, podnosząc głos i udając oburzenie.

— Tak jak wy, a poza tym palicie papierosy — powiedział zdesperowany Frank.

— Chcesz powiedzieć, że na nas naskarżysz, ty świrze? — zapytał Lumsden, dając krok do przodu.

— Co za bezczelność — mruknął McTaggart.

— Strasznie z niego bezczelny szczeniak. — Lumsden skrzyżował potężne ręce na piersi. Przemawiał jak nauczyciel. Popatrzył nagle na buty Franka i na jego twarzy pojawił się podły uśmiech. — Moim zdaniem zasłużył na parę razów. — Pochylił się, podniósł jeden z butów Franka i przesunął szeroką dłońią po kolcach. — Będzie w sam raz.

McTaggart zachichotał, ale trzeci chłopiec, mały grubasek o nazwisku Vine, najwyraźniej się zaniepokoił.

— Co masz zamiar zrobić, Hector? — zapytał. — Nie chcemy mieć kłopotów przez Małpiszona.

— Nie będziemy mieli żadnych kłopotów — zapewnił go Lumsden.

Frank zerwał się i próbował uciec, ale nie miał najmniejszych szans. McTaggart i Vine złapali go za ramiona i cisnęli z powrotem na ziemię. Lumsden pochylił się nad nim, złapał za podbródek i spojrzał prosto w oczy. — Dostaniesz baty, mały Małpiszonie, to cię nauczy dobrych manier. — Głos drżał mu z podniecenia. — Kiedy wrócisz do szkoły, powiesz, że usiadłeś tutaj, zdjąłeś buty i wstając, upadłeś na jeden z nich. Zrozumiano? Jeśli tego nie zrobisz — dodał bardzo powoli — to będzie twoje słowo przeciwko naszemu i następnym razem, ty mała cipo, cię zabijemy.

— Nie uderzysz go chyba kolcami, Hector? — zapytał Vine.

Lumsden spojrzał na niego groźnie.

— Chcesz sam oberwać? — zapytał.

Vine zerknął na McTaggart. Brunet przez chwilę się wahał, a potem dziwnie się uśmiechnął.

— W porządku. Utochymy z Małpiszona troche krwi, tak?

— Proszę, nie róó tego, Lumsden! — wrzasnął Frank. — Zostawcie mnie w spokoju, proszę, nie róócie...

— Powiedziałeś, że jestem draniem, ty gnojku!

Lumsden wyciągnął z kieszeni szortów brudną chusteczkę i wepchnął ją Frankowi w usta, co stłumiło jego krzyki. Vine i McTaggart podnieśli go z ziemi, a Lumsden złapał go za prawą rękę. Frank zacisnął odruchowo palce w pięść.

— Otwórz dłoń — poradził mu Lumsden. — Będzie cię bardziej bolało, jeśli oberwiesz w kłyckie.

Mówił surowym tonem niczym nauczyciel.

McTaggart wybuchnął śmiechem.

— Patrzcie, jak wygląda z tą zasmarkaną chustką w gębie!

— Trzymaj go! — warknął Lumsden.

Vine złapał Franka wpół, a McTaggart szarpnął do przodu jego rękę. Frank z przerażeniem patrzył na Lumsdena. Wielki chłopak podniósł w górę jego but do biegania i przestępując z nogi na nogę, starał się jak najlepiej wycelować. Kiedy uderzył go z całej siły kolcami, Frank zamknął oczy. Ból był nie do opisania. Ostre kolce wbiły mu się w dłoń i Frank, charcząc, o mało się nie udławił. Otworzył oczy. Po uderzeniu miał kilka głębokich skaleczeń, które obficie krwawiły, ale jeden z kolców przebił nadgarstek i krew tryskała z niego niczym woda z pompy.

— Niech cię diabli, Hector! — powiedział cicho McTaggart, puszcżając rękę Franka. Wyciągnął chusteczkę z jego ust i przycisnął ją do krwawiącego nadgarstka. Chustka natychmiast zrobiła się czerwona od krwi. Jej strumień płynął teraz po ramieniu Franka, który zaczął jęczeć.

— Cholera jasna! — zaklął Vine. — Jak powstrzymamy krwawienie?

Lumsden pobladł.

— Nie wiem. Musimy to jakoś zrobić. Mamy prawie dwa kilometry do pierdolonej szkoły.

Frank oparł się o drzewo, ściskając rękę. Krew pobrudziła mu kamizelkę.

— Musimy mu założyć opaskę uciskową — oświadczył McTaggart.

— Co takiego?

— Moja siostra spadła raz z drzewa i zraniła się w nogę. Tato obwiązał ją chustką i kazał wysoko trzymać. Powiedział, że tak właśnie postępowali z rannymi w okopach.

— No więc zrób to! — wrzasnął Lumsden. — Zrób to, bo będziemy mieli przesrane!

McTaggart podszedł do Franka, zabrał chustkę z rany i zawiązał ją w połowie jego chudego przedramienia.

— Nic ci nie będzie, mały — powiedział zaskakująco łagodnym głosem.

Z rany trysnęło nagle więcej krwi i Frank krzyknął, ale potem jej struga zmniejszyła się do małego strumyczka. Przedramię pobielalo.

— Musisz trzymać rękę w górze — poradził McTaggart.

Frank spojrział na niego pustym wzrokiem i McTaggart sam podniósł mu rękę w górę. Strużka krwi zmniejszyła się, ale nadal ciekła.

Lumsden dał krok do przodu.

— Odprowadzimy cię do szkoły — powiedział cicho. — Powiemy, że znaleźliśmy cię tutaj i zabraliśmy z sobą. A ty powiesz, że upadłeś na kolce, jasne? — Frank tylko na niego patrzył. Zaczęły mu szczekać zęby. — Obiecuj, że tak powiesz, Muncaster, bo inaczej cię tu zostawimy — zażądał Lumsden z nutką paniki w głosie.

Frank skupił wzrok na przerażonej czerwonej twarzy Lumsdena i pokiwał głową.

— Przysięgasz na Biblię?

Frank znowu pokiwał głową.

— Powiedz! Przysięgam na Biblię.

— Przysięgam — wyszeptał Frank. — Na Biblię.

— Więc chodźmy już. I unieś rękę w górę. Daj, sam ci potrzynam.

Podnieśli Franka i pomogli mu włożyć buty, a potem wyjść z jaru, mówiąc mu, żeby patrzył pod nogi, gdy potknął się o leżącą gałąź. Dziwne, jak bardzo się teraz o niego troszczyli. Zupełnie jakby byli ratownikami.

W połowie drogi do szkoły Frank stracił przytomność.



Obudził się w szpitalnym łóżku. Wszędzie dokoła leżeli mężczyźni, w większości starsi, śpiąc albo czytając. Jego prawa ręka leżała na narzucie, zabandażowana prawie do łokcia. Kiedy próbował poruszyć palcami, ból przeszył całe ramię. Pojawiła się pielęgniarka, krępa kobieta w niebieskim fartuchu i białym czepku.

— Dzień dobry, już się obudziliśmy?

— Gdzie ja jestem? — wychrypiał Frank.

— W szpitalu Royal Edinburgh. Przywieźli cię tu wcześniej ze szkoły. Musieliśmy ci zoperować rękę i byłeś przez jakiś czas półprzytomny po narkozie.

Pielęgniarka ścisnęła chłodnymi palcami jego zdrowy nadgarstek i zmierzyła puls.

— Czy... czy z ręką wszystko jest w porządku?

Kobieta uśmiechnęła się do niego.

— Zobaczmy — powiedziała wymijająco.



Frank znowu zasnął. Obudziła go delikatnie inna pielęgniarka. Był z nią doktor, chudy siwy mężczyzna w okularach i białym fartuchu, ze stetoskopem na szyi.

— Jak się czujesz, synu? — zapytał, uśmiechając się do Franka.

— Kiedy poruszam ręką, boli mnie. Nie mam w niej dobrego czucia.

Frankowi stanęły w oczach łzy. Doktor przysunął sobie krzesło i usiadł obok niego.

— Obawiam się, że masz uszkodzone nerwy w nadgarstku. Zobaczmy, co będzie, ale możesz mieć problemy z niektórymi palcami. Jednak kciuk i palec wskazujący powinny funkcjonować prawidłowo — uśmiechnął się — więc będziesz mógł pisać. W szkole powiedzieli — dodał po chwili — że brałeś udział w biegu na przełaj, zdjąłeś buty, a potem przewróciłeś się na kolce. Czy tak właśnie było, synu?

— Tak — odpowiedział po wahaniu Frank.

— Tyle że musiałbyś wylądować na tym bucie całym ciężarem ciała.

— Tak. Tak właśnie było.

— Dziwny sposób upadku.

— Naprawdę?

— Miałeś szczęście, że ci chłopcy biegli zaraz za tobą i cię znaleźli.

Doktor uważnie mu się przyjrzał. Jeśli powiem mu prawdę, pomyślał Frank, może nie będę musiał tam już wracać. Ale doktor nagle się uśmiechnął.

— Ja też uczyłem się w Strangmans — oznajmił. — Wspaniała szkoła. Chłopcy, którzy cię znaleźli, wykazali się prawdziwą przytomnością umysłu, zakładając ci opaskę uciskową. W przeciwnym razie wykrwawiłbyś się na śmierć.

Frank zamknął oczy.

Nazajutrz odwiedziła go matka. Na widok jego zabandażowanej ręki rozplakała się i kręcąc głową, zapytała, jak Frank mógł być taki nieostrożny, taki głupi. Zapytał, czy będzie mógł wrócić do domu, ale odparła, że nie zniosłaby tego; po tym, co się stało, była pewna, że powinien zostać w szkole. Tam się nim

odpowiednio zajmą. Tak właśnie kazał jej z zaświatów postąpić jego ojciec, za pośrednictwem pani Baker.



Kiedy wrócił do szkoły, inni chłopcy nie wchodzili mu w drogę. Lumsden i jego kumple trzymali się od niego z daleka, nauczyciele traktowali łagodniej. Po tym, jak czasem patrzyli na Franka, domyślał się, że dyrekcja wie albo podejrzewa, co się naprawdę stało, ale zawsze mówiono o całej sprawie jako o strasznym, wynikającym z nieostrożności wypadku. W następnym semestrze Lumsden przeniósł się do innej szkoły. Frank zastanawiał się z poczuciem ulgi, czy nie poprosiła go o to dyrekcja. Nauczyciel angielskiego, który wcześniej mu dokuczał, twierdząc, że nie interesuje go nic poza literaturą science fiction, teraz cierpliwie pomagał mu uczyć się na nowo pisać. Frank nadal poświęcał cały czas na naukę, prawie nie odzywał się do innych chłopców. Przysłuchiwał się jednak ich rozmowom i miał wrażenie, że prawdziwe życie go omija, że on za nimi nie nadąży. W tym czasie słabo rozumiał nawet slang, którego używali uczniowie.

Pewnego dnia na wiosnę nauczyciel przyrody, pan McKendrick, poprosił go, żeby został po lekcjach. Był dużym mężczyzną w średnim wieku, w zawsze pogniecionym garniturze pod czarną togą. Roztaczał wokół siebie atmosferę łagodności i entuzjazmu, co nie było zbyt częste wśród pracujących w Strangmans zrzedliwych belfrów.

— Jak ręka? — zapytał przyjaźnie, siedząc na podwyższeniu za swoim biurkiem i patrząc na Franka.

— Dobrze, proszę pana. — Nie było dobrze, dłoni bardzo często drętwiała i bolała go, ale lekarz powiedział, że nic więcej nie da się zrobić.

— Bystry z ciebie chłopak, Frank, chyba o tym wiesz.

— Naprawdę, proszę pana?

— Tak. Rozumiesz kwestie naukowe nie gorzej od innych chłopców, których uczyłem. Mógłbyś pójść na uniwersytet, zająć się w życiu autentyczną pracą naukową.

Frank poczuł dumę i coś jeszcze, co było zupełnie nowe: promyk nadziei.

— Musisz jednak więcej pracować na innych lekcjach. Nieźle ci idzie w angielskim, ale stopnie z innych przedmiotów nie są najlepsze.

— Tak jest, proszę pana.

Pan McKendrick przez chwilę nad czymś się zastanawiał. W końcu pochylił się do przodu.

— Odnoszę wrażenie, że nie masz żadnych przyjaciół, Muncaster.

— Nie, proszę pana.

Frank zaczął się wiercić w ławce. Duma ustąpiła miejsca wstydowi.

— Powinieneś postarać się włączyć w życie szkoły. — McKendrick posłał mu zachęcające spojrzenie. — Może spróbowałbyś udzielać się więcej w sportach, kiedy wydobrzeje ci ręka.

— Tak jest, proszę pana — odparł drewnianym głosem Frank. Nienawidził rugby i cieszył się, że w tym semestrze lekarze zwolnili go z gry. Nikt nigdy nie chciał go w swojej drużynie i kiedy tylko znalazł się blisko piłki, kopali go i przewracali.

— Och, Muncaster, proszę, nie wykrzywiaj tak strasznie twarzy. — McKendrick westchnął. — Po prostu nie chcę, żebyś zmarnował swój talent. Marnotrawstwo to okropna rzecz — dodał cicho. — Pamiętam listy poległych podczas wielkiej wojny, wszystkich tych chłopców, których nazwiska wryte są na tablicy pamiątkowej w auli. Dla mnie to nie były tylko nazwiska. Patrząc na ławki i myśląc: ten chłopiec siedział tutaj, a tamten tam. Modłę się do Boga, żeby nie doszło do kolejnej wojny.

Frank wpatrywał się w niego. Rozumiał, co pan McKendrick mówił o wojnie, sam stracił w niej ojca, lecz jeśli chodzi o resztę, opowiadał bzdury. Wiedział, że inni chłopcy nigdy się z nim nie zaprzyjaźnią. Ale owszem, pomyślał, będę pracował na lekcjach. Pomysł, że będzie mógł gdzieś studiować nauki ścisłe, dał mu po raz pierwszy poczucie celu. Będzie mógł żyć gdzieś daleko, jak najdalej od Strangmans.



— Frank! — Sam, starszy pielęgniarz, wołał na niego od drzwi.

Frank podniósł się znużony z fotela; nadeszła chyba pora spaceru.

— Masz się zgłosić do gabinetu doktora Wilsona — powiedział Sam. — Przyjechali do ciebie jacyś ludzie.

Frank zdziwił się. Było za wcześnie na odwiedziny Davida, a poza tym Ben mówił, że będzie mógł go przyjąć tutaj. Zabiło mu szybciej serce. Jednak przyjechał. David może go uratować.

— Są z policji — dodał nagle Sam. — Chcą chyba porozmawiać o tym, co przytrafiło się twojemu bratu.

Rozdział szesnasty

O dziesiątej rano Syme podjechał po Gunthera starym wolseylem. Wyjechali godzinę po grupie Davida. Ciche podmiejskie ulice były puste, gdzieś tylko przemykali idący do kościoła wierni. Był zimny, pochmurny dzień.

Wczesnym rankiem Gunther znalazł w przedpokoju wsunięty pod drzwi list, zaadresowany na jego berliński adres; na kopercie rozpoznał pismo żony. Na znaczku z siwą głową Führera widniał stempel z Krymu. Gestapo musiało odebrać list z jego skrzynki i przesłać do ambasady. Stamtąd przekazano go tutaj. Z całą pewnością okazywano mu wyjątkowe względy.

W środku był list od syna oraz datowany tydzień wcześniej, krótki i chłodny list od byłej żony. Pisała, że Michael dobrze się uczy i na wiosnę przyszłego roku, jeśli to będzie bezpieczne, odwiedzi swojego ojca w Berlinie. Miała nadzieję, że cieszy się dobrym zdrowiem.

Gunther otworzył list od syna i skwapliwie go przeczytał.

Drogi Ojcze

Mam nadzieję, że dobrze się czujesz i odnosisz sukcesy w pracy, łapiąc drani, którzy knują przeciwko naszemu państwu. Tutaj zrobiło się zimno, ale nie tak zimno jak w Berlinie, i noszę nową kurtkę, którą mama kupiła mi do szkoły. Jestem dobry z niemieckiego i trochę gorszy z matematyki. Z gimnastyki jestem drugi w klasie. Do sąsiedniego domu wprowadziła się nowa rodzina osadników z Brandenburgii. Mają małego chłopca o imieniu Wilhelm, który chodzi ze mną do szkoły i pomagam mu się zaaklimatyzować. W zeszłym tygodniu terroryści wysadzili linię kolejową do Berlina i wykoleił się pociąg. To było niedaleko Chersonia. Mam nadzieję, że zima w Rosji będzie sroga i wszyscy terroryści umrą z głodu.

Dziękuję, że przysłesz mi na Boże Narodzenie kolejkę. Nie mogę się jej doczekać. W przyszłym tygodniu będziemy ubierać choinkę i będę o Tobie myślał w Boże Narodzenie.

Mama mówi, że może odwiedzę Cię w przyszłym roku w Berlinie. Bardzo bym tego chciał.

Całuję
Michael

Gunther złożył list, położył go na stoliku do kawy i oparł ręce na blacie. Jego syn, jedyna rodzina, która mu pozostała, mieszkał tak daleko.



Siedząc za kierownicą, Syme niewiele się odzywał, ale usta miał wykrzywione w dziwnym uśmiešku, który intrygował Gunthera. Poza tym był jakiś niespokojny, palił papierosy jednego po drugim.

— Myślałem, że zobaczymy po drodze coś ciekawego — oznajmił w końcu — ale wygląda na to, że zabawa jeszcze się nie zaczęła.

— Co pan ma na myśli? — zapytał Gunther, starając się nie okazywać irytacji.

— Dowiedziałem się o tym, kiedy poszedłem odebrać samochód. Dziś rano deportują do specjalnych obozów wszystkich Żydów zamieszkałych na terenie kraju. Wszyscy są w to zaangażowani: Wydział Specjalny, formacje pomocnicze, regularna policja, nawet wojsko.

Gunther wpatrywał się w niego, zniecierpliwiony przemądrzałym tonem Anglika.

— Od lat mieliśmy oczywiście przygotowane plany. Uważaliśmy, że rząd ustąpi w końcu pod presją Niemiec — dodał Syme. — Jeśli o mnie chodzi, był już na to najwyższy czas.

Gunther zmarszczył brwi.

— Nic o tym nie wiedziałem. — A więc to miał na myśli Gessler, mówiąc, że policja będzie miała co innego na głowie.

— Podobnie jak wszyscy. — Syme uśmiechnął się. Ucieszyło go, że wie o czymś, o czym Niemiec nie miał pojęcia. — Najwyraźniej Beaverbrook i Himmler uzgodnili ostatnie szczegóły w Berlinie. Mosley ogłosił to dzisiaj w telewizji.

— Co to za obozy, do których ich wysyłają?

— Najpierw do wojskowych koszar, zamkniętych fabryk, klubów futbolowych. Ale wygląda na to, że później przeniosą ich gdzie indziej. — Syme zerknął na niego z uśmiechem. — Może oddamy ich wam.

Gunther pokiwał powoli głową. To był poważny polityczny krok na drodze do dalszego zbliżenia z Niemcami. Domyślał się, że to cena za korzyści gospodarcze i zgodę na powiększenie liczebności armii w imperium. Oczywiście po wejściu Mosleya do rządu więcej ludzi na samej górze chciało pozbyć się Żydów.

— Spodziewa się pan jakichś protestów ze strony ludności? — zapytał.

Syme tupnął stopą w podłogę samochodu.

— Jeśli będą, poradzimy sobie z nimi. Ale cała strategia polegała na tym, żeby działać z zaskoczenia, w niedzielny ranek, kiedy wszyscy siedzą w domu. Oczywiście poza tymi, którzy chodzą do kościoła. Jeśli będą robili jakieś problemy, zajmiemy się nimi.

— Gratuluję wam — oświadczył Gunther. — Niepokoił nas ten obcy element w Wielkiej Brytanii, u naszego najważniejszego sojusznika. Może Francuzi też pozbędą się teraz swoich Żydów — dodał w zamyśleniu, przypominając sobie, że w drodze do Berlina Beaverbrook zatrzymał się w Paryżu.

— We wschodnim Londynie od dawna roiło się od Żydów i cudzoziemców — powiedział Syme. — Zawsze ich nienawidziłem. Tak samo jak mój ojciec. — Lśniły mu oczy. Był podniecony.

— Dlatego przystąpił pan do faszystów?

— Tak. Przystąpiłem do nich w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym, kiedy byłem jeszcze kadetem. Na East Endzie całkiem sporo policjantów popierało Mosleya. Po traktacie berlińskim legitymacja partyjna pomagała w awansie. Tym bardziej teraz, kiedy Mosley został ministrem spraw wewnętrznych.

— Tak samo jest w Niemczech. Kiedy ktoś jest starym bojownikiem, *alter Kämpfer*, pomaga mu to w karierze.

Syme spojrzął na niego.

— Należy pan do partii nazistowskiej?

— Wstąpiłem w tysiąc dziewięćset trzydziestym. Ja też byłem wtedy młody.

— Mnie łatwiej było dzięki temu dostać się do Wydziału Specjalnego, a potem zostać inspektorem. Prowadziłem kilka dochodzeń, udało mi się ujawnić kilku członków ruchu oporu.

— Na pewno odegrały tu również sporą rolę pańskie talenty.

— Kłopot polega na tym, że teraz, kiedy nie możemy wyjść z recesji, sympatyzuje z nimi tylu głupców. Chciałbym, żeby udało nam się dorwać Churchilla.

Gunther spojrzął na prawie pustą autostradę i zastygł w bezruchu zimowy krajobraz.

— Moim zdaniem w Anglii zbyt długo wszystko odwlekaliście i stosowaliście za wiele półśrodków. My rozprawiliśmy się ze wszystkimi wrogami już na początku, przejęliśmy pełną kontrolę. Kiedy dokonuje się rewolucji, trzeba działać szybko i stanowczo.

Syme nachmurzył się i zaciągnął papierosem.

— Nie mogliśmy tego zrobić. Niech pan pamięta, że przy negocjowaniu traktatu pozwoliliście nam zachować nasze tak zwane tradycje demokratyczne.

Gunther pokiwał głową.

— Owszem. Wydawało nam się wtedy, że tak najłatwiej będzie zakończyć wojnę.

— Dwanaście lat zajęło pozbycie się tego bagażu. Aż do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pozwalaliśmy działać opozycji. A teraz, kiedy przykręciliśmy śrubę, walczą z nami. Nie ma u nas niemieckiego szacunku do władzy, rozumie pan — dodał Syme z ponurym poczuciem humoru. — Ale pokonamy ich. To ostatnia bitwa.

Gunther zastanawiał się, czy im się uda. Po tak długim okresie Wielka Brytania była słaba i zdeprawowana.

— Zastanawiam się, czy nie przenieść się na północ — podjął Syme. — Jest tam teraz wielu chłopaków z Londynu. Można brać dużo nadgodzin, a poza tym przydałoby mi się trochę emocji. Może przeniósłbym się do Szkocji. Wie pan, że zaopatrujemy w broń niektórych szkockich nacjonalistów, żeby uporali się ze strajkującymi w Glasgow. Zawsze mieli profaszystowskie skrzydło, w trzydziestym dziewiątym protestowali przeciwko poborowi Szkotów. Udało nam się rozbić ich partię, pozbyć się mięczakowatych liberałów i lewicowców. — Syme uśmiechnął się do Gunthera. — Nauczyliśmy się tego od was: rekrutowania miejscowych nacjonalistów przeciwko komuchom. I obiecywania im w zamian trochę łakoci. — Roześmiał się. — Beaverbrook obiecał, że zwróci Szkocji Kamień ze Scone. To jakiś kawałek skały, który szkoccy królowie kładli pod swój tron. Poza tym zgodziliśmy się na znaki drogowe w języku celtyckim i obiecaliśmy im autonomię w bliżej nieokreślonej przyszłości.

— Jasne. My wykorzystaliśmy Flamandów i Bretończyków. Zaproponowaliśmy im błyskotki w zamian za to, że walczyli z czerwonymi. I Chorwatów: napuściliśmy ich na Serbów. Mieliśmy z nich dużo pożytku. To korzystna taktyka. Co do tego Kamienia ze Scone, nie lekceważyłbym znaczenia, jakie mają dla narodu dawne symbole. Reichsführer Himmler ma całą organizację, Ahnenerbe, która zajmuje się odkrywaniem korzeni rasy aryjskiej. — Gunther bardzo się ożywił, to był temat, którym się interesował. — Ostatnio w jaskiniach w Polsce odkryliśmy coś, co zdecydowanie wygląda na swastyki. To udowadnia, że rasa aryjska była tam pierwsza. To część naszego starożytnego dziedzictwa.

— Naprawdę? — Syme'a raczej nie ciekawił ten temat. — Walka z czerwonymi na północy, to by mi pasowało. Przydałoby mi się trochę emocji — powtórzył. — Irlandczycy zaproponowali, że nam pomogą. Wie pan, ludzie de Valery. Mogliby umieścić agentów w tutejszej społeczności irlandzkiej; jest

wśród nich sporo czerwonych. Ale de Valera chciał w zamian części Irlandii Północnej, więc odmówiliśmy. Ulsterscy unioniści dostaliby szau.

— Zgadza się — odparł Gunther. — Zaproponował także pomoc Niemcom, na podobnych warunkach. Ale konflikt w Irlandii to jedyny konflikt na tle narodowościowym, w który nie chcemy się mieszać.

Facet chce zaznać trochę emocji, pomyślał z niesmakiem. Wielu członków partii nazistowskiej mówiło w ten sposób o rzeczach, które trzeba było zrobić. Zawsze czuł się nieswojo w obecności takich ludzi, wydawali mu się nieokiełznani, zdekoncentrowani. Choć z drugiej strony Syme sprawiał wrażenie raczej skoncentrowanego.

— Czym się pan teraz zajmuje w Niemczech, skoro nie ma tam już żadnych wichrzycieli? — zapytał.

— Och, zawsze jacyś są. Tropię Żydów, Williamie, i ludzi, którzy ich ukrywają. Zostało ich bardzo niewiele. Trochę w Polsce.

— Więc nadal dużo się dzieje?

— Nie zależy mi, żeby dużo się działo — odparł z namaszczeniem Gunther. — Staramy się uczynić z Europy bezpieczne miejsce dla przyszłych pokoleń, Williamie. Wyciąć żydowsko-bolszewicką narośl. Musimy do tego podchodzić z absolutną powagą. — Syme nie odpowiedział i Gunther zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to pompatycznie. — Masz jakąś rodzinę w Londynie? — zapytał po chwili.

— Nikogo, kto by się liczył. Byłem przez kilka lat zaręczony, ale dziewczyna zerwała ze mną. Twierdziła, że nigdy mnie nie widywała, że liczyła się dla mnie tylko praca i Czarne Koszule.

Gunther uśmiechnął się ze smutkiem.

— Moja żona opuściła mnie z podobnych powodów. Zabrała syna na Krym. Syme popatrzył na niego ze współczuciem.

— Heroiczne pokolenie, tak?

— Pokolenie, które musiało poświęcić wszystko.

Gunther wyjrzał przez szybę. Zaczął padać deszcz ze śniegiem.



Doktor Wilson siedział za swoim biurkiem ze splecionymi palcami, przyglądając się z dezaprobatą dwóm policjantom. Kiedy podjeżdżali po mokrym śniegu do szpitala, na Guntherze zrobiły wrażenie elegancko utrzymane ogrody i piękna fasada. Ale to, co zobaczył w środku — zatłoczone oddziały i pacjenci

z nieobecnyimi albo zdesperowanymi twarzami — wzbudziło w nim odrazę. Cieszył się, że w Niemczech nie mieli już z tym do czynienia.

W gabinecie doktora Wilsona Syme oznajmił, że jest inspektorem Wydziału Specjalnego. Gunthera przedstawił jako swojego sierżanta. Mały gruby doktor od wariatów wskazał im dwa krzesła, a sam zasiadł za biurkiem z ważną i zatroskaną miną.

— Wydaje mi się niemożliwe, żeby doktor Muncaster był zaangażowany w działalność polityczną — oświadczył.

— Często okazuje się, że tak jest w przypadku osób, o których nigdy byśmy czegoś takiego nie pomyśleli, doktorze — odparł z cierpkim uśmiechem Syme.

Wilson jeszcze bardziej się nachmurzył.

— Nie rozumie pan. On wszystkiego się boi, szuka bezpieczeństwa w spokoju i rutynie. Nie chcę, by ten spokój i rutyna zostały zakłócone. — Wilson całą uwagę skupił na Symie i prawie nie patrzył na Gunthera, bez wątpienia biorąc go za zwykłego sierżanta w średnim wieku, dokładnie tak jak sobie tego życzył Niemiec. — Muszę pana prosić, żeby zachował pan ostrożność, rozmawiając z doktorem Muncasterem — podjął Wilson. — Jeśli sprowokuje pan kolejny wybuch, nie biorę za to odpowiedzialności. Ostatnim razem, jak pan wie, ktoś poważnie ucierpiał.

— Potraktuję go łagodnie, obiecuję — odparł uspokajającym tonem Syme. — W tym momencie chcę go po prostu bliżej poznać. Powiem, że jestem nowy na komisariacie, przejąłem jego sprawę i chcę ją z nim omówić. Może pan ma rację i okaże się, że nie jest zaangażowany politycznie. Może nie trzeba będzie poruszać bezpośrednio tego tematu. Chcemy po prostu wyjaśnić wszystkie niejasności.

Wilson pokręcił głową.

— Nierzęsto się zdarza, żeby ktoś taki jak doktor Muncaster, absolwent uniwersytetu, przebywał na oddziale ogólnym. Jeśli uda nam się rozwiązać problemy finansowe, przeniesiemy go do prywatnej kliniki. Jestem za niego odpowiedzialny. Chcę być obecny przy przesłuchaniu.

Syme zaprzeczył ruchem głowy.

— To niemożliwe, doktorze. Obiecuję, że postaram się go nie denerwować. Tylko parę pytań. Jeśli ma pan jakieś wątpliwości, może pan zawsze zadzwonić do Londynu.

Wilson zacisnął mocno wargi i nie odpowiedział. Syme dobrze to rozgrywa, pomyślał Gunther. Podobnie jak wszyscy, Wilson bał się zdrzec z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł pielęgniarz w średnim wieku. Trzymał za ramię ubranego w workowaty szpitalny strój chudego

mężczyznę z krótko ostrzyżonymi włosami. Muncaster miał odstające uszy, ale z dużymi oczyma i pełnymi wargami mógłby nawet uchodzić za przystojnego, gdyby nie paniczny strach, który malował się na jego twarzy, kiedy spoglądał na Wilsona, Gunthera i Syme'a. Syme wstał i uśmiechnął się zachęcająco.

— Ci ludzie są z policji, Frank — odezwał się doktor Wilson. — Inspektor Syme przejął sprawę twojego brata.

Muncaster gwałtownie się cofnął. Pielęgniarski złapał go mocniej za ramię.

— Spokojnie, Muncaster, spokojnie — powiedział i posadził go na krześle.

— Zostawimy cię na kilka minut z tymi panami, Frank — podjął doktor Wilson. — Wszystko jest w porządku, chcę ci tylko zadać kilka pytań. Zaczekaj na zewnątrz, Edwards — polecił pielęgniarski, po czym rzucając ostatnie ostre spojrzenie Syme'owi, opuścił gabinet razem ze swoim podwładnym.

Muncaster siedział na krześle, trzymając się kurczowo drewnianych poręczy. Pierś unosiła mu się i zapadała w szybkim oddechu. Tak jakby znalazł się już na gestapo, pomyślał Gunther. Zauważył, że ma zdeformowaną prawą rękę. Skinął do niego głową i Muncaster uśmiechnął się w odpowiedzi, wykrzywiając twarz w strasznym grymasie. Syme wyjął z kieszeni notes i zajrzał do niego.

— Jak powiedział doktor, zostałem przeniesiony z Londynu — zaczął przyjaznym tonem — i przejąłem sprawę napaści na twojego brata. Rozumiem, że nie wnosi skargi. Ale sprawa jest nadal otwarta i chciałbym wyjaśnić kilka niejasności. To była całkiem poważna napaść, Frank, chyba nie zaprzeczysz. Mogę się do ciebie zwracać po imieniu?

Muncaster kiwnął głową.

— Wiem... wiem, że to wygląda poważnie, ale to był naprawdę nieszczęśliwy wypadek.

Gunther zauważył, że Muncaster zachowuje czujność; kiedy zerkał na Syme'a i na niego, w dużych brązowych oczach widać było nie tylko strach, ale i wyrachowanie.

— No cóż, zostało to uznane za napaść, sam rozumiesz — podjął Syme. — Wypchnąłeś brata przez okno. Jeśli zostaniesz oskarżony, to może oznaczać więzienie. Oczywiście tego nie chcemy — dodał Syme uspokajającym tonem i uśmiechnął się. — Jeśli cię sprowokował, uznamy to za obronę własną. Może nawet nie wniesiemy oskarżenia.

Syme założył nogę na nogę i zaczął kołysać stopą. Gunther wolałby, żeby siedział spokojnie.

— No dobrze — podjął Syme. — Opowiedz nam, co się wydarzyło wtedy wieczorem. Wiem, że nie byłeś wówczas w stanie złożyć zeznania, ale teraz czujesz się lepiej, prawda?

Muncaster wbił wzrok w podłogę.

— Umarła nasza matka — powiedział cicho. — Edgar przyjechał na pogrzeb. Nigdy nie byliśmy w bliskich stosunkach, a Edgar pił, to znaczy nadużywał alkoholu. Wybuchła między nami sprzeczka, on ją zaczął i wtedy go pchnąłem. Potknął się i wypadł przez okno. To był wypadek. Edgar był pijany, stracił równowagę, a rama okna była spróchniała.

Brzmi to jak wyuczona formułka, pomyślał Gunther.

Syme pochylił się do przodu.

— Ale co takiego zrobił twój brat? Co cię tak zdenerwowało? To musiało być coś poważnego, nie wyglądasz mi na agresywnego faceta i wiem, że nie byłeś wcześniej notowany.

— To sprawa osobista — odparł szybko Muncaster i jego twarz znowu wykrzywił ten dziwny grymas. — Osobista.

Syme zajrzał do notesu.

— Twój brat mieszka w Kalifornii, prawda? Odwiedziłeś go tam kiedyś?

— Nie.

Muncaster spojrział na swoją zdeformowaną dłoń.

— Co ci się stało w rękę? — zapytał Syme.

— W szkole wydarzył się wypadek. Upadłem na kolce moich butów do biegania.

Mówiąc to, Muncaster odwrócił wzrok. Kłamie, pomyślał Gunther.

— Czy twoim zdaniem brat nie odpowiada na monity doktora Wilsona, bo nie jesteście w dobrych stosunkach? — zapytał Syme. — Słyszałem, że nie może się z nim skontaktować. Może Edgar nie odpowiada, bo wie, że cię sprowokował?

— Tak, uważam, że dlatego nie odpowiada — odparł skwapliwie Frank.

— Brat jest podobno naukowcem tak jak ty.

Frank zacisnął zdrową dłoń w pięść.

— Nie. Nie tak jak ja.

— Profesor fizyki. To robi wrażenie. Co nie znaczy, żebym się na tym znał.

— Nie wiem, czym zajmuje się Edgar — oświadczył szybko Muncaster. — Przed śmiercią matki od lat się z nim nie widziałem.

— Można by pomyśleć, że chętnie z sobą pogadacie. Jak naukowiec z naukowcem.

— Jestem tylko asystentem. — Znowu ten dziwny grymas. — On nie uważa mnie za kogoś równego sobie.

Syme zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią Franka, po czym spojrział na Gunthera.

— Wygląda na to, że mamy tu do czynienia z prowokacją, sierzancie.

— Tak — zgodził się Gunther. W oczach Muncastera zobaczył błysk nadziei. W trakcie przesłuchań często widywał taki błysk; zdesperowani ludzie ozywiali się, kiedy tylko pojawiała się nadzieja, że nie zostanie wniesione oskarżenie. Było mu żal tego żalospnego człowieczka, podobnie jak było mu żal tamtej ukrywającej Żydów rodziny w Berlinie. — Czy po wyleczeniu pan Muncaster zostanie wypuszczony na wolność? — zapytał Syme'a, starając się ukryć swój niemiecki akcent.

— Być może. — Syme spojrział na Muncastera. — Co będziesz robił, jak cię wypuszczą, Frank?

Muncaster wzruszył chudymi ramionami.

— Nie wiem. Nie wiem, czy będą mnie jeszcze chcieli na uniwersytecie.

— Masz kogoś innego z rodziny, kogoś, kto mógłby cię przyjąć?

— Nie. — Muncaster przez chwilę milczał. — Nie wiem, czy można mi w jakiś sposób pomóc — dodał w końcu.

— No cóż, musimy się jeszcze przyjrzeć tej sprawie. Na razie tu zostaniesz — rzucił lekkim tonem Syme. — Na świecie jest tyle zamieszania, tyle konfliktów w zakładach pracy, że pewnie lepiej będzie ci tutaj, w zamknięciu...

— No nie wiem.

— Po tym, co przytrafiło się twojemu bratu, krzyczałeś podobno coś o końcu świata. Tak piszą w twoich aktach.

— Nie pamiętam, co mówiłem. — Duże oczy Muncastera nieco się zwęziły.

Syme zerknął na Gunthera, który kiwnął głową, i obaj wstali.

— No cóż, widzę, że nie najlepiej się czujesz — powiedział Syme ze współczuciem. — Myślę, że powinniśmy już iść, sierżancie. Wystawiliśmy nerwy tego biedaka na wystarczająco ciężką próbę. Gunther ponownie pokiwał głową. — Być może będziemy jeszcze chcieli z tobą pogadać — powiedział Syme do Muncastera — ale nie martw się, sprawa zostanie rozwiązana.

Podszedł do drzwi, wezwał pielęgniarza i zczekał, aż ten zabierze pacjenta. W progu Frank odwrócił się i przez sekundę patrzył Guntherowi prosto w oczy. Niemiec po raz kolejny zauważył, jakie ma uważne spojrzenie; zupełnie jakby pod maską paraliżującego strachu krył się ktoś wyjątkowo inteligentny i wyrachowany. Pielęgniarz poinformował ich, że doktor Wilson zaraz wróci. Gunther siedział na krześle z zamyśloną miną.

— Zobaczyłeś dosyć? — zapytał Syme.

— Dosyć, żeby się zorientować, że ten człowiek coś ukrywa.

— Mnie też się tak wydaje. Ale nie wygląda mi na kogoś, kto miałby coś wspólnego z ruchem oporu. Wilson ma rację, Muncaster zachowuje się, jakby bał się własnego cienia.

— Może nie angażować się politycznie, ale to nie znaczy, że nie chroni ludzi, którzy to robią.

— Co z jego bratem? Nie powiedział nam chyba o nim całej prawdy?

— Jego mieszkanie w Birminghamie — mruknął Gunther, nie odpowiadając bezpośrednio na pytanie Anglika. — Czy ktoś w nim był, odkąd wezwano policję?

— W aktach nie ma o tym mowy. Właściciel miał je zabezpieczyć.

Gunther oparł podbródek na dłoniach.

— Może obejrzę je teraz. Czy będziemy mieli do dyspozycji tego ślusarza, o którym pan wspominał?

— Wydział Specjalny w Birminghamie ma listę ślusarzy, którzy otwierają zamki, nie zadając zbędnych pytań — odparł Syme, dotykając teczki. — Pojedziemy na komendę i spotkamy się z miejscowym komisarzem. Kontaktowałem się z nim już wcześniej. To dobry faszysta. Chociaż ma dzisiaj pełne ręce roboty z Żydami.

Gunther pokiwał głową.

— Dziękuję. Zróbmy to. Zarzucmy sieci na połów.

— Że co?

— To z Biblii. Wychowano mnie w wierze luterańskiej.

— Mój tato nigdy nie miał czasu na religię.

Gunther wzruszył ramionami.

— Biblia to, tak czy owak, dobra literatura.

Syme uważnie mu się przyjrzał.

— Co potem? — zapytał. — Kiedy już odwiedzimy jego mieszkanie?

— Powinniśmy chyba zmusić Muncastera, żeby powiedział nam, co ukrywa. I łatwiej nam będzie to zrobić w jakimś innym miejscu. Będę rekomendował, żeby przewieziono go do Senate House.

— Chcecie mu pokazać, jak pracuje gestapo?

Gunther przechylił głowę.

— Myślę, że wystarczy, jak go tam przewieziemy.

— Doktorowi Wilsonowi nie spodoba się, że wchodzicie mu w paradę. Poza tym ma prawo po swojej stronie.

Gunther zmierzył go poważnym spojrzeniem.

— Doktor Wilson nie będzie wiedział, że w sprawę zaangażowani są Niemcy. Jeśli moi zwierzchnicy podzielą mój punkt widzenia, ambasada zwróci się ponownie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i mogą go przycisnąć.

Syme posłał mu ostre spojrzenie.

— Co tu naprawdę jest grane?

Gunther uśmiechnął się.

— Mogę tylko jeszcze raz powtórzyć, że jesteśmy ci bardzo wdzięczni za pomoc. Okazałeś się prawdziwym przyjacielem. Nasza wdzięczność — popatrzył na niego znacząco — może ułatwić ci to przeniesienie, o którym marzysz. A na razie — dodał z werwą — kiedy wróci doktor Wilson, poproś go, żeby przekazał pacjentowi, że jesteśmy zadowoleni z rozmowy. — Gunther wyjrzał przez okno. Śnieg przestał padać, ale szara mgła znacznie ograniczała widoczność. — Popatrz — powiedział. — Musimy szybko jechać do Birminghamu.

Syme roześmiał się.

— Powinieneś zobaczyć mgły, które mamy w Londynie. W porównaniu z nimi to nic.

Rozdział siedemnasty

Sarah wyszła z domu godzinę po Davidzie. O dwunastej miała specjalne zebranie komitetu do spraw gwiazdkowych prezentów. Normalnie nie powinno się załatwiać czegoś takiego w niedzielę, ale ważny członek komitetu, który był jednocześnie członkiem rady nadzorczej czołowego producenta zabawek, nie mógł uczestniczyć w zebraniu w ciągu tygodnia. Idąc szybkim krokiem na stację metra, pomyślała o jadącym w tej chwili na północ Davidzie. Przez cały czas dręczyła ją wątpliwość, że może wcale nie dzwonił do niego wuj Ted, może to była ta kobieta z biura. Powtarzała sobie, że jest głupia: słyszała przecież koniec rozmowy, a przez resztę dnia David robił wrażenie zmartwionego i zatroskanego.

W drodze na stację zobaczyła plakat na kiosku z gazetami: *Dziś wieczorem Mosley wygłosi telewizyjne orędzie*. Kupiła egzemplarz „Sunday Timesa”, kolejnej gazety należącej teraz do Beaverbrooka. Przeczytała, że o siódmej ma wystąpić w telewizji premier, który właśnie wrócił z Niemiec, a zaraz po nim minister spraw wewnętrznych. Nie było żadnych szczegółów. Kolorowy dodatek w środku reklamował najnowszą paryską modę męską: podobne do mundurów, obcisłe i ciemne garnitury z krótkimi klapami. Słyszała, że ludzie nazywają to esesmańskim kiczem.

W niedzielę jeździło mniej pociągów, ale musiała czekać niezwykle długo, ponad pół godziny na otwartym peronie. Trochę zmarzła i cieszyła się, że włożyła ciepły sweter i nowe zimowe palto, chociaż jego zgodne z modą szerokie rękawy sprawiały, że miała odsłonięte nadgarstki. Inni stojący na peronie pasażerowie spoglądali na zegarki i cmokali ze zniecierpliwieniem. Kiedy jeździła na zebrania komitetu, na Wembley dosiadała się do niej czasami pani Templeman. Skoro są jakieś problemy na linii, pomyślała, jest przynajmniej szansa, że tym razem się do niej nie dosiędzie. Nie będzie musiała przez całą drogę do Euston słuchać jej słowotoku. Pociąg w końcu przyjechał i Sarah wsiadła do najbliższego wagonu, mimo że był dla palących. Siedzący naprzeciwko niej starszy facet, chyba robotnik, w czapce, szaliku i ciężkich, nabijanych ćwiekami buciorach, palił fajkę. Siedział w kłębach aromatycznego niebieskiego dymu, ale ojciec Sarah też lubił zapalić fajkę i dym właściwie jej nie przeszkadzał.

Nie miała szczęścia; kiedy pociąg zatrzymał się na Wembley, zobaczyła na peronie wysoką tęgą sylwetkę pani Templeman. Miała na sobie grube palto, okrągłą futrzaną czapkę i lisią etolę na szyi. Spostrzegłszy Sarah, pomachała do niej pulchną ręką i chwilę później usiadła na ławce naprzeciwko.

— Witaj, moja droga. Boże, musiałam czekać całe wieki.

— Podobnie jak ja. Na peronie było zimno jak w psiarni.

— Mówią, że to najchłodniejszy listopad od wielu lat. Miejmy nadzieję, że nie będzie takiej zimy jak w czterdziestym siódmym. Zamarzły nam wtedy wszystkie rury. — Pani Templeman jak zwykle mówiła szybko i głośno. Poprawiła etolę na szyi i lis łypnął na Sarah szklanym okiem. — Przygotowałam wszystko na zebranie, moja droga?

— Tak. Mam tutaj wszystkie wyliczenia. — Sarah poklepała torebkę. — Jeśli zostaną dzisiaj zatwierdzone, od jutra mogę składać zamówienia.

— Szkoda, że musimy się spotykać w niedzielę. Nie miałam na nic czasu po nabożeństwie.

— To rzeczywiście kłopot, ale musimy się chyba dostosować do pana Hamiltona.

— Jest bardzo hojny. Boże, ale tu nadymione! — Pani Templeman spojrzała z dezaprobatą na mężczyznę z fajką, który uśmiechnął się półgębkiem, odwrócił do okna i wypuścił kolejny kłęb dymu.

— To wagon dla pałacnych — zauważyła łagodnie Sarah.

— Tak, oczywiście. Sama lubię zapalić papierosa wieczorem, ale mój mąż... — Pociąg zatrzymał się z nagłym dygotem i wszyscy podskoczyli na ławkach. — Och, co znowu? Spóźnimy się...

— Muszą być jakieś problemy na linii.

Sarah wyjrzała przez okno, uświadamiając sobie, że nie minął ich żaden pociąg jadący w przeciwną stronę. Nie wjechali jeszcze do tunelu, wagon stał na kamiennym moście, z którego widać było pokryte sadzą tylne ściany domów wzniesionych z żółtej londyńskiej cegły. Z kominów wznosił się szary dym, na podwórkach schło pranie. Na murze umieszczono duży plakat: *Kup obligacje rządowe. Oszczędzaj na przyszłość nas wszystkich.* W niedzielę ulice były prawie puste. Jakiś obdartus prowadził po kocich łbach chudego brązowego konia, który ciągnął wóz ze szmatami i zabranymi ze śmietnika meblami. Sarah przypomniała sobie mężczyznę, który odwiedzał ich ulicę, kiedy była mała; matka dawała jej pensa, a ona zanosila mu go i w zamian mogła pogłaskać jego konia. Teraz ich dom w Kenton odwiedzali akwizytorzy w garniturach, którzy sprzedawali odkurzacze i lodówki w nowym systemie dzierżawy z opcją zakupu, i uchylali kapelusza z wesołym, czasami lekko zdesperowanym uśmiechem. Myśląc

o brzęczących przy końskiej uprzęży dzwoneczkach z dzieciństwa, zdała sobie sprawę, że Charlie byłby nimi zachwycony.

— Zamyśliłaś się, moja droga? — Pani Templeman posłała jej zachęcający uśmiech.

— Przepraszam. Myślałam po prostu o moim małym synku.

— Zostawiłaś go w domu z mężusiem?

— Nie. Zginął w wypadku w domu, dwa lata temu.

— Och, tak mi przykro, moja droga. — Panią Templeman chyba to zszokowało; wydawała się autentycznie zatroskana. — To musiało być dla ciebie straszne — dodała cicho.

— Spadł ze schodów.

— Wciąż myślę o moim Fredzie — powiedziała pani Templeman. — Zginął na wojnie, pod Dunkierką. W tym roku skończyłby czterdzieści lat. Bardzo pomaga mi moja wiara — dodała po chwili. — Nie wiem, jak bym sobie bez niej poradziła. — Sarah nie odpowiedziała. — Wierzę, że Pan prowadzi nas wszystkich — podjęła pani Templeman — mimo że czasami nie widzimy wyraźnie drogi. Ale wiemy, że On chce, żebyśmy pomogli tym, którzy są w potrzebie. Dlatego jestem w Komitecie.

— Zastanawiam się czasami, czy ten komitet ma sens — powiedziała ponuro Sarah. — Czy cokolwiek ma sens.

Pani Templeman zmieniła temat i zaczęła opowiadać o swoim bracie, który wrócił właśnie z Indii, gdzie był urzędnikiem państwowym, i miał u niej mieszkać do czasu, kiedy znajdzie sobie jakieś miejsce zamieszkania. Rok wcześniej przeżył ciężkie chwile podczas zamieszek w Kalkucie. Sarah zapytała, czy pani Templeman słyszała coś o zapowiadającym wystąpieniu Mosleya, ale ta pokręciła głową. Ostatnio raczej nie czytała gazet, to było takie przygnębiające.



Zebranie we Friends House przebiegło sprawnie. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że pani Templeman była dobrą przewodniczącą i sprawnie realizowała porządek dnia. Potem podano kawę. Sarah rozboleła głowa i nie uśmiechał jej się długi powrót metrem w towarzystwie pani Templeman. Postanowiła uciec się do drobnego kłamstwa.

— Nie idę na stację Euston — powiedziała. — Jestem umówiona z mężem na Tottenham Court Road.

— Przejdę się razem z tobą, moja droga, jeśli pozwolisz. Po zebraniu muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. To będzie przyjemna przechadzka, po drodze

jest kilka placów. Mogę wsiąść do metra przy Tottenham Court Road, a potem się przesiąść.

— Och, nie wiedziałam... Oczywiście.

Sarah doszła do wniosku, że kiedy już tam dotrą, wyjaśni, że mąż się spóźnił i musi na niego poczekać. Tak to jest, kiedy człowiek zaczyna kłamać.

— Pójdę tylko przypudrować nos — oznajmiła pani Templeman i poszła do toalety. Sarah stanęła przy drzwiach. Przechodzący obok członkowie komitetu zegnali się z nią, a po wyjściu na dwór opatulali szczelniej paltami. Zauważyła, że przed wejściem nie stoi policjant. Może poszedł gdzieś na papierosa.

Pani Templeman wróciła z przypudrowaną twarzą.

— Już, moja droga — powiedziała, poprawiając swoją straszną etolę. — Stawmy czoło zimnu.

Skreśliły w stronę georgiańskiej dzielnicy za Euston Road, szerokich dwupasmowych ulic, pośrodku których urządzono trawniki. Stały przy nich ekskluzywne kamienice, małe hoteliki, a także wydziały uniwersytetu przeniesione tam po zajęciu Senate House przez niemiecką ambasadę. Szły różnym krokiem; było naprawdę zimno, niebo miało ołowianoszary kolor. Na chodnikach nie było prawie przechodniów.

— Dziękuję, że pani tak nam pomaga, pani Fitzgerald — oświadczyła z uśmiechem pani Templeman. — Wiem, że obdzwanianie sklepów nie jest najciekawszą pracą pod słońcem.

— Nie narzekam. Mam przynajmniej coś do roboty w ciągu dnia.

— Pani mąż pracuje w służbie cywilnej, prawda?

— Tak. W Ministerstwie do spraw Dominiiów.

— Moja siostra mieszka w jednym z dominiów. W Kanadzie, w Vancouver. — Pani Templeman roześmiała się. — Nasza rodzina jest rozrzucona po całym imperium, widzi pani. Wciąż wierzę dziurę w brzuchu mężowi, żebyśmy ich odwiedzili... — Nagle przerwała. — Wielki Boże, co tu się dzieje?

Skreślały właśnie w Tottenham Court Road, która była prawie tak samo opustoszała jak mijane przez nie wcześniej ulice. Sklepy były pozamykane, tylko za szybą jednego z domów towarowych po drugiej stronie jezdni jakiś ekspedient zawieszał bożonarodzeniowe dekoracje. Nieliczni przechodnie stanęli jednak jak wryci w miejscu, obserwując zmierzający w ich stronę niezwykle pochód. Szło w nim około setki przestraszonych ludzi, mężczyźni, kobiety i dzieci, niektórzy w paltach, kapeluszach i z walizkami w rękach, inni w samych marynarkach i swetrach. Eskortowało ich kilkunastu funkcjonariuszy pomocniczej policji w czarnych czapkach, z pistoletami u pasa. Z przodu, na dwóch dużych brązowych koniach jechali dwaj policjanci w niebieskich hełmach. Sarah przypomniała sobie kolumnę dzieci, które pomagała eskortować na dworzec

podczas ewakuacji w 1939 roku. W przeciwieństwie do nich ten pochód szedł w milczeniu. Słyszał tylko stukot końskich podków, odgłos kroków i przenikliwe skrzypienie kół dziecinnego wózka, który popychała przed sobą jedna z kobiet. Kiedy podeszli bliżej, Sarah zobaczyła żółte plamy na klapach płaszczy.

— To Żydzi — powiedziała cicho pani Templeman. — Coś się dzieje z Żydami.

Większość przechodniów ruszyła dalej albo skręciła w boczne uliczki, ale kilku nadal stało w miejscu. Prowadzący pochód dwaj konni policjanci przejechali obok Sarah i pani Templeman. Jeden był starszym mężczyzną z paskami sierżanta na rękawie, drugi, młodszy, z cienkim wąsikiem, miał wyraźne problemy z utrzymaniem konia. Młoda kobieta stojąca na chodniku i trzymająca za rękę małą dziewczynkę pokiwała z satysfakcją głową i splunęła do rynsztoka.

— Hańba! — zawołał ktoś inny.

Jeden z funkcjonariuszy, wysoki chudy mężczyzna z mosleyowskim wąsikiem, spojrzął na maszerujących więźniów — bo tak chyba można było ich określić — i uśmiechnął się do gapiów.

— No dalej, zwawo! — zawołał z udawaną wesołością. — Zaśpiewajmy jakąś piosenkę, na przykład *A Long Way to Tipperary*.

Pani Templeman przycisnęła do piersi torebkę.

— O nie — powiedziała. — Nie wolno im czegoś takiego robić! Nie tutaj, w Anglii.

— Właśnie to robią — odrzekła posępnie Sarah.

— Dokąd ich zabierają?

Upudrowana twarz pani Templeman była blada i udręczona; zniknęła gdzieś cała jej pewność siebie.

Drugą stroną ulicy przejeżdżał duży vauxhall, siedząca na miejscu pasażera kobieta w średnim wieku śledziła ze zdumieniem idący jezdnią pochód. Policjant dał znak kierowcy, żeby przyspieszył. Sarah spojrzała na powłóczących nogami Żydów. Starszy mężczyzna w meloniku szedł sztywnym krokiem niczym maszerujący na front żołnierz, którym zapewne był w przeszłości. Za nim szła kobieta w średnim wieku, która nie zdążyła nawet zdjąć fartucha i chustki w kwiatki i trzymała przy sobie chudego chłopczyka w szortach i szkolnym pulowerze. Młoda para w modnych budrysówkach i jaskrawych akademickich szalikach trzymała się za ręce; chłopak, wysoki i muskularny, kroczył z buńczuczną miną; dziewczyna, szczupła, z długimi ciemnymi włosami, wydawała się przerażona. Skrzypiący wózek przejechał dalej; Sarah zauważyła w środku opatulone niemowlę.

Nagle ktoś krzyknął głośno po drugiej stronie ulicy. Wszyscy — Żydzi, policjanci i ludzie na chodniku — odwrócili się w tamtą stronę. Z obskurnego budynku między dwoma dużymi sklepami wyszło kilkunastu mężczyzn w niedzielnych ubraniach. Co ciekawe, wszyscy trzymali w rękach futerały z instrumentami muzycznymi. Na ścianie budynku Sarah zobaczyła tablicę z napisem „Uniwersytet Londyński. Wydział Muzyki”. Musieli tam ćwiczyć przed jakimś koncertem. Na oczach Sarah na środek jezdni wyszedł zwalisty siwy mężczyzna w pogniecionym ubraniu.

— Stójcie! — zawołał tubalnym głosem. — Co się tutaj dzieje?!

Stanął tuż przed dwoma policjantami na koniach, którzy musieli się zatrzymać, żeby na niego nie wjechać. Koń młodszego policjanta zaczął niespokojnie. Inni muzycy, którzy wyszli z budynku razem z siwym mężczyzną, pozostali na chodniku, niepewni i wystraszeni. Siwy mężczyzna pokraśniał z gniewu, jego małe oczka pod siwymi brwiami utkwione były w sierżancie na koniu.

— Co wy robicie?! — zawołał. — Co się dzieje z tymi ludźmi?!

Sierżant był odwrócony do Sarah plecami, ale wyraźnie usłyszała jego stanowczy, głęboki głos.

— Niech pan się odsunie. Wszyscy londyńscy Żydzi są wysiedlani z miasta.

Stojący bliżej Sarah policjant w średnim wieku roześmiał się szyderczo. Na płaszczu miał odznakę Czarnych Koszul z białą błyskawicą.

— Cholerny profesorek! — zawołał i odwrócił się do Żydów, kładąc dłoń na rękojeści pistoletu. — Stać i nie ruszać się! Te wygłupy zaraz się skończą.

Sarah była wstrząśnięta do szpiku kości. Stojąca obok niej pani Templeman z trudem oddychała. Miała wykrzywioną dziwnie twarz i wbijała jej palce w ramię. Stary muzyk nie ruszył się z miejsca.

— Nie możecie tego zrobić! — zawołał, wymachując rękoma w stronę grupy Żydów. — To brytyjscy obywatele!

Wystraszony koń młodszego policjanta próbował się cofnąć.

— Opanuj to cholerne zwierzę — warknął sierżant, odwracając się.

— Bronisz żydków, ty wścibska mendo?! — zawołał ktoś z chodnika. Jeden z mężczyzn stojących przed wydziałem muzyki postawił kołnierz płaszcza i zaczął się szybko oddalać. Chwilę później ruszył za nim kolejny, a potem jeszcze jeden.

— Wykonujemy oficjalne rozkazy. Narusza pan porządek publiczny. Proszę się odsunąć albo zostanie pan zatrzymany — powiedział głośno i wyraźnie sierżant. Głos miał nadal spokojny.

Pani Templeman puściła nagle ramię Sarah, wyszła na jezdnię i stanęła obok starego muzyka. Sarah widziała, jak drży, jej siwe loki trzęsły się pod futrzaną

czapkę.

— Ja pierdolę — mruknął stojący obok Sarah policjant, majstrując palcami przy kaburze.

Przestraszeni Żydzi przestępowali z nogi na nogę.

— Dobrze, w porządku — oznajmił sierżant. — Wy dwoje jesteście aresztowani.

Muzyk spojrział wyczekująco na tych ze swoich towarzyszy, którzy jeszcze nie odeszli. Tamci wymienili między sobą spojrzenia. Trzej kolejni zrejterowali. Młody człowiek z futerałem na skrzypce stał jak wryty w miejscu z udreńczonym wyrazem twarzy, ale czterej pozostali zeszli niepewnym krokiem z chodnika i stanęli przy starym mężczyźnie i pani Templeman.

— Usuńcie tych ludzi z jezdni! — zawołał przez ramię sierżant, wskazując ich palcem.

— Zamieniacie ten świat w piekło! — zawołał stary muzyk.

Nie zważał już na nic, w kącikach jego ust gromadziła się ślina. Policjanci z eskorty ruszyli do przodu, sięgając po przytroczone do pasów pałki. Sarah poczuła, jak serce wali jej w piersi. Pani Templeman spojrziała na zbliżających się policjantów i nagle usiadła na zimnym asfalcie. Poły jej płaszcz uniosły się w górę, odsłaniając grube uda w pończochach. Na jej pobladłej twarzy malowała się determinacja. Muzyk przez chwilę się jej przyglądał, a potem również usiadł, sztywno opierając się na jej ramieniu. Czterej pozostali młodszy mężczyźni wahali się przez chwilę, ale w końcu też usiedli. Ten, który został na chodniku, nie mogąc się zdecydować, odwrócił się i odszedł.

Czterech funkcjonariuszy z eskorty podbiegło do przodu, mijając konie. Ten, którego dosiadał młody policjant, spłoszył się nagle i stanął dęba. Jeździec krzyknął głośno, próbując go opanować, ale koń skoczył do przodu i przerażona Sarah ujrzała, jak wielka uniesiona w górę podkowa trafia panią Templeman prosto w czoło. Starsza pani jęknęła cicho, przewróciła się na plecy i legła bez ruchu z rozrzuconymi bezładnie rękoma. Z rany na jej czole spływała na szary asfalt szokująco czerwona krew. Obok leżała czapka i etola z lisa. Oczy pani Templeman były tak samo nieruchome i szkliste jak oczy Charliego tamtego straszego dnia i Sarah zdała sobie nagle sprawę, że jej przyjaciółka nie żyje. Demonstranci i policjanci wpatrywali się w narowistego konia; w całym tym zamieszaniu młodemu policjantowi udało się go jakoś poskromić.

Stojąca przy krawężniku Sarah zamarła w bezruchu. Instykt samozachowawczy nakazywał jej zrobić to samo, co zrobił młody człowiek z futerałem na skrzypce: odwrócić się i odejść. Pomyślała o Davidzie i ich bezpiecznym domu. A potem wezbrało w niej jakieś chłodne postanowienie i ściskając mocniej torebkę, zeszła z chodnika. Idąc po jezdni, uświadomiła sobie

całkiem trzeźwo, że to koniec, pali za sobą wszystkie mosty. Dwaj policjanci z formacji pomocniczych złapali pod pachy siwego muzyka i wlekli go po jezdni. Sarah podeszła tam, gdzie leżała w tym strasznym pohańbieniu pani Templeman, i usiadła obok jej ciała. Spojrzała na innych stojących na chodniku, mając desperacką nadzieję, że pójda za jej przykładem. Chudy chłopak w szaliku podszedł i usiadł obok niej, pocąc się ze strachu. Do przodu podbiegli kolejni czterej policjanci. Sarah patrzyła na nich; serce biło jej tak szybko, że miała trudności z zaczerpnięciem oddechu.

Żydzi stali stłoczeni i przerażeni, ale kilku młodszych zaczęło rozglądać się dokoła, być może zastanawiając się nad ucieczką. Pozostali gliniarze pilnowali z wyciągniętymi pistoletami więźniów. Stary muzyk został odciągnięty na chodnik, lecz nadal szarpał się, krzyczał i przeklinał. Policjanci zaczęli ściągać z jezdni innych demonstrantów. Sarah poczuła pod pachami twarde mocne dłonie, które szarpnęły ją w górę. Jeden z muzyków próbował stawiać opór i oberwawszy w głowę pałką, osunął się nieprzytomny na ziemię. Kiedy ją podnieśli, Sarah zdała sobie sprawę, że, być może, nigdy już nie zobaczy Davida. Uświadomiła sobie, jak bardzo go kocha.

Nagle usłyszała kolejne krzyki. Obejrzawszy się za siebie, zobaczyła pięciu albo sześciu bikiniarzy, którzy biegli ulicą w ich stronę, z podrygującymi komicznie fryzurami i powiewającymi z tyłu połami długich płaszczy. Byli nieogoleni i chyba pijani. Jeden miał podbite oko, inny ścisnął w rękę prawie pustą butelkę whisky. Wracali prawdopodobnie z jakiejś nocnej popijawy i zwabił ich hałas.

— Dokopać im! — zawołał jeden. — Dokopać psom! Zajebać sukinsynów!

Butelka whisky poszybowała w górę i zaledwie o kilka centymetrów minęła sierżanta. Bikiniarze rzucili się na gliniarzy, którzy usuwali z jezdni demonstrantów. Jeden z nich zaatakował ciągnącego po jezdni Sarah policjanta, który głośno zaklął. Przed oczyma mignął jej nóż trzymany przez bikiniarza. Gliniarz puścił ją i przewrócił się na ziemię. Sierżant wyciągnął z kabury pistolet i strzelił w powietrze. Tego już było za wiele dla płochliwego konia, który stanął dęba, zrzucając z siodła jeźdźca. Młody policjant runął na ziemię, wrzeszcząc i trzymając się za nogę, a koń odwrócił się i pobiegł pustą ulicą, stukając podkowami. Wierzchowiec sierżanta też zaczął się płoszyć i kręcić w kółko. Rozpętało się piekło. Rozglądając się desperacko, Sarah zobaczyła obok siebie martwą twarz pani Templeman, jej zakrwawione włosy.

A potem grupa żydowskich więźniów zakołysała się jak podczas przypływu i kilku z nich rzuciło się do ucieczki. Inni, przeważnie starsi, jeszcze bardziej zwarli szeregi. Matka z wózkiem pochyliła się opiekuńczo nad swoim maleństwem. Pięciu albo sześciu młodych Żydów dołączyło do bójki. Padł strzał

i jeden z bikiniarzy pochylił się do przodu z krwawiącą piersią. Rozległy się krzyki, a potem padł kolejny strzał.

Sarah poczuła, że ktoś łapie ją pod pachy i ściąga z jezdni. Szarpnąwszy się, usłyszała przy uchu gniewny głos.

— Próbuje cię stąd wyciągnąć, głupia krowo!

Odwróciła się i zobaczyła, że to chłopak w budrysówce i uniwersyteckim szaliku, którego widziała wcześniej z dziewczyną. Zerwała się na nogi i razem z nimi wbiegła na chodnik. Inni Żydzi też rzucili się do ucieczki, zmierając w stronę biegnącej obok pubu wąskiej alejki. Słysząc było głośne trzaski wystrzałów. Sarah zobaczyła, jak na ziemię pada starszy Żyd w meloniku. Ekspedient, który zawieszał dekoracje w oknie wystawowym po drugiej stronie ulicy, schował się za ladą. Długi srebrny łańcuch wisiał zapomniany za szybą.

Sarah skręciła wraz z parą młodych w inną alejkę. Chłopak wbiegł nagle przez otwarte drzwi do jakiegoś budynku mieszkalnego i łapiąc kurczowo powietrze, przystanęli w mrocznym śmierdzącym holu. Inni uciekinierzy biegli dalej, słysząc było tupot ich stóp. W oddali rozległy się kolejne strzały, a potem uporczywy dźwięk policyjnego gwizdka.

— Musimy uciekać, Joe! — szepnęła cicho dziewczyna. Podobnie jak Sarah, miała akcent klasy średniej.

Chłopak pokręcił niecierpliwie głową.

— Nie. Za minutę będą ich tu dziesiątki. Schowaj się tutaj — dodał, kryjąc się w wilgotnej wnęce pod schodami. Dziewczyna wsunęła się tam za nim. — Pani też — zwrócił się do Sarah, która wcisnęła się obok nich. Czuła ciepło ich ciała. Z dużego metalowego pojemnika na śmieci śmierdziało zgniłymi warzywami. Sarah była zziębnięta i spocona, ale dziwnie spokojna. — Niech to szlag! — zaklął chłopak. — Myślałem, że już po nas.

Gdzieś daleko zawyła policyjna syrena. Dziewczyna zaczęła płakać.

— Strzelali do ludzi, zabijali ich...

W jej głosie zabrzmiała histeria. Sarah złapała ją za ramiona.

— Proszę pani! Musimy być cicho!

Dziewczyna zaszlochała jeszcze kilka razy i spojrzała na chłopaka.

— Co teraz zrobimy, Joe? Gdzie możemy się ukryć?

— Zaczekamy do zmroku i pójdziemy do przyjaciela Marka w Watford. — Chłopak dotknął palcami żółtej odznaki na budrysówce. — Zrywam to cholerstwo. Dowody tożsamości też nam się już nie przydadzą.

Pociągnął za odznakę, ale drżały mu palce i nie mógł jej oderwać. Dziewczyna, która zdążyła się już trochę uspokoić, położyła dłoń na jego dłoni.

— Nie, Joe, odpruj ją. Jeśli zobaczą rozdarcie na płaszczu, domyślą się, że zerwałeś odznakę.

— Dobrze. Możesz to zrobić, Ruth? Ja nie daję rady.

Wspólnie odpruli odznaki, a potem wyjęli dowody tożsamości z wielkimi żółtymi gwiazdami na okładkach, podarli je i wyrzucili strzepy do śmierdzącego pojemnika. Sarah przez cały czas nasłuchiwała, bojąc się, że jakiś lokator może wyjść z mieszkania i ich znaleźć. Ale mieszkańcy słyszeli chyba strzały i nie wychylali nosa z mieszkań.

— Dziękuję panu — powiedziała cicho do chłopaka. — Za to, że mnie pan uratował.

Joe uśmiechnął się. Jego białe zęby błysnęły w półmroku.

— Nie ma za co — odparł. Choć trudno było to dostrzec, Sarah miała wrażenie, że się zaczerwienił. To dopiero dzieci, pomyślała z rozpaczą.

— To pani nam pomogła — powiedziała Ruth. — I pani przyjaciółka.

Sarah poczuła dławienie w gardle.

— Moja przyjaciółka nie żyje — szepnęła.

— Wiem. Widziałam. — Dziewczyna znowu zaczęła płakać.

Joe wyjrzał ostrożnie z wnęki.

— Zginęło więcej osób — powiedział drżącym głosem.

— Co się z wami działo? — zapytała Sarah. — Dokąd was zabierali?

— Wysiedlają z miasta wszystkich zarejestrowanych londyńskich Żydów. Nie wiemy dokąd. Mieszkam w akademiku, przyszli po nas dziś o siódmej rano — odparła Ruth i schowała głowę w dłoniach.

— Myślałam, że Żydom nie wolno już studiować.

— Dostaliśmy się na studia tuż przed wejściem w życie zakazu — powiedział Joe. — Wciąż było nas trochę na trzecim roku. Miałaś rację — zwrócił się do swojej dziewczyny — mówiąc, że któregoś dnia po nas przyjdą. — Na jego twarzy odbiły się emocje. — Wydawało mi się, że jesteśmy bezpieczni — rzekł do Sarah — że nasz rząd nie zgodzi się nas wydać. Że nie pozwoli na to narodowa дума, że to niezgodne z brytyjską zasadą fair play — dodał z goryczą. — Mogą nas wyrzucić z pracy i zabrać nasze firmy, myślałem, ale nie wazą się nas oddać Niemcom. Ale to właśnie teraz robią, to nie może być nic innego.

— Beaverbrook musiał to uzgodnić z nazistami w Berlinie — powiedziała cicho Ruth.

Joe pokręcił głową.

— Musieli to planować od jakiegoś czasu.

— Może mieli już wcześniej plany awaryjne — zasugerowała Sarah. — A teraz Niemcy zmusili władze do wcielenia ich w życie. W służbie cywilnej zawsze sporządza się plany awaryjne, mój mąż jest urzędnikiem państwowym...

Joe natychmiast zmierzył ją wrogim spojrzeniem.

— Naprawdę?

— Pracuje w Ministerstwie do spraw Dominiów, nie mają z tym nic wspólnego...

— Wszyscy maczają w tym palce, wszyscy, którzy pracują dla Beaverbrooka i Mosleya — oświadczył Joe.

— Nie podnoś głosu — zwróciła mu uwagę Ruth.

— Teraz już wiemy, ile jest warta brytyjska zasada fair play, kiedy przyjdzie co do czego — powiedział trochę ciszej Joe, ale w jego głosie nadal słyhać było oburzenie. — Od momentu, kiedy nas zgarnęli, ludzie po prostu stali i się na nas gapili, mijali nas w swoich samochodach. Z opuszczonymi głowami.

— Z wyjątkiem tego starszego mężczyzny — powiedziała Ruth. — I pani przyjaciółki — dodała, patrząc na Sarah.

— Tak naprawdę uratowali nas ci bikiniarze. — Joe smutno się uśmiechnął. — Nie dlatego, żeby przejmowali się naszym losem. Słyszałem wiele opowieści o tym, jak bili Żydów. Spostrzegli po prostu okazję do rozróby.

W głowie Sarah kłębiły się różne myśli. To wyłącznie z jej powodu pani Templeman znalazła się na tej ulicy. Uważała ją za apodyktyczną starszą panią, a jednak ta w krytycznym momencie wykazała się niebywałą odwagą. Sarah zadrżała, uświadamiając sobie, że sama też mogła zginąć. Obawiała się, że David może ją opuścić, tymczasem to ona by go opuściła, gdyby ją zastrzelili.

Chłopak potrząsnął ją za ramię, wyrywając z zamyślenia.

— Na zewnątrz zrobiło się cicho — powiedział. — To nie potrwa długo. Na pani miejscu wyszedłbym stąd, dopóki to możliwe. Ma pani swój dowód tożsamości?

— Tak.

— Gdzie pani mieszka?

— W Kenton. W kierunku na Pinton.

— Nie powinna pani chodzić w tym palcie, wyróżnia się — powiedziała Ruth. — Siedziała pani na mokrej jezdni. Będą teraz szukali blondynki w pani wieku, w brudnym szarym palcie.

— Niech pani zamieni się ze mną płaszczami — zaproponowała Sarah. — Wiele osób nosi teraz budrysówki.

Wyszły z wnęki i wymieniły się okryciami, podczas gdy Joe obserwował wejście. Budrysówka Ruth była trochę ciasna na Sarah. Podniosła z podłogi torebkę i wyjęła portmonetkę.

— Proszę, niech pani weźmie moje pieniądze — powiedziała, dając jej dwa dziesięcioszylingowe banknoty i trochę srebrnych monet. — Mam bilet powrotny, nie potrzebuję pieniędzy.

Joe chyba się wahał, ale Ruth wzięła pieniądze.

— Dziękuję — powiedziała.

— Gdzie mieszkają wasze rodziny? — zapytała Sarah.

— Moja mieszka w Highgate — odparła Ruth. — Pewnie też już ich zgarnęli. Spędzałam noc z Joem — dodała, czerwieniąc się.

— Moja w Bradford. Tam też pewnie deportowali Żydów — rzekł łamiącym się głosem Joe. Sarah widziała, że ledwie nad sobą panuje. — Niech pani już idzie — mruknął twardo. — Nie ma na co czekać.

Ruth uścisnęła jej ramię. Szare palto Sarah było na nią trochę za duże.

— Nigdy nie zapomnimy, co zrobiła dla nas pani i jej przyjaciółka — zapewniła ją.

Sarah uśmiechnęła się.

— Życzę powodzenia — powiedziała, po czym wzięła głęboki oddech i wyszła na zewnątrz.

W alejce było cicho i pusto. Poprawiła na ramieniu torebkę i ruszyła w kierunku Tottenham Court Road. W oddali znowu zawyły syreny. Uginały się pod nią nogi, ale zmusiła się, by iść dalej, w stronę metra i domu.

Rozdział osiemnasty

Znalezienie szpitala zajęło im więcej czasu, niż sądził David. Chociaż znajdowali się już na obrzeżach Birminghamu, drogi były wąskie i wysadzone drzewami, drogowskazów jak na lekarstwo i po krótkich opadach mokrego śniegu zapadła mgła. Ponownie przedyskutowali, jak powinien się odnosić do Franka Muncastera: ze współczuciem i ostrożnie. Potem przez jakiś czas jechali w milczeniu. David rozmyślał o tym, co Natalia opowiedziała mu o słowackich Żydach. Wiedział, że nie mogła w żaden sposób pomóc tym ludziom, i to go przerażało. Zastanawiał się, jak zareagowałaby Sarah, gdyby dowiedziała się, że jest pół-Żydem. Potępiła to, jak potraktowano Żydów w Anglii, ale czym innym była świadomość, że ma się Żyda za męża. Wiedział, że uprzedzenia są bardzo głębokie i istniały, zanim jeszcze w latach czterdziestych zaczęła się antyżydowska propaganda.

— Jesteśmy na miejscu — odezwał się nagle Geoff, wrywając go z zamyślenia. Dotarli do rozwidlenia dróg; drewniany drogowskaz wskazywał szpital Bartley Green. Minęli niewielki zagajnik i zaraz potem zobaczyli stojący na wzniesieniu olbrzymi wiktoriański budynek z czerwonej cegły. Obok była duża wieża wodna i ogrodzony wysokim płotem, porządnie utrzymany park. We mgle świeciły się światła. David nie spodziewał się, że szpital mieści się w tak imponującym gmachu.

Droga biegła wzdłuż płotu do wysokiej, kutej z żelaza bramy. Obok niej stała stróżówka z oknem wychodzącym na drogę. Podjechali do niej, mijając kobietę w ciemnej pelerynie pielęgniarki i dwie starsze osoby idące ze spuszczoneymi głowami. David spojrzął przez pręty bramy na długi prosty podjazd prowadzący do głównego budynku. Natalia zatrzymała samochód.

— Idźcie obaj i pogadajcie z portierem — powiedziała.

Geoff i David wysiedli. Zrobiło się trochę cieplej, ale zaraz spowiła ich lepka mgła. Podeszli do okna, przy którym pielęgniarka rozmawiała z portierem. Przed sobą mieli stojącą w milczeniu parę. Portier był nieduży, w podeszłym wieku, jego czarny uniform przypominał Davidowi starego Sykesa urzędującego w recepcji ministerstwa. Na ścianie za portierem wisiała nawet podobna duża

tablica z kluczami. Drugi, młodszy, portier siedział za biurkiem, obsługując centralkę telefoniczną z wtyczkami i gniazdkami.

— Miałem urwanie głowy z tymi odwiedzinami, ale teraz zrobiło się spokojniej — powiedział stary portier do pielęgniarki, dając jej klucz, po czym skinął głową do pary stojącej przed Davidem i Geoffem.

— Przyjechaliśmy do naszej córki — rzekł starszy mężczyzna z akcentem z Black Country. — Amy Lascelles, na oddziale Domville’a.

Portier pokręcił z dezaprobatą głową.

— Odwiedziny już się kończą.

— Dojazd z Walsall zajmuje dużo czasu.

Portier westchnął.

— Dowody tożsamości.

Para okazała je i portier zapisał w księdze nazwiska odwiedzających.

— W porządku — powiedział. — Zaczekajcie tutaj przez moment. Słucham panów? — zwrócił się do Davida i Geoffa.

— My też przyjechaliśmy w odwiedziny do pacjenta. Nazywa się Frank Muncaster — powiedział David. — Przepraszam za niewielkie spóźnienie, ale jechaliśmy z Londynu.

Słyszając jego akcent, portier odniósł się do niego z szacunkiem.

— Czy na oddziale wiedzą, że pan przyjechał?

David wziął głęboki oddech.

— Nie. Ten pan i ja jesteśmy jego dawnymi kolegami ze szkolnej ławy. Dowiedzieliśmy się od przyjaciela doktora Muncastera z uniwersytetu, że tutaj trafił... to był dla nas szok. Postanowiliśmy przyjechać i złożyć mu wizytę.

Portier spojrzał na siedzącą w samochodzie Natalię.

— A ta pani?

— To moja przyjaciółka — odezwał się Geoff. — Podwiozła nas.

— No cóż, nie widzę przeszkód. Czy mógłbym zobaczyć panów dowody tożsamości?

David podał mu podrobione dowody, a portier zapisał fałszywe nazwiska.

— Zadzwoń na oddział Ironbridge’a, Dan — zwrócił się do młodego człowieka przy centralce telefonicznej — i powiedz im, że Muncaster ma gości. Niech wyślą kogoś, żeby czekał na nich przy wejściu. Muncaster jest dzisiaj popularny — dodał.

David wymienił spojrzenia z Geoffem.

— Co pan ma na myśli? — zapytał niezobowiązująco.

— Odwiedzili go wcześniej dwaj policjanci. Chcieli mu pewnie zadać kilka pytań na temat incydentu. — Portier oparł się o księgę. — Wiecie, panowie, że zaatakował swojego brata i wyrzucił go przez okno? Widziałem go, kiedy tu

przyjechał, nie wyglądał na agresywnego, ale nigdy nic nie wiadomo. Pamiętam faceta, który przez całe lata był cichy jak myszka, a potem pewnego dnia załatwił dwóch pielęgniarzy i doktora, zanim zdążyli policzyć do trzech — powiedział i z ponurą satysfakcją potrząsnął głową.

Młody człowiek odwrócił się od telefonu.

— Pan Hall będzie czekał na odwiedzających przy wejściu.

— Możesz im otworzyć bramę?

Młodszy portier wyszedł na dwór, pobrzękując pękiem kluczy. Pielęgniarka już wcześniej weszła na teren. David i Geoff wsiedli z powrotem do samochodu, portier otworzył bramę i wjechali do środka. Para w starszym wieku ruszyła za nimi na piechotę. David poinformował Natalię o wizycie policjantów. Po chwili usłyszeli za sobą szcęk zatraskiwanej bramy.

— O co chodziło?

— Portier nie wiedział. Przypuszczał, że to miało związek z napaścią na brata Franka.

— Musimy o to zapytać tego Bena Halla. To nie może być nic poważnego. W przeciwnym razie by nas ostrzegł. Wiemy, że śledztwo nie zostało zamknięte.

Tuż za bramą, nad szerokim błotnistym rowem o stromych brzegach, przerzucony był betonowy mostek. Za nim rósł gęsty ligustrowy żywopłot. David przyjrzał się ponownie budynkowi stojącemu przy końcu podjazdu. Kiedy podjechali do głównego wejścia, na zewnątrz wyszedł krępy mężczyzna w brązowym uniformie i stanął u szczytu schodów. Mniej więcej trzydziestoletni, miał złamany nos i sympatyczną, brzydką twarz przedwcześnie porytą zmarszczkami. Przy pasie trzymał gwizdek na łańcuszku i pęk kluczy. Natalia zaparkowała z boku wejścia.

— W porządku, to nasz człowiek — powiedziała. — Widziałam jego zdjęcie. Zostanę w samochodzie. Powodzenia.

David i Geoff ponownie wysiedli. Młody mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął do nich dłonie, mierząc obu uważnym wzrokiem.

— Panowie Ladyman i Hedges? — zapytał z silnym akcentem z Glasgow.

— Owszem — odparł David. — Ja nazywam się Hedges. Dzień dobry.

— Cześć. Dzięki, że pan przyjechał. Frank bardzo się ucieszy.

David obejrzał się za siebie. Starsza para zbliżała się do schodów, oboje ze spuszczoneymi wstydliwie głowami.



Ściany w środku pomalowane były na urzędowy zielony kolor, podłoga wyłożona porysowaną klepką. Ben otworzył kluczem ciężkie wewnętrzne drzwi i ruszyli długim korytarzem. Dwaj mężczyźni w szarych wełnianych uniformach stali w miejscu, apatycznie im się przyglądając. Uszy wystawały im spod komicznie przystrzyżonych włosów.

— Portier powiedział, że Franka odwiedzili wcześniej jacyś policjanci — rzekł cicho David.

— Zgadza się. — Pielęgniarski też mówił półgłosem. — Porozmawiamy o tym w gabinecie.

— Widzę, że zachowujecie tutaj ściśle środki bezpieczeństwa — zauważył Geoff.

— Tak jest — odparł Ben. — Nie można tu wejść bez klucza ze stróżówki. I wszystkie wewnętrzne drzwi są zaryglowane. Więc pan i Frank byliście kiedyś dobrymi kumplami? — zwrócił się do Davida tonem luźnej pogawędki.

— Tak, na uniwersytecie. Ale nie widziałem go od wielu lat.

— Chyba dużo o panu myśli. Pamięta pańskiego przyjaciela, ale do pana był naprawdę przywiązany. Załatwiłem wam osobny mały pokój.

— Czy na oddziale są inni odwiedzający?

— Niewielu. Prawie wszyscy już sobie poszli, nie siedzą tu zbyt długo. Większości tych biedaków nikt nie odwiedza. Krewni przyjeżdżają raz na rok albo na dwa lata, a potem przestają. Ze wstydu lub nie chcą patrzeć, co się porobiło z ich bliskimi.

— Uważa pan, że Frank był do mnie przywiązany? — zapytał z pewnym skrepowaniem David. — Mówi pan o nim jak o psie.

Ben pokiwał głową.

— Zgadza się, bo tak właśnie wygląda. Jak zbity pies, który szuka dobrego pana.

— Na swój sposób jest bardzo bystry — stwierdził z lekką przyganą David.

Ben znów pokiwał głową.

— Nie ujawnia się z tym. Niewiele mówi. Może panu powie więcej. Niech pan mu zasugeruje, że przy odrobinie szczęścia może go pan stąd wyciągnąć.

Ben otworzył kolejne drzwi z grubymi szybami i znaleźli się w dużej sali, w której stało albo siedziało kilkudziesięciu mężczyzn, wszyscy w takich samych szarych ubraniach. Część oglądała telewizję, inni siedzieli przy dużym stole, klejąc z papieru bożonarodzeniowe łańcuchy pod nadzorem starszego mężczyzny w takim samym brązowym uniformie jak Ben. W powietrzu unosił się zapach papierosowego dymu i środków dezynfekcyjnych. W rogu siedział młody mężczyzna, rozmawiając z dwojgiem przestraszonych i spiętych ludzi w średnim wieku, najprawdopodobniej rodzicami, którzy przyszedli z wizytą do syna.

Wszyscy spojrzeli z zainteresowaniem na dwóch elegancko ubranych nowo przybyłych.

— Goście do Muncastera — powiedział Ben do starszego pielęgniarza.

— Ma dzisiaj więcie.

— Jasne — odparł lekkim tonem Ben. — Gdzie on jest?

Drugi pielęgniarz wskazał głową jedne z drzwi prowadzących z głównej sali.

— Zaszył się jak zwykle w cichym pokoju — odparł tonem, w którym słychać było znudzenie i pogardę.

— Najpierw zamienię w gabinecie kilka słów z tymi panami.

Ben wprowadził Davida i Geoffa do małego pomieszczenia z biurkiem, dwoma sfatygowanymi krzesłami i dużą zamkniętą szafką.

— O co chodzi z tą policją? — zapytał David, kiedy zamknęły się za nimi drzwi.

Z twarzy Bena zniknęła nonszalancka mina; malowała się na niej teraz czujność i powaga.

— Późnym rankiem odwiedzili dziś Franka dwaj policjanci — poinformował. — Nie było mnie na oddziale, ale rozmawiałem z nim później. Z tego, co mówi, wynika, że to był jakiś nowy inspektor, który przejął sprawę jego brata i chciał z nim porozmawiać. Tak powiedział. Policja nie zdecydowała jeszcze, czy będzie wnosić oskarżenie. Moim zdaniem to nic podejrzanego. Mam taką nadzieję. Ale Frank nie na żarty się wystraszył.

— Czy powiedział tym policjantom o naszym przyjeździe? — zapytał ostro David.

— Twierdzi, że nie. Prosiłem go, żeby nikomu nie mówił. Na wypadek gdyby biurokraci chcieli poprosić pana o pomoc.

— A będą chcieli?

Ben wzruszył ramionami.

— Niewykluczone. Mają z Frankiem pewien problem. Nie ma żadnych krewnych ani przyjaciół, którzy mogliby go reprezentować. Tak czy owak, powiedziałem mu, że ma zachować to spotkanie w tajemnicy.

— Jak dużo pan wie? — zapytał Geoff. — O tym, dlaczego tu przyjechaliśmy.

Ben spojrzał mu prosto w oczy.

— Wiem tylko tyle, że nasi ludzie bardzo interesują się Frankiem. — Uśmiechnął się drwiąco. — Nie uważają za stosowne informować o szczegółach kogoś takiego jak ja. Wiem, że złożycie sprawozdanie grubym rybom w Londynie. Takim samym waśniakom jak wy sami. Tak czy owak — dodał

dziarskim tonem, patrząc na Davida — powiedziano mi, że szefostwo chce, żeby na początek porozmawiał pan z Frankiem.

— Tak nam zasugerowano. — David zdał sobie sprawę, jak szeroka jest sieć ruchu oporu, a jednocześnie, jak mało jego członkowie wiedzą wzajemnie o sobie. Z drobnych uszczypliwości pod swoim adresem domyślił się, że szkocki pielęgniarz jest lewicowcem, być może nawet komunistą. Prawdopodobnie pogardzał ludźmi jego pokroju.

— Frank chce się stąd wydostać, prawda? — zapytał nagle.

— Owszem — odparł Ben, patrząc mu prosto w oczy. — Opowiadałem mu o rzeczach, które robią tutaj ludziom. O elektrowstrząsach i lobotomii, to znaczy operacji na mózgu.

David zmarszczył czoło.

— Żeby go przestraszyć?

— Żeby go ostrzec — odpowiedział stanowczym tonem Ben. — Słuchaj, chłopie, dyrektor już teraz mówi o zaaplikowaniu Frankowi elektrowstrząsów. Ale zgadza się, Franka trzeba mocno zachęcić, żeby zdobył się na pewien wysiłek i spróbował się stąd wydostać. Uspokoił się pod wpływem leków, ale nadal boi się własnego cienia. Siedzi przez cały dzień w cichym pokoju i gapi się przez okno. Nie było łatwo go przekonać, żeby się z panem skontaktował.

— Niech pan nie zapomina, że jestem jego przyjacielem.

— Wszyscy jesteśmy jego przyjaciółmi, chłopie.

— Jakiego rodzaju człowiekiem jest dyrektor? — zapytał Geoff.

— To palant — odparł z pogardą Ben. — Frank nie ufa mu, nie powiedział mu ani słowa o tym, co wydarzyło się z jego bratem. — Przyjrzał się uważnie Davidowi i Geoffowi. — Ja też zostałem poinstruowany przez naszych ludzi, żeby w tej sprawie zbytnio go nie cisnąć. Wiem to samo co wszyscy, doszło do awantury i brat wyleciał przez okno. I wtedy właśnie wezwano policję. Przechodzień zeznał, że Frank wrzeszczał coś o końcu świata. Dlatego go tu zamknęli. Zastanawiam się, o co mogło mu chodzić.

— Kto to może wiedzieć? — mruknął Geoff.

— W porządku, chłopie — zwrócił się Ben do Davida. — Chodźmy się z nim zobaczyć. — Proszę, niech pan tu zaczeka — zwrócił się do Geoffa.

Weszli z powrotem do świetlicy. David przyjrzał się mężczyznom, którzy oglądali w telewizji program dla dzieci; w ich wyglądzie było coś smutnego i beznadziejnego. Para w średnim wieku nadal siedziała przy młodym człowieku, który odwrócił się od nich z zaczerwienioną z gniewu twarzą. Kobieta płakała.

Ben wprowadził ich do kolejnego małego pokoiku, gdzie stały stare skórzane fotele. Na ścianie wisiał wielki wiktoriański obraz przedstawiający

osaczonego jelenia. W kącie stał siwy mężczyzna, cały się trzęsąc. Ben podszedł do niego.

— Czy mógłbyś wrócić do świetlicy, Harris? — powiedział bardzo cicho. — Musimy tu zamienić słówko z Muncasterem.

Mężczyzna kiwnął głową i wyszedł. David powiódł za nim wzrokiem.

— Cierpi na nerwicę frontową po wielkiej wojnie, biedaczysko — wyjaśnił Ben.

Początkowo David myślał, że w pokoju nie ma nikogo więcej, lecz nagle z wysokiego fotela odwróconego w stronę okna wstał chudy mężczyzna ubrany w szare ubranie. Frank Muncaster spojrział na niego i uśmiechnął się. Nie był to ten wprawiający w zakłopotanie grymas, który zapamiętał David, lecz nieśmiały, smutny, niemal zdumiony uśmiech.

— David? — odezwał się cicho, jakby nie był pewien, czy go naprawdę widzi.

— Witaj, Frank. — David podszedł niezgrabnie bliżej i wyciągnął do niego rękę. — Przepraszam za małe spóźnienie.

Frank zbliżył się do niego, powłócząc nogami jak starzec. Twarz miał bladą jak kreda, gęste brązowe włosy przystrzyżono mu krótko i nierówno, wskutek czego bardziej widoczne były jego odstające uszy. Bezkształtne szpitalne ubranie było na niego za małe. Podał rękę Davidowi, który uścisnął ją ostrożnie, pamiętając o zdeformowanych palcach; dłoń Franka była wilgotna i miękka. W jego oczach malowało się bezmierne znużenie.

— Jak mało się zmieniłeś — powiedział. — Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś — dodał drżącym głosem.

Przez moment trwało niezręczne milczenie. W końcu Frank wziął się w garść.

— Zdejmij płaszcz. Siadaj. Dziękuję, że przyjechałeś.

— Drobiazg.

Usiedli naprzeciwko siebie.

Ben stanął przy drzwiach, w zasięgu głosu. Frank spojrział na niego. David wyczuł, że obecność pielęgniarska trochę go krępuje.

— Czy mógłbym porozmawiać z nim sam na sam? — zapytał.

— Kazali mi zostać — odparł Ben z wyraźnym akcentem z Glasgow.

David poczęstował Franka papierosem.

— Dziękuję, nie palę.

— No jasne, zapomniałem. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli sam zapalę?

— Nie.

David zapalił. Frank wyjrzał przez okno.

— Siedziałem tutaj i przyglądałem się mgłę — powiedział cicho. — Wcześniej padał śnieg. Przepraszam, że ściągnąłem cię tu w weekend.

David pochylił się do przodu.

— Chciałem zobaczyć, czy będę mógł ci pomóc, stary.

— À propos, jak się miewa twoja żona? — Frank zmarszczył brwi. — Ma na imię Lizzie, prawda?

— Sarah. Wszystko u niej porządku.

— Oczywiście — rzucił Frank. — Lizzie to była nasza gosposia, kiedy byłem mały. Ostatnio trochę miesza mi się w głowie. Leki sprawiają, że czuję się zmęczony. Bardzo mnie zmartwiło, kiedy dowiedziałem się o twoim synku — dodał, patrząc w podłogę.

— Dzięki. — David uśmiechnął się. — Dziękuję za list, który mi wtedy wysłałeś.

— Ile to już minęło czasu?

— Ponad dwa lata.

Frank pokiwał ze smutkiem głową.

— Jak cię tu traktują? — zapytał po chwili David.

— Nie najgorzej.

— Ben mówi, że spędzasz dużo czasu, siedząc tutaj sam.

— Owszem. Mam tu spokój. — Frank spojrzał na pielęgniarka. — To Ben namówił mnie, żebym do ciebie zadzwonił. Najwyraźniej zainteresował go... mój przypadek. Nie wiem dlaczego — dodał półgłosem.

Na chwilę znowu zapadła cisza.

— Inni pielęgniarze próbują mnie namówić, żebym siedział w świetlicy, pogadał z innymi pacjentami — oświadczył nagle Frank, śmiejąc się z zakłopotaniem. — Nie żeby ludzie tu z sobą dużo rozmawiali. Czasami są trochę straszni. — Odwrócił wzrok. — Choć po tym, co zrobiłem, może mnie także uważają za straszego.

— Ben wspomniał nam, co się wydarzyło — odparł David.

Frank posłał mu podejrzliwe spojrzenie.

— Nam? Myślałem, że przyjechałeś sam. Kto jeszcze...

David podniósł w uspokajającym geście rękę.

— Jest ze mną Geoff. Pracuje teraz w Ministerstwie Kolonii. Powiedziałem mu, że dzwoniłeś. Mój samochód jest w warsztacie i jego... jego dziewczyna zaproponowała, że mnie podwiezie. Jest na zewnątrz, ale pomyślałem, że najpierw sam się z tobą spotkam. — Kłamstwa przychodziły Davidowi z łatwością, miał już w tym pewną wprawę.

Frank najwyraźniej się odprężył. Westchnął i jego drobne ciało zadrżało.

— Przepraszam — mruknął. — Chodzi o to, że była tu dzisiaj policja. Wytrąciło mnie to trochę z równowagi.

— Zgadza się — odezwał się od drzwi Ben. W jego głosie znowu brzmiała udawana nonszalancja. — Zastanawiają się, czy wnieść oskarżenie. Kiedy przyjechali, Frank myślał w pierwszej chwili, że to pan.

— Czego od ciebie chcieli, Frank?

— Inspektor powiedział, że może zamkną sprawę. Nie wiem. Był z nim sierżant, duży, milczący facet. Nie spodobał mi się.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Było w nim coś... — Frank zmarszczył czoło. — Nigdy nie znałeś mojego brata, prawda? — zapytał cicho.

— Nie. Wyjechał do Ameryki, zanim zaczęliśmy studiować w Oksfordzie.

— Przyjechał na pogrzeb, kiedy zmarła matka. To było zaledwie przed paroma tygodniami, ale mam wrażenie, jakby minęły wieki. Wtedy to się wszystko zaczęło. — Frank potrząsnął głową.

— Przykro mi — powiedział David.

— Miała udar. Moja matka. Prawie nie cierpiała.

Frank mówił o tym dość obojętnie. David przypomniał sobie straszliwe poczucie straty i pustki, kiedy zmarła jego matka. Wiedział jednak, że Frank nigdy nie był w bliskich stosunkach ze swoją.

— Edgar jest po rozwodzie — podjął Frank. — Chciał sprzedać szybko jej dom. Dużo pije i w każdej chwili może się stać napastliwy. Tak czy owak, któregoś dnia odwiedził mnie, a ja straciłem nad sobą panowanie, pchnąłem go i wypadł przez okno. To był nieszczęśliwy wypadek, rama okna była spróchniała. I właściwie nie chodziło o nic poważnego — dodał i jego twarz wykrzywił znajomy grymas. Przedstawił swoją relację szybko, ale starannie, jakby ją przećwiczył albo nauczył się jej na pamięć.

— To nie w twoim stylu, tracić nad sobą panowanie — oświadczył łagodnie David.

— Nie. Gdybym go nie stracił, nie byłoby mnie tutaj. — Frank smutno się roześmiał. — Właściwie zawsze się bałem, że któregoś dnia mogę trafić w podobne miejsce. Wiem, że w pracy zawsze mieli mnie za dziwaka. Może ty też mnie za niego uważałeś — dodał po chwili.

— Nie. Byłeś po prostu nieśmiały — powiedział David.

Frank przyjrzał mu się.

— To był nieszczęśliwy wypadek — powtórzył. — To, co się stało.

Więc dlaczego krzyczałeś o końcu świata? — pomyślał David, ale nie powiedział tego na głos.

— Problem polega na tym — podjął Frank — że szpital usiłował się skontaktować z Edgarem, ale on nie odpowiada na telefony. Nie mogę go chyba winić, ale to jedyny krewny, jakiego mam, i jestem przez to w kropce. — Frank przez chwilę pocierał nerwowo dłońmi uda; dwa zdeformowane palce u prawej ręki miał białe jak kreda. Potem zaczął skubać palcami zdrowej dłoni tkaninę, którą obite było ramię fotela. — Mam pieniądze, żeby przenieść się do jakiejś prywatnej kliniki, a kiedy uda się sprzedać dom, będzie ich jeszcze więcej, choć teraz wszystko jest w zawieszeniu. Nie mogę jednak ich tknąć, rozumiesz, zostałem uznany za... niepoczytalnego i trzeba wyznaczyć powiernika, który będzie dysponował moimi pieniędzmi. Może ty wiesz, Davidzie, czy na pewno jest mi potrzebny powiernik? Twój ojciec jest adwokatem, może byś go zapytał?

— Przykro mi, ale ojciec jest w Nowej Zelandii. Emigrował przed wielu laty...

— Tak. Oczywiście, napisałeś mi o tym w liście. — Frank przez chwilę milczał, a potem zaczął szybko mówić: — Mają wprowadzić przepisy o sterylizacji niektórych psychicznie chorych, słyszałeś o tym? Poddają tutaj ludzi elektrowstrząsom i robią jeszcze gorsze rzeczy, operacje na mózgu. Chcę się stąd wydostać. Gdyby przenieśli mnie do jakiegoś prywatnego zakładu, byłbym w lepszej sytuacji. Byłbym bezpieczniejszy.

— Bezpieczniejszy?

— Mam na myśli, że zostawiliby mnie w spokoju. Miałbym własny pokój i po prostu by się ode mnie odczepili. Nigdy nie zrobiłbym już czegoś takiego jak teraz.

— Zobaczą, co da się zrobić.

— Jestem taki zmęczony, Davidzie — powiedział nagle Frank.

— Widzę, stary. — David uśmiechnął się łagodnie i Frank znowu wziął się w garść.

— Mam wrażenie, jakby wieki minęły od czasów, kiedy studiowaliśmy — oświadczył. — Byłem ci wdzięczny za to, że zabierałeś mnie do swoich znajomych. Wiem, że byłem dziwny, czasami to musiało być krępujące.

David nie spodziewał się takiej brutalnej szczerości. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Frank pokręcił głową.

— Lubiłem te nasze rozmowy. O polityce i innych sprawach. Dzisiaj mamy inny świat, wszystko wzięło w łeb, wszędzie jest tyle agresji. Tutaj, w Europie, na froncie rosyjskim. Nigdy nie sądziliśmy, że do tego dojdzie, prawda?

— Nie. Zastanawiam się często, jak do tego dopuściliśmy.

— Pracując w służbie cywilnej, musisz mieć z tym stale do czynienia.

David odwrócił wzrok.

— Niekoniecznie.

— Wcześniej starałem się o tym nie myśleć, po prostu spokojnie żyć. Tak robi większość ludzi, prawda?

David spojrział na pielęgniarkę i z powrotem na Franka.

— Ben mówi, że kiedy cię tu przyjęli, krzychałeś coś o końcu świata. Czy to właśnie miałeś na myśli, ogólną sytuację polityczną?

— Tak, właśnie o to mi chodziło — potwierdził szybko Frank i David wyczuł, że kłamie. — Tak mi przykro z powodu twojego syna — powtórzył. — To musiało być straszne.

— Brakuje go nam. — Znowu zapadła cisza. — Słuchaj — odezwał się David. — Może przywitasz się z Geoffem? Czeka w sąsiednim pokoju.

Frank zastanawiał się przez chwilę i w końcu westchnął.

— Jasne, czemu nie? — powiedział.

David zdał sobie sprawę, że Frank nie chce, by ktokolwiek widział go w tym stanie; zrozumiał, ile musiało go kosztować zwrócenie się nawet do niego, jak bardzo się wstydził. Ale ludzie z ruchu oporu chcieli, jeśli będzie to możliwe, poznać również zdanie Geoffa.

— Chodźmy po niego — powiedział Ben, dając Davidowi znak, by mu towarzyszył. David miał nadzieję, że pielęgniarka sam sprowadzi Geoffa i zostawi go z Frankiem choć na chwilę, ale Ben najwyraźniej nie miał takiego zamiaru. Przed wyjściem z pokoju David położył Frankowi rękę na ramieniu. Śledzeni spojrzeniami pacjentów przeszli ponownie przez świetlicę. Geoff siedział w gabinecie, wpatrując się we mgłę.

— Chce się z panem zobaczyć — powiedział Ben.

Cała trójka wróciła do cichego pokoju. Geoff podszedł do Franka i uściśnął mu mocno dłoń.

— Witaj, Frank.

— Dzięki, że przyjechałeś. Przepraszam, że cię tu ściągnąłem.

— Nie ma sprawy — odparł Geoff z przesadną serdecznością. — Musimy zastanowić się, jak można ci pomóc.

— David pisał mi, że mieszkałeś w Afryce.

— Tak. W Kenii. Wróciłem już kilka lat temu. Pracuję teraz w Ministerstwie Kolonii w Londynie, niedaleko Davida.

— Też jesteś żonaty?

— Nie. Jeszcze nie — odparł Geoff i parsknął zdławionym śmiechem.

— Nie spotkałeś jeszcze odpowiedniej dziewczyny, tak? To zupełnie jak ja — powiedział Frank, smutno się uśmiechając.

— Ależ owszem, spotkałem ją, ale ona nie uznała mnie za odpowiedniego faceta. — Geoff przygryzł wargę. — Przykro mi, że cię tu widzę — dodał.

— Wiesz, co zrobiłem bratu? — zapytał nagle Frank.

— Tak. Zaskoczyło mnie to. Musiał cię sprowokować.

Frank zamrugał.

— Tak, masz rację — odparł skwapliwie. — Sprowokował mnie. Tak właśnie powiedziałem policji.

— Brat Franka upił się i był napastliwy — wyjaśnił David.

— No to wszystko jasne — mruknął Geoff.

David spojrział na Franka, który pod wpływem tych słów trochę się rozchmurzył.

— Twój brat jest podobno naukowcem, tak? — kontynuował Geoff.

— Tak.

— Nie pomoże ci?

— Nie. Nie odpowiada nawet na telefony.

Geoff zerknął na stojącego przy drzwiach Bena, który pokręcił dyskretnie głową.

— Posłuchaj, Frank — powiedział David. — Skontaktuję się z dawną firmą mojego ojca, postaram się znaleźć kogoś, kto zajmuje się tą dziedziną prawa. Zorientuję się, co możemy zrobić.

Mówiąc to, zdał sobie sprawę, że ludzie z ruchu oporu prawdopodobnie nie pozwolą mu tego zrobić. Co gorsza, Frankowi nagle stanęły łzy w oczach. Pochylił się do przodu, zakrył twarz zdrową ręką i zaczął desperacko szlochać.

— Przepraszam — wyjąkał. — Przepraszam. Najwyraźniej nie mogę dzisiaj nad sobą zapanować.

— Nic nie szkodzi — pocieszył go łagodnie Geoff.

Frank wyciągnął z kieszeni brudną chusteczkę, wytarł oczy i podniósł wzrok. Był teraz cały zaczerwieniony.

— Po prostu chcę się stąd wyrwać — powiedział. — Nie mogę tu nikomu ufać. Nie wiem już, co jest realne, a co nie. Och, po co ten Edgar przyjechał...

David ponownie położył mu rękę na ramieniu.

— Pomożemy ci, Frank, zrobimy wszystko, co w naszej mocy — powiedział. — Możesz nam ufać. Ale nie mów nikomu, że u ciebie byliśmy, jeszcze nie. Musimy się najpierw zorientować, co da się zrobić — dodał, zerkając na Geoffa.



Ben zabrał ich potem do swojego gabinetu. Zapalili papierosy.

— Jesteście obaj jacyś wypluci — zauważył Ben.

— Co takiego? — David zmarszczył czoło. Wolałby, żeby pielęgniarz wyrażał się w zrozumiały sposób.

— Wykończeni. Skonani.

— Zrobiliśmy, co do nas należało — odparł krótko David. — On chce się stąd wydostać.

— Zgadza się ze mną, że coś ukrywa? Nie mówi wszystkiego o swoim bracie? — zapytał Ben.

David spojrział na Geoffa, który pokiwał powoli głową.

— Tak.

— Jest u kresu wytrzymałości — powiedział David.

— Więc co będzie dalej? — zapytał Ben.

— Nie wiem — odparł David. — Musimy złożyć sprawozdanie.

— Ta kobieta, która z wami przyjechała... To ona dowodzi całą operacją?

— Natalia? Tak.

— Słyszałem, że jest dobra.

David spojrział na Bena.

— Frank mi ufa, wierzy, że go stąd wyciągnę. Ale nie aż tak bardzo, żeby powiedzieć mi, o co poszło z jego bratem. I nie sądzę, żeby ufał panu. Nie rozumie, dlaczego mu pan pomaga.

Ben cierpko się roześmiał.

— Wcale nie jest takim kretynem, na jakiego wygląda, tak?

— Nastraszył go pan, żeby do mnie zadzwonił — powiedział gniewnie David.

Ben zaczerwienił się.

— Nie praw mi pan kazań — warknął. — Pieprzony lalusz. Dostał pan zadanie do wykonania tak samo jak ja.

— On ma rację, Davidzie. — Geoff położył przyjacielowi rękę na ramieniu.

David strącił ją i dalej piorunował wzrokiem Bena.

— Los Franka leży mi na sercu, niech pan o tym, do cholery, nie zapomina — oświadczył.

— Naprawdę? — Ben pochylił się do przodu. — W takim razie powinieneś pomyśleć, jak go stąd wyciągnąć, chłopie — powiedział cicho z gniewną zaciekłością — zanim wypaple nieodpowiedniej osobie całą tę cholerną wielką tajemnicę. Bo jeśli to zrobi, dorwą go ludzie Mosleya i nie będą się z nim cackać. Mnie załatwili w czterdziestym pierwszym, kiedy zdelegalizowano partię komunistyczną, po tym mam ten złamany nos. Ale to była kaszka z mleczkiem w porównaniu z tym, co zrobią jemu. Wycisną go jak cholerną cytrynę. I nikt z nas nie chce do tego dopuścić. — Ben wstał z krzesła. — I co, chcesz pan, żeby wszyscy usłyszeli, jak się kłócimy, głupi fiucie?

— Słuchaj pan...

— Wszyscy chcemy, żeby Frank wyszedł z tego obronną ręką — oświadczył stanowczo Geoff, patrząc Benowi prosto w oczy.

David wziął głęboki oddech.

— W porządku. Ale niech pan nie zapomina, co powiedziałem.

— A pan niech nie zapomina, że to ja dbam o jego cholerne bezpieczeństwo, dzień po dniu. A teraz chodźmy.

Ben wyprowadził ich na zewnątrz, otwierając i zamykając kolejne drzwi. Na dworze zaczął padać deszcz. Natalia nadal siedziała w samochodzie. Wyłączyła silnik. David uświadomił sobie, że musiała zmarznąć. Trzej mężczyźni stanęli na schodach. Ben rozejrzał się, po czym podał Davidowi kopertę.

— Zwędziłem z magazynu klucze do mieszkania Franka — powiedział krótko. — Jedziecie tam teraz, tak?

— Zgadza się. Natalia zna adres.

— I adres miejsca, gdzie macie później podrzucić klucze? Natalia wie, gdzie to jest?

— Chyba tak.

— To dobrze. Muszę zwrócić klucze do magazynu, w przeciwnym razie będę miał nieprzyjemności.

— Na pewno je zwrócimy.

— W takim razie to wszystko — powiedział Ben i odetchnął głęboko. — Powiedziano mi, że może się okazać konieczne wyciągnięcie stąd Franka, przeszwarcowanie go na zewnątrz. Jeśli wie coś ważnego i nabrał wody w usta, wtedy, być może, taką właśnie decyzję podejmie szefostwo. Spróbują wywieźć go z kraju.

— Ale jak można go stąd wyciągnąć, skoro to miejsce jest tak dobrze strzeżone? — zapytał David. — Jeśli ktoś będzie chciał to zrobić siłą, Frank narobi strasznego hałasu.

— Jest tylko jedna osoba, która może dać mu zastrzyk uspokajający, a potem przekonać innych pracowników szpitala, że ma polecenie zabrać Franka na zewnątrz — odparł cicho Ben. — Tą osobą jestem ja. A kiedy to się stanie, wyznaczą cenę za moją głowę i stracę pracę. Wpadnę po same uszy w gówno. Ale możecie powiedzieć ludziom w Londynie, że zrobię to, jeśli mi każą.

David widział, że Ben nie rzuca słów na wiatr.

— W porządku — odparł szybko, kiwając głową.

— A teraz spadajcie stąd, do cholery.

Nagle otworzyły się za nimi drzwi i jakiś pielęgniarz wyprowadził na dwór pacjenta, trzymając go za ramię. Ben skinął mu głową, a tamten poprowadził

mężczyznę alejką. Miał czapkę z daszkiem, ale pacjent szedł z gołą głową, nie zwracając uwagi na padający zimny deszcz. Ben ponownie spojrzał na Davida.

— Niech pan się nie martwi — powiedział spokojniejszym tonem. — Nie dam go skrzywdzić.

Rozdział dziewiętnasty

David ponownie usiadł z tyłu samochodu; lepiej mu się tam myślało.

Opowiedzieli Natalii o tym, co wydarzyło się w szpitalu: o cichej desperacji Franka, niechęci, by mówić o bracie, o wizycie policji.

— Więc uważacie, że coś ukrywa — odezwała się po krótkim zastanowieniu.

— Niewykluczone. A może to jakaś sprawa osobista.

— Mam wrażenie, że to coś więcej — powiedział cicho Geoff.

— I ta policja — mruknęła Natalia. — Niepokojące jest, że nadal się nim interesują.

— Zdaniem tego faceta, Bena, nie dowiedzieli się od Franka niczego nowego.

— Mogą tu wrócić — rzuciła.

David popatrzył na nią w tylnym lusterku.

— I co teraz będzie? — zapytał.

— Zdecyduje o tym pan Jackson i ci, którzy są nad nim.

— Jeśli Franka trzeba będzie wywieźć z Anglii, jak to zostanie zorganizowane? — zapytał Geoff. — Będzie musiał opuścić kraj drogą morską.

— Nie wiem.

David zauważył, że Natalia rzuciła Geoffowi ostre spojrzenie. Czy takie właśnie mają plany ludzie na samej górze? — pomyślał. Zastanawiał się także, czy jeśli Frank zna jakąś ważną wojskową tajemnicę, ruch oporu nie będzie chciał sam wejść w jej posiadanie. Uświadomił sobie, że chociaż działa w ruchu oporu od ponad dwóch lat, nadal się z nim nie identyfikuje.

— Jak przewiezicie Franka nad morze? — zapytał. — Do wybrzeża jest ponad sto kilometrów w każdą stronę.

Natalia przyjrzała mu się w lusterku.

— Będzie łatwiej, jeśli pojedzie z kimś, komu ufa — powiedziała.

— Masz na myśli mnie? — David zmarszczył brwi. — Wątpię, żeby ufał mi tak bardzo. Zwłaszcza kiedy obiecawszy mu pomoc, porwę go nagle ze szpitala.

— A co z nim będzie, jeśli wie coś ważnego i wygada się w tym miejscu? — odparła Natalia. Argumentowała w ten sam sposób co Ben. — Nie jestem

pozbawiona uczuć — podjęła. — Współczuję twojemu przyjacielowi. Ale w tym szpitalu nie czeka go nic dobrego.

— Wiem — odparł David.

Natalia wciąż mu się przyglądała, jej lekko skośne tatarskie oczy były znowu twarde i wyrachowane.

Kiedy znaleźli się na południowych przedmieściach Birminghamu, w powietrzu nadal unosiła się mgła i zaczęła siąpić mżawka. Skręcili w główną ulicę i minęli kompleks niskich fabrycznych zabudowań, z których dochodził nieprzerwany mechaniczny hałas. Na rozległym parkingu stały zderzak przy zderzaku setki identycznych samochodów. Na tablicy przy bramie widniał napis „Zakłady Longbridge”.

— To chyba ta duża fabryka Austina Morrisa — powiedział Geoff. David zauważył, że w wysokim budynku przy samej drodze musiało niedawno dojść do pożaru; pozostał z niego tylko czarny szkielec. — Słyszałem, że w zeszłym miesiącu spalono tu biurowiec. Robotnicy protestowali przeciwko zakazowi wstępowania do związków. Na północy już się na to nie pozwala.

— Pamiętacie tę ciężarówkę z żołnierzami, która minęła nas, kiedy wyjeżdżaliśmy z Londynu? — wtrąciła Natalia. — W Yorkshire robi się nieciekawie.

— Dojdzie do rozlewu krwi — powiedział David.

— A co innego zostało ludziom? — zapytała.

— Na co wy liczycie? — odparł. — Że wybuchnie robotnicza rewolucja? Chyba o tym właśnie marzy ten pielęgniarz Ben. Wątpię, żeby Churchill się z nim zgodził.

— Ruch oporu jest sojuszem wszystkich sił antyfaszystowskich, podobnie jak inne ruchy oporu w Europie. Kiedy wygramy, odbędą się wybory i ludzie będą mogli wybrać własny rząd. I nie, nie liczę, że wybuchnie rewolucja.

— Chciałbym, żeby wszystko było tak jak przed wojną — powiedział Geoff.

— To nierealne — rzuciła kategorycznym tonem Natalia. — Sytuacja najpierw się pogorszy, a dopiero potem polepszy. Cokolwiek nastanie, nie będzie podobne do tego, co było przed rokiem trzydziestym dziewiątym. Musimy się z tym pogodzić.

Zgodnie ze wskazówkami, które zapamiętała, minęli uniwersytet i znaleźli się w dzielnicy szeregowych domów, których frontowe drzwi wychodziły prosto na ulicę. W miarę jak przemieszczali się na wschód, domy stawały się coraz większe i pojawiły się przed nimi małe ogródki. Za parkiem skręcili w ulicę, przy której stały duże trzy- i czteropiętrowe wiktoriańskie wille. W niektórych paliły się już światła; mgłę rozjaśniały żółte kwadraty okien. W jednym z domów David

zobaczył wysoki salon z zawieszonymi na ścianach lustrami i obrazami. Siedział w nim jakiś mężczyzna, trzymając na kolanach małą dziewczynkę. Na najwyższym piętrze następnego domu spostrzegł kobietę w średnim wieku, mieszącą coś w stojącym na kuchence garnku. Jechali powoli, starając się odczytywać numery domów.

— To tutaj — powiedział nagle Geoff. — Widzicie? Okno na pierwszym piętrze jest zabite deskami.

Wysiedli i podeszli do budynku. W porównaniu z sąsiednimi domami był zaniedbany, ceglane ściany pokrywał mech. Na twarzach osiadały im kropelki mżawki. Na parterze i pierwszym piętrze było ciemno, tylko na drugim piętrze paliło się światło. Ruszyli wąską alejką w stronę drzwi. David spojrział na zabite deskami okno, a potem niżej, na kamienne płyty, między którymi pleniły się chwasty.

— Brat Franka miał szczęście, że nie skręcił sobie karku — powiedział.

— Wtedy oskarżono by Franka o morderstwo — zgodził się Geoff.

Frontowe drzwi były duże i solidne, obok zamontowano przyciski trzech dzwonek. David wyjął dwa związane sznurkiem klucze, które dał mu Ben. Wsadził większy z nich do dziurki, przekręcił i drzwi gładko się otworzyły. Ze środka powiało wilgocią i chłodem. Natalia rozejrzała się. W tę zimną, dżdżystą niedzielę nikt nie szedł ulicą. Zmierzchało już, wkrótce miały się zapalić latarnie. David wszedł do środka i nacisnął kontakt. W świetle gołej żarówki ukazała się wykładana terakotą podłoga i ściany, z których łuszczyła się farba.

— Co za nora — mruknął Geoff.

— Nie podnoś głosu — ostrzegła go Natalia.

Wspięli się po schodach. Mieszkanie na pierwszym piętrze miało numer drugi. David otworzył drzwi, zapalił światło i weszli do małego przedpokoju. W powietrzu czuć było zapach stęchlizny, na podłodze leżał wytarty dywanik. Otworzyli ostrożnie kilkoro prowadzących z przedpokoju drzwi. Za pierwszymi była niewielka, raczej brudna łazienka z pokrytymi pleśnią kafelkami, za następnymi kuchnia z poczerniałą starą kuchenką. Wszystkie szafki były pootwierane, na podłodze walały się puszki i potłuczona zastawa. W dużej sypialni z pojedynczym łóżkiem i starą szafą nie było śladów zniszczenia, za to ostatni pokój, olbrzymi salon, był kompletnie zdewastowany; obrazy wisiały poprzekrzywiane, krzesła leżały na podłodze. Książki i czasopisma, z których większość, na ile mógł się zorientować David, należała do gatunku science fiction, zrzucone były z wielkiego regału na dywan. Telewizor miał pęknięty ekran. Jedyne niezniszczonym meblem było duże biurko z zasuwana roletą, obok którego leżały dwie fotografie.

— Wielki Boże, to wszystko dzieło Franka? — mruknął Geoff.

— Chyba tak. — David spojrział na okno, do którego framugi przybita była ciężka płyta wiórowa. — Ciekawe, kto się tym zajął; pewnie właściciel mieszkania — powiedział i pochylił się nad zdjęciami, które jak wszystko w tym pokoju pokrywała gruba warstwa kurzu. Jedno pochodziło z 1936 roku, z czasów, kiedy studiowali. Podniósł je i spojrział na młodsze wcielenie samego siebie razem z Geoffem i dziwnie się uśmiechającym Frankiem. Drugie, mniejsze, przedstawiało mężczyznę w mundurze, który wpatrywał się z niepokojem w obiektyw.

Geoff zagwizdał.

— Wykapany Frank. To musi być jego ojciec.

Natalia przyjrzała się uważnie fotografii.

— Mam fotografię brata, tuż zanim wysłali go na front wschodni — powiedziała cicho. — Miał podobny wyraz twarzy.

— Ojciec Franka był lekarzem — rzekł David. — Co robił twój brat?

Natalia ze smutkiem się uśmiechnęła.

— Malował, o wiele lepiej ode mnie. Miał kiedyś wystawę w Pradze. — Stała przy biurku i podniosła z terkotem drewnianą roletę. — Musimy przeszukać całe mieszkanie. Wy dwaj sprawdźcie inne pomieszczenia. Szukajcie listów, jakichkolwiek papierów i notesów — powiedziała, po czym zaczęła wyciągać z przegródek biurka papiery i z wprawą je wertować. — Proszę, pospieszcie się. I zasuńcie zasłony, zanim zapalicie światło.

— Natalia ma rację — przyznał ponuro Geoff. — Jeśli jest tu coś, co nie powinno wpaść w ręce władz, Frank będzie nam wdzięczny, że to zabraliśmy.

David zajrzał do kuchni. Pod jego podszewkami zachrzęściły potłuczone talerze; w miejscach, gdzie Frank ciskał puszki, tynk odprysnął ze ścian. Trudno było skojarzyć z tym pobożowskim bladego, wymizerowanego mężczyznę, którego widział w szpitalu. Wszystkie szafki były puste, tylko w szufladach zostało trochę sfatygowanych sztućców. Po chwili zajrzał do niego Geoff.

— W łazience nic nie ma — powiedział. — Pomyślałem, że zostawię ci sypialnię.

— W porządku.

David wszedł do sypialni. Przeszukał łóżko — pościel nadawała się do prania — i przejrzał skarpetki i bieliznę w komodzie, a następnie kieszenie kilku wiszących w szafie marynarek i spodni. Nie znalazł niczego z wyjątkiem jednej ćwierćpensówki i skasowanych biletów autobusowych. Pod łóżkiem leżała duża brązowa walizka. Wyciągnął ją i otworzył. W środku była zawinięta w brązowy papier paczka. Zważył ją w ręku. Papiery. Zabiło mu szybciej serce, ale w środku była tylko kolekcja pornograficznych pism z gołymi kobietami leżącymi na łóżkach albo siedzącymi okrakiem na krzesłach. Był tam także zbiór czasopism

filmowych z wczesnych lat trzydziestych: Jean Harlow, Katharine Hepburn i Fay Wray w poważnych romantycznych pozach. Zmusił się do przekartkowania czasopism, na wypadek gdyby coś schowane było między stronami, ale niczego nie znalazł. Zawinął je z powrotem w papier i wsunął walizkę pod łóżko, wzbijając chmurę kurzu.

W salonie Geoff postawił na podłodze przewrócony fotel, usiadł na nim i przerzucał książki i periodyki. Natalia nadal sprawdzała papiery w biurku Franka.

— Znalazłeś coś w sypialni? — zapytała, podnosząc wzrok.

— Nic.

— Sprawdzam, czy nie schował tu jakichś papierów. Na razie bez rezultatu — powiedział Geoff, unosząc numer amerykańskiego magazynu „Amazing Science Fiction”. — To było jego hobby.

David wziął do ręki pismo.

— Lepsze to niż rzeczy, które czytają moi siostrzeńcy, wojenne komiksy o walkach w Rosji — stwierdził.

— W biurku nic nie ma — oznajmiła Natalia. — Wyłącznie rachunki i kilka listów od adwokata w sprawie majątku jego matki. No i to — dodała, wręczając Davidowi plik kopert obwiązanych gumką. Z zaskoczeniem poznał własne pismo. To były listy, które pisał do Franka w ciągu tych wszystkich lat. Otworzył jeden z nich.

21 sierpnia 1940

Drogi Franku!

Przepraszam, że nie odpowiedziałem na twój ostatni list, ale miałem urwanie głowy. W zeszłym tygodniu wypisali mnie z sanatorium (koniec pogaduszek ze ślicznymi pielęgniarkami) i stopy już mi się zagoiły. To takie głupie, leczyć odmrożenia w lecie! W tym momencie mieszkam u mojego taty, w przyszłym tygodniu wracam do pracy w ministerstwie.

I co myślisz o traktacie berlińskim? Muszę przyznać, że zważywszy, jakie baty sprawił Adolf naszej armii, wykpił się tanim kosztem. Szkoda, że musieliśmy przekazać siły powietrzne...

Natalia przyglądała mu się z zainteresowaniem.

— Zachował twoje listy — powiedziała. — Prawie jak kochanek.

— Frank nigdy nie miał w sobie nic ciotowatego — odparł. Nie zamierzał jej mówić o znalezionej pod łóżkiem pornografii.

— Ty też zachowałeś jego listy?

— Nie. Ale ja miałem innych przyjaciół. — David przyjrzał się zdewastowanemu salonowi. — Co tu się dokładnie wydarzyło? O co poszło?

Edgar przyjechał z wizytą. Był pijany; powiedział coś, co wytrąciło Franka z równowagi. Przez długie lata wszystko w sobie tłamsił.

— To mogło być coś osobistego — zasugerował Geoff. — Jakaś rodzinna sprawa.

— Możliwe — zgodziła się Natalia i odłożyła papiery na biurko.

David wziął do ręki listy.

— Uważam, że powinniśmy je zabrać.

Natalia pokiwała głową.

— Tak będzie najlepiej — powiedziała. David schował pakiet listów do kieszeni płaszcza, a ona wytarła chusteczką zakurzone palce i posłała mu swój cierpki uśmiech. — Wy, Anglicy, jesteście znani z tego, że tłumicie w sobie emocje. Nic dziwnego, że czasami wybuchacie.

— Czasami tłumimy w sobie bardzo dużo.

Nagle wzdrygnęli się, słysząc zgrzyt obracającego się w zamku klucza. Szybko odwrócili się w stronę drzwi. Dłoń Natalii powędrowała do kieszeni płaszcza; David był teraz pewien, że ma tam pistolet. Stała przy biurku, kiedy drzwi z przedpokoju otworzyły się i wszedł przez nie nieduży stary mężczyzna w zniszczonym swetrze i kapciach na nogach. Przez chwilę wpatrywał się w nich, po czym, szurając stopami, podszedł bliżej.

— Usłyszałem, że ktoś tu się kręci — powiedział z birminghamskim akcentem. Miał piskliwy głos, siwe włosy i patrzył na intruzów oczyma krótkowidza, w ogóle się nie bojąc. — Coście za jedni?

— Jesteśmy znajomymi doktora Muncastera — odparł David. — Odwiedziliśmy go w szpitalu.

— Mieszka pan w tym samym budynku? — zapytał Geoff.

— Piętro wyżej. Nazywam się Bill Brown. — Starszy mężczyzna rozejrzał się po salonie. — To ja wezwałem gliniarzy w zeszłym miesiącu. Skoro jesteście znajomymi doktora Muncastera, wiecie, co tu się działo.

— Tak.

Stary pokręcił głową.

— Nigdy nie słyszałem czegoś takiego, krzyki i wrzaski, a potem brzęk tłuczonej szyby. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem tego biedaka leżącego na ziemi. Myślałem, że już po nim. — Wpatrywał się w nich lśnącymi oczyma. — A doktor Muncaster wrzeszczał i rozbijał wszystko, co mu wpadło w ręce. Chwała Bogu, że córka kazała mi założyć telefon. Zadzwoiłem od razu pod dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. W moim wieku nie mogę sobie pozwolić na takie awantury. Mam osiemdziesiąt lat, wiecie? — dodał z dumą.

— Kto zabił deskami to okno? — zapytał David.

— Powiedziałem właścicielowi, żeby to zrobił. Ma zapasowe klucze do wszystkich mieszkań. Zostawił jeden mnie. — Bill wpatrywał się w nich łzawiącymi, ale bystrymi oczkami. — Dom z wybitym oknem przyciąga włamywaczy. Jak się czuje doktor Muncaster? Czy tu wróci?

— Nie w najbliższej przyszłości.

Stary pokiwał głową.

— Jesteście jego rodziną? — zapytał.

— Mój przyjaciel i ja chodziliśmy z nim do szkoły. — David nie wymienił żadnych nazwisk. — Przyjechaliśmy z Londynu, żeby się z nim zobaczyć. Dowiedzieliśmy się od kogoś z uniwersytetu, co się wydarzyło. Przyjechaliśmy sprawdzić, czy wszystko tu w porządku.

— Jak się czuje brat doktora Muncastera?

— Wrócił bezpiecznie do Ameryki — odrzekła Natalia.

Bill rozejrzał się ponownie po pobojowisku.

— Policja powiedziała, że złamał rękę. Doktor Muncaster był zawsze taki spokojny. Grzeczny. Nigdy nie sądziłem, że postrada zmysły.

— Tak — mruknął David. — Podobno krzyczał coś o końcu świata — dodał luźnym tonem.

— Zgadza się. Nigdy czegoś takiego nie słyszałem. To był zawsze taki spokojny dom. Mieszkam tu od śmierci mojej żony. Piętnaście lat. Boże, ale on się wydzierał. Że to już koniec świata. — Bill spojrzał na Natalię. — Jest pani Niemką? — zapytał nagle.

— Nie.

Stary przez chwilę mierzył ją wzrokiem.

— Co mówią w szpitalu? — zapytał w końcu.

— Najwyraźniej niewiele wiedzą — odparł David. — Kiedy spotkaliśmy się z Frankiem, był bardzo spokojny.

— Zamknęli go w Bartley Green, prawda? Facet, z którym pracowałem, miał tam kiedyś siostrę. Mówił, że to straszne miejsce. Oczywiście, kiedy już ktoś tam trafi, opuszcza je najczęściej w trumnie. — Nikt się nie odezwał. — Jak już powiedziałem, nic przeciwko niemu nie mam. Chociaż na widok tego jego dziwnego uśmiechu przechodziły mnie ciarki. — Bill spojrzał na fotografię ojca Franka. — To jego tato?

— Tak.

— Mało podobny. Mój syn zginął pod Passchendaele.

— Przykro mi — mruknął Geoff.

— Walczyliśmy wtedy z niewłaściwym wrogiem. — Billowi zabłyśły oczy. — Słyszeliście o Żydach?

— Co takiego? — zapytał David.

Stary uśmiechnął się.

— Zgarniają ich wszystkich, w całym kraju. Było o tym w wiadomościach. Mosley ma przemawiać dziś w telewizji. Zabrali ich dziś rano.

— Dokąd? — zapytał David.

— Nie mam pojęcia. Na wyspę Man, wyspę Wight? Moim zdaniem najlepiej przekazać ich Niemcom.

— Jest pan tego pewien? — zapytał Geoff.

— Jasne. Mówiłem wam, było o tym w wiadomościach. Niespodzianka, nie? Nigdy nie wiedziałem, ilu Żydów mamy w Birminghamie, dopóki nie kazali im nosić tych żółtych odznak. Krzyż na drogę. Cieszę się, że nie będę już musiał oglądać tych odznak, przechodziły mnie od nich ciarki. — Bill przyjrzał się uważnie całej ich trójce. — Ale wy wyglądacie mi na wykształconych ludzi — dodał z przekąsem. — Może patrzycie na to inaczej. Nieważne. — Rozejrzał się jeszcze raz po salonie. — Jeśli on nie wróci, może trzeba będzie dać to mieszkanie do wynajmu.

Skinął im na pożegnanie, uśmiechnął się złośliwie i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

David popatrzył na Natalię.

— Wygląda na to, że miałaś rację. Mówiąc, że Żydzi nie mają przyszłości — rzekł, starając się powściągnąć emocje.

Natalia nie odpowiedziała.

— To część jakiegoś porozumienia z Niemcami — stwierdził Geoff. — Beaverbrook na pewno dostanie coś w zamian.

— Powinniśmy już chyba iść — oznajmiła Natalia. — Nic tutaj nie ma. Koniec świata. Co on miał na myśli? — dodała, marszcząc czoło. Rozejrzała się po raz ostatni po pokoju i westchnęła. — Chodźmy, powinniśmy znaleźć jakąś budkę telefoniczną i zadzwonić do pana Jacksona.

Rozdział dwudziesty

Gunther i Syme jechali do Birminghamu. Włączone wycieraczki zgarniały krople mżawki z przedniej szyby. Pogrążony w myślach Syme palił papierosa za papierosem. Gunther domyślał się, że Anglik nabrał podejrzeń; zobaczył Muncastera i nie mógł uwierzyć, że ktoś taki ma niebezpieczne polityczne kontakty. Wiedział, że musi chodzić o coś innego.

— Jak dawno temu byłeś w Berlinie? — zapytał, żeby zagaić rozmowę.

— Przed pięciu laty. Na pewno sporo się zmieniło. Chcą podobno zbudować te wszystkie nowe gmachy przed igrzyskami w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym?

— Zgadza się. Niełatwo jest wznieść tak duże budynki na piaszczystym podłożu. Nadal kopią fundamenty. Mają nadzieję, że zdążą na igrzyska. — Gunther uśmiechnął się do Syme'a. — Śródmieście Berlina jest bardzo zapyłone. Sporo ludzi ma ostatnio problemy z oddychaniem.

— Masz tam dom?

— Tylko mieszkanie. Żona i ja mieliśmy dom, ale sprzedaliśmy go w trakcie rozwodu.

— Może służąc na północy, zarobiłbym dosyć, żeby zaciągnąć kredyt na jakiś porządny dom. Wtedy mógłbym się rozejrzeć za miłą dziewczyną, której nie będą przeszkadzały godziny pracy.

— Tak. Nie ma jak dom i rodzina — odezwał się z nostalgią Gunther. — Mam nadzieję, że na wiosnę pojedę do syna. Na Krym.

— Macie tam jakieś problemy z rosyjskimi terrorystami?

— Nie na Krymie. Dziesięć lat temu oczyściliśmy cały półwysep z autochtonów. Teraz są tam tylko niemieccy osadnicy. Więc żyje się bezpiecznie, ale zdarzają się ataki na pociągi jadące z Niemiec. Jest ich coraz mniej, staramy się bardziej chronić linie kolejowe. Rosja jest ogromna — dodał po chwili. — Chyba dopiero w następnym pokoleniu uda nam się ją całkowicie opanować. To największy wojenny podbój w historii.

Syme odwrócił się w jego stronę.

— Mówią, że Speer i armia chcą zawrzeć układ z Rosjanami. Pozwolą im zachować tereny na wschód od Moskwy. Słyszałem, że Goebbels też się ku temu

skłania.

— Nie — odparł stanowczo Gunther. — Musimy skończyć to, co zaczęliśmy. Zmiażdżyć raz na zawsze żydokomunę.

Syme roześmiał się. Najwyraźniej poprawił mu się humor.

— Cóż, robiąc to, co dziś robimy, dokładamy do tego naszą cegiełkę. Pomyśl tylko, w jakich czasach żyjemy. Cholernie emocjonujących, no nie? — Przez chwilę słyhać było w jego głosie akcent cockney.

Tak, wiem, że przydałoby ci się trochę emocji, pomyślał Gunther. Tymczasem ja zbyt wcześnie zaczynam czuć się stary i zmęczony.



Kiedy jechali przez wiejskie okolice, niewiele rzeczy świadczyło, że ta niedziela różni się od innych. Tylko raz, gdy zbliżyli się do torów, którymi sunął powoli na południe pociąg towarowy, Guntherowi zdawało się, że słyszy krzyki dobiegające z zamkniętych wagonów. Nie był tego jednak pewien, a Syme chyba nic nie zauważył.

Na przedmieściach Birminghamu też panował spokój, chociaż co jakiś czas mijaly ich, głośno trąbiąc, policyjne suki. Raz, spoglądając w głąb bocznej uliczki, Gunther zobaczył dwie z nich stojące przed domem, w którym trwały jakieś walki. Ale we mgle nie widział dość wyraźnie.

W śródmieściu stało wiele poczerniałych od sadzy neogotyckich budynków. Na ulicach było niewielu przechodniów, ale patrolowali je liczni policjanci z formacji pomocniczych. Gunther zauważył kilku z nich przed zamkniętymi drzwiami kościoła. Spierali się z grupką ludzi, wśród których był ktoś w białej kolaratce.

— Mówiłem ci, że klechy będą nam bruździły — zauważył Syme. — Komenda miejscowego Wydziału Specjalnego jest niedaleko stąd, na Corporation Street, zaraz za rogiem.

Skreśli w szeroką handlową ulicę i zatrzymali się przed wejściem, nad którym paliła się niebieska lampa. Parkowało tam kilka innych samochodów. Gunther zobaczył kolejkę ludzi ciągnącą się na schodach i dalej na ulicy. Dwaj policjanci stali przy drzwiach, dwaj pozostali pilnowali kolejki. Kiedy Gunther i Syme wysiedli, podszedł do nich jeden z gliniarzy trzymających wartę przy drzwiach. Był bardzo duży i młody, z pryszczami na twarzy. Patrzył na nich wrogo, dopóki Syme nie pokazał swojej legitymacji.

— Czy zastałem inspektora Blake'a? — zapytał.

— Chyba tak. Ale jest bardzo zajęty, wie pan, co się tu dzisiaj dzieje.

— Tak, wiemy.

Gunther przyjrzał się kolejce. Nikt nie miał tam żółtej odznaki, ale wielu ludzi było zaniepokojonych, a niektórzy wściekli. Jakiś młody człowiek złapał za ramię policjanta i błagał go o coś, bliski płaczu.

— To brat mojej żony. Muszę wiedzieć, dokąd go zabrali.

— Niech pan zaczeka na swoją kolej — odparł znudzonym głosem policjant. — Powiedzą panu w środku.

Z komendy wyszła para w starszym wieku i podtrzymując się wzajemnie, pokuśtykała w dół po schodach. Na twarzach staruszków malowała się rozpacz.

— To przyjaciele Żydów? — zapytał Gunther, zwracając się do policjanta.

Facet rozpoznał jego akcent i przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

— Przyjechał pan z Niemiec? Jest pan obserwatorem?

— Nie, tylko gościem. Ale pracuję w gestapo. Czy zwalnacie Żydów, którzy poślubili gojów? — zapytał Gunther, wskazując mężczyznę, który pytał o brata swojej żony.

— Nie wiem dokładnie, jakie są zasady — odparł z zakłopotaniem chłopak.

— Dano nam po prostu nazwiska i adresy tych, których trzeba wysiedlić.

Gunther przyjrzał się kolejce zrozpaczonych ludzi moknących na deszczu.

— Na początku godziliśmy się na pewne wyjątki — powiedział. — Zbyt często; potem mieliśmy przez to tylko kłopoty.

— Szczerze mówiąc, trochę mi ich żal, proszę pana — odparł chłopak.

Gunther pokiwał głową.

— Tak. To nie jest dla nas łatwe. Tak czy owak, trzeba to jednak zrobić.



Policjant zabrał ich do budynku. Przy długim kontuarze stało więcej ludzi; siedzący za nim policjanci wertowali wielostronicowe listy nazwisk.

— Sprawdź, czy inspektor Blake będzie mógł panów przyjąć — powiedział młody policjant, podnosząc klapę i wchodząc do środka. Do Gunthera docierały strzępy rozmów, podobne do tych, które dawno temu słyszał w Niemczech.

— Przez jakiś czas, dopóki nie zostaną dla nich przygotowane nowe kwatery, będą przebywać poza miastem...

— Otrzymają zimowe ubrania. Niczego nie będzie im brakować...

— Nie, nie możemy panu powiedzieć, gdzie są przetrzymywani. Chodzi o bezpieczeństwo narodowe...

— Żadnych odwiedzin...

— Cóż, może pan zabrać ich psa do siebie...

Gunther spojrział na Syme'a, który miał na pół rozbawiony, na pół pogardliwy wyraz twarzy. Po chwili wrócił do nich młody policjant.

— Inspektor jest teraz wolny, ale ma dla panów tylko kilka minut. Widzicie, co się tutaj dzieje.

Otworzył przed nimi klapę i weszli do środka, mijając pracujących przy biurkach policjantów w cywilu. Krótki ciemny korytarz prowadził do niewielkiego pomieszczenia z przeszkłonymi w górnej połowie drzwiami.

Siedział tam, paląc fajkę, zmęczony pulchny mężczyzna w średnim wieku, w pogniecionym garniturze. Powietrze było niebieskie od dymu. Facet pochylił się do przodu, uściśnął im bez uśmiechu ręce i przedstawił się jako inspektor Blake. Syme przedstawił siebie i Gunthera.

— Miło pana poznać — oznajmił gładko. — Rozmawialiśmy przez telefon.

Blake przyjrzał się Guntherowi.

— Nie wiedziałem, że gestapo wyznaczyło swojego człowieka do tej sprawy — oznajmił. — Ten mój czubek musi być kimś ważnym.

— Obawiamy się, że może mieć polityczne kontakty w Niemczech — odparł grzecznie Gunther.

— To Brytyjczyk. Damy sobie z nim radę — mruknął Blake, mierząc Syme'a nieprzyjaznym spojrzeniem. — Choć jesteśmy z prowincji.

Syme rozłożył ręce.

— Taka jest wola komisarza. Złożyliśmy dzisiaj wizytę Muncasterowi.

— Ustaliliście coś? — zapytał najwyraźniej zadowolony Blake.

— Nic definitywnego — odparł Gunther. — Ale dosyć, żeby kontynuować śledztwo.

— Ponieważ już tu jesteśmy — wyjaśnił Syme — chcielibyśmy zajrzeć do jego mieszkania. Sądziliśmy, że może pan nam załatwić ślusarza.

— Bylibyśmy bardzo wdzięczni — dodał Gunther.

Blake roześmiał się.

— Wybraliście najgorszy możliwy dzień. Ślusarze zabezpieczają w całym mieście żydowskie domy. Mieliśmy już problemy z szabrownikami próbującymi je splądrować. W kilku miejscach nawet nasi ludzie próbowali coś zwędzić. — Blake spojrział na Syme'a. — Nie możecie po prostu wyważyć drzwi?

— Nie chcemy zwracać na siebie uwagi — powiedział Gunther. — I chcielibyśmy zostawić mieszkanie zabezpieczone.

Blake zmarszczył brwi.

— Czego właściwie szukacie?

— Dowodów zagranicznych powiązań — odparł Syme. — Przykro mi, że przyjechaliśmy akurat dzisiaj. Dowiedzieliśmy się o Żydach dopiero dziś rano. Gestapo będzie bardzo wdzięczne, jeśli nam pan pomoże.

Blake pokręcił ze znużeniem głową, lecz podniósł słuchawkę telefonu i poprosił kogoś, żeby znalazł mu ślusarza.

— Prace już się kończą — oznajmił — ale może minąć godzina albo dwie, zanim któryś będzie wolny. Możecie poczekać?

— Oczywiście — odparł Gunther.

— Jak dzisiaj poszło? — zapytał Syme.

Blake odchylił się do tyłu na krześle i skrzyżował ręce na dużym brzuchu.

— Nie najgorzej. Większość się podporządkowała, chociaż było trochę szarpaniny ze studentami na uniwersytecie i w innych miejscach, gdzie ich zgarnęliśmy. Z tego, co słyszę, sytuacja wygląda podobnie w całym kraju. — Uśmiechnął się ze znużeniem. — Najlepiej jest działać z zaskoczenia — dodał i spojrzał trochę przyjaźniej na Syme'a. — Wiem, że, podobnie jak ja, od dawna należy pan do Czarnych Koszul. Powinniśmy byli to zrobić już lata temu.

— Nie mogę się z panem nie zgodzić. Dokąd są zabierani?

— Nie wolno mi tego mówić. — Blake pokręcił głową. — Ta informacja jest zastrzeżona. Nie chcemy, żeby ktoś się tam pojawił i narobił kłopotu. Przeszkadzają nam trochę duchowni; biskup zagroził, że zorganizuje jutro demonstrację na schodach ratusza. Nie spodziewaliśmy się tego, myśleliśmy, że nas popiera. Będziemy musieli dziś w nocy przygotować w centrum blokady drogowe.

— Aresztujcie sukinsyna — poradził Syme.

Blake wzruszył ramionami.

— Zgadzam się. Ale na górze nie podjęli jeszcze decyzji. Nadal mają respekt wobec biskupów. Wie pan, dlaczego zgarniamy Żydów akurat teraz? — zapytał, zwracając się do Gunthera. — Mieliliśmy gotowe plany od kilku lat, lecz dostaliśmy zgodę dopiero teraz, kiedy Beaverbrook był w Niemczech.

— Nie wiem — odparł Gunther.

Blake zmrużył oczy.

— Moim zdaniem to cena za zbliżenie z Niemcami. Po wygranych przez Stevensona wyborach możemy oczekiwać ochłodzenia w stosunkach z Ameryką. Mnie to nie przeszkadza, Ameryką rządzi żydowski kapitał.

— Robią chyba niezłe filmy — zauważył Syme.

— To propaganda. Hollywoodem też rządzą Żydzi.

— Zgadza się — mruknął Gunther.

— Możecie poczekać na ślusarza w pokoju przesłuchań. Choć niewykluczone, że będziemy was musieli stamtąd wyprosić, jeśli w mieście robi się gorąco i trzeba będzie kogoś przesłuchać. Swoją drogą, uważam, że moglibyśmy sami zająć się tym waszym czubkiem — dodał z lekką pretensją Blake — ale komisarz wie lepiej.



Kiedy wyjechali z komendy do domu Muncastera, było już ciemno. Ślusarz miał się z nimi spotkać na miejscu. W spowitym mgłą mieście było cicho. Skierowali się na peryferia, zaparkowali przed domem i podeszli do drzwi. Gunther spojrział na zabite deskami okno. Nie było śladu po ślusarzu. Nagle ku jego zaskoczeniu otworzyły się frontowe drzwi i na zewnątrz wyszedł mały staruszek w swetrze.

— Inspektor Syme? — zapytał, przyglądając im się z zainteresowaniem.

— To ja — odparł Syme. — A pan to kto?

— Mam na imię Bill. Mieszkam na drugim piętrze. Zobaczyłem czekającego na dole ślusarza i wpuściłem go do mieszkania doktora Muncastera. Ale historia z tymi Żydami, nie?

— Owszem — mruknął niezobowiązująco Syme.

Stary zaprowadził ich na pierwsze piętro i wszedł z nimi do obskurnego mieszkania. Przez otwarte drzwi do kuchni Gunther zobaczył potłuczoną zastawę i powgniatane puszki. W salonie siedział w fotelu siwy mężczyzna w długim brązowym płaszczu, trzymając w ręku filiżankę herbaty, którą musiał mu przynieść Bill. Gunther przyjrzał się pobojuwisku. Wydawało się niezwykle, że wszystko to jest dziełem tego lękliwego człowieczka, Muncastera.

— Wygląda na to, że nie będzie nam już pan potrzebny — powiedział oschle Syme ślusarzowi. — Może pan iść.

Mężczyzna wstał z fotela.

— W porządku. Ale należy mi się opłata za wezwanie.

— Mówił mi, że zabezpieczał niektóre żydowskie domy — oświadczył stary. — Kurczę, na pewno były tam jakieś kosztowności. Swoją drogą, wciąż widuje się w okolicy trochę czarnuchów. Zabierzcie się za nich w następnej kolejności — dodał podekscytowany, towarzysząc ślusarzowi do drzwi.

— Brytania dla Brytyjczyków — zgodził się tamten i wyszedł.

Staruszek nie miał bynajmniej ochoty pójść w jego ślady.

— Dokąd ich wysiedlacie? — zapytał. — Wszystkich żydłaków?

— Niech pan obejrzy sobie później w telewizji wystąpienie Mosleya — odparł Syme.

— Czego tu szuka policja? — nie dawał za wygraną Bill. Niełatwo było zbić go z tropu. — Doktor Muncaster nie był chyba Żydem.

— Nie twoja sprawa, stary.

— Róbcie, co wam się podoba. Tylko to trochę dziwne: nikt nie zjawiał się tutaj przez całe tygodnie i nagle mamy dwie grupy gości jednego dnia.

Gunther odwrócił się i zmierzył Billa spojrzeniem, które sprawiło, że ten cofnął się o krok.

— Dwie grupy gości? — zapytał ostro. — Kim byli ci drudzy?



Bill opowiedział im chętnie o wcześniejszych gościach, dwóch mężczyznach, którzy byli kolegami doktora Muncastera ze szkoły i którym towarzyszyła jakaś cudzoziemka. Syme zaczął go nagle traktować z wielką życzliwością. Pogratulował staremu znakomitej pamięci, pochwalił za patriotyczną postawę i za to, że im pomaga. Gunther zadał kilka dodatkowych pytań. Uświadomiwszy sobie, że rozmawia z Niemcem, Bill spojrzał na niego z trwożnym podziwem. Poinformował go, że tamtego dnia Muncaster krzychał: „Dlaczego mi to powiedziałaś?”, a potem coś o Niemcach.

— Coś w rodzaju: „Niemcy nigdy nie powinni się dowiedzieć” — dodał, obserwując zmrużonymi oczyma Gunthera.

— Czego dokładnie nie powinni się dowiedzieć?

— Nie wiem, proszę pana — odparł Bill. W jego głosie zabrzmiał szacunek. — Nie mówiłem o tym wcześniejszym gościom.

— Dlaczego?

— Nie spodobali mi się. Wielcy paniczyczkowie. I jak się wysławiali. Nie byli zadowoleni, kiedy opowiedziałem im o Żydach.

Gunther uśmiechnął się.

— To było sprytne.

— Nie opowiadać sekretów ludziom, którym się nie ufa — rzekł Bill. — To dobra zasada.

Ostatecznie Gunther podziękował mu uprzejmie za pomoc i poprosił, żeby natychmiast poinformował Syme'a, gdyby ktoś jeszcze się pojawił. Syme pokiwał głową.

— Chodzi o jego brata? — zapytał Bill. — Czy doznał poważniejszych ran, niż nam powiedziano? Chyba nie umarł?

— Powiedzmy, że nie czuje się zbyt dobrze. Chciałbym, żeby oddał mi pan klucz do mieszkania — powiedział Syme.

Bill zrobił markotną minę.

— Klucz należy do właściciela — mruknął.

Gunther podejrzewał, że stary planował zajrzeć tu po ich wyjściu. Syme wyciągnął rękę i Bill niechętnie oddał mu klucz, który wyjął z kieszeni swetra.

Syme wyprowadził go na zewnątrz; w progu stary odwrócił się i po raz ostatni omiół wewnątrz ciekawskim wzrokiem. Gunther przyjrzał się tymczasem zdjęciom ojca Muncastera i grupki studentów.

— Gdybyśmy nie czekali na komendzie, pewnie byśmy na nich wpadli — powiedział do Syme'a, ponuro się uśmiechając. — Zastanawiam się, co by się wtedy stało. Spotkanie mogłoby się okazać emocjonujące. A więc tamci goście mieli klucz. Ciekawe, skąd go wzięli? Studiowałem przez rok w Oksfordzie, wiesz? — dodał. — Przed ponad dwudziestu laty.

— Naprawdę?

— Nie znosiłem Oksfordu. — Gunther przyjrzał się twarzom na fotografii. — Urodzeni, by rządzić. — Nagle zmarszczył brwi. — Ktoś wziął to zdjęcie do ręki i oglądał. Widzisz te odciski palców?

— Zrobił to ten stary?

— Po co miałyby to robić? — zastanawiał się Gunther. — Muncasterowi złożyli nagle wizytę szkolni koledzy... Prawie dwadzieścia lat po tym, jak skończyli szkołę? — Pokręcił głową. — Ale znajomi z uniwersytetu, których zdjęcie zachował...

— Myślisz, że to mogli być oni?

— Niewykluczone. Stary powiedział, że byli w tym samym wieku co Muncaster.

— Ale po co kłamali? — zapytał Syme. — Jeśli są z ruchu oporu, musi się tym zająć Wydział Specjalny.

— Na razie nie wiemy, kim są. — Gunther nadal przyglądał się fotografii. — Tutaj jest on, to Muncaster. Popatrz na ten uśmiech. Łatwo będzie skontaktować się z uczelnią i ustalić nazwiska innych osób.

— A potem co?

— Nie wiem. Przykro mi. Muszę porozmawiać z moim przełożonym, a on porozmawia z twoim.

— Dlaczego coś mi się tutaj nie podoba? — mruknął Syme. — Brat jest amerykańskim naukowcem. Co takiego powiedział Muncasterowi, o czym nie powinni się dowiedzieć Niemcy?

— Nie wiem. Obiecuję, że jeśli jest w to zamieszany ruch oporu, nie będziemy tego przed wami ukrywać. Teraz będę musiał rozejrzeć się po mieszkaniu. Potem odwiedzimy jeszcze raz tego starego i zapytamy, czy dotykał tego zdjęcia i czy rozpoznaje na nim ludzi, którzy tu dzisiaj byli.

— Pomóc ci?

— Tak. Tak, proszę — odparł po krótkim wahaniu Gunther.

Zaczęli metodycznie przeszukiwać razem mieszkanie. Nie znaleźli niczego oprócz pornografii pod łóżkiem, ale Gunther szybko zorientował się, że

mieszkanie zostało już przeczesane; na kurzu były wszędzie odciski palców, ślady szukających czegoś dłoni. Skończywszy, stanęli razem w salonie. Syme spojrział na wiszącą w kącie pajęczynę.

— Żałosne miejsce, nie?

— Pogadamy z tym starym, pokażemy mu fotografię. A potem wrócimy do Londynu i zobaczymy, co powiedzą o tym wszystkim w ambasadzie.

Gunther wziął pod pachę dwie fotografie — ojca Muncastera oraz grupy studentów, po czym zgasił światło i w salonie z zabitym deskami oknem zapadła ponownie całkowita ciemność.



Mieszkanie staruszka było prawie tak samo brudne i zaniedbane jak Franka, z tą różnicą, że stał tam nowy duży telewizor. Wyświetlano właśnie serial kryminalny. Złapani przez amerykańskich szpiegów policjanci siedzieli w piwnicy wypełniającej się wodą. Gunther pokazał Billowi fotografię i zapytał, czy jej dotykał.

— Nie, po co miałbym to robić? — odparł tamten, kręcąc głową.

— Bez powodu — odparł uspokajającym tonem Gunther. — Może zrobili to ci goście. Wiem, że przedstawili się jako jego szkolni koledzy, ale czy mógłby pan spojrzeć na tę fotografię? Może rozpozna pan któregoś z tych mężczyzn.

— W porządku — odparł skwapliwie staruszek, najwyraźniej zadowolony z tego, że może się do czegoś przydać. Włożył okulary i przyjrzał się zdjęciu. — Kurczę, ale niewyraźne. I wszyscy są o wiele młodszy. Ten blondyn mógł być chyba jednym z nich. — Wskazał jednego ze studentów. — Tak, moim zdaniem to on. — Ponownie przyjrzał się fotografii i tym razem wskazał przystojnego ciemnowłosego chłopaka w tylnym rzędzie. — Ten drugi też tu chyba dziś był. Ale nie jestem pewien — dodał przeproszającym tonem. — Nie miałem okularów, kiedy do nich zszedłem.

— Nie szkodzi. Bardzo nam pan pomógł — zapewnił go z uśmiechem Gunther.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Sarah wracała do Kenton cała roztrzęsiona. Siedząc sama w wagonie metra, skulona w budrysówce należącej do Ruth, nie mogła opanować drżenia. Muszę wrócić do domu, nie wolno mi zwracać na siebie uwagi, myślała. Przycisnęła do piersi torebkę i wyjrzała przez okno. Na ulicach panował taki sam spokój, jak kiedy jechała w tamtą stronę z panią Templeman. Miała wrażenie, że to było wieki temu.

Do wagonu wsiadło młode małżeństwo i zaczęło się w irytujący sposób kłócić, u których rodziców spędzą Boże Narodzenie. Sarah nadal wyglądała przez okno, starając się opanować drżenie. Kiedy pociąg zatrzymał się na Wembley, pomyślała o mężu pani Templeman, który siedział teraz prawdopodobnie w domu i czekał na powrót żony. Musiała przycisnąć pięść do ust, żeby się nie rozplakać.

Po przyjeździe do domu zdjęła budrysówkę Ruth, położyła ją na sofie i przez chwilę jej się przyglądała. David powinien wrócić dopiero za parę godzin. Muszę się tego pozbyć, pomyślała nagle spanikowana. Jeśli po nią przyjdą, budrysówka mogła stanowić obciążający dowód. Próbowwała sobie przypomnieć, czy ktoś we Friends House widział, jak wychodziła z panią Templeman. Chyba nie, ale nie była pewna. Groziło jej niebezpieczeństwo, niewykluczone, że jej szukali, mogła w to uwikłać Davida i swoją rodzinę. Zabiło jej szybciej serce i musiała przez chwilę głęboko oddychać, żeby się uspokoić. A potem przypomniała sobie upadającą na jezdnię panią Templeman.

— Ona nie żyje, nie żyje! — załkała, po czym schowała głowę w dłoniach i zanosła się spazmatycznym szlochem. Nie płakała tak od śmierci Charliego.

Po chwili zadzwonił telefon i wzdygnęła się, słysząc jego ostry dźwięk. Wyszła do holu; to mogła być policja. Z wahaniem podniosła słuchawkę.

— Halo?

— Witaj, moja droga. — To była Irene. — Wyszliście gdzieś oboje? Próbowalam się wcześniej dodzwonić.

Sarah odetchnęła z ulgą.

— David musiał pojechać do Northampton, jego wuj jest w szpitalu. Ja byłam... byłam na zebraniu komitetu.

— Dobrze się czujesz, kochanie? — zapytała z nagłym niepokojem Irene.
— Masz jakiś dziwny głos.

— Nie, wszystko w porządku. To chyba tylko przeziębienie.

— To nie ma nic wspólnego z Davidem? Rozmawiałaś z nim o tej kobiecie z biura?

— Nie, jeszcze nie.

— Widziałaś, żeby coś działo się dzisiaj w mieście?

— Nie. — Zabiło jej szybciej serce. — Co masz na myśli?

— Nie słyszałaś wiadomości? Podobno wysiedlają dziś z miasta wszystkich Żydów. Do jakichś obozów. Wieczorem w telewizji ma wystąpić Mosley.

— Nie... nie słyszałam. — A zatem ogłoszono to już publicznie.

— Steve uważa, że to najwyższa pora. Ale mam nadzieję, że nie będą ich źle traktować. Anglicy nie są do czegoś takiego zdolni, prawda? — W głosie Irene zabrzmiała nietypowa dla niej niepewność.

— Nie wiem. Irene, kochanie, muszę już kończyć. David niedługo wróci, muszę coś ugotować...

— No dobrze, kochana. — Irene była najwyraźniej zaskoczona jej obcesowością. — Przekaż mu, że mam nadzieję, że jego wuj wkrótce wróci do zdrowia.

— Tak. Przekażę.

Sarah odłożyła słuchawkę i przez chwilę stała w holu. Zaczynało się ściemniać; zapaliła światło. Chętnie zadzwoniłaby do ojca, ale nie wolno jej było o tym mówić nikomu z rodziny. A co z Davidem? Wychodząc tam na jezdnię, porzuciłam go, porzuciłam ich wszystkich, pomyślała. Wbijając wzrok w matową szybkę we frontowych drzwiach, wyobraziła sobie, że za progiem stoją mężczyźni w mundurach. Desperacko zapragnęła zobaczyć Davida, usłyszeć jego głos.

Wróciła do salonu, usiadła na sofie i przycisnęła do piersi budrysówkę Ruth. Zastanawiała się, gdzie jest teraz jej właścicielka, czy udało jej się uciec razem z Joem. Przypomniła sobie suchy trzask wystrzałów i znowu zaczęła płakać, nie tak spazmatycznie jak wcześniej, ale cicho, w beznadziejnej rozpacz.

Dochodziła już siódma, kiedy usłyszała w zamku zgrzyt klucza Davida. Zdała sobie sprawę, że siedziała tam przez kilka godzin, ściskając w rękach budrysówkę; była zbyt wstrząśnięta i wyczerpana, by rozpałcić ogień w kominku albo włączyć światło. Kiedy David je zapalił, zamrugała. Natychmiast podszedł do niej i złapał ją za ramiona.

— Co się stało? — zapytał z niepokojem. — Co się stało, Sarah?

— Zabrali Żydów — odparła.

— Wiem. Słyszałem.

Spostrzegła, że on też pobladł i jest spięty.

— Widziałam to. Na Tottenham Court Road. Wybuchły protesty, strzelano do ludzi. Pani Templeman nie żyje, ona nie żyje...

Sarah jęknęła i zaczęła znowu płakać. David usiadł obok niej i objął ją w sposób, w jaki nie robił tego od wieków. Jego siła dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Opowiedziała mu o wszystkim.

— Robią to w ramach jakiegoś nowego porozumienia z Niemcami — wyjaśnił jej. — Na pewno. Sukinsyny.

— Gdzie się dowiedziałeś? W szpitalu?

— Tak... tak, mówili tam o tym. Że wysiedlają ludzi.

— Jak się czuje wuj Ted?

— Teraz już lepiej, w przyszłym tygodniu go wypiszą. Jak zawsze strasznie zrzedził.

David uśmiechnął się z przymusem i odwrócił wzrok. Coś w jego głosie powiedziało jej, że skłamał. Znowu upadła na duchu. Nie dam sobie z tym rady, pomyślała. Jeszcze to na dodatek.

— Boisz się, że będą cię szukali? — zapytał cicho.

— Nie wiem. Nie wiedzą, kim jestem, ale widzieli mnie. Na pewno znajdą dowód tożsamości pani Templeman i będą wypytywali ludzi we Friends House i jej biednego męża. Ona też straciła syna, wiesz, w tysiąc dziewięćset czterdziestym. — Sarah zmarszczyła brwi. — Wciąż mówię o niej „pani Templeman”, ale miała przecież na imię Jane. Powinnam mówić o niej Jane.

David złapał ją za ramiona i obrócił do siebie.

— Ta budrysówka jest dowodem rzeczowym, Sarah — powiedział z naciskiem. — Powinniśmy się jej pozbyć. Wyrzucę ją do pojemnika na śmieci, jutro przyjeżdżają śmieciarze.

— Tak, dobrze — westchnęła.

— Rozpalę ogień w kominku. Popatrz, kochanie, zupełnie przemarzłaś. Siedziałaś tu po ciemku przez cały czas?

— Tak. Nie... nie miałam pojęcia, co robić.

— Usiądź tutaj i ogrzej się.

— Przepraszam, Davidzie. Przepraszam, naraziłam nas wszystkich na niebezpieczeństwo.

Widać było, jak chodzi mu szczeka. On też był bliski łez.

— Postąpiłaś dobrze i odważnie — powiedział.

— Co teraz zrobimy?

— Jeśli pozbędziemy się tej budrysówki, nie będzie żadnych dowodów, że brałaś w tym udział. Musimy po prostu poczekać.

Poznała po jego twarzy, że poważnie się niepokoi.

— A co się stanie, jeśli złapią Joego i Ruth i ich przesłuchają?

— Powiedziałaś im, jak się nazywasz?

— Nie. Czy będziesz mnie wspierał?

David chwycił ją za rękę i popatrzył jej w oczy z bólem i chyba poczuciem winy.

— Oczywiście, że tak. Jest za dziesięć siódma — dodał, zerkając na zegar na kominku. — Powinniśmy obejrzeć wiadomości.

Pokiwała ze znużeniem głową.

Kiedy włączył telewizor, nadawali akurat *Pieśni pochwalne*. Ludzie stali w dużym kościele, śpiewając głośno, wszystkie kobiety były w szerokich kapeluszach — normalne niedzielne nabożeństwo. A potem pokazano napisy końcowe i poważny głos oznajmił, że nadane zostanie wystąpienie ministra spraw wewnętrznych, sir Oswalda Mosleya. Chwilę później minister pojawił się na ekranie. Siedział w wielkim gabinecie, z rękoma skrzyżowanymi na biurku, jak zwykle elegancko ubrany, z wpiętą w klapę odznaką Czarnych Koszul. Na jego twarzy malowała się stanowczość i dobroduszość.

— „Chciałbym dziś państwa poinformować — zaczął swoim głębokim dźwięcznym głosem — że po długim namyśle rząd postanowił przenieść wszystkich brytyjskich Żydów do specjalnych stref, które zostały dla nich wyznaczone poza większymi miastami. W chwili obecnej są umieszczani w tymczasowych obozach, ciepłych i komfortowych. W późniejszym okresie podjęte zostaną bardziej permanentne rozwiązania. Większość została przemieszczona w ciągu dzisiejszego dnia. Uznaliśmy to posunięcie za niezbędne w obliczu dowodów, że terroryści z tak zwanego ruchu oporu uzyskują wsparcie wywrotowców działających wśród ludności żydowskiej. Ich skuteczne odizolowanie uchroni nas, a także samych Żydów, przed zakłóceniami porządku ze strony tych obcych elementów”. — Mosley posłał widzom krzepiący uśmiech. — „Dzisiejsza operacja przeprowadzona została z typowo brytyjską sprawnością i pogodą ducha i przebiegła gładko i spokojnie na terenie całego kraju. Wszyscy Żydzi, którzy nie zostali jeszcze przemieszczeni, zobowiązani są do natychmiastowego zgłoszenia się w najbliższym komisariacie policji z dowolnym ręcznym bagażem, jaki zechcą z sobą zabrać, oraz oczywiście z dowodami tożsamości. To posunięcie jest konieczne dla bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii” — dodał twardo Mosley. — „Nie zmniejsza się, niestety, zagrożenie ze strony terrorystycznego ruchu oporu. Każdy musi zachować czujność dla dobra ojczyzny i swojego własnego dobra. Czasy są ciężkie, zarówno w kraju, jak i w całym imperium. Niemniej chciałbym również poinformować państwa — podjął lżejszym tonem, uśmiechając się wielkodusznie i poruszając siwym wąsem — że w wyniku rozmów, jakie premier odbył w zeszłym tygodniu z naszym

niemieckim sojusznikiem, poza zwiększeniem liczebności naszych wojsk w Indiach, o czym mówił dzisiaj wcześniej pan Powell, zawarliśmy również nową umowę gospodarczą pozwalającą naszym firmom zintensyfikować stosunki handlowe z Europą...”

Mosley mówił jeszcze kilka minut, opowiadając o nowych wspólnych przedsięwzięciach brytyjskich firm zbrojeniowych i niemieckich zakładów Kruppa w celu wzmocnienia ciężkiej artylerii walczącej na froncie rosyjskim, a także o współpracy między Imperial Chemical Industries i IG Farben.

— „Zjednoczeni Brytyjczycy pokonają anarchię i komunizm” — zakończył stentorowym głosem. — „Boże, chroń królową”.

Kiedy rozległy się tony hymnu narodowego, Mosley wstał, prężąc dumnie pierś. David wyłączył telewizor i razem z Sarah patrzyli przez chwilę na pusty ekran.

— Nie wspomniał o ludziach, którzy dzisiaj zginęli — powiedziała cicho. — Ani słowem. Co jeszcze działo się w całym kraju?

— Przypuszczam, że wybrali niedzielny ranek, bo ludzie siedzą wtedy w domach, na ulicach jest niewiele osób. — David zmierzył ją twardym wzrokiem. — Będą próbowali przemilczeć to, co wydarzyło się na Tottenham Court Road i, być może, w innych miejscach. Żeby uniknąć dużego oficjalnego śledztwa.

Sarah wstała nagle, wciąż ściskając w rękach budrysówkę.

— Co się stało? — zapytał.

— Czy musisz być taki... taki kliniczny? Musisz być takim cholernym państwowym urzędnikiem? Dziś rano widziałam, jak strzelają do ludzi, jak młodzi studenci uciekają, żeby ocalić życie, jak ginie kobieta, którą znałam...

David również wstał i złapał ją za ramiona.

— Nie jestem w tej sprawie kliniczny, Sarah. Wielki Boże, nie. — Wziął głęboki oddech. — W ten sposób staram się stawić temu czoło. Odczuwam to tak samo boleśnie jak ty — dodał, siadając i kładąc dłoń na jej rękach. — Może nawet bardziej.

— Bardziej?

— Przepraszam, nie miałem na myśli, że... — David pokręcił głową. — W pracy nie jest mi łatwo. Widzę tych ludzi, Mosleya, innych faszystów i ich znajomych, widzę, jak wchodzą i wychodzą z Downing Street. Mierzi mnie to tak samo mocno jak ciebie. Przepraszam, kochanie.

Może się pomyliłam, pomyślała, może stał się taki chłodny i wstrzemięźliwy z powodu tego wszystkiego, co się wokół nas dzieje.

— Jak ludzie mogą wierzyć w takie bzdury? — zapytała. — Że Żydzi stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju?

— Ludzie zawsze byli uprzedzeni do Żydów. A po tysiąc dziewięćset czterdziestym to się spotęgowało. Jeśli rząd powtarza rok po roku stale ten sam komunikat, większość zaczyna w to w końcu wierzyć. Goebbels nazywał to wielkim kłamstwem. — David wyciągnął ręce po budrysówkę. — Daj, pozbędę się jej. Wyrzucę ją do pojemnika na śmieci i przykryję starymi gazetami.

— W wiadrze w kuchni jest trochę obierków — powiedziała Sarah — a kotlety w lodówce są już nieświeże. Wyrzuć je, wtedy nikt nie będzie tam grzebał — dodała i z dziwną niechęcią oddała mu budrysówkę.



David oderwał rękaw od budrysówki, na wypadek gdyby jakiś śmieciarz dziwił się, dlaczego ją wyrzucają. Dosypał na wierzch innych śmieci i wyniósł pojemnik przed dom. Ich sąsiad, mężczyzna w średnim wieku, z którym David spotykał się czasem na stacji metra, wynosił akurat własne śmieci i skinął mu głową.

— Kolejny zimny wieczór, prawda? — rzucił.

— Tak, wygląda na to, że będziemy mieli wczesną zimę — odparł David, siląc się na pogodny ton.

— Na jutro zapowiadają mgły — powiedział sąsiad, po czym skinął mu ponownie głową i wrócił do domu, zamykając za sobą drzwi.

Sąsiedzi przy tej ulicy nie wdawali się na ogół w długie rozmowy; ostatnio ludzie coraz rzadziej odzywali się do obcych. Stojąc przy furtce, David popatrzył na drugą stronę ulicy. Za małym skwerkiem widać było upiorny zarys starego schronu przeciwlotniczego. Pomyślał o tym, jaką odwagą wykazała się Sarah. Kiedy zobaczył, jak siedzi tam po ciemku, przyszło mu do głowy, że policja dowiedziała się o jego działalności i przyjechała ją przesłuchać. Przez chwilę cieszył się nawet, że skończyły się wszystkie kłamstwa i udawanie, poczuł budzącą się w nim dawną miłość do żony, uczucie, które — jak mu się zdawało — bezpowrotnie w nim wygasło. Nie mógł jej jednak wyznać prawdy. Nie po tym, co zdarzyło się dzisiaj. To było zbyt niebezpieczne.



Po wyjściu z mieszkania Franka jechali długo ciemnymi, pogrążonymi we mgle ulicami, szukając budki telefonicznej. Kiedy ją znaleźli, Natalia weszła zatelefonować, a David i Geoff zostali w samochodzie. Patrzyli, jak wrzuca

kolejne szylingi do otworu. Musiała mieć je przygotowane w kieszeni, podobnie jak broń. Rozmawiała przez telefon bardzo długo, żywo gestykulując. David zastanawiał się, czy zadzwoniła do Jacksona, ale raczej to wykluczał; rozmawiając z nim, byłaby bardziej opanowana. W końcu wróciła do samochodu.

— Jutro spotka się kilka osób z samej góry — powiedziała cicho. — Będziemy chyba musieli wyciągnąć doktora Muncastera ze szpitala. I to już wkrótce.

— Powiedziałaś im, że raczej mi ufa? — zapytał David.

— Tak. Prawdopodobnie będziemy cię znowu potrzebować. Być może was obu.

— Zgoda. Ale musicie zapewnić bezpieczeństwo mojej żonie.

— Zajmą się tym — zapewnił go Geoff.

— Co to za historia z Żydami?

— To, co słyszeliśmy, to prawda — odrzekła beznamiętnie Natalia. — Zostali wysiedleni. Nic o tym nie wiedzieliśmy. Wszystko przygotował Mosley w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

W drodze powrotnej do Londynu prawie się nie odzywali. David miał mętlik w głowie. Rozmyślał o spotkaniu z Frankiem i o tym, co, do diabła, dzieje się z Żydami. Najpierw podjechali do Pinner i zostawili Geoffa przed jego domem. Natalia powiedziała Davidowi, że wysadzi go na rogu jego ulicy. Nie rozmawiali, ale kiedy tam dotarli, wysiadł i stanął przy samochodzie. Wpatrując się w rząd stojących przy ulicy bliźniaków, poczuł, że trudno mu się ruszyć z miejsca. Natalia opuściła szybę.

— Dobrze się czujesz? — zapytała.

— Tak — odparł i wziął głęboki oddech. — Jak to się stało, że ruch oporu nie wiedział nic o planach wobec Żydów?

— Nie mamy nikogo w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i na wyższych szczeblach policji. Już nie.

— Dawniej mieliście tam swoich ludzi?

— Całą siatkę. Trzy lata temu doszło do zdrady. Okazało się, że człowiek, którego uważaliśmy za naszego agenta, pracował dla nich. Zginęło dużo porządnych ludzi.

— W kieszeni nosisz pistolet, prawda? — zapytał. — Zorientowałem się, kiedy ten stary wszedł do mieszkania Franka.

— Zdarzają się sytuacje, kiedy musimy się bronić. Chyba to rozumiesz.

— Czy użyłabyś broni, żeby zastrzelić Franka?

— Tylko jeśli miałyby wpaść w ich ręce. — Natalia spojrzała mu prosto w oczy. — Wtedy to byłoby dla niego najlepsze wyjście, wierz mi.

— Czy zabiłaś już kogoś? — zapytał.

Pokiwała powoli głową.

— Tak. Nie w Anglii. Chciałabym, żeby to nigdy nie było konieczne. Ale czasami jest.

David westchnął.

— Tak. Wiem.

— Co się dzieje, Davidzie? — zapytała cicho. — Od momentu, kiedy ten stary wszedł do mieszkania, jesteś jakiś... zdesperowany. Nie chodzi tylko o to, że zobaczyłeś swojego przyjaciela w takim stanie.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

— Może my, Anglicy, nie umiemy jednak skrywać emocji. — Wzruszył ramionami. — To ta wiadomość o wysiedlaniu Żydów. Zdenerwowała mnie.

Natalia pokiwała głową, a potem badawczo mu się przyjrzała.

— Pamiętam moich żydowskich przyjaciół w Słowacji. Widziałam, jak reagowali, kiedy zaczęło się źle dziać.

David dał nagle pół kroku do tyłu i potknął się o krawężnik. Przejrzała mnie, pomyślał.

Natalia wystawiła rękę przez okno i złapała go mocno za dłoń.

— Kto jeszcze wie? — zapytała.

— Nikt. — Serce waliło mu wściekle w piersi. — Tylko mój ojciec. To moja matka była Żydówką, irlandzką Żydówką. Jej dokumenty zostały zniszczone podczas niepokojów w Irlandii. Ojciec był tego pewien. Jest adwokatem. Podczas spisu ludności skłamałem, oświadczając, że oboje moi rodzice byli katolikami.

— Twój ojciec jest teraz w Nowej Zelandii?

— Tak.

— Żona o niczym nie wie? — W głosie Natalii zabrzmiało zaskoczenie.

— Nie. Jak się domyśliłaś?

— Powiedziałam ci: widziałam, jak reagują ludzie. Niektórzy cieszą się z wysiedlania Żydów. Innych to nie obchodzi albo nie chcą mieć kłopotów. Jeszcze inni to potępiają. Ale chyba tylko ci, którzy sami narażeni są na niebezpieczeństwo, okazują lęk, desperację. Zobaczyłam ją dzisiaj na twojej twarzy. A ja — dodała z niezwykłym u niej, nieśmiałym uśmiechem — często na ciebie patrzę. Obserwuję wyraz twojej twarzy.

— Powiesz im? — zapytał. — Jacksonowi i jego ludziom?

— Naszym ludziom — poprawiła go. — Nie, nie powiem, choć powinnam. Sam powinieneś to zrobić.

— Mówiłaś, że wyszłaś za Niemca — rzekł, twardo na nią spoglądając. — W twoim kraju.

— Nie opowiedziałam ci wszystkiego — odparła i zadrżały jej usta. A potem z zaskakującą siłą ścisnęła jego dłoń. — Bądź ostrożny.

— Jestem ostrożny od wielu lat.

— Wiem.

Natalia przygryzła wargę, po czym zasunęła szybę i powoli odjechała.

Rozdział dwudziesty drugi

Zaraz za Birminghamem Gunther zadzwonił z budki telefonicznej do ambasady, zostawiwszy Syme'a w samochodzie. Gessler czekał na jego telefon; kazał mu się zameldować i zdać pełną relację natychmiast po powrocie do Londynu. Kiedy dwie godziny później Syme wysadził go przed Senate House, Gunther udał się prosto do gabinetu Gesslera. Ten wysłuchał uważnie jego opinii na temat Muncastera, człowieka, który bał się własnego cienia, ale był jednocześnie skryty i wykrętny. Gunther wspomniał również o innych gościach Muncastera, którzy odwiedzili wcześniej mieszkanie i, jego zdaniem, je przeszukali.

Gessler zmarszczył gęste czarne brwi tak, że te niemal połączyły się z sobą. Wyraźnie go to zaniepokoiło.

— Byli z ruchu oporu? — zapytał.

— Nie można tego wykluczyć. Inaczej, po co mieliby przeszukiwać mieszkanie? — Gunther położył na biurku fotografie, które stamtąd zabrał. — Jeśli byli jego kolegami ze studiów, są na tym zdjęciu.

— Niech to szlag! — wybuchnął nagle Gessler.

Gunther był zaskoczony; w piątek Standartenführer robił wrażenie człowieka, który panuje nad swoimi emocjami. Gessler kazał mu napisać raport, a potem wrócić do mieszkania i wczesnym rankiem zgłosić się ponownie w ambasadzie. On sam miał porozmawiać z Berlinem tej nocy.

Gunther usiadł w niewielkim gabinecie, który mu przydzielono, i zaczął pisać raport swoim drobnym eleganckim charakterem pisma. W pokoju stało obowiązkowe biurko, krzesła, szafka na akta oraz szafa, w której trzymał swój gestapowski mundur. Nosił go rzadko, uważał, że go pogrubia; prosty krój podkreślał bezkształtność jego nalanej twarzy. Irytowało go, że Gessler, choć dziesięć lat starszy, wygląda szczupło w esesmańskim mundurze. Na ścianach wisiały fotografie Hitlera i Himmlera, na biurku postawił zdjęcia swojego brata i syna. Z okna roztaczał się panoramiczny widok na Londyn, taki sam jak z gabinetu Gesslera. Po godzinie powlókł się śmiertelnie zmęczony do swojego mieszkania.

Zjadł coś i obejrzał wiadomości, po których powtórzono wystąpienie Mosleya. To dobrze, że Brytyjczycy w końcu się na to zdecydowali, pomyślał. Zastanawiał się jednak, dlaczego akurat teraz. Przed położeniem się do łóżka przeczytał jeszcze raz list od syna. Był już raz na Krymie u Michaela latem zeszłego roku, tłukąc się dwa dni pociągiem przez białoruskie lasy i bagna, a potem przez ukraiński step, na którym co półtora kilometra stały wzdłuż torów obsadzone przez żołnierzy betonowe posterunki. Michael ucieszył się z wizyty ojca i prawie codziennie chodzili na plażę. Jego syn był jasnowłosy, wysportowany i pełen energii. Miał w sobie nieskrępowany entuzjazm Hansa i zaczątki jego fizycznego uroku. W październiku skończył jedenaście lat; Gunther mógł mu tylko wysłać kartkę i prezent. Spał niespokojnie, rzucając się i przekręcając z boku na bok. Śniło mu się, że jest razem ze swoim bratem w lesie, tamtej nocy, kiedy przemawiał do nich Heydrich. Hans nie patrzył na niego, ale na jezioro. Na jego twarzy malował się bezbrzeżny smutek.



Nazajutrz już o ósmej rano stawił się w ambasadzie. Kiedy wszedł do gabinetu Gesslera, ten stał przy oknie i przyglądał się miastu. Miał przekrwione oczy i nieogolone policzki — niezwykła rzecz u kogoś tak schludnego. Musiał być na nogach przez całą noc. Niebo było znowu ołowiane i zimne, w powietrzu unosiła się lekka mgiełka. Wskazał Guntherowi krzesło. Nachmurzony i spięty sprawiał zupełnie inne wrażenie niż w piątek.

Gunther nie otrząsnął się jeszcze z wczorajszego ponurego nastroju i wcale się z tym nie spieszył; pomagało mu to zachować dystans i obiektywność. Zauważył, że raport, który napisał poprzedniego wieczoru, leży na biurku razem ze zdjęciem uniwersyteckiej grupy Muncastera.

— W dzisiejszych gazetach piszą sporo o wysiedleniu Żydów — powiedział, żeby przerwać milczenie. — Rząd szczydzi się, że operacja przebiegła dość gładko.

Gessler odwrócił się i skinął mu głową z lekkim uśmiechem niczym surowy nauczyciel przyznający, że uczeń dobrze odrobił pracę domową.

— Tym właśnie zajmujesz się w kraju, prawda? Z tego, co słyszałem, brytyjskie deportacje nie obyły się bez problemów. No i oczywiście — dodał z pogardą — część duchownych staje okoniem, próbując organizować protesty. Szkoda, że Anglia nie jest katolicka. Papież wie, że jego prawdziwym wrogiem są komuniści.

— Ale wszyscy zostali odizolowani?

— Prawie wszyscy. Niecałe sto pięćdziesiąt tysięcy. Wiedziałem oczywiście o planowanej akcji, ale nie mogłem cię poinformować. — W głosie Gesslera zabrzmiało znowu poczucie własnej ważności. — Operacja, jeśli miała się udać, musiała być zachowana w ścisłej tajemnicy.

— Oczywiście, Herr Standartenführer.

— To był jeden z punktów szerszej międzyrządowej umowy. Do tej pory Brytyjczycy zawsze opierali się naszym naciskom. Ale teraz... — uśmiechnął się lodowato — może ziści się w końcu nasze marzenie o wolnej od Żydów Europie. Prowadzimy również rozmowy z Francuzami, żeby ostatecznie rozwiązać tę kwestię i u nich.

Gunther pokiwał głową.

— Co się teraz stanie z brytyjskimi Żydami?

— Trafiają na wyspę Wight, a potem na Wschód. Mam nadzieję, że szybko. Przygotowujemy się na ich przyjęcie w Polsce. Przywraca się krematoriom w Auschwitz ich pełną moc. — Gessler ponownie się uśmiechnął. — Beaverbrook nigdy nie był wielkim antysemitą, ale wie, co mu się opłaca.

— Jest zniewieściały i skorumpowany. Podobnie jak Laval i Quisling. Potrzebujemy lepszych ludzi, żeby zbudować nową Europę.

Gessler pokiwał głową.

— Tak. Generał Franco jest jedynym z nich, który ma jaja. Wystrzelał wszystkich swoich wrogów przy pierwszej sposobności. — Westchnął i podrapał się po łysym czubku głowy. — Wczoraj wieczorem długo rozmawiałem z Berlinem — powiedział cicho. — Führer jest naprawdę bardzo chory. Powiedziano mi, że może umrzeć w każdej chwili. Upoważniono mnie do przekazania ci tej informacji — dodał, pochylając się do przodu — ponieważ kiedy rzeczywiście umrze, zacznie się walka o władzę. Ci, którzy są lojalni wobec SS, muszą być gotowi.

Gunther poczuł, jak przechodzi go zimny dreszcz.

— Gotowi na co, Herr Standartenführer?

— Na walkę, do której dojdzie między nami i armią. W Rosji nie dzieje się najlepiej. Obawiamy się, że ich tegoroczna ofensywa zimowa będzie mordercza. Na Kaukazie nasze oddziały zmagają się z epidemią dżumy. Armia chce porozumienia, na mocy którego Rosjanie zachowaliby tereny na wschód od Moskwy i północ Kaukazu.

— Mamy zawrzeć porozumienie z komunistami? Z Żukowem i Chruszczowem? — obruszył się Gunther. — Bo przecież to komuniści, mimo całego tego gadania o wielkiej wojnie ojczyźnianej.

— Wywiad SS uważa, że armia dogaduje się z innymi frakcjami w Rosji. Z kryminalistami, którzy zawsze istnieli w państwie komunistycznym... część

z nich dorobiła się ostatnio po wprowadzeniu przez Rosjan ograniczonego wolnego rynku. A także z pewnymi ludźmi z rosyjskiej policji politycznej, dawnego NKWD, którzy nawiązali kontakty z naszą armią w czasach paktu niemiecko-sowieckiego. To będzie kryminalne państwo władające dawnymi obszarami etnicznie rosyjskimi.

— Będziemy w stałym niebezpieczeństwie. — Gunther pomyślał o swoim bracie. — I po to zginęło pięć milionów Niemców?

— Dlatego właśnie musimy być gotowi. Na wypadek gdyby, nie daj Boże, SS musiało walczyć z armią.

— A co z partią?

Gessler pokręcił głową.

— Jest podzielona. Speer stoi po stronie armii. Po śmierci Göringa i po tym, jak biedny Rudolf Hess wylądował w domu wariatów, najważniejszą postacią w partii jest Reichsführer Goebbels. On jest wyznaczonym następcą Führera. Może zdecydować tak albo inaczej. Teraz wzmacnia swoją pozycję. O to głównie szło przy zawieraniu porozumienia z Beaverbrookiem. O zacieśnianie więzów z Wielką Brytanią i udzielenie jej gospodarczego wsparcia, na które nas nie stać, w zamian za pozbycie się Żydów.

— Goebbels miał zawsze zdrowe podejście do problemu żydowskiego.

— Ale jest chwiejny w kwestii Rosji. To może być manewr mający na celu zbliżenie Niemiec z Anglią, a poprzez nią ze Stanami Zjednoczonymi. Mówi się, że Stevenson może nałożyć embargo na handel z Europą. Gdyby do tego doszło, mocno by nas to uderzyło. Goebbels jest lojalny wobec Führera, ale kiedy go zabraknie...

Gunther przez chwilę się zastanawiał.

— Kiedy brytyjscy Żydzi zostaną deportowani, Ameryce nie pozostanie nic innego, jak pogodzić się z rzeczywistością — powiedział. — To nie będzie już dla nich ewentualna karta przetargowa.

— Jeśli w Niemczech dojdzie do walki o władzę, może to się przenieść na teren tej ambasady — rzekł Gessler i pokręcił głową. — Myślałem, że po wszystkich naszych zwycięstwach nie możemy przegrać, jesteśmy wszechwładni. Ale teraz...

— Nadal możemy wygrać, jeśli nie stracimy odwagi — zaprotestował Gunther. — SS rosło w siłę od dwudziestu lat.

— Jeśli dojdzie do walki i SS przegra — mruknął Gessler, bardziej do siebie niż do Gunthera — przypuszczam, że mogą nas wszystkich rozstrzelać. Spodziewam się, że nas wszystkich zdegradują i skierują gdzie indziej. — Nagle stał się bardziej serdeczny i skłonny do zwierzeń. Zdjął binokle i potarł grzbiet nosa. — Ciekawe dokąd. W czterdziestym drugim byłem w Leningradzie, wiesz?

Po tym, jak armia odcięła miasto i zagłodziła w zimie na śmierć wszystkich mieszkańców. Wehrmacht nigdy nie wahał się w kwestii tego, co trzeba zrobić w Rosji. Niektórzy z nich udają, że mają skrupuły, kiedy zależy im na zawarciu pokoju, ale widziałem ich w działaniu, widziałem, jak postępują z Rosjanami. Niestety, coraz więcej jest wyższych oficerów, którym zaczyna brakować odwagi. Słabość w obliczu wroga!

Gessler na chwilę przerwał.

— Byłem w pierwszej grupie SS, która weszła do Leningradu w kwietniu, żeby przesłuchać tych nielicznych, którzy przeżyli — podjął. — W większości działaczy partii komunistycznej, którzy mieli jeszcze niewielkie zapasy żywności, chociaż i oni wyglądali jak chodzące szkielety. Boże, co za smród. Unosił się w całym mieście, jeśli można nazwać miastem to, co zostało po naszych bombardowaniach i ostrzale artyleryjskim. W gruzach gniły trzy miliony trupów. Zwłoki mogą być niebezpieczne, wiesz, zwłaszcza jeśli leżą na stosach. Kiedy przychodzi odwilż, szybko się rozkładają. W środku zbierają się gazy i eksplodują. W nocy słychać było wybuchy. Wilki przychodziły na żer i wszędzie roiło się od szczurów. Nie było wody, nie było kanalizacji; po miesiącu musieliśmy się stamtąd wycofać, żołnierze zapadali na tyfus. Cały teren jest nadal otoczony kordonem. Za to Moskwę zdobyliśmy bez długiego oblężenia; wysiedliliśmy ludność i zamknęliśmy ją w obozach, żeby spokojnie wymarła z głodu. Führer chce po zwycięstwie wyburzyć budynki i utworzyć tam sztuczne jezioro. Ale ja nie chciałbym już nigdy wyjeżdżać na Wschód; jest odrażający.

Gessler skrzywił się, westchnął i ponownie spojrzał na Gunthera.

— W twoich aktach piszą, że się rozwiodłeś, Hoth.

— Tak jest, Herr Standartenführer. Ale mam syna na Krymie.

— Ja mam żonę i dwie córki w Hanoverze. Kiedy wróciłem z wielkiej wojny, uczyłem tam w szkole wychowania fizycznego. Potem wstąpiłem do partii, a później do SS. Powiodło mi się.

Gessler należy do pomniejszych „złotych bażantów”, pomyślał Gunther. Nie pragnie wcale powrotu ciężkich czasów.

— Zwycięzimy, Herr Standartenführer — rzekł cicho.

Gessler walnął pięścią w biurko, w ciągu jednej chwili zmieniając swoje nastawienie.

— Oczywiście, że zwycięzimy! Nikt nie może w to wątpić! — Kilka razy głęboko odetchnął i nałożył z powrotem binokle. — Nie powtarzaj nikomu tego, co tu usłyszałeś — powiedział spokojnie.

— Oczywiście, Herr Standartenführer.

— Poza tym możliwe, że to tylko plotki. Wiesz, jak to jest w dowództwie.

— Tak jest, Herr Standartenführer — odparł Gunther, ale nadal czuł zimny dreszcz.

— Co do tych ludzi, którzy odwiedzili Muncastera... — podjął rzeczowym tonem Gessler. — Nadal uważasz, że mogli być z ruchu oporu?

— Tak jest, Herr Standartenführer. Nie ma co do tego pewności, ale to możliwe.

— Dlaczego doktor Wilson nie powiedział ci, że Muncaster będzie miał innych gości?

— Myślę, że o tym nie wiedział, Herr Standartenführer.

— Zadzwoń do niego dzisiaj. — Gessler potrząsnął głową. — Skoro ci ludzie byli z ruchu oporu, skąd dowiedzieli się o Muncasterze?

— Nasuwa się oczywista odpowiedź, że od Amerykanów. Brat Muncastera opowiedział im o wszystkim, co się wydarzyło.

Gessler pokiwał głową. Ale co się właściwie wydarzyło? — pomyślał Gunther. Co dokładnie wie Muncaster? I ile z tego wie Gessler?

— Według tego starego Muncaster krzyczał, że „Niemcy nie mogą się dowiedzieć”? — zapytał Gessler.

— Tak jest, Herr Standartenführer.

— Biorąc pod uwagę znaczenie tej sprawy, Berlin zgadza się, żebyśmy przywieźli tu Muncastera i go przesłuchali. Jestem pewien, że szybko go złamiemy. Przekonamy się wówczas, czy rzeczywiście wie coś ważnego.

— Wydaje mi się, że wystarczy zabrać go do piwnicy i opowiedzieć szczegółowo, co możemy mu zrobić — powiedział Gunther.

— Dobrze. Poważne przesłuchanie obywatela brytyjskiego może spowodować komplikacje polityczne. Brytyjczycy lubią sami zajmować się takimi sprawami.

— Wiem.

Gessler znowu się zasepił i zabębnił palcami o biurko.

— I na tym polega nasz problem — przyznał. — Najchętniej wysłałbym do tego szpitala oddział SS i po prostu go stamtąd zgarnął. Ale rozkazy z Berlina są takie, żeby nie robić niczego, co zwróciłoby na nas uwagę. Jeśli brytyjskie władze zdadzą sobie sprawę z wagi informacji Muncastera, mogą same się nim zająć. Nie chcemy, żeby brytyjskie tajne służby zwietrzyły pismo nosem; nie można na nich polegać, są skłonne do awanturnictwa. A jeśli ruch oporu także zainteresował się Muncasterem, jest sprawą pierwszorzędnej wagi, żeby nie dowiedzieli się o naszym zaangażowaniu. Mogą wtedy spróbować go wykraść lub zabić.

— Mieli z nim już styczność. Skoro zna informacje, których Amerykanie nie chcą ujawnić, dlaczego go od razu nie zabili?

— Może Amerykanie chcą go mieć żywego? Może ludzie z brytyjskiego ruchu oporu chcą sami przejąć te informacje?

— Co będzie, jeśli tamci goście zjawią się ponownie?

— Doktor Wilson otrzyma wyraźne instrukcje, żeby zadzwonić wtedy do naszego dobrego znajomego w brytyjskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Zrobi to, może się dąsać i miotać, ale zdaje sobie sprawę, że jeśli coś pójdzie źle, straci pracę.

— Niech pan pamięta, że facet ma krewniaka w Ministerstwie Zdrowia.

— Liczy się Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Tymczasem musimy poszukać ludzi, których rozpoznał na fotografii ten stary. To przypomina mi o następnej kwestii. Jak sprawował się wczoraj Syme?

Gunther rozważył już wcześniej, jak odpowiedzieć na to pytanie.

— Bardzo dobrze. Grał pierwsze skrzypce w przesłuchaniu Muncastera, ale przyjmował ode mnie wskazówki. Muncaster chyba w ogóle się nie zorientował, że jestem cudzoziemcem. Później Syme pomógł mi dostać się do mieszkania.

— Jak dalece mu ufasz?

— Nie jest łatwym towarzyszem — odparł po zastanowieniu Gunther. — Nie podoba mu się, że to my prowadzimy dochodzenie. Jest sprytny, domyślił się, że w tej sprawie jest drugie dno. Ale lubi pieniądze i wystawne życie i powiedziałem, że zostanie wynagrodzony za to, że nam pomaga.

Gessler postukał palcem w fotografię z Oksfordu.

— Czy ufasz mu dostatecznie, żeby pozwolić mu się tym zająć? Ustalić tożsamość ludzi na tym zdjęciu? Nazwiska, które goście podali w szpitalu, były oczywiście fałszywe.

— Owszem. Ale trzeba go obserwować. Jeśli dojdzie do konfliktu między brytyjskimi i niemieckimi interesami, nie wiem, po czyjej stronie. To dobry faszysta, ale jak już mówiłem, jest trochę drażliwy. Ważna będzie kwestia nagrody.

— Nie polubiłeś go, prawda? — zapytał Gessler.

— Nie. Ale to nie ma znaczenia. Uważam, że może nam się bardzo przydać.

— Więc wykorzystajmy jego chciwość. — Gessler uśmiechnął się. — To bardzo często skuteczna metoda. — Odzyskał całkowicie pewność siebie, jakby rozmowa o chorobie Hitlera w ogóle nie miała miejsca. — Porozmawiam z jego komisarzem. Poproszę, żeby Syme skontaktował się z Oksfordem, dowiedział się, kogo przedstawia ta fotografia. A ty zabierz go dzisiaj do jakiejś dobrej restauracji, powiedzmy Café de Paris. Ambasada załatwi rezerwację. Podziękuj mu za pomoc, opowiedz o wdzięcznym niemieckim rządzie, który założy mu konto w reichsmarkach. — Gessler zerknął na zegar na ścianie. — Muszę zaraz zadzwonić do Berlina. Wróć do swojego mieszkania, zadzwoń do Syme'a i bądź

dla niego miły. Poza tym czekaj na telefon. — Nagle zmierzył go znowu ostrym wzrokiem. — Ale bądź gotów na każdą ewentualność. I pamiętaj, że sam Heydrich chce, żebyśmy dorwali Muncastera. A w razie czego Syme'a możemy się śmiało pozbyć.



Tego wieczoru zgodnie z ustaleniami Gunther miał zabrać Syme'a do Café de Paris. Po powrocie do mieszkania zatelefonował do niego na komendę i jowialnym tonem zaprosił go na kolację. Następnie, ponieważ nie wolno mu było wychodzić, zadzwonił do ambasady i zapytał, czy mogą mu dostarczyć strój wieczorowy. Dostał go godzinę później, we właściwym rozmiarze, ze świeżo wyprasowaną koszulą. Zarezerwowali również dla nich stolik w restauracji, co nie mogło być łatwe z zaledwie kilkugodzinnym wyprzedzeniem.

Bez przerwy roztrząsał to, co powiedział mu Gessler. Miał oczywiście świadomość, że Hitler jest chory i może umrzeć, a wówczas sytuacja polityczna bardzo się skomplikuje, ale czym innym było dowiedzieć się, że to bardzo prawdopodobne. Od ponad dwudziestu lat wierzył, że Hitler jest kimś więcej niż człowiekiem, że został zesłany pobitym Niemcom przez opatrność. Pamiętał plakaty wiszące na ulicach w latach trzydziestych: *Wszystko zawdzięczamy Führerowi*. Wiedział, że prawą ręką Hitlera jest Martin Bormann, ale to nie był człowiek odpowiedniego kalibru. Gessler miał rację, kluczową postacią był Goebbels. Jaki kierunek wybierze — czy stanie po stronie SS, czy armii? Gunther siedział i kombinował, ale jego spekulacje podszyte były zimnym lękiem, że Hitler, na którym wszystko się opierało, może wkrótce umrzeć.

W końcu znużony rozmyślaniami położył się do łóżka. Zapadł w niespokojny sen i przyśnił mu się syn. Michael szedł po ściernisku, a Gunther wiedział, że są tam miny, jednak — nie wiadomo dlaczego — nie był w stanie zawołać i ostrzec chłopca. A potem zobaczył, że ktoś inny idzie po polu i zbliża się do Michaela. To był jego brat Hans. Gunther zdawał sobie sprawę, że obaj wylecą w powietrze, ale chociaż chciał ich ostrzec, nie mógł się odezwać, z jego ust wydobywało się tylko ciche charczenie. Obudził się, łapiąc kurczowo powietrze.

Nie doczekawszy się telefonu z ambasady, o siódmej sam zadzwonił do gabinetu Gesslera. Niezwykle kompetentna sekretarka Standartenführera lodowatym głosem potwierdziła, że w razie potrzeby skontaktują się z nim w Café de Paris. Gunther ruszył na stację metra przy Euston Square; w powietrzu unosiła się mgła, jej siarczany odór jak zawsze w Londynie przyprawiał go

o kaszel. Jeśli taka pogoda się utrzyma, będzie musiał zaopatrzyć się w maskę. Przypomniał sobie swój koszmar. Czuł lęk i wypełniającą go pustkę. Syme nie mógł tego po nim poznać.

Na peronie metra zobaczył wielki kolorowy plakat: mężczyzna w przebraniu klauna trzymał w ręku wielką płonącą obręcz, przez którą przeskakiwał lew. „Świąteczne występy Cyrku Billy’ego Smarta”. Zastanawiał się, czy jest jakiś cyrk na Krymie.



Café de Paris mieściło się w dużej podziemnej sali. Gunther bywał tam w trakcie swojego poprzedniego pobytu w Anglii, na ogół na nudnych przyjęciach wydawanych przez ambasadę. Słyszał, że w latach 1939—1940, kiedy Brytyjczycy bali się niemieckich bombardowań, lokal reklamowany był jako najbezpieczniejsza restauracja w Londynie. Oświetlenie dawały stojące na stolikach niskie lampy z kloszami. Gunther miał nadzieję, że dostanie miejsce na wysokiej galerii, która otaczała salę — z jakiegoś powodu czuł się zawsze bezpieczniej, obserwując wszystko z góry — ale zaprowadzono go do stolika tuż przy parkiecie, z widokiem na orkiestrę, która grała głośny jazgotliwy jazz.

Zerknął na zegarek: przyszedł nieco za wcześnie. Przyjrzał się ludziom przy innych stolikach. Część pań miała na sobie suknie balowe, ale młode kobiety ubrane były przeważnie w krótsze sukienki, szerokie i rozkloszowane, a czasami wyzywająco obcisłe. Wiele z nich zarzuciło na gołe ramiona kosztowne etole z norek. Przy jednym ze stolików siedziało czterech pułkowników Wehrmachtu. Byli zapewne doradcami wojskowymi z ambasady, ludźmi Rommla, członkami klikki, która chciała dobić targu z wrogiem. Robili wrażenie wesołych i pewnych siebie. Przy pobliskim większym stole upijała się radośnie i hałaśliwie grupa Anglików w średnim wieku, którym towarzyszyły młodsze kobiety o wyglądzie prostytutek. Z ich głośnej rozmowy domyślił się, że są z ICI i świętują nowe kontrakty z Siemensem. Kiedy do jego stolika podeszła kelnerka, zamówił sok pomarańczowy. Tej nocy nie chciał pić za dużo alkoholu.

Syme pojawił się kwadrans później, w smokingu, który był dla niego za duży. Gunther westchnął w duchu i wstał, żeby uścisnąć mu dłoń. Obaj usiedli. Syme z uznaniem rozejrzał się.

— Niezły lokal, prawda? Słyszałem o nim, ale nigdy tu nie byłem.

— Chcieliśmy okazać ci naszą wdzięczność. — Pojawiła się ponownie kelnerka. — Czego się napijesz?

— Jeśli można, to brandy. Jak szaleć, to szaleć. A ty co pijesz?

— Sok pomarańczowy. Ale teraz też zamówię brandy.

— Zadzwoił do mnie dzisiaj komisarz — oznajmił półgłosem Syme.

— Naprawdę?

Anglik konspiracyjnie się uśmiechnął.

— Chcą, żebym ci dalej pomagał — powiedział.

— I jak się na to zapatrujesz, Williamie?

— Cieszę się. — Na pociągłej twarzy Syme'a odmalowała się powaga. — Wygląda na to, że się za mną wstawieś. Jestem zobowiązany.

— Robimy, co w naszej mocy.

Podano im drinki. Gunther uniósł swój kieliszek. Syme poruszył się na krześle. Gunther wolałby, żeby się tak nie wiercił.

— Powiedz, czego potrzebujecie. — Syme roześmiał się. — Będziemy rozwiązywali wielkie kryminalne zagadki niczym doktor Watson i Sherlock Holmes.

Gunther uśmiechnął się, chociaż zawsze uważał powiastki o Sherlocku Holmesie za moralizatorskie i naciągane, niemające nic wspólnego z rzeczywistością. Ku jego uldze orkiestra skończyła swój numer, ale zaraz potem na estradę wszedł przesadnie przystojny mężczyzna o urodzie Latynosa, w marynarce z błyszczącymi kłapami. Wszyscy powitali go oklaskami, a Syme zagwizdał.

— Rany, to przecież Guy Mitchell.

— Kto?

— Amerykański piosenkarz. Bardzo popularny, może nie tak jak Crosby albo Sinatra, ale całkiem dobry. Puszczają go często w radiu — dodał Syme, śmiejąc się radośnie.

Mężczyzna zaśpiewał kilka numerów; miał dobry głos, ale słowa piosenek były bez sensu. Syme odwrócił się od stolika, żeby mieć lepszy widok na estradę; stopy podrygiwały mu w rytm muzyki. Gunther odetchnął z ulgą, kiedy piosenkarz uklonił się i zszedł ze sceny. Burczało mu w brzuchu i chciał zamówić coś do jedzenia. Syme, który pił już trzeci kieliszek brandy, ponownie się do niego odwrócił.

— Niezły towar, prawda? — zapytał, zerkając na dziewczyny, które towarzyszyły biznesmenom. — Później będzie można zatańczyć. Te dziwki wyglądają na zajęte, ale może inne będą wolne — dodał, unosząc brwi.

Gunther zauważył, że pod wpływem alkoholu Syme staje się bardziej wylewny i wyraźniej słyhać jego akcent cockney. Jak bardzo głupia była ta angielska obsesja na punkcie klasy społecznej. Jako faszysta Syme powinien wiedzieć, że liczy się rasa i narodowość, a nie klasa.

— Zmieniłeś wymowę — powiedział z kamienną twarzą.

Syme uśmiechnął się z przekąsem.

— Jeśli chcesz awansować w policji, musisz mieć lepszy akcent. Nie opuszczaj cholernego „h” na początku wyrazów. Co powiesz, żebyśmy się rozejrzeli za jakimiś fajnymi dziwkami?

Gunther zaprzeczył ruchem głowy.

— Ostatnio nie mam w sobie tyle wigoru. Poza tym muszę jutro wcześniej wstać.

Podszedł do nich kelner i zamówili jedzenie. Było dobre, ale znowu zaczęła grać orkiestra i musieli rozmawiać podniesionymi głosami.

— Nie podoba ci się muzyka? — zapytał Syme.

— Nie. Jest taka sama jak inne amerykańskie naleciałości, które tu widzę. Głośna, wulgarna, pozbawiona melodii.

Syme spojrzął na niego rozbawiony.

— A ty co wolisz? Niemiecką muzykę klasyczną?

Gunther wzruszył ramionami.

— Wszystko, byle nie to.

— Nasze Ministerstwo Kultury stara się wspierać tradycyjną muzykę ludową, tancerzy grających na piszczałkach i wymachujących gałązkami na wiejskich błoniach. — Syme roześmiał się. — Ja wolę coś z odrobiną swingu.

— Murzyńska muzyka. Zdawało mi się, że nie lubisz czarnych.

Syme nachylił się nad stołem.

— Wiesz co, chłopie, lubię cię, ale powinieneś chyba użyć trochę życia — poradził mu poważnym tonem. — Poczuj, jak krew krąży ci w żyłach.

Gunther uśmiechnął się drwiąco.

— Poświęciłem życie dla sprawy.

— Należysz do pokolenia, które poświęciło wszystko, żeby ratować Europę?

— Wy poświęciliście wszystko dla imperium.

Syme jeszcze bardziej się do niego nachylił.

— Słuchaj, wiem, że ruscy jeszcze się trzymają, ale ich pokonanie to tylko kwestia czasu. A wszędzie indziej jesteśmy górą. Mamy wszystko. Całe żydowskie pieniądze, podobnie jak wy w tysiąc dziewięćset czterdziestym, kiedy razem z żabojadami i makaroniarzami podzieliliście między sobą Szwajcarię. To było mistrzowskie posunięcie. Przejęliście wszystkie szwajcarskie banki i skonfiskowaliście aktywa, które niemieccy Żydzi umieścili tam po waszym dojściu do władzy. A także aktywa rosyjskie. Niemcy i my jesteśmy tymi, którzy pociągają za sznurki, i nam należą się konfitury. Powinniśmy to wykorzystać.

Gunther uśmiechnął się i przekrzywił głowę.

— Jeśli ta sprawa zakończy się sukcesem — powiedział — wdzięczni Niemcy pomogą ci założyć konto w Bazylei.

Syme'owi zabłyśły oczy.

— Bardzo bym się cieszył. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w Golders Green mam już obiecany dom z czterema sypialniami. Żydowski dom, pełen luksusowych mebli — powiedział i pociągnął łyk wyśmienitego wina, które zamówił. — Używaj życia, chłopie — dodał, na poły przyjaźnie, na poły z politowaniem. — Bo ja mam właśnie taki zamiar.

Rozdział dwudziesty trzeci

Po wyjściu Davida, Geoffa i Bena Frank pozostał w cichym pokoju. Odwrócił ponownie fotel do okna, żeby nie widać go było przez uchylone drzwi na oddział.

David obiecał, że mu pomoże, sprawdzi jego sytuację prawną, i Frank powtarzał sobie, że powinien się tego trzymać. Dziwnie było zobaczyć przyjaciół po tak długim czasie; David nie wydawał się wiele starszy, ale na jego twarzy malowało się napięcie i niepokój, podobnie zresztą jak na twarzy Geoffa. Ten ostatni bardziej się postarzał; wyglądał dziwnie z jasnym wąsikiem. Frank zdał sobie sprawę, że musiał na nich zrobić piorunujące wrażenie. Sam przywykł już do swojego workowatego, źle leżącego ubrania i niewprawnie przyciętych do samej skóry włosów i przestał przejmować się swoim wyglądem, ale wiedział, jak obco musi wyglądać w oczach starych przyjaciół.

Było jednak coś, co go niepokoiło: spojrzenia, które David wymienił z Benem, jakby mieli jakąś wspólną tajemnicę. Poza tym Ben nie chciał, żeby David został z nim sam na sam. Dlaczego? I pytali go o brata, dokładnie tak samo jak ci okropni policjanci. Powtarzał sobie, że dostaje paranoi — w szpitalu często posługiwano się tym terminem. To przecież zrozumiałe, że David zapytał go o wydarzenie, przez które tu się znalazł. Ale w obu wizytach było coś nienaturalnego. Nie spodobali mu się policjanci — serdeczność tego wysokiego była udawana, Frank widział to w jego oczach, a milczący gruby sierżant miał w sobie coś przerażającego. Inspektor raz czy drugi zerknął na sierżanta, jakby to tamten był z nich obu kimś ważniejszym. Nie byli podobni do policjantów, którzy przesłuchiwali go wcześniej.

— I co powiesz, mikrusie? — Frank gwałtownie się wzdrygnął. Ben wszedł niepostrzeżenie do cichego pokoju i stanął tuż przy jego fotelu. — Odprowadziłem twoich przyjaciół, wracają już do Londynu.

— To świetnie.

— Chyba wszystko poszło dobrze? Wygląda na to, że zrobią, co będą mogli, żeby ci pomóc.

— Tak, chyba mi pomogą.

Ben przyjrzał mu się twardym uważnym wzrokiem.

— To musiało być trochę dziwne, zobaczyć ich po tak długim czasie. Zaraz po wizycie policji.

— Tak... to był niezwykły dzień.

— Wydajesz się jakiś roztrzęsiony, Frank. Pora chyba na następną tabletkę. Przyniosę ci. Niedługo kończy się mój dyżur.

— Tak. Dobrze.

— Moim zdaniem nie powinieneś mówić doktorowi Wilsonowi i innym członkom personelu, że twoi przyjaciele spróbują cię stąd wyciągnąć — rzucił Ben celowo lekkim tonem.

— Dlaczego?

— Na razie tak będzie lepiej. Niech twoi znajomi zorientują się najpierw, jaka jest twoja sytuacja w sensie prawnym. Aby mieć już wszystko przygotowane, kiedy będzie trzeba zwrócić się do doktora Wilsona.

Frank pokiwał głową, ale nagle nabrał straszliwej pewności, że dzieje się coś, co przed nim ukrywają i w co zaangażowani byli Ben, David i Geoff, być może nawet policja. David przecież by mnie nie zdradził, powtarzał sobie. A właściwie dlaczego nie, kim ja dla niego jestem? — pomyślał nagle.

— Grzeczny chłopiec — mruknął Ben. — Przyniosę ci tabletkę.

Nie wezmę jej, pomyślał Frank, kiedy tamten wyszedł. Udam, że ją łykam, ale nie zrobię tego. Muszę się nad wszystkim zastanowić, muszę mieć jasną głowę. Poczul nagle ból w chorej dłoni. Zaciskał tak mocno palce na poręczy fotela, aż zaczęło go w nich mrowić.



Wieczorem przyszedł po niego starszy pielęgniarz Sam, ten, który poprzednio zabrał go na spotkanie z policjantami. Wcześniej Ben podał mu tabletkę i szklanek wody do popicia. Łatwo było wsunąć ją pod język, a potem, kiedy Ben nie patrzył, schować do kieszeni. Musiał być czujny, nie wolno mu było dać się zaskoczyć.

— Dosyć tego siedzenia, Muncaster — mruknął niecierpliwie Sam. — Czas na kolację. Ruszaj do jadalni.

— Dobrze.

Sam poprowadził go korytarzem.

— Miałeś dziś dzień pełen wrażeń, Muncaster.

— Tak.

— Czego chcieli ci gliniarze?

— Nowy inspektor chciał po prostu zapoznać się ze sprawą.

— Ten starszy, z jasnymi włosami, był Anglikiem?

Frank posłał zaniepokojone spojrzenie Samowi.

— Nie wiem. Prawie się nie odzywał.

— Widziałem go na korytarzu i zastanawiałem się, czy nie jest Niemcem — powiedział Sam. — Wyglądają zawsze, jakby połknęli kij, nawet taki grubas jak on. To znaczy jeśli są żołnierzami albo urzędnikami. W czasie wielkiej wojny siedziałem w niemieckim obozie jenieckim, rozumiesz. Niemcy są twardzi, ale właśnie kogoś takiego trzeba, żeby zrobić porządek w Europie. — Sam przyjrzał się uważnie Frankowi. — Więc mówisz, że się nie odzywał?

— Prawie w ogóle. — Frank udał, że mało go to obchodzi.

W rzeczywistości jednak myśli wirowały mu w głowie. Sam zaprowadził go do jadalni, gdzie stały długie stoły i unosił się zapach rozgotowanych warzyw. Obserwowani przez Sama i dwóch innych pielęgniarzy pacjenci stali w kolejce do okienka, w którym wydawano potrawy. Przystanąwszy z boku, Frank starał się desperacko odgadnąć, o co w tym wszystkim chodzi. Czy Edgar poinformował amerykańskie władze, że wygadał się bratu? Ale przecież Amerykanie nie angażowaliby w coś takiego Brytyjczyków, a tym bardziej Niemców.

— Zbudź się, Muncaster! — zawołał Sam. — Stań w kolejce, bo zaraz zabraknie jedzenia.

Frank czuł się niczym szczur w klatce. Podszedł z tacą do okienka i dostał sinawą wątróbkę, rozmoczone warzywa i grudkowate ziemniaki purée nałożone na talerz łyżką do lodów. Kiedy odwrócił się w stronę stołów, za jego plecami rozległ się głośny brzęk. Siwy mężczyzna w średnim wieku cisnął swój talerz na podłogę. Inni pacjenci przypatrywali się temu z umiarkowanym zainteresowaniem; takie rzeczy często się tu zdarzały. Krępy pielęgniarz podbiegł do mężczyzny i szarpnął go za ramię.

— Jack! Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz?

— Nie będę tego jadł! — wrzasnął pacjent. — Są tu jakieś świństwa, chemikalia, którymi nas sterylizują. Nie będę tego jadł!

— Zamknij się, głupi sukinsynu! W jedzeniu nic nie ma! Jeśli nie chcesz kolacji, możesz jej nie jeść! Chodź, wracaj na oddział!

Pielęgniarz wywlókł na zewnątrz mężczyznę, który płakał teraz jak dziecko.

Frank usiadł naprzeciwko Patricka, małego grubasa koło trzydziestki z brudną czarną brodą. Należał do tych, którzy rzadko się odzywali, spędzając większość czasu w świetlicy i gapiąc się w telewizor. Starszy pielęgniarz odmówił szybko modlitwę, dziękując Bogu za posiłek. Wymagał tego szpitalny regulamin. Pacjenci wzięli do rąk sztucce; ostrza noży były tak tępe, a ząbki widelców tak krótkie, że Frankowi trudno było się nimi z początku posługiwać.

Z niechęcią zaczął dziobać widelcem wodnistą maź na talerzu. David nie mógł przecież współpracować z Niemcami, pomyślał. Ale był państwowym urzędnikiem, pracował dla rządu.

— Ludzie zwietrzyli pismo nosem — oświadczył nagle Patrick. — Mówię o tej nowej ustawie parlamentu.

Frank zerknął na niego zaskoczony. Patrick patrzył na niego jasnym rozumnym wzrokiem. Czasami zdarzały się takie rzeczy: ktoś, kto całymi tygodniami snuł się w milczeniu po oddziale, mówił nagle coś sensownego i uświadamiałeś sobie, że to człowiek z krwi i kości.

— Biedny stary Jack — podjął Patrick. — Dowiedział się o sterylizacjach. Wsadzili go tu, kiedy miał siedemnaście lat, za to, że baraszkował ze swoją siostrą. Wiedziałeś o tym?

— Nie. I przez cały czas tu siedzi?

— Oczywiście — odparł Patrick i straciwszy nagle zainteresowanie, zaczął ścigać gumowaty kawałek wątróbki na swoim talerzu.

Frank słyszał, jak kilku innych pacjentów rozmawia o wysiedlanych z miast Żydach. Podobno w telewizji miało być o tym jakieś oświadczenie i później rzeczywiście poszli do świetlicy obejrzeć wystąpienie Mosleya. Chłodne wyjaśnienia przywódcy faszystów na temat najnowszej i najgorszej rzeczy, jakiej się dopuścili, dodatkowo spotęgowały dręczący Franka lęk. Ludzie rozmawiali apatycznie o deportacjach, jedni twierdząc, że są spóźnione, inni, że okrutne. Do niektórych chyba w ogóle to nie dotarło. Frank zakradł się ponownie do cichego pokoju i chodził po nim niespokojnie w tę i z powrotem. Czuł się gorzej niż kiedykolwiek, miał wrażenie, jakby mrówki biegały mu po skórze. Zastanawiał się, czy nie wziąć jednak tabletki, ale nie zrobił tego. Musiał mieć jasną głowę. Oddychał szybko, na skraju paniki, myśli wirowały mu w głowie. Czy gruby policjant był Niemcem? Czy był w zмовie z Benem i Davidem? A jeśli tak, co planowali zrobić?

Tej nocy, podobnie jak wszystkim innym pacjentom, dano mu podwójną dawkę largactilu, żeby zasnął. Mimo to obudził się wczesnym rankiem; wszyscy dokoła spali, nocny pielęgniarz czytał przy świetle lampy biurkowej. Frank znowu pomyślał o samobójstwie. Jeśli umrze, jego tajemnica nigdy nie wyjdzie na jaw, nie będzie odpowiedzialny za straszne rzeczy, które mogłyby się zdarzyć. Pokonałbym ich, pomyślał, i położyłbym kres całemu temu bólowi i przerażeniu. I tak nie mam już przed sobą żadnej przyszłości, zawsze będę wegetował w miejscach takich jak to. A gdybym wpadł w ręce Niemców...

Zaczął się kolejny dzień: wstawanie z łóżek, ubieranie, wyjście na śniadanie. Dyżur ponownie pełnił Sam. Po śniadaniu pacjenci wrócili do świetlicy, żeby wziąć tabletki. Frank wziął swoje od Sama, ale znowu udał tylko, że je łyka.

— Doktor Wilson chce cię widzieć o dziesiątej — powiedział do niego Sam.
— Nie ruszaj się z oddziału.

Spanikowany Frank o mało nie połknął tabletki.

— W jakiej sprawie? — wymamrotał.

— Nie wiem. Będziesz musiał go zapytać.

W świetlicy pacjenci zasiedli tłumnie przed telewizorem; o dziewiątej nadawano program o zdrowym trybie życia; ludzie na zewnątrz mieli ostatnio fioła na tym punkcie. Frank słyszał, jak pacjenci z ożywieniem rozmawiają o programie; w zapowiedziach pokazano migawki ze sportowego obozu Butlins, na których półnagie kobiety robiły pompki i przysiady. Mężczyźni, z których wielu od lat nie widziało kobiety, spodziewali się nie lada atrakcji.

Frank wycofał się do cichego pokoju i przymknął za sobą drzwi. Na dworze znowu było mgliście, za oknami majaczyły szare, niewyraźne kształty. Czego chciał od niego Wilson? Czy chodziło o rozpoczęcie terapii elektrowstrząsowej? A może chciał mu powiedzieć, że odda go w ręce policji? Frank spojrzął na wiszący na przeciwległej ścianie obraz przedstawiający jelenia i nagle zaświtał mu w głowie pewien pomysł. Podszedł do obrazu na drżących nogach. Obraz był bardzo ciężki i z obolałą ręką trudno mu było go zdjąć, nawet kiedy stanął na przystawionym do ściany krześle. W końcu jednak mu się udało. Zlany potem, oparł ostrożnie obraz o ścianę. Zerknął nerwowo na drzwi do świetlicy; dochodził stamtąd pogodny głos telewizyjnej spikerki. W ceglanej ścianie tkwił wbity głęboko metalowy hak.



Frank utkwiał w nim wzrok. Nie chcę umierać, przemknęło mu przez głowę. Ale przecież nie robił tego dla siebie, pragnął tylko zabrać do grobu swój straszliwy sekret. Złapał oburącz za hak i zawisł na nim całym swoim ciężarem. Hak nawet nie drgnął. Frank podszedł do okna i znowu przez nie wyjrzał. Oddychając głęboko, zaczął się zastanawiać, czy nie myli się w ocenie wczorajszych wydarzeń. David i Geoff, podobnie jak on, nigdy nie lubili nazistów. Ale nie widział się z Davidem od dziesięciu lat. W tym czasie wszystko się zmieniło. Może oni i policjanci są w zмовie, może usiłują go razem pognębić. Wiedział, że jeśli wywrą na niego odpowiednio silną presję, załamię się. Pomyślał o metodach, jakie stosują podobno Niemcy, żeby zmusić ludzi do mówienia. Zacisnął mocno powieki. Przypomniał sobie nagle ojca, który zginął na froncie. Jeśli to zrobi, zginie bohaterską śmiercią tak jak on. Ze świetlicy dobiegł go tubalny śmiech. Podszedł do wbitego w ścianę haka. Krew pulsowała

mu w uszach. Nie miał dużo czasu. Zaraz mogli przyjść i zaprowadzić go do doktora Wilsona. Szybko zdjął kurtkę, a potem pogniecioną koszulę i skrzył ją w długi pas materiału. Niełatwo było mu zawiązać prowizoryczną pętlę. Stał w kamizelce na krześle i przytroczył koniec koszuli do haka. Był teraz całkowicie zdeterminowany niczym żołnierz, który ma zaraz wyskoczyć z okopu. Stojąc na krześle, założył pętlę na szyję, podkurczył nogi i zawisł całym ciężarem na napiętej koszuli. Nie rozdarła się. I wtedy skoczył.

Rozdział dwudziesty czwarty

W poniedziałek David wyszedł jak zwykle rano do pracy. Było nadal chłodno, niebo miało ołowianoszary kolor, w ciągu dnia zapowiadano mgły. Po tym wszystkim, co zdarzyło się od piątku, czuł się dziwnie, idąc normalnie na stację metra i wsiadając do porannego pociągu wraz z innymi pasażerami.

W niedzielny wieczór, po telewizyjnym wystąpieniu na temat Żydów, długo siedzieli przygnębieni w salonie, prawie się nie odzywając. Sarah miała ochotę zadzwonić do męża pani Templeman, ale wiedziała, że to zły pomysł; nie powinna nawet wiedzieć, że jej znajoma nie żyje. Oboje wzdrygnęli się, kiedy zadzwonił telefon. To była znowu Irene, dzwoniła, żeby zapytać się o zdrowie wuja Teda i przygotowania do świąt Bożego Narodzenia. Siedząc na krześle przy stoliku z telefonem i paląc papierosa za papierosem, Sarah starała się z nią rozmawiać, jakby nic się nie stało. Po wystąpieniu Mosleya oboje kopcili jak lokomotywy; powietrze w salonie było gęste od dymu. Słuchając żony, David domyślił się, że Irene poruszyła temat Żydów. Sarah najwyraźniej straciła cierpliwość.

— Jak możesz mówić, że trzymani są w dobrych warunkach? Wywleczeni z domów, eskortowani przez policję, muszą być przerażeni... Chyba nie ma sensu, żebyśmy o tym dalej dyskutowały — oświadczyła w końcu znużona i odłożyła energicznie słuchawkę na widełki. — Jeśli chce, żebyś uspokoiła jej obawy, trafiła pod zły adres! — skomentowała.

— Bądź ostrożna. Pamiętaj o kumplach Steve'a z Czarnych Koszul.

— Och, do diabła z nimi wszystkimi — zachnęła się.

Właściwie David cieszył się, że jest wściekła; odnajdywała w ten sposób wewnętrzną siłę, mimo że najwyraźniej winiła go za to, że jest zbyt chłodny i ostrożny. Wróciła na kanapę i dalej wpatrywali się w ciemny ekran telewizora, paląc papierosy i bojąc się, że usłyszą dzwonek telefonu albo, co gorsza, pukanie do drzwi.



Nazajutrz oboje mieli zaczerwienione z niewyspania oczy, ale wstali wcześniej i jak co dzień krzatali się po domu. Przy śniadaniu David zapytał, czy może ją zostawić samą. Sarah siedziała przy stole w szlafroku, blada i wyczerpana.

— Mam dzisiaj zacząć dzwonić po sklepach z zabawkami. Znajdę jakiś pretekst, żeby zatelefonować do Friends House i zapytać, czy wiedzą coś o biednej Jane.

— Pamiętaj, żebyś była ostrożna, kiedy będziesz z nimi rozmawiała.

— Oczywiście.

— Zadzwoń do ciebie z budki w czasie lunchu.

— Dlaczego nie możesz zadzwonić z biura?

— Po prostu jestem ostrożny.

— Jeśli użyjesz jeszcze raz tego słowa, zacznę krzyczeć.



Jadąc zatłoczonym metrem i trzymając się uchwyty, David rozmyślał o wydarzeniach poprzedniego dnia. Natalia odgadła jego sekret, była jedyną osobą, która go rozszyfrowała. Obiecała, że nikomu nie powie, ale powinna być przecież bardziej lojalna wobec ruchu oporu niż wobec niego. I co się teraz stanie z Frankiem? I z Sarah? Narażał ją na coraz większe niebezpieczeństwo.

Ludzie czytali w niezwykłym skupieniu gazety. Starsza para wymieniała półgłosem ostre uwagi, nie dbając o to, że ktoś ich usłyszy.

— Sukinsyny... To wstrętne, podłe... Człowiek wstydzi się, że jest Brytyjczykiem.

Kilka osób zmierzyło ich chmurnym spojrzeniem, ale większość schowała się jeszcze szczelniej za płachtami gazet. Pociąg wjechał do tunelu i David ujrzał swoje odbicie w szybie. Robił wrażenie kompletnie wykończonego. Musiał wziąć się w garść.

Wchodząc do ministerstwa, po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że nie jest to żaden azyl. Od lat wiedział, że służba cywilna wspiera zły rząd, że jest przez to bezpowrotnie skażona, ale po raz pierwszy poczuł to aż do szpiku kości.

W windzie dwaj jego koledzy dyskutowali na temat wpływu, jaki deportacje będą miały na stosunki z dominiami. Robili to w chłodny, oderwany, charakterystyczny dla służby cywilnej sposób, jakby rzecz dotyczyła abstrakcyjnego problemu.

— Oczywiście naszym kontrargumentem będzie, że z wyjątkiem Nowej Zelandii sami przecież zamknęli drzwi przed żydowskimi emigrantami.

— Właśnie. Przyganiał kocioł garnkowi.

— Owszem.

— Mogą zaproponować znowu opcję palestyńską.

— To się nie zdarzy, stary. Za dużo jest w tej sprawie imponderabiliów.

— Widziałeś te nowe ulotki ruchu oporu?

— Nie.

— Ktoś rozrzucił je na peronie metra na mojej linii. Typowa churchillowska gadka: niszczenie naszych wolności, dzielenie Brytyjczyków, kto będzie następny. Wszędzie pełno liter „V” i „R”. Tak się zastanawiam, czy można uznać, że Żydzi są Brytyjczykami?

— No właśnie. Mamy tu interesującą kwestię definicji.

— Przypuszczam, że to wywoła kolejne strajki i zamieszki.

— Jest coraz gorzej. Wiem, że Mosley chce stosować kroki odwetowe, brać jako zakładników osoby z rodziny aresztowanych członków ruchu oporu i rozstrzeliwać jedną za każdego zabitego żołnierza i policjanta.

— Niemiecka taktyka, tak? To poszło trochę za daleko.

— Być może.

David patrzył nieruchomo przed siebie. Winda jechała z terkotem w górę. Miał ochotę ich uderzyć, dać im po twarzy.



Tego ranka trudno mu się było skoncentrować. Na szczęście miał tylko rutynową biurową robotę. Pomyślał o Natalii, o jej migdałowych oczach, którymi spoglądała na niego z samochodu. „Powinieneś im powiedzieć”.

Na dworze zbierała się coraz gęstsza mgła. Koło południa David wstał z za biurka i zapalił światło. W porze lunchu poszedł popływać, ale najpierw zadzwonił do żony. Odebrała od razu. Głos miała znużony i ochrypły, ale normalny.

— To ja, kochanie. Masz jakieś wiadomości?

— Tak. We Friends House powiedzieli mi, że pan Templeman zadzwonił i poinformował, że jego żona zmarła na zawał — odrzekła. — Zatelefonowałam do niego, żeby złożyć kondolencje. Biedak, starał się być dzielny, ale słyszałam, jak łamał mu się głos.

— Na zawał? — powtórzył z niedowierzaniem David.

— Tak. Policjanci przyjechali do niego i poinformowali, że zmarła przy stacji Wembley. Na zawał serca. Będzie zrobiona sekcja. Oczywiście sfalszują jej wyniki, prawda? Widziałam krew. — Sarah też zaczął się łamać głos.

— Sekcję zrobi patolog z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nie pierwszy raz coś sfalszują.

— Pan Templeman powiedział, że pogrzeb będzie w przyszłym tygodniu. Chcę pójść.

— Tak, oczywiście. Chcesz, żebym ci towarzyszył? — zapytał.

— Dlaczego? W ogóle jej nie znałeś. Żeby upewnić się, że nie powiem nic głupiego?

David zamknął oczy.

— Nie. Żeby cię wesprzeć.

Sarah westchnęła.

— Przepraszam... po prostu... tak, proszę, pójdź ze mną.

— Słuchaj, to, że zamierzają zatuszować sprawę, wcale nie znaczy, że nie będą starali się ustalić, co naprawdę się wydarzyło. Musimy być dalej ostrożni.

— Wiem. Kiedy wrócisz do domu?

— Postaram się być trochę wcześniej.

— Zrób to. Nie jest ci łatwo, prawda? — zapytała po chwili.

— Tak. Nie jest łatwo.



Wrócił do biura, opatulając się płaszczem. W windzie spotkał Carol, która razem z innymi ludźmi wracała z lunchu. Nos poczerwieniał jej z zimna.

— Witaj, Davidzie — powiedziała, szeroko się uśmiechając. — Paskudna pogoda, prawda?

Trudno mu było z nią rozmawiać jak gdyby nigdy nic.

— Straszna. Mam nadzieję, że mgła nie potrwa długo.

— Mówią, że nie.

Wysiedli na drugim piętrze. Carol przyjrzała mu się z troską.

— Dobrze się czujesz?

— Chyba trochę się przeziębilem.

Carol znowu się uśmiechnęła.

— Nie gniewaj się, ale jesteś jakiś wymizerowany.

Zastanawiał się, co Carol myśli o deportacjach. Była miłą kobietą, ale to nic nie znaczyło; czasami okazuje się, że najprzystwoitsi ludzie akceptują straszne rzeczy.

— Mam nadzieję, że będziesz w lepszej formie w piątek — dodała.

— W piątek?

— Mówię o koncercie Bartóka w kościele Saint Mary's.

— A tak, oczywiście. Na pewno się do tego czasu wykuruję. — Zupełnie zapomniał.

— Dziewiątego grudnia w Queen's Hall zagrają piątą symfonię Beethovena. Wiem, że to daleko, ale gdybyśmy poprosili o dodatkowe pół godziny przerwy podczas lunchu...

— Zobaczę — odparł i odwrócił się, zdając sobie sprawę, jak bardzo uraził ją swoją obcesowością.



Kilka minut po trzeciej rozległo się zdecydowane pukanie do drzwi i do jego gabinetu wszedł Hubbard.

— Byłem przed chwilą u wiceministra — oznajmił prosto z mostu, siadając i wyjmując swoją srebrną tabakierkę. — Ta historia z Żydami może nam przysporzyć kłopotów. Kanadyjczycy i Australijczycy będą się bardzo stawiać na spotkaniu wysokich komisarzy w tym tygodniu. Będziemy stać na stanowisku, że to zarówno dla naszego, jak i dla ich dobra. Trzeba to załatwić w aksamitnych rękawiczkach, tak brzmi zalecenie z góry. Porządek dnia jest już, dzięki Bogu, zatwierdzony, będą to musieli zgłosić w punkcie dotyczącym innych spraw.

Hubbold wpatrywał się w Davida przez grube szkła okularów. Jak zwykle trudno go było rozgryźć, ale w jego głosie brzmiała szczególna nuta, jakby chciał podkreślić, że to zwyczajna rutynowa sprawa, nieróżniąca się od innych.

— Tak, panie podsekretarzu. Rozumiem — odparł David neutralnym tonem.

— Nawiasem mówiąc, dziękuję, że skontaktowałeś tych esesmanów z Afrykanerami.

— Wybierają się chyba do Senate House w środę.

Hubbold pokiwał głową.

— Świetnie. Wy tłumaczą pewnie Niemcom, że ich problem polega na tym, iż nigdy nie zdołają rozbroić Rosjan. Oni sami nie pozwolili czarnym zbliżyć się do broni.

— Tak jest — zgodził się David. — Wszystko sprowadza się do tego, kto trzyma w ręku pistolet.

Hubbold skinął głową i nagle na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie. David myślał przez chwilę, że on też jest wstrząśnięty wczorajszymi wydarzeniami i chce to jakoś skomentować.

— Mamy pewien problem z jedną z naszych teczek — oświadczył zamiast tego Hubbard. — Z jedną z tajnych teczek, do której mam dostęp. Kanadyjską teczką. Znalazłem w niej dokument, którego nie powinno tam być, dotyczący

południowoafrykańskiej pomocy wojskowej dla Kenii. Znalazł się w niewłaściwej teczce.

To ja go tam włożyłem, uświadomił sobie David. W zeszłą niedzielę, kiedy Hubbard zszedł do archiwum. Teraz obserwował bacznie swojego zwierzchnika.

— Zaglądałeś do tych akt przed zeszłotygodniowym zebraniem. Zauważyłeś, czy był tam dokument dotyczący Kenii? — zapytał Hubbard.

— Nie. Do tych akt akurat nie zaglądałem — zdołał odpowiedzieć spokojnym tonem David. — Ale pamiętam je, są sprzed kilku tygodni, prawda?

Ku jego uldze Hubbard pokiwał po prostu w zamyśleniu głową.

— Tak, przeszły przez wiele rąk. Pytam w naszym departamencie wszystkich, którzy mieli z nimi styczność. Na razie jednak do niczego nie doszedłem. Stawiam dziesięć do jednego, że błąd popełniła ta dziewczyna od Dabba. — Hubbard zmarszczył brwi. — Nie mam jednak pojęcia, jak mógł do niej trafić dokument dotyczący Kenii. Jest zastrzeżony, chociaż nie ściśle tajny. Jesteś z nią w przyjaznych stosunkach, prawda?

— Tak, dość przyjaznych.

Serce waliło Davidowi w piersi. Bał się, że Hubbard może to usłyszeć.

— Twoim zdaniem nadaje się do tej pracy? Wiesz, jakie roztrzępane potrafią być czasem kobiety.

— Nie mam powodu sądzić, że się nie nadaje.

Hubbard trochę oklapł.

— Będę musiał poinformować wiceministra — powiedział, kręcąc głową. — Trzeba będzie wszcząć dochodzenie. Oczywiście wewnętrzne, nie będzie chciał, żeby kręcili się tu ci klauni z MI5.

Boi się, że będzie miał krechę przed odejściem na emeryturę, pomyślał David. Hubbard wstał i żałośnie się uśmiechnął.

— No cóż, dziękuję. Zachowaj to naturalnie dla siebie — dodał i wyszedł.

David wpatrywał się przez chwilę w drzwi, a potem sięgnął po papierosa. Ta sprawa mogła pociągnąć za sobą poważne konsekwencje. Po raz pierwszy nie zachował ostrożności. Czuł, jak zaciska się wokół niego pętla. I co będzie z Carol? Czy ją też pociągnie za sobą na dno?



Wysłał przez ministerialnego gońca wiadomość do Geoffa. Czy po pracy może się z nim spotkać na drinka, przed ministerstwem o piątej. Odpowiedź brzmiała: tak, oczywiście.

Kiedy wyszedł z budynku, mgła zgęstniała. Samochody i autobusy wlokły się ulicą, urzędnicy wychodzili tłumnie z biurowców i znikali szybko w mroku. David zaczekał na stopniach ministerstwa. Geoff pojawił się po minucie, z fajką w zębach, ubrany, podobnie jak on, w ciemny płaszcz i melonik. Wydawał się zmęczony i jak zwykle jakiś wymięty.

— Przejdźmy się wokół Trafalgar Square — zaproponował David. — Muszę ci o czymś powiedzieć.

Geoff popatrzył na niego.

— Ja też — powiedział.

Razem z całym tłumem ruszyli powoli w stronę placu. David pomyślał o Żydach, o wszystkich tych osaczonych, przerażonych ludziach gnieźdzących się w jakichś barakach, podczas gdy mieszkańcy Londynu normalnie wracali do domu. W oddali zabrzmiał Big Ben. Na Trafalgar Square samochody tkwiły w korku.

— „Evening Standard”! Kolejarze grożą nowym strajkiem! — wołał gazeciarski na rogu.

— Spróbujmy dostać się na środek placu — powiedział Geoff. — Tam będzie trochę spokojniej.

Jakiś zgarbiony staruszek minął ich, zanosząc się chrapliwym kaszlem spowodowanym przez zanieczyszczone powietrze. Zachowując ostrożność, zeszli na jezdnię i przecisnęli się między stojącymi pojazdami. Znużeni pasażerowie autobusu gapili się przez zaparowane szyby. Chłopiec w szkolnej czapce pokazał im bezczelnie język.

Na wielkiej betonowej wysepce pośrodku placu znajdowało się niewielu ludzi. Kolumna Nelsona była prawie niewidoczna. Zaczęli chodzić dokoła niej, obok przesuwających się w żółtym tempie samochodów.

— Mam złe wiadomości od Bena Halla ze szpitala psychiatrycznego — powiedział Geoff.

— Chodzi o Franka?

— Tak. Dziś po południu dowiedzieliśmy się, że... że próbował się powiesić.

David zatrzymał się.

— O Boże.

— Nie udało mu się. Zawiesił pętlę na haku od obrazu, ale ten nie utrzymał jego ciężaru. — Geoff westchnął. — Spacerujmy dalej. Umieszczono go w miejscu, gdzie nie może sobie zrobić krzywdy. Jest w wyściełanej celi i, niestety, w kaftanie bezpieczeństwa — dodał, krzywiąc się z odrazą.

— Biedaczysko. — David głęboko odetchnął. — Co teraz będzie?

— Trzeba go stamtąd wyciągnąć. Chcą, żebyśmy obaj wzięli w tym udział. W tej chwili dopracowują kwestie techniczne. To może oznaczać kolejną wycieczkę do Birminghamu, Davidzie, i to w najbliższych dniach.

— Jezu. — David spojrział na przyjaciela. — Posłuchaj, mam pewien problem. — Opowiedział Geoffowi o umieszczonym w niewłaściwej teczce dokumencie. — Hubbard będzie musiał wszcząć w tej sprawie dochodzenie.

— Czy jest coś, co może ich doprowadzić bezpośrednio do ciebie?

— Nie. Te akta przeglądało kilka osób. Ale wszyscy zostaniemy przesłuchani. Jeśli nie znajdą jakiegoś wytłumaczenia, zawiadomią służbę bezpieczeństwa. Hubbard nie chce tego, ale wcześniej czy później będą musieli to zrobić.

Geoff zatrzymał się. Zgasła mu fajka. Przez chwilę żuł ustnik. Stali tuż obok pokrytego sadzą, mokrego granitowego postumentu, na którym stał jeden ze strzegących kolumny Nelsona olbrzymich lwów z brązu. Po drugiej stronie samochodu ruszyły powoli z miejsca.

— Sytuacja robi się coraz trudniejsza — zauważył z cierpkim uśmiechem Geoff. — No cóż, zawsze wiedzieliśmy, że może do tego dojść.

David pokiwał głową.

— To nie wszystko — powiedział. — Sarah znalazła się wczoraj w samym środku zamieszek. Policja eskortowała grupę Żydów i kilka osób zaprotestowało, siadając przed nimi na jezdni. Wśród nich Sarah. Włączyli się w to jacyś bikiniarze i sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Geoff pokiwał głową.

— Nasi ludzie słyszeli, że deportacje nie wszędzie przebiegły tak gładko.

— To mało powiedziane. Zginęli ludzie. W tym również dobra znajoma Sarah.

— Wielki Boże. Aresztowali twoją żonę?

— Nie. Część Żydów uciekła i dwoje z nich pomogło jej się stamtąd wymknąć. Studenci. Ale jest tym wszystkim cholernie wstrząśnięta. Mężowi jej znajomej... tej, która zginęła... powiedziano, że żona zmarła na zawał na ulicy. Najwyraźniej chcą to zatuszować. Ale na pewno tego tak nie zostawią. Trop może doprowadzić do Sarah. Jestem teraz obciążeniem, Geoff — dodał po chwili David.

Do głowy przyszła mu szalona myśl, że ruch oporu mógłby pomóc mu zniknąć razem z Sarah, być może przemycić go z kraju razem z Frankiem. Zanim odkryją jego najgłębiej skrywany sekret — to, że jest pół-Żydem.

— To nie twoja wina — mruknął Geoff.

— Częściowo moja — odparł ponuro. — To ja wsadziłem ten dokument w złe miejsce.

Geoff zatrzymał się i wziął go za ramię.

— Przestań winić się o wszystko. To twoja największa słabość, zawsze tak było.

— Więc co teraz, do diabła, zrobimy?

Geoff zacisnął zęby.

— Znajdziemy budkę telefoniczną. I powiemy o wszystkim Jacksonowi.

Rozdział dwudziesty piąty

We wtorek wczesnym rankiem Gunthera obudził telefon z ambasady. Kazano mu zameldować się o ósmej u Gesslera. Ubierając się, miał nadzieję, że będą mogli wreszcie zacząć działać i sprowadzą bezpiecznie Muncastera do Senate House.

Ponieważ miał kilka wolnych minut, włączył telewizor. Od niedzieli nie było żadnych nowych wiadomości na temat Żydów. Pokazywano akurat materiał na temat wojny w Rosji; brytyjski reporter nadawał z bazy V3 gdzieś w regionie północnej Wołgi, w głębi stała na wyrzutni jedna z olbrzymich rakiet. Słychać było odliczanie po niemiecku, a potem V3, plując ogniem, pomknęła z głuchym niskim hukiem w górę. Kamera śledziła tor rakiety do chwili, kiedy ta zmieniła się w mały punkcik i zniknęła.

— „Ta rakieta zmierza w stronę rosyjskiego miasta gdzieś w Syberii Zachodniej” — powiedział reporter. — „Widząc to, trzeba zapytać, jak ludzie nawet tak uparci i fanatyczni jak Rosjanie mogą przetrwać tego rodzaju bezustanną rzeź?”.

Gunther skrzywił się. Wiedział, że bez względu na rozmiary możliwych szkód w jakimś syberyjskim mieście Rosjanie rozproszyli swoją wojenną produkcję, lokując ją w kilkudziesięciu miejscach na olbrzymiej powierzchni syberyjskiej tajgi, często poza zasięgiem rakiet V3. Wyjrzał przez okno. W nocy mgła się roziała. Po drugiej stronie ulicy był kiosk z gazetami. Przy jego drzwiach stała figurka chorego na polio małego chłopca, ze smutną twarzą i obiema nogami w aparacie ortopedycznym. Drewniany chłopiec trzymał tabliczkę z napisem „Proszę o datek”. W głowie miał otwór, przez który wrzucało się monety. Gunther widział ofiary polio czołgające się po ulicach Londynu. Znacznie lepiej jest, pomyślał, zakończyć cierpienia takiego dziecka szybkim bezbolesnym zastrzykiem.



Gessler czekał na niego w swoim gabinecie. Wydawał się podenerwowany, na policzkach miał czerwone plamy. Spojrzał spode łba na Gunthera.

— Ten wariat Muncaster próbował się wczoraj powiesić — oznajmił prosto z mostu.

— Dlaczego chciał popełnić samobójstwo akurat teraz? Przez cały czas, który spędził w szpitalu, wydawał się bardzo spokojny. Czy to z powodu naszego przyjazdu? A może z powodu przyjazdu tych innych gości?

— Kto może wiedzieć, dlaczego wariaci robią cokolwiek? — Gessler uniósł z wściekłością brwi. — Podobno w ogóle teraz się nie odzywa. Nie powiedział ani słowa. Nie chce nawet potwierdzić, jak nazywali się jego goście. Ja szybko bym to z niego wyciągnął. Ale mamy problem z doktorem Wilsonem. Zaparł się; nasi przyjaciele w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych prosili go, żeby przekazał nam doktora Muncastera, ale on się nie zgadza. Twierdzi, że nie może pozwolić na przesłuchanie kogoś tak chorego. Jeśli ktoś chce mu zadać pytania, domaga się, żeby odbyło się to pod nadzorem szpitala.

Gunther zmarszczył czoło.

— Dlaczego to robi?

— Moim zdaniem to typowo brytyjski upór i pewność siebie.

— Chyba tak. Te cechy dają o sobie czasami znać.

— Problem polega na tym, że Wilson zwrócił się do swojego kuzyna, który pracuje w gabinecie wiceministra zdrowia, Churcha. Rozmawiał z nim wczoraj i kuzyn wsparł Wilsona.

— Myślałem, że w Ministerstwie Zdrowia pracują teraz sami eugenicy. Czy Marie Stopes nie zalecała im, żeby sterylizowali psychicznie chorych?

— Owszem. Ministerstwem zawiaduje książę Westminster. Beaverbrook umieścił go tam, żeby pokazać, że sprawy społeczne nie są dla tego rządu priorytetem, lecz książę, choć sympatyzuje z nami, jest stary i głupi. A w ministerstwie nadal jest pełno przedwojennych filantropów. W Berlinie pracują nad tym, ale powiedziano mi, że muszą być ostrożni. Jeśli nasze naciski spowodują napięcia między Ministerstwem Spraw Wewnętrznych a Ministerstwem Zdrowia, brytyjski rząd może zacząć się zastanawiać, dlaczego, u licha, tak bardzo zależy nam na tym Muncasterze.

— A czas pracuje na naszą niekorzyść.

Gessler walnął pięścią w stół tak mocno, że podskoczyły na nim pióra i kałamarz. Gunther zauważył, że leżące na blacie papiery nie są już tak starannie uporządkowane. Gessler tracił nad sobą panowanie.

— Wiem, do cholery! Ale nie chcą mnie słuchać. I nie chcą wyjaśnić, dlaczego Muncaster jest taki cholernie ważny, na czym polega ta jego tajemnica. Czyżby po wszystkich tych latach nie można mi było zaufać?

Gessler spiorunował Gunthera wzrokiem, jakby to była jego wina. Ten zastanawiał się, czy jego zwierzchnik jest rzeczywiście tak bardzo sfrustrowany sprawą Muncastera. A może chodziło o złe wieści z Niemiec, o których mówił wczoraj?

Gessler odchylił się do tyłu i po chwili nad sobą zapanował.

— Musimy po prostu robić to, co w obecnej sytuacji jest możliwe — oświadczył, machając niecierpliwie ręką.

— Czy wiemy już coś więcej o gościach Muncastera?

— Mamy ich rysopisy. Pielęgniarzowi, który zaprowadził ich do Muncastera, podali te same fałszywe nazwiska. Zabrał ich tylko do niego i wyszedł. „Ludzi z tych sfer nie wypada wypytywać”, powiedział podobno Wilsonowi. Portier potwierdził, że mieli, jak to określił, „akcent z wyższych sfer”.

Gunther potrząsnął ze znużeniem głową. Mierziła go niezdolność Gesslera do trzymania na wodzy swoich emocji.

— Wilson oświadczył, że Muncaster pozostanie w zamknięciu pod jego osobistym nadzorem. Nie zdaje sobie sprawy, co możemy mu zrobić, jeśli będzie się dalej z nami bawił w kotka i myszkę — dodał z wściekłością Gessler.

Gunther wiedział, jak zazdrośnie Brytyjczycy strzegą resztek swojej niezależności. To nie była Polska. Gessler odwrócił się od niego i z nadąsaną miną wyglądał przez okno.

— Goebbels ma dziś wygłosić wielką mowę — oznajmił nagle, zmieniając temat. — Podziękuje Wielkiej Brytanii za to, że podjęła kroki mające na celu rozwiązanie problemu żydowskiego. Powie, że ma nadzieję na bliższe związki z Brytanią i korzystny rozwój sytuacji międzynarodowej.

— Chce mieć za sobą Wielką Brytanię w razie sukcesji.

— Wiem. Korzystny rozwój sytuacji międzynarodowej? Co to może oznaczać? Rozmowy z Amerykanami? Z Rosjanami?

— Nie wiem, Herr Standartenführer — odparł z troską w głosie Gunther. — Chciałbym to wiedzieć.

Gessler przez chwilę milczał.

— Jak poszło z Syme'em wczoraj wieczorem? — zapytał w końcu.

— Moim zdaniem mamy go w kieszeni.

— To dobrze.

— Powiedział, że jego komisarz przedzwonił do niego i kazał mu z nami dalej współpracować. Wie, że zostanie nagrodzony.

— Ta zachęta wyszła ode mnie. — Gessler skrzyżował ręce na piersi. Znowu nad sobą panował. — Chcę, żebyś posłał dzisiaj Syme'a do Oksfordu. Ma ustalić nazwiska tych ludzi z fotografii. Czeka już na niego samochód. Musi to

załatwić sam, tę operację ma przeprowadzić od początku do końca Wydział Specjalny. Czeka na dole, poinstruuj go, zanim wyjedzie.

— Tak jest, Herr Standartenführer — odparł Gunther. — Nie zaszkodzi chyba też przesłuchać ponownie kolegów Muncastera z Uniwersytetu Birmingham. Wiem, że policja nie trafiła na żaden ślad, kiedy przesłuchiowano ich bezpośrednio po wypadku, ale może Syme będzie bardziej dokładny, może uda mu się coś odkryć. Zwłaszcza jeśli pomogą mu koledzy z Wydziału Specjalnego w Birminghamie.

— Chcę, żebyś mu tam towarzyszył, miał go na oku. Aha, mam jeszcze informację na temat domu matki Muncastera w Esher. W miejscowej gazecie piszą, że został wystawiony na sprzedaż.

— W takim razie mogę tam pojechać i się rozejrzeć. Będę udawał kupca — powiedział Gunther.

Gessler spojrzał na niego z powątpiewaniem.

— Niemieckiego kupca?

Gunther uśmiechnął się.

— Mogę udawać Szweda. Dobrze, że postanowiliśmy ich nie okupować.



Syme czekał na niego na obitej skórze ławie w holu Senate House, postukując obcasem w marmurową posadzkę i obserwując z zainteresowaniem tłum wchodzących i wychodzących. Miał na sobie kolejny nowy garnitur i krawat spięty zwykłą szpilką, nie tą z błyskawicą Brytyjskich Faszystów. Widząc zbliżającego się Gunthera, wstał i podał mu rękę.

— Co nowego?

Gunther wręczył mu fotografię Muncastera z jego uniwersyteckimi kolegami i wyjaśnił, że chce, aby ustalił nazwiska widocznych na niej studentów. Syme pokraśniał z zadowolenia.

— Chętnie przesłucham tych nadętych bubków z uniwerku.

— Jeśli to możliwe, potraktuj ich delikatnie. Powiedz, że szukasz znajomych Muncastera, żeby sprawdzić, czy któryś z nich nie mógłby zostać jego powiernikiem.

— W porządku. — Syme spojrzał na gigantyczne popiersie Hitlera i zwisającą z sufitu wielką flagę ze swastyką. — Więc to tutaj wszystko się rozgrywa. Zawsze ciekawiło mnie, jak wygląda to miejsce. To zupełnie inny świat. Czysty, jasny, nowoczesny.

— Zgadza się — odparł Gunther, myśląc o walkach frakcyjnych i niekończącej się wojnie o władzę między SS a armią.

— Słyszałem, że w styczniu w Senate House odbędą się huczne obchody dwudziestolecia dojścia Hitlera do władzy.

— Zostały już tylko dwa miesiące.

Syme uśmiechnął się i uniósł brwi.

— Powiedziano mi, że odbędzie się także bankiet dla Brytyjskich Faszystów. Weźmie w nim udział sir Oswald.

— Tak — odparł z uśmiechem Gunther. — Chciałbyś, żebym zapytał, czy będziesz mógł dostać zaproszenie?

— Byłoby wspaniale.

— Na pewno uda się coś załatwić. A teraz powinienes już iść, czeka na ciebie kierowca.



Sześć godzin później Gunther szedł długą ulicą w Esher, mijając stojące po obu stronach wiktoriańskie wille. W kieszeni miał klucz do domu pani Muncaster. Wczorajsza mgła ustąpiła, ale popołudnie było chłodne i wilgotne. Rano zadzwonił do agenta nieruchomości, mówiąc, że reprezentuje szwedzką firmę zainteresowaną wejściem na angielski rynek i renowacją starych domów. Agent bardzo się ucieszył. Kiedy Gunther pojawił się w jego biurze, chętnie dał mu klucze, żeby mógł sam się rozejrzeć.

— Mądrze robicie, wchodząc teraz na rynek nieruchomości — oświadczył z rodzajem pogodnej desperacji. — Wszyscy twierdzą, że za rok ceny pójdą w górę. Dom wymaga sporo pracy, starsza pani żyła tam samotnie przez długie lata. Jest idealny dla dewelopera. Notariusz nie zatwierdził jeszcze testamentu, dlatego nie mogliśmy, niestety, powyrzucić starych gratów. — To świetnie, pomyślał Gunther. — Spadkobierca, który zlecił nam sprzedaż, mieszka w Ameryce — dodał agent. — To trochę wstrzymuje procedurę. Ale jeśli otrzymamy ofertę, z pewnością pchniemy sprawę do przodu.

Dotarłszy na miejsce, Gunther przekonał się, że agent miał rację: dom był bardzo zaniedbany. Farba łuszczyła się z okiennych parapetów i drzwi, furtka była na pół przegniła, a ogródek zarośnięty chwastami. Kiedy otworzył frontowe drzwi, w nozdrza uderzył go zapach wilgoci i stęchlizny. W domu panował półmrok, elektryczność była wyłączona. Coś w atmosferze tego domu przypominało Guntherowi mieszkanie Muncastera.

Przez chwilę włóczył się po pokojach, zaglądając do biurków i komód. Wnętrze nie odmalowywano od wielu lat. W kuchni zobaczył zostawione na suszarce talerzyki i filiżanki. Nie tak dawno gościły tutaj dwie osoby; najprawdopodobniej Muncaster i jego brat. W dużym pokoju od frontu mieścił się gabinet lekarski; znajdujący się tam sprzęt musiał mieć ponad czterdzieści lat. Po śmierci męża pani Muncaster nic tam nie ruszała. Głupia kobieta, pomyślał Gunther, powinna była sprzedać dom i przeprowadzić się do jakiegoś mniejszego mieszkania. Otworzył szuflady w biurku doktora, ale były puste. W sekretarzyku w salonie znalazł całą szufladę domowych rachunków i kilka starych fotografii; one także wyglądały, jakby zrobiono je przed wielką wojną. Rozczarowany, rozkaszłał się; wilgoć i kurz podrażniły jego drogi oddechowe.

Niewiele lepiej powiodło mu się na piętrze. Były tam dwie małe sypialnie z pojedynczymi łózkami. Na ścianach wisiały mapy i zdjęcia pociągów: mieszkali tam pewnie chłopcy. W dużej sypialni, która musiała należeć do pani Muncaster, była szafa wypełniona utrzymaną w ciemnych kolorach, zalatującą stęchlizną garderobą. Na ścianie wisiała fotografia dobrze zbudowanego przystojnego młodzieńca w akademickim birecie i todze; to musiał być Edgar, brat Franka. Nigdzie nie widział zdjęcia tego ostatniego.

Zorientował się, że traci czas; nic tutaj nie znajdzie, żadnej informacji o którymkolwiek z braci. Kolejna ślepa uliczka. Robiło się ciemno, coraz trudniej było coś zobaczyć. Otworzył ostatnie drzwi. Następna mała sypialnia. Jeszcze jedno pojedyncze łóżko, jeszcze jedna wiktoriańska komoda. Ale przy oknie stał stolik, a na nim zobaczył coś nieoczekiwanego i dziwnego: oprawioną w srebrne ramki i nakrytą krepą dużą fotografię kobiety. Przed nią stała osadzona w srebrnym świeczniku świeca; w miseczce były zużyte zapalki. Gunther podszedł i wziął do ręki fotografię, strącając z niej krepę. Kobieta była w średnim wieku, z krótkimi sztywnymi lokami i sznurem pereł na szyi. Jej twarz przykuwała uwagę: duża, mięsista, z przenikliwymi oczyma. Policyjny instykt mówił mu, że nie jest to twarz osoby godnej zaufania. W prawym rogu był podpis: „Ethel Baker, 1928” i zdanie: „Duchy są wśród nas”.

Odstawił fotografię na stół. Pokój sprawiał wrażenie kapliczki, przyprawiał go o dreszcze. Gunther Hoth wierzył w rozum i porządek, i historyczną konieczność. Nie był skłonny do wyobrażania sobie różnych rzeczy, ale stojąc w tym pokoju, miał wrażenie, że smutek tego domu gęstnieje w nim i w kątach zbiera się ciemność. Po zakurzonym dywanie pełzły ku niemu dziwne zdesperowane istoty z poprzetrącanymi grzbietami. Nagle uświadomił sobie, że są wszędzie, wypełniają cały świat i wkrótce nie będzie nic poza nimi. Wzdrygnął się gniewnie i wyszedł z pokoju, a potem z domu, zatraskując za sobą drzwi. Nie znalazł tam nic, kompletnie nic.

Rozdział dwudziesty szósty

Tego wieczoru David ponownie wybrał się do Soho. Dostał wiadomość od Geoffa; chciał się z nimi spotkać Jackson. Zatelefonował do Sarah, informując ją, że znowu zostanie dłużej w pracy. Zapytała ze złością, czy naprawdę musi. Wiedział, że nadal jest wstrząśnięta tym, co zdarzyło się w niedzielę. Przeprosił ją i obiecał, że będzie się starał jak najszybciej wrócić do domu.

Cały dzień minął, odkąd szef powiedział mu o zabłąkanych aktach. Nikt już więcej o tym nie wspominał, ale domyślał się, że Hubbard rozmawia z innymi pracownikami i, podobnie jak jego, prosi ich o dyskrecję. Idąc korytarzem do windy podczas przerwy na lunch, zobaczył Carol, która siedziała przy swoim biurku, paląc papierosa z nieobecnym wyrazem twarzy. Nawet go nie zauważyła. Z nią także musieli rozmawiać.

Był zimny, wilgotny wieczór. W Soho zamykano już sklepy z egzotyczną żywnością, ekspedienci w brązowych fartuchach pakowali towar i opuszczali żaluzje. Davida minęli dwaj mówiący po włosku młodzi mężczyźni w tyrolskich kapeluszach i płaszczach z wywatowanymi ramionami. Pod jedną z wysokich latarni stał, oglądając się nerwowo, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna ubrany, podobnie jak David, w ciemne palto i melonik. Zapewne przyszedł tu, żeby znaleźć prostytutkę. Ulicznice miały się pojawić dopiero później. Mężczyzna napotkał jego spojrzenie i szybko odwrócił wzrok. David skręcił w alejkę za kawiarnią.

Miał właśnie zamiar wcisnąć dzwonek, kiedy drzwi otworzyły się i stanęła w nich wysoka i atrakcyjna młoda kobieta. Była ubrana w zielony płaszcz i miała uderzająco rude włosy wystające spod modnego kapelusika. Przyjrzała mu się jasnozielonymi oczyma i uśmiechnęła się.

— Jest pan jednym z przyjaciół Natalii, prawda? Mam na imię Dilys, zajmuję sąsiednie mieszkanie. Idę na zakupy, myślałam, że jest pan wczesnym klientem. Wszystko w porządku, pokazano mi wasze zdjęcia, żebym zapamiętała twarze. Uważam na was wszystkich, wie pan. Niech pan już idzie na górę — dodała z lekką przyganą.

David zdał sobie sprawę, że się zaczerwienił.

— Dziękuję.

Uśmiechnęła się, widząc jego zakłopotanie, po czym odeszła alejką. David wszedł na piętro i zapukał do drzwi Natalii. Uchyliła je i wyjrzała niespokojnie na zewnątrz. Dopiero po chwili go poznała i na jej twarzy pojawiła się ulga. Wpuściła go do środka.

— Przepraszam — powiedział. — Nie wcisnąłem dzwonka. Wpuściła mnie Dilys, właśnie wychodziła. Zna mnie, powiedziała, że widziała nasze fotografie.

Natalia pokiwała głową.

— Tak, Dilys jest ważna. Gdyby nie ona, nie mielibyśmy tego mieszkania. To nasza dobra przyjaciółka. — Tego dnia Natalia nie miała na sobie malarskiego fartucha, ale gruby szary sweter, który podkreślał bladość jej cery. — Jak się czujesz? — zapytała, przyglądając mu się z troską.

— Wyłonił się pewien problem w pracy.

— Tak, słyszałam. Nie mów mi, zaczekaj, aż przyjdzie pan Jackson. Tak właśnie lubi załatwiać sprawy — dodała, posyłając mu smutny, cierpki uśmiech.

— Wiem.

Na sztaludze stał szkic węglem przedstawiający postaci idące wąską brukowaną uliczką. Po jej obu stronach stały popadające w ruinę domy. Natalia podeszła do sztalugi.

— Zaczęłam to wczoraj. Po naszej rozmowie. To stara żydowska dzielnica w Bratysławie.

— Wygląda bardzo nędznie.

— Mieszkali tam najbiedniejsi Żydzi: sklepikarze, szewcy, robotnicy.

— Po śmierci matki ojciec powiedział mi, że mój żydowski dziadek był stolarzem, cieślą — oznajmił David. — To nie jest zawód, który kojarzyłibyśmy z Żydami.

Na jej ustach znów ukazał się ten cierpki uśmiech.

— Jezus Chrystus był żydowskim cieślą — powiedziała.

— Chyba tak.

— Skąd pochodzili? Rodzina twojej matki?

— Z jakiegoś miejsca w dawnym imperium rosyjskim. Nie jestem pewien, skąd dokładnie. Z Polski albo Litwy. Słowacja wchodziła dawniej w skład cesarstwa austro-węgierskiego? Przed wielką wojną? — David zaśmiał się ze skrępowaniem. — Mój ojciec miał stary atlas geograficzny sprzed tysięcy dziewięćset cztertnastego. Zajrzałem do niego zeszłej nocy.

— Tak. Niektórzy nazywali Austro-Węgry więzieniem narodów. Ale po wojnie sytuacja pod wieloma względami się pogorszyła, wszyscy się podzielili, zaczęli się przyznawać do własnych narodowości, tworzyć nowe mniejszości. Każdy coraz bardziej nienawidził innych. A wszyscy nacjonaliści nienawidzili Żydów, bo byli oczywiście obcy. Choć w Czechosłowacji, dopóki nie zajął jej

Hitler, nie było tak źle jak gdzie indziej. — Natalia wyciągnęła rękę i dotknęła przelotnie jego dłoni. — Przepraszam, to, co mówię, nie jest dla ciebie zbyt krzepiące.

David poczęstował ją papierosem.

— Nikomu nie powiedziałaś, prawda? O mnie? — zapytał.

— Obiecałam, że nie powiem. — Spojrzała na niego. — Ale nadal uważam, że sam powinienesz to zrobić.

David gorzko się roześmiał.

— Naprawdę nie sędzę, żeby to był najlepszy moment.

Natalia przechyliła głowę i cofnęła się o krok. Zmuszał ją, żeby strzegła jego sekretu. Po co zagadnęła go w niedzielę...

— Czy Żydzi w Bratysławie używali jidysz? — zapytał nagle.

— Owszem. Żydzi mówili w jidysz w całej wschodniej Europie. — Natalia uśmiechnęła się. — W naszych krajach mieliśmy prawdziwą wieżę Babel, wszyscy potrafili się jakoś porozumieć w trzech albo czterech językach. Twoja matka mówiła w jidysz? — spytała cicho.

— Odcięła się od tego wszystkiego, stała się angielską Irlandką. Ale tuż przed śmiercią powiedziała coś, czego nie zrozumieliśmy ani ja, ani mój ojciec.

— Pamiętasz, jak to brzmiało?

David roześmiał się z zakłopotaniem.

— To było siedemnaście lat temu. Nie wiem, to było jak „Ik hobdik leeb”.

David odwrócił wzrok, czując falę ogarniających go emocji. Usłyszał, jak Natalia powtarza te słowa z trochę innym akcentem.

— *Ich hob dich lieb.*

Popatrzył na nią.

— Tak, tak to brzmiało. Co to znaczy?

— Nie wiem — odparła, odwracając wzrok. — Znam w jidysz tylko kilka zdań.

Nagle zabrzączał dzwonek i oboje podskoczyli w miejscu. Natalia wyszła i usłyszała, jak zbiega lekko po schodach. Wróciła z Geoffem.

— Cześć, stary — przywitał go tamten z wymuszoną wesołością. — Co słychać?

— Hubbard przesłuchuje chyba pracowników.

Geoff zdjął płaszcz i kapelusz i uśmiechnął się półgębkiem, ale oczy miał niespokojne.

— Wszystko będzie dobrze.

Dzwonek zadzwonił ponownie. Chwilę później David usłyszał ciężkie kroki Jacksona, który wraz z Natalią wchodził po schodach. Starszy mężczyzna skinął im bez uśmiechu głową i zdjął płaszcz i kapelusz.

— Najwyraźniej wypłoszył pan z krzaków kilka zajęcy — powiedział do Davida, siadając ciężko w fotelu.

David opowiedział mu ponownie, co się przytrafiło Sarah w niedzielę, a także o odłożonym w niewłaściwe miejsce dokumencie. Jackson wysłuchał go z kamienną twarzą, zadając co jakiś czas ostre pytanie. Potem przez kilka chwil się zastanawiał.

— Moim zdaniem pańska żona jest bezpieczna — oświadczył w końcu. — Udało nam się namierzyć tę parę studentów. Większość z tych, którzy uciekli... choć nie było ich zbyt wielu... trafiła do naszych ludzi. Goje, którzy pomagają Żydom, są z nami na ogół w jakiś sposób związani.

— Co się z nimi stanie?

— Dostaną nową tożsamość. Żydzi z pewnością nie są pierwszymi osobami, którym to załatwiliśmy. Czy pańska żona ma całkowitą pewność, że nikt z jej komitetu nie zauważył, jak wychodziła z tą zabitą kobietą?

— Jest tego pewna.

— Przysporzył nam pan sporo roboty z odnalezieniem tych studentów. — Jackson westchnął. — A ta druga sprawa, odłożenie tajnego dokumentu do niewłaściwej teczki, jest dość niepokojąca.

W jego twardych zimnych oczach zapłonął gniew.

— David obawiał się, że go złapią. Musiał działać szybko — odezwał się Geoff.

Jackson zerknął na niego krótko, ale nic nie powiedział.

— Więc twierdzi pan, że Carol Bennett była przesłuchiwana?

— Owszem, sądząc po tym, jak wyglądała w porze lunchu.

— Jak, pana zdaniem, mogła zareagować?

— Nie uległa presji. Oświadczyła, że to nie ona, i nie wie, jak mogło do tego dojść. Zgodnie z prawdą.

— Uważa pan, że Bennett może skojarzyć jakoś te zamienione papiery z pana osobą?

— Nie. Nie ma żadnego powodu, żeby to zrobić. Poza tym... ma o mnie mylne wyobrażenie.

— Niech pan zachowuje się wobec niej normalnie. Nie mówi nic, że pana też o to pytali.

— W piątek mam z nią iść na koncert.

— Na pana miejscu bym to odwołał. Chyba lepiej, żeby was razem nie widywano.

— Zrobię to jutro. — David westchnął. — Wymyślę jakiś pretekst.

— Co powinien zrobić David, jeśli znowu zapytają go o te papiery? — zapytała Natalia.

Jackson ponownie zmierzył go twardym wzrokiem.

— Niech pan powie, że o niczym nie wie. Pracuję w służbie cywilnej od prawie czterdziestu lat, coś takiego zdarza się nie pierwszy raz. Przez jakiś czas będą węszyli wokół sprawy i wszystkich wypytywali, a kiedy nikt się nie przyzna, będą musieli zwrócić się z tym do MI5, tego, co z nich dziś zostało. Chyba że znajdą kozła ofiarnego, kogoś, kogo nie lubią i na kogo będzie można to zwalić. Prawdopodobnie pannę Bennett. — Przez chwilę się zastanawiał. — Na razie jesteśmy bezpieczni. Mamy dość czasu, żeby zająć się tym, co najważniejsze, czyli Frankiem Muncasterem. Czy zachowasz zimną krew, Fitzgerald, jeśli będą cię ponownie przesłuchiwać?

— Tak — odparł David. — Będę po prostu wszystkiemu zaprzeczać. Ale wcześniej czy później skojarzą to z faktem, że przyjeżdżam do pracy w weekendy.

— Nie pan jeden. Poza tym ma pan za sobą dwanaście lat nienagannej służby, cieszy się opinią lojalnego i nieprzesadnie ambitnego i jest szczęśliwym małżonkiem. — Jackson lodowato się uśmiechnął. — Niech pan nie zapomina, że to ważne. Dlatego pana wybraliśmy.

— Wiem. Przywykłem do tego, żeby kłamać — odparł cicho David i spojrzał na Natalię, która odwróciła wzrok.

Jackson wstał i zaczął chodzić po pokoju, co robił czasem, podczas gdy inni siedzieli. Geoff zapalił fajkę. Usłyszeli kroki wchodzących po schodach dwóch osób, a potem trzask zamykanych drzwi do mieszkania prostytutki i jej śmiech. Jackson z powrotem usiadł.

— Nasz przyjaciel w szpitalu psychiatrycznym, Ben Hall, okazał się bardzo sprytny — powiedział. — Wypytywali go o waszą wizytę w niedzielę. Odparł, że z tego, co wie, jesteście starymi kumplami Franka, z którymi pozwolił mu się skontaktować telefonicznie. Podane przez niego wasze rysopisy są w znacznym stopniu mylące. — Potrząsnął głową i znowu zimno się uśmiechnął. — Trzeba przyznać, że ci czerwoni są twardzi. Podobnie jak wcześniej, istnieje oczywiście ryzyko, że Muncaster wszystko wyśpiewa, ale najwyraźniej zaczął coś w rodzaju niemego strajku. W ogóle się nie odzywa. To nam odpowiada.

— Nie wiem, czy to odpowiada samemu Frankowi — mruknął David.

Jackson zmarszczył brwi.

— Na szczęście Hall ma go na oku.

— Próba samobójcza... — powiedział Geoff. — Czy zrobił to na serio, czy to było tylko wołanie o pomoc?

— Według Halla jak najbardziej serio. Ale nie możemy liczyć na to, że Muncaster zachowa milczenie. — Jackson wziął głęboki oddech. — Góra zdecydowała, że trzeba go stamtąd wyciągnąć, i to jak najszybciej. Chcą, żeby

wzięła w tym udział wasza trójka — dodał, patrząc na nich. — Byliście już wcześniej w szpitalu, a Drax i Fitzgerald go znają. Może uda wam się go namówić do współdziałania.

— Jak to będzie zorganizowane? — zapytała Natalia.

Jackson wstał i znowu zaczął chodzić po pokoju.

— Ben Hall będzie miał nocny dyżur. Niestety, musimy kilka dni poczekać. Nie chce o to specjalnie zabiegać, żeby nie budzić podejrzeń. Wygląda na to, że pacjenci dostają w nocy środki nasenne i personel jest bardzo nieliczny. Do niego będzie należało wyprowadzenie Muncastera na zewnątrz. Wy będziecie czekać w samochodzie. W ciągu dwóch albo trzech dni przetransportujecie go w kilku krótkich etapach na wybrzeże, nocując w zakonspirowanych lokalach. W tej chwili to załatwiamy. W miejscu, które ustalimy z jankesami, będzie czekał, żeby go zabrać, amerykański okręt podwodny. Ben Hall pojedzie razem z wami. Będziecie musieli wziąć urlop ze względu na jakieś sprawy rodzinne. — Jackson przerwał i uważnie im się przyjrzał. — Nie zamierzam was przekonywać, że to bezpieczna misja — dodał łagodnym tonem. — Ale będziecie mieli fałszywe papiery, odpowiednie legendy i z tego, co wiemy, nikt nie ma pojęcia, że Muncaster jest kimś więcej niż zbiegłym ze szpitala wariatem.

— Porywamy go — powiedział David. — Do tego to się sprowadza. Do porwania Franka.

— Dla jego własnego dobra — wyjaśniła Natalia. — Dla jego bezpieczeństwa.

— Wiem — odparł i popatrzył najpierw na nią, a potem na Jacksona. — Wiem, że musimy to zrobić.

Jackson pokiwał głową.

— To dobrze. Ben Hall da mu leki, pod wpływem których będzie oszołomiony, śpiący. Dostanie nowe ubranie. Innym ludziom może się wydawać po prostu trochę nienormalny. Niestety, potrwa jeszcze kilka dni, zanim wszystko będzie dopięte na ostatni guzik — dodał, unosząc brwi.

— Zostanie przewieziony do Ameryki — powiedział David. — I co dalej?

Jackson wzruszył ramionami.

— Przesłuchają go. Potem zaproponują mu może pracę w jakiejś instytucji naukowej, dadzą mu nowe życie. Ben Hall popłynie razem z nim, w szpitalu będzie kompletnie spalony.

— Czy zamkną Franka podobnie jak jego brata?

— Jego brat złamał prawo. Frank Muncaster jest w zupełnie innej sytuacji.

— Nie możemy wiedzieć, jak go potraktują — rzekł Geoff.

Jackson rozłożył ręce.

— Co innego możemy zrobić? — zapytał z gniewem. — Jakie ma w innym razie szanse?

— Żadnych. — David przez chwilę się zastanawiał, a potem wziął głęboki oddech. — A gdybym ja też ewakuował się tą łodzią podwodną? Razem z Sarah. Wtedy nie stanowilibyśmy już obciążenia.

Jackson wbił w niego wzrok.

— Jak, pana zdaniem, zareaguje na to pańska żona? — zapytał.

— Moim zdaniem obecnie podjęłaby ryzyko, żeby wydostać się z Anglii.

— Nie możemy tego zrobić, Fitzgerald — oznajmił ze zniecierpliwieniem Jackson. — Jeśli pan ucieknie, porzuci swoją pracę, wtedy dopiero zacznie się poważne dochodzenie. Nasza cała siatka w służbie cywilnej narażona będzie na niebezpieczeństwo. To naprawdę ostateczność.

— To ja narażam was na niebezpieczeństwo — upierał się David. — Jestem obciążeniem.

— Jeśli idzie o wyciągnięcie ze szpitala Franka Muncastera, jest pan naszym największym atutem — odparł Jackson.

— Co powiesz Sarah? — zapytał Geoff.

— Mam starego wuja, który mieszka na prowincji. Kiedy wybraliśmy się po raz pierwszy do Franka, skłamałem, że wuj jest chory. Teraz mogę powiedzieć, że umarł. Wyjaśnię, że muszę pojechać do Northampton, żeby załatwić sprawy.

— Świetnie — powiedział Jackson.

— Co takiego wie, do cholery, Frank? — zapytał go nagle David.

Jackson przez chwilę się zastanawiał.

— Świat jest w przełomowym momencie — oświadczył. — Hitler jest chory, Niemcy przegrywają wojnę w Rosji, wszędzie rośnie ruch oporu, w Ameryce mają nowego prezydenta. A to, co wie Muncaster, jeśli dostanie się w niepowołane ręce — dodał, podnosząc wypielegnowaną dłoń i poruszając nią najpierw w lewo, a potem w prawo — może przechylić szalę w niewłaściwą stronę.

Rozdział dwudziesty siódmy

W czwartek po południu Sarah pojechała razem z Davidem na pogrzeb pani Templeman. Chowano ją na cmentarzu przy brzydkim nowoczesnym kościele w Wembley, niedaleko stadionu. Na pobliskim murze ktoś namalował literę „R”. Sarah zabiło szybciej serce, kiedy zobaczyła symbol ruchu oporu. Przy bramie cmentarza czekał karawan z trumną przykrytą kwiatami. Jej wieko zabito zaraz po sekcji zwłok; nikomu nie wolno było zobaczyć rozbitej głowy pani Templeman. Myśląc o tym, Sarah poczuła, jak ściska ją w żołądku. Było zimno jak na koniec listopada. Idąc pod rękę z Davidem, zauważyła szron na trawie między grobami. Przypomniała sobie, jak jadąc z nią metrem w niedzielę, pani Templeman stwierdziła pogodnym tonem: „Mówią, że to najchłodniejszy listopad od wielu lat”. Trochę dalej przy świeżo wykopanym grobie i leżących na ziemi szpadlach stali dwaj grabarze w kombinezonach, trzymając w dłoniach czapki na znak szacunku. Sarah zaciskała palce na ramieniu Davida, wdzięczna, że jej towarzyszy.

Przy wejściu do kościoła gromadzili się ubrani na czarno ludzie. Rozpoznała kilka osób z komitetu; inni byli zapewne krewnymi i przyjaciółmi. Przedstawiono ją panu Templemanowi, niedużemu, chudemu mężczyźnie w kapeluszu, z bladą jak papier twarzą. Wspierając się na ramieniu podobnej do niego kobiety, pewnie siostry, robił wrażenie nieprzytomnego z rozpaczy. Dzięki Bogu, biedak ma jakąś rodzinę, pomyślała Sarah. Pamiętała, że syn pani Templeman zginął na wojnie w 1940 roku. Kiedy złożyła mu kondolencje, pan Templeman uścisnął jej dłoń i uśmiechnął się, w ogóle jej nie poznając; musiał zapomnieć, że rozmawiali przez telefon. Do siostry podszedł przedsiębiorca pogrzebowy w wysokim cylindrze i szepnął jej coś do ucha.

— Tak, powinniśmy już wejść — powiedziała.

Sarah obejrzała się za siebie. Trumnę wyjmowano z karawanu. Patrząc na domy po drugiej stronie ulicy, zastanawiała się, czy z któregoś z okien nie obserwuje ich funkcjonariusz Wydziału Specjalnego.

— Chodź, kochanie — powiedział David. Odwróciła się i weszła do kościoła.



Żeby nie myśleć o pogrzebie, rano zajęła się cerowaniem, a potem przygotowała lunch dla Davida, który wracał wcześniej z pracy i miał ją zabrać. Włączyła radio i puściła Light Programme. Miała nadzieję, że odpręży się trochę, słuchając muzyki, ale chwilę później wzdrygnęła się, słysząc dzwonek do drzwi.

W progu stał mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna, w czapce i brązowym kombinezonie.

— Pani Fitzgerald?

— Tak.

— Nazywam się Weaver. Z firmy Weaver i Syn. Prosiła nas pani o zrobienie kosztorysu remontu schodów.

Zapomniała, że mieli przyjść tego ranka. Wpuściła go do środka i pokazała tapetę zerwaną w miejscu, gdzie zamontowana była kiedyś bramka zabezpieczająca.

— Jeśli to ma porządnie wyglądać, będziemy musieli wymienić całą tapetę od góry do dołu — oznajmił. — Nie uda mi się znaleźć dokładnie pasującej.

Zmierzył ścianę, a potem zapytał, jakiego rodzaju tapetę by sobie życzyła. Sarah nie miała pojęcia. Weaver wyjął książeczkę ze wzorami i wybrała coś na odczepnego.

— Mogę pana teraz zostawić? — zapytała. — Robię lunch mężowi.

— W porządku. Przyślę pani kosztorys. — Majster uśmiechnął się. — Co tam pani miała, bramkę dla dziecka?

— Tak.

— Dorosło już na tyle, żeby samemu wchodzić i schodzić po schodach?

— Tak — odparła szybko. — Zgadza się. — Jeszcze niedawno słowa mężczyzny doprowadziłyby ją do łez.

— No cóż, będę się zbierał — powiedział majster. — Za parę dni podam pani dokładne wyliczenia. Chce pani, żebyśmy to zrobili przed świętami?

— Naprawdę jak najszybciej.

Dobiegająca z kuchni wesoła muzyka urwała się i zaczęły się wiadomości o dwunastej. Pod koniec, podobnie jak po każdych wiadomościach w tym tygodniu, spiker zaapelował, żeby wszyscy niedeportowani jeszcze Żydzi zgłosili się na najbliższy komisariat policji.

— Najwyraźniej nie zgarnęli jeszcze wszystkich — oświadczył neutralnym tonem pan Weaver, tak jak to robili obecnie ludzie, kiedy nie znali poglądów politycznych rozmówcy.

— Tak — zgodziła się Sarah.

Zamknąwszy drzwi za mężczyzną, spojrzała w górę schodów. Miała wrażenie, że Charlie naprawdę teraz odszedł, zniknął tam, dokąd odchodzą umarli.



Prowadzący nabożeństwo pastor był nudny, bez polotu. Poinformował żałobników, że znał panią Templeman od wielu lat, chwalił ją za głęboką wiarę, dobre uczynki i życzliwość. Powiedział, że miała szybką i bezbolesną śmierć, za co wszyscy powinni być wdzięczni. Twierdził, że jest teraz bezpieczna, w ramionach Jezusa Chrystusa. Sarah spostrzegła, że pan Templeman w ogóle go nie słucha. Wyglądał, jakby nie za bardzo zdawał sobie sprawę, gdzie się znajduje. Podobnie czuła się razem z Davidem na pogrzebie Charliego. Zerknęła na męża; patrzył gniewnie na pastora, jak gdyby w ogóle go nie rozumiał. Zaśpiewali hymn *Naprzód, żołnierze Chrystusa*. Łamał jej się głos. David śpiewał, lekko fałszując, swoim ciężkim, płaskim barytonem. Żadne z nich nie śpiewało zbyt dobrze, kiedyś żartowali sobie z tego.

Po pogrzebie ruszyli do wyjścia; przyjęcie urządzono tylko dla rodziny i bliskich przyjaciół.

— Dziękuję, że ze mną przyszedłeś, Davidzie — powiedziała.

— Wszyscy najwyraźniej uwierzyli w bajeczkę o zawale serca — odparł półgłosem.

— Nikt poza nami nie wie, że było inaczej. Biedni ludzie.

— Wracajmy do domu — rzekł łagodnie.



W samochodzie opowiedziała mu o wizycie tapeciarza.

— Powinniśmy to byli zrobić już dawno temu — stwierdził, ale kiedy wrócili do domu, miał dla niej kolejną złą wiadomość. — Obawiam się, że wkrótce będę miał następny pogrzeb — oznajmił. — Wuj Ted nie czuje się najlepiej.

— Myślałam, że mu się polepszyło.

— Ja też tak myślałem. Ale znowu trafił do szpitala. Wiesz, jak to jest ze starszymi ludźmi.

— Jak się dowiedziałeś?

— Podaliśmy w szpitalu numer do pracy. Powiedzieli, że może umrzeć w każdej chwili. — David uśmiechnął się nieśmiało. — Kiedy to się stanie, będę musiał pojechać na północ i wszystko pozatapiać. Nie musisz mi towarzyszyć.

Sarah zmarszczyła czoło.

— To nie byłoby w porządku. Pojadę z tobą. Ty byłeś dzisiaj ze mną.

— Będę musiał zostać tam parę dni, żeby wszystko zorganizować. Jestem egzekutorem jego testamentu.

Sarah pomyślała o pustej twarzy pana Templemana.

— Biedny wuj Ted — rzuciła cicho. — Tak naprawdę nikt nie będzie go opłakiwał.

David wydawał się jakiś skrępowany.

— Przynajmniej nikt nie będzie cierpiał — mruknął. — Tak jak my po śmierci Charliego.

Sarah westchnęła.

— Powinniśmy chyba kupić jakieś wino. Idziemy wieczorem do Steve'a i Irene — przypomniała mu. Dzień wcześniej Irene zadzwoniła i zaprosiła ich do siebie.

— Wolałbym tam nie iść.

— Musimy. Zajrzę do sklepu. Widziałam, że mają jakieś belgijskie czekoladki. Możemy zanieść je Irene. Z cłem importowym bombonierka będzie kosztowała krocie, ale...

— Dobrze.

Nagle zadzwonił telefon. Tym razem nie podskoczyli w miejscu, ale oboje znieruchomieli. Sarah była bliżej i podniosła słuchawkę.

— Halo?

Przez moment w słuchawce panowała cisza, a potem odezwał się kobiecy głos, kulturalny i nieco zdyszany.

— Czy mogłabym mówić z panem Fitzgeraldem?

Sarah spojrzała na Davida.

— Kto mówi? — zapytała.

— Nazywam się Bennett, panna Bennett. Pracuję z panem Fitzgeraldem. Czy mówię z panią Fitzgerald?

— Owszem. Czym możemy pani służyć, pani Bennett? — zapytała spokojnie i cicho Sarah, nie spuszczając wzroku z Davida. Otworzył nieco szerzej oczy, ale reszta jego twarzy zastygła w bezruchu.

— Chodzi o pewien problem, który wyłonił się w pracy. Byłabym naprawdę wdzięczna, gdyby poprosiła go pani do telefonu.

— Proszę chwilę poczekać. — Sarah zasłoniła dłonią słuchawkę i spojrzała na Davida.

— Czego chce? — zapytał.

— Mówi, że wyłonił się jakiś problem w pracy i chce o tym z tobą porozmawiać.

— Niech to diabli.

David sięgnął po słuchawkę. Sarah nie ruszyła się z miejsca; chciała słyszeć ich rozmowę. Zapamiętała twarz Carol z biurowych przyjęć: pociągłą, wyrazistą, drapieżną.

— Witaj, Carol — odezwał się ze zdziwieniem David. — Co się stało, dlaczego dzwonisz do mnie do domu?

— Dlaczego zostawiłeś mi wiadomość, że nie pójdziemy jutro na koncert? Czy prosił cię o to pan Hubbard? — Kobieta mówiła podniesionym tonem, w jej głosie brzmiała panika.

— Nie — odparł David. — Napisałem ci, że muszę dzisiaj iść na pogrzeb, a jutro będę odrabiał zaległości. Właśnie wróciliśmy.

— Tylko że... czy nie wypytywali cię o zamienione dokumenty?

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — odpowiedział po chwili wahania.

— Chodzi o to, że wypytywali mnie i obawiam się, że wpadłam w kłopoty. Przepraszam, że dzwonię do ciebie do domu, znalazłam twój numer w książce telefonicznej. Czy możemy spotkać się jutro podczas przerwy na lunch? Muszę porozmawiać z kimś z biura.

— Chodzi ci o zastrzeżone akta? Tylko pod warunkiem...

— Proszę, spotkajmy się jutro na lunchu. W British Corner House. O pierwszej. Proszę — powiedziała panna Bennett i chyba zakończyła rozmowę, ponieważ David patrzył przez chwilę zaskoczony na słuchawkę, zanim ją odłożył.

Sarah poczuła, że drżą jej nogi. Przeszła do salonu i usiadła. David szedł w ślad za nią. Sarah wzięła oddech, który wydawał jej się najdłuższy w życiu.

— Czy masz romans z tą kobietą? — zapytała. — Czy wymyśliliście tę historyjkę o zamienionych dokumentach na wypadek, gdybym odebrała telefon?

Przez chwilę patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem.

— Oczywiście, że nie. Co, u licha, skłoniło cię do takich przypuszczeń?

— Powiedziała, że odwołałeś wspólne wyjście na koncert. Chodziłeś z nią na koncerty. Wiem o tym, kilka tygodni temu znalazłam bilet z jej nazwiskiem! — Zdała sobie sprawę, że krzyczy.

David stał, wpatrując się w nią i nagle twarz poczerwieniała mu z gniewu.

— Grzebałaś mi w kieszeniach?

— Oczywiście, że nie, do cholery! Znalazłam go, kiedy szykowałam twój płaszcz do pralni. Nie pomyślałeś, że mogłam nabrać podejrzeń, biorąc pod uwagę, ile razy dzwonisz, mówiąc, że musisz pracować do późna w nocy? Biorąc

pod uwagę, ile razy jeździsz do biura w weekendy? I te wieczorne mecze tenisowe z Geoffem organizowane w ostatniej chwili? Uważasz mnie chyba za idiotkę!

— Nie...

— Dwa tygodnie temu zadzwoniłam do klubu tenisowego, kiedy miałeś tam grać, i wcale cię nie było! — Słowa płynęły jej z ust niepowstrzymaną strugą. Była przerażona, ale jednocześnie odczuwała ulgę. — Dlaczego miałaby dzwonić do ciebie do domu w sprawie jakichś cholernych zamienionych papierów?

David stał w miejscu, ciężko oddychając.

— Na litość boską, Sarah — wyjąkał. — Nie mam romansu z Carol Bennett. Byliśmy kilka razy na koncertach w porze lunchu, ale poza tym nigdy nie widywałem się z nią poza terenem biura. Ani razu.

— Byłeś z nią na biurowych przyjęciach...

— Tylko kiedy ty też w nich uczestniczyłaś...

— Widziałam, jak na ciebie patrzyła...

— Nie mogę na to nic poradzić! — krzyknął. — Chodziłem z nią na te koncerty, żeby wyrwać się bodaj na chwilę z tego cholernego ministerstwa. Tylko raz na kilka tygodni!

— A co robiłeś, kiedy nie było cię w klubie tenisowym?

Zobaczyła, że musiał zastanowić się moment, zanim odpowiedział.

— Musieli się pomylić w recepcji. Byłem tam. Możesz zapytać Geoffa.

— Oczywiście, Geoffa. Twojego najlepszego przyjaciela, który cię kryje! — Wylewał się z niej cały skrywany długo gniew.

— Opowiadasz głupstwa. Geoff nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

— Nie opowiadam żadnych cholernych głupstw.

David zamknął oczy i głęboko westchnął.

— Nie mam romansu z Carol Bennett — powiedział chłodno i spokojnie, kiedy je z powrotem otworzył. — Ani z nikim innym. Jeśli wpadła w jakieś kłopoty w pracy, powiem jej, żeby zwróciła się do władz. Nie bądź wobec niej zbyt surowa — dodał łagodniejszym tonem.

— A to dlaczego?

— To niemądra, samotna kobieta.

— Żałujesz jej, tak? — naciskała Sarah. — Tak właśnie postępują takie jak ona. Oczekują od mężczyzn litości. Tak to się zaczyna.

— Nie mam romansu — powtórzył cicho. — Próbowałem cię chronić. Bóg jeden wie, jak się staram, żeby cię ochronić.

— Przed czym? Przed tym romansem?

— Nie ma żadnego romansu! — On też zaczął już krzyżeć. — Przed światem, przed wszystkim, co się dzieje za progiem tego domu.

Sarah wbiła w niego wzrok.

— Nie musisz mnie chronić. Powiedz mi prawdę.

— Nie romansuję z Carol Bennett. Nie jestem nią zainteresowany. Taka jest prawda. Jeśli mi nie wierzysz, nie mogę cię do tego zmusić — oświadczył David i wyszedł z pokoju, jakby bał się powiedzieć coś więcej.

Rozdział dwudziesty ósmy

Gunther wysłał Syme'a do Oksfordu we wtorek. Tymczasem mijał już czwartek, 27 listopada, i nadal nie wiedzieli, kto złożył wizytę Muncasterowi w poprzednią niedzielę. Gessler coraz bardziej się srożył. Ministerstwo Zdrowia zaparło się, broniąc swoich prerogatyw — nie zamierzali pozwolić, żeby gestapo dobrało się do Muncastera. Mimo to po dziwnym ataku paniki w domu matki Muncastera Gunther czuł się spokojniejszy. Wiedział z długiego doświadczenia, jak trudno jest zidentyfikować ludzi, którzy chcą pozostać w ukryciu. To była żmudna praca, oczekiwanie na kluczowe informacje i błysk inspiracji. Syme robił co w jego mocy; on i jego komisarz wyznaczyli ludzi, którzy przez cały czas starali się ustalić tożsamość studentów z fotografii, porównując informacje, niechętnie udzielone Syme'owi przez uniwersytet, z danymi zawartymi w obszernej kartotece Wydziału Specjalnego w Londynie.

Syme wybrał się także ponownie do Birminghamu i przesłuchał dawnych kolegów Muncastera z pracy. Nie dowiedział się jednak nic nowego. Muncaster był samotnikiem, niezłym w pracy, ale kompletnie nieudzielającym się towarzysko. Powiedzieli Syme'owi, że robili sobie z niego czasem żarty, czego bardzo nie lubił.

— Co jest nie tak z tym pacanem? — zapytał potem zniecierpliwiony Gunthera. — Na tym świecie trzeba niekiedy stawić czoło drwinom, trzeba się bronić!

Podobny obraz wyłaniał się z rozmów z dawnymi wykładowcami Muncastera. Frank był bardzo skryty; nikt nie pamiętał, żeby miał jakichkolwiek przyjaciół. Całkiem sporo ludzi zapamiętało jego dziwny mały uśmiech. Jego dawny promotor nadal pracował na uniwersytecie, ale w tym momencie wracał statkiem z konferencji naukowej w Danii i miał dotrzeć na miejsce dopiero w środę wieczorem.

W czwartek Gunther przejrzał informacje na temat dawnych kolegów Muncastera z Oksfordu, przesłane przez Wydział Specjalny do Senate House. Ciekawiło go, co stało się z tymi ludźmi w ciągu osiemnastu lat. Część została na uniwersytecie, inni przeszli do biznesu albo służby cywilnej. Kilku walczyło na wojnie 1939—1940, jeden w niej zginął. Było też paru, którzy wyemigrowali do

imperium, i tacy, którzy się stoczyli; jeden siedział w więzieniu za fałszerstwo. Żaden nie miał powiązań z ruchem oporu, chociaż to wcale nie oznaczało, że z nim nie sympatyzowali. Jeden był Żydem, ale z jego akt wynikało, że został deportowany w niedzielę. Gunther zaczął się zastanawiać, czy ludzie, którzy odwiedzili Muncastera, nie znali go skądś indziej. Ale Frank nie miał żadnych innych znajomych mogących go odwiedzić, i według jego starego sąsiada, ci, których widział w mieszkaniu, byli w odpowiednim wieku i wywodzili się z odpowiedniej klasy. Instynkt podpowiadał Guntherowi, że byli na tej fotografii.

Ponieważ całą czarną robotę odwał za niego Syme i Wydział Specjalny, miał sporo wolnego czasu. Napisał do syna na Krymie, wspomniawszy, że wrócił do Anglii w związku z prowadzoną sprawą i że jest tu tak samo zimno i mokro jak zawsze. Zapisawszy jedną stronę, zorientował się, że nie ma już o czym pisać. Nie mógł rozwodzić się na temat szczegółów swojej pracy, nie chciał pisać o Anglii, a w jego życiu nie działo się teraz nic poza tym. Wstał i rozprostował zeszytowane ramiona. Od wizyty w tym żalnym, pustym domu stał się podatny na chandrę i przywidzenia.

Wcześniej tego dnia odwiedził w niewielkim biurze na parterze oficera, który kierował ośrodkiem przesłuchań w podziemiach Senate House. Facet nazywał się Hauser i przywitał się z nim jak gestapowiec z gestapowcem. Był trochę starszy od Gunthera; twardy i silny, w przeciwieństwie do niego nie obrósł sadłem. Oznajmił, że przez długie lata pracował w Polsce i Rosji, ale zaczął cierpieć na artretyzm w stopach, spowodowany, nie miał co do tego wątpliwości, przez surowe zimy na Wschodzie. W Anglii mimo wilgotnego klimatu poczuł się lepiej.

— Byłem w Wielkiej Brytanii wcześniej, w połowie lat czterdziestych — powiedział Gunther. — Wyposażaliśmy wówczas pańskie podziemia.

— Służyłem wtedy w Rosji. Było ciężko. Nie żeby teraz było łatwiej. Generał Rokossowski dowodzi zimową ofensywą, która, jak mówią, właśnie się zaczęła. On i Żukow mają chyba w żyłach niemiecką krew. — Hauser posłał znaczące spojrzenie Guntherowi. — Ale musimy doprowadzić nasze dzieło do końca.

— Zgadza się. Straciłem tam brata. To zdumiewające, że wciąż odpierają nasze ataki, wciąż żyją. Wiemy, że Stalin uśmiercił miliony jeszcze przed naszą inwazją, a my zabiliśmy trzydzieści milionów. Lecz oni wciąż stawiają opór, nacierają ze Wschodu.

— Poległo tylu dobrych Niemców. — Hauser zacisnął swoje wielkie pięści. — Ale będziemy walczyć dalej, wykończymy ich, a wówczas będzie tak, jak zaplanował Führer; cały obszar na zachód od linii Archangielsk—Astrachań oddany zostanie pod niemieckie osadnictwo. Pozwolimy Rosjanom wymrzeć

z głodu, zachowamy tylko część, żeby pracowali dla nas jako niewolnicy. Żaden nie będzie mógł nawet marzyć o dostępie do broni. Kiedy wojna dobiegnie końca, zasiedlimy cały kraj naszymi weteranami.

Gunther pokiwał głową.

— I innymi Aryjczykami: Holendrami, Skandynawami oraz wschodnimi Europejczykami, którzy spełnią kryteria rasowe. Musimy. Takie jest przeznaczenie Niemiec.

— Niemieckie farmy do Morza Kaspijskiego, tak?

— Owszem — odparł cicho Gunther. — I wielkie pomniki ku czci tych, którzy polegli tak jak mój brat. Słyszałem, że mówi się o tym w Berlinie: o wielkich pomnikach, wysokich na dziesiątki metrów, na których szczycie będzie płonął wielki ogień oświetlający nocą całą okolicę.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

— Nad czym pan tutaj pracuje? — zapytał w końcu Hauser.

— Niestety, sprawa jest ściśle tajna. — Gunther uśmiechnął się. — Ale dobrze nam idzie, może będzie pan miał kolejnego klienta.

— Zawsze starczy miejsca dla nowego. Ostatnio trafiło do nas całkiem sporo niemieckich Żydów z ubiegłotygodniowych łapanek, tych, którzy uciekli tutaj w latach trzydziestych i ukryli się wśród brytyjskich Żydów, kiedy w latach czterdziestych odesłano nam niemieckich zbiegów.

Gunther pokiwał głową.

— Żydzi zawsze sobie pomagają.

— Dlatego musimy załatwić definitywnie sprawę w Rosji, dorwać tych, którzy chowają się na tyłach.

— Jakież wiadomości z Berlina?

— Nie wydaje mi się, żeby Führer wrócił do zdrowia. — Hauser znowu posłał Guntherowi znaczące spojrzenie. — Musimy zadbać o to, żeby odpowiedni ludzie objęli władzę, kiedy go zabraknie.

— Zadbamy o to.

— Widziałem parę dni temu Rommla paradującego po holu w swoim mundurze, jak zwykle sztywnego i nadętego. — Hauser roześmiał się. — Słyszał pan, że rzucili w niego farbą podczas obchodów Dnia Pamięci?

— Tak, wszyscy o tym mówią.

— Jakaś niezależna brytyjska grupka. Zajęliśmy się nimi tutaj. Gdyby to był ruch oporu, odstrzeliliby mu łeb. Oddając nam, być może, przysługę — dodał Hauser półgłosem.

— Zgadza się. Jeśli Führer umrze i wojskowi spróbują przejąć władzę, Rommel stanie po ich stronie.

— A my staniemy po stronie Reichsführera Himmlera. W Waffen SS ma na swoje rozkazy milion ludzi, niech pan się nie obawia.

— Mam nadzieję.

Hauser był agresywny i pewny siebie, ale Gunther ponownie poczuł ukłucie lęku, obawę przed trudną do wyobrażenia ewentualnością, że niemieckie siły obrócą się przeciwko sobie.



Syme miał się z nim zobaczyć o czwartej, teraz było wpół do trzeciej. Na biurku Gunthera stała oparta o książki odbitka uniwersyteckiej fotografii Muncastera. Ponownie jej się przyjrzał; kiedy wpatrywał się zbyt długo w te małe ziarniste twarze, obraz rozmywał mu się przed oczyma. Wstał. W pobliskiej siedzibie Towarzystwa Anglo-Niemieckiego pokazywano wystawę „Feniks z popiołów. Dwadzieścia lat narodowosocjalistycznych Niemiec”. Postanowił, że ją obejrzy, może rozjaśni mu się w głowie. Wystawa była dobrze pomyślana; przechodząc z sali do sali, śledził historię Niemiec od upadku i ruiny w 1918 roku poprzez horror inflacji, kryzys i triumf Żydów. A potem nadejście Hitlera, odbudowa państwa, podboje w środkowej Europie i klęska Zachodu, epickie zmagania w Rosji. Poczł się ponownie podniesiony na duchu. Wszystko to przeżyłem na własnej skórze, pomyślał, brałem udział w największej epopei w dziejach.

Wrócił do Senate House. Wchodząc głównymi drzwiami, zobaczył Syme'a siedzącego na tej samej ławce, którą zajmował przed kilkoma dniami. Anglik przyglądał się z zainteresowaniem delegacji niemieckich przedsiębiorców witanej przez personel ambasady. Na jego pociągłej twarzy widniał powściągliwy uśmiech, jedna noga jak zwykle podrygiwała w górę. Kiedy do niego podszedł, Syme podniósł wzrok.

— Ustaliliśmy chyba tożsamość jednego z przyjaciół Muncastera — powiedział cicho.



Kluczowej informacji dostarczył dawny promotor Muncastera, który właśnie wrócił z Danii.

— Zapamiętał tego Davida Fitzgeralda bardziej niż samego Muncastera. Też go uczył. „Fitzgerald był młodzieńcem o bardzo ujmującej powierzchowności”

— zacytował opinię starego profesora, całkiem dobrze naśladowując afektowany sposób wysławiania się angielskich wyższych sfer. — „Gdyby trochę się postarał, mógł stać się całkiem charyzmatyczną postacią. Ale on był jednym z tych poważnych absolwentów grammar school, zadawał się z raczej mało ciekawymi ludźmi. Muncaster zamieszkał z nim i Fitzgerald wziął go pod swoje skrzydła. Mnie osobiście Muncaster przyprawiał o ciarki”. Odniosłem wrażenie, że stary zgred mógł się zabujać w Fitzgeraldzie — dodał normalnym głosem Syme i zmrużył oczy. — Zapamiętał, że Fitzgerald był przeciwko polityce appeasementu.

— A ten drugi? Blondyn? Zidentyfikowany jako Geoffrey Drax?

— Stary go nie zapamiętał.

— No i nadal nie wiemy nic o tej kobiecie. Mimo to... — Gunther zajrzał do notatek, które zrobił na temat Davida Fitzgeralda. — Urzędnik państwowy — mruknął. — Pracuje w Ministerstwie do spraw Dominiów.

— Tak. Urzędnik państwowy — powtórzył Syme i badawczo mu się przyjrzał. Tego dnia był bardziej spięty i rozedrgany niż zwykle. — Kazałem zrobić powiększenie. — Syme położył na biurku odbitkę. Ziarnista i powiększona do pełnego rozmiaru, przedstawiała jednego ze studentów ze zdjęcia, które zabrali z mieszkania. Przystojna twarz, poważna mina, tak jak mówił promotor. Ciemne kręcone włosy. — Dziś rano kazałem kurierowi zawieźć tę fotografię do Birminghamu i pokazać ją naszemu staruszkowi. Odpowiedź jest jednoznaczna: Fitzgerald był jednym z ludzi, których widział w mieszkaniu.

— Dziękuję — powiedział szczerze Gunther.

— My, Brytyjczycy, też potrafimy być skuteczni.

— Wiem.

— Oczywiście nie można wykluczyć, że Muncaster zatelefonował po prostu do Fitzgeralda jak do starego druha, żeby ten pomógł mu w kłopotach. Fitzgerald nie ma żadnych powiązań z ruchem oporu, o których byśmy wiedzieli. Drax także, jeśli to on był drugim gościem w mieszkaniu.

— Po co w takim razie je przeszukiwali? Ciągle się nad tym zastanawiam. — Gunther ponownie zajrzał do swoich notatek. — Widzę, że jego żona pochodzi z pacyfistycznej rodziny.

— Ale pacyfiści nie lubią ruchu oporu. Za dużo przemocy. Słyszałeś, że wczoraj w Liverpoolu wysadzili pojazd opancerzony? — zapytał Syme. — Sukinsyny. A Fitzgerald jest w służbie cywilnej od tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego, wyjąwszy okres, kiedy był w wojsku.

— Zgadza się. Walczył w Norwegii.

Syme wziął głęboki oddech.

— Jeżeli Fitzgerald działa w ruchu oporu i pracuje w ministerstwie, stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii — powiedział. — Nie wiemy, do jakich informacji ma dostęp w pracy. Może je przecież przekazywać drugiej stronie. Mój komisarz uważa, że musimy go w tej sprawie przesłuchać. My, Wydział Specjalny. Nie możemy go wam tak po prostu oddać — dodał Syme, z uśmiechem na poły nerwowym, na poły wyzywającym.

— Rozumiem wasz punkt widzenia — odparł Gunther. — Powiniennem chyba porozmawiać ze Standartenführerem Gesslerem.

— Oczywiście — zgodził się Syme i znowu się uśmiechnął, tym razem wrednie. — Ale komendant Wydziału Specjalnego chyba już z nim rozmawiał.



Kiedy Gunther wszedł do gabinetu Gesslera, Standartenführer robił wrażenie wykończonego, zbyt zmęczonego, by miotać się i krzyczeć. Komendant Wydziału Specjalnego rzeczywiście rozmawiał z nim przez telefon w sprawie Fitzgeralda i zawarli kompromis. Fitzgerald jako państwowy urzędnik powinien zostać przesłuchany wspólnie przez Gunthera i Syme'a. W grę wchodziło poważne zagrożenie bezpieczeństwa narodowego.

— A Ministerstwo Zdrowia nadal stwarza problemy w związku z Muncasterem — dodał Gessler. — Z ministrem będzie musiał porozmawiać ktoś z Berlina, ale wpadli tam w jakiś marazm. Nie wiem, co się dzieje z ludźmi w Berlinie. Jeśli wszystko weźmie w łeb, będziemy wiedzieli, kogo za to winić. — Spojrzał na Gunthera z dawnym zaciekłym błyskiem w oku. — Umówiliśmy się z komisarzem, że ty i Syme pojedziecie do Ministerstwa do spraw Dominiów i porozmawiacie ze zwierzchnikiem Fitzgeralda na jego temat. Wykrycie w ministerstwie działaczy ruchu oporu może być dla Wydziału Specjalnego powodem do chwały.

— Pomoże im w wojnie podjazdowej z MI5?

— Właśnie. — Gessler cierpko się uśmiechnął. — A my w tej ambasadzie chyba dobrze się znamy na wojnach podjazdowych... Następnie, jeśli nadal będziesz zdania, że dowiemy się czegoś ciekawego od tego faceta, możecie go obaj aresztować i zawieźć na przesłuchanie.

— Dokąd? — zapytał cicho Gunther.

— Tutaj, do Senate House. Ale będziecie go przesłuchiwać obaj. To wszystko, co udało mi się uzyskać od komendanta.

— Jeśli Fitzgerald wie, jaki sekret ukrywa Muncaster, wówczas Syme też go pozna.

— W takim razie, jak mówiłem wcześniej, trzeba się będzie zająć również Syme'em. Jeśli przywieziecie tutaj Fitzgeralda, weź pistolet na przesłuchanie — dodał bez ogródek Gessler.

— Ale jak wytłumaczymy śmierć Syme'a?

— Tym niech się martwią w Berlinie — odparł szorstko Gessler. — W tej sprawie nie pozostawili żadnych wątpliwości. Posiadane przez Muncastera informacje przeznaczone są wyłącznie dla nas.



Po powrocie do swojego gabinetu Gunther poinformował Syme'a o wspólnym przesłuchaniu. Inspektor zrobił się nieco zadziorny; relacje między nimi zmieniły się, takie w każdym razie wrażenie odniósł Gunther. Pogodził się już z myślą, że może trzeba będzie się go pozbyć. Facet próbował rozgrywać przeciwko sobie brytyjskie i niemieckie agencje; zawiadomił swojego komendanta o możliwym szpiegu w ministerstwie, nie wspomniawszy o tym wcześniej Guntherowi. Powinien zdawać sobie sprawę, do czego to może doprowadzić. Oślepia go własna arogancja, pomyślał Gunther.

— Zatem jedziemy do ministerstwa — podsumował Syme. — Wszyscy wychodzą tam z pracy o piątej, więc załatwię w wydziale, żeby spotkanie z szefem Fitzgeralda odbyło się jutro z samego rana.

Gunther zmierzył go twardym, długim spojrzeniem.

— Powiedzcie mu, że to ściśle tajne. Nie wymieniajcie w ogóle nazwiska Fitzgeralda.

Syme wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Dopilnujemy tego.

— Jaka będzie moja rola? Znowu będę milczącym sierżantem? — zapytał Gunther, starając się nie okazywać irytacji.

— Nie. Uznaliśmy, że dobrze będzie wspomnieć, że niemiecka policja pomaga nam w kwestii zagranicznych reperkusji tej sprawy — odparł Syme, uśmiechając się prowokacyjnie.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

W piątek wczesnym rankiem Syme zabrał Gunthera do ministerstwa. Jechali przez zatłoczone centrum Londynu. Był kolejny chłodny dzień, niebo zasnuły szare chmury.

— Prowadziłeś wcześniej śledztwo dotyczące urzędników ministerialnych? — zapytał Niemiec.

— Nie. To domena MI5. Chociaż w Whitehall nie było żadnych wypadków szpiegostwa od rozbicia komórki ruchu oporu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. To byli podwójni agenci. Szefowie ministerstw wyrzucili już przed wielu laty wszystkich potencjalnie niepewnych. Przynajmniej tak im się wydawało.

— Co to za facet? Ten, z którym się spotykamy.

— Szef departamentu, w którym pracuje Fitzgerald. Nazywa się Hubbard. Według mojego szefa to karierowicz, który chce dociągnąć do emerytury. Wydawał się zaniepokojony, kiedy do niego zadzwoniliśmy. Nie sądzę, żeby sprawiał jakieś problemy.

— Co mu powiedzieliście?

— Że mamy pewne podejrzenia wobec jednego z jego podwładnych. Nie przejmuj się, nie wymieniliśmy nazwiska Fitzgeralda.

Jadąc Whitehall, minęli Grób Nieznanego Żołnierza i zatrzymali się na rogu Downing Street. Wchodząc po stopniach do ministerstwa, Gunther spojrzął na fryz przedstawiający Afrykanów, Hindusów i funkcjonariuszy imperium, wszystkich pokrytych teraz sadzą. Syme podał swoje nazwisko staremu portierowi w recepcji, dodając, że jest umówiony z panem Hubbardem. Stary zatelefonował do jego gabinetu, po czym poinformował, że za minutę zjedzie po nich jakiś urzędnik. Poprosił, żeby wpisali się do księgi gości; Gunther umieścił w niej nieczytelny gryzmoł. Przez chwilę stali, obserwując posłańców w brązowych kombinezonach oraz urzędników w czarnych surdutach i prążkowanych spodniach.

— Co za typy! Widziałeś te ich ciuchy? — mruknął cicho Syme.

Gunther uśmiechnął się.

— W Niemczech niektórzy urzędnicy państwowi też tak się ubierają. Ale jest ich coraz mniej.

Młody pracownik zabrał ich na górę starą skrzypiącą windą. Spoglądając przez kratę, Gunther zobaczył przedzielone ściankami działowymi pomieszczenia, klitki i długie korytarze. Zaprowadzono ich do drzwi z wypisanym złotymi literami nazwiskiem „A. Hubbard”. Pracownik zapukał.

— Proszę! — zabrzmiał ze środka głęboki głos.

Syme pokazał policyjną legitymację i przedstawił Gunthera jako swojego niemieckiego kolegę. Hubbolda wyraźnie to zaskoczyło.

— Nie wiedziałem, że zaangażowane są w to niemieckie władze.

— Nasze informacje w tej sprawie pochodzą z Niemiec — wyjaśnił Syme.
— Współpracujemy z niemieckimi kolegami.

Hubbold przełknął ślinę.

— Czy został o tym poinformowany dyrektor gabinetu ministra?

— Wszystko w swoim czasie — odparł stanowczo Syme. Gunther mimo woli podziwiał łatwość, z jaką jego towarzysz panował nad sytuacją. — W tym momencie jest pan zobowiązany utrzymywać całą sprawę w tajemnicy. Jak poinformował pana wczoraj komendant, na mocy ustawy o nadzwyczajnych pełnomocnictwach instytucje bezpieczeństwa publicznego mają prawo skierować każdego obywatela...

— Tak, wiem — mruknął cicho Hubbard. — Nie mogę po prostu uwierzyć, że któryś z moich podwładnych dopuścił się... dopuścił się zdrady — dokończył z głębokim westchnieniem. — Kto to jest? W czyjej sprawie prowadzicie dochodzenie?

— Nazywa się David Fitzgerald.

Hubbold wytrzeszczył oczy za grubymi szklami okularów.

— Pan Fitzgerald może się pochwalić wzorowym przebiegiem służby — wyjąkał.

— Od jak dawna u pana pracuje? — zapytał Syme.

— Od trzech lat. Był zawsze sumiennym, ciężko pracującym, spokojnym urzędnikiem. Jest żonaty, prowadzi ustabilizowane życie.

— Wyczuwam chyba w pana głosie jakieś wahanie — rzekł z uśmiechem Syme.

Hubbold spojrział na swoje drobne delikatne dłonie. Przez chwilę poruszał szczęką, a potem podniósł wzrok.

— Wyłoniła się ostatnio pewna kwestia, pewien problem. Pan Fitzgerald może być w to potencjalnie zamieszany. Ale tylko potencjalnie; generalnie to sprawa archiwum, które mi nie podlega — oświadczył, po czym opowiedział im o memorandum, które w niewyjaśniony sposób znalazło się w tajnych aktach.

Zwracał się do Syme'a, lecz co chwila zerkał na beznamiętną twarz Gunthera. — Moim obowiązkiem jest pomóc w dochodzeniu. Ale w gruncie rzeczy to problem archiwum, jak już powiedziałem. Jego szef wyjaśnia tę sprawę z archiwistką — Hubbard skrzywił się z niesmakiem — odpowiedzialną za tajną kancelarię. Do niezastrzeżonych akt, z których pochodzi wspomniane memorandum, zaglądało ostatnio sporo osób.

— A pan Fitzgerald ma dostęp do tych akt, ale nie do tajnych akt w archiwum — odezwał się Gunther.

Hubbold odwrócił się i spojrzał na niego szeroko otwartymi oczyma.

— Zgadza się.

— Czego dotyczyły tajne akta?

Hubbold wyprostował się w fotelu i zacisnął w pięści swoje smukłe palce.

— Nie mogę tego powiedzieć. Nie bez zgody dyrektora gabinetu ministra.

— Czy moglibyśmy wezwać kierownika archiwum i tę archiwistkę, przekonać się, co mają do powiedzenia? — odezwał się grzecznie Gunther, grając rolę łagodnego policjanta w opozycji do twardego Syme'a. — A potem, być może, porozmawiamy z panem Fitzgeraldem.

— Teraz? — zapytał Hubbard.

— Tak, proszę — powiedział Syme. — I może każe pan również dostarczyć akta osobowe pana Fitzgeralda.

— Swoją drogą, rozumiem, że jest dzisiaj w pracy? — dodał Gunther.

— Owszem. Jechałem z nim rano windą.

— Może poprosimy portiera przy wejściu — zwrócił się Gunther do Syme'a — żeby zatrzymał Fitzgeralda, gdyby ten zamierzał wyjść z biura.

Syme pokiwał głową.

— Mógłby pan to zrobić? — poprosił ze złośliwym uśmiechem Hubbard. — Zadzwoń teraz w oba te miejsca?

— To jakaś pomyłka. Fitzgerald...

— Proszę zadzwonić! — powtórzył ostro Syme; zastraszenie starego urzędnika najwyraźniej sprawiało mu przyjemność.

Hubbold podniósł słuchawkę i zadzwonił najpierw do portierni, a potem do działu kadr. Na koniec poprosił do siebie Dabba wraz z panną Bennett. W jego głębokim głosie słychać było lekkie drżenie.

Czekali. Hubbard wpatrywał się w swoje dłonie zaciśnięte na bibularzu. Z zewnątrz dobiegały niewyraźne odgłosy rozmów. Sięgnął do kieszeni, wyjął małe srebrne puzderko i ku zaskoczeniu Gunthera wysypał dwie małe piramidki brązowego proszku na wierzch dłoni. Syme pochylił się do przodu.

— Co pan robi? — zapytał.

Hubbold popatrzył na niego.

— Zażydam tabaki. Ma pan coś przeciwko temu, inspektorze?

Syme wzruszył ramionami i roześmiał się.

— Myślałem, że to przedpotopowy zwyczaj.

— W żadnym razie. To o wiele zdrowsze od papierosów. — Hubbard wciągnął głośno proszek w nozdrza. — Kierownik archiwum, pan Dabb — odezwał się po chwili — powie wam, że Fitzgerald jest w dość przyjaznych stosunkach z tą archiwistką. Jestem pewien, że nie ma w tym nic zdrożnego, ale pomyślałem, że o tym wspomnę.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł pracownik z teczką personalną Fitzgeralda. Hubbard odebrał ją i po krótkim wahaniu przekazał Syme'owi, który do niej zajrzał. Gunther nachylił się i zaczął czytać. *Współpracuje dobrze z kolegami, ale przejawia pewną rezerwę. Raczej mało ambitny.* Miał żonę i syna, ale dziecko zmarło. Matka Fitzgeralda również już nie żyła, a ojciec mieszkał w Nowej Zelandii. W aktach była fotografia młodego człowieka w wojskowym mundurze, tak samo sztywno wyprostowanego jak na zdjęciu z uniwersytetu. Zdjęcie, co typowe dla Brytyjczyków, nie było uaktualniane od lat czterdziestych.

Gunther zapamiętał adres domowy Fitzgeralda. Podniósłszy wzrok, spostrzegł, że Hubbard bacznie mu się przygląda.

— Wszystko to... — stary urzędnik przez chwilę szukał odpowiedniego słowa — jest odrażające.

— Zdrada to dość odrażająca rzecz, dyrektorze — powiedział Syme.

Hubbard skrzywił się.

Rozległo się kolejne pukanie i do gabinetu weszły dwie osoby: mniej więcej trzydziestoletnia kobieta o pociągłej, inteligentnej twarzy oraz zgarbiony starszy mężczyzna w marynarce ze staroświeckim frakowym kołnierzykiem. Hubbard poprosił ich, żeby usiedli i przysunęli sobie krzesła. Przedstawił Gunthera i Syme'a, zaznaczając, że są z Wydziału Specjalnego. Starszy mężczyzna zacisnął wargi i rzucił gniewne spojrzenie kobiecie, która otworzyła szeroko oczy ze strachu.

Hubbard odezwał się pierwszy.

— Chodzi o ten dokument, który znalazł się w tajnej teczce — powiedział.

Dabb zrobił zdumioną minę.

— W jaki sposób dowiedziała się o tym policja? — zapytał ostro. — Wewnętrzne dochodzenie jeszcze się nie zakończyło.

Hubbard pokręcił ze znużeniem głową.

— Nie mogę powiedzieć. Wiem tylko, że jesteśmy zobowiązani do pełnej współpracy.

Z Dabba uszła nagle cała wola walki. Osunął się niżej na krześle.

— W moim archiwum nigdy dotąd nie wydarzyło się coś takiego — powiedział z cichą zaciekłością. — Ludzie nie przestrzegają procedur, trzeba ich strofować. Ale żeby źle umieścić tajny dokument pozostający pod moją kontrolą... Nigdy! — zawołał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— Więc to pan odpowiada za wszystkie tajne akta? — zapytał szorstko Syme. — Przechowywane w tym oddzielnym pomieszczeniu?

— Odpowiadam za całe archiwum — odparł niepewnie Dabb. — Ale muszę polegać na kompetencjach moich pracowników, wierzyć, że nie popełnią poważnych błędów. — Mówiąc to, posłał oskarżycielskie spojrzenie urzędnicze, która patrzyła na niego, ciężko oddychając. Próbują zwalić winę na nią, pomyślał Gunther.

— Ma pani coś do powiedzenia, panno Bennett? — zapytał Syme.

— Nie wiem, jak dokument dotyczący Kenii znalazł się w tajnej teczce. Nigdy wcześniej go nie widziałam. — Mówiła wyraźnie i spokojnie. Nie jest szczególnie atrakcyjną kobietą, pomyślał Gunther, ale przyciąga uwagę.

— Więc jak, pani zdaniem, tam trafił? — zapytał ze znużeniem Dabb. — Wybrał się na przechadzkę?

— Nie wiem. Przysięgam.

To prawda, pomyślał Gunther, ale kryje się za tym coś więcej.

— Niewiele kobiet wykonuje chyba ten rodzaj pracy — zauważył Syme. — Można by sądzić, że w przeciwieństwie do zawodu nauczycielki czy pielęgniarki to nie jest dla nich odpowiednie zajęcie.

Próbował ją sprowokować, ale panna Bennett nie straciła nad sobą panowania.

— Pracuję w służbie cywilnej od trzynastu lat — oznajmiła. — Mam certyfikat bezpieczeństwa. Nie sądzę, żeby pan Dabb miał kiedykolwiek wcześniej powód do skarg — dodała, patrząc swojemu zwierzchnikowi prosto w oczy.

— Skompromitowała się pani! — prychnął gniewnie Dabb. — Skompromitowała! Tak się składa — zwrócił się do Syme'a — że do teczki, z której pochodzi ten dokument, miał wgląd urzędnik blisko zaprzyjaźniony z panną Bennett. Nie wierzę, że to tylko zbieg okoliczności. Mówię o pańskim podwładnym, panu Fitzgeraldzie — powiedział, patrząc z pretensją na Hubbolda.

A więc Dabb również skojarzył te dwa fakty, pomyślał Gunther.

— Do akt zaglądało również parę innych osób — odparł poirytowany Hubbold.

Carol spojrzała na Syme'a.

— Pan Fitzgerald od lat jest moim przyjacielem. I tylko przyjacielem — oświadczyła.

— Mężczyźni i kobiety nie mogą być tylko przyjaciółmi — warknął Dabb.
— To nie leży w naturze rzeczy.

— Coś w tym jest — zgodził się z nim Syme, unosząc brew i spoglądając na Carol, która nagle się zaczerwieniła.

— Czy utrzymywała pani niewłaściwe stosunki z Davidem Fitzgeraldem?
— zapytał ją bez ogródek.

— Nie — odparła stanowczo.

— Chodzą czasami razem na koncerty — powiedział Dabb. — W biurze od dawna się o tym plotkuje.

— Dokąd chodzicie? — zapytał z drwiącym uśmiechem Syme. — Do jakiegoś małego hoteliku?

— Chodzimy na koncerty w porze lunchu. To wszystko, co robimy — odparła drżącym głosem Carol. — Pytajcie, kogo chcecie, zapytajcie samego Davida... pana Fitzgeralda. Nie odkryjecie nic niestosownego. Nic. Nigdy. Jest żonatym mężczyzną.

Gunther usłyszał w jej głosie nutkę goryczy. Wolałabyś, żeby był wolny, pomyślał.

— A zatem to tylko przyjaźń. Nic więcej — powiedział. — Ale czy pan Fitzgerald mógł dzięki tej przyjaźni zyskać dostęp do tajnych materiałów?

Carol popatrzyła na niego, po czym przełknęła ślinę i wzięła głęboki oddech.

— Jest pan Niemcem, prawda? Proszę mi powiedzieć, dlaczego pan się tym zajmuje?

— Nie pani interes — oświadczył ostro Syme. — On pracuje dla mnie. Tylko to powinno panią interesować. Niech pani odpowiada na pytania.

— Nie widzę, w jaki sposób David mógłby się dostać do tajnej kancelarii — odparła. — Nigdy nie rozmawiałam z nim na temat swojej pracy. Nigdy bym tego nie zrobiła. A on nigdy mnie nie pytał.

— A klucze do tajnej kancelarii? — zapytał Gunther. — Nigdy mu ich pani nie pożyczała?

— Oczywiście, że nie — odpowiedziała z desperacką szczerością. — W biurze zawsze trzymam klucze przy sobie, a wychodząc, zostawiam je w portierni. To nie jest w porządku — dodała, patrząc mu prosto w oczy. — Nie zadawałby pan mi takich pytań, gdyby chodziło o przyjaźń między dwoma mężczyznami.

Syme roześmiał się.

— Mógłbym pani o tym opowiedzieć ciekawe historie.

Hubbold i Dabb spojrzeli na niego z niesmakiem.

Klucze, pomyślał Gunther. Ludzie znają wiele sposobów, żeby zrobić duplikaty kluczy.

— A zatem fakt, że jedną z niewielu osób, które miały dostęp do tych akt, jest pani przyjaciel, to zwykły zbieg okoliczności? — zwrócił się do Carol.

— Nie wiem, czy to zbieg okoliczności — odpowiedziała gwałtownie. — Nie rozumiem tego.

— Czy rozmawiała pani kiedykolwiek z panem Fitzgeraldem na tematy polityczne?

— Nie — odparła.

— Jakie, pani zdaniem, ma poglądy polityczne? — zapytał Syme.

— Nie wiem.

— A pani jakie ma poglądy?

— Nie mam żadnych — powiedziała z autentycznym znużeniem. — Muszę się opiekować chorą matką, mam swoją pracę. Nie mieszam się do polityki.

Przez moment trwała cisza. Gunther spojrział na Syme'a.

— To chyba wszystko, czego chcieliśmy się dowiedzieć od pani Bennett — rzekł i wstał. Pozostali poszli za jego przykładem. Gunther uśmiechnął się do Carol. — Dziękuję, panno Bennett.

Spojrziała na niego niepewnie i wyszła.

— Odsunąłem ją od normalnych obowiązków — powiedział Dabb do Syme'a. — Sam nadzoruję teraz tajne akta. Czy to jest w porządku?

— Chyba tak. Na razie.

— Powinniśmy poinformować dyrektora gabinetu ministra. Natychmiast. Policja w ministerstwie!

— My się tym zajmiemy. — Syme spojrział na Gunthera. — On też chyba może już wyjść, prawda? — Gunther pokiwał głową. Syme uśmiechnął się do Dabba. — Spadaj, chłopie.

Dabb wydał z siebie dźwięk, jakby się zakrztusił, i szybko wyszedł. Zostali sami z Hubboldem.

— I co teraz? — zapytał cicho.

— Czy urzędnicy pracują tu czasem poza normalnymi godzinami? — zapytał Gunther. — Na przykład w weekendy?

— Owszem, kiedy to konieczne — odparł Hubbold i przez chwilę się wahał. — Pan Fitzgerald zajmuje się spotkaniami wysokich komisarzy Wspólnoty Narodów. W ostatnich miesiącach miał sporo roboty. Przychodzi w weekendy. Nawet go o to zagadnąłem, powiedziałem, że nie powinien tak często zostawiać żony samej w domu.

— Może teraz porozmawiany z panem Fitzgeraldem — powiedział Gunther. — Sam na sam. Mógłby pan zostawić nas na chwilę?

— To mój gabinet — oznajmił z niespodziewanym uporem Hubbard.

— Wie pan co? Może pójdzie pan na dół po Fitzgeralda — zaproponował Syme. — Przyprowdzi go tu do nas.

Hubbold przygryzł wargi, wstał i zacisnął pięści, jakby miał ochotę ich pobić.

— Oczywiście — oświadczył sztywno i opuścił gabinet.

— W tym, co łączy Fitzgeralda i tę kobietę, jest coś podejrzanego — powiedział Syme, kiedy za Hubbardem zamknęły się drzwi. — Czuję to.

— Nie sądzę, żeby wpuściła go do tajnej kancelarii — odparł Gunther. — Ale jest całkiem prawdopodobne, że dzięki niej załatwił sobie tam dostęp. Nie wiem tylko jak.

— Oglądał tajne akta w weekend i pomieszały mu się papiery?

— To wytłumaczenie wydaje się sensowne.

— Co zrobimy, kiedy wrócą? Pozbędziemy się tego starego głupca i aresztujemy Fitzgeralda?

— Chyba tak.

— Może aresztujemy również tę kobietę?

— Nie. Jeszcze nie. — Gunther spojrzał na Syme'a. — Nie róbmy z tego zbyt wielkiej afery. Tylko Fitzgeralda. Zabierzemy go do Senate House i przesłuchamy.

— Przesłuchanie w niemieckim stylu? — zapytał Syme.

— Na początek zadamy mu po prostu kilka pytań — odparł ze znużeniem Gunther. — A potem zobaczymy.

Syme wzruszył ramionami i popatrzył na niego z poważną miną.

— Szpiedzy z ruchu oporu zaglądnący do tajnych rządowych akt! To może być wielka afera.

— Wiem.

Drzwi otworzyły się nagle i stanął w nich Hubbard z zaczerwienioną twarzą, zmierzwionymi siwymi włosami i wybałuszonymi oczyma.

— Nie ma go! — zawołał. — Nie ma Fitzgeralda! Poszedłem do jego gabinetu i nie było go tam. Zadzwoiłem do portiera. Powiedział, że Fitzgerald zszedł na dół w kapeluszu i płaszczu. Portier przekazał mu moje polecenie, że ma nie wychodzić z ministerstwa, ale on po prostu wyszedł. Zignorował moje polecenie. Nie ma go. Zdradził mnie! — zawołał i w nagłym przypływie gniewu walnął pięścią we framugę.

Rozdział trzydziesty

Tego ranka David przygotowywał porządek dnia na następne spotkanie wysokich komisarzy. Kiedy wchodził do ministerstwa, Carol nie było za biurkiem. Bardzo zaniepokoił go jej wczorajszy telefon; nie wiedział, czy chciała wypłakać się na czyimś ramieniu po przesłuchaniu, czy też domyśliła się, że jest w to zamieszany. Z przerażeniem uświadomił sobie, że Sarah podejrzewa go o romans.

Poprzedniego dnia wieczorem poszli do Steve'a i Irene. Oboje byli przygnębieni i poirytowani. Przy kolacji Irene trajkotała o przygotowaniach do Bożego Narodzenia, chłodnej pogodzie i o tym, jak dzieci radzą sobie w szkole. Przez cały czas zerkiała niespokojnie na Davida i siostrę, wyczuwając, że coś jest nie w porządku. Steve najwyraźniej został ostrzeżony, żeby grzecznie się zachowywać, i nie mówiono nic o polityce i deportacjach, choć Irene wspomniała o jakichś burdach w Wandsworth, gdzie bikiniarze zniszczyli krzesła w sali, w której występował nowy zespół rockandrollowy z Ameryki.

— Mówi się o zakazie importu tych płyt z Ameryki — podsumowała.

— Powinni to zrobić — zgodził się Steve. — Bikiniarze zawsze się tłuką. Banda żulików. W tych swoich długich płaszczach wyglądają jak cioty, ale zachowują się jak oprychy.

— Podobnie jak członkowie Czarnych Koszul — zauważył David.

— Dajcie spokój — wtrąciła szybko Irene, żeby nie dopuścić do kłótni. — Wszyscy zgadzają się, że bikiniarze nie angażują się w politykę, po prostu zależy im na rozróbie.

Po posiłku oglądali telewizyjny program komediowy z Frankiem Howerdem, tak nudny, że Davidowi chciało się wyć. Kiedy wkładali płaszcze, Steve oświadczył, że po Bożym Narodzeniu wyjeżdża w podróż służbową do Niemiec.

— Do Linzu — powiedział. — Rodzinnego miasta Führera. Kolejny nowy projekt budowlany.

David nie dał się sprowokować. Wrócili samochodem do domu w lodowatym milczeniu.

— Nie romansuję z tą kobietą — powiedział, kiedy skręcali w swoją ulicę.
— Chciałbym, żebyś mi uwierzyła.
— Ja też bym tego chciała — odparła ze smutkiem Sarah. — Ale nie mogę.



Ciężko było mu skupić się na pracy tego ranka. Tuż przed dziesiątą zadzwonił jego telefon.

— Fitzgerald — rzucił oschle do słuchawki.

— David? — Rozpoznał głos Carol; była spięta i zdyszana.

— Tak?

— Davidzie, muszę się streszczać. Coś się wydarzyło.

— Co...

— Dzwonię z gabinetu przy korytarzu. Jest pusty, ale w każdej chwili ktoś może wejść. Posłuchaj, proszę, nie ma czasu. — Mówiła nagłym tonem. — Wysłałam właśnie ze spotkania z Dabbem i twoim szefem, panem Hubboldem. Byli tam... — David usłyszał, jak Carol bierze głęboki oddech — byli tam dwaj policjanci. Mówili, że są z Wydziału Specjalnego, ale jeden był Niemcem. W jednej z tajnych teczek był dokument, który nie powinien się tam znaleźć. Należał doteczki, do której ty też zaglądałeś. Hubbold poinformował o tym Dabba, a on próbuje zwalić winę na mnie...

Davidowi zabiło szybciej serce.

— To o tym chciałaś ze mną wczoraj porozmawiać? — zapytał.

— Tak. Davidzie, proszę, słuchaj. Policjanci chcieli się dowiedzieć, co nas łączy. Uważali, że mogłam cię wpuścić do tajnej kancelarii. Powiedziałam, że jesteśmy tylko przyjaciółmi i że o nic mnie nie prosiłeś. Ale na biurku Hubbolda leżały jakieś akta, zobaczyłam twoje nazwisko. To była chyba twojateczka personalna. Dzwonię, żeby cię ostrzec, mogą cię zaraz wezwać.

— Dlaczego zaangażował się w to Wydział Specjalny. I ten Niemiec? — zapytał David.

Starął się zachować spokój. To na pewno z powodu Franka, pomyślał. W jakiś sposób ich do mnie doprowadził.

— Nie wiem, ale musiałam cię ostrzec. Nie wiem, co się wydarzy. — Carol znowu załamał się głos. — Jeśli robiłeś coś, czego nie powinienes, nic mi nie mów, nie chcę wiedzieć.

— Przykro mi, Carol... — zaczął.

— Nic nie mów — powtórzyła świszczącym szeptem. — Nie powiem im tego, czego nie wiem. Jesteś dobrym człowiekiem, Davidzie — dodała

łagodniejszym tonem. — Cokolwiek robię, to było w słusznej sprawie. Wiem o tym. Wiesz, co do ciebie zawsze czułam — rzekła ze smutkiem. — Wiesz o tym, prawda? Domyśliłam się tego.

Nie odpowiedział. Nie był w stanie.

Przez moment w słuchawce trwała cisza.

— Nie znajdą przeciwko mnie dowodów, bo żadnych nie ma — odezwała się w końcu bardzo cicho. — Nawet jeśli uciekniesz. — Nie odpowiedział. — Uciekniesz, prawda? Nie, nie odpowiadaj.

— Carol...

— Musisz zrobić to, co uważasz za słuszne. Jesteś dobrym człowiekiem, Davidzie — powtórzyła i połączenie się urwało.

Odłożył zszokowany słuchawkę. A potem przypomniał sobie rutynowe zalecenia dotyczące tego, co miał robić w awaryjnej sytuacji, gdyby wszystko wskazywało, że został zdemaskowany. Natychmiast opuścić biuro, znaleźć budkę telefoniczną i zadzwonić pod numer, który zapamiętał już dawno temu. Wstał nagle od biurka. Wiedział, że jeśli teraz wyjdzie, Carol wpadnie w większe kłopoty. Kochała go, a on ją wykorzystał. I mimo to starała mu się pomóc.

Sarah. Jej także groziło niebezpieczeństwo. Groziło wszystkim, jeśli go złapią. Spojrzał na drzwi. Nadszedł w końcu ten moment; Hubbard, wszyscy, których znał w ministerstwie, stali się potencjalnymi przeciwnikami, zagrażali mu. Do tego ci dwaj policjanci, Anglik i Niemiec. Zdjął z wieszaka za drzwiami płaszcz i kapelusz i złapał teczkę oraz parasol. Szybko zszedł dwa piętra na parter; korciło go, żeby puścić się biegiem, ale wiedział, że to przyciągnęłoby uwagę. Przecinając hol wejściowy, usłyszał głos wołającego do niego portiera Sykesa.

— Panie Fitzgerald! Pan Hubbard powiedział, że ma pan zaczekać!

David nie zatrzymał się ani nie odwrócił, po prostu szedł dalekim krokiem do wyjścia. Stara sprzątaczką w kwiecistym fartuchu i chustce na głowie zerknęła na niego znad swojej szczotki.

— Panie Fitzgerald! — krzyczał Sykes. — Proszę zaczekać!

David wyszedł przez drzwi, potruchtął po schodach, a potem biegł przez cały Whitehall.



Znalazł budkę telefoniczną na rogu Trafalgar Square. W środku unosił się zapach moczu. Wyłowił z kieszeni kilka pensów, wykręcił zapamiętany numer

i stał, czekając, żeby nacisnąć przycisk A. Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odbierał.

Poczuł, jak ogarnia go panika. Czyżby policja zgarnęła już ludzi, którzy dyżurowali przy telefonie? Czy doszło do jakiejś wielkiej wpadki? Uznał, że to niemożliwe. W takim przypadku od razu by go aresztowali, nie zawracaliby sobie głowy wypytywaniem Hubbolda i Dabba. Sygnał w słuchawce nagle się urwał. Wykręcił ponownie numer. Ścisnął czarną ciężką słuchawkę tak mocno, aż rozboleły go palce. Ponownie nikt nie odebrał. Odwiesił słuchawkę i przez chwilę stał, patrząc przez brudne szyby budki na idących szarym rankiem ludzi, na brudne gołębie trzepoczące skrzydłami wokół kolumny Nelsona. Czuł absurdalny lęk przed opuszczeniem budki, jakby stanowiła jakieś schronienie. Muszę skontaktować się z Sarah, pomyślał nagle. Wiedzą, gdzie mieszkam, pewnie tam pojadą, ale muszę spróbować. To było niezgodne z instrukcją, lecz musiało się wydarzyć coś nieprzewidzianego; był teraz zdany tylko na siebie. Wykręcił swój domowy numer. Pamiętał, że sprzątaczką nie przychodzi w piątki; Sarah powinna być sama. Powie jej, żeby natychmiast wyszła i spotkała się z nim na mieście. Jednak tu także telefon dzwonił i dzwonił, i nikt nie podnosił słuchawki. Na myśl, że ją aresztowali, ugięły się pod nim nogi i musiał oprzeć się o zimną wilgotną ścianę budki. Tłumaczył sobie, że mogła po prostu wyjść na zakupy, robiła to na ogół w ciągu dnia. Musiał do niej pojechać. Wiedział, że to jest niebezpieczne, policja mogła obserwować dom, ale musiał to zrobić. Wykręcił jeszcze raz numer, lecz nadal nie było odpowiedzi. Wcisnął przycisk B, żeby odzyskać monety — mogły być mu jeszcze potrzebne — i wyszedł z budki. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak jest zimno. Wchodząc na stację metra, z ulgą powitał anonimowość podziemnej kolejki.



Chociaż codziennie jeździł metrem, od lat nie podróżował nim w środku dnia. Ostatni raz to mu się przytrafiło, kiedy zginął Charlie. Wtedy też była zima, spadło dużo śniegu i pociągi były opóźnione. W trakcie jazdy było mu niedobrze i kiedy dotarł do domu, poślizgnął się, upadł i nie wiadomo dlaczego nie mógł się podnieść, nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Sarah zobaczyła go i wyszła mu pomóc, pozostawiając w końcu martwe ciało Charliego.

Ktoś zostawił na sąsiednim siedzeniu egzemplarz „Timesa” i David wziął gazetę do ręki. Na pierwszej stronie była relacja ze spotkania Himmlera ze wschodnioeuropejskimi sojusznikami Niemiec i jego fotografia wraz z przywódcami Słowacji, Rumunii, Chorwacji i Bułgarii. Jednym z przywódców

był wielki tęgi mężczyzna z szeroką twarzą, opuszczonymi kącikami ust i koloratką na szyi. To musiał być Tiso, słowacki premier, o którym mówiła mu Natalia. Natalia, która go pociągała. Carol, która nie budziła w nim żadnych uczuć. Sarah, jego żona. Co się z nimi wszystkimi stanie? Schował twarz w dłoniach. Nie myśl teraz o tym, powiedział sobie. Postaraj się zachować chłodny, jasny umysł. Spojrzał na stojącą przy jego nogach teczkę. Złapał ją zupełnie instynktownie. Prawdopodobnie nigdy już z niej nie skorzysta, jego noga nigdy już nie postanie w ministerstwie, nigdy już nie będzie jednym z wielu podróżujących metrem mężczyzn w melonikach.

Wysiadł na stacji Kenton. Idąc do domu, rozglądał się, sprawdzał, czy nic nie odbiega od normy, nasłuchiwał dobiegających z tyłu kroków, cały spięty, gotów do ucieczki. Przypomniawszy sobie słowa ojca, który po jakimś dużym kryminalnym procesie powiedział kiedyś, że nigdy nie zrozumie, jak ktoś może wybrać życie kryminalisty. Jak można żyć w wiecznej obawie, że policjant położy ci dłoń na ramieniu. David zrozumiał to teraz; sam stał się kryminalistą.

Na ulicy przed domem było cicho. Ostrożnie wszedł do środka, zostawiając uchylone drzwi na wypadek, gdyby była tam policja i musiał odwrócić się i uciec. Jednak w domu słychać było tylko równomierne tykanie zegara w kuchni. Gdyby Sarah była obecna, na pewno by go usłyszała i wyszła do holu. Zaczął zaglądać do pokoi. Bał się tego, co może zobaczyć za każdym razem, gdy otwierał drzwi, lecz wszędzie panowała cisza i porządek. Zauważył, że na stoliku obok wazonu jego matki leży wyjęta z koszyka książka telefoniczna. Zamknął frontowe drzwi, usiadł w salonie i czekał na powrót Sarah, obserwując przez okno ulicę. To szaleństwo, pomyślał, w każdej chwili może tu wpaść policja. Nie mógł jednak porzucić żony, nie teraz. Cisza dzwoniła mu w uszach. To właśnie musi znieść Sarah, pomyślał, przez cały ten czas, kiedy siedzi sama w domu: ciszę i pamięć o Charliem. Jeśli poszła po zakupy, powinna wrócić najpóźniej za pół godziny. Otworzył tylne drzwi i wrócił do salonu: gdyby ktoś podszedł do furty, mógł wybiec z tyłu i spróbować przeskoczyć przez płot. A może lepiej będzie dać się aresztować? Czy przestaną wtedy interesować się Sarah? Ale co z innymi członkami jego siatki, z Geoffem, Jacksonem, Natalią i facetem z Ministerstwa do spraw Indii? Nie zdoła chyba trzymać języka za zębami, jeśli zaczną go torturować.

Minęło pół godziny. Przez jakiś czas przemierzał niecierpliwie w tę i z powrotem salon. W końcu wszedł do holu i wykręcił numer Irene. Odebrała prawie od razu.

— Tu David — powiedział, starając się mówić normalnym tonem. — Musiałem wrócić do domu, nie czuję się najlepiej. Nie zastałem Sarah. Wiesz może, gdzie jest?

— Mój Boże — zafrasowała się Irene. — To coś poważnego? Mogę ci jakoś pomóc?

— To niestrawność. Wymiotowałem. Po prostu zaskoczyło mnie, że Sarah nie ma w domu.

— Przykro mi, Davidzie, ale nie mam pojęcia, gdzie ona jest. Nie poszła na jedno z tych swoich zebrań?

— Nie. Dzisiaj nie.

Zakończywszy rozmowę, stanął niezdecydowany w holu. Przyszło mu na myśl, że powinien znowu zadzwonić do swojego łącznika, ale nie mógł tego zrobić z domu. Telefon był już pewnie na podsłuchu. Nie powinien nawet dzwonić do Irene. Przypomniał sobie, że na górze jest miniaturowy aparat fotograficzny i duplikat klucza do tajnej kancelarii. Poszedł po nie, a potem włożył kapelusz i wyszedł z domu. Pamiętał, że przy stacji metra jest budka telefoniczna. Spróbuje zadzwonić stamtąd. Może nawet spotka wracającą do domu Sarah.

Niestety, nie zobaczył jej. Wszedł do budki, wykręcił ponownie numer i tym razem od razu odebrał jakiś mężczyzna. Włączył się sygnał nakazujący wrzucić monety. David z uczuciem ulgi wcisnął przycisk.

— Tu Fitzgerald, David Fitzgerald. Policja przyszła do biura w związku z dokumentem, który włożyłem do niewłaściwej teczki. Było ich dwóch, jeden z nich to Niemiec.

Mężczyzna najwyraźniej wiedział, kim jest David.

— Gdzie pan teraz jest? — zapytał ostrym tonem. W jego młodym głosie słychać było silny akcent cockney.

— W budce telefonicznej niedaleko swojego domu. W Kenton. Koleżanka powiedziała mi, że u mojego szefa jest policja, więc od razu wyszedłem z biura. Portier próbował mnie zatrzymać, ale go zignorowałem.

— Cholera.

— Próbowałem dodzwonić się do was z budki w pobliżu biura, ale nikt nie odbierał.

— Musiałem wyjść, nie było mnie tylko dziesięć minut. Nie powinienem był... niech to szlag! Dlaczego pojechał pan do domu? — zapytał z nagłą pretensją mężczyzna.

— Martwiłem się o żonę. Nie ma jej w domu. Nie wiem, dokąd poszła.

— W pana domu wszystko w porządku? Nic nie wskazuje, że ktoś tam był?

— Nie. Czekałem, myślałem, że poszła po zakupy. — David głęboko odetchnął. — Co mam robić? Powiedziano mi, że jeśli coś się stanie, zaopiekujecie się moją żoną.

Mężczyzna zaczął mówić ciszej, uspokajającym tonem.

— W porządku. Musimy pana umieścić w jakimś bezpiecznym miejscu. Teraz niech pan jedzie do zakonspirowanego lokalu. Przyślemy kogoś do Kenton, żeby obserwował dom i zabrał pańską żonę, kiedy wróci.

— A Geoff? Geoff Drax?

— Zadzwonimy do niego i do innych w pańskiej siatce. Zaraz się tym wszystkim zajmę. Ale pan musi jechać do zakonspirowanego lokalu. Natychmiast.

David wziął głęboki oddech.

— Dobrze. Jestem teraz przy stacji metra.

— Świetnie. Metro jest najbezpieczniejszym środkiem komunikacji. Mamy pana domowy adres, wyślemy kogoś samochodem, żeby czekał przy domu na pana żonę.

— Już jadę.

David wyszedł z budki i stanął niepewnie przed wejściem na stację. Jakaś kobieta przyglądała mu się z zainteresowaniem. Próbował wziąć się w garść. Skąd mam wiedzieć, czy mówią prawdę, pomyślał, czy naprawdę przyślą kogoś po Sarah? Ale musiał im teraz ufać, poza nimi nie miał już nikogo. Zrozumiał nagle, jak bardzo przywiązany był do świata, w którym dorastał i w który nadal wierzył, że istnieje: do Wielkiej Brytanii, swojej ojczyzny, nudnej i zaabsorbowanej sobą, ironicznie traktującej nawet własne uprzedzenia. Tej Wielkiej Brytanii już jednak nie było, zmieniła się w kraj, którego wspierany przez faszystowskich zbirów autorytarny rząd karmił się nacjonalistycznymi urojeniami o imperium, kozłach ofiarnych i wrogach. A on stał się teraz w nieodwołalny sposób wrogiem.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Kiedy David wyszedł w piątek do pracy, Sarah nie mogła sobie znaleźć miejsca. Nadal nie wierzyła w jego zaprzeczenia dotyczące Carol; gdyby nie miał nic do ukrycia, wszystko by wyjaśnił, zamiast tego jednak jeszcze bardziej się wycofał i w rezultacie ona zareagowała tak samo. Tego ranka powinna zacząć wydzwaniać do sklepów z zabawkami, żeby sprawdzić, czy przygotowują już paczki dla dzieci bezrobotnych, ale nie miała do tego serca. Od tamtej historii na Tottenham Court Road w ogóle nie zaglądała do papierów komitetu.

Usiadła w salonie i próbowała czytać magazyn „Woman’s Own”, który dostarczono rano. Było zimno, ale nie chciało jej się zapalać ognia w kominku. Była niespokojna, nie mogła usiedzieć w miejscu. Rozpaczliwie pragnęła coś zrobić, cokolwiek. Wyszła do holu i wyjęła z koszyka książkę telefoniczną. Ze spotkania z Carol na ostatnim biurowym przyjęciu zapamiętała, że mieszka ze swoją matką gdzieś na północy Londynu. Znalazła jej adres prawie od razu: Bennett, pani D. i panna C., 17 Lovelock Road, Highgate. To musiała być ona. Teraz pewnie jest w pracy. Pojadę tam, pojadę tam wieczorem, załatwię to raz na zawsze, pomyślała. Tymczasem musiała się wyrwać z domu.

Włożyła kapelusz i płaszcz i ruszyła do drzwi. Otworzywszy je, stanęła w miejscu, ponieważ dotarło do niej, że jeśli pojedzie do Carol, może się to okazać końcem jej związku z Davidem. Stała nieruchomo, ściskając klamkę. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Irene, ale wiedziała, że siostra spróbuje jej to wyperswadować. Nie mogę tak dalej żyć, bo oszaleję, pomyślała.

Zamknęła za sobą zdecydowanym gestem drzwi i ruszyła ulicą. Miała zamiar pojechać metrem do miasta i zająć się czymś, co odwróciłoby jej myśli od Davida. Było bardzo zimno, niebo miało ołowianoszary kolor.

Zastanawiała się, czy nie odwiedzić Tower of London, lecz kiedy pociąg zatrzymał się przy Tottenham Court Road, wiedzona impulsem wysiadła. Chciała jeszcze raz zobaczyć miejsce, gdzie doszło do strzelaniny, zupełnie jakby mogła dzięki temu zrozumieć całe otaczające ją szaleństwo.

Ale miejsce śmierci jej znajomej wyglądało, jakby nic tam się nie wydarzyło. Samochody i autobusy jeździły normalnie ulicą. Kobiety robiły świąteczne zakupy — sklepowe witryny ozdobione były kolorowymi łańcuchami

z papieru i małymi choinkami w doniczkach. Sarah zatrzymała się przed jednym z dużych sklepów, uświadamiając sobie, że należy do tych, które odpowiedziały na ich apel o dostarczenie zabawek. Na wystawie stał duży drewniany manekin w stroju Świętego Mikołaja, z namalowanymi czerwonymi policzkami i białą brodą. Jakaś kobieta w sztucznym futrze, trzymająca za ręce marudzące dzieci, o mało na nią nie wpadła.

— Niech pani patrzy, jak idzie — warknęła.

— Przepraszam — odparła Sarah, ale kobieta zignorowała ją i poszła dalej. Wszyscy robiący zakupy wydawali się zezłoszczeni i zestresowani. Tak właśnie działało na ludzi Boże Narodzenie, być może zawsze, lecz nigdy wcześniej tego nie zauważyła. Charlie był zachwycony choinką, którą kupili na jego ostatnią Gwiazdkę i ozdobili małymi kolorowymi bombkami. Mówi się, że Boże Narodzenie jest dla dzieci, ale tak naprawdę powinno się świętować narodziny Jezusa, który później poświęcił życie za innych. Przypomniała sobie swoją rozpaczliwą modlitwę w opactwie westminsterskim. Od tamtego czasu jej sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła.

W końcu weszła do sklepu, żeby przynajmniej schronić się przed zimmem. W wielkim holu wejściowym stało pełno zabawek. Były o wiele droższe niż trzy lata wcześniej, kiedy kupowała po raz ostatni prezenty Charliemu. Przeszła obok całej wystawy domków dla lalek. Po przeciwnej stronie znajdowały się pudełka z cynowymi żołnierzami. Frajda dla każdego chłopca. Na zrobionym z papieru *mâché* polu bitwy ustawiono niemieckich żołnierzy w eleganckich szarych mundurach i hełmach, z małutkimi swastykami na ramionach. Naprzeciw nich stała grupka Rosjan w matowozielonych mundurach, na których namalowano małe dziury i rozdarcia.

— Pani Fitzgerald!

Słyszając głos za plecami, wzdrygnęła się, co przytrafiało się jej ostatnio przy byle okazji. Odwróciwszy się, zobaczyła mniej więcej sześćdziesięcioletniego małego, chudego mężczyznę z przerzedzonymi siwymi włosami i miłymi oczyma. Poznała kierownika sklepu, który brał udział w kilku spotkaniach jej komitetu.

— Dzień dobry, panie Fielding — powiedziała, podając mu dłoń w rękawicze.

— Przepraszam, że panią wystraszyłem.

— Zamyśliłam się.

— Rozgląda się pani za gwiazdkowymi prezentami?

— Może kupię coś dla moich siostrzeńców. Ostatnio wszystko wydaje się strasznie drogie.

Kierownik pokiwał ze smutkiem głową.

— Niestety. Widzę często, jak ludzie obchodzą cały sklep i wychodzą rozczarowani z pustymi rękoma.

— Cieszymy się bardzo, że pański sklep wspiera naszą działalność.

— Robimy, co możemy, żeby pomóc tym, których nie stać na prezenty. Swoją drogą, pani zamówienie jest realizowane, towar zostanie dostarczony do Friends House zgodnie z terminem. — Kierownik westchnął. — Gdyby tylko skończyły się zamieszki i strajki. To przez nie ten kraj nie może dźwignąć się na nogi. Słyszałem, że teraz dla odmiany protestują kolejarze.

Sarah mogłaby się z nim spierać, ale nie miała do tego serca. Pan Fielding był porządny, hojny człowiekiem.

— Zrobiło się bardzo zimno, prawda? — powiedziała.

— Tak. Jak tak dalej pójdzie, będziemy mieli białe Boże Narodzenie. — Pan Fielding zawahał się. — Bardzo mnie zasmuciła wiadomość o pani Templeman — dodał po chwili. — Nie mogłem przyjść na pogrzeb, ale posłaliśmy kwiaty.

— Widziałam je. Bardzo miło z pana strony.

— Podobno to był nagły atak serca. Cóż, są gorsze rodzaje śmierci. — Pan Fielding zrobił smutną minę i Sarah pomyślała, że może jest on weteranem wielkiej wojny jak jej ojciec. — Była z niej prawdziwa indywidualność, prawda?

— Owszem, była wielką altruistką.

— Cóż, muszę wracać do swoich obowiązków. Do widzenia, pani Fitzgerald.

Sarah patrzyła, jak wraca w głąb sklepu, pozdrawiając skinieniem głowy ekspedientów przy kasie. Jego życzliwość sprawiła, że w oczach stanęły jej łzy. Po chwili wyszła z powrotem na chłód.



Zjadła lunch w jakiejś kafejce, a potem poszła do Narodowej Galerii Portretu i spędziła godzinę pośród obrazów przedstawiających królów, królowe i mężów stanu. Galeria była prawie pusta, w mrocznych kątach sal drzemali woźni w uniformach. Dotarła do miejsca, gdzie wystawiane były portrety współczesnych przywódców. Chociaż galeria poświęcona była Brytyjczykom, na poczesnym miejscu wisiała podobizna Adolfa Hitlera. Namalowano ją pięć lat wcześniej, zanim jeszcze Führer poważnie zachorował. Miał na sobie dwurzędową brązową marynarkę i stał, opierając rękę na globusie i spoglądając niebieskimi oczyma w dal, kontemplując przeznaczenie. Już od dwudziestu lat budował krwawy, oparty na strachu świat i nie było widać temu końca.

Potem chodziła bardzo długo ulicami, rozmyślając o tym, jak bardzo wszystko wydaje się normalne, zupełnie jakby nic nie zdarzyło się przed tygodniem. Spojrzała na zegarek. Słabła w niej determinacja; tak łatwo byłoby wrócić po prostu do domu. Pojadę teraz do Highgate, pomyślała, zaczekam gdzieś w kawiarni. Podeszła do stacji metra Embankment i kupiła w kiosku plan Londynu. Znalazła w nim ulicę, na której mieszkała Carol, i stwierdziła, że leży niedaleko stacji Highgate.

Stojąc na peronie, czekała na pociąg. Robotnicy nanosili poprawki na planie linii metra. Kilka stacji we wschodnim Londynie, Bethnal Green, Whitechapel i Stepney Green zamalowano na czarno i mężczyźni umieszczali tam napisy „Zamknięte dla pasażerów”. Uświadomiła sobie, że były to dzielnice zamieszkiwane wcześniej przez Żydów. Może członkowie Czarnych Koszul plądrowali ich domy i nie chcieli, żeby ludzie to widzieli.

Pociąg przyjechał i turkocząc, ruszył powoli do Highgate. Kiedy wyszła ze stacji na ulicę, ponury zimowy dzień kończył się i zaczynało zmierzchać. Wzięła głęboki oddech i z planem Londynu w ręku wyruszyła na poszukiwanie Lovelock Road.

Niewielka uliczka zabudowana była wiktoriańskimi szeregowcami, z wysokimi lipami przy skraju chodnika i żywopłotami z ligustru, za którymi urządzono małe ogródki. Idąc parzystą stroną ulicy, stanęła naprzeciwko numeru siedemnastego i przyjrzała się posesji. Żywopłot był schludnie przystrzyżony, w oknach wisały firanki. Ruszyła dalej, a potem, nie spiesząc się, wróciła. Ruch był niewielki. Słyszała za sobą furgon mleczarza i pobrząkujące butelki.

Zatrzymała się ponownie naprzeciwko domu. Wcześniej determinowało ją takie samo uczucie jak na Tottenham Court Road, uważała, że musi zobaczyć to miejsce, ale teraz widziała przed sobą zwykły podmiejski dom. Zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zimno. Była ubrana w stare brązowe palto; miała nadzieję, że ta Żydówka, Ruth, wciąż nosi to, które jej oddała, i że jest w bezpiecznym miejscu.

Drzwi domu otworzyły się nagle i w progu stanęła drobna stara kobieta w brudnym szlafroku, patrząc spode łba na Sarah. Miała pomarszczoną twarz, gniewne oczy i siwe nieuczesane włosy. Nie spuszczać wzroku z Sarah, ruszyła szybkim nerwowym krokiem alejką. To matka Carol, uświadomiła sobie z przerażeniem Sarah. Wie, kim jestem, wie wszystko.

Staruszka otworzyła furtkę, przeszła przez ulicę, w ogóle nie sprawdzając, czy nie jedzie jakiś samochód, i stanęła tuż przy krawężniku.

— Obserwowałam panią! — zawołała z charakterystycznym dla wyższych sfer akcentem. — Nie jestem taka głupia, jak pani myśli. Chce mnie pani porwać, tak?

— Nie. Ja tylko...

— W dzisiejszych czasach można porwać każdego, dobrze o tym wiem! Ale moja córka na to nie pozwoli! Kradnie mi rzeczy, wiem o tym, ale nie pozwoli pani mnie porwać! Rozumie pani?

Sarah zorientowała się, że kobieta cierpi na sklerozę, jest na pół obłąkana. Spojrzała w jej płonące oczy.

— W porządku. Już sobie idę — powiedziała spokojnie i odsunęła się od niej.

Staruszka nadal stała w miejscu, z rękoma skrzyżowanymi na wątych piersiach. Sarah odwróciła się i zaczęła się oddalać, ale po kilku krokach obejrzała się za siebie. Kobieta nie ruszyła się.

— Niech pani uważa. Może panią przejechać samochód! — zawołała Sarah.

— Pilnuj własnego nosa, cholerna, wścibska krowo!

Obelga zabrzmiała tym dziwniej, że wypowiedziana była kulturalnym tonem. Sarah przeszła jeszcze kilkanaście kroków. Kiedy się znowu obejrzała, zobaczyła, że staruszka drepcze z powrotem przez ulicę do swojego domu. Sarah zdała sobie sprawę, że trzęsą się pod nią nogi.



Wróciła na stację metra. Była wyczerpana i zmarznięta. Zaczęło się na dobre ściemniać i zapaliły się uliczne latarnie. Przy stacji zobaczyła jakiś lokal, przez zaparowane szyby widać było żółte światło. Weszła do środka, rozpaczliwie pragnąc się ogrzać. To było coś, co nazywano garkuchnią. Zmęczeni starzy mężczyźni siedzieli przy stołach przykrytych czarno-białą ceratą, czytając „Mail” albo „Express”. W rogu zobaczyła dwóch nastolatków z wypomadowanymi kaczymi kuprami. Wyglądali na znudzonych. Powietrze było gęste od pary i papierosowego dymu. Z dużego staroświeckiego radia płynęły dźwięki muzyki. Sarah podeszła do kontuaru, za którym pod oprawionym w ramki portretem królowej stał gruby mężczyzna w fartuchu. Zamówiła filiżankę herbaty i drożdżówkę. Facet przyjrzał jej się z zainteresowaniem; to nie było miejsce, do którego zaglądałyby panie z wyższych sfer, ale było jej wszystko jedno, gdzie schroni się przed zimnem. Wzięła herbatę i znalazła wolny stolik. Chłopcy natarczywie się jej przyglądali. Odwróciła wzrok.

Przesiedziała tam prawie dwie godziny, wypijając kilka filiżanek mocnej, słodkiej herbaty. Nikt się do niej nie odzywał; chłopcy po pewnym czasie wyszli. Nikt jej tu nie znał i czuła się dziwnie odprężona. Pomyślała o obłąkanej staruszce i zdała sobie sprawę, że właściwie jest jej żal Carol, która musiała się

nią dzień w dzień zajmować. Za zaparowaną szybą było już zupełnie ciemno, ulicą sunęły cienie przechodniów. Zerknęła na zegarek. Była za kwadrans siódma. David wyszedł już z pracy, wróci do pustego domu. Mogła zatelefonować, powiedzieć mu, że wybrała się do miasta i coś ją zatrzymało, ale nie pozwalał jej na to duch sprzeciwu, który ogarnął ją tego ranka.

Wyszła z knajpy. Zrobiło się jeszcze zimniej. W powietrzu unosił się niewyraźny siarczany zapach, choć nie było mgły. Ruszyła powoli z powrotem w stronę Lovelock Road: Carol powinna już być w domu. Stała przed domem; firanki były zasunięte, ale widziała, że w kilku pokojach pali się światło. Przechodził ją dreszcz na myśl, że ma podejść do drzwi i zadzwonić, być może stanąć ponownie twarzą w twarz z obłąkaną staruszką. Zmobilizowała się jednak, przeszła kilka kroków alejką i pociągnęła za staroświecki sznur dzwonka.

Otworzyła jej Carol. Sarah natychmiast ją poznała. Ubrana w golf i workowate spodnie, miała zaczerwienione oczy, jakby wcześniej płakała. Przez chwilę przyglądała się Sarah zdziwionym wzrokiem, a potem na jej twarzy odmalowała się panika.

— Pani Fitzgerald?

Sarah poczuła, jak krew dudni jej w uszach. Starła się zachować spokój.

— Tak, panno Bennett — odparła stanowczym tonem. — Przepraszam, ale muszę z panią pilnie porozmawiać.

Spodziewała się jakiejś kłótni w progu, lecz Carol po prostu odsunęła się, wpuszczając ją do środka.

— Proszę wejść — powiedziała i zerknęła szybko na ulicę, zanim zamknęła drzwi.

Hol zastawiony był ciężkimi, staroświeckimi meblami.

— Kto to jest, Carol? — rozległ się głos zza zamkniętych drzwi. — Czego chce?

— Wszystko w porządku, matko. Zostań u siebie, zaraz przyniosę ci kolację.

— Co się dzieje? — dopytywała się drżącym głosem staruszka. — Coś się wydarzyło, Carol, poznałam to po twojej twarzy, kiedy weszłaś!

— Poczekaj chwilę, matko! — zawołała Carol.

Sarah bała się, że drzwi się otworzą i starsza pani znowu zacznie na nią pomstować, ale nie zrobiła tego. Carol, na której twarzy wykwitły rumieńce, otworzyła inne drzwi i zaprosiła ją do chłodnego pokoju od frontu.

— Proszę, niech pani siada — powiedziała cicho. — Może chce się pani napić sherry?

Sarah usiadła w wielkim fotelu z białymi koronkowymi podłokietnikami i zagłówkiem.

— Nie, dziękuję — odparła oschle.

Na dużym stole przy oknie stała aspidistra, a obok niej kilka fotografii w ramach. Największa przedstawiała młodego oficera w marynarskim mundurze. Carol usiadła na sofie naprzeciwko Sarah.

— Co się stało? — zapytała z niepokojem.

Sarah wbiła w nią wzrok.

— Słucham?

— Chodzi mi o Davida... o pana Fitzgeralda. Co się z nim dzieje?

Sarah zmarszczyła brwi.

— Nic. Z tego, co wiem, jest już pewnie w domu. Co pani, u licha, ma na myśli? — zapytała, podnosząc głos. Poczowała się nieswojo. Działo się tu coś, czego nie rozumiała.

— Więc po co pani przyszła? — zapytała nagle Carol.

— Dlaczego dzwoniła pani wczoraj wieczorem do mojego domu? Stałam przy telefonie, słyszałam, co pani mówiła. Dlaczego chciała się pani dzisiaj spotkać z moim mężem?

Carol spuściła wzrok. Sarah widziała, że jej rozmówczyni z trudem nad sobą panuje. Wzięła głęboki oddech.

— Muszę wiedzieć, co się dzieje między panią a moim mężem — oświadczyła Sarah.

Carol podniosła głowę. Robiła wrażenie zakłopotanej, twarz znowu jej się zarumieniła.

— O co pani chodzi?

— Od pewnego czasu widzę, że coś się dzieje. Znalazłam w jego kieszeni bilet na koncert z pani nazwiskiem. Potem zadzwoniła pani do niego do domu. Czy dlatego powiedziała pani o problemach w pracy, bo to ja odebrałam?

Carol spłótła dłonie na kolanach i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w podłogę. W końcu popatrzyła na Sarah.

— Nic nie dzieje się między mną a Davidem, pani Fitzgerald — powiedziała powoli. — Powiem szczerze, żywię do niego... pewne uczucia, i to od dłuższego czasu. On ich nie odwzajemnia, ale ja dość długo się łudziłam. — Parsknęła żalonym śmiechem. — Czy to nie dziwne, że siedzimy tu teraz i o tym mówimy. Często marzyłam, żeby pani zniknęła, życzyłam nawet pani śmierci.

Spojrzenie Carol było tak intensywne, że Sarah zastanawiała się, czy, podobnie jak matka, nie jest trochę niezrównoważona.

— Jest pani przynajmniej szczerą — mruknęła.

— David jest dobrym mężczyzną. Niech mi pani wierzy, spotkałam wielu, którzy nimi nie są. Czy to pani była tu wcześniej po południu? — zapytała, marszcząc brwi. — Matka mówiła, że jakaś kobieta obserwowała dom.

— Tak. To byłam ja.

— Przestraszyłam się, kiedy mi o tym powiedziała. A więc postanowiła pani do mnie przyjechać. Z powodu tego telefonu. Tylko dlatego?

— Tak. Jaki miałabym inny powód? Dlaczego zapytała pani, czy coś się stało Davidowi, panno Bennett?

Carol wstała i podeszła do stołu. Przesunęła ręką po fotografii mężczyzny w marynarskim mundurze i Sarah przyszło do głowy, że to ojciec Carol; widoczne było pewne podobieństwo. Panna Bennett odwróciła się i spojrzała na nią.

— Coś wydarzyło się dzisiaj w biurze — powiedziała. — Jestem odpowiedzialna za kancelarię, w której przechowywane są akta, tajne akta. Kilka dni temu w pewnej teczce znalazł się dokument, którego nie powinno tam być. Dzisiaj przesłuchiwała mnie w tej sprawie policja. — Carol odwróciła na chwilę wzrok. — Widzi pani, wszyscy w biurze wiedzieli, że ja i David się przyjaźnimy, krążyły na ten temat żarty. A dzisiaj wezwano mnie i byłam przesłuchiwana przez dwóch policjantów. Pytali mnie... — załamał jej się głos — pytali, czy ja i David... powiedziałam im oczywiście zgodnie z prawdą, że nie.

— Policjanci? — zapytała zaskoczona Sarah.

— Powiedzieli, że są z Wydziału Specjalnego. Ale jeden z nich był Niemcem. Pytali, czy udostępniałam Davidowi dokumenty pozostające pod moją opieką, choć oczywiście tego nie robiłam, nigdy bym tego nie zrobiła. Mogę być, jak to mówią, zakochaną starą panną, ale nie jestem aż tak zakochana. — Panna Bennett zmarszczyła czoło, jakby przyszła jej do głowy jakaś myśl. — Ale może David myślał, że jestem, może dlatego się ze mną zaprzyjaźnił...

Sarah poczuła, jak ogarnia ją od stóp do głów fala zimnego lęku. Niemiecki policjant?

— Chce pani powiedzieć, że pani zdaniem... ich zdaniem, David jest kimś w rodzaju szpiega?

— Na biurku leżała jego teczka personalna. Kiedy kazali mi wyjść, zadzwoniłam do Davida. Musiałam go ostrzec. Nie wysyłaliby przecież Niemca bez powodu... Nie pytałam go w ogóle, czy coś zrobił. Nie chciałam tego wiedzieć. Lecz on nie zaprzeczył. — Carol pokręciła ze smutkiem głową. — Właściwie nic nie powiedział.

— Czy kiedykolwiek spotykała się pani wieczorem z moim mężem? — zapytała cicho Sarah.

— Nie. Nigdy. Przysięgam.

— Wieczorami gdzieś chodził. Od ponad roku. Mówił, że gra w tenisa... zaczęłam mieć pewne podejrzenia — dodała Sarah i umilkła.

Carol pochyliła się do przodu.

— Musi mu pani teraz pomóc.

— Dobry Boże. — Sarah zamknęła oczy. — Czy wezwali Davida na przesłuchanie?

— Nie wiem. Powiedziała, że powinien wyjść, ale nie wiem, co się później wydarzyło.

— Więc mogli go aresztować?

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że pan Dabb, mój szef, poinformował mnie, że jutro policja będzie chciała ze mną znowu rozmawiać. Skontaktują się ze mną.

— Więc David może być aresztowany?

— Powtarzam pani, nie wiem. Ale jeśli wyszedł... czy nie wróciłby do domu?

— Od rana byłam poza domem — wyjaśniła Sarah. Z pani powodu, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. — Powinnam tam wracać, może na mnie czeka.

— Tak — zgodziła się szybko Carol. — Nawet jeśli go nie ma, może do pani zadzwoni.

Sarah spojrzała na nią. To było dziwne: znalazły się teraz po tej samej stronie.

— Dlaczego mu pani dziś pomogła? — zapytała. — Naraziła się pani na niebezpieczeństwo.

— Wiem, że jest dobrym człowiekiem. Jeśli coś zrobił, to dlatego, że uważał to za słuszne.

— Uznałaby to pani za słuszne? Że pracownik służby cywilnej szpieguje własny rząd?

Carol uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Nie znam się na polityce. I nigdy nie dyskutowałam na jej temat z Davidem. W ministerstwie nie ma takiego zwyczaju, chyba że zna się kogoś bardzo dobrze. Nie podoba mi się dużo rzeczy, które się teraz dzieją, niektóre budzą we mnie wstręt. Ale muszę sobie jakoś radzić. Czy nie tak właśnie reaguje większość ludzi? Chcą jakoś przeżyć? Moja matka... cóż, widziała pani, co się z nią dzieje. Ale jeśli alternatywą do rządów Beaverbrooka i Mosleya ma być rewolucja, to nie wiem, czy mi na tym zależy. Nie jestem odważna, nie jestem podobna do Davida.

— Ja zawsze byłam pacyfistką — powiedziała Sarah. — Nie podoba mi się przemoc, do której odwołuje się ruch oporu. Ale to, co się ostatnio dzieje...

— Tak. To, co robią z Żydami, deportacje, zamieszki, to wszystko jest okropne. — Carol przez chwilę milczała. — Myśli pani, że David mógł być szpiegiem? — zapytała w końcu.

— To by dużo wyjaśniało. — Sarah nagle wstała. — Powinnam już iść.

Carol zrobiła krok w jej stronę, a potem zatrzymała się i potarła dłonią czoło.

— Nie wiem, czy powinnam była pani o tym wszystkim mówić. Ale musiałam. Powie mu pani, że ze mną rozmawiała?

— Teraz chyba muszę. — Tym razem to Sarah się roześmiała. — Zmusiłam się, żeby tu przyjść, chciałam za wszelką cenę odkryć prawdę, ale kiedy człowiek pragnie odkryć prawdę, często dowiaduje się więcej, niż się spodziewał, prawda?

Carol znowu się uśmiechnęła.

— Owszem. Tak czy inaczej, musi mu pani teraz pomóc.

— Tak, muszę.

Sarah spojrzała na nią. Nie czuła już gniewu. Zdała sobie sprawę, że w innych okolicznościach mogłaby nawet zaprzyjaźnić się z tą kobietą. Ale kiedy Carol pod wpływem impulsu wyciągnęła do niej rękę, pokręciła szybko głową. Wiedziała, że tamta odebrałaby jej Davida, gdyby tylko miała taką możliwość.

Carol odprowadziła ją do drzwi.

— Powodzenia — powiedziała w progu. — Życzę go wam obojgu.

Sarah skinęła głową i jeszcze raz spojrzała jej prosto w oczy.

— Dziękuję pani — rzekła.



Pojechała do domu. Godziny szczytu już minęły, wagony były w połowie puste. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w ściany tunelu. Pomysł, że David działał w ruchu oporu, pasował do faktów. Była na niego wściekła za to, że wszystko przed nią ukrywał i że naraził ich oboje na takie niebezpieczeństwo. A potem pomyślała, że leży gdzieś na posterunku policji, a może nawet w Senate House, gdzie SS podobno torturowało ludzi, i wyobrażając go sobie pobitego i złamanego, chciała wyc z rozpacz.

Wysiadła na stacji Kenton i ruszyła pieszo do domu. Dopiero teraz zaczęła mieć się na baczności. Dom mógł być obserwowany. Jeśli tak, ktoś mógł siedzieć w stojącym w pobliżu samochodzie. Co zrobi, jeśli go zobaczy? Zdała sobie sprawę, że nie ma sensu uciekać, szybko by ją dogonili, a ucieczka świadczyłaby, że jest winna. Nie, wejdzie normalnie do domu. Ale co zrobi, jeśli Davida tam nie będzie? Mógł przyjść, kiedy jej nie było. Rozejrzy się i sprawdzi, czy wziął jakieś ubrania. I co dalej? Będzie musiała zdać się na łaskę Irene. A potem pomyślała o Geoffie, solidnym, niezawodnym Geoffie Draxie. Jeśli nie zastanie Davida, pojedzie do niego.

Przy krawężniku zaparkowanych było kilka samochodów, ale żaden przy samym domu i w żadnym nikt nie siedział, choć trudno było mieć pewność w przyćmionym, żółtym świetle latarni. W domu nie paliły się żadne światła, zasłony nie były zasunięte. Otworzyła kluczem drzwi i weszła do środka. Przywitały ją spokój i cisza. Londyńska książka telefoniczna leżała na stole w holu, tam, gdzie ją rano zostawiła. Weszła do kuchni i zapaliła światło. I nagle krzyknęła.

Przy kuchennym stole siedzieli dwaj mężczyźni. Czekali na nią po ciemku. Zobaczyła, że tylne drzwi są wyważone. Jeden z nich, wysoki, chudy, mniej więcej trzydziestoletni, miał bezwzględną, wredną twarz. Drugi był starszy, pulchny, ze smutną, nalaną twarzą i zmierzwionymi jasnymi włosami. Przyglądał jej się zimnymi, jasnoblękitnymi, straszliwie przenikliwymi oczyma.

— Dobry wieczór, pani Fitzgerald — powiedział bez złości, jakby ze smutkiem.

Sarah natychmiast rozpoznała w jego głosie niemiecki akcent.

Rozdział trzydziesty drugi

David wahał się, czy wejść do metra; wiedział, że ludzie z ruchu oporu mają o wiele większe szanse uratowania Sarah, ale wydawało mu się, że wyjeżdżając teraz z Kenton, w ostateczny sposób ją zdradza, nieodwołalnie zrywa ze swoim dawnym życiem.

Nigdy wcześniej nie był w Soho w ciągu dnia. Wydawało się bardziej szare i zwyczajne — w wąskich uliczkach rozstawione były stragany, na których sprzedawano owoce i warzywa. Kafejka u wylotu alejki była zamknięta; sama alejka w świetle dnia sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zapuszczonej. Zauważył, że drzwi, przy których zamontowano dwa dzwonki, były kiedyś pomalowane na zielono, ale większa część farby złuszczyła się, odsłaniając solidne stare deski. Wcisnął dzwonek przypisany Natalii.

Bez odpowiedzi. Zaczekał i zadzwonił jeszcze raz, ale nie usłyszał, by ktoś zbiegał po schodach. Nacisnął klamkę, lecz drzwi były zamknięte. Obok niego przeszedł alejką zgarbiony staruszek w wytartym palcie, omiatając go niechętnym spojrzeniem. Musiał go wziąć za klienta prostytutki. David poczuł, jak znowu ogarnia go panika. Zastanawiał się, czy i tutaj nie doszło do wsypy. Żałował, że wygląda tak podejrzanie w palcie, prążkowanych spodniach i meloniku.

W końcu na schodach zabrzmiały kroki. Drzwi uchyliły się lekko i wyjrzała zza nich prostytutka. Miała na sobie raczej drogi jedwabny szlafrok, jej twarz okalały rude loki.

— Co pan tak dzwoni? Obudził mnie pan — prychnęła gniewnie. Nagle poznała go i na jej twarzy ukazał się niepokój.

— Dilys, muszę mówić z Natalią.

— Właśnie wyszła po zakupy. To coś ważnego?

— Muszę z nią pilnie mówić.

Dziewczyna przez chwilę się zastanawiała.

— Niech pan wejdzie — powiedziała w końcu.

Ruszył za nią po skrzypiących schodach i wszedł do małej sypialni, w której stało duże nieposłane podwójne łóżko oraz zastawiona pudrami i kremami toaletka. W pokoju, oddzielonym od reszty mieszkania tandetnymi drzwiami,

unosił się zapach tanich perfum i papierosowego dymu. Było strasznie gorąco. W rogu syczał gazowy kominek. Dziewczyna usiadła na krześle przy toalecie i wskazała Davidowi łóżko.

— Helen! — zawołała i ku jego zdziwieniu do sypialni weszła starsza kobieta w fartuchu. — Skończyła nam się herbata, kochanie — powiedziała Dilys. — Idź i kup trochę. I coś do jedzenia, nie spiesz się.

Kobieta zmierzyła Davida kamiennym spojrzeniem.

— Nic ci się nie stanie?

— Oczywiście, że nie. Nie widzisz, że to nieśmiały chłopak?

Kobieta popatrzyła z powątpiewaniem na Davida i wyszła. Dilys uśmiechnęła się filuternie.

— Pierwszy raz jesteś w takim miejscu? — zapytała, przechodząc na ty.

— Tak, pierwszy raz.

— Helen jest moją pokojówką — wyjaśniła, wskazując drzwi. — My, dziewczyny, zawsze mamy jakąś starszą kobietę, która dla nas pracuje, pomaga nam, pilnuje, czy jesteśmy bezpieczne. Helen nie wie, co się dzieje u sąsiadów. — Dilys wzięła głęboki oddech. — Coś się stało, prawda? Widzę to po twojej twarzy.

— Obawiam się, że tak.

— Będę musiała się stąd wynieść?

— Nie wiem. Obawiam się, że mnie zdemaskowali.

Dilys posmutniała.

— Szczęście nigdy nie trwa wiecznie, prawda? — powiedziała cicho. — Po prostu uprzedźcie mnie, kiedy będę musiała się wynieść. Możesz ich o to poprosić? Nie chodzi mi o pieniądze, ale muszę zadbać o Helen, dopóki nie znajdziemy innego miejsca. Nie chcę, żeby do niej cholerni faszyści.

— Powiem im.

— Dziękuję. Nie mów mi nic więcej — dodała szybko Dilys. — Lepiej, żebym wiedziała jak najmniej.

— Owszem — zgodził się. To samo powiedziała mu przez telefon Carol.

— Można zdradzić tylko to, co się wie. Napijesz się herbaty? — zapytała nagle weselszym tonem.

Biedna dziewczyna, pomyślał, musi zawsze udawać wesołą.

— Nie, nie, dziękuję.

Spojrzała na niego tęsknie.

— Taki przystojny facet może to mieć, kiedy tylko zechce, prawda? Niepotrzebne ci takie jak ja. — David poczuł, że się czerwieni. — Widzę, że masz obrączkę. Założę się, że jesteś z tych wiernych. — Przekomarzając się

z nim, próbowała dodać mu otuchy. — W twoich żyłach nie płynie przypadkiem maltańska krew? — zapytała nagle.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Przypominasz mi trochę mojego Guida. Dranie deportowali go dwa lata temu. Anglia dla Anglików, mówią. I oczywiście dla Niemców i Włochów — dodała gorzko. — Dlatego właśnie do was przystałam. Umieścili mnie tutaj, żebym miała oko na wszystko.

— Dziękuję — powiedział.

Dilys otworzyła szufladę toaletki i wyciągnęła butelkę ginu i dwie brudne szklaneczki.

— Napijesz się?

— Wolę zachować jasny umysł. — David zdał sobie sprawę, że nie jadł nic od śniadania. — Masz może coś do jedzenia? — zapytał.

— Zobaczę, coś się chyba znajdzie.

Zniknęła za wewnętrznymi drzwiami i wróciła z szynką, chlebem i masłem. Łapczywie wziął od niej talerz. Dilys usiadła z powrotem przy toaletce i obserwując jedzącego Davida, wychyliła jednym haustem swój gin. Dłoń, w której trzymała szklanekę, lekko drżała.

— Czy mam się dziś szykować do pracy? — zapytała, kiedy skończył. David spojrział na nią nierozumiejącym wzrokiem. — Do mojej pracy — odparła ze śmiechem. — Normalnie zaczynam o piątej, a jest już czwarta.

— Myślę... chyba lepiej nie. Może nas przyjsć więcej.

Dilys głęboko odetchnęła.

— Zostawię kartkę w drzwiach, napiszę, że zachorowałam. Mam w piątek kilku stałych klientów, będą zawiedzeni, ale nic na to nie poradzę. A poza tym nie będę musiała się szykować, prawda?

David popatrzył na nią z ciekawością.

— Jak trafiłaś do... do tej branży?

Nachmurzyła się.

— To cię szokuje, tak?

— Nie. Po prostu... nigdy...

Dilys ponownie się uśmiechnęła.

— Straszny z ciebie prawiczek... Mój tato zginął pod Dunkierką, nie należał do tych, którym udało się ewakuować. Mama zupełnie się załamała, zaczęła pić. Nie mieliśmy żadnych pieniędzy. Przyjaciółka wciągnęła mnie do tej branży.

David rozejrzał się po pokoju.

— Czy to nie jest... niebezpieczne?

Dilys głośno się roześmiała.

— Ty pytasz mnie, czy to, co robię, nie jest niebezpieczne? Przyganiał kocioł garnkowi.



Piętnaście minut później na schodach znowu rozległy się kroki. Dilys z wyraźną ulgą wstała z krzesła.

— To Natalia.

Wyszła na korytarz i David usłyszał, jak dwie kobiety cicho z sobą rozmawiają. Po chwili weszły razem do mieszkania. Natalia miała na sobie stare szare palto i trzymała w ręku torbę z zakupami; na tle emanującej kobiecością Dilys sprawiała wrażenie zaniedbanej i zwyczajnej. Przyszło mu do głowy, że specjalnie tak się nosi, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Smutne, że musiała to robić. Serce zabiło mu szybciej na jej widok, ale po chwili pomyślał o Sarah, której groziło poważne niebezpieczeństwo, i znowu wpadł w przygnębienie.

— Chodź — powiedziała do niego Natalia. — Kiedy tylko czegoś się dowiem, powiem ci, na czym stoimy, Dilys — zwróciła się do dziewczyny.

Weszli we dwoje do mieszkania Natalii. Jak zwykle unosił się w nim zapach farby, ale obrazy były w większości pozdejmowane ze ścian. Został tylko ten, który przedstawiał bitwę, z leżącymi na śniegu martwymi żołnierzami i wysokimi białymi górami w oddali. W pokoju było zimno. Natalia podążyła za jego wzrokiem.

— Tak — rzekła półgłosem. — Pakuję się. Ja też będę musiała się stąd wynieść. To poważna wpadka.

— Przykro mi — mruknął.

— To się zdarza — odparła z uśmiechem. — Zawsze mamy gotowy zapasowy lokal.

Przez dłuższą chwilę stali, patrząc na siebie.

— Siadaj — powiedziała w końcu. David usiadł i patrzył, jak Natalia włącza gazowy kominik i pochyla się, żeby włożyć monety do licznika. — Przepraszam, że mnie nie było — rzuciła przez ramię. — Jeden z naszych ludzi przyszedł i powiedział, że byłeś zmuszony uciekać. Musiałam wyjść, żeby wykonać parę telefonów. Zaraz przyjdzie pan Jackson. I Geoff Drax.

— Geoff? O nie...

Natalia wyprostowała się.

— Jeśli zaczną zbierać na twój temat informacje, szybko dowiedzą się, że się z nim przyjaźnisz. Musiałam zatelefonować do pana Jacksona do pracy.

Normalnie tego nie robimy, nie wiemy, które rządowe telefony są na podsłuchu, ale to była nadzwyczajna sytuacja.

— A co z kolejnym członkiem naszej komórki? Z Boardmanem z Ministerstwa do spraw Indii?

— Ostrzeżemy go. Ale nie wydaje nam się, żeby coś mogło ich do niego doprowadzić. — Natalia usiadła naprzeciwko Davida i wpatrywała się w niego jasnymi migdałowymi oczyma. — Proszę, opowiedz dokładnie, co się wydarzyło — poprosiła.

Kiedy David składał jej relację, siedziała bez ruchu, kiwając co jakiś czas głową.

— Ta kobieta, Carol, na pewno nie wie nic o twojej działalności? — zapytała, gdy skończył.

— Na pewno. Ale obawiam się, że będą ją znowu przesłuchiwać. To ona mnie ostrzegła. Zmuszą ją do mówienia.

— Przy odrobinie szczęścia straci tylko pracę. Jeśli o niczym nie wie.

David wziął głęboki oddech.

— Człowiek, z którym rozmawiałem przez telefon, powiedział, że wyślą kogoś po Sarah. To było częścią umowy: jeżeli coś się stanie, pomożecie jej.

— Zrobimy to.

— Gdyby była w domu...

— Wiesz, że nie powinieneś być tam wracać. — W jej głosie zabrzmiała cicha przygana.

— Nie wiedziałem, co mam robić. Gdyby ten facet odebrał telefon za pierwszym razem...

— Masz rację. Jeśli musiał wyjść, ktoś powinien go zastąpić. To był błąd.

— Nie wiedziałem, co mam robić, kiedy nie odpowiedział. — David posłał jej smutny uśmiech. — Wydawało mi się, że nigdy nie popełniacie błędów.

— Nikt nie jest nieomylny. Ani my, ani oni. Powinni przewidzieć, że ta kobieta, Carol, może cię ostrzec. Czasami przeceniają siłę strachu. — Natalia zmierzyła go długim baczny spojrzeniem. — Ta kobieta musi cię bardzo lubić — powiedziała.

— A ja ją w to wpakowałem. Wszystkich w to wpakowałem, prawda? Wszystko przez to, że odłożyłem ten cholerny dokument w złe miejsce.

— Mówiłam już, nikt nie jest nieomylny. Pytanie brzmi: jak w ogóle wpadli na twój trop?

— Wszystko wskazuje chyba na Franka Muncastera? Musieli go zmusić do mówienia.

— Obawiam się, że to możliwe.

— W takim razie wszystko poszło na marne. — David schował głowę w dłoniach. — Biedny Frank.

— Przykro mi. Człowiekowi jest ciężko, kiedy ma osobiste zobowiązania — powiedziała łagodnie.

— Ty nie masz żadnych? — zapytał, zerkając na nią.

Zapaliła papierosa z leżącej na stole paczki.

— Już nie. Wszyscy, na których mi zależało, zginęli — odrzekła, patrząc mu prosto w oczy. — To kolejna rzecz, której nie bierze pod uwagę nieprzyjaciel: że człowiekowi nie zostaje czasem w życiu nic innego jak z nimi walczyć. Tak to właśnie wygląda w Rosji.

— Zostawiłaś ten jeden obraz na ścianie — rzekł, wskazując scenę batalistyczną.

— Kiedy mój brat wrócił z Rosji, opowiedział mi o ostatniej bitwie, w której brał udział. Został ciężko ranny w nogę, dlatego odesłano go do domu. Na ogół o tym nie wspominał, ciężko było mu do tego wracać, ale pewnej nocy poczuł się gorzej i opowiedział, jak to wyglądało. — Natalia mówiła monotonnym głosem, starając się stłumić emocje. — To było w czterdziestym drugim roku, podczas ofensywy kaukaskiej. Rosjanie bronili silnej pozycji i Peter widział, jak ginęło wielu jego przyjaciół. Te góry w oddali to Kaukaz. Jest teraz cały w niemieckich rękach.

— Nie wiedziałem, że twój brat wrócił. Myślałem, że zginął na froncie.

— Nie. Miał strzaskaną nogę. Nie zajęli się nim właściwie w szpitalu polowym i nigdy już nie mógł dobrze chodzić. Ale najbardziej ucierpiał jego umysł. Na psychice niektórych ludzi wojna nie zostawia śladu, lecz on do nich nie należał.

David pokiwał głową.

— Zgadza się, to zostaje w człowieku do końca życia. Ja z powodu tego, co zobaczyłem w Norwegii, uznałem, że trzeba zawrzeć pokój z Niemcami. Jak wszyscy inni głupcy potrzebowalem pokoju.

— Mimo że jesteś pół-Żydem.

— Mówiłem ci — odparł z goryczą. — Nikt nigdy by się o tym nie dowiedział. Właściwie przez długi czas udawałem, że sam o tym nie wiem. Po naszej rozmowie — dodał po chwili — zastanawiałem się, czy w tych pociągach, o których mówiłaś, nie jechał ktoś z mojej rodziny... jacyś bliżsi czy dalsi kuzyni. Było mi wstyd.

— Dlaczego? Bo udało ci się uniknąć losu ludzi, którzy znaleźli się w tych pociągach? I w tych nowych brytyjskich obozach? Nie powinieneś się tego wstydić — oświadczyła z naciskiem. — To nie twoja wina, że przypadkiem

jesteś inny i to cię stygmatyzuje. Poza tym walczysz z nimi, walczysz z faszystami.

David niewyraźnie się uśmiechnął.

— Rekompensuję to sobie, tak? Po raz pierwszy zrobiło mi się wstyd, kiedy zaostrzono przepisy antysemickie. Przypuszczam, że chyba dlatego wstąpiłem do ruchu oporu. Wszyscy myślą pewnie, że jestem zwyczajnym staroświeckim Anglikiem, którego oburza to, co się dzieje. Ale dla mnie to sprawa osobista.

— Dla każdego z nas to w większym lub mniejszym stopniu sprawa osobista — odparła cicho.

— Masz na myśli swojego brata?

Ich rozmowa nabrała intymnego charakteru, lekko się ku sobie nachylili. W kącie syczał cicho gazowy kominek.

— Po części. Kiedy wrócił, pielęgnowałam go. Pomagał mi ojciec, ale zmarł w tym samym roku. Zostaliśmy tylko ja i Peter. W ogóle nie wychodził, czuł się bezpieczny tylko w domu, a i tak bał się, że ktoś przyjdzie, Rosjanie lub Niemcy, i go zabije. Nie z jakiegoś konkretnego powodu, lecz dlatego, że zabijanie stało się czymś, co przychodzi ludziom z taką łatwością. Najdziwniejsze, że Peter tak bardzo bał się śmierci, iż w końcu sam ją sobie zadał, skacząc z okna naszego mieszkania. Mieszkaliśmy na trzecim piętrze. Zrobił to, co próbował zrobić twój przyjaciel Frank.

— Przykro mi. — Przez chwilę oboje milczeli. — Co się dzieje z Frankiem? — zapytał w końcu David.

— Pan Jackson będzie wiedział coś więcej.

— Nienawidzisz faszystów, a mimo to miałaś narzeczonego Niemca — powiedziała, patrząc jej prosto w oczy.

Natalia zacisnęła wargi.

— On nie był nazistą. A ja nie byłam jego narzeczoną, wyszłam za niego. Z punktu widzenia prawa jestem właściwie niemiecką obywatelką. Nie jestem pewna, czy spełniam kryteria rasowe, ale udało nam się to wymazać... to chyba właściwe słowo, prawda? Wymazać. Do mojego kraju dotarli kiedyś Mongołowie — dodała, wskazując swoje oczy — i przez długie lata stanowił on część imperium osmańskiego. W moich żyłach krąży azjatycka krew z odległej przeszłości. Chyba to zauważyłeś — powiedziała z uśmiechem, a potem spoważniała. — Człowiekowi można w jednej chwili zabrać to, co dla niego najcenniejsze. Ale jeśli chodzi o twoją żonę, postaramy się ją ocalić. To ona... jest dla ciebie tym, co najcenniejsze. W przeciwnym razie nie przejmowałbyś się tak bardzo, że ją opuścisz.

David wbił wzrok w podłogę.

— Ja... — Powoli wyciągnął rękę. Potrzebował kontaktu, naprawdę go potrzebował.

Nagle zabrzączał dzwonek. Oboje podskoczyli. Natalia mieniła się przez chwilę na twarzy, a potem skinęła głową Davidowi, wstała i wyszła.

David usłyszał, że po schodach wchodzą wraz z nią dwie osoby: Jackson i Geoff. Jackson miał wściekłą minę; na jego pulchnych policzkach wykwitły czerwone plamy. Przyniósł z sobą teczkę, którą postawił na stole.

— Nawarzył pan niezłego piwa, panie Fitzgerald — powiedział, patrząc chmurnie na Davida, po czym podszedł do kominka i stanął plecami do ognia.

— To nie była wina Davida — zaprotestował Geoff.

Jackson rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie i wziął głęboki oddech.

— Proszę mi zdać pełną relację — zwrócił się do Davida.

Ten zrobił to, niczego nie pomijając.

— Czy ta kobieta, Carol, była pewna, że jeden z policjantów jest Niemcem? — zapytał Jackson.

— Nie sądzę, żeby się myliła.

Jackson splótł ręce na plecach i przez dłuższy czas się zastanawiał.

— Gestapo z ambasady współpracuje z ludźmi Mosleya w Wydziale Specjalnym. To jedyne wytłumaczenie — powiedział w końcu i wyjrzał przez okno; zrobiło się już ciemno. — Wysłaliśmy kogoś do Kenton, żeby zabrał pańską żonę — dodał łagodniejszym tonem. — Ona na pewno nic nie wie?

— Nigdy nawet w najmniejszym stopniu nie dałem jej do zrozumienia, że jestem w ruchu oporu.

Jackson spojrział na Natalię.

— To koniec tej komórki — oznajmił ponuro. — Dziś wieczorem ją likwidujemy.

— Co z Dilys? — zapytała.

— Też musi stąd odejść. Jeśli to możliwe, już jutro. Przypuszczam, że osoba jej profesji ma nad nami pewną przewagę, może szybko znaleźć jakieś inne miejsce, kontynuować pracę. Prawie jej zazdrozczę. — Jackson spojrział na Davida i Geoffa. — Obawiam się, że wy dwaj jesteście skończeni jako agenci. Zostaliście zdemaskowani. Spaleni. Lepiej, żebyście zdali sobie z tego sprawę.

— Ty też? — spytał David, zwracając się do przyjaciela.

— Wyszedłem z pracy po południu, kiedy tylko do mnie zadzwonili. Poza tym odniosłem wrażenie, że zaczęli mieć co do mnie pewne wątpliwości. Brak entuzjazmu dla programu osadnictwa w Afryce; nigdy nie byłem dobrym aktorem. Oczywiście na początku nie musiałem niczego udawać, naprawdę wróciłem z powodu złamanego serca... — Geoff parsknął tym swoim cichym śmiechem — ...ale to było przed kilku laty. Tak czy inaczej, dość szybko

skojarzą nas obu, nie jest tajemnicą, że od lat się przyjaźnimy. Ja dam sobie radę — dodał, spoglądając na Jacksona — ale co z moimi rodzicami? Czy jest jakaś szansa, żeby ich gdzieś wyekspediować?

— To nie najlepszy pomysł — odparł Jackson. — Jeśli znikną, policja zacznie ich ścigać, a w ich wieku... cóż, życie w naszych szeregach nie jest łatwe. O niczym nie wiedzą?

— Gdyby wiedzieli, nie pochwalaliby tego, co robię. Mój tato jest rotarianinem, oboje należą do Koalicyjnej Partii Konserwatywnej.

— Wszystko to powinno im sprzyjać — stwierdził Jackson. — Na szczęście Niemców wciąż powstrzymuje fakt, że nie jesteśmy krajem okupowanym. Nie mogą po prostu porywać ludzi, jeśli nie zrobili nic złego. Brytyjskim władzom wydaje się, że coś jednak od nich zależy. Dlatego Muncaster nadal przebywa w szpitalu psychiatrycznym.

— Czy zagrożona jest cała siatka w służbie cywilnej? — zapytał cicho David.

— Nie wiem, do cholery! — wybuchnął Jackson i zaczął chodzić po pokoju. Po chwili odwrócił się do Davida. — Przepraszam. Wszyscy jesteśmy zestresowani.

— David i ja uważamy — powiedziała Natalia — że Niemcy wpadli na jego trop z powodu jakichś informacji, które uzyskali od Muncastera.

Jackson pokręcił głową.

— Nie sądzę. Skontaktowaliśmy się dziś po południu z naszym człowiekiem w szpitalu. Muncaster nadal się nie odzywa i nikt nie próbował go przesłuchiwać. Nasz człowiek uważa, że doktor Wilson będzie starał się go chronić. Muncaster stał się chyba jego ulubionym pacjentem.

— Wasz człowiek? — zapytał Geoff. — Ma pan na myśli Bena, tego szkockiego pielęgniarza?

— To imię, pod którym go znacie. Zawsze kontaktujemy się z nim przez krótkofalówkę. Jemu też grozi teraz większe niebezpieczeństwo. — Jackson spojrzał na ich zaniepokojone twarze i nagle w rozbijający sposób się uśmiechnął. — Muszę chyba zerwać z tym zwyczajem chodzenia w kółko, prawda? Działam wszystkim na nerwy. Usiądźmy, Drax. Muszę wam powiedzieć, jakie podjęto decyzje, co się teraz wydarzy. A nie mamy zbyt wiele czasu — powiedział i usiadł w fotelu przy kominku. — Przez cały dzisiejszy dzień prowadziłem rozmowy z ludźmi na najwyższym szczeblu. Naprawdę najwyższym. — David zastanawiał się, czy to może oznaczać Churchilla. — I zapadła decyzja, że zabieramy Muncastera ze szpitala. Obrócimy na naszą korzyść to, co się stało. Pojedziecie we trójkę, dowodzić będzie znowu Natalia.

— Jak to zrobimy? — spytała.

— O jedenastej wieczór w niedzielę Ben Hall przyprowadzi Muncastera do bramy. Chętnie załatwilibyśmy to wcześniej, ale Hallowi udało się wziąć dyżur dopiero pojutrze. W szpitalu dają pacjentom środki nasenne, żeby spędzili spokojnie noc. Na oddziałach jest wtedy tylko nocna zmiana. Ben zamienił się dyżurami z innym pielęgniarzem. Ma w szpitalu taką pozycję, że będzie mógł zabrać Muncastera z jego sali. Następnie wyjdzie z nim z budynku i doprowadzi do bramy. Problemem będzie przeszwarcowanie Muncastera przez portiernię, gdzie mają klucze. W nocy pełni tam normalnie dyżur jeden portier. Ben będzie go musiał tymczasowo obezwładnić.

— Skoro Ben ma działać w pojedynkę, jak poradzi sobie z Frankiem? — zapytał David. — Muncaster może mu stawiać opór.

— Wieczorem dostanie większą dawkę leków, żeby nie sprawiał żadnych kłopotów. Jeśli Hall właściwie ją ustali, Muncaster będzie co najwyżej w stanie dotrzymywać mu kroku. Miejmy nadzieję, że mu się uda. Dużo od tego zależy.

— Biedny Frank — powtórzył David.

— Biedny Frank może wpaść w znacznie gorsze tarapaty, jeśli dopadną go Niemcy. — W głosie Jacksona znowu zabrzmiało zniecierpliwienie. — Hall wyprowadzi go na zewnątrz. Wy troje będziecie na nich czekali przy bramie.

— Plan jest całkiem sensowny — ocenił Geoff. — I tak jesteśmy ścigani. Nie mamy nic do stracenia. — Wyjął z kieszeni fajkę i zaczął napełniać ją tytoniem.

— Właśnie — zgodził się Jackson. — Potem pojedziecie do kolejnego zakonspirowanego domu położonego niezbyt daleko od szpitala. Razem z Hallem. Kiedy władze odkryją, co się stało, on także będzie ścigany. — Zmierzył surowym spojrzeniem Davida i Geoffa. — Jak powiedział Drax, jesteście idealnymi ludźmi, żeby to przeprowadzić. Byliście tam wcześniej, a poza tym i tak musicie zniknąć. W dodatku, jak przestaną działać środki nasenne, Muncaster może jednak sprawiać pewne problemy. Bóg wie, jak zareaguje, kiedy odkryje, że nie jest w szpitalu i pilnują go ludzie z pistoletami. — Jackson spojrział na Davida. — Dlatego jest takie ważne, żeby pan tam był. Jeśli ktoś zdoła go przekonać, że robimy to wszystko dla jego dobra, to tylko pan.

— Co będzie, jeśli uda nam się wykraść Franka? — zapytał David.

— W ciągu kilku dni do kanału La Manche wpłynie amerykański okręt podwodny. Zabierze Muncastera, pana, Draxa i Halla. A także, zgodnie z planem, panią Fitzgerald. Jeśli wszystko pójdzie dobrze... traficie do Nowego Jorku.

— Mój Boże — westchnął David.

— Zawsze staramy się ratować naszych ludzi. — Jackson wskazał swoją teczkę. — Mam tu dla was fałszywe dowody tożsamości.

— Czy ja zostanę w Anglii? — zapytała Natalia.

— Tak, jeśli wszystko dobrze pójdzie — odparł Jackson. — Nie zostałaś zdemaskowana i mamy dla ciebie inne zadania. Chyba że ty też wolałabyś wyjechać — dodał, bacznie się jej przyglądając.

Natalia zerknęła na Davida.

— Nie — powiedziała. — Powinam tu zostać.

— W porządku. — Jackson popatrzył na Davida i Geoffa. — Jakies pytania albo uwagi?

— Wykonam zadanie — powiedział David. Zrobił dla Sarah wszystko, co mógł, i Jackson miał rację, musieli teraz spróbować wyciągnąć Franka ze szpitala.

— W porządku — odezwał się Geoff. — Moi rodzice pewnie nigdy się nie dowiedzą, co się ze mną stało.

— Wiem, że to trudne — rzekł Jackson. — Ale wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że któregoś dnia będziemy musieli uciekać i być może nigdy już nie zobaczymy naszych bliskich. To dotyczy nas wszystkich, również mnie. — Uśmiechnął się ze smutkiem i przez chwilę wydawał się tak samo bezradny jak oni.

David pomyślał o Irene i rodzicach Sarah. Jego żona prawdopodobnie nie zobaczy już swojej rodziny. Steve'owi pomogą pewnie jego znajomi z Czarnych Koszul.

Jackson podszedł do stołu, wyciągnął z teczki dwa brązowe dowody tożsamości i dał je Davidowi i Geoffowi. David otworzył swój. Przed kilku laty poszedł do fotografa i zrobił sobie zdjęcie na wypadek, gdyby kiedykolwiek potrzebował fałszywego dowodu. I oto miał je przed sobą, ze stemplem, który wyglądał zupełnie jak pieczęć Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, wklejone do dowodu wystawionego na nazwisko Henry'ego Bertrama z Bushey w Hertfordshire. Żonatego. Zatrudnionego w Ministerstwie Transportu.

— Obaj figurujecie tutaj jako urzędnicy państwowi, co jest bliskie prawdy. Dzięki temu będziecie mogli w razie potrzeby przekonująco mówić o swojej pracy — powiedział Jackson. — W miastach jest nadal mnóstwo policji, a na drogach, które prowadzą do nowych żydowskich obozów, ustawiono blokady. Nie można wykluczyć, że zostaniecie poproszeni o okazanie dowodów, a kłamstwo jest zawsze bardziej przekonujące, kiedy nie odbiega zbyt od prawdy. — Jackson wyciągnął z teczki pękatą białą kopertę. — Jeszcze jedna sprawa — dodał i popatrzył na nich twardym wzrokiem. — Jeśli złapią was Niemcy, obawiam się, że gestapo zapewni wam pełną obsługę w podziemiach Senate House.

Otworzył kopertę i wyjął z niej ostrożnie dwie małe gumowe kapsułki. David zerknął na Geoffa, który wziął głęboki oddech.

— To są kapsułki z cyjankiem — powiedział Jackson. — Natalia wie, do czego służą, i ma już taką samą. Trzymajcie je w kieszeniach spodni, luzem, i nie zgubcie, na miłość boską. Jeśli was złapią, jeśli zostanieie osaczeni i będziecie wiedzieli, że nie zdołacie uciec, wsadźcie kapsułkę do ust. Nie połykajcie jej, tylko rozgryźcie. W środku jest szklana fiolka. Działanie jest bardzo szybkie.

Jackson wyciągnął do nich otwartą dłoń i David i Geoff wzięli z niej kapsułki. Śmierć waży tyle co nic, pomyślał David, wsadzając swoją do kieszeni.

— Chyba wszyscy staliśmy kiedyś w obliczu śmierci — podjął Jackson. — Ja walczyłem w okopach wielkiej wojny, Fitzgerald brał udział w wojnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym, a ty, Drax, na pewno nieraz byłeś w trudnej sytuacji w Afryce. To zabawne, odkryłem, że podczas akcji zawsze trzeba być gotowym na śmierć. Człowiek trzyma ją w osobnej przegródce, ale w każdej chwili musi być przygotowany, że trzeba będzie ją otworzyć i spojrzeć śmierci prosto w oczy. Ze świadomością, że to może być ostatnia rzecz, jaką widzi. — Uśmiechnął się z nietypowym u niego skrępowaniem. — Wydaje mi się, że każda istota ludzka wie, że któregoś dnia umrze; każdy ma gdzieś tę zamkniętą przegródkę. Jest chyba łatwiej, kiedy człowiek jest wierzący.

David dotknął kapsułki w kieszeni i spojrzał na Natalię, lecz ona patrzyła gdzieś w przestrzeń z kamienną twarzą. Miała pewnie kapsułkę od długiego czasu.

Jackson klasnął w dłonie i David lekko się wzdrygnął.

— Spójrzmy na to od jaśniejszej strony — powiedział. — Misja ma duże szanse zakończyć się sukcesem. Wszyscy możecie zostać bohaterami. A jeśli dotrzecie do Stanów, mamy umowę z naszymi tamtejszymi sympatykami. Przemycą was do Kanady i dadzą nowe papiery jako brytyjskim emigrantom.

Tam nie będzie miało znaczenia, że jestem pół-Żydem, pomyślał David. A jeśli nawet, to niewielkie. Może uda mi się dostać do Nowej Zelandii, do ojca. Zastanawiał się, czy Sarah wyjedzie razem z nim, czy też, jak w głębi ducha się obawiał, wszystko między nimi jest już skończone. Nagle zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze i spojrzał ostro na Jacksona.

— Nie ma kapsułki dla Franka — powiedział.

Jackson pokręcił głową.

— Nie ma żadnej gwarancji, że z niej skorzysta. Mógłby też rozgryźć ją zaraz po tym, jak mu ją dacie. Natalia będzie uzbrojona i w razie czego nie pozwoli, żeby wzięli go żywcem.

David spojrzał na nią.

— To ja powinnam mieć broń, Davidzie — powiedziała. — Jestem doświadczona, a poza tym nie spodziewają się, że kobiety będą uzbrojone. To daje mi przewagę wynikającą z zaskoczenia.

— Która może się przydać, jeśli będziecie musieli działać szybko. — Jackson zamknął teczkę. — Niestety, Natalio, będę musiał cię prosić o opuszczenie tego lokalu w ciągu pół godziny. Weź po prostu osobiste rzeczy, których potrzebujesz, i zadbaj o to, żeby nie zostało tu nic, co mogłoby zostać wykorzystane przeciwko nam. Mam adres miejsca, gdzie wszyscy troje spędzicie kilka dni. Teraz zajrzyj do Dilys i powiedz jej, żeby przygotowała się do wyprowadzki.

— Będę chyba musiała zostawić swoje obrazy — odparła Natalia.

— Niestety, tak.

Jackson posłał jej przepaszający uśmiech. Widać, jak bardzo szanuje Natalię i jej ufa, pomyślał David. Za to ja i Geoff jesteśmy zwykłymi szeregowcami. A ja już raz go zawiodłem.

Natalia wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

— Cóż, to tyle — powiedział Jackson, unosząc brwi.

— Byłoby zabawne, gdyby okazało się, że Muncaster o niczym nie wie — mruknął Geoff.

— O nie — odparł ponuro Jackson. — Jesteśmy pewni, że wie.

Rozdział trzydziesty trzeci

Gunther zawiózł kobietę do Senate House. W samochodzie w ogóle nic nie mówiła, ale siedząc obok niej na skórzanej kanapie, czuł, jak cała drży. Kiedy weszła do swojej kuchni i ich zobaczyła, zeszywniała z przerażenia. Syme oświadczył, że jest aresztowana pod zarzutem uczestnictwa w nielegalnej organizacji i że sprawa dotyczy bezpieczeństwa narodowego. Gunther zapytał, gdzie jest jej mąż, a ona odparła, że nie wie i że powinien już być w domu. Ona wie coś więcej, pomyślał, obserwując jej twarz. Poprosił ją, żeby dała mu swoją torebkę i opróżniła kieszenie. Wówczas oświadczyła stanowczo, że nie powie nic więcej bez adwokata, dodając sztywno, iż przeprasza, jeśli zabrzmiało to niegrzecznie, co przyprawiło Syme'a o śmiech. Potem już się nie odzywała.

Kiedy wjechali przez bramę na teren ambasady, kazał Syme'owi zaparkować przy bocznym wejściu. Stał tam na baczność wartownik z Wehrmachtu. Wysiedli i Gunther wziął kobietę pod ramię. Zobaczył, że otworzyła szerzej oczy. Być może uświadomiła sobie, że znajduje się teraz na niemieckim terytorium. Podziękował Syme'owi i powiedział, że od tej chwili sam zajmie się sprawą.

— Zadzwoń do ciebie później.

Syme zaczerwienił się.

— Powiniennem wziąć udział w przesłuchaniu — szepnął, nachylając się do niego. — Tak wcześniej uzgodniliśmy.

— Uzgodniliśmy, jeśli chodzi o mężczyznę. Musisz go znaleźć, to pilne. Możesz ją przesłuchać później.

Syme zmrużył oczy.

— To wspólna operacja.

— Wiem, ale musimy znaleźć tego faceta. Ty masz środki, żeby to przeprowadzić.

— W porządku — mruknął Syme, ale widać było, że nie jest do końca przekonany.

Kiedy włamali się po południu do domu w Kenton, uparł się, żeby przeszukać go razem z Guntherem. Niczego nie znaleźli. Gunther zaczął się zastanawiać, czy nie nadeszła pora, by zająć się również Syme'em.

Kobieta wpatrywała się w oświetlony gmach Senate House, a gdy Syme odwrócił się i wsiadł do samochodu, zostawiając ją w rękach Niemców, powiodła za autem wzrokiem.

— Wszystko w porządku — zapewnił ją z łagodnym uśmiechem Gunther. — Chcemy tylko zadać pani kilka pytań.

Spojrzała na niego z lękiem i nienawiścią.

Wartownik wpuścił ich do środka i Gunther poprowadził Sarah rozbrzmiewającym echem kroków marmurowym korytarzem. Na końcu znajdowały się metalowe drzwi, przy których pełnił wartę kolejny żołnierz, tym razem w czarnym mundurze SS. Gunther skinął głową i wartownik otworzył je, a on zszedł razem z kobietą po kamiennych schodach. Kiedy w 1940 roku Niemcy przejęli Senate House i przenieśli tam swoją ambasadę, w podziemiach urządzono sale przesłuchań. Najwięcej działo się tam w 1943 roku, po odkryciu, że w Abwehrze spiskowano, by zabić Hitlera. Służba została oczyszczona; lojalne elementy wcielono do SS. Gunther przebywał wtedy w Anglii; to były trudne czasy. Kilku oficerów, których znał, trafiło do podziemi, a potem przewieziono ich do Niemiec.

Wiedział, że niektóre cele zostały wyposażone tak, by można w nich było prowadzić przesłuchania przy użyciu zaawansowanych metod fizycznych, ale były również inne, nieróżniące się wyglądem od tego, co można było zobaczyć w brytyjskich serialach takich jak *Sergeant Dixon*. Zaprowadził Sarah do jednej z nich. Był tam stół przyśrubowany do podłogi, kilka krzeseł i telefon zamontowany na pomalowanej na zielono ścianie. Oświadczył, że musi ją na chwilę zostawić, i zapytał, czy chciałyby napić się herbaty. Sarah pokręciła głową. Nie odzywała się od chwili, kiedy wyjechali z jej domu. Gunther zamknął drzwi na klucz i minąwszy inne zamknięte cele, podszedł do krępego, dwudziestokilkuletniego gestapowca, który siedział w końcu korytarza, czytając niemieckie czasopismo wojskowe „Signal”. Na okładce widać było grupkę niemieckich żołnierzy, którzy rozmawiali z jakimiś dziewczętami, siedząc na skraju rzeźbionej fontanny. Rozkosze służby w Rzymie. Gunther wskazał podbródkiem telefon.

— Połącz mnie ze Standartenführerem Gesslerem — powiedział i patrzył, jak żołnierz wykręca numer.

Wcześniej, na wieść o tym, że Fitzgeraldowi udało się uciec, Gessler dostał szału. Nadal nie otrzymali zgody na transfer Muncastera ze szpitala. „To mi wygląda na największy blamaż w historii!”, wrzeszczał bezradnie.

Żołnierz podał teraz słuchawkę Guntherowi, który poinformował Standartenführera, że zatrzymali żonę Fitzgeralda.

— Zaraz tu będzie — uprzedził półgłosem wartownika, który schował szybko „Signal” do szuflady i wyjął z niej plik formularzy. — Jak wygląda sytuacja? — zapytał Gunther. — Słyszałem, że zgarnęliście paru niemieckich Żydów.

Chłopak zmarszczył nos.

— Gnojki myślały, że schronią się w większym szambie.

Gessler pojawił się kilka minut później. Pod pachą trzymał cienką teczkę. Gunther zdał sobie sprawę, jak bardzo Standartenführer jest zmęczony. Zaczerwieniony i nieogolony stanowił całkowite przeciwieństwo pewnego siebie oficera, którego zobaczył zaraz po przyjeździe. Mimo to nadal panował nad sytuacją. Młody gestapowiec stanął na baczność i zasalutował.

— Gdzie ona jest? — zapytał Gessler.

Gunther podszedł z nim do metalowych drzwi celi, w której znajdowała się Sarah, i odsunął zasłonkę wizjera. Gessler nachylił się, spojrział do środka i z powrotem się wyprostował.

— Zaczęłaś ją już przesłuchiwać?

— W samochodzie w ogóle się nie odzywała, powiedziała, że chce adwokata. — Gessler roześmiał się, Gunther jedynie uśmiechnął. — Pomyślałem, że zostawię ją tu na parę minut. Niech uświadomi sobie, co ją czeka.

— Gapi się tylko w przestrzeń. — Gessler przez chwilę się zastanawiał. — Wiesz co? Mamy tu dzisiaj doktora Zandera. Moglibyście pokazać pani Fitzgerald kilka jego sztuczek. Na pewno otworzyłoby jej to szybko usta.

— Z całym szacunkiem, Herr Standartenführer, chciałbym jej najpierw zadać kilka zwykłych pytań. Szybko zorientuję się, czy była szkolona, jak sobie radzić w trakcie przesłuchań. Jeżeli nie, wynikałoby z tego, że nie współpracowała z mężem. Jeżeli tak...

— Przekażmy ją od razu Zanderowi. — Gessler postukał palcem w zegarek. — Nie mamy dużo czasu.

— Przesłuchiwanie jest sztuką — stwierdził Gunther.

— Ale jest również dziedziną nauki — odparł twardo Gessler. — Dziedziną medycyny.

Gunther wiedział, że tortury są czasami konieczne i oglądał je na filmach instruktażowych, ale nigdy nie sprawiały mu przyjemności. W przyszłości, kiedy wrogowie Niemiec zostaną pokonani, nie będą już konieczne; wiedział jednak, że do tego daleka droga.

Gessler przekazał mu cienką teczkę.

— Tyle udało nam się na nią znaleźć. Niewiele. Większość pochodzi z teczki Wydziału Specjalnego na temat jej ojca. Przed wojną był aktywnym pacyfistą, jednym z tych, którzy nas nie lubili. Ta kobieta i jej siostra też były

pacyfistkami. Ale od tysiąc dziewięćset czterdziestego nie odnotowano żadnej politycznej aktywności. Mąż siostry ma powiązania z Brytyjskimi Faszystami.

Gunther przewertował szybko akta.

— Dziś po południu zbiegł z biura kolejny pracownik służby cywilnej — powiedział Gessler. — Niejaki Geoffrey Drax. Mamy teraz całkowitą pewność, że to on był drugim mężczyzną, który odwiedził mieszkanie Muncastera. Wygląda na to, że odkryliśmy szpiegowską siatkę w służbie cywilnej. Ich Wydział Specjalny będzie chciał się tym zająć. A my nie złapaliśmy dotąd nikogo oprócz tej kobiety.

Gunther zabębnił palcami po okładce akt.

— Kto ostrzegł Fitzgeralda, że jesteśmy w Ministerstwie do spraw Dominiów? Chciałbym tu ściągnąć tę drugą kobietę, Carol Bennett.

— Później — mruknął Gessler. — Najpierw zmusz do mówienia tę, Hoth.

— Czy ktoś obserwuje dom Fitzgeralda?

— Tak. Z samochodu, który stoi nieco dalej przy ulicy. To nasi ludzie. W dzień nie będzie to takie łatwe. Ludzie siedzący w samochodach na podmiejskich ulicach przyciągają uwagę. Poruszają się firanki.

Gunther pokiwał głową. Miał w związku z tym pewien pomysł.



Wszedł z powrotem do pozbawionej okien celi. Kobieta siedziała na krześle. Mimo że w podziemiach było gorąco, nie zdjęła płaszcza i patrzyła na niego z tą samą mieszaniną strachu i przekory. Miała twarz o silnych rysach; kiedyś prawdopodobnie była całkiem atrakcyjna, ale zaczynała się starzeć. Nie drżała już, powściągnęła lęk. Gunther położył teczkę na biurku, usiadł naprzeciwko niej i się uśmiechnął.

— Nie przedstawiłem się. Nazywam się Hoth, reprezentuję niemiecką służbę bezpieczeństwa. Nie jestem żołnierzem, ale zwykłym detektywem.

— Gestapo — powiedziała nagle ze skrajną rozpaczą.

Gunther przechylił głowę.

— To bardzo szerokie określenie.

— Chcę rozmawiać z adwokatem.

— Nie przysługuje pani to prawo. Jest pani teraz na terenie ambasady — dodał łagodnym tonem — czyli na terytorium niemieckim. Chcę pani zadać kilka pytań. To wszystko, zaledwie kilka pytań. Nazywa się pani Sarah Fitzgerald, tak? — Sarah tylko się w niego wpatrywała. — Niech pani da spokój. — Gunther roześmiał się. — Nic się pani nie stanie, jeśli odpowie pani, jak się nazywa.

— Tak — odparła po krótkim wahaniu.

Gunther domyślił się, że nie znała się na technikach przesłuchań. W przeciwnym razie nie zdołałby tak łatwo skłonić jej do odpowiedzi.

— Świetnie, świetnie — mruknął. — Urodziła się pani siedemnastego maja tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. — Sprawiała wrażenie zaskoczonej. Gunther ponownie się uśmiechnął. — Data jest w pani dowodzie tożsamości. Pamięta pani, kiedy w domu odebraliśmy pani torebkę i kazaliśmy opróżnić kieszenie? Swoją drogą, przepraszam, że tak panią wystraszyliśmy. Nie mogliśmy jednak zostawić zapalonych świec.

— Chcieliście, żebyśmy wpadła prosto w wasze ręce. I tak się stało.

— Tak.

Na jej twarzy oprócz strachu i gniewu pojawiła się niepewność; najwyraźniej nie spodziewała się, że będzie traktowana tak łagodnie. Gunther postukał palcem w teczkę.

— Widzę, że w latach trzydziestych pani ojciec był pacyfistą. Razem z panią i pani siostrą. Żałuję, że ludzie pani pokroju nie postawili wówczas na swoim. Nie mielibyśmy wtedy wojny w trzydziestym dziewiątym i czterdziestym.

— Skąd pan ma te wszystkie informacje? — zapytała.

— Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ma dane ludzi, którzy byli aktywni politycznie przed wojną — odparł niemal przeproszającym tonem Gunther. — Ale według tych danych pani rodzina zaakceptowała chyba status quo po roku czterdziestym. Z całą pewnością dotyczy to pani siostry. I po czterdziestym pierwszym pani ojca.

— To znaczy, że rząd musi mieć dane dziesiątków tysięcy ludzi — powiedziała cicho, prawie do siebie.

Gunther rozłożył ręce.

— Biorąc pod uwagę, ile mają problemów z ruchem oporu, rozumie pani, dlaczego uznali to za konieczne. Burzliwe demonstracje, podkładanie bomb, zabójstwa. Sytuacja jest tu teraz tak samo zła jak we Francji. Chociaż wiem, że jako pacyfistka nie przyłożyłaby pani do tego ręki.

Sarah nie odpowiedziała. Gunther uśmiechnął się.

— Ja też pragnę pokoju — powiedział. — Niemcy mają dość wojny. Marzę o dniu, kiedy na świecie zapanuje pokój.

— I będziecie mieli wszystkich pod waszym obcasem — mruknęła gorzko.

— Chciałbym, żeby to pani zrozumiała. — Gunther nie był w stanie powściągnąć lekkiej irytacji. Autentycznie pragnął pokoju; ta kobieta, miła i wykształcona, z wyglądu czysta Aryjka, powinna siedzieć szczęśliwa w domu i dbać o męża i dzieci. — Gdzie pani była dziś po południu, pani Fitzgerald? — zapytał.

— Nie było mnie w domu. Pojechałam do miasta, do domu towarowego Blakeleys, do działu zabawek. Rozmawiałam z jego kierownikiem. Jeśli pan chce, może pan to u niego sprawdzić.

— Skąd pani zna tego człowieka?

— Pracuję społecznie w organizacji charytatywnej, która wysyła zabawki dzieciom z biednych rodzin. Pan Fielding nam pomaga.

— Aha. To tak jak Pomoc Zimowa w Niemczech.

— Nie. To nie to samo — odparła, a potem przez chwilę się zastanawiała.
— A może i to samo.

— Nie macie państwo dzieci?

Sarah spojrzała na niego.

— Mieliśmy syna, ale zginął w wypadku.

— Przykro mi — powiedział.

Zaskoczył ją najwyraźniej ton szczerego współczucia w jego głosie.

— Pan ma dzieci? — zapytała.

— Syna Michaela. Jest z matką na Krymie. Tęsknię za nim.

— Dlaczego mnie aresztowaliście? — spytała nagle. — Co takiego zrobiłam?

— Chwileczkę. Dokąd pani poszła po wizycie w sklepie?

— Do Narodowej Galerii Portretu. Przedtem zjadłam lunch.

— Wróciła pani do domu po ósmej, pani Fitzgerald. Galerię zamykają o piątej. Co pani robiła po wyjściu stamtąd?

Sarah zawahała się. Gunther wyczuł to.

— Spacerowałam.

Zorientował się, że kłamie.

— W chłodny, mroczny zimowy dzień?

— Siedziałam przez jakiś czas w kawiarni.

— Gdzie?

— Niedaleko dworca Victoria.

— Dlaczego pani to robiła? Czy mąż nie spodziewał się, że będzie pani w domu, kiedy on wróci z pracy?

— Czasami pracuje do późna. — Usłyszał w jej głosie gniewny ton. W ich małżeństwie nie układa się najlepiej, pomyślał. — Wie pan, gdzie on jest? — zapytała.

— Nie. Niech pani na mnie spojrzysz — powiedział cicho Gunther. — Niech pani na mnie spojrzysz. Wiem, że pani coś ukrywa.

Przez dłuższą chwilę milczała. Widział, że się zastanawia.

— Bałam się, że mąż ma romans — odpowiedziała w końcu niemal szeptem. — Dostrzegałam drobne rzeczy, zmiany w jego zachowaniu, to, jak

mnie traktował. Śmierć syna była strasznym ciosem.

— Z kim, pani zdaniem, miał romans?

— Nie wiem... Kobiety zawsze uważały go za bardzo atrakcyjnego.

Gunther nagle wszystko sobie uświadomił.

— Czy kobieta, o którą chodzi, nazywa się Carol Bennett?

Sarah gwałtownie nabrała powietrza i otworzyła szerzej oczy.

— To ona, prawda? — zapytał.

— Skąd pan wie?

— Mamy informacje, że pani mąż może być zamieszany w nielegalną działalność. Przesłuchiwalismy dziś w jego pracy osoby, które dobrze go znają. Padło nazwisko panny Bennett.

— Nie miała z nim romansu — oświadczyła Sarah. — Ona nie miałyby nic przeciwko temu, ale on... on nie chciał. Rozmawiałam z nią dziś wieczorem, rozumie pan. Odwiedziłam ją w domu. Tam właśnie pojechałam. Chciałam się z nią rozmówić.

Gunther uśmiechnął się.

— Wierzę pani. Niech mi pani powie, jak długo jest pani zamężna?

— Od dziewięciu lat.

— Moja żona opuściła mnie po siedmiu. Nie podobały jej się moje godziny pracy.

Przyjrzała mu się z zainteresowaniem.

— Gdzie pan się nauczył tak dobrze mówić po angielsku?

— Studiowałem w Oksfordzie. A potem przez kilka lat pracowałem tutaj w ambasadzie.

— Jest pan jednym z tych, którzy w to wszystko wierzą, prawda? — mruknęła, kręcąc głową. — W całą tę nazistowską truciznę.

— Niech pani nie zapomina, gdzie się pani znajduje, pani Fitzgerald — ostrzegł ją poirytowanym tonem.

Parsknęła krótkim pozbawionym humoru śmiechem.

— Chyba nie pozwoli mi pan o tym zapomnieć.

— Czy po powrocie od panny Bennett spodziewała się pani zastać w domu męża?

— Tak. Nie mam pojęcia, gdzie jest. Ani dlaczego chcecie go zatrzymać. Zawsze powtarzał mi, że zabawa w politykę nie ma sensu, musimy pogodzić się z systemem. Mówił tak przez wszystkie te lata.

— Być może chciał panią chronić — odparł Gunther. Sarah nie odpowiedziała. — Niestety, dowody nie pozostawiają wątpliwości. Wszystko wskazuje, że pani mąż należał do szpiegowskiej siatki, która działała w służbie

cywilnej. Zna pani oczywiście jego przyjaciela, tego, z którym studiował na uniwersytecie. Geoffa Draxa.

— Geoff? — Na jej twarzy odbiło się autentyczne zdumienie.

— Tak jest. Dziś po południu obaj zniknęli ze swoich ministerstw. Mieli zostać aresztowani, ale ktoś ich ostrzegł. — Domyślał się, że to Carol Bennett, ale nie powiedział tego na głos.

— Dlaczego miałabym wierzyć w cokolwiek, co pan mówi? — zapytała Sarah.

— Po co w takim razie mielibyśmy włamywać się do waszego domu?

— Twierdzi pan, że, być może, nigdy już nie zobaczę Davida — odezwała się ponurym głosem.

— Naprawdę nic pani nie wiedziała?

— Nie. Przysięgam. Nic mi nie mówił.

— Przysięga pani. Jest pani chrześcijanką? — Gunther przypomniał sobie nagle kobietę, która ukrywała Żydów w swoim berlińskim mieszkaniu.

— Nie. Przestałam wierzyć w Boga — odparła i znowu spojrzała mu prosto w twarz. — Jak mógłby pozwolić, by świat wyglądał tak, jak wygląda?

— Może tak właśnie wygląda świat, który jest nam przeznaczony. Czysty, bezpieczny świat. I to siły zła i przemocy przeszkadzają go nam zbudować. — Gunther cierpko się uśmiechnął. — Myślała pani kiedyś o tym w ten sposób?

— Nie — odparła z mocą. — To, co się teraz dzieje z Żydami, zrobiono na rozkaz z Niemiec, tak? Co się teraz z nimi stanie?

— Z całym szacunkiem, pani Fitzgerald, znalazła się tutaj pani, żeby odpowiadać na moje pytanie, a nie odwrotnie. Czy mówi pani coś nazwisko Frank Muncaster?

— To dawny uniwersytecki znajomy mojego męża — odparła zdziwiona. — Od czasu do czasu piszą do siebie. Nigdy go nie spotkałam.

Miała twarz, na której łatwo było wszystko odczytać. Nie był pewien, czy powiedziała mu całą prawdę o tym popołudniu — być może pominęła jakiś drobiazg — nie miał jednak wątpliwości, że mąż nigdy jej się nie zwierzył i że nie wiedziała nic o Franku Muncasterze.



Zostawił ją i udał się do gabinetu Gesslera. Standartenführer rozmawiał przez telefon. Miał wściekłą minę, ale odzywał się z szacunkiem. Wskazał ręką Guntherowi, żeby usiadł i zaczekał, aż skończy rozmowę.

— Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie może po prostu nakazać urzędnikowi Ministerstwa Zdrowia, żeby ten zwolnił pacjenta ze szpitala psychiatrycznego. Urzędnik poszedłby z tym do ministra, a gdybyśmy interweniowali, nawet do premiera. A wie pan, jaki nieobliczalny jest Beaverbrook...

Gessler urwał i słuchał przez chwilę swojego rozmówcy. Ktokolwiek to był, głośno krzyczał do słuchawki.

— Z całym szacunkiem, Herr Oberführer — podjął w końcu Gessler — współpracuje z nami tylko jedna sekcja Wydziału Specjalnego i nawet oni nie mają pojęcia, o co chodzi...

Po drugiej stronie linii znowu słyhać było krzyki, chropawy, metaliczny dźwięk.

— Właśnie wszedł do mnie człowiek, który przesłuchiwał tę kobietę — powiedział po dłuższej chwili Gessler. — Proszę mi pozwolić z nim porozmawiać i oddzwonię do pana... tak, za dziesięć minut. Tak. *Heil Hitler*. — Odłożył słuchawkę. — Ludzie Heydricha — warknął. — Powiedziałem im o siatce szpiegowskiej w służbie cywilnej. Czy Syme będzie trzymał gębę na kłódkę?

— Na razie tak.

— Jego komisarz stoi na stanowisku, że muszą szybko działać. Chcą przeprowadzić czystkę w ministerstwie. Nie możemy ich zbyt długo powstrzymywać. Co powiedziała ci ta kobieta?

— Jestem pewien, że nie wiedziała, w co zamieszany był mąż. Podejrzewała go o romans. Zapytałem, czy mówi jej coś nazwisko Muncaster. Odpowiedziała, że to dawny znajomy jej męża i że nigdy go nie spotkała. Wierzę jej.

Gessler nachmurzył się.

— Im mniej ludzi wie, że jesteśmy nim zainteresowani, tym lepiej.

— Zapytałem bardzo zdawkowo.

— Więc twierdzisz, że nic z niej nie wyciągniemy? — zapytał Gessler z pretensją w głosie, jakby to przez Gunthera ten trop okazał się ślepą uliczką.

— Czy mógłbym coś zaproponować, Herr Standartenführer?

Gessler kiwnął głową.

— Kiedy czekaliśmy dzisiaj na panią Fitzgerald, zauważyłem, że naprzeciwko jej domu jest duży trawnik, coś w rodzaju skweru. W jego drugim końcu, jakieś dwieście metrów dalej, stoi jeden z tych dawnych betonowych schronów przeciwlotniczych. Sprawia wrażenie dość zrujnowanego, ale gdyby udało nam się umieścić tam człowieka z krótkofalówką i mocną lornetką, mógłby obserwować dom. Moglibyśmy wypuścić panią Fitzgerald, zakazać jej opuszczać dom i zobaczyć, kto składa jej wizytę. Ruchowi oporu bardzo zależy na tym,

żeby ratować rodziny swoich agentów. Nie zadzwonią do niej, wiedzą, że telefon będzie na podsłuchu. Jeśli przyjadą po nią samochodem, obserwator w tym schronie może zapisać numery i kazać ich złapać. Ale jeśli zatrzymamy ją tutaj, nie podejmą żadnej akcji, nie będą mogli się z nią skontaktować. A ja nie sądzę, żeby mogła nam się jeszcze do czegoś przydać.

Gessler spojrzał na niego i zmrużył oczy.

— Naprawdę nie chcesz, żeby poddano ją ostremu przesłuchaniu, tak? Takie podejście do kobiet jest bardzo sentymentalne, ale pamiętaj, że te, które szpiegują, nie są normalnymi kobietami.

— Nie sądzę, żeby była szpiegiem, Herr Standartenführer. Uważam, że jeśli zrobimy to, co proponuję, będziemy mieli szansę złapać tych, którzy są nimi naprawdę.

Gessler przez chwilę się zastanawiał, a potem kiwnął głową.

— W tych sprawach masz spore doświadczenie, prawda? W zgarnianiu Żydów i ich przyjaciół. Wybacz, nie miałem racji, mówiąc, że jesteś sentymentalny. Wiem, że twoja praca w Niemczech z pewnością nie ma z tym nic wspólnego.

— Dziękuję, Herr Standartenführer — odparł skromnie Gunther. Nie sądził, że Gessler będzie zdolny do przeprosin.

— Jeśli się na to zdecydujemy, musimy skorzystać z personelu ambasady.

— Uważam, że powinniśmy się na to zdecydować — oświadczył Gunther cichym, lecz zdecydowanym głosem. — Moim zdaniem możemy ich złapać.

Rozdział trzydziesty czwarty

Frank przebywał teraz w wyściełanej celi, gdzieś w samym środku szpitala. Ściany, a także podłoga pokryte były szorstkim grubym materiałem; miał wrażenie, że tkwi we wnętrzu wielkiego, dusznego materaca. Na tkaninie widać było paskudne plamy, w powietrzu unosił się smród środków dezynfekcyjnych i wymiotów.

Po skoku z krzesła stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, leżał na podłodze cichego pokoju, ze straszliwie obolałym gardłem, a pielęgniarze trzymali go za ręce i nogi. Nadal tu jestem, pomyślał z żalem i nie stawiał oporu, gdy założyli mu kaftan bezpieczeństwa i zabrali z pokoju. Kiedy wlekli go korytarzem, ludzie odwracali się, żeby mu się przyjrzeć. W wyściełanej celi zdjęli mu kaftan, ale uprzedzili, że przez jakiś czas tu zostanie i jeśli będzie sprawiał kłopoty, znowu mu go założą.

Kilka razy przyszedł go odwiedzić doktor Wilson. Sprawiał wrażenie poirytowanego i rozczarowanego, jakby Frank w jakiś sposób zawiódł jego nadzieje.

— Myślałem, że się aklimatyzujesz — powiedział z przyganą. — Co się takiego wydarzyło, że chciałeś odebrać sobie życie?

Frank dostrzegł w jego oczach wyrachowanie, które kłóciło się z pozorami irytacji. Doktor wydawał się poza tym w dziwny sposób wystraszony. Frank domyślił się, że Wilson skojarzył fakty i przypisał jego próbę samobójczą wizytom policji oraz dawnych przyjaciół. Już wcześniej doszedł do wniosku, że jego ostatnią deską ratunku jest zachowanie kompletnego milczenia, nieodzywanie się do nikogo. Odwrócił wzrok. Doktor Wilson też prawdopodobnie brał udział w spisku.

— Jeśli nie chcesz się odzywać, będziesz musiał tu zostać, Frank — powiedział Wilson.

Przez chwilę kusiło go, żeby pójść na współpracę, zrobić wszystko, czego od niego chcieli, żeby tylko wydostać się z tego pomieszczenia. Wiedział jednak, że jeśli nawet zostanie wypuszczony z wyściełanej celi, będą go obserwować. Nie będzie mu tak łatwo ponownie targnąć się na życie. Ale i tak to robi,

skorzysta z pierwszej nadarzającej się sposobności. Wilson spojrzął na stojący na tacy na podłodze plastikowy dzbanek z zimną wodą.

— Pij, ile możesz — polecił. — To pomoże ci na suchość w gardle.

Frank posłał mu obojętne spojrzenie. Czerpał satysfakcję z tego, że mu się sprzeciwia. Był teraz przez cały czas na podwójnej dawce largactilu.

To było kilka dni temu. Przynosili mu wszystkie posiłki na tacy i musiał pukać i czekać przy drzwiach za każdym razem, kiedy chciał iść do toalety.

Pielęgniarze przynoszący mu jedzenie sprawdzali także, czy na pewno wziął swoje pigułki. Podobnie jednak jak wcześniej, kiedy brał mniejszą dawkę, tuż przed wzięciem następnej tabletki efekty poprzedniej słabły i przez dłuższą chwilę miał jasny umysł; zbyt jasny, ponieważ wyobrażał sobie wówczas straszliwe rzeczy. Ale lepiej i bezpieczniej było mieć jasny umysł przynajmniej przez jakiś czas. Oprócz milczenia była to jedyna broń, jaka mu została, i zamierzał posługiwać się nią tak długo, jak to możliwe.



Tego wieczoru to Ben przyniósł mu kolację. Frank drzemał na podłodze swojej celi, z głową na poduszce, którą mu dali. Drzwi otworzyły się z metalicznym skrzypnięciem i Ben wszedł do środka, trzymając w jednej ręce tacę. Spojrzenie, którym omiótł Franka, było jakieś inne, przenikliwe i wyrachowane. Jak zwykle jednak wesoło się do niego uśmiechnął.

— Pobudka, Frank, czas na kolację! — powiedział.

Frank usiadł. Chciał zapytać, która jest godzina, ale nie mógł, nie mógł się odzywać. Ben uczestniczył w tym, co się działo, to było jasne: przecież to on sprowadził tutaj Davida. Frankowi zabrano zegarek, a w celi nie było okien, wyłącznie osłonięta metalową kratką lampa pod sufitem, która w nocy paliła się słabiej; poza posiłkami stanowiło to jedyną wskazówkę, jaka jest pora dnia. Skoro podano mu kolację, musiało być koło szóstej.

— Kolejna zimna noc. Masz tutaj przynajmniej ciepło — zauważył Ben, kładąc tacę na podłodze. Była plastikowa, podobnie jak sztućce i talerz, na który nałożono kawałek szarej ryby i rozgotowane warzywa, miseczka z jasnożółtą galaretką, kubek z wodą oraz drugi kubek z tabletkami. Frank zauważył, że pigułki są inne. Tego samego koloru, ale większe.

Ben przykucnął na piętach.

— Daj spokój, chłopie — powiedział zachęcającym tonem. — To ja. Odezwij się do mnie, Frankie.

Frank spojrzał ponownie na tabletki. Były zdecydowanie inne. Przypomniał sobie krążące wśród pacjentów opowieści, że dają im do picia coś, co powodowało bezpłodność. Może Ben dawał mu coś innego? Nie mógł o to zapytać, nie wolno mu było się odezwać. Wpatrywał się bacznie w pielęgniarka. Ten westchnął i pokręcił głową.

— Jezu, Frank. To było paskudne spojrzenie. Wołałem już, jak szczyrzyłeś zęby. — Frank włożył do ust tabletki, popił je i otworzył usta, żeby pielęgniarka mogła sprawdzić, czy je połknął. Ben zmarszczył czoło. — W porządku, jeśli tak wolisz — mruknął i wskazał podbródkiem tacę. — A teraz jedz kolację.

Frank nie miał ochoty na jedzenie. Przeszedł kilka kroków i usiadł przy przeciwległej ścianie. Ben ciężko westchnął.

— Słuchaj, Frank — powiedział. — Musisz jeść. Jeśli na dodatek przestaniesz jeść, Wilson będzie się niepokoił.

Mówił łagodnym tonem i patrzył na niego spokojnym wzrokiem, ale jego twarz mówiła coś innego. Frank zamknął oczy. Po chwili usłyszał, jak Ben wychodzi. Zapach ryby na talerzu przyprawiał go o mdłości. Wkrótce zrobił się senny i zaczęła mu się kołysać głowa.



Obudził się raz i odkrył, że lampa przygasła i rzuca tylko niewyraźny blask na obitą materiałem ścianę. Musiała zapaść noc. Taca zniknęła, Ben wrócił pewnie i ją zabrał. Jak dziwnie dzisiaj wyglądał. Frank pomyślał o wizycie Davida i Geoffa, o tym, jak ucieszył się na widok tego pierwszego. Ale David dogadał się teraz z nieprzyjacielem. Przypomniał sobie prowadzoną na uniwersytecie rozmowę na temat polityki appeasementu, to, jak ucieszyło go, że David i w ogóle ktokolwiek zainteresował się tym, co miał do powiedzenia. Łzy stanęły mu w oczach, ale był zbyt zmęczony, żeby płakać.

Zasnął ponownie, tym razem głębiej. Obudził go odgłos otwieranych drzwi. Lampa paliła się pełnym blaskiem. Zdezorientowany zamrugał oczyma.

Poczuł, że ktoś podnosi go z podłogi.

— Co się...

Silne ręce obróciły go o sto osiemdziesiąt stopni i ujrzał przed sobą twarz Bena. Pielęgniarka patrzył na niego twardo, usta pod złamanym nosem były zaciśnięte w wąską kreskę.

— Musisz ze mną pójść, Frank, natychmiast — powiedział cicho, lecz śmiertelnie poważnym tonem. — Zabieram cię w bezpieczne miejsce. Ruszaj.

Tylko nic nie mów, nie zacznij teraz gadać, proszę, bo będę cię musiał ogłuszyć. Nie chcę tego, ale będę musiał.

Półprzytomny Frank zamrugał oczyma. Ben złapał go silnie pod ramię i wyprowadził z pokoju na korytarz. Frank znowu zamrugał. W głowie miał mętlik. Na korytarzu było ciemno, paliło się tylko nocne oświetlenie. Pozwolił Benowi się prowadzić. Stało się, zabiera mnie do Niemców, pomyślał. Nie mógł na to jednak nic poradzić, nie potrafił otrząsnąć się z otępienia. To przez te duże tabletki, na pewno, zupełnie go odurzyły. Idąc pogrążonymi w półmroku korytarzami, raz czy dwa się potknął. Minęli innego pielęgniarza i poczuł, jak Ben mocniej ściska go za ramię. Pielęgniarz, młody mężczyzna, sprawiał wrażenie znudzonego i zmęczonego. Popatrzył z zaciekawieniem na Bena.

— Dokąd go prowadzisz o tej porze?

— Niedobrze się poczuł. Zabieram go do lekarza dyżurnego.

— Powodzenia. Dzisiaj ma dyżur Blackstone.

— Jest już pewnie w pestkę zalany.

Ben poprowadził Franka dalej, przez oddziały, gdzie na ustawionych w rzędach łózkach spali odurzeni środkami nasennymi mężczyźni, a przy stolikach siedzieli dyżurni pielęgniarze, czytając coś w świetle nocnej lampki. Później otworzył boczne drzwi i Frank, który miał na sobie tylko szpitalny pulower, wstrzymał oddech z zimna.

— Nic ci nie będzie, musimy tylko podejść do bramy.

Ben ruszył alejką, przyspieszając kroku. Frank rozglądał się mętym wzrokiem dokoła. Była jasna księżycowa noc; szron lśnił na trawie. Zaczął drzeć z zimna. Podeszli do portierni przy zamkniętej bramie. Frank zerknął przez małe okienko do środka i zobaczył leżącego bez ruchu na podłodze mężczyznę, który miał związane z tyłu ręce i strużkę krwi na twarzy. Przerażony szarpnął się do tyłu.

— Nic mu nie będzie, Frank. Słowo daję, nic mu nie będzie — szepnął Ben. — Zabieram cię stąd. Pomagam ci uciec. Chodź, do jasnej cholery.

Frank jęknął, ale pozwolił Benowi doprowadzić się do bramy. Przez cały czas trzęsły się pod nim nogi i bał się, że upadnie. Pielęgniarz sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucz, duży, różniący się od tych, które nosił na łańcuszku. Trzymając Franka pod ramię, otworzył bramę. Frank obejrzał się i zerknął na ciemne puste okna szpitala psychiatrycznego.

Ben wywlókł go na drogę za bramą. Ich oddechy zmieniały się w obłoczki pary. Było bardzo ciemno; droga wydawała się pusta.

A potem kilka metrów przed nimi zapaliły się reflektory i Frank zobaczył duży samochód. Wysiadł z niego wysoki mężczyzna w kapeluszu i płaszczu i ruszył szybkim krokiem w ich stronę. W ślad za nim wysiadł następny

mężczyzna, a potem kobieta. To Niemcy, pomyślał Frank, przyjechali po mnie. Nie zdołam dochować sekretu. Ugięły się pod nim nogi i upadłby, gdyby Ben nie złapał go i nie przytrzymał.

Mężczyzna zatrzymał się dwa kroki przed nim. Frank nie śmiał podnieść głowy i na niego spojrzeć. To pewnie jeden z tych policjantów, być może ten Niemiec. Nagle poczuł dłoń na ramieniu.

— Wszystko w porządku, Frank, to ja — usłyszał znajomy głos. — Geoff też tu jest, przyjechaliśmy ci pomóc.

Frank podniósł wzrok.

— David?

David uśmiechnął się. Patrzył na niego z troską, podobnie jak wtedy, gdy przyjechał do szpitala po raz pierwszy. Ale coś się w nim zmieniło. W świetle reflektorów jego twarz wydawała się dziesięć lat starsza.

Rozdział trzydziesty piąty

David i Geoff spędzili dwie noce w mieszkaniu nad sklepem spożywczym w Brixton. Natalia zostawiła ich tam, informując, że wróci w niedzielę i pojedą razem do Birminghamu. W niedzielę, trzydziestego, pomyślał David, w ostatni dzień listopada. Wydawało mu się, że wieki minęły od demonstracji w Dniu Pamięci.

Sklepikarz, pan Tate, był mężczyzną w średnim wieku o rudawozłotych włosach i szorstkim, wesołym usposobieniu. Ostrzegł ich, żeby siedzieli cicho w godzinach otwarcia sklepu. Geoff i David spędzali dużo czasu w sypialni, czytając i grając w karty. W pokoju było zimno i czuć było dobiegające z dołu ostre zapachy bekonu i sera. Pan Tate przynosił im jedzenie. Drugiego dnia powiedział, że jego syn zginął, walcząc z nacjonalistyczną partyzantką w Birmie, a żona zmarła na udar niedługo potem. Wtedy wstąpił do ruchu oporu.

— Musimy skończyć z tym całym zabijaniem — oświadczył. — Dogadać się jakoś z ludźmi ze Wschodu. Z powodu strajków na plantacjach nie można już nawet dostać porządnej indyjskiej herbaty.

David zapytał go, czy są jakieś wiadomości o Sarah, ale pan Tate nic nie wiedział.

Pierwszego dnia wieczorem, po zamknięciu sklepu, David i Geoff usiedli i cicho rozmawiali. Geoff opowiedział o kobiecie, którą poznał w Kenii.

— Jej mąż był lekarzem. Często wyjeżdżał, żeby leczyć za darmo tubylców, robił dla nich wiele dobrego. Był przyzwoitym facetem, tyle że zbyt poważnie traktował swoją pracę, tak naprawdę zaniedbywał Elaine. Pozostawiał ją samej sobie. Miejskowa biała społeczność patrzyła na nią z góry, jak na żonę naiwnego idealisty. Paradoks polegał na tym, że nienawidziła czarnych, naprawdę się ich bała, została tak wychowana, podobnie jak większość ludzi. Chyba trochę ją wyedukowałem pod tym względem. Trochę. — Uśmiechnął się z przekąsem. — Przypuszczam, że ciągnęło nas do siebie, bo żadne z nas do końca tam nie pasowało. Poprosiłem Elaine, żeby rozwiodła się z mężem i wróciła ze mną do Anglii. Ale ona nie chciała; była katoliczką, nie uznawała rozwodów. — Geoff westchnął. — Więc zgodziliśmy się to skończyć i poprosiłem o przeniesienie do kraju. I wiesz, co się stało dziwnego? Kiedy już z sobą zerwaliśmy, powiedziała

o nas mężowi, Bóg jeden wie dlaczego. Po co to zrobiła, skoro było już po wszystkim? — Geoff pokręcił ze znużeniem głową. — W ostatnich tygodniach mojego pobytu w Kenii trąbili o tym w całym mieście.

— Powiedziała ci, dlaczego to zrobiła?

— Nigdy już nie rozmawiałem z żadnym z nich. Kiedy to się rozniosło, raczej nie przyjeżdżali do miasta. Myślę, że Ron... tak miał na imię jej mąż... powiedział swoim kolegom. Zobaczyłem raz Elaine. Ja byłem na jednym końcu ulicy, ona na drugim. Jak mnie zobaczyła, odwróciła się i weszła do sklepu. Skoro tak, to dobrze, pomyślałem. — Geoff zgryźliwie się roześmiał. — Powrót ze złamanym sercem do kraju był przynajmniej dobrą przykrywką, kiedy zacząłem szpiegować dla ruchu oporu.

— Udało ci się o niej zapomnieć? — zapytał David.

Geoff pokręcił głową.

— Wiesz, że nigdy nie wierzyłem w te romantyczne bajki, że każdy musi trafić na tę jedną wymarzoną osobę.

— Ja też.

— Ale od tamtego czasu z nikim się bliżej nie zaprzyjaźniłem. — Geoff nagle posmutniał. — Zrobiłem się chyba zgorzkniały. Dlatego pewnie byłem gotów wstąpić do ruchu oporu.

— Po śmierci Charliego wpadłem w gniew — powiedział David. — W moim wypadku to też miało znaczenie. — Spojrzał na Geoffa. — Widziałeś to wtedy? Ile we mnie było gniewu?

— Widziałem, jak powoli budzi się w tobie gniew po wyborach w pięćdziesiątym roku. Zacząłeś więcej mówić o polityce. Nie skojarzyłem tego z Charliem. Żałujesz tego? Tego, co zrobiliśmy?

— Żałuję, że oszukiwałem Sarah. I gdzie się teraz podziewa? Bóg jeden wie, co z nią będzie.

Geoff pochylił się i dotknął ręki przyjaciela.

— Znajdą ją. Są w tym dobrzy.

— I co będzie z Carol. Wiesz, jak wobec niej postąpiłem. Oszukałem ją. A mimo to mnie uratowała.

— To się nazywa lojalność.

David popatrzył na Geoffa.

— Może czuje do mnie to samo, co ty czułeś do Elaine. Mówię ci, czasami to może być trochę przerażające.

— Tak — odparł powoli Geoff. — Chyba tak. A co z Natalią?

David poruszył się nieswojo.

— O co ci chodzi?

— Zastanawiałem się po prostu, czy coś jest między wami?

— Nie mamy chyba na to czasu, nie sądzisz? — odparł ostro David.

— No nie.



Drugiego dnia ich pobytu, w niedzielę, sklep był zamknięty. Padał deszcz, ulewny i nieustający. David patrzył przez okno na parę starszków, którzy skuleni pod parasolami szli ulicą w swoich najlepszych ubraniach. Chyba do kościoła. Uświadomił sobie, że minął dokładnie tydzień, odkąd deportowano Żydów.

Pan Tate przyniósł im lunch. Nadal nie było żadnej wiadomości o Sarah. Teraz, kiedy sklep był nieczynny, sklepikarz robił wrażenie bardziej odprężonego.

— Chińczycy rozpoczęli nową ofensywę przeciwko Japończykom — powiedział. — Z prowincji, która nazywa się Zhejiang. W wiadomościach mówią, że Japończycy organizują kontrofensywę, ale to wygląda tak samo jak z Niemcami w Rosji. Na wielu obszarach opanowali tylko miasta i drogi między nimi. Z tego, co słyszę, to samo dzieje się w części Indii. To jest niczym rybacka sieć. Kiedy przerwie się ją w kilku miejscach, cała się rozpada. Niemiecka armia wie o tym, dlatego po śmierci Hitlera zawarą pokój z Rosją.

— Mówili coś o Ameryce, o tym, co zrobi Adlai Stevenson, kiedy przejmie władzę? — zapytał Geoff.

Pan Tate pokręcił głową.

— Nie. W każdym razie nie w BBC. I nic nie mówią o Żydach. Mają chyba nadzieję, że wszyscy o nich zapomnimy.

Jeśli rząd będzie się bardzo starał, pomyślał David, za jakiś czas rzeczywiście wszyscy zapomną.



Natalia przyjechała zaraz po trzeciej. Przywiozła Geoffowi i Davidowi ubrania na zmianę: tanie garnitury, meloniki i ciemne płaszcze. David nadal nosił ciemną marynarkę i prążkowane spodnie z biura, teraz nieco już pogniecione.

Była rzeczowa, w dziarskim nastroju. Oświadczyła, że muszą się ogolić, powinni przyzwoicie wyglądać. Geoff poszedł pierwszy do łazienki.

— Niestety, nadal nie ma wiadomości o twojej żonie — powiedziała Davidowi, kiedy zostali sami. — Ale zepsuła się jedna z krótkofalówek, bardzo

możliwe, że Sarah jest bezpieczna, tylko nie mogą się z nami skontaktować. To właściwie bardzo prawdopodobne — dodała, niepewnie się do niego uśmiechając.

— To tyle, jeśli chodzi o nowoczesną technikę.

— Sprowadzimy ją w bezpieczne miejsce. Wyekspedujemy was wszystkich do Ameryki.

— Nie sądzę, żeby chciała ze mną dłużej być — odparł. — Dlaczego miałyby tego chcieć? Zawsze uważała, że jestem bezpieczny, rzetelny, uczciwy. Nie miała pojęcia, że ją oszukuję.

Natalia spojrzała mu prosto w oczy.

— Z tego, co mi o niej opowiadałeś, sądzę, że zrozumie twoje postępowanie. — Uśmiechnęła się ze smutkiem. — Wiem, że ciężko ci było robić to, co musiałeś. Dla mnie to łatwiejsze. Pod tym względem jestem wolna. Tam, skąd pochodzę, ludzie nigdy nie mieli tego rodzaju bezpiecznego poczucia tożsamości, jakie ma brytyjska klasa średnia. Moja część świata zawsze była tygłem, w którym wszystko się mieszało. Może to czyni życie łatwiejszym dla tych z nas, którzy się stamtąd wydostali. Nie jesteśmy tak uwiązani.

— Łatwiejszym? Mimo tego, co straciłaś?

— Tak. Mimo tego. Łatwiejszym niż dla was z waszym poczuciem więzi — odparła z nagłą czułością. — Kiedy was stąd wyekspedujemy, będziesz miał szansę je odbudować. Chcesz skorzystać z tej szansy? — zapytała po krótkim wahaniu.

— Nie wiem.

— Powinieneś spróbować.

— A ty? — zapytał, patrząc na nią.

— Odejdę tam, gdzie toczy się walka. Tak teraz wygląda moje życie. — Znowu czule na niego spojrzała. — A teraz szykuj się. Mamy ważne zadanie do wykonania.

Rozdział trzydziesty szósty

Geoff zaproponował, że tym razem on będzie prowadził. Natalia siedła obok niego z przodu, David ponownie wylądował z tyłu. Kiedy Geoff ruszył z miejsca, zerknął na zegarek. Minęła już szósta. Musieli dojechać do szpitala o jedenastej; Ben miał się pojawić kwadrans później. Portiernia powinna być oświetlona; Ben zajmie się portierem. Na wypadek gdyby w szpitalu podniesiono alarm, Jackson kazał im natychmiast po odebraniu Bena i Franka jechać do konspiracyjnego domu na wsi, dwadzieścia pięć kilometrów od szpitala. Tam otrzymają dalsze instrukcje dotyczące powrotu do Londynu; w stolicy mieli pozostać co najmniej jeden dzień, następnie zaś wyjechać na południowe wybrzeże. Gdyby Ben i Frank nie pojawili się do północy, mieli tak czy owak udać się do konspiracyjnego domu.

W samochodzie niewiele się do siebie odzywali. Geoff włączył radio i słuchali lekkiej muzyki przerywanej co godzina wiadomościami. Spiker oznajmił równym modulowanym głosem, że zapowiadane strajki na kolei zostały odwołane. Minister pracy Ben Greene oraz przywódca Koalicyjnej Partii Pracy porozumieli się ze związkami zawodowymi kolejarzy.

— Nie sądziłem, że do tego dojdzie — rzekł Geoff.

Natalia zgodziła się z nim.

— Wczoraj mówili o militaryzacji kolei i aresztowaniu tych, którzy nie stawiają się do pracy. Strajki w sektorze publicznym są nielegalne.

— Może uznali, że i tak mają dość kłopotów. Że niepotrzebne są im zamieszki na kolei — powiedział David.

Jechali pogrążonymi w mroku, prawie pustymi drogami. Niedaleko Stratford jeden ze zjazdów z autostrady był zablokowany; uzbrojeni policjanci z formacji pomocniczych stali przy pospiesznie wzniesionych drewnianych budkach. David zastanawiał się, czy w pobliżu nie znajduje się jeden z nowych obozów dla Żydów. Włożył rękę do kieszeni, gdzie trzymał małą gumową kapsułkę. Wiedział, że nie powinien przy niej majstrować, ale jego rękę ciągnęło tam, jak język ciągnie do zepsutego zęba. Pomyślał o pistolecie, który Natalia trzymała gdzieś pod obszernym trenczem. Nie mógł przestać o niej myśleć,

podobnie jak nie mógł przestać niepokoić się o Sarah. W głębi serca wiedział jednak, że nie boleje nad jej stratą tak, jak powinien.



Podróż przebiegła bez żadnych przygód. Nic nie wskazywało, że ktoś ich śledzi, prowadzące do szpitala wąskie zadrzewione drogi były puste. Jedynym znakiem życia były światła na farmach. W ten mroźny wieczór wszyscy chronili się w domach. Deszcz przestał padać zaraz za Londynem i w miarę jak przemieszczali się na północ, robiło się coraz zimniej. W końcu zobaczyli budynek szpitala, wielki czarny kontur rysujący się na szczycie wzgórza, z nielicznymi jasnymi punkcikami okien. Minęła już dawno dziesiąta, zmożeni ciężkim, chemicznym snem pacjenci leżeli w łózkach, dyżur pełniło tylko kilka osób z personelu.

Zaczekali do jedenastej w zatoczce, a potem podjechali powoli wzdłuż ogrodzenia do portierni. W środku paliło się przyćmione światło, ale nie było nikogo widać. Na polecenie Natalii minęli portiernię, zawrócili parę metrów dalej i zgasili światła.

— Pójdę się rozejrzeć — powiedziała z profesjonalnym spokojem. — Geoff, w razie jakichś kłopotów, odjeżdżaj.

Wysiadła i ruszyła szybkim krokiem drogą. Rękę trzymała w kieszeni, ściskając w niej bez wątpienia pistolet. David usiadł pośrodku tylnej kanapy, żeby lepiej widzieć, co dzieje się z przodu. Zastanawiał się, w ilu takich misjach brała już udział.

Natalia podeszła do oświetlonego okienka portierni. Stała na palcach, zajrzała do środka, po czym wróciła szybko do samochodu.

— Portier leży związany pod biurkiem — oświadczyła z ulgą. — Jest chyba nieprzytomny. To oznacza, że Ben jest teraz w szpitalu i prowadzi do nas Franka. — W przeciwieństwie do Jacksona użyła imienia Muncastera.

— Czy portierowi nic się nie stanie? — zapytał Geoff.

— Nie powinno. Jest zakneblowany, jeśli się ocknie, nie będzie mógł poruszyć się ani krzyczeć.

— Jeśli ktoś jest zakneblowany i nieprzytomny, istnieje ryzyko, że po odzyskaniu przytomności może się udławić własnymi wymiocinami. Mieliśmy taki przypadek w Kenii. Włamanie, które zakończyło się śmiercią.

— Ben jest zawodowcem — odparła stanowczo. — Zna się na tym, co robi.

— Mówię tylko...

— Wiesz, że gra idzie o wysoką stawkę — przerwała mu ostro. — Musimy podejmować ryzyko...

Urwała, bo coś zaczęło się dziać przy bramie. David zauważył, że jedno jej skrzydło lekko się otworzyło. Pochylił się do przodu, żeby lepiej widzieć.

— Ktoś wychodzi... nie, dwie osoby.

Na jego oczach niska krępa postać wyslizgnęła się na zewnątrz, trzymając pod ramię potykającą się szczupłą osobę.

Natalia włączyła reflektory. Frank i Ben wpatrywali się w samochód, mrużąc oczy. David otworzył drzwi i wysiadł, Natalia i Geoff ruszyli w ślad za nim. Zobaczył, że Ben podtrzymuje Franka, który zachwiał się nagle i o mało nie wywrócił. Głowa opadła mu na pierś.

David dotknął lekko jego ramienia.

— Wszystko w porządku, Frank, to ja — powiedział. — Geoff też tu jest, przyjechaliśmy ci pomóc.



Natalia zajęła miejsce za kierownicą. Po jakimś czasie przejechali przez uśpioną wioskę. Zaraz za nią zwolniła. Frank chyba zasnął, miał zwieszoną nisko głowę. David łagodnie go szturchnął; Frank mruknął coś, ale się nie obudził. Wiejska droga była bardzo ciemna.

— Szukamy długiego ceglanego muru i bramy, przy której jest tabliczka z napisem „Rose Grange” — powiedziała Natalia.

— Kto tam mieszka? — zapytał David.

— Emerytowany wojskowy. Przez większość życia służył w Indiach.

— Jeden z tych typków — mruknął z dezaprobatą Ben.

— Wstąpił do ruchu oporu w czterdziestym roku. Jest teraz zbyt stary, żeby brać udział w akcji, ale udzielił schronienia wielu z nas. Patrzcie, jest tabliczka.

Zatrzymała samochód. Geoff wysiadł, otworzył skrzypiące skrzydła bramy i wjechali do środka krótką zwirowaną alejką wysadzaną krzewami. Minęli drzewo palmowe z pomarszczonymi, zwiędłymi liśćmi i przystanęli przy wiktoriańskim domku, w którym mieściła się chyba kiedyś wiejska plebania. W środku ciemnego domu zaczął szczekać pies. Natalia wysiadła i otworzyła tylne drzwi samochodu.

— Wyprowadźcie go — powiedziała cicho.

Ben i David pomogli wysiąść Frankowi, który zamruczał, kiedy w twarz uderzyło go chłodne powietrze. Nie był w stanie sam utrzymać się na nogach,

Ben i David musieli go podtrzymywać. Natalia podeszła do frontowych drzwi i pociągnęła za dzwonek. Było bardzo zimno; w powietrzu czuć było mróz.

W holu zapaliło się światło, pies zaszczekał głośniejsze.

— Zamknij się, Nigger! — zawołał męski głos.

David i Ben podeszli wraz z Frankiem do wejścia. Frontowe drzwi otworzyły się i stanął w nich wysoki mężczyzna z przerzedzonymi siwymi włosami i porytą zmarszczkami surową twarzą.

— Pułkownik Brock? — zapytała Natalia.

— Tak.

— Aztek. — To był kryptonim ich akcji.

Pułkownik pokiwał głową.

— Misja wykonana? — zapytał cicho.

— Tak. Udało nam się go uwolnić.

— Czołem, chłopie — przywitał się wesoło Ben.

Pułkownik skinął sztywno głową i spojrzał na Franka.

— To on? Wygląda na nieźle przymulonego.

— Jest na lekach nasennych — odparł Ben. — Trzeba go położyć do łóżka.

— Wejdźcie.

Wprowadzili Franka do domu. Chłodne powietrze spowodowało, że się ocknął i mrużąc oczy, rozglądał lękliwie dokoła. Wyposażenie holu stanowiło dziwną mieszankę obskurnych angielskich mebli i egzotycznych pamiątek z Indii — była wśród nich mała kamienna rzeźba przedstawiająca wołu ciągnącego wóz oraz portret maharadży w turbanie. Przy pułkowniku Brocku stał duży czarny labrador, przypatrując się niepewnie gościom. Z jednego z pokoi wyszła nieduża pulchna kobieta.

— Moja żona — przedstawił ją pułkownik. — Elsie, kochanie, czy mogłabyś przygotować naszym gościom coś do zjedzenia?

— Oczywiście. — Nerwowy wzrok kobiety zatrzymał się na Franku.

— Nic mu nie jest — zapewnił ją stanowczym tonem pułkownik. — Położymy go do łóżka. No dalej, kochanie, zajmij się jedzeniem. Żwawo!

Zaprowadził ich po schodach na piętro, trzymając się sękatą dłonią poręczy. David i Ben szli za nim, pomagając wdrapać się Frankowi. Choć pułkownik starał się to ukryć, David zauważył, że się garbi.

Weszli do małego pokoju z pojedynczym łóżkiem. Pomieszczenie wyglądało na chłopcę sypialnię. Na ścianie była mapa świata z zamieszczonymi po bokach obrazkami ludów zamieszkujących imperium, na półkach stały podręczniki, w kącie leżał stos starych komiksów z serii *The Magnet*. Na okładce tego, który był na samej górze, Billy Bunter próbował ślizgać się po zamrożonym stawie, a inni chłopcy śmiali się, gdy wywinął orła. Kiedy położyli

Franka na łóżku, ten odwrócił się na bok i natychmiast zasnął. Ben zmierzył mu puls, zdjął buty i przykrył kocem.

— Będzie chyba spał do rana — powiedział. — Ale ktoś powinien przy nim czuwać. — Spojrzał na Davida. — Posiedzę z nim, powiedzmy, do czwartej, a potem może pan mnie zmieni? Jeśli się obudzi, powinien zobaczyć kogoś, kogo zna.

— Oczywiście.

— Co zażył? — zapytał.

— Largactil. To lek uspokajający. Dałem mu podwójną dawkę, żeby nie hałasował, kiedy go wyprowadzałem.

— Wygląda na wykończonego, biedaczysko.

Zostawili Franka razem z Benem i wrócili na dół. Pułkownik wprowadził Davida i Geoffa do dużej jadalni. W telewizji nadawali jakiś teleturniej; fonia była ściszona, na ekranie widać było Isobel Barnett w wieczorowej sukni. Na walijskiej komodzie stała zupełnie niepasująca do tego mebla figurka boga Sziwy z czterema rękoma. David przyjrzał się jej.

— Wiem, że to pogaństwo — rzekł pułkownik Brock — ale świetnie wykonane. Lepiej pójde, żeby zawiadomić ich przez radio, że przyjechaliście — zwrócił się do Natalii. — Elsie ma radiostację w kuchni.

— Dziękuję.

— Czy są jakieś wiadomości o mojej żonie? — zapytał David. — Wysłano po nią kogoś.

— Nic na ten temat nie wiem. — Pułkownik posłał mu współczujące spojrzenie. — Zapytam — dodał i wyszedł.

David, Natalia i Geoff usiedli przy stole.

— Może brak wiadomości jest dobrą wiadomością, stary — mruknął Geoff.

— Jeśli ukryli ją w bezpiecznym miejscu, powinni już nam chyba o tym powiedzieć.

Do jadalni weszła żona pułkownika z dużą tacą, na której były talerze z zupą jarzynową, bochenek chleba i masło. Geoff wstał i pomógł jej postawić wszystko na stole.

— Niestety, to będzie skromny poczęstunek — powiedziała. — Kiedy dowiedzieliśmy się, że przyjeżdżacie, daliśmy naszej gosposi kilka dni wolnego.

Pułkownik wrócił i zasiadł u szczytu stołu.

— Dziękuję, moja droga — powiedział do Elsie. — Lepiej wróć do radiostacji. Na razie nie ma żadnych wiadomości o pańskiej żonie, Fitzgerald — zwrócił się do Davida — ale może Londynowi nie udało się z nimi skontaktować. Ostatnio dużo się działo w związku z Żydami. Jeśli coś się zmieni, Elsie natychmiast nam o tym powie.

— Dziękuję — odparł David.

— Powiedziano mi, że ten facet na piętrze to ważna szycha — oznajmił pułkownik.

— Może się tak okazać, pułkowniku — odparł Geoff.

Starszy pan podniósł dłoń.

— Nie muszę znać szczegółów. Ale odniosłem wrażenie, że Churchill osobiście się nim interesuje — dodał i popatrzył na Natalię, jak się zdawało Davidowi, z pewnym skrępowaniem.

W milczeniu zaczęli jeść gęstą, pozbawioną smaku zupę. David poczuł się nagle bardzo zmęczony. Czterdzieści osiem godzin temu siedziałem w swoim gabinecie i pracowałem, pomyślał. Jak bardzo kruche jest nasze życie; jeden dzień może wywrócić wszystko do góry nogami.

— Ma pan dużo pamiątek z Indii, pułkowniku — odezwał się Geoff, żeby nawiązać rozmowę.

— Owszem. Służyłem tam trzydzieści lat. Jest tam teraz mój syn, niech Bóg ma go w swojej opiece. W zeszłym roku podczas zamieszek w Delhi złamali mu cegłą rękę.

— Pracowałem w Ministerstwie Kolonii. Sporo czasu spędziłem w Kenii — odparł Geoff.

Pułkownik uśmiechnął się.

— Tak mi się zdawało, że służył pan w jakiejś części imperium. Została panu opalenizna. W Afryce jest spokojniej — powiedział i odchrząknął. — Czarni znają swoje miejsce. Bóg wie, czym to się skończy w Indiach. — Geoff zacisnął wargi, ale nic nie odpowiedział. — Lewicowcy w ruchu oporu mówią, że powinniśmy się wycofać, i nawet Churchill chyba to teraz zaakceptował. Ja chyba też, choć nie dlatego wstąpiłem do ruchu oporu.

— A dlaczego pan wstąpił, pułkowniku? — zapytał David.

Mężczyzna wyprężył pierś.

— Ponieważ tchórzostwem było poddanie się w sposób, w jaki zrobiliśmy to w tysiąc dziewięćset czterdziestym. Od początku wiedziałem, że tak to się skończy: że będziemy chodzili na pasku nazistów. Winston miał rację, trzeba było pozwolić, żeby nas napadli, i odeprzeć ich atak. — Brock zmierzył gości ostrym spojrzeniem. — Wiem, że jestem reliktem imperium, moje poglądy nie są już popularne w ruchu oporu. Ale trudno jest patrzeć, jak dzieło całego twojego życia wali się w gruzy. Bóg jeden wie, co Hindusi zrobią z niepodległością, jeśli ją uzyskają. — Nagle wstał od stołu i podszedł do stojącej przy posągu Sziwy tacy z drinkami. — Spróbujmy czegoś mocniejszego — powiedział i nalał mężczyznom whisky, a Natalii sherry. Kiedy podawał im szklanki, drzwi do

jadalni nagle się otworzyły. David podniósł wzrok, mając nadzieję, że to Elsie z wiadomością o Sarah, ale do jadalni wszedł Ben z tacą i postawił ją na stole.

— Żona kazała mi to odnieść, jak zjem — powiedział pułkownikowi, celowo podkreślając swój szkocki akcent.

— Twój facet nadal śpi?

— Frank? Jak suseł. Niezła zupa, chłopie — powiedział z uśmiechem Ben. — Podziękuj żonie.

— Dziękuję — odparł sztywno Brock i Ben wyszedł z jadalni. — Ten facet to komunista, wiecie o tym? — zapytał pułkownik. — W ruchu oporu zajmuje wyższe stanowisko i lubi mi o tym przypominać.

— Dzielnie się dzisiaj spisał — powiedziała cicho Natalia.

— Nie kwestionuję jego odwagi. Boję się tylko, że któregoś dnia jego ludzie postawią mnie pod ścianą. — Brock ponuro się roześmiał, po czym pociągnął solidny łyk whisky i wstał. — Wyprowadzę lepiej psa, żeby był spokojny w nocy.



David spał głębokim snem, kiedy Ben obudził go o czwartej. Przez sekundę wydawało mu się, że leży w łóżku w domu i budzi go Sarah, a potem przypomniał sobie wszystko i poczuł ściskanie w żołądku.

— Gotów, żeby mnie zmienić? — zapytał szeptem Ben.

David skinął głową i wstał. Geoff nadal spał, regularnie oddychając.

— Są jakieś wiadomości? — zapytał cicho David. — O Sarah?

Niestety, nie — odparł Ben.

David szybko się ubrał i ruszył w ślad za Benem do pokoju Franka. Frank leżał skulony, osłaniając głowę dłońmi niczym modlące się dziecko.

— Nie pisnął ani słowa — szepnął Ben. — Masz, pułkownik zostawił ci sweter, bardzo tu zimno. Nie jest chyba taki wredny — dodał gderliwie. — Jak na ludzi jego pokroju.

David pokiwał głową; nie chciał zbudzić Franka. Niech śpi do późna, pomyślał, obudzi się dopiero w świetle dnia. Przyglądając mu się, pomyślał o jego próbie samobójczej i o piekle, jakie musiał przechodzić. Zastanawiał się, czy Frank nie chciał zabrać do grobu swojego sekretu. Żałował, że nie pisał do niego więcej w ciągu ostatnich lat. Już w Oksfordzie obawiał się, że przez tę jego skrajną bezradność i bezbronność któregoś dnia przytrafi mu się coś złego.

Spojrzał na pomarańczowo-niebieskie okładki leżących w kącie komiksów. On też czytał je kiedyś jako chłopiec. Syn pułkownika Brocka wychowywał się na tych samych historiach. Teraz służył w Indiach i walczył po niewłaściwej

stronie, przynajmniej według ruchu oporu. David przypomniał sobie, że matka strofowała go czasem, że czyta komiksy, te prostackie bzdury, jak je nazywała. Zdał sobie sprawę, ile miał szczęścia, będąc jedynym dzieckiem kochających rodziców, ucząc się dobrze i odnosząc sukcesy w sporcie niczym uczniowie fikcyjnej szkoły Greyfriars. Mimo to nie znosił, kiedy stawiano mu wygórowane wymagania. Nie chciał być kimś wyjątkowym. Ale czy ludzie rzeczywiście tak dużo od niego wymagali? Spojrzał na pociągłą ponurą twarz Franka i poczuł, że znowu ma przed sobą jakiś cel. Frank wiedział coś, na czym bardzo zależało Niemcom. Bez względu na koszty nie mogli dopuścić, by to z niego wyciągnęli.



Miał zamiar czuwać, wiele razy pełnił wartę podczas kampanii norweskiej, ale w fotelu było tak wygodnie, że musiał zasnąć, ponieważ nagle zorientował się, że ktoś szarpie go za ramię i jest już jasny dzień. Zamrugał i zobaczył Natalię, która przyglądała mu się z ironicznym uśmiechem. Miała na sobie biały marynarski pulower, który świetnie na niej leżał.

— O Boże — jęknął. — Zasnąłem... — Obrócił się szybko. — Frank...

— Nic mu nie jest.

Frank wciąż spał; nie zmienił nawet pozycji.

— Przepraszam...

— Miałeś wczoraj ciężki dzień. Nic się nie stało, Ben i ja byliśmy przez całą noc na nogach. Obsługiwaliśmy radiostację i pilnowaliśmy, czy nikt nie zbliża się do domu. Co jakiś czas tu zaglądaliśmy. Starszych państwa położyliśmy do łóżek.

— Radio... czy są jakieś wiadomości?

— O twojej żonie? Nie, przykro mi, jeszcze nie.

David potarł dłonią zarost na twarzy. Natalia przypatrywała mu się zielonymi, lekko skośnymi oczyma.

— Twoja żona jest bezpieczna, jestem tego pewna. Wyekspedujemy ją stąd, wszyscy wylądujecie w Ameryce.

David roześmiał się nieszczercze.

— To brzmi jak fantazja, jak sen — powiedział i spojrzał na nią.

Pragnął jej, wiedział, że ona też go pragnie, ale miała rację, mówiąc, że przede wszystkim musi zadbać o Sarah. Poza tym zamierzała zostać w Anglii. Westchnął i popatrzył znowu na Franka.

— Musimy go chyba obudzić.

— Tak. Sprowadzę Bena. Będzie dobrze, jeśli budząc się, zobaczy was obu.

— Pułkownik twierdzi, że Ben jest komunistą — rzekł. — Tak jak twój brat. Natalia uśmiechnęła się.

— Pamiętasz, że ci to powiedziałam?

— Tak.

— Po powrocie z Rosji nie był już komunistą. Może pewnego dnia opowiem ci o nim więcej.

— W drodze na wybrzeże, tak?

Uśmiechnęła się i wyszła z pokoju. Zastanawiał się, jakie ma poglądy polityczne. I jakie on sam ma, jeśli już o tym mowa. Chciał, żeby zapanowała demokracja, żeby skończyły się autorytarne rządy, strach i prześladowania Żydów. I na tym chyba koniec. Pochylił się i delikatnie potrząsnął za rękę Franka, czując przez rękaw, jaki ma cienki nadgarstek. On jednak w ogóle się nie poruszył, po prostu leżał dalej, ciężko oddychając.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Ben. Był zmęczony i nieogolony, lecz wzrok miał jak zwykle przenikliwy i czujny.

— Próbowałem obudzić Franka — zwrócił się do niego David. — Potrząsnąłem go za rękę, ale się nie poruszył...

Ben podszedł do łóżka.

— Zapadł po prostu w głęboki sen, biedaczek. W porządku, ja go obudzę.

Uszczypnął Franka w rękę, a ten poruszył się i jęknął. Po chwili odsunął ręce od twarzy i David zobaczył prawą dłoń ze zdeformowanymi palcami i długą blizną.

— Zbudź się, Frankie — powiedział krzepiącym tonem Ben i uszczypnął go ponownie, tym razem mocniej. Frank otworzył oczy i zamrugał. A potem nagle usiadł, popatrzył na nich z przerażeniem i zaczął krzyczeć.

Rozdział trzydziesty siódmy

Po wyjściu Niemca Sarah siedziała przez godzinę w swojej celi. Wciąż była w szoku, nie mogła uwierzyć, że się tu znalazła, nie potrafiła się pogodzić z tym, co zrobił David. Gdzie on był? Po jakimś czasie wskutek zmęczenia tryby w jej umyśle przestały się po prostu obracać i siedziała, gapiąc się pustym wzrokiem w ścianę. Jednak szybko ponownie wezbrał w niej lęk; myślała o wznoszącym się nad nią potężnym budynku, o całej potędze Trzeciej Rzeszy, którą symbolizował, o strasznych rzeczach, które podobno robili tu ludziom. Poczła się słabo i musiała się złapać krawędzi stołu.

Krótko po północy w zamku zazgrzytał klucz. Zabiło jej szybciej serce i podniosła wzrok, spodziewając się, że zobaczy dużego blondyna. Bała się go; mimo całej pozornej uprzejmości miał w sobie coś nieprzejednanego. Do celi wszedł jednak młody mężczyzna w czarnym mundurze SS z pulchną twarzą i wypomadowanymi brązowymi włosami. Niósł dużą skórzaną torbę i przemknęło jej przez głowę, że są w niej narzędzia tortur. Ale kiedy wysypał zawartość na stół, zobaczyła swoje rzeczy: torebkę, dowód tożsamości, portmonetkę i klucze.

— Może pani iść, pani Fitzgerald — oświadczył z silnym niemieckim akcentem, zwracając się do niej w oficjalny, grzeczny sposób. — Wyprowadzę panią na zewnątrz. Uda się pani prosto do domu i będzie czekała na dalsze instrukcje. Prawdopodobnie będzie z panią chciała mówić brytyjska policja.

— Mój mąż...

— Gdyby próbował się z panią skontaktować, musi pani zawiadomić policję. A teraz, proszę... — Esesman spojrział na leżące na stole przedmioty i wskazał jej ręką drzwi.

Sarah zabrała swoje rzeczy i ruszyła za nim korytarzem. W ich stronę szli dwaj inni esesmani, podtrzymując starszego mężczyznę w pogniecionym garniturze z żółtą odznaką. Nieogolony, miał posiniaczoną twarz, potargane siwe włosy i szeroko otwarte z przerażenia oczy. Cała trójka minęła Sarah i eskortującego ją esesmana; po chwili usłyszała za sobą trzask zamykanych drzwi. Spojrzała na swojego strażnika. Prowadził ją na górę tymi samymi schodami, którymi Gunther zszedł z nią wcześniej na dół. Po chwili otworzył

boczne drzwi i wyszli na chłodne nocne powietrze. Obeszli dokoła Senate House i znaleźli się pod wielkimi podświetlonymi flagami ze swastyką, które wisały od frontu. Strażnik zaprowadził ją do bramy w zwieńczonym drutem kolczastym wysokim ogrodzeniu z grubych stalowych prętów i nawet lekko się uklonił, kiedy go minęła i wyszła na Gower Street. Brytyjski policjant, który stał z pistoletem maszynowym po drugiej stronie, spojrzął na nią bez większego zainteresowania. Brama zamknęła się z cichym zgrzytem i przez chwilę Sarah stała, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w głąb ciemnej ulicy. A potem zaczęła się szybko oddalać.

Zdażyła na ostatnie metro do domu. O tej porze jechało niewielu ludzi, ale zauważyła niskiego mężczyznę w grubym palcie, który wsiadł z nią na Euston Square i tak jak ona wysiadł w Kenton. Wychodząc ze stacji, skręcił jednak w inną stronę. Dotarłszy do domu, była tak zmęczona i przestraszona, że kiedy usiłowała wsadzić klucz do zamka, trzęsła jej się ręka i udało jej się to dopiero po kilku próbach. Weszła do pustego zimnego holu i zajrzała do kuchni. Przez chwilę patrzyła na stół, przy którym siedzieli wcześniej, czekając na nią, dwaj mężczyźni. Drzwi do ogródka były otwarte. Zamknęła je — zamek był roztrzaskany — i poszła na górę. Zsunęła buty, położyła się na łóżku i nie zdejmując palta, natychmiast zasnęła.



Obudził ją uporczywy dźwięk dzwonka do drzwi. Przeszedł ją dreszcz. Miała straszny sen: była ponownie w celi z tamtym Niemcem, ale teraz był tam również David, jako więzień. Miał odwróconą twarz i kiedy zawołała go po imieniu, nie zareagował. Wiedziała, że nie chciał spojrzeć na nią, bo zrobili mu coś strasznego z twarzą. Usiadła z jękiem. Był jasny dzień, przespała całą noc. Dźwignęła się z łóżka i w palcie i pończochach zeszła drżącym krokiem na dół, bojąc się, że znowu po nią przyszli.

Ale to była Irene. Stała przed progiem w eleganckim płaszczu i małym okrągłym kapelusiku z czerwonym piórkiem. Na jej widok otworzyła szerzej oczy.

— Kochanie, co ci się stało?

Sarah przełknęła ślinę. Zupełnie zaschło jej w gardle. Irene wyciągnęła rękę i złapała ją za ramię.

— Wczoraj wieczorem dzwoniłam i dzwoniłam! Jak się czuje David, polepszyło mu się, jak bardzo jest chory?

Sarah spojrzała na siostrę wytrzeszczonymi oczyma.

— David jest chory?

— Zadzwoił do mnie wczoraj. Powiedział, że jest chory, odesłano go z biura do domu. Próbował się z tobą skontaktować.

— David tu był? Wczoraj?

— Tak. Rano... Sarah, co się dzieje?

— Wejdz.

— Dlaczego jesteś w palcie? Wychodziłaś gdzieś?

— Chodź do salonu, włączę ogrzewanie. Stopy mam jak lody.

Irene wszystkim się zajęła. Zapaliła ogień w kominku i poszła do kuchni, żeby zrobić herbatę. Sarah przysunęła zdrętwiałe stopy do ognia. Zegar na kominku pokazywał dziesiątą. Irene wróciła z tacą i postawiła ją na stoliku do kawy. Sarah spostrzegła, że jej siostra z trudem nad sobą panuje. Będę musiała jej powiedzieć, co się stało, pomyślała, mogą przesłuchiwać ją i Steve'a. Zapaliła papierosa, poczęstowała Irene i wypila łyk gorącej słodkiej herbaty. Smakowała wspaniale.

— David z nikim nie romansował, Irene — powiedziała, biorąc głęboki oddech. — Był agentem ruchu oporu, przekazywał im dokumenty ze swojego ministerstwa. Jego przyjaciel Geoff Drax także. Obaj są ścigani. Przez cały wieczór byłam przesłuchiwana w niemieckiej ambasadzie.

Irene wpatrywała się w nią szeroko otwartymi niebieskimi oczyma.

— David działał w ruchu oporu?

— Nie miałam o tym pojęcia, nie mogłam im nic powiedzieć, bo nic nie wiedziałam. Wypuścili mnie. Kazali mi siedzieć w domu. Wydawało mi się, że jadąc do domu metrem, byłam śledzona, ale nie mam pewności.

— Czy... czy coś ci zrobili?

Sarah pokręciła głową.

— Byli bardzo grzeczni. Ale kiedy mnie wyprowadzali, zobaczyłam innego więźnia, który wyglądał... źle. — Opowiedziała siostrze o wszystkim, co się wydarzyło. — Boję się — oświadczyła na koniec półgłosem.

— A to świnię! — zawołała Irene. Sarah myślała, że ma na myśli Niemców, ale przekonała się zaraz, że jest inaczej. — Podkładają bomby, wywołują zamieszki, zabijają policjantów! — kontynuowała Irene. — To mordercy. Widziałam, że w ostatnich latach David zrobił się antyniemiecki, ale to...

— Jaki inny wybór pozostawili ludziom, którzy się z nimi nie zgadzają?

— Zawsze wierzyliśmy w pokój! — zawołała z oburzeniem Irene. — Naraził cię na straszliwe niebezpieczeństwo! Nas wszystkich, całą rodzinę! Przystając do tych opryszków!

Sarah schowała głowę w dłoniach.

— Przepraszam — odezwała się nagle Irene, wyciągając do niej rękę. — Po prostu jestem w szoku...

Sarah podniosła wzrok.

— Wiem. Dzięki Bogu, Charlie tego nie dożył. Choć z drugiej strony myślę, że gdyby nie zginął, David nigdy by się na to nie zdecydował. Widzisz, ja mu nie wystarczałam. Tyle razy wracał późno do domu, znikał w weekendy... Boże, ta historia z wujem Tedem też musiała być kłamstwem.

— Wiedział, jakie miałabyś zdanie o tym, co robi — odezwała się z goryczą Irene.

Sarah spojrzała na siostrę.

— Nie wiem, czyby się tym przejął. Mówisz, że stąd telefonował — dodała nagle, marszcząc brwi. — Musiał tu wrócić, szukał mnie. — Wzięła głęboki oddech. — Na pewno chciał mnie z sobą zabrać.

— Żebyś uciekła razem z nim? Nie powiesz chyba, że byś się zgodziła?

— Nie wiem — odparła, ale zdała sobie sprawę, że poszłyby razem z Davidem.

— Zawsze patrzył z góry na mnie i na Steve'a, zawsze uważał się za kogoś lepszego — kontynuowała Irene.

— Chyba było inaczej — odparła cicho Sarah. — Myślę, że w ciągu ostatnich lat wzbierał w nim gniew na to, czym stała się Wielka Brytania.

— Chcesz powiedzieć, że się z nim zgadzasz? Po tym, co zrobił? — W głosie Irene zabrzmiał znajomy ton moralnego oburzenia.

— Może się i zgadzam. — Sarah przypomniała sobie panią Templeman. — Widziałam pewne rzeczy, o których ci nie mówiłam. Widziałam, co robi Mosley i jego ludzie. Pomagając Niemcom zbudować ich imperium sadyzmu — dodała z nagłą furią.

— Och, Sarah — odparła niecierpliwie Irene. — Co przyniesie nam ruch oporu, jeśli wygra? Kolejne akty przemocy, szukanie kozłów ofiarnych, może nawet komunizm? Jak mogą myśleć, że kiedykolwiek pokonają Niemców?

— Czyżby Niemcy byli rzeczywiście tacy niepokonani? Może na tym właśnie polega błąd, który popełniamy od dwunastu lat. Biorą baty w Rosji, ludzie mówią, że ich reżim rozpadnie się po śmierci Hitlera.

— Ale...

— Chcieli zmusić Francuzów, żeby pracowali w Niemczech, ale mają z tym problemy. A także problemy w Hiszpanii. A nam nie idzie chyba najlepiej utrzymanie jedności imperium? — Sarah potrząsnęła głową. — Dobry Boże, znowu spieramy się o cholerną politykę!

Twarz Irene złagodniała.

— Przepraszam, kochanie. Po prostu... nie wiem. Nie wiem, czy słuszne jest to, co robią z Żydami, zamykając ich w obozach, ale... — łzy stanęły jej w oczach — boję się o moje dzieci, rozumiesz, o moich chłopców. Jeśli zapanuje chaos, boję się o ich przyszłość.

— To nie jest świat, o którym marzyliśmy, prawda?

Irene zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie.

— Pamiętasz, jak byliśmy młode, jak działałyśmy razem z tatą na rzecz pokoju?

— Wydaje się, że to było tak dawno.

— Biedni tato i mama — szepnęła Sarah. — Obawiam się, że to po prostu wykończy tatę. Zastanawiam się, czy David kiedykolwiek o tym pomyślał — dodała ponuro.

Irene wstała.

— Zostanę z tobą trochę — powiedziała zdecydowanym tonem. — Steve jest teraz w domu, zadzwonię do niego i powiem, że musi się sam zająć chłopcami. A teraz chodź, powinnaś się umyć i przebrać. Kiedy ostatnio jadłaś? — zapytała, biorąc siostrę pod ramię i pomagając jej wstać.

— Wczoraj po południu zjadłam bułkę i napiłam się herbaty.

Sarah uświadomiła sobie, jaka jest głodna. Przypomniała sobie bar w Highgate i swoje spotkanie z Carol. Co z nią teraz będzie? — pomyślała i jęknęła. Irene przytuliła ją do siebie.

— Chodź, kochanie, musimy cię nakarmić.



Irene zajęła się nią, jakby Sarah była znowu dzieckiem; nalała jej wody do wanny i przygotowała coś do jedzenia, a potem zaczęły rozmawiać o swoim dzieciństwie, nie o działalności na rzecz pokoju, lecz o zwykłych rzeczach, życiu w szkole i domu. Ranek był zimny i jasny.

— Zawsze się mną opiekowałaś — stwierdziła z wdzięcznością Sarah.

— Od tego jest starsza siostra.

— Pamiętasz, jak byłam mała i bałam się maski taty? Mama gniewała się na mnie, ale ty mnie pocieszałaś. Zawsze miałam z tego powodu poczucie winy. To musiało sprawiać tacie przykrość.

— Te maski, które ludzie nosili zaraz po wielkiej wojnie, były okropne. Mnie było łatwiej, byłam starsza. Każda mała dziewczynka by się ich przeraziła.

Irene zaprowadziła siostrę na górę i położyła ją z powrotem do łóżka. Sarah ponownie zasnęła, słuchając kojących odgłosów zmywania dochodzących z kuchni.



Przespała kilka godzin i kiedy się obudziła, była wreszcie wypoczęta. Dochodziła trzecia. Irene siedziała w salonie, popijając herbatę. Sprawiała wrażenie zmęczonej. Sarah zauważyła w jej włosach pasemka siwizny; siostra wchodziła w wiek średni. Posłała Sarah znużony uśmiech.

— Jak się czujesz, kochanie?

— Och... w porządku. Boli mnie trochę głowa.

Irene podniosła się z fotela.

— Skoro już wstałaś, może pojedę do domu, wezmę torbę z rzeczami i wrócę tutaj, żeby z tobą przenocować?

— Co powie Steve?

— Nic mu nie będzie. Powiem, że źle się czujesz. Wstąpię tylko do toalety i jadę.

Poszła na górę, ściskając ją po drodze za ramię. Sarah usiadła i wyjrzała przez okno. Szron osiadł na trawniku niewielkiego skweru, po którego drugiej stronie stał stary schron przeciwlotniczy. Myślała o Davidzie: o tym, jaki był przystojny w surducie i meloniku, jak tańczył z nią tamtego wieczoru, kiedy się poznali, jak wywrócił się na śniegu po śmierci Charliego. Ostatnio był taki chłodny i powściągliwy. Dlaczego po nią wrócił? Czy wynikało to tylko z jego poczucia obowiązku, niechęci, by rzucić ją na pożarcie wilkom, czy z czegoś więcej? Czy wspierałabym go, gdybym wiedziała, co robi, zapytała samą siebie. To jest najżałośniejsze: nie ufał mi na tyle, żeby o to zapytać. Zaczął w niej zbierać zimny gniew.

Dzwonek do mieszkania sprawił, że wróciła do rzeczywistości. Idąc do drzwi, czuła, jak ponownie dławi ją strach.

— Kto tam?! — zawołała drżącym głosem.

— Policja.

Uchyliła lekko drzwi. W progu stał wysoki starszy mężczyzna z krzaczastymi włosami. Na ramionach jego niebieskiego munduru widniały dystynkcje sierżanta. Wyglądał jak typowy brytyjski policjant, ale na głowie miał płaską czapkę formacji pomocniczych. Widziała, że był uzbrojony.

— Mogę wejść, proszę pani? — zapytał grzecznie, ale bardzo stanowczo.

Sarah cofnęła się. Policjant wszedł do środka, wytarł starannie buty o wycieraczkę, rozejrzał się po holu i zdjął czapkę, odsłaniając czaszkę równie łąsą jak bujne były jego wąsy.

— Pani Sarah Fitzgerald?

— Tak.

— Niestety, będziemy musieli zabrać panią na przesłuchanie.

— Znowu do Senate House?! — zapytała podniesionym tonem.

— Na razie mam panią zabrać do miejscowego komisariatu. Jest tam inspektor Wydziału Specjalnego, który chce z panią mówić.

— Są jakieś wiadomości o moim mężu?

Policjant pokręcił głową.

— Nic mi o tym nie wiadomo, proszę pani. — Z piętra dobiegł ich szum spuszczonej wody. Sierżant spojrział na schody. — Kto tam jest?

— Moja siostra — odparła Sarah i nagle, patrząc w stronę kuchni, zobaczyła, jak uchylają się powoli tylne drzwi. Ku jej zdumieniu do środka weszła kobieta w średnim wieku: niska, krępa, z okrągłą twarzą, zaciśniętymi ustami i twardymi przenikliwymi oczyma za okularami w stalowych oprawkach. W ręku, co ciekawe, trzymała torbę na zakupy. Przystawiła palec do ust, dając jej znak, żeby nic nie mówiła. A potem na oczach zastygłej w bezruchu Sarah przeszła bardzo szybko przez kuchnię do holu, stanęła za policjantem, wyciągnęła coś z kieszeni i walnęła go mocno w tył głowy w tym samym momencie, gdy tamten, zdając sobie sprawę, że coś się dzieje, zaczął się odwracać. Mężczyzna krzyknął i osunął się bokiem na balustradę. Krew spływała mu z podstawy czaszki. Sarah ujrzała, że kobieta trzyma w ręku krótką ołowianą rurkę, rodzaj broni, jakiej używali bikiniarze.

— Jestem z ruchu oporu — oświadczyła szybko. — Pani mąż jest z nami, przyszliśmy po panią. — Przez cały czas zerkiała na ogłuszonego policjanta, który ku przerażeniu Sarah zamrugał oczyma i zaczął dźwigać się na nogi.

— Cholerne dziwki — wymamrotał, patrząc na obie kobiety. — Zaraz dostaniecie za swoje...

Kobieta podniosła w górę swoją rurkę, gotowa na niego skoczyć, ale policjant sięgnął do kieszeni i wyjął pistolet. Sarah usłyszała, jak go odbezpiecza. Nagle odwrócił się, słysząc krzyk u szczytu schodów. Stojąca tam z płaszczem zawieszonym na ramieniu Irene wpatrywała się w niego z przerażeniem.

Sarah podniosła ze stolika ciężki wazon w stylu regencji i trzymając go oburącz, walnęła nim policjanta w głowę. Ten jęknął cicho i upadł.

Irene złapała się rękoma za twarz.

— O mój Boże, o mój Boże... — zaczęła jęczeć.

Nieznajoma kobieta ukucnęła, podniosła pistolet z podłogi i przystawiła dłoń do szyi policjanta. Wszystkie jej poczynania były szybkie i profesjonalne.

— Żyje. Dobrze się pani spisała — oświadczyła ostrym tonem, po czym przeszła do salonu, odsunęła firanki i wyjrzała na ulicę.

Irene zeszła na dół i stanęła u stóp schodów. Sarah objęła ją.

— Musimy stąd natychmiast wyjść, pani Fitzgerald — powiedziała kobieta i spojrzała na Irene. — Pani jest jej siostrą?

— Tak. A pani jest...

— Z ruchu oporu. Czy ktoś jeszcze wie, że pani tu przyszła?

— Nie.

— W takim razie niech pani się stąd wynosi. Wsiądzie do samochodu i odjedzie. My wyjdziemy tylnymi drzwiami. Szybko. Nie mamy dużo czasu, wkrótce zaczną się zastanawiać, co się z nim stało. Zajmę się nim — dodała, patrząc na nieprzytomnego policjanta.

— Co to znaczy, że się pani nim zajmie? — zapytała z obawą Irene.

Kobieta spojrzała znacząco na pistolet.

— Nie! — zawołała Sarah. — Nie zabije pani człowieka w moim domu.

— Widział mnie — odparła zdecydowanym tonem kobieta. — A co gorsza, widział pani siostrę. Chce pani, żeby ją zidentyfikował, żeby jej rodzina została aresztowana i poddana przesłuchaniu?

— O Boże, moje dzieci... — Irene usiadła na najniższym schodku. Wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć.

Kobieta spojrzała Sarah prosto w oczy.

— Toczy się wojna i teraz bierze pani w niej udział. Skończyło się stanie z boku.

— Skąd pani wiedziała, żeby wejść właśnie teraz? — zapytała Sarah.

— Bo od wielu godzin obserwuję ten dom. Obserwowałam was obie przez okno. Miałam już wejść i zabrać panią rano, ale przyjechała pani siostra — dodała, wskazując głową Irene. — Chodziłam w tę i z powrotem ulicą, czekając, aż siostra wyjedzie, i udając, że wracam do domu z zakupami. Zobaczyłam podejrzający policyjny samochód i uznałam, że teraz albo nigdy. Jasne?! — zapytała, podnosząc gniewnie głos.

— Idź już — powiedziała Sarah do Irene. — Nie czekaj. — Podeszła do niej i mocno ją uściskała. — Tak mi przykro, tak mi przykro.

Irene odsunęła się od niej i spojrzała na leżącego przy schodach policjanta i kolorowe skorupy wazonu.

— Kocham cię — powiedziała do siostry.

— Ja też cię kocham. A teraz idź już, pomyśl o dzieciach.

Przez krótką chwilę Irene stała niezdecydowana, a potem włożyła płaszcz, podeszła powoli do drzwi i wyszła.

— Pani też niech włoży palto, jest zimno. Szybko — poleciła kobieta, zwracając się do Sarah.

— Jak się pani nazywa?

— Meg. Niech się pani pośpieszy.

Sarah złapała swoje palto i torebkę. Usłyszała, jak Irene uruchamia silnik swojego samochodu i odjeżdża. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy.

— Niech pani wyjdzie i zaczeka w ogródku na tyłach domu. Za chwilę do pani dołączę — powiedziała Meg.

Stojąc w zimnym ogródku i patrząc na brązowe grządki, przy których nie dalej jak tydzień temu pracowała razem z Davidem, Sarah usłyszała dobiegający z domu stłumiony huk. Zamknęła oczy.

Meg wyszła na zewnątrz i spojrzała jej wyzywająco w oczy, zaciskając mocno swoje wąskie wargi.

— Musimy przejść przez ogrodzenie i zeskoczyć na alejkę, która biegnie z tyłu — powiedziała. — Tak się tu dostałam. Niech pani uważa, żeby nie rozedrzeć ubrania. Skorzystamy z publicznego transportu, lepiej, żeby nie zwracała pani na siebie uwagi.

— Dokąd mnie pani zabiera?

Meg posłała jej krzepiący uśmiech; pierwszy ślad ludzkich uczuć, jaki Sarah zobaczyła na jej twarzy.

— W bezpieczne miejsce — odrzekła.

Rozdział trzydziesty ósmy

Frank poczuł, że ktoś go szczypie, i w pierwszej chwili pomyślał, że jest z powrotem w szkole, w zbiorowej sypialni i chcą mu zrobić coś złego. Usiadł i zaczął krzyczeć. A potem zobaczył, że jest w jakimś obcym miejscu, z Davidem i Benem, i wszystko sobie przypomniał: nie udało mu się popełnić samobójstwa i teraz go mają.

David pochylił się i położył mu rękę na ramieniu.

— Wszystko jest w porządku, Frank — powiedział. — Zabraliśmy cię ze szpitala i zawieziemy w bezpieczne miejsce.

Frank skrzywił się i wbił w niego wzrok. Zeszłej nocy, kiedy David do niego podszedł, w pierwszej chwili odetchnął z ulgą, ale zaraz potem ogarnął go strach, bo jego przyjaciel należał przecież do spisku. Od tamtego momentu nic nie pamiętał. David patrzył na niego z taką samą desperacją i współczuciem jak w nocy.

— Gdzie ja jestem? — zapytał Frank. Miał ochrypły głos i łupało mu w głowie.

— W pewnym domu, daleko od szpitala. Jesteśmy bezpieczni.

Frank usłyszał zbliżające się korytarzem kroki. David blade się do niego uśmiechnął. Drzwi otworzyły się i zajrzał do nich Geoff.

— Co się stało? — spytał.

— Frank obudził się i zaczął krzyczeć. Jest oszołomiony. Nie ma powodów do niepokoju — odparł David.

— Jak się czujesz? — zapytał Ben, zwracając się do Franka.

— Boli mnie głowa.

W progu stanęły teraz inne osoby; Frank zobaczył wysoką ładną kobietę, która była chyba wczoraj przy bramie, a także poważnego starszego mężczyznę.

— Co tu się dzieje? Elsie przeraziły te krzyki. Co jest z nim nie tak? — zapytał stary, przyglądając mu się z zatroskanym wyrazem twarzy.

Frank spotykał się już wcześniej z takimi spojrzeniami ze strony gości odwiedzających szpital. Ludzie bali się obłąkanych.

— Zostawcie z nim mnie i Davida, dobrze? — rzucił szorstko Ben. — Wszystko jest w porządku.

Pozostali wyszli. Stary facet zdążył posłać mu przez ramię zatroskane spojrzenie. Ben zapytał go jeszcze raz o ból głowy, który powoli mijał. Kazał mu policzyć palce dłoni, a potem zmierzył puls.

— Nic ci nie będzie — rzucił z ulgą. — Przepraszam, że dałem ci wczoraj taką dużą dawkę, ale musieliśmy cię wyciągnąć ze szpitala. — Na jego twarzy malował się szczerzy wyraz skruchy.

— Dlaczego to zrobiliście?

— Wszyscy działamy w ruchu oporu, chłopie. Wyekspedujemy cię z kraju.

— Dlaczego? — zapytał łamiącym się głosem Frank, patrząc na Davida.

— Pamiętasz, dlaczego zamknęli cię w szpitalu? Ponieważ twój brat... — David zastanawiał się, jak to ująć. — Ponieważ twój brat wypadł z okna.

— Wypchnąłem go — mruknął ponuro Frank.

— Wiemy, że powiedział ci coś ważnego. — Frank wytrzeszczył oczy ze strachu. David podniósł dłonie w uspokajającym geście. — To wszystko, co wiemy. Brat przyznał się Amerykanom, a oni poprosili, żebyśmy wyciągnęli cię ze szpitala. Nie wiemy, co takiego wiesz, i nie chcemy, żebyś nam to zdradził. Prawdopodobnie i tak byśmy nic nie zrozumieli — dodał żartobliwym tonem David.

— Gdzie jest Edgar?

— W Ameryce. Trzymają go w jakimś bezpiecznym miejscu. Tyle nam powiedziano. Amerykańskie tajne służby skontaktowały się z nami i poprosiły, żebyśmy cię uwolnili.

— Jedziemy na południowe wybrzeże — podjął Ben. — Amerykanie mają zamiar wysłać po nas okręt podwodny. I co ty na to?

Frank próbował zebrać myśli.

— Ale tuż przed waszą wizytą przyszli do mnie dwaj policjanci — powiedział. — Jeden z nich był Niemcem. Myślałem, że z sobą współdziałacie.

— Nie. — David wydawał się urażony. — Jak mogłeś pomyśleć coś takiego?

— A skąd miałem wiedzieć, że jest inaczej? — odparł z nagłym gniewem Frank.

— Naszym zdaniem Niemcy także wiedzą, że znasz ważne informacje. Dlatego musieliśmy cię natychmiast uwolnić.

Frank popatrzył na nich obu. Trudno było mu to ogarnąć.

— Czy powiedziałeś coś tym policjantom, kiedy do ciebie przyszli? — zapytał Ben.

— Nic! I nic już nikomu nie będę mówił. Może tak naprawdę nic nie wiem — odrzekł ostro Frank.

— W porządku — powiedział pojednawczo David. — Ale proszę, musisz nam zaufać.

— To dlatego próbowałeś się zabić — domyślił się Ben. — Bałeś się, że ktoś zmusi cię do mówienia.

Frank pokiwał ponuro głową. Wciąż go bolała, ale musiał się skoncentrować. Nadal nie do końca wierzył we wszystko, co mówili David i Ben, lecz powoli budziło się w nim coś, czego nie zaznał od długiego czasu: nadzieja.

— Będą nas ścigać — stwierdził.

— Owszem — zgodził się z ciężkim westchnieniem David. — Musimy się tu ukryć do momentu, kiedy nasi ludzie zawiadomią nas, że można bezpiecznie jechać do Londynu.

Frank coś sobie uświadomił.

— A co z twoją żoną, Davidzie? Z twoją pracą?

— Nie mam już pracy. Jestem teraz ścigany tak jak ty. Moja żona nie wiedziała, że działam w ruchu oporu. Nasi ludzie ją także starają się uratować.

— Teraz może cię ogolimy, a potem włożysz fajne ubranie, które dla ciebie przygotowaliśmy, i pójdziemy coś zjeść — powiedział Ben i ścisnął Franka za ramię. Ten znowu się skrzywił. — W porządku, nie musisz nam nic mówić, po prostu z nami współpracuj. Wtedy będziemy wszyscy bezpieczni. Zrobisz to, Frank?

— Będą nas ścigać — powtórzył Frank. — A kiedy nas złapią, będzie po nas.

— Nie złapią nas, jesteśmy sprytni.

— Nie chcę, żebyś nafaszerował mnie lekami jak wczoraj.

— Dobrze. Dam ci tylko zwykłą dawkę. Żebyś był spokojny.

— Będę grzeczny — mruknął z goryczą Frank.

Denerwowało go to, jak czasami zwracał się do niego Ben, jakby był dzieckiem. Zaczynał wierzyć w ich historię, ale nawet jeśli to, co mówili, było prawdą, policja i Niemcy już ich pewnie szukali. Jeśli Niemcy mieli choćby mgliste pojęcie, co takiego wie, będą chcieli za wszelką cenę go złapać. Zaczekam na pierwszą okazję i skończę z sobą, pomyślał, ale potem spojrzał na Davida, na jego poważną, znękaną twarz, i wspomnienie ich dawnej przyjaźni sprawiło, że zapragnął dalej żyć. Zacisnął zdrową dłoń w pięść. Nie wolno mu tak myśleć. Był tylko jeden pewny sposób, żeby dochować tajemnicy.



Ben zabrał go do łazienki i sam ogolił. Frank zgadywał, że nie chcą dawać mu do ręki brzytwy. Następnie pod czujnym okiem Bena przebrał się w nowe ubranie, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył zwirowany podjazd, jakieś krzaki i palmę, która wyglądała na zwiędłą. Wszystko było pokryte szronem. Pod samym oknem stał samochód, którym przyjechali, na jego dachu lśniły kryształki lodu. Sypialnia znajdowała się na pierwszym piętrze. Gdyby wyskoczył przez okno, wylądowałby na samochodzie i mógł sobie co najwyżej złamać rękę lub nogę. Nagle dotarła do niego cała potworność i groza tego, co planował i co raz już próbował zrobić. Pochylił się do przodu i oparł czoło o chłodną szybę.

Ben natychmiast do niego podszedł.

— Co robisz? — zapytał ostro.

— Nic.

— Chodź. Zjedzmy jakieś śniadanie.

Ben wziął go pod ramię i wyprowadził na korytarz.



Na dole inni zjedli już i siedzieli przy stole, pałac. Starsza pani, którą widział w nocy, zbierała nakrycia.

— Dzień dobry, Frank — powiedział Geoff, wstając. — Lepiej się czujesz?

— Trochę kręci mi się w głowie — odparł Frank.

Będę udawał bardziej zamroczonego, niż jestem, pomyślał.

Kobieta przyniosła mu obfite śniadanie: jajka na bekonie, owsiankę, grzanki i masło. Frank poczuł, jak bardzo jest głodny. Kiedy jadł, wszyscy mu się przyglądali. Cudzoziemka też z nimi była. Spozrzegł, że ma lekko skośne oczy. Patrzyła na niego życzliwie, ale w jej wzroku było również coś twardego. David także się ogolił, ale nadal wydawał się jakiś wymięty. Za to Geoff wyglądał całkiem jak za dawnych lat, pykając ze swojej fajki.

Po śniadaniu Ben dał mu tabletkę — jedną małą tabletkę, jego normalną dawkę — a cudzoziemka wręczyła mu dowód tożsamości wystawiony na nazwisko Michael Hadleigh.

— Na wypadek gdyby poproszono nas z jakiegokolwiek powodu o okazanie dokumentów, tak brzmi teraz twoje nazwisko — powiedziała z obcym akcentem, patrząc na niego skośnymi oczyma. — Przeczytaj je i postaraj się zapamiętać. Dasz radę, Frank?

— Tak, zapamiętam. — Zastanawiał się, skąd ona pochodzi. Akcent, dzięki Bogu, nie wydawał się niemiecki.

— Mam również zaświadczenie lekarskie, nie jest prawdziwe, ale sprawia wrażenie autentycznego. Jest w nim napisane, że masz gruźlicę, a my jesteśmy twoimi przyjaciółmi i wieziemy cię do sanatorium w Londynie. Jeśli ktoś poprosi nas o okazanie dokumentów, najprawdopodobniej szybko nas przepuszczą, ludzie boją się gruźlicy. Ostatnio zapada na nią w zimie coraz więcej ludzi.

— Całkiem sprytne, nie? — mruknął Geoff.

— Tak, sprytne — zgodził się Frank.

Natalia spojrzała na niego z przepraszającym uśmiechem.

— Zanim stąd wyjedziemy, chcielibyśmy, żebyś umył włosy i trochę je przyszyty. Masz coś przeciwko?

— Nie — odparł Frank, dotykając swoich nierówno przyciętych włosów. Wydawało mu się to niezłym pomysłem. — Czy jest duże ryzyko, że nas zatrzymają?

— Nie — zapewnił go Geoff. — Ale w dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo.

— Zwłaszcza teraz, kiedy dzieją się te rzeczy z Żydami — zgodziła się Natalia.

— Co z nimi zrobili? — zapytał Frank. — Słyszałem, że wszystkich deportowano.

— Nie wiemy — powiedział ponuro David. — Umieścili ich w tymczasowych obozach na prowincji. Ale nie wiemy, co się z nimi stanie.

— Może przewiozą ich pociągami na wyspę Wight — powiedział Geoff. — Może Niemcy ich tam pozabijają. A może Beaverbrook zatrzyma ich tam, gdzie są, uczyni z nich argument przetargowy w negocjacjach z Niemcami.

— Oddadzą ich Niemcom bez dwóch zdań — oświadczył z goryczą David. — A tamci wywiozą ich do wschodniej Europy i wykończą.

— Barbarzyńcy! — wybuchnął nagle pułkownik Brock, wstając z krzesła. — Osobiście nigdy nie zwracałem sobie głowy Izraelitami, ale to jest barbarzyństwo, barbarzyństwo!

Nagle drzwi otworzyły się i do jadalni weszła jego żona z wypiekami na twarzy.

— Dostałam właśnie wiadomość przez radio — powiedziała, patrząc na Davida. — Od naszych ludzi z Londynu. Pańska żona jest bezpieczna, nasi ludzie ją uratowali!

David poczuł, jak ogarnia go olbrzymia ulga. Pułkownik Brock podszedł do niego i uściskał mu energicznie rękę.

— Dzięki Bogu! Gratuluję ci, stary!

Geoff poklepał go po ramieniu. Frank zobaczył, że David zerka na Natalię, która uśmiechnęła się do niego półgębkiem i pokiwała głową.

— Macie tu wszyscy zostać jeszcze przez kilka dni — podjęła pani Brock. Poprzedniej nocy wydawała się podenerwowana, lecz dobre wiadomości dodały jej energii. — Wokół Birminghamu ustawiono blokady drogowe. Ale to dobrze, myślą pewnie, że tam zawieźliśmy doktora Muncastera. — Mówiąc to, zerknęła na Franka; podobnie jak mąż, chyba trochę się go bała. — Okręt podwodny będzie na was czekał w ten weekend przy południowym wybrzeżu. A tymczasem, kiedy sytuacja się uspokoi, pojedziecie wszyscy do Londynu.

— Wiemy, gdzie dokładnie przy południowym wybrzeżu? — zapytał jej mąż.

— Nie, tego nam nie powiedzieli.

Pułkownik Brock pokiwał głową.

— Całkiem mądrze. — Omiótł wzrokiem całą grupę. — Cóż, wygląda na to, że zostanieie tutaj przez jakiś czas. Proszę, nie wychodźcie z domu i nie wyglądajcie z okien na pierwszym piętrze. Przechodnie widzą je nad murem.

— Czy jesteśmy tu bezpieczni? — zapytał Geoff.

— Tak. Dla sąsiadów jesteśmy tylko parą emerytowanych miejscowych notabli. Pani Brock organizuje w wiosce jasełka.

— Powinniśmy ukryć samochód. Na wszelki wypadek — powiedziała Natalia.

Pułkownik Brock pokiwał głową.

— Racja. Postawię go w garażu, pod pokrowcem. A zatem wszyscy wiemy, na czym stoimy, tak? — dodał z naciskiem.



Spędzili tam cztery dni, nie wychodząc z domu. Było nadal zimno i sucho, z nocnymi przymrozkami. Frank spędzał większość czasu w swojej sypialni. Ciągle ktoś mu towarzyszył, przeważnie David albo Ben. Odzywał się rzadko, a oni, ku jego uldze, dotrzymali słowa i nie pytali go o incydent z bratem. Czasami grali w szachy, w które zawsze był dobry. Ben dawał mu regularnie leki i sprawdzał, czy je połyka. Wieczorem, podobnie jak w szpitalu, dostawał podwójną dawkę, żeby zasnąć. Zastanawiał się, jak dużą dawkę Ben dał mu przed ucieczką. Prawie nie widywał się z Natalią i Brockami, ale przez okno widywał panią Brock, która od czasu do czasu chodziła do wioski, oraz dwa razy dziennie pułkownika Brocka, wyprowadzającego na spacer czarnego labradora, podobnie jak jego pan, sztywnego i leciwego. Kiedy spotykali się na posiłkach, Ben próbował czasami sprowokować pułkownika do kłótni. Któregoś wieczoru

Brock pokazał im przepiękną złoconą rzeźbę hinduskiego boga Ganeszy z głową słonia.

— Dostałem go w Bombaju za grosze — oświadczył z dumą.

— Grabiliście biednych poddanych, tak? — zauważył Ben.

Pułkownik poczerwieniał i Frankowi zdawało się, że zaraz wybuchnie.

— Dałem za niego uczciwą rynkową cenę — oświadczył tylko.

Frank wolałby, żeby Ben nie mówił takich rzeczy.

Nadal zamierzał przy pierwszej nadarzającej się okazji popełnić samobójstwo, ale stale go obserwowali. Tymczasem starał się dowiedzieć jak najwięcej o tym, co się dzieje. W swoim pokoju pytał Bena o jego przeszłość, jak to się stało, że zaczął pracować w szpitalu.

— Byłem już tam, kiedy cię przywieziono — odparł Ben. — W ruchu oporu jest teraz sporo ludzi, jesteśmy wszędzie. W większości dużych szpitali są sympatycy i członkowie.

— Jak trafiłeś do tego zawodu?

Ben uśmiechnął się, pokazując krzywe zęby.

— Kilka lat temu wpadłem w kłopoty w Glasgow, walcząc z faszystami. Uznano, że potrzebuję nowej tożsamości i nowej pracy. Kiedy byłem młodszy, też miałem problemy. Więc dostałem nowe nazwisko i przeszedłem szkolenie na pielęgniarza w szpitalu psychiatrycznym. To nie było trudne. O tę robotę nie starają się raczej tysiące chętnych. A ja nie daję sobie grać na nosie, to ważne w tym zawodzie.

— Więc naprawdę nie nazywasz się Ben?

— Nie. Ale pamiętaj, że jestem Benem Hallem od tak dawna, że prawie zapomniałem starego nazwiska.

— Jakie problemy miałeś, kiedy byłeś młody?

Ben wzruszył ramionami.

— W wieku siedemnastu lat trafiłem do poprawczaka. Zradykalizowałem się tam. Potem organizowałem z ramienia partii związki zawodowe w Glasgow. Nakłaniałem ludzi, żeby walczyli o swoje. No i wziąłem udział w kilku burdach, kiedy wysyłali pomocniczych, żeby nam porachować kości.

— Z ramienia partii? Masz na myśli partię komunistyczną?

— Zgadza się. — Ben spojrział na Franka. — Nigdy nie baliśmy się ubrudzić rąk.

— Mówisz o zabijaniu ludzi.

— Nie zrobisz omletu, nie tłukąc przy tym jajek.

Frank pomyślał o Rosji, o tych wszystkich obozach karnych, które odkryli Niemcy.

— Biedne jajka — mruknął.

— Nie masz pojęcia, jak wygląda życie biednych ludzi — zjeżył się Ben. — Ceny idą w górę, płace spadają, a jeśli protestujesz albo strajkujesz, od razu cię zamykają. Ostatni strajk, jaki organizowałem, odbywał się w stoczni. Maszerowaliśmy do Glasgow, pokojowa demonstracja, razem z nami było wielu ludzi z Partii Pracy i w ogóle niezaangażowanych politycznie, ale kiedy tylko weszliśmy do śródmieścia, wyskoczyli na nas pomocnicy z pałkami. Tłukli wszystkich jak popadnie, a kiedy próbowaliśmy wiać, w bocznych uliczkach czekały na nas oprychy ze Szkockiej Partii Narodowej. Rzucili się na nas z nożami i kastetami, a jakiś pedryl w spódniczce stał na stopniach, grając na cholernych dudach. Jeden z nich walnął mnie w głowę. Zginałbym, gdyby nie wyciągnął mnie stamtąd mój kumpel. Wtedy właśnie zdecydowano, że potrzebna mi jest nowa tożsamość.

— W Strangmans mieliśmy nauczyciela, który był szkockim nacjonalistą — powiedział Frank. — Uczył historii, stale opowiadał o angielskich wielmożach i rugowaniu z ziemi szkockich górali.

— W takim razie marny był z niego nauczyciel. Górali rugowali z zagród głównie szkoccy wielmoże. Szkocka Partia Narodowa. — Ben skrzywił się z niesmakiem. — Wśród tych, którzy ją założyli, było paru sympatyków faszyzmu. Wszystko dla chwały narodu. Było tam również trochę lewicowych romantyków, ale wyrzucono ich po dziewięćset czterdziestym. Wiesz, że nacjonaści protestowali przeciwko poborowi w trzydziestym dziewiątym, mówili, że wcielanie Szkotów do brytyjskiej armii jest niezgodne z aktem unii? To było dla nich ważniejsze niż walka z nazistami. — Ben gorzko się roześmiał. — Za każdym razem, kiedy jakaś partia mówi ci, że tożsamość narodowa liczy się bardziej od innych rzeczy w polityce, że nacjonalizm może rozwiązać wszystkie inne problemy, wtedy uważaj, bo jesteś na prostej drodze do faszyzmu. A nawet jeśli się tym nie skończy, to pomyśl, że narodowość jest czymś w rodzaju magicznej różdżki, która sprawi, że znikną inne problemy, nie różni się od wiary w istnienie krasnoludków. Oczywiście nacjonaści zawsze muszą mieć jakiegoś wroga, Anglików, Francuzów albo Żydów. Zawsze musi być jakiś inny biedak, którego winią za wszystkie problemy.

Frank nie odpowiadał. Przerazała go trochę pasja Bena.

— Czy w tej szkole w Edynburgu prześladowali cię dlatego, że byłeś Anglikiem? — zapytał go Ben.

— Niekoniecznie. Chociaż czasami krzyczeli „angielska...” i dodawali nieprzyzwoite słowo. Ale ja jestem pół-Skotem, mój tato pochodził ze Szkocji.

Ben przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

— I co sądzisz o Szkocji?

Frank wzruszył ramionami.

— Mówiłeś kiedyś, że w Anglii można znaleźć równie złe miejsca. Nie dbam o to, czy ludzie są Szkotami, czy Anglikami, o cały ten głupi nacjonalizm. W tym się z tobą zgadzam. Ale nie jestem komunistą.

Ben pokiwał głową i ze smutkiem się uśmiechnął.

— Jesteś dobrym człowiekiem, Frank, nie ma w tobie złości.

— Pamiętasz, jak mówiłeś, że w moich szpitalnych aktach napisali, że mam zdeformowaną rękę wskutek wypadku w szkole? — zapytał po chwili wahania Frank.

— Pamiętam.

— No więc to nie był wypadek.

— Chcesz powiedzieć, że ktoś to zrobił celowo? — Ben wydawał się wstrząśnięty, choć na pewno nie tak łatwo było nim wstrząsnąć.

Frank nerwowo poruszył głową. Nagle poczuł się niewyraźnie. Powiedział za dużo.



Łatwiej było mu rozmawiać z Davidem i Geoffem. Przypominali mu okres, kiedy studiował w Oksfordzie. Starając się jak najwięcej dowiedzieć, pytał, jak to się stało, że przystąpili do ruchu oporu.

— Dla mnie przełomowy był moment, kiedy czarni zaczęli być rugowani z ziemi w Kenii, żeby zrobić miejsce dla białych osadników. — Geoff wyjął fajkę z ust i wskazał cybuchem Davida. — A potem zwerbowałem tego faceta — dodał.

— Co robiliście dla ruchu oporu? — zapytał Frank.

David spojrzał mu prosto w oczy.

— Przekazywałem tajne rządowe dokumenty — odparł.

— Czy wpadłeś z mojego powodu?

— Nie. To stało się z powodu popełnionego przeze mnie błędu.

— I twoja żona o niczym nie wiedziała?

— Nie mogłem jej w to angażować. Jest pacyfistką, rozumiesz.

— Ja też chyba jestem pacyfistą — przyznał się Frank. — Ale w dzisiejszych czasach to nie może być wymówką, żeby się nie angażować.

David zmarszczył czoło.

— Sarah nie jest tchórzem.

— Przepraszam. Nie miałem tego na myśli. Chodzi o to, że ja jestem tchórzem. Zawsze nim byłem.

— Nie wydaje mi się, stary. — Geoff spojrzał Frankowi prosto w oczy. — Tchorze nie robią tego, co próbowałeś zrobić w szpitalu.

Frank postanowił zmienić temat.

— Jeśli uda nam się uciec, spotkasz się znowu z żoną? — zwrócił się do Davida.

— Tak, chyba się spotkamy — odparł David i westchnął.

— Dziwnie jest tutaj siedzieć, prawda? — powiedział z poważną miną Geoff. — Kiedy człowieka ścigają, czuje się taki... wyobcowany.

Ja byłem wyobcowany przez całe życie, pomyślał Frank. Mimo to czuł się tutaj mniej samotny niż kiedykolwiek.



Trzeciego dnia pobytu w domu Brocków, kiedy siedział i grał w szachy z Benem, do drzwi zapukała Natalia i weszła do środka. Miał wrażenie, że unika mężczyzn. Prawie nie odzywała się do Davida i nie patrzyła mu w oczy. Może go nie lubiła, chociaż Frank nie bardzo rozumiał dlaczego. Wiedział, że to ona dowodzi akcją.

— Jutro wyjeżdżamy — oznajmiła, siadając naprzeciwko niego przy stole. — Właśnie dowiedzieliśmy się o tym przez radio. Mamy jechać do Londynu. Na południe od Tamizy jest dom, w którym zaczekamy do momentu, kiedy będziemy mogli pojechać na południowe wybrzeże.

— To wspaniale — ucieszył się Ben. — Mam już dosyć siedzenia tutaj. Co o tym myślisz, Frank?

— W porządku — odparł tamten.

Zastanawiał się, kiedy będzie miał sposobność popełnić samobójstwo. Nagle zabiło mu szybciej serce. Zdał sobie sprawę, że wcale nie chce tego robić. Ale musiał. Natalia bacznie mu się przyglądała.

— Czujesz się na siłach, żeby jechać, Frank?

— Tak.

— Ufasz nam? — zapytała w swój irytująco bezpośredni sposób. — Wierzysz, że próbujemy cię z tego wyciągnąć?

— Tak — odparł. — Teraz wierzę.

— To dobrze. Musisz robić dokładnie to, co ci powiemy.

— Bo ścigają nas Niemcy? — zapytał, patrząc jej głęboko w oczy.

— Tak. Choć zagrożenie jest teraz mniejsze. I mamy nowe dowody tożsamości, nową legendę.

— Mimo to mogą nas złapać.

— Zawsze istnieje takie ryzyko. Ale jesteśmy pewni, że to odpowiedni moment, w przeciwnym razie nie wywozilibyśmy cię stąd teraz.

— Zgadza się — mruknął Ben. — Mówi już o wiele więcej — zwrócił się do Natalii. — Zrobiłeś się całkiem rozmowny, prawda, Frank?

Natalia popatrzyła na Franka.

— Jeśli uda im się nas dopaść — powiedziała poważnym tonem — nie wezmą nas żywcem. Zadbaliśmy o to.

— W jaki sposób?

— Postanowiliśmy ci powiedzieć. Uważamy, że lepiej będzie, żebyś wiedział. Jeśli nas złapią, mamy kapsułki, które zażyjemy. Z trucizną.

— A ja?

Natalia pokręciła głową.

— Nie, przykro mi — odparła. Boją się, że przy pierwszej okazji zażyłbym swoją kapsułkę, pomyślał Frank. — W razie czego ja się tym zajmę, Frank, obiecuję — dodała i spojrzała mu w oczy. — Jeśli do tego dojdzie. Wierzysz mi?

Nie odpowiedział. Wierzył Natalii, ale obawiał się, że może jej się to nie udać; cała misja mogła zakończyć się fiaskiem. Zaangażowane przeciwko nim siły były takie potężne. Pomyślał o niemieckim policjancie, który odwiedził go w szpitalu. Cokolwiek się zdarzy, nie mógł ponownie wpaść w jego ręce.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Wyjechali w piątek rano, dziesiątego grudnia. Nadal było zimno i mroźno; Frank dziwnie się czuł, znalazłszy się znowu na świeżym powietrzu. Samochód, którym przyjechali, wyprowadzono z garażu. Poprzedniego wieczoru Geoff i pułkownik Brock zamontowali nowe tablice rejestracyjne. David miał prowadzić, Natalia usiadła na przednim siedzeniu z mapą na kolanach. Pułkownik Brock z żoną wyszli, żeby ich pożegnać. Kiedy Frank miał już wsiadać — Ben trzymał rękę na jego ramieniu — pułkownik dał nieoczekiwanie krok do przodu i uściśnął mu bardzo delikatnie dłoń.

— Powodzenia, stary — powiedział z zakłopotaniem.

Blade słońce zaczęło już topić szron, który osiadł na drzewach i krzewach. Geoff uprzedził Franka, że w pierwszej części podróży mają zamiar korzystać ze spokojnych bocznych dróg i dopiero za Northampton wjadą na autostradę. Frank wpatrywał się w pusty wiejski krajobraz. Myślał o tym, co się stało z Żydami. To, co zrobił rząd, wcale go nie zdziwiło; wiedział, że władze są teraz zdolne do wszystkiego. Pamiętał, że w Strangmans był jeden żydowski chłopiec. Nazywał się Golding. W prezbiteriańskiej szkole antysemityzm ujawniał się rzadziej niż w innych znanych mu miejscach; religijną niechęć demonstrowano wobec katolików, nie Żydów. Mimo to Golding wyróżniał się tym, że nie brał udziału w apelach i zajęciach z religii. Poza tym starał się dostosować, dobrze się uczył i zawsze należał do jakiejś większej grupy. Czasami, podobnie jak inni, wołał za nim „Małpison!” i „Świr!”. Frank pytał się wtedy w duchu, jak to się dzieje, że Golding, który był outsiderem, potrafi się dostosować, a jemu się to nie udaje. Co z nim było nie tak? Przyczepili się do niego już pierwszego dnia; nękanie było niczym śnieżna kula, która rosła i rosła, i nic nie mogło jej zatrzymać. Cóż, teraz to i tak nie ma znaczenia, pomyślał z przygnębieniem.

Jadąc okrężną trasą, którą wyznaczyła na mapie Natalia, minęli wioskę o nazwie Sawley i zbliżyli się do rozwidlenia dróg. Ku swojemu przerażeniu Frank zobaczył policyjną sukę blokującą zjazd w prawo, gdzie zamierzali skrócić. Stali przy niej, trzymając karabiny na ramionach i przytupując z zimna, dwaj ubrani w szare płaszcze młodzi policjanci z formacji pomocniczych. Frank poczuł, jak wszyscy w samochodzie tężeją.

David chciał skręcić w lewo, ale jeden z policjantów dał mu znak, żeby się zatrzymał, i powoli podszedł do nich, przecinając jezdnię. Lufa karabinu lśniła w zimowym słońcu. David powoli opuścił szybę; gliniarz nachylił się i skinął mu głową. Nie przyjrzał się uważnie ich twarzom, nie wydawał się zainteresowany. Jego pucułowata twarz była czerwona z zimna.

— Dokąd pan jedzie?

— Do Northampton — odparł David, celowo podkreślając swój akcent z wyższych sfer. — Jedziemy z Sawley. Jakiś problem, panie posterunkowy?

— Nie, proszę pana, ale ta droga jest teraz zamknięta. Pilnujemy nowego obozu dla Żydów z Birminghamu.

Frank wpatrywał się w zamkniętą drogę. Biegła przez brązowe zaorane pola i była wysadzana drzewami. Ich pozbawione liści gałęzie tworzyły koronkowe wzory. W oddali widział rząd wysokich słupów, między którymi rozpięto chyba druty.

— Co pan powie? — zapytał David.

Coś w jego tonie sprawiło, że policjant baczniej mu się przyjrzał.

Ben pochylił się do przodu.

— Wykurzyliśmy przynajmniej pejsatych z miast, nie? — zapytał wesołym tonem. — W porządku, możemy pojechać okreśną trasą.

Konstabl spojrział jeszcze raz na Davida, a potem skinął głową i dał krok do tyłu. David skręcił w lewo i wjechali w milczeniu na szczyt wzgórza.

Geoff wypuścił powietrze z płuc.

— Jezu Chryste — mruknął.

— Przepraszam — powiedział David. — Nie mogłem się powstrzymać.

— W tej robocie musisz być dobrym aktorem, chłopie — warknął gniewnie Ben. — Zależy od tego nasze cholerne życie.

Ten policjant mógł nas poprosić o okazanie papierów, pomyślał Frank, zabrać nas na posterunek, a wtedy...

— Chce mi się sikać, strasznie — powiedział. — Możemy się zatrzymać?

— Jak strasznie? — zapytał Ben. — Nie możesz trochę poczekać? Znajdziemy jakiś bar i tam pójdziesz do klopa.

— Muszę teraz. Przepraszam, naprawdę...

— Powinniśmy jechać dalej — odparł Ben. — Chcę być jak najdalej od tych gliniarzy.

— Jeśli Frank musi się wysikać, to znaczy, że musi. — Zirytowany Geoff nachylił się do Davida i szepnął mu coś do ucha. — Jeśli się zleje, będzie śmierdziało w samochodzie — usłyszał jego słowa Frank.

Skręcili w kolejną boczną drogę. David zatrzymał się przy niewielkiej przerwie w wysokim wawrzynowym żywopłocie, dość szerokiej, by można się

przez nią precyzyjnie. Ben wysiadł pierwszy i przytrzymał przed Frankiem drzwi. Dziwnie było znaleźć się na otwartym, pagórkowatym terenie. Po spędzonych w szpitalu długich tygodniach kręciło mu się w głowie. Cieszył się, że przed wyjazdem z domu Brocków dali mu zimowe palto. Naprawdę cisnął go pęcherz, ale uznał również, że ma szansę uciec. Poranna tabletka przestawała działać, miał nadzieję, że będzie w stanie puścić się biegiem. Za żywopłotem było brunatne zaorane pole, z wciąż białymi od szronu bruzdami, a dalej chyba gęsty las. Pobiegnie tam, a kiedy znajdzie się wśród drzew, musi tylko znaleźć grubą gałąź i użyć paska.

— Chodź, Frank, nie śnij o niebieskich migdałach — rzucił żartobliwym tonem Ben, wskazując lukę w żywopłocie. — Przeciśniemy się tędy.

— Sam sobie poradzę.

Ben zawahał się. Natalia opuściła szybę.

— Zostaw go — powiedziała ostro. — Przestań traktować go jak dziecko.

Ben zacisnął wargi. Frank zastanawiał się, czy postawi na swoim. Ruszył skrajem drogi i nachylił się, żeby przejść między krzewami. Zmarznięta trawa chrzęściła pod jego stopami. Obejrzał się i zobaczył, że Ben został przy samochodzie. Drobne kolczaste gałązki czepiały się jego ubrania.

Znalazszy się po drugiej stronie żywopłotu, szybko rozpiął palto i rozporek i wysikał się obficie na zaoraną ziemię. Robiąc to, rozejrzał się. Serce waliło mu w piersi. Odetchnął głęboko i najszybciej, jak mógł, pobiegł przez pole.

Okazało się to o wiele trudniejsze, niż sądził. Zmarznięty grunt był twardy, ale musiał skakać z radliny na radlinę. Ziemia osypywała się pod butami. Nie biegał już od dłuższego czasu i zaczęły mu drzeć nogi; coraz bardziej dudniło mu w uszach.

Nagle poczuł, jak czyjeś silne palce zaciskają się na jego nogach i runął twarzą do przodu na jedną z radlin. Leżąc na ziemi, spazmatycznie oddychał. Ktoś złapał go za ramię i obrócił brutalnie na plecy. To był David. Klęczał nad nim z twarzą zaczerwienioną z wysiłku.

— Na litość boską, Frank! — krzyknął. — Co ty sobie wyobrażasz?!

Frank usiadł, głośno rżąc. Geoff, Ben i Natalia precyzyjnie się przez żywopłot i biegli w ich stronę. David podniósł rękę i stanęli nieopodal, niczym strachy na wróble w szczerym polu.

— Dlaczego uciekłeś, Frank?! — zawołał gniewnie. — Dlaczego? — Jego głos przepłoszył siedzące na gałęziach drzew wrony, które kracząc, wzbiły się w powietrze.

— Przepraszam.

— Nie ufasz nam?

Frank spojrzał Davidowi prosto w oczy.

— Nie o to chodzi. Po prostu nie wierzę, że wam się uda — powiedział. — Boję się, że jeśli nas złapią, wyciągną ze mnie to, co wiem.

— Myślisz, że dasz radę sam uciec? — zapytał z wściekłością David. — Dokąd, do diabła, chciałeś pójść? — Złapał Franka za ramię i mocno nim potrząsnął. — Gdzie planowałeś się schronić? Jeśli masz tu gdzieś kogoś, kto mógłby ci pomóc, musisz nam o tym powiedzieć. Ryzykujemy życie, żeby cię stąd wydostać.

Frank spojrział ponownie w stronę lasu. Wrony zatoczyły krąg i siadały z powrotem na gałęziach.

— Nikogo nie mam, Davidzie — odparł cicho. — Chciałem się zabić. To właśnie muszę zrobić. Tylko wtedy będę miał pewność, że im się nie uda. Nie rozumiesz tego?

David klęknął obok niego.

— Nie powinieneś tak nisko cenić własnego życia, Frank — powiedział.

— Nie wiesz, jaką ukrywam tajemnicę. Jestem taki zmęczony, Davidzie. Chodzi o bombę — wyszeptał Frank. — Edgar pracował nad bombą atomową. Powiedział mi, jak udało im się ją skonstruować. Jeśli Niemcy poznają ten sekret, oni też będą mogli to zrobić.

David wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczyma.

— Na miłość boską — wyszeptał. — Nie mów nic więcej. Ani słowa.

— Czy nie byłoby łatwiej, gdybyście mnie po prostu zabili? I bezpieczniej? Nie pisałem dotąd nikomu ani słówka. Nikomu.

— Naprawdę tego chcesz, tak?

Frank pokiwał powoli głową.

— Wiesz, że jeśli dojdzie do wpadki, nie damy wziąć się żywcem — powiedział David i westchnął. — Nie ma dla nas powrotu. Wszyscy polegamy teraz wzajemnie na sobie. Musimy sobie ufać. Mamy duże szanse, jeśli będziemy się trzymać razem i nie upadniemy na duchu. Pomaga nam cała masa ludzi, Frank. Proszę, obiecaj mi, że nie zrobisz już więcej czegoś takiego. Jeśli ponownie spróbujesz uciec, narazisz życie nas wszystkich.

Frank wahał się przez chwilę, patrząc Davidowi w oczy, a potem pokiwał głową.

David pomógł mu wstać i ruszyli powoli w stronę pozostałych.

— Zawsze nienawidziłeś nazistów, prawda? — zapytał Frank.

— Tak samo jak ty.

— Dlatego wolałbym umrzeć niż im pomóc.

— Lepiej pokrzyżować im szyki i żyć dalej — odparł z pasją David.

— Przez wszystkie te lata na uniwersytecie musiałem cholernie wam się naprzykrzać, łażąc za tobą i Geoffem — powiedział Frank.

— Byłeś naszym przyjacielem.

— Chciałem tylko być normalny, dopasować się. Ale nigdy mi się nie udawało.

David cierpko się uśmiechnął.

— Tak samo było ze mną. Zawsze. — Roześmiał się. — Po tym, co od ciebie usłyszałem, chcę normalności jeszcze bardziej.

— Na litość boską — szepnął Frank. — Nie mów innym...

— Dobrze, nie powiem. Ale ze względu na nas wszystkich musisz pozostać przy życiu, Frank.



David pomógł mu wejść do samochodu, a potem przez kilka minut rozmawiał z innymi na zewnątrz. Frank bał się, że są na niego wściekli, zwłaszcza kobieta, lecz ona spostrzegła, że się jej przygląda, i uśmiechnęła się. Rozumie mnie, pomyślał.

— Nie było ci łatwo, Frank — powiedział Ben, kiedy ruszyli dalej. — Wiem o tym. Świetnie się spisałeś, nie mówiąc nic tym policjantom w szpitalu. Ale teraz jesteś z nami i wiedz, że się tobą zaopiekujemy. Zrobimy to. Musimy się tobą zaopiekować.

— Dobrze — odparł Frank.

Był zbyt znużony, by powiedzieć coś więcej. Przez jakiś czas kluczyli dalej wiejskimi drogami, a potem wjechali na autostradę i przyspieszyli. Oni wszyscy gotowi są umrzeć, żeby mnie stąd wydostać, pomyślał. Nadal obawiał się tego, co może go spotkać, ale poczuł falę życzliwości do swoich towarzyszy.

Koło pierwszej Geoff poczęstował ich kanapkami przygotowanymi przez żonę pułkownika, a potem Ben dał mu kolejną tabletkę i Frank zdrzemnął się, ukołyszany monotonnym szumem opon.

Obudziły go głosy współtowarzyszy. Zaczynało się ściemniać.

— To już drugi stojący pociąg, który widzimy — powiedział Ben.

— Może jest jakiś problem z sygnalizacją — odparł Geoff. — Takie rzeczy zdarzają się w piątek wieczorem — dodał lekkim tonem, jakby byli zwyczajnymi ludźmi, którzy wybrali się na weekendową przejażdżkę.

Frank wyjrzał przez szybę. Na nasypie przy autostradzie zobaczył stojący pociąg. W jego oświetlonych, zaparowanych oknach widać było pasażerów w kapeluszach i płaszczach.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał.

— Trzydzieści kilometrów od Londynu — odparła Natalia, odwracając się do niego z uśmiechem.

Jechali dalej. Frank ponownie przysnął. Zbudził się, czując, jak samochód zwalnia. W nozdrza wpadł mu nieprzyjemny siarczany odór. Wyprostował się na siedzeniu. Na zewnątrz było ciemno. Tkwili w długim szeregu sunących powoli samochodów. Zdał sobie sprawę, że nie widzi blasku ulicznych latarni i świateł stojących przy ulicy domów. Patrząc przed siebie, zobaczył w światłach reflektorów kłębiący się brudny tuman. Mgła, gęstsza od wszystkiego, co do tej pory widział.

— Co się dzieje? — spytał.

— Utknęliśmy — odparł David. — To ostatnia rzecz, jaka jest nam dziś potrzebna. Zaczęło się godzinę temu i robi się coraz gorzej w miarę, jak zbliżamy się do centrum.

Geoff zagwizdał.

— Mgła jak jasna cholera — mruknął.

Rozdział czterdziesty

To była najgęstsza mgła, jaką David kiedykolwiek widział, a mieszkał w Londynie przez całe życie. Nie zwyczajna mgła, ale siarczany chemiczny smog w zielonkawożółtym odcieniu. Kłębiąc się w światłach reflektorów, wydawał się niemal płynny, przelewał się i marszczył jak fale. Pojazdy wlokły się bardzo wolno. W samochodzie unosił się coraz ostrzejszy siarczany zapach i David poczuł, że drapie go w gardle. Siedzący za nim Geoff rozkaszał się na dobre. David przypomniał sobie, że smog szkodzi jego przyjacielowi i czasami nosi on jedną z tych małych białych masek, które można kupić w aptece.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Natalię. Spojrzała na mapę, podnosząc ją wysoko do oczu.

— Chyba na obrzeżach Watford.

David opuścił szybę. Widoczność była prawie zerowa; nawet światło ulicznych latarni rozlewało się w żółte smugi, nie sposób było ocenić odległości. Zasunął z powrotem szybę. Jadący przed nimi samochód ruszył do przodu i podążyli w ślad za nim, ale udało im się przejechać tylko kilka metrów. Przed sobą zobaczył czerwony blask. Wlepiając wzrok w szybę, dostrzegł między tumanami mgły kosz z żarzącymi się węglami, a obok niego sylwetkę kierującego ruchem policjanta. Jego ręce były widoczne tylko dzięki temu, że miał na nich długie białe rękawice.

Zerknął we wsteczne lusterko. Frank, który siedział między Geoffem i Benem, wpatrywał się w przednią szybę. Na jego pociągłej twarzy malował się niepokój.

— Dobrze się czujesz, Frank? — zapytał David.

— I co teraz zrobimy? Nie jesteśmy bezpieczni w samochodzie. Mogą nas złapać.

Natalia odwróciła się do tyłu.

— Nikt nie wie, że tu jesteśmy — powiedziała uspokajającym tonem. — Mgła nam sprzyja, na pewno wszystko dezorganizuje.

— Dokąd jedziemy?

— Na południe od Tamizy. Do bezpiecznego domu w New Cross.

— W tych warunkach to potrwa parę godzin — mruknął niecierpliwie Ben.

— On ma rację — zgodził się Geoff. — Im bliżej śródmieścia, tym gorzej — dodał i znowu zaniósł się kaszlem.

David spojrział na wystraszoną twarz Franka w lusterku i przez chwilę się zastanawiał.

— Moglibyśmy zostawić samochód w Watford i pojechać do centrum metrem. Przynajmniej bylibyśmy w ruchu.

— Tak — zgodził się natychmiast Frank. — Powinniśmy się przemieszczać, musimy się przemieszczać. Niebezpiecznie jest tkwić w jednym miejscu.

Ben posłał mu podejrzliwe spojrzenie.

— Musisz się nas trzymać, nie waż się znowu uciec.

— Nie zrobię tego, obiecuję.

Samochód przed nimi ruszył do przodu. Powoli, diabelnie powoli zbliżali się do ronda. Policjant podniósł dłoń w rękawicy, dając im znak, żeby się zatrzymali. Żarzące się w koszu węgle oświeślały przyćmionym blaskiem wnętrze samochodu. Frank skulił się na siedzeniu. Policjant machnął ręką i skręcili w Watford High Street. Ruch był tutaj mniejszy, ale samochody i tak wlokły się w żółwym tempie; tylne światła poprzedzającego pojazdu widać było dopiero, kiedy wjeżdżało mu się prawie w zderzak.

Wszystkie sklepy były zamknięte. W końcu dostrzegli wejście do metra, niewyraźne postaci poruszające się w padającym ze środka świetle.

— To tutaj — powiedział David. — Musimy podjąć decyzję.

— Co z samochodem? — zapytał Geoff.

— Po prostu go zostawimy — odparła Natalia. — Nie ma w nim nic, co mogłoby ich do nas doprowadzić. Tablice rejestracyjne są fałszywe. Dzisiaj będzie chyba dużo porzuconych samochodów.



Wysiedli z samochodu i podeszli do wejścia. Frank szedł pośrodku, Ben trzymał mu rękę na ramieniu. David z ulgą stwierdził, że nie zamierza raczej uciekać; wprost przeciwnie, był chyba zadowolony, że chronią go przed kłębiącym się dokoła tłumem. Można by pomyśleć, że wszyscy postanowili nagle skorzystać z metra, zamiast tłuc się samochodami i autobusami. Mgła wdzierała się do środka; David widział, jak brudny zielonożółty tuman kłębi się pod lampami na wyłożonym płytkami suficie. Widział już sporo mgieł, ale żadna nie była tak gęsta.

— Kupię bilety — powiedział do Natalii. — Na jaką stację?

— New Cross Gate.

David przecisnął się do budki biletowej, reszta przystanęła obok kulącego się przy ścianie Franka. Przez całe tygodnie był odcięty od świata, a teraz znalazł się w środku chaosu. David kupił pięć biletów. Podając kasjerce jednofuntowy banknot, uświadomił sobie, jak mało mu zostało pieniędzy. Chowając z powrotem portfel, poczuł w kieszeni małą twardą kapsułkę z cyjankiem.

Zjechali ruchomymi schodami i stanęli z tyłu peronu, na którym roiło się od ludzi. Nadjechał pociąg, ale pasażerowie stojący dalej, tak jak oni, nie zdołali do niego wsiąść. Kiedy odjechał, ludzie, którzy nie wsiedli, przysunęli się bliżej torów. David zobaczył, że znajdujący się obok niego Frank wpatruje się z niezdrową fascynacją w szyny. Złapał go za chude ramię.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Wszyscy ci ludzie... — mruknął Frank.

Stojący po drugiej stronie Davida Geoff znowu zaniósł się kaszlem.

Na peron wjechał z turkotem kolejny pociąg. Drzwi otworzyły się, wypływając tłum pasażerów. Byli zmęczeni i wymięci, kilku wyglądało, jakby było im niedobrze: kasłali i łapali kurczowo powietrze. David, nadal trzymając za ramię Franka, zaprowadził go szybko do miejsc siedzących i usiadł obok niego.

Jazda do Londynu była okropna. Pociąg był zatłoczony, na każdej stacji do wagonu wciskało się coraz więcej ludzi. Pasażerowie skarżyli się na smog, powtarzali, że nigdy jeszcze nie widzieli czegoś takiego. W pewnych częściach miasta sytuacja była gorsza niż w innych; zdarzały się miejsca, w których widzialność była prawie dobra, a nagle nie sposób było policzyć palców u ręki. Tak jakby mgła przemieszczała się niczym żywe stworzenie.

Frank siedział, śledząc wzrokiem butelkę oranżady, która porzucona przez kogoś turlała się w tę i z powrotem po drewnianej podłodze wagonu.

— Jesteś w dobrej formie? — zapytał David.

— Tak — odparł Frank, nie podnosząc wzroku. — Ta butelka...

— Co z nią?

— Ktoś mógłby uznać, że da się przewidzieć, jak długo będzie się toczyła z jednej strony na drugą i gdzie się zatrzyma, ale to niemożliwe. Najdrobniejsze zmiany w ruchu pociągu zmieniają jej trajektorię. — Frank popatrzył z powagą na Davida. — Wbrew temu, co im się wydaje, ludzie nie potrafią przewidywać różnych rzeczy. Za dużo zmiennych.

David wiedział, że Frank ma na myśli ich misję, szanse na to, że dotrą w bezpieczne miejsce.

— No cóż, ty przynajmniej nigdzie się nie odturlaj — mruknął.

Frank podniósł wzrok.

— Nie zrobię tego, obiecuję.

David niepewnie się do niego uśmiechnął. Żałował, że Frank zdradził mu, czego dotyczy jego sekret. Zastanawiał się, czy wiedzą o tym tylko Amerykanie, czy również ci, którzy organizowali jego transfer. Przypuszczał, że jeśli informacje posiadane przez Franka mogłyby pomóc Niemcom zbudować bombę atomową, równie dobrze mogłyby pomóc w tym Brytyjczykom. A także Rosjanom. Czy ci ostatni mieli wiedzę i zasoby, żeby zrobić coś takiego? Nikt nie był tego pewien; niewykluczone, że od lat już prowadzili eksperymenty. Traktat anglo-niemiecki zabraniał prowadzenia badań nuklearnych w Wielkiej Brytanii, ale kto wiedział, co robiono po kryjomu?



Po drodze dwa razy się przesiedli. Tłok był koszmarne, smog unosił się również na peronach, które wypełniali szczelnie ludzie. Dotarcie do końca linii zajęło im godzinę z okładem. Kiedy wyszli z powrotem na powierzchnię, smog był jeszcze gęstszy niż na północy; widzieli się wzajemnie, ale mało co poza tym. Kiedy przystanęli na chodniku, z mgły wyłonił się niewidoczny jeszcze chwilę wcześniej autobus z rozświetlonymi oknami, a potem równie nagle znikł.

— Dokąd teraz? — zapytał Geoff.

— To niedaleko — odparła Natalia. — Nauczyłam się drogi na pamięć.

Poprowadziła ich w lewo ulicą, przy której stały niewielkie szeregowce z niskimi murkami od frontu. David miał nadzieję, że Frank nie spróbuje im teraz zwać. Gdyby to zrobił, w tych warunkach z pewnością nie zdołaliby go odnaleźć. Ben trzymał go za ramię. Na ulicy było niewielu przechodniów, większość poruszała się po omacku, trzymając się ogrodzeń i żywopłotów; tylko w ten sposób można było zachować orientację. Widzieli rozmazane żółte smugi światła z ulicznych latarni, niewyraźny blask padający z okien mijanych domów i nic poza tym. Nie sposób było ocenić odległości. Było bardzo cicho, kłębiące się opary tłumiły większość dźwięków.

W pewnym momencie o mało nie zderzyli się z trzema młodymi kobietami, które szły gęsiego, trzymając się za ręce. Na ustach i nosach miały chustki chroniące przed cuchnącymi wyziewami. Natalia zapytała, czy dobrze idą do Kitchener Street, i usłyszała, że trzeba skręcić na następnym rogu.

— Powinniśmy zrobić to samo co one, trzymać się za ręce — powiedziała, kiedy odeszły. — W ten sposób się nie zgubimy.

— Świetny pomysł — zgodził się szybko Ben, który wciąż trzymał Franka za ramię. David wziął go za drugą rękę.

— To chora dłoń — zwrócił mu uwagę Frank. — Złap mnie za nadgarstek, to nie będzie mnie tak bolało.

— Oczywiście.

Natalia chwyciła Davida za drugą rękę. Miała ciepłą i suchą dłoń. Zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej jej nie dotknął. Przez cały czas, jaki spędzili u Brocków, starała się go unikać; wiedział, że ona nie chce, by miał wyrzuty sumienia, kiedy ponownie spotka się z Sarah. Ale dotykając jej dłoni, uświadomił sobie, że nadal jej pragnie.

Szli dalej w żółwym tempie tuż przy żywopłocie. Jego listki były mokre i brudne. Jeszcze dwa razy o mało na kogoś nie wpadli, lecz nikt nie miał do nikogo pretensji. David przypomniał sobie alarmy przeciwlotnicze zimą trzydziestego dziewiątego, kiedy wrócił na przepustkę do domu. Pamiętał wymuszoną pogodę ducha ludzi biegnących do schronów, ukrywających lęk przed nalotami, do których nigdy w końcu nie doszło.

Znaleźli właściwe skrzyżowanie i z trudem odczytali nazwę ulicy. Natalia nachyliła się, żeby dostrzec numer na furtce.

— To jest numer czwarty — powiedziała. — Idziemy do numeru czterdziestego drugiego. Liczcie domy.

W końcu, jak im się wydawało, dotarli do właściwej posesji. David otworzył furtkę i podszedł alejką do drzwi. Otworzyła mu chuda, wymęczona kobieta w lokówkach; zza jej pleców dochodziły dziecinne głosy. Kobieta wlepiła w niego wzrok.

— Słucham?

Hasło było takie samo jak to, którego użyli w domu Brocków, Aztek, ale David wyczuł, że to nie ten dom.

— Szukam numeru czterdziestego drugiego — powiedział.

Kobieta zmarszczyła brwi.

— Dwa domy dalej.

David dotknął palcami kapelusza.

— Dziękuję.

— Cholerny smog. Przez pana wpada do środka — mruknęła i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Odchodząc, zobaczył, że w oknie od frontu rozchylają się firanki. Stojący za nimi mały chłopiec śledził go nieprzyjaznym wzrokiem.

Podeszli do drzwi dwa domy dalej. Tym razem otworzył im barczysty ciemnowłosy mężczyzna koło czterdziestki, w kamizelce i szelkach. Popatrzył pytająco na Davida.

— Pan O'Shea?

— To ja.

Jego irlandzki akcent przypomniiał Davidowi ojca.
— Aztek — powiedział, czując się trochę głupio.
— Wszyscy cali i zdrowi? — zapytał cicho mężczyzna.
— Tak. Cali i zdrowi.



O'Shea poprowadził ich wąskim korytarzem do zagraconego saloniku na tyłach domu. W kominku żarzyły się węgle. W rogu stał stary telewizor z małym ekranem; wyświetlali akurat program o nowej tamie, którą Włosi budowali w Etiopii. Przy stojącej na dużym stole maszynie do szycia siedziała ubrana w kwiecisty fartuch mała krępa kobieta z siwiejącymi czarnymi włosami. Kiedy wszyscy weszli, wstała.

— Trafili tu bezpiecznie — powiedział mężczyzna. — Pięcioro, tak jak mówili.

Kobieta uśmiechnęła się. Miała pomarszczoną życzliwą twarz o silnych rysach.

— Wszystko poszło dobrze? — zapytała. Ona także była Irlandką.

— Jak po maśle — odparł Ben. — Z wyjątkiem tej mgły.

Kobieta popatrzyła na Franka.

— To pan jest tym naukowcem?

Frank wpatrywał się w nią przez chwilę wytrzeszczonymi ze strachu oczyma, lecz coś w jej wyglądzie musiało dodać mu otuchy.

— Tak — odpowiedział spokojnie.

Pani O'Shea spojrzała na pozostałych.

— Który z was nazywa się Fitzgerald?

— To ja — odparł David, wysuwając się do przodu.

Kobieta podeszła i wzięła go za rękę. Przez chwilę obawiał się, że ma dla niego złe wiadomości.

— Pańska żona jest nadal bezpieczna, mój drogi — powiedziała. — Po prostu chciałam, żebyś wiedział: wszystko u niej w porządku.

David wypuścił powietrze z płuc.

— Dziękuję pani. Czy ona tu... przyjedzie? — Zdał sobie nagle sprawę, że trochę przeraża go ta perspektywa.

— Nie, uznaliśmy, że bezpieczniej będzie wywieźć ją od razu z Londynu. Spotkacie się później. Wszystkim się zajęto. Ale gdzie moje dobre maniery? Siadajcie wszyscy, proszę.

Zasiedli przy dużym stole. Pan O'Shea wyłączył telewizor, usiadł w zapadającym się fotelu, wyjął fajkę i zapalił, bacznie im się przyglądając.

— Co teraz będzie? — zapytała Natalia.

— Musicie tu kilka dni zostać — odparła pani O'Shea. — Potem pojedziecie na południowe wybrzeże, prawdopodobnie pociągiem. Musimy poczekać, aż skończy się mgła, jest za gęsta, żeby się bezpiecznie poruszać, a poza tym są problemy z rozkładem jazdy pociągów.

— Pracuję na dworcu towarowym — powiedział jej mąż. — W ten weekend przygotowywali jakiś duży transport do Portsmouth. Naszym zdaniem, dlatego nie dopuszczono do strajku. Ale cokolwiek planują, będą musieli to odwołać z powodu mgły.

— Uważamy, że mają zamiar wywieźć Żydów na Wight — dodała pani O'Shea i wygładziła spracowanymi dłońmi swój fartuch. — Przekazać ich Niemcom. To straszne.

David był wstrząśnięty.

— Tak szybko? — zapytał.

Pan O'Shea pokiwał głową w obłoku dymu z fajki.

— Chyba tak. Powinniśmy się tego spodziewać. Wiemy, że armia od miesięcy zamawiała spore ilości drutu kolczastego. Oczywiście, żeby budować obozy koncentracyjne. A kiedy w zeszłą niedzielę wszystkich Żydów zabrano z domów, odbyło się to tak szybko i gładko, że większość ludzi nawet tego nie zauważyła. Dowiedzieliśmy się dzisiaj, że to samo dzieje się z francuskimi Żydami. Och, te diabły planowały to od dłuższego czasu.

Przez chwilę trwała cisza.

— Tak czy owak, wywiezienie was stąd będzie trochę bardziej skomplikowane, niż myśleliśmy — podjął pan O'Shea. — A będąc u nas, nie możecie, niestety, wychylać nosa za drzwi. Tworzycie zbyt dużą grupę, żeby wziąć was za zwykłych gości. Ludzie są tutaj bardzo wścibscy.

— Przywykliśmy do tego, prawda, Frank? — mruknął Ben.

— Przez pomyłkę zapukaliśmy do drzwi innego domu — powiedziała Natalia. — Dwa domy stąd, to musiał być numer trzydziesty ósmy.

Państwo O'Shea wymienili między sobą zaniepokojone spojrzenia.

— Z kim rozmawialiście? — zapytał pan O'Shea.

— Z kobietą — odparł David. — Był tam też mały chłopiec, który gapił się przez okno. Nie podałem hasła, zapytałem tylko o numer czterdziesty drugi. Zamknęła mi drzwi przed nosem. Narzekała, że przeze mnie mgła wpada do środka.

— To Sperrinowie — rzekła pani O'Shea. — On działa w Koalicyjnej Partii Pracy. Ma przyjaciół wśród Czarnych Koszul. Widziała was wszystkich? —

zapytała po chwili.

— Nie sędzę. Mgła jest tak gęsta, że widziała chyba tylko mnie.

— Spotkamy się jutro w sklepie. Powiem jej, że we mgle skręciliście w złą ulicę, że szukaliście numeru czterdziestego drugiego na Majuba Street. — Pani O'Shea wstała od stołu. — Zrobię wam coś do jedzenia.

— Pomogę pani — powiedziała Natalia i wyszła wraz z nią do kuchni.

Pan O'Shea spojrzął na Davida.

— Bert Sperrin był ze mną w dawnej Partii Pracy — wyjaśnił. — Kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym doszło do rozłamu, ja zostałem z Attlee, a on odszedł wraz z innymi. Zawsze był zwolennikiem imperium. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, możecie w to uwierzyć? — dodał, wydymając wargi. — Zna moje poglądy, więc musimy na niego uważać.

— Przepraszam.

O'Shea przez chwilę nie odpowiadał, pykając z fajki. W końcu znowu spojrzął na Davida.

— Fitzgerald to irlandzkie nazwisko.

— Tak, mój ojciec pochodził z Dublina.

— Ale pan wychował się w Anglii?

— Tak. Tato miał irlandzki akcent. Jest teraz w Nowej Zelandii.

Pan O'Shea westchnął.

— No cóż, Irlandczycy nie mają łatwego życia w republice De Valery. Chyba że są proniemieckimi katolikami jak on i jego przyjaciele.

— Nigdy do nich nie należałem — powiedział David.

— Jasne — zgodził się pan O'Shea. — Po pana wymowie widać, że uczył się pan w jakiejś angielskiej szkole publicznej.

— Właściwie w grammar school.

— No tak...

— Ma pan dzieci? — zapytał Geoff, wskazując leżące pod stołem pudło z komiksami.

— Eamonna i Lucy. Jedenaście i dwanaście lat — odparł łagodniejszym tonem pan O'Shea. — Wysłaliśmy ich do ciotki. Maluchy mają wielkie uszy, a nawet w niższych klasach bez przerwy trąbią o zagrożeniu terrorystycznym. No i bez przerwy uczą ich o chwalebnej angielskiej historii — dodał z goryczą. — O Anglikach, którzy nieśli wszędzie cywilizację, nawet do Irlandii. Odkąd ministrem oświaty mianowali tego sympatyka faszystów sir Arthura Bryanta, program nauczania historii stał się jeszcze bardziej nacjonalistyczny i imperialistyczny. — O'Shea przyjrzał się z zaciekawieniem Frankowi. — Więc to pan jest tym facetem, na którym wszystkim tak zależy.

Frank skulił się na krześle.

— Nie mogę o tym nic mówić — odparł. — Nie wolno mi.

— Nie uwierzyłby pan, ile trudu sobie zadano, żeby wyekspediować pana z kraju.

— Zostaw go w spokoju, chłopie — odezwał się stanowczym tonem Ben.

— Czy nie jest niebezpieczny? — zapytał bez ogródek pan O'Shea. — Słyszałem, że zamknęli go w domu wariatów.

— Nie jest niebezpieczny.

— Nie czuję się zbyt dobrze, Ben — oświadczył Frank. — Zaschło mi w ustach i wali mi serce.

— Powinieneś chyba wziąć swoją tabletkę, Frank. Przyniosę ci szklanekę wody.

Frank spojrział na pana O'Shea.

— Nie chcę jej brać w obecności wszystkich — powiedział wyzywającym tonem.

Pani O'Shea zajrzała do nich z kuchni.

— Czy jest tu jakaś ubikacja, do której mógłbym go zabrać? — zapytał Ben.

— Oczywiście. A skoro już o tym mowa, pokażę wam, gdzie będziecie spać. — Pani O'Shea uśmiechnęła się do Franka. — Biedactwo.



Na piętrze były trzy małe sypialnie. W jednej z nich spali państwo O'Shea, w pozostałych dwóch rozłożono materace i odsunięto pod ścianę dziecięce łóżka. Jeden pokój był przeznaczony dla Franka i Bena, drugi dla Davida i Geoffa. Natalia miała spać na dole. Podobnie jak u Brocków, zamierzali pełnić nocne warty, choć według pani O'Shea we mgle i tak niewiele można było zobaczyć. W wiadomościach telewizyjnych, które obejrzeli po zejściu do salonu, pokazywano zamykane kina i teatry, autobusy, które jeździły prowadzone przez policjantów z latarniami, a także ludzi stojących w kolejkach przed londyńskimi aptekami, żeby kupić maski na nos i usta. Dwie kobiety napadnięto i obrabowano we mgle. Nic nie zapowiadało, żeby sytuacja miała rychło ulec zmianie. Zalecano, żeby ludzie z problemami oddechowymi nie wychodzili z domów.

Natalia i pani O'Shea przyniosły jedzenie i wszyscy usiedli przy stole. Frank był senny i prawie się nie odzywał. Natalia podziękowała państwu O'Shea w imieniu ich wszystkich.

— Wiemy, na co się dla nas narażacie — powiedziała.

— Mów mi Eileen — odparła pani O'Shea. — On ma na imię Sean. — Jej mąż skinął głową. — Jutro wyjdę zrobić zakupy, a potem spotkam się z moim

łącznikiem, żeby zasięgnąć języka. Powiem, żeby przekazali pańskiej żonie — dodała, patrząc na Davida — że jest pan bezpieczny.

— Dziękuję.

— Sean wyjdzie wczesnym rankiem do pracy. Mnie może przez jakiś czas nie być. Sądząc po tym, co widzimy, nie będzie łatwo się poruszać nawet w świetle dnia. Pamiętajcie, że nie wolno wam wychodzić, nikomu — powiedziała pani O'Shea, mierząc każdego z nich stalowym spojrzeniem błękitnych oczu.

— Będziemy siedzieli w domu — zapewniła ją Natalia.

Geoff ponownie zakaszłał.

— Mogłaby pani kupić mi jedną z tych masek, gdyby była pani w pobliżu apteki? Przepraszam, to brzmi niepoważnie...

— W żadnym wypadku. Na pewno postaram się panu kupić.

— Nawet we wnętrzu domu drapie mnie w gardle.

David przyjrzał się przyjacielowi. Wyglądał nienadzwyczajnie. Gorzkawy zapach smogu zaczynał przenikać do środka.

— Jak brzmi to określenie, którego używają Niemcy, kiedy likwidują bez śladu ludzi? — zapytał pan O'Shea.

— Noc i mgła — odparł Geoff. — *Nacht und Nebel*. Wzięli to z Wagnera.

— Jasne. Puszczają ciągle tego sukinsyna w radiu.

— Kiedy traficie do Ameryki, będziecie słuchali tylko rock and rolla — odezwała się rezolutnym tonem Eileen. David pokręcił głową; trudno było mu to sobie wyobrazić.

— Bastion kapitalizmu — mruknął z przekąsem Ben. — Ale kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one. Więc mówisz, że pracujesz na kolei? — zwrócił się do Seana.

— Odkąd tu przyjechałem w dwudziestym trzecim. Po irlandzkiej wojnie o niepodległość.

— Walczył pan w niej? — zapytał David.

Sean pokiwał głową.

— I w wojnie domowej. Pod rozkazami Michaela Collinsa. Pochodzę z chłopskiej rodziny z Wexford.

— Co myślisz o zaspokojeniu żądań płacowych kolejarzy? — zapytał Ben. — Nie sądziłem, że rząd ustąpi.

— Zaprosili przywódców związkowych i zaproponowali im dosyć, żeby ich kupić. Potrzebują ich, żeby przetransportować Żydów. W tak zwanym związku pełno jest prawicowców z Koalicyjnej Partii Pracy.

Ben pokiwał głową na znak, że się zgadza.

— Są cwani — powiedział. — Wiedzą, ile trzeba dać, żeby ludzie to zaakceptowali. Prawdziwe związki wyprowadziłyby ludzi na ulice, tak jak to się stało w przypadku dokerów w Liverpoolu. Ale robotnicy i tak w końcu zwyciężą, muszą zwyciężyć.

Sean spojrzał na niego z ukosa.

— To brzmi jak komunistyczna propaganda.

— Bo to prawda, chłopie.

Sean pokręcił głową.

— Wcale nie. Kolarze zawsze byli prawicowi. Zapomniałeś już o Jimmym Thomasie, który zdradził górników podczas strajku generalnego? — Sean wycelował w Bena cybuchem fajki. — Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, ilu związkowców popierało pokój w tysiąc dziewięćset czterdziestym i ilu nadal go popiera. Nawet teraz to niskie płace, a nie polityka była powodem, że zagrożono strajkiem na kolei.

— Związkowi mężowie zaufania powinni żądać więcej. Kolarze mogliby zablokować cały kraj.

— Wtedy zmilitaryzowaliby koleje.

— Mój mąż jest mężem zaufania od ponad dwudziestu lat — odezwała się ostrym tonem Eileen. — To coraz niebezpieczniejsza funkcja. Wystarczy, że pochwali ruch oporu w rozmowie z niewłaściwym facetem, a oskarżą go o podburzanie do buntu. Więc nie mów mu, że rewolucja jest na wyciągnięcie ręki — dodała, grożąc palcem Benowi.

— Ale na północy trwa ostra walka — zaprotestował tamten. — Ludzie demonstrują, naporzają się z policją, nie dają za wygraną. A strajk dokerów w Liverpoolu? A górnicy w Yorkshire, a drukarze w Szkocji?

— Na północy są zdesperowani — zauważył Geoff. — Płace spadły tam z powodu bezrobocia.

— Tam jest specyficzna sytuacja — zgodził się David. — Wszyscy wiedzą, że właściciele kopalni są w beznadziejnym położeniu, wszystkie te małe, nieefektywne firmy utrzymują się na powierzchni tylko dzięki obniżaniu płac...

— Płace spadają i tutaj — odparł Ben. — Chociaż ze swoją pensją urzędnika państwowego pewnie pan tego nie zauważył — dodał z przekąsem. — Ale to się wszystko zmieni, historia potoczy się nowym torem. Proniemieccy magnaci prasowi kontrolowali media jeszcze przed wojną... jeden z nich został teraz cholernym premierem... to samo dotyczy BBC i radia, ale nie mogą gnębić nas bez końca, prości ludzie...

— Masz na myśli proletariat — wtrąciła znużonym głosem Natalia.

— Zgadza się, proletariat. Klasę robotniczą. W końcu wygramy, podobnie jak Lenin wygrał w Rosji...

— Więc ty, Ben, chciałbyś, żeby Europa wyglądała tak jak kiedyś Rosja? — zapytała. — Z tymi wielkimi obozami pracy, które odkryli tam Niemcy?

— To Niemcy zbudowali te obozy i zaangażowali niemieckich aktorów, żeby udawali rosyjskich więźniów...

— Nie, nie masz racji — rzuciła Natalia. — Znam w wystarczającym stopniu rosyjski, żeby rozumieć, co mówili ci więźniowie. I widziałeś ich twarze na kronikach filmowych, byli zagłodzeni niemal na śmierć...

— No dobrze. Może Stalin poszedł za daleko, ale ludzie wyolbrzymiają jego zbrodnie. Chruszczow i Żukow chcą innej Rosji...

— Tu także opozycja jest coraz mocniejsza — stwierdził Sean. — Ale ten rząd ma nadal duże wsparcie, także ze strony robotników takich jak mój cholerny sąsiad. Beaverbrook ma za sobą swoją prasę. Oraz policję, wojsko i Niemców. Walka będzie cholernie długa i mam nadzieję, że kiedy dobiegnie końca, będziemy mieli coś nowego i lepszego. Nie to, co mają Rosjanie.

— Prawdopodobnie skończymy tak jak Ameryka — zawyrokował Geoff. — Chociaż wcale nie jestem pewien, czy to dobrze.

Frank wyprostował się na krześle.

— Nie spierajcie się tak między sobą — powiedział błagalnym tonem. — Proszę.

— Ucieliśmy sobie tylko krótką pogawędkę... — zapewnił go Ben.

— To z mojego powodu tu wszyscy jesteście. — Przy stole zapadła nagle cisza. — Jesteście dzielni, należycie do tych, którzy zdecydowali się walczyć. Powinniście trzymać się razem.



Po kolacji byli tak zmęczeni, że od razu poszli do łóżek. Geoff rozebrał się w sypialni, którą dzielił z Davidem, i przykrył się kołdrą.

— Dobrze się czujesz? — zapytał David.

— Przeżyję. — Geoff wskazał kubek z wodą, który przyniósł na górę. — Bardzo zasycha mi w gardle i bez przerwy piję. Obawiam się, że będę wstawał w nocy, aby się wysikać. Dziwne. Ta cholerna mgła szkodzi jednym bardziej niż drugim. Dobrze, że dostałeś wiadomość o Sarah — dodał z uśmiechem.

— Tak.

— Nie mogę przestać się martwić o rodziców. Choć Jackson powiedział, że przecież o niczym nie wiedzą i mają swoje koneksje.

— Nic im nie będzie.

— Co sądzisz o Franku?

— Nadal jest w marnym stanie, widać to po tym, co powiedział przy kolacji. Ale nie sądzę, żeby znów próbował uciekać. Obiecał mi. Wpadnę chyba teraz do niego, zanim zaśnie.

David zapukał do sąsiedniego pokoju. Ben rozebrał się do bielizny i układał schludnie swoje ubranie przy materacu. David zobaczył dużą okrągłą bliznę na jego muskularnym torsie i szereg długich szram na udach. Okrągła blizna wyglądała na ranę po kuli. Zdał sobie sprawę, jak mało wie o Benie, o tym, przez co przeszedł. Frank zdejmował właśnie koszulę, jego blade ciało było upiornie chude.

— Wszystko w porządku? — zapytał David.

— Tak jest — odparł pogodnym tonem Ben. — Nareszcie się wyśpimy.

— Strasznie chce mi się spać — potwierdził Frank. — Łyknąłem właśnie swoje tabletki.

— Wszyscy jesteśmy senni — powiedział Ben. — Ale jutro możemy odpocząć. Tak to już jest na wojnie, nie? Jednego dnia jest urwanie głowy, a nazajutrz trzeba siedzieć na tyłku i czekać. — Najwyraźniej lubił, kiedy coś się działo. — Jeśli chcesz, możemy jutro znowu zagrać w szachy — powiedział do Franka. — Możesz mnie znowu pokonać.

David życzył im obu dobrej nocy. Miał ochotę na papierosa. Nie chciał, żeby dym zaszkodził przyjacielowi — Geoff przez cały wieczór nie zapalił swojej fajki — i w związku z tym udał się na dół, do kuchni. Stała tam Natalia, spokojnie paląc papierosa. David ponownie poczuł do niej silny fizyczny pociąg.

Natalia skinęła mu głową i uśmiechnęła się.

— Właśnie wyjrzałam na zewnątrz — powiedziała. — Nic nie widać.

David zapalił papierosa i oparł się o krawędź kuchenki.

— Bezpieczniej dla nas wszystkich, jeśli nikt nas nie zobaczy.

— Zgadza się.

— Moim zdaniem miałaś rację w tej dyskusji z Benem na temat Sowietów.

— Ben to porządny facet, dba o Franka bardziej, niż to okazuje. Ale jest naiwny, jeśli idzie o Rosję. — Natalia ciężko westchnęła. — Potrzebuje pewnie czegoś, w co mógłby wierzyć. Podobnie jak my wszyscy, którzy zerwaliśmy z normalnym życiem.

— A ty w co wierzysz?

Natalia wypuściła z ust obłok dymu.

— W to, że pokonamy faszystów.

— Mam nadzieję, że ta mgła się utrzyma — powiedział. — Skoro to uniemożliwi im deportację Żydów na wyspę Wight. Niemcy wywieźliby ich później na Wschód, prawda?

— Tak. — Natalia spuściła wzrok. — Ale boję się, że mgła nie będzie trwała wiecznie.

— Nie mówiłaś chyba o mnie nikomu, Natalio? — zapytał David po krótkim wahaniu. — Że jestem pół-Żydem? Miałem wrażenie, że pani O'Shea dziwnie mi się przygląda...

Natalia nachmurzyła się.

— Nie, nic nie powiedziałam. Obiecałam ci. Powinieneś sam powiedzieć o tym naszym ludziom — dodała z powagą. — Wiesz, że jesteśmy wszyscy przeciwko temu, co się dzieje.

— Być może. Tyle że... tak długo trzymałem to w sekrecie.

— Wstydzisz się? — spytała. — Że jesteś pół-Żydem?

— W Europie nie ma już nikogo, kto byłby pół-Żydem, Natalio. Dobrze o tym wiesz. Albo jesteś Żydem, albo nie. Nie, nie wstydzę się tego, że jestem Żydem, choć nie mam pojęcia, jak to jest być Żydem i dlaczego to takie ważne, kim są twoi rodzice, dlaczego miałyby to cokolwiek znaczyć. Lecz teraz liczy się tylko narodowość i rasa.

— Wiem. W całej Europie.

— Wstydzę się tych wszystkich sekretów. Mimo że rodzice ukrywali prawdę, żeby pomóc mi stanąć na nogi. — David ze smutkiem się uśmiechnął. — Pewnie to wszystko przydało mi się w karierze szpiega.

Natalia pokiwała ze współczuciem głową.

— Wiesz, że boję się z nią spotkać — powiedział nagle. — Z moją żoną.

— Przez cały czas się o nią niepokoiłeś.

— Te wszystkie sekrety, które przed nią miałem. — David potrząsnął głową. — Tyle sekretów. Wiesz, że to nasze pierwsze dłuższe rozstanie od ślubu? Ale pod innymi względami już od lat nie byliśmy z sobą blisko. Naprawdę nie wiem, czy się z powrotem zbliżymy. Pozbawiłem ją domu, bezpieczeństwa; nie ma żadnego powodu, żeby mi znowu zaufała. Nie wiem, czy w ogóle będzie chciała spróbować. — Przygryzł wargę. — I czy ja tego chcę — dodał, spuszczac wzrok.

Natalia przysunęła się bliżej i położyła dłoń na jego ramieniu. Popatrzył na nią zdziwiony. Uśmiechnęła się lekko. Oddawała mu się, chciała tego. A on chciał się do niej przytulić, przytulić do jakiegokolwiek kobiety, ale zwłaszcza do niej, bardziej niż pragnął tego kiedykolwiek w życiu. Nagle otrząsnął się.

— Nie. Miałaś rację. Nie teraz.

Uśmiechnęła się ze smutkiem i odsunęła.

— Przykro mi — powiedział i odszedł w stronę schodów.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Po zabiciu policjanta Meg ruszyła szybko przodem w stronę stacji metra. Sarah nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła; przed oczyma wciąż miała krew i okruchy wazonu, który roztrzaskała na głowie policjanta. Ale facet wyciągał pistolet i zabiłby je wszystkie.

Potknęła się; Meg obejrzała się i zmierzyła ją wściekłym wzrokiem.

— Chodź szybciej — warknęła. — Zanim zgłoszą jego zaginięcie i w pościg za nami ruszy setka gliniarzy. Nie ściągaj na siebie uwagi, spróbuj zachowywać się normalnie. Ale pospiesz się.

Sarah usiłowała wziąć się w garść. Pomyślała, jak musiała się czuć Meg, chodząc w tę i z powrotem po ulicy, czekając, aż Irene w końcu sobie pójdzie, a potem widząc, jak do domu wchodzi policjant. Uśmiercenie z zimną krwią człowieka najwyraźniej nie zrobiło na niej wrażenia. Czy w ruchu oporu wszyscy byli tacy jak ona, tacy bezwzględni? Czy David też był taki pod spodem?

Na stacji Meg kupiła dwa bilety. Pociąg szybko przyjechał i wkrótce dotarli do śródmieścia. Wsiadły przy Piccadilly Circus.

— Udało nam się — oznajmiła z werwą Meg.

Kolejka opatulonych ciepło, podnieconych dzieci czekała wraz z rodzicami przed sklepem, nad którego drzwiami widniał wielki plakat: *Dziś po południu odwiedzi nas Święty Mikołaj!* Meg spojrzała na nich z dezaprobatą.

— Boże Narodzenie to czas, kiedy powinniśmy pamiętać o narodzinach naszego Zbawiciela — powiedziała.

Przeszły na drugą stronę ulicy. Ruch był spory, zaczynało się ściemniać. Sarah pomyślała o swoim domu i o leżącym w nim trupie. Meg poprowadziła ją przez labirynt uliczek, mijając małe kafejki, sklepy z egzotyczną żywnością, obskurne puby i lokale z zamalowanymi na czarno witrynami.

— Bezbożne miejsce — mruknęła gniewnie.

— Co takiego?

— Jaskinia szatana. Nikt już nie dba o moralność. Wszystko przez katolików.

— Jak to? — Sarah zaczęła podejrzewać, że Meg jest lekko stuknięta.

— Czarne Koszule. Naziści. Wszyscy są narzędziami w rękach papieża. To zaczęło się w Rzymie od Mussoliniego, nie pamiętasz? Spójrz na Włochy, Hiszpanię albo Francję. Katolicy idą ręką w rękę z faszystami. Tak naprawdę to oni wszystkim rządzą.

— Wiem, że Kościół katolicki kolaboruje, ale z pewnością to nie oni są u steru...

— Podkopują protestancką moralność, oto, co robią. Uczyłam w szkole średniej, widziałam to, widziałam tych chłopaków paradujących w mundurach Czarnych Koszul, pyskujących nauczycielom i nieponoszącym za to żadnej kary... Dlatego odeszłam.

Meg stanęła nagle w miejscu tak niespodziewanie, że Sarah o mało na nią nie wpadła, po czym skręciła w zapuszczoną boczną alejkę. Zadzwoiła do drzwi, z których schodziła zielona farba, i uśmiechnęła się do Sarah.

— Mam nadzieję, że niełatwo tobą wstrząsnąć — powiedziała.

Za drzwiami usłyszały kroki i otworzyła im ubrana w zielony golf, wysoka młoda kobieta z olśniewającymi rudymi włosami. Spojrzała na Meg, która skinęła jej sztywno głową.

— Ach, to ty — mruknęła bez entuzjazmu kobieta.

Meg wskazała podbródkiem Sarah.

— Przyprowadziłam ją — oświadczyła.

Kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie do Sarah.

— Witaj. Jestem Dilys. Wejdz.

Zaprowadziła je obok korytarzykiem, a potem w górę po schodach do czegoś w rodzaju poczekalni. Przy ścianach stały tam drewniane krzesła. Na jednym z nich siedział postawny mężczyzna koło pięćdziesiątki w ciemnym płaszczu z aksamitnym kołnierzem. Jego melonik i parasol leżały na sąsiednim krześle. Na ich widok wstał i wyciągnął rękę do Sarah. Uśmiechał się, ale oczy miał chłodne i twarde.

— Nazywam się Jackson — powiedział. — Pani Fitzgerald?

— Tak.

— Nie obyło się bez kłopotów — oznajmiła bez ogródek Meg. — Przyszła do niej siostra i musiałam całe wieki chodzić w tę i z powrotem ulicą. A potem pojawił się gliniarz. Musiałam się go pozbyć. Ona walnęła go w łeb. Ja go zastrzeliłam.

Jackson zmarszczył czoło.

— To im się nie spodoba. Ponieważ zginął jeden z nich, podwoją wysiłki.

— Mógł mnie zidentyfikować. I jej siostrę.

Sarah zachwiała się. Przez sekundę myślała, że zemdleje.

— Przepraszam — powiedziała, kiedy Dilys pomogła jej usiąść. — Po prostu nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam.

— To jest wojna, moja droga, lepiej do tego przywyknij — poradziła jej twardo Meg.

Jackson rzucił jej gniewne spojrzenie.

— Bądź tak uprzejma, Dilys, i daj nam po filiżance herbaty, dobrze? — rzucił przez ramię. Dilys, która piorunowała wzrokiem Meg, wyszła z pokoju.

— Co to za miejsce? — zapytała Sarah.

— Burdel — odparł rzeczowym tonem Jackson. — Tu obecna Meg nie pochwała tego, ale burdele też czasem się przydają — dodał, ponownie się uśmiechając, zdaniem Sarah protekcjonalnie. — Rozumiem, że to wszystko jest dla pani szokiem.

— Proszę, czy pan wie, gdzie jest mój mąż? Strasznie się niepokoję...

— Jest bezpieczny. U naszych ludzi. Podobnie jak Geoff Drax. Dołączą do pani później.

— Proszę, musi mi pan powiedzieć...

— Ja niczego nie muszę, pani Fitzgerald — odparł twardo Jackson. — Uczyniliśmy bardzo wiele, żeby panią uratować, a Meg, zgodnie z tym, co mówi, ryzykowała życie.

— Od jak dawna David dla was pracuje? Może mi pan chociaż to powiedzieć?

— Od dość dawna. Pani mąż jest dobrym człowiekiem. Wyrwałem i godnym zaufania. Pomagał nam, przekazując informacje ze swojego ministerstwa. Niestety, coś poszło nie tak i groziło mu zdemaskowanie. Na szczęście udało mu się uciec.

— Nic nie wiedziałam — oznajmiła Sarah. — Przesłuchiwali mnie Niemcy. W Senate House. Ale nie miałam im nic do powiedzenia.

Jackson i Meg wymienili między sobą zaniepokojone spojrzenia.

— Pytali panią o męża? — zapytał Jackson, pochylając się do przodu.

— Tak. Ale ja o niczym nie wiedziałam.

— Czy przesłuchując panią, wymienili nazwisko Franka Muncastera?

— Franka? — Sarah zmarszczyła brwi. — Owszem, zrobili to. Nie wyjaśnili dlaczego.

— Co im pani powiedziała?

— Że nigdy go nie spotkałam. David dostawał od niego kartki na Boże Narodzenie i czasami listy. Wiem tylko, że Frank przyjaźnił się z Davidem w Oksfordzie i miał chyba jakieś problemy ze zdrowiem psychicznym. David jakby się nim opiekował. Czy Frank też jest w ruchu oporu? Niemcy twierdzili, że Geoff Drax też do was należy.

Jackson odetchnął z ulgą.

— Owszem, Drax jest jednym z nas — powiedział z uśmiechem. — Przykro mi, że została pani w to wplątana. Ale szcycimy się tym, że ratujemy rodziny naszych agentów. Słyszałem, że jest pani pacyfistką — dodał, nadal się uśmiechając. — Pewnie nas pani nie akceptuje.

— Nigdy nie wierzyłam w przemoc. Lecz teraz, kiedy się weźmie pod uwagę, co się dzieje, pewne rzeczy, które widziałam... — Sarah potrząsnęła głową.

— No cóż, ostatnie wydarzenia napawają optymizmem. Adlai Stevenson wygłosił właśnie przemówienie, w którym zapowiedział, że Stany Zjednoczone będą handlować z Rosją. A nowa rosyjska ofensywa sprawiła, że Niemcy cofają się na całej długości frontu. Tej zimy mogą przejąć kilka miast.

— Tyle przelanej krwi — westchnęła Sarah.

— Któregoś dnia to się skończy. Pani mąż jest jednym z urzędników służby cywilnej, którzy, mam nadzieję, przejmą rządy nad tym państwem, będą trzymali czerwonych w cuglach. A także katolików, prawda, Meg?

Meg zjeżyła się.

— Wiem, że, pana zdaniem, to są żarty...

Jackson lodowato się uśmiechnął. Sarah raczej go nie polubiła. A Meg była najwyraźniej protestancką fanatyczką.

Dilys wróciła do nich z tacą. Jackson zatarł ręce.

— Ach tak, herbata. Nie ma herbatników, ale trudno. — Wziął filiżankę i podał Sarah. — A zatem pani Fitzgerald — zaczął z powagą — oto, jaki mamy plan. Dilys ufarbuje pani włosy i zmieni fryzurę, da także nowe ubranie. Policja będzie pani szukała, rozumie pani. A potem wyślemy panią na południowe wybrzeże.

— Południowe wybrzeże? Dlaczego?

— Bo tam uda się wkrótce pani mąż. Mam nadzieję, że wyślemy panią już jutro, chociaż w tym tygodniu pociągi chodzą dość nieregularnie. Likwidujemy ten lokal. Dilys jutro się stąd wynosi. Damy pani nowy dowód tożsamości i legendę: jest pani wdową, jedzie na południe, żeby trochę odpocząć. Zatrzyma się pani u naszych ludzi. Wszystko jest jasne?

— Tak.

— Czy dość łatwo zapamiętuje pani różne rzeczy?

— Tak. Ale kiedy przyjdzie mój mąż?

— Mamy nadzieję, że w ciągu kilku dni. Wtedy planujemy wyekspediować was wszystkich z kraju. W tym momencie nie mogę pani powiedzieć nic więcej, pani Fitzgerald — dodał Jackson i znów protekcyjnie się uśmiechnął. — Musi nam pani zaufać.



Wkrótce potem Meg i Jackson wyszli. Dilys zabrała Sarah do pokoju ze schodzącą ze ścian tapetą i dużym, brudnym nieposłanym łóżkiem i posadziła przy toalecie. Sarah skrzywiła się lekko, uświadamiając sobie, że znalazła się w pokoju prostytutki, lecz Dilys była do niej przyjaźnie nastawiona i po Meg stanowiło to miłą odmianę.

— Najpierw przytnę ci włosy, a potem je ufarbuję, moja droga — powiedziała, zakładając jej na ramiona fryzjerską pelerynkę. — Będiesz teraz ruda.

Sarah uśmiechnęła się dzielnie do swojego odbicia.

— Moje życie i tak przewróciło się do góry nogami. Inny kolor włosów nie będzie miał chyba większego znaczenia — odparła.

Siedziała bez ruchu, kiedy Dilys przycięła jej szybko i sprawnie włosy. Przyszło jej do głowy, że kobieta była kiedyś fryzjerką.

— Poznałam pani męża, wie pani? — odezwała się w pewnej chwili Dilys. — Ostrożnie, moja droga, niech pani nie rusza głową. Pan Jackson spotykał się ze swoimi urzędnikami w pokoju na górze. A pani mąż przyszedł tutaj wczoraj po tym, jak zwiął. Miły z niego facet, prawda? I przystojny. Lubię mężczyzn z ciemnymi włosami. Zapytałam, czy w jego żyłach nie płynie przypadkiem maltańska krew.

— Jest Irlandczykiem. Mimo że nie poznałaby pani tego po jego akcencie.

— Ma miły głos. Podobnie jak pan Jackson, ale nie jest taki pompatyczny. Obie się roześmiały.

— Zatem musi się pani wyprowadzić — rzekła Sarah.

— Musimy czasami szybko zmieniać miejsce zamieszkania. Będzie mi brakowało kobiety, która mieszkała tu obok. Pochodzi ze wschodniej Europy, jest bardzo mądra. Jest malarką i trochę martwiło ją, że będzie musiała zostawić swoje obrazy. Zachowałam dwa, na wypadek gdybyśmy się jeszcze kiedyś spotkały. Jeden z nich wisi tu, na ścianie. Wiem, że bardzo go lubiła.

Sarah zobaczyła w lustrze obraz, na którym widać było śnieg i góry, a na pierwszym planie poległych żołnierzy: zbryzgane krwią szare postaci.

— Więc ta kobieta też знаła Davida — powiedziała. Tyle było osób, o których nie miała pojęcia.

— Tak — potwierdziła Dilys i posłała jej krzepiący uśmiech. — Ale nie martw się, moja droga, twój mąż należy do tych lojalnych, widać to po nim.

Należy do tych lojalnych, pomyślała Sarah. A Jackson nazwał go godnym zaufania. Nie zdawali sobie sprawy z ironii tych słów, choć przecież wszyscy musieli wiedzieć, że od lat ją okłamywał.

Rozdział czterdziesty drugi

Gunther stał w szlafroku w oknie swojego mieszkania i wpatrywał się we mgłę. Była straszna, lepka i trująca; pojawiła się w środku dnia i robiła się coraz gęstsza. Wracając z piekącym gardłem z ambasady, musiał macać przed sobą rękoma, podobnie jak tysiące innych snujących się niczym zjawy postaci, które błądziły ciemnymi ulicami. Obejrzał właśnie w telewizji prognozę pogody: mgła miała się utrzymywać. Jakiś ekspert mówił coś o wysokich prądach ciepłego powietrza, które uwięziły pod spodem zimne. Wszystko było spowodowane przez miliony pieców węglowych w dolinie Tamizy. To dodatkowo utrudni nam zadanie, pomyślał.

Odwrócił się od okna, czując przenikające go do szpiku kości zmęczenie i poczucie klęski. W ambasadzie Gessler był bladym cieniem samego siebie. Gunther dostrzegł parę razy, jak wpatrywał się pustym wzrokiem w ścianę, pogrążony w apatii. Można było w nią wpaść po wydarzeniach ubiegłego tygodnia. Minęło pięć dni i pięć nocy, odkąd porwano Muncastera ze szpitala, i nadal nie trafili na żaden trop. Każda informacja okazywała się ślepą uliczką.



W poniedziałek, gdy dowiedzieli się o porwaniu Muncastera, Gessler zachowywał się zupełnie inaczej. Spanikowany wściekał się i szalał. Za to Gunther nie tracił spokoju, który często ogarniał go w kryzysowych sytuacjach, chociaż w głębi duszy miał wrażenie, że zapada się w głąb, jedzie w dół rozpędzoną windą.

— Teraz to jest obława, nie śledztwo — oświadczył Gessler, kiedy trochę ochłonął. — Dlaczego nie wyciągnęliśmy Muncastera wcześniej?! To nie moja wina, nie można mnie o to winić.

— Musimy się skupić, żeby go odnaleźć, Herr Standartenführer.

Gessler zmierzył go gniewnym spojrzeniem.

— Wiesz, że winę zwałą na mnie i na ciebie. Jeśli zdoła uciec, rozstrzelają nas. Zostaniemy kozłami ofiarnymi, bo Berlinowi nie udało się go wyciągnąć.

Bardziej prawdopodobne, że wyślą nas obu na jakąś niebezpieczną placówkę na Wschodzie, pomyślał Gunther. W gruncie rzeczy tego właśnie zawsze pragnął: to byłby honorowy koniec jego samotnego życia, choć teraz coś w nim się przeciwko temu buntowało. Zależało mu bardzo na tym, żeby znaleźć Muncastera, zakończyć tę misję sukcesem.

— Jeśli mamy zamiar odnaleźć Muncastera i tych, którzy go porwali, będziemy musieli wciągnąć w to głębiej Wydział Specjalny — powiedział. — Pozwolić, żeby aresztowali wszystkich szpiegów w służbie cywilnej.

— Wiem. Rozmawiałem o tym z Berlinem. — Gessler zmierzył go ostrym spojrzeniem. — Będę musiał im opowiedzieć o wpadce w domu Fitzgeralda.

W sobotę po południu Gunther dowiedział się, że esesman w cywilnym ubraniu włamał się do starego schronu przeciwlotniczego, a potem przez długie godziny obserwował przez lornetkę dom Fitzgeraldów. Ponieważ nikt nie wchodził i nie wychodził, a po zapadnięciu zmroku nie zapaliło się światło, doszedł do wniosku, że nikogo tam nie ma. Potem podjechał samochód policyjny i jacyś mężczyźni weszli do domu, a następnie obeszlą go dokoła. Esesman pobiegł tam i zapukał do drzwi. Otworzył mu wściekły policjant. Na podłodze leżał jego martwy kolega. Sarah Fitzgerald zniknęła jeszcze przed pojawieniem się ich człowieka.

— Spędziłem wczoraj kilka godzin przy telefonie — powiedział Gessler. — Nie mogłem połączyć się z odpowiednimi ludźmi, nikt nie był dostępny, całe kierownictwo było na różnych zebraniach. Dzieją się tam ważne rzeczy, ale my nie możemy na to nic poradzić. Kolejne zmarnowane godziny. — Gessler wyprostował się na krześle. — Potwierdzili, że od tej chwili mamy w pełni współpracować z brytyjskim Wydziałem Specjalnym. Nie wiem dokładnie, jakiego rodzaju informacjami dysponuje Muncaster, dano mi tylko ogólnie do zrozumienia, czego mogą dotyczyć. Jeśli przejmie je brytyjska policja, Berlin załatwi to bezpośrednio z Beaverbrookiem. — Gessler wzruszył ramionami. — I zapomnij, co mówiłem o wyeliminowaniu Syme'a, w razie gdyby dowiedział się czegoś od Muncastera. Powiedziałem już: pełna współpraca. Wydział poproszono o nasilenie działań mających na celu ujęcie Muncastera. Ma być zarządzona ogólnokrajowa obława. Ty i Syme zajmiecie się jego powiązaniem z Fitzgeraldem. Dziś wieczorem Hubbard, Dabb oraz ta kobieta, Bennett, zostaną aresztowani i przewiezieni tu, do Senate House. Ty i Syme przesłuchacie ich, a następnie zgarniecie wszystkie osoby związane z Fitzgeraldem i Draxem. Wszystkie.

— Nasi wrogowie są szczeniaki. To bolszewicy i Żydzi — kontynuował gniewnie Gessler. — Zawsze o tym wiedzieliśmy, zdawaliśmy sobie sprawę, jak

trudna czeka nas walka. Żydzi mieli zostać dzisiaj przewiezieni na wyspę Wight, ale przeszkodziła temu ta cholerna mgła.

— Mgła długo się nie utrzyma, Herr Standartenführer. I zwyciężymy — zapewnił go Gunther.

Czuł ulgę, że nie będzie musiał zabijać Syme'a, ale coraz bardziej wątpił w sukces tej misji. I obawiał się tego, co działo się w Niemczech. To go zżerało, podkopywało siły.



Spotykając się w niedzielę w swoim gabinecie z Syme'em, myślał, że Anglik będzie się puszył i triumfował. W końcu to jego wydział przejął dowodzenie. Tak się jednak nie stało. Syme był wściekły. Bolał nad tym, że Muncasterowi udało się uciec, że „ten cholerny ruch oporu zaliczył punkt na swoją korzyść”. I że zginął przy tym policjant, jeden z jego kolegów. Gunther świetnie to rozumiał.

— Dorwiemy tego pieprzonego świra — oświadczył ze złością Syme.

— Cieszę się, że tak do tego podchodzisz.

Syme zmierzył go twardym spojrzeniem.

— Powinniście byli zgarnąć Muncastera wcześniej.

— Wiem. Wyłoniły się najróżniejsze polityczne komplikacje.

— Ustaliliśmy chyba tożsamość pielęgniarza, który zniknął razem z Muncasterem. To szkocki komunista, ścigaliśmy go od lat. Kiedy na północy ziemia zaczęła mu się palić pod stopami, dali mu nową tożsamość i nowy zawód. Pracował w tym szpitalu psychiatrycznym już wcześniej i wykorzystali go przy porwaniu Muncastera. Ten szkocki sukinsyn ma na sumieniu takie rzeczy... — Syme pokręcił głową. — I to jeszcze zanim zaangażował się politycznie. Nie uwierzyłbyś, jakich drani werbuje ruch oporu. Wydaje się prawdopodobne, że Fitzgerald i Drax pracowali już wcześniej jako agenci i zostali w to wciągnięci, bo znali Muncastera.

— To całkiem logiczne.

— Z teczki osobowej Fitzgeralda wynika, że ma jakiegoś starego wuja w Northampton. Chętnie zatrzymałbym również jego ojca, ale jest poza naszym zasięgiem. Powiedziano mi, że ludzie z Ministerstwa do spraw Dominiów, z którymi rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu, zostaną tu przewiezieni i jutro wspólnie ich przesłuchamy. Nastraszymy ich trochę.

— Pozwolisz, żebym to ja prowadził przesłuchanie? — zapytał grzecznie Gunther. Obawiał się, że Syme potraktuje ich zbyt brutalnie, zwłaszcza kobietę.

Anglik ponuro się uśmiechnął.
— W porządku.



Na pierwszy ogień poszedł stary Dabb, kierownik archiwum. Jeden z młodszych esesmanów przyprowadził go do pokoju, w którym Gunther przesłuchiwał wcześniej Sarah. Dabb był przerażony, pocił się tak obficie, że Gunther bał się, że dostanie ataku.

— Proszę — zaczął, błagalnie na nich patrząc. — Jestem tylko zwykłym urzędnikiem. Nikim ważnym. Nic nie wiem. Nie mam żadnych poglądów politycznych. W służbie cywilnej nie powinno się mieć poglądów politycznych. Ten Fitzgerald nie miał ze mną nic wspólnego. To jeden z protegowanych Archiego Hubbolda — dodał zjadliwie.

— A panna Bennett? — zapytał Gunther.

Dabb stracił nagle nad sobą panowanie i zaczął miotać obelgi.

— Pierdolona zdradziecka dziwka! Biegała za Fitzgeraldem jak suka w rui! Nie myślcie, że ją do tego zachęcałem, wprost przeciwnie, zawsze miałem na nich oko...

— Wygląda na to, że nie był pan wystarczająco czujny, skoro Fitzgerald uzyskał dostęp do tajnej kancelarii.

W tym momencie Dabb kompletnie się załamał.

— Robiłem, co w mojej mocy. Całe życie próbowałem jak najlepiej wykonywać swoje obowiązki. Jak najlepiej...

Gunther zdał sobie wkrótce sprawę, że nic już nie wydobędzie z tego żalostnego ramola, który w dodatku w ogóle nie słyszał o Muncasterze. Odesłano go do jego celi i przyprowadzono Hubbolda. W przeciwieństwie do swojego kolegi wszedł do pokoju przesłuchań całkiem spokojnie, usiadł na krześle i wpatrywał się w Gunthera i Syme'a z miną urażonej niewinności. Facet ma tupet, pomyślał Gunther, tupet wynikający z głupoty. Nie miał pojęcia, co mogliby z nim zrobić, gdyby chcieli. Za grubymi szklami okularów jego oczy poruszały się niczym ciężkie ryby.

— Słyszał pan kiedyś nazwisko Frank Muncaster? — zapytał łagodnym tonem Gunther.

Hubbold zmarszczył brwi, zastanawiał się przez minutę i w końcu pokręcił głową.

— Nikt taki nie pracuje w Ministerstwie do spraw Dominiów — powiedział i zacisnął wargi. — Czy to kolejny zdrajca, w jakimś innym ministerstwie?

— Czy Fitzgerald nigdy nie wymieniał przy panu tego nazwiska?

Hubbold znowu zaczął się zastanawiać.

— Nigdy.

— Stary Dabb powiedział nam, że Fitzgerald był jednym z pańskich protegowanych — oświadczył z uśmiechem Syme.

— Owszem, lubiłem Fitzgeralda — potwierdził Hubbold pompatycznym i smutnym tonem. — Ściągnąłem go do siebie, poszerzyłem zakres jego obowiązków. Robił wrażenie sumiennego i lojalnego urzędnika. I niegłupiego. Brakowało mu ambicji, ale mądrzy ludzie często tak mają.

— Brzmi to tak, jakby miał pan do niego prawie ojcowski stosunek.

Hubbold zasepił się.

— Tak mi się wydawało. Ufałem mu.

— Wiedział pan o przyjaźni łączącej go z Carol Bennett?

— Plotkowało się o tym w biurze. Ale ja nie zwracam uwagi na plotki. Ceniłem Fitzgeralda za jego pracę — dodał ciężko.

— Wyręczał pana w wielu sprawach, prawda? — zapytał Syme.

— Był bardzo pracowity.

— I nigdy nie przyszło panu do głowy, że może być szpiegiem? — zapytał Gunther.

— Nie. Dlaczego miałbym tak myśleć? — Hubbold zacisnął wargi, pogładził dłonią siwe włosy i pochylił się do przodu. — Urzędnik służby cywilnej, który zdradza swojego ministra, to najgorszy rodzaj zdrajcy — rzekł drżącym z gniewu głosem. — Zrobię wszystko, żeby wam pomóc.

Następnie opowiedział im wszystko, co wiedział o pracy Davida, o jego codziennych zajęciach i biurowych przyjęciach, w których urzędnicy uczestniczyli wraz z żonami. Były to wszystko rzeczy bez znaczenia; Fitzgerald całkowicie omotał Hubbolda. Gunther zastanawiał się, czy stary urzędnik zdaje sobie sprawę, że jego kariera jest już skończona, że czeka go w najlepszym razie wcześniejsza emerytura. Mogli oczywiście potraktować go o wiele surowiej, Gessler chętnie by to zrobił z czystej frustracji, ale jaki byłby tego sens?

— Myślę, że to na razie wszystko — rzekł, kiedy upewnił się, że Hubbold wyjawiał im wszystko, co wiedział. — Zgodzisz się, Williamie?

Syme pokiwał ze znużeniem głową.

Hubbold zmarszczył czoło.

— Chciałbym zrobić wszystko, żeby wam pomóc — oznajmił.

— Wiem.

— Fitzgerald zdradził nie tylko swoje ministerstwo, ale mnie osobiście. To boli najbardziej — oświadczył Hubbold. — Szczerze mówiąc, nie zawsze pochwalam to, co robi mój rząd. Ale to mój rząd. To, co zrobił Fitzgerald... jego

zdrada urzędniczego etosu... jest po prostu niewybaczalna. — Mówiąc to, zacisnął gniewnie pięści.

Najwyraźniej pałał żądzą zemsty; Gunthera to nie interesowało.

— Dziękuję, panie Hubbard. Żegnam pana — powiedział, odprowadzając go. Hubbard stracił nagle całą pewność siebie.

— Czy mogę... czy mogę jutro iść do pracy?

Syme posłał mu swój wilczy uśmiech.

— Nie, chłopie. Wątpię, żebyś tam jeszcze kiedykolwiek trafił. Siedz w domu. Wydział Specjalny jeszcze się do ciebie zgłosi.

Hubbold zrobił zbolaną minę. W końcu to do niego dotarło.



Esesman, który wyprowadził Hubbolda, przekazał Syme'owi karteczkę z wiadomością. Ten podał ją Guntherowi. Funkcjonariusz Wydziału Specjalnego pojechał do Northampton, żeby pogadać z wujem Fitzgeralda. Wuj okazał się zrzedliwym osiemdziesięciolatkiem, który nie potrafił nic powiedzieć o swoim bratanku. Oświadczył, że David i jego żona mają muchy w nosie, a David zapomniał o swoich irlandzkich korzeniach. Następnie zaczął psioczyć na Anglików. Notatka kończyła się słowami: „Udzielono reprimendy”. Syme roześmiał się.

— Innymi słowy, nasz człowiek mu przyłożył. To nie ma chyba znaczenia?

— Nie chcemy zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi. Proszę, żebyście w przyszłości byli bardziej oględni. A teraz zajmijmy się panną Bennett.



Carol Bennett weszła do pokoju przesłuchań rozczochrana i wystraszona, wpatrując się w nich wielkimi oczyma. Gunther postanowił, że nie będzie się z nią patyczkował.

— Pani głupota wpędziła panią w tarapaty, panno Bennett — powiedział, odchylając się do tyłu na krześle i splatając palce na brzuchu. — To znaczy, jeśli to rzeczywiście była głupota. Jeśli naprawdę wspiera pani ruch oporu, będzie lepiej, jak od razu się pani przyzna i błaga swój rząd o łaskę.

— Nie wspieram ruchu oporu — odparła z przerażeniem. — Wielki Boże, jak bym mogła. — Odetchnęła głęboko i próbowała wziąć się w garść. — Proszę, kiedy aresztowano mnie dziś rano, musiałam zostawić swoją matkę. Jest chora,

może wyjść i błąkać się po ulicach. Czy mogłabym przynajmniej poprosić kogoś, żeby się nią zaopiekował?

— Pani matka będzie musiała teraz zadbać o siebie sama. Pani przyjaciel David Fitzgerald uciekł w piątek z Ministerstwa do spraw Dominiów. Pytanie brzmi, skąd wiedział, że chcemy z nim rozmawiać? Doszedłem do wniosku, że pani była jedyną osobą, która mogła go uprzedzić.

— Jeśli się pani nie przyzna, mamy tu na dole ludzi, którzy potrafią to z pani wyciągnąć — dodał Syme. — Biedna matka w ogóle pani potem nie pozna.

To było brutalne, ale zadziało.

— To ja — powiedziała Carol. — Ja go ostrzegłam.

— Dlaczego?

— Kocham go — odparła, spuszczać głowę.

— To pani udostępniła mu tajne akta? — zapytał Gunther. — Proszę, niech pani na mnie patrzy, kiedy do pani mówię.

Carol podniosła głowę, w oczach miała łzy.

— Nie, nic o tym nie wiedziałam, dopóki nie przyszlście do ministerstwa. Nie pomagałam Davidowi. Nigdy nie udostępniłam mu tajnych akt. Nie zrobiłabym tego, gdyby mnie poprosił, ale on nigdy się z tym do mnie nie zwracał.

— Nigdy nie dała mu pani swojego klucza?

— Nie, przysięgam. Zawsze trzymam klucz w torebce. I muszę go oddawać za każdym razem, kiedy wychodzę.

Gunther wziął do ręki ołówek i przez chwilę się zastanawiał, stukając nim w stół.

— Czy ten klucz ma jakiś numer? — zapytał.

— Tak, na przywieszce jest numer — odparła zaskoczona.

— Gdzie dorabia się te klucze?

— Nie mam pojęcia. Chyba w departamencie gospodarczym.

Gunther przypomniał sobie sprawę, którą pomagał dawno temu rozwiązać jego ojciec. Zamieszany był w nią ślusarz, który robił klucze do skrytek depozytowych, i znając numer klucza, mógł wykonać jego duplikat.

— Czy Fitzgerald mógł zobaczyć numer na przywieszce? — zapytał.

Panna Bennett zrobiła smętną minę. Tak to właśnie wyglądało, pomyślał Gunther, dlatego Fitzgerald się z nią zaprzyjaźnił. Miał nadzieję, że uda mu się zerknąć na klucz. Zorientował się, że ona też to sobie uświadomiła. Syme z początku nie wiedział, do czego zmierza Gunther, ale po chwili bardzo się tym zainteresował.

— Jest w to zamieszany ktoś, kto dorabia klucze dla ministerstwa? — powiedział.

— Całkiem możliwe.

— Fitzgerald podejrzwał numer klucza, kiedy ona gapiła mu się między nogi? Carol skrzywiła się, jakby ją uderzył.

— Być może. — Gunther odwrócił się do Carol, która oblała się głębokim rumieńcem. — Czy pan Fitzgerald wymienił kiedyś przy pani nazwisko Muncaster?

— Jakie nazwisko?

— Jego przyjaciela. Franka Muncastera.

— Nie. Jedynym jego przyjacielem, o którym wiedziałam, był pan Drax.

— Na pewno?

— Na pewno. Przysięgam na Boga.

Gunther widział, że kobieta mówi prawdę. Syme musiał dostrzec malujące się na jego twarzy rozczarowanie.

— Kiedy tu skończymy — powiedział — chcę z nią sam porozmawiać. Chcę dowiedzieć się, jak dokładnie Fitzgerald uzyskał dostęp do tego klucza. Zabierzemy ją do komendy głównej Wydziału Specjalnego.

— Zgoda.

— Proszę — odezwała się Carol. — Czy mogę załatwić opiekę mojej matce?

— Mam w dupie twoją matkę — warknął Syme.

Carol popatrzyła na Gunthera. W jej oczach płonęła desperacja.

— Jest jeszcze coś, co mogę panu powiedzieć — oznajmiła. — To ostatnia rzecz, którą zachowałam dla siebie.

Gunther uniósł brwi.

— Dotyczy pani Fitzgerald. Przemyślałam to sobie. Jeśli wam powiem, to jej nie zaszkodzi, bo świadczy o tym, że nie układało im się w małżeństwie. — Carol szybko opowiedziała o wizycie, którą Sarah złożyła jej, podejrzewając, że David ma z nią romans. — Powiedziałam pani Fitzgerald, że ostrzegłam go tamtego dnia. Dodałam, że wszystko wskazuje na to, że mógł być szpiegiem. Była wstrząśnięta, o niczym nie wiedziała. Teraz wiecie już wszystko.

— Ostrzegła pani ją, a wcześniej ostrzegła jego — rzekł surowym tonem Gunther. — Gdyby nie pani, wpadłby nam w ręce. Brytyjskie władze oskarżą panią o zdradę. — Nie był w stanie jej współczuć; kobiety jej pokroju niszczyły cudze małżeństwa, rujnowały innym życie. — Jak dobrze znała pani Geoffreya Draxa? — zapytał.

— Niezbyt dobrze — odparła drżącym głosem. — Spotkałam go kilka razy. Był bardzo powściągliwy, niełatwo było bliżej się z nim zaprzyjaźnić.

— Czy z którąkolwiek z tych osób dyskutowała pani o polityce?

— Nie. W służbie cywilnej nie robi się tego, chyba że zna się kogoś bardzo dobrze. David i ja... nigdy nie przekroczyliśmy tej granicy.

— Więc pani i Fitzgerald nigdy z sobą nie spaliście? — zapytał bez ogródek.

Carol pokręciła głową. Po policzkach płynęły jej łzy.

— Zdaje pani sobie sprawę, że panią wykorzystał — powiedział.

Spojrzała na niego z nagłą pasją.

— Kochałam go. Wciąż miałam nadzieję, że... dla kobiety to jest trudne, rozumie pan, nie może uczynić pierwszego kroku, tak jak to robi mężczyzna. — Roześmiała się spazmatycznie. — To, że się z nim widywałam, chodziłam na koncerty i lunche, było... było prawie jak narkotyk. Mała dawka powoduje, że chce się więcej, prawda?

— Pieprzona ździra — mruknął Syme.

Carol zgaszona opuściła głowę.

— Cóż, panno Bennett — powiedział ostro Gunther. — Teraz spadły pani łuski z oczu.

Pomyślał o swojej żonie. On też ją kochał, do momentu, kiedy odkrył jej zdradę.

Carol znów na niego spojrzała.

— Nadal go kocham — odparła. — Myślcie o mnie, co chcecie. Nic na to nie poradzę.

To było żałosne wyznanie, ale wypowiedziane z dziwną godnością. Gunther poczuł, jak coś w nim drgnęło. Spojrzał na Syme'a.

— Może poprosisz kogoś z lokalnej policji, żeby odwiedził jej matkę, zobaczył, czy da się coś zrobić — powiedział. — Nie chcemy chyba, żeby staruszka wyprawiała brewerie na ulicy.

Syme wzruszył ramionami.

— Chyba nie. Ale tę ździrę chcę zabrać do komendy głównej Wydziału Specjalnego.

— Dam znać naszym ludziom, żeby podstawili samochód.

Carol skuliła się na krześle.

— Radzę pani zeznawać tak samo otwarcie, jak robiła to pani tutaj — rzekł surowym tonem Gunther.

Syme uśmiechnął się.

— Już my o to zadbamy.



Gunther zabrał później Syme'a do swojego gabinetu, żeby z nim porozmawiać. Na temat Muncastera nie dowiedzieli się niczego. Podobnie wyglądało to przez kolejne dwa dni. Muncaster, Drax i Fitzgerald zniknęli, zapadli się pod ziemię; bez wątpienia ukrywali się w zakonspirowanym lokalu ruchu oporu. Ponownie przesłuchano kolegów z pracy Muncastera i niektórych jego kolegów ze studiów. Nikt o niczym nie wiedział. Gunther został poinformowany przez Syme'a, że w służbie cywilnej prowadzone jest szeroko zakrojone dochodzenie; w sprawę włączyło się MI5. Powiedział, że się cieszy, ale tak naprawdę siatka szpiegowska wcale go nie interesowała.

W piątek po południu, tydzień po ucieczce Fitzgeralda, cały Londyn spowiła gęsta mgła. Gabinet Gunthera mieścił się na najwyższym piętrze Senate House. Ze swojego okna miał niezwykły widok na rozciągające się aż po horyzont żółtawoszare morze. Przypominało zatrutą atmosferę jakiejś obcej planety, z której wystawały tylko najwyższe budynki. Była to jedna z najdziwniejszych rzeczy, jakie widział w życiu. Nad warstwą smogu powietrze było mlecznobiałe, z ledwo widoczną bladoczerwoną kulą zimowego słońca.

Syme wszedł do gabinetu i dołączył do stojącego przy oknie Gunthera.

— Jezu Chryste — mruknął.

— Mam nadzieję, że to nie potrwa długo. Jakies wiadomości? — zapytał Gunther.

— Nic. Mamy sporo agentów w ruchu oporu, ale żaden nie widział tych ludzi ani o nich nie słyszał. A przeczesanie całego kraju zajmie cholernie dużo czasu.

— Śledztwo w sprawie szpiegów w służbie cywilnej idzie do przodu?

— Mamy kilka tropów. Nie doprowadziły jeszcze do konkretnych ustaleń, ale doprowadzą. Nie wolno mi o tym mówić — dodał Syme — chyba że temat będzie dotyczył bezpośrednio Muncastera.

— Rozumiem — odparł Gunther. — Rozwiążemy tę sprawę, zobaczysz. A ty — dodał z zachęcającym uśmiechem — dostaniesz awans, ciekawą pracę na północy i duży dom oprócz tego, który przejąłeś niedawno po Żydach.

— A ty?

Gunther wzruszył ramionami. Obaj patrzyli na mgłę, która kłębiła się i falowała w czerwonawej poświacie zachodzącego słońca. Gunther uśmiechnął się.

— Ten widok przypomina mi przypowieść, której uczyliśmy się w szkole — powiedział i zaczął cytować z pamięci Biblię. — „Wówczas wyprowadził Go w górę, pokazał Mu w jednej chwili wszystkie królestwa świata. I rzekł do Niego: »Tobie dam potęgę i wspaniałość tego wszystkiego, bo mnie są poddane i mogę je odstąpić, komu chcę. Jeśli więc upadniesz i oddasz mi pokłon,

wszystko będzie Twoje»⁵. — Zmarszczył brwi. — To niezupełnie tak. Czy to była potęga, czy władza? Nieważne, o to mniej więcej szło.

— Jezus był Żydem, prawda? A kim był ten, kto wyprowadził Jezusa w górę?

Gunther wzruszył ramionami, a potem z zabobonnym dreszczem uświadomił sobie, że to był diabeł.

— Moi rodzice nigdy nie zabierali mnie do kościoła — mruknął Syme.

— Miałeś szczęście — odparł Gunther. — Trudno tam było wysiedzieć.



Wracając wieczorem z Senate House do domu, Gunther szedł po omacku, dotykając dłonią murów i wpadając na ludzi, którzy przemierzali się w identyczny sposób. Ściany budynków były wilgotne, od gęstych cuchnących siarką oparów piekło go w gardle i nosie. Poczul ulgę, gdy dotarł do swojego mieszkania. Wiedział, że musi się skoncentrować, musi posunąć w jakiś sposób do przodu dochodzenie. Wziął kąpiel, zjadł kolację i wyjrzał przez okno, a potem zasunął zasłony, żeby nie patrzeć na to, co działo się na zewnątrz, i usiadł w szlafroku przy stole, z filiżanką mocnej kawy.

Przesłuchania i telefony, cała ta gorączkowa aktywność do niczego ich nie doprowadziły. Musieli podejść do sprawy inaczej.

Wstał i zaczął stapać po grubym dywanie. Rozboliła go głowa; w Berlinie przyczyną było zapyłone powietrze, tutaj mgła. Zastanawiał się, co zrobi teraz z Muncasterem ruch oporu. Co zrobiłby on sam, gdyby miał w swoich rękach kogoś ukrywającego ważny sekret, a przy tym chorego psychicznie i niestabilnego? Oczywiście by go uśmiercił, żeby nikt nie zdołał go ująć i zmusić do wyjawienia sekretu. Muncaster sam zresztą chciał się zabić.

Ale człowiek, który przybrał nazwisko Ben Hall, mógł go bez trudu zabić w szpitalu. Nie, oni chcieli go mieć żywego. Dlaczego? Na pewno z powodu Amerykanów. To od nich wszystko się zaczęło. To oni musieli zaangażować w to brytyjski ruch oporu. Będą chcieli przemyścić Muncastera do Ameryki, pomyślał.

Podszedł do okna i rozsunał z powrotem zasłony. Na zewnątrz był gęsty, lepki mrok, słabo rozświetlony przez palącą się pod oknem latarnię. Trąbienie samochodów brzmiało niczym odległe buczenie okrętowej syreny. Czy chcą wyekspediować Muncastera drogą morską? Na pokładzie statku płynącego do Ameryki? Do portów dostarczono już rysopisy i fotografie. W jego stanie umysłowym i ze zdeformowaną ręką Muncaster będzie rzucać się w oczy. Nie, nie zaryzykują wysłania go statkiem, pomyślał.

Więc może drogą powietrzną? To też raczej wykluczał. Lotniska były jeszcze szczerzej strzeżone niż porty. Najbardziej prawdopodobnym środkiem lokomocji był okręt podwodny. Amerykański okręt podwodny. Wiadomo było, że czasami wpływały do kanału La Manche.

Gunther podszedł do regału z książkami, wziął atlas i przyjrzał się mapie Anglii. Birmingham, z którego wyjechali, leżał w samym środku kraju. Musieli przetransportować Muncastera nad morze, ale najprawdopodobniej gdzieś się wcześniej zaszyli. Jeśli miał ich odebrać okręt podwodny, musiało to nastąpić gdzieś na południowym albo zachodnim wybrzeżu. W Walii? W Devonie lub Kornwalii? Na pewno nie w pobliżu wyspy Wight pozostającej pod niemiecką kontrolą. W hrabstwie Sussex albo Kent? Ja wysłałbym ich na południe, pomyślał, najkrótszą drogą przez Londyn. Przesunął palcem wzdłuż prostej linii autostrady, która wiodła z Birminghamu do Londynu. Mogli się ukryć gdzieś w stolicy. Z pewnością czekali na odpowiednią pogodę — spokojne morze i księżycową noc — i planowali wyjechać stąd nad morze gdzieś w Sussexie albo Kent.

Jeśli to okręt podwodny, rozważał, Amerykanie będą się komunikowali z lądem przez radio. Ale jak znaleźć właściwą częstotliwość i szyfr? Wypił łyk kawy. Pomyślał o Muncasterze, tym żalosnym człowieczku prowadzonym gdzieś po plaży. Przed oczyma stanął mu nagle jego własny syn bawiący się na piasku na Krymie. Przemyślał wszystko jeszcze raz, sprawdzając, czy jego teoria nie ma jakichś luk, a potem podszedł do telefonu. Miał zamiar zadzwonić do ambasady i przekazać Gesslerowi, że niemieckie dowództwo na wyspie Man powinno wypatrywać łodzi podwodnej i prowadzić nasłuch łączności radiowej. Najpierw jednak zadzwonił do Syme'a, do domu. Anglik odebrał dopiero po dłuższej chwili. Wydawał się zaspany. Minęła już pierwsza w nocy; Gunther zapomniał, jak jest późno.

— Analizowałem sytuację, Williamie. Uważam, że Muncaster i jego grupa mogą być w Londynie. Ilu macie agentów w szeregach ruchu oporu w tym mieście?

— Całkiem sporo.

— Moim zdaniem powinniście się skoncentrować na Londynie. Postarajcie się sprawdzić jak najwięcej komórek londyńskiego ruchu oporu. Myślisz, że to możliwe?

— Normalnie robimy to tylko wtedy, kiedy mamy nadzieję złapać grubą rybę — odparł Syme.

— Muncaster jest bardzo grubą rybą. A ludzie z jego grupy zabili jednego z waszych w tym mieście.

— Pogoda nie ułatwi nam zadania.

— Im też nie sprzyja. Trudniej im się przemieszczać. Czy możemy się jutro spotkać? Z samego rana. Jestem teraz w domu, ale zaraz wychodzę do ambasady.

— W tej mgle? W środku nocy?

— Sprawiedliwość nigdy nie śpi — odparł Gunther.

Rozdział czterdziesty trzeci

Nazajutrz rano Davida obudziły głosy na dole. Czuł zapach smażonego bekonu. Słyszał szybko wypowiedane słowa Eileen i niespieszne odpowiedzi Seana. Przez grube zasłony do pokoju wpadało niewiele światła. Geoff nadal spał. Nie wyglądał najlepiej; w nocy kilka razy Davida budził kaszel przyjaciela.

Wstał i włożył ubranie na zmianę, które dostał dzień wcześniej. Geoff usiadł na łóżku, znowu zaniósł się kaszlem i napił się wody. David rozsunął zasłony. W świetle dnia smog był szarozółty i gęsty, oblepiał szyby brudnymi tłustymi plamami sadzy. Kilka metrów od okna widać było ceglany mur, który otaczał niewielkie podwórko.

— Na dworze nic się nie poprawiło — powiedział do Geoffa. — Jak się czujesz?

— Marnie. — Na czole jego przyjaciela perlił się pot. — Wciąż piecze mnie w gardle. I boli głowa. Boże, to świństwo przenika chyba przez ściany. Czuję je w nozdrzach. Przepraszam, jeśli budziłem cię w nocy.

— Nie mogłeś na to nic poradzić.

— Zabawne, śniło mi się, że znowu jestem w Afryce. Miałem zobaczyć się z Elaine. Jej męża nie było w domu i wszedłem po schodkach do jej bungalowu, ale drzwi otworzyli mi moi rodzice. Mama i tato. Byli młodzi, jak w czasach, kiedy byłem dzieckiem.

Geoff leżał, wpatrując się w zadumie w sufit. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z nim tak otwarcie.

— Nic im nie będzie — powiedział David.

— To chyba przez to, że pewnie nigdy już ich nie zobaczę.

— Chyba że wykopimy stąd Niemców, co?

Geoff niewyraźnie się uśmiechnął. Sarah pewnie martwi się o to samo, pomyślał David. Dla niego było to łatwiejsze, miał teraz tylko ojca mieszkającego bezpiecznie w Nowej Zelandii. Nie wykluczał nawet, że do niego pojedzie.



Na dole zastali jedzących śniadanie Bena i Natalię. Eileen rozkładała nakrycia. W radiu szedł program muzyczny dla gospodyń domowych. Sean wkładał nabijane świekami robocze buty.

— Jajka na bekonie? — zapytała Eileen i popatrzyła na Geoffa. — Jak się pan czuje?

— Jestem trochę przymulony.

— Mam tabletki na ból głowy. Niestety, z tego, co mówią w radiu, ta zupa mleczna będzie trwała przez cały dzień, a może i dłużej. Martwili się o targi bydła w Smithfield; część zwierząt zachorowała przez to paskudztwo. Proszę, siadajcie.

Siadając, David pochwyił wzrok Natalii, która uśmiechnęła się do niego konspiracyjnie. Umyła włosy, które były teraz brązowe i lśniące. David zorientował się, że Geoff dostrzegł ich wymianę spojrzeń, i szybko odwrócił wzrok.

— Gdzie jest Frank? — zapytał Bena.

— Też nie najlepiej się czuje. Zaraz zaniosę mu śniadanie.

Sean wstał.

— Idę do roboty. Wrócę koło szóstej. — Skinął głową gościom i pocałował czule żonę w czoło. — Uważaj, słyszysz? Dbaj o ich bezpieczeństwo.

— Zmiataj już. — Eileen dotknęła jego policzka i szybko wyszła z kuchni. Po chwili usłyszeli zamykające się za Seanem frontowe drzwi.

— Frank uważa, że Sean jest do niego uprzedzony — rzekł cicho Ben. — Dlatego wolał zostać na górze.

— Ludzie boją się chorób psychicznych — stwierdziła Natalia. — Frank mógł to wyczuć u pana O'Shea.

— Zaniosę mu śniadanie — powiedział David. — Wziął już swoją tabletkę?

— Dałem mu, kiedy się obudził.

— Czy jest uzależniony od tych leków? — zapytała Natalia.

— Nie. Nie jest uzależniony — odparł Ben. — Te tabletki nie uzależniają, ale ludzie przywykają do nich, bo po ich zażyciu czują się spokojniejsi. Dlatego trzeba stopniowo zmniejszać dawki. Zrobimy to, kiedy będziemy bezpieczni. — Ben spojrzał na nią z powagą. — Na razie jednak musi być spokojny ze względu na swoje, ale i nasze bezpieczeństwo.

David zaniósł na górę tacę ze śniadaniem. Frank siedział na łóżku, wpatrując się we mgłę. Miał na sobie jeden ze starych swetrów pułkownika Brocka. Dzięki elektrycznemu kominkowi w pokoju było trochę cieplej. Uśmiech, którym przywitał Davida, różnił się od jego typowego grymasu.

— Przyniosłem ci coś do jedzenia. Głodny?

— Tak. Chętnie bym coś przekąsił.

— Ben powiedział, że nie chciałeś przyjść na dół.

— Nie. Ten O'Shea... — Frank wzruszył bezradnie ramionami.

— Sean jest w porządku — powiedział David, stawiając tacę na łóżku. — To, że tu jesteśmy, to dla niego tylko kłopot.

Frank głęboko westchnął.

— On widzi — mruknął.

— Co takiego widzi?

— Zawsze czułem, że spoczywa na mnie jakaś klątwa. — Frank mówił tak cicho, że David musiał się pochylić, żeby go usłyszeć. — Jest we mnie coś, co sprawia, że ludzie chcą mi wyrządzić krzywdę. Sam nie wiem, co to jest, ale tak było zawsze. — Frank spojrzał na Davida i parsknął niewesołym śmiechem. — Uważasz, że tak mówię, bo jestem obłąkany. Widzę to.

— Niektórzy boją się po prostu ludzi, którzy byli... którzy byli tam, gdzie ty, Frank. I nie jesteś wcale obłąkany — dodał stanowczo David.

— Nie, tak było zawsze. — Frank pokiwał z uporem głową. — Już jak byłem mały, zanim jeszcze poszedłem do szkoły. Matka podporządkowała się we wszystkim tej fałszywej spirytystce, pani Baker. To ona przekonała ją, żeby wysłać mnie do tej szkoły. Śniła mi się zeszłej nocy. Siedziała w jakimś ogrodzie. Dokoła fruwały anioły, to było chyba niebo. Pani Baker piła whisky z butelki i śmiała się ze mnie.

David dotknął jego ramienia.

— Zjedz śniadanie, dobrze? Ostygnie ci.

Frank wziął posłusznie tacę na kolana i zaczął jeść. Mimo nie całkiem sprawnej ręki bez trudu posługiwał się widelcem. Nabrał wprawy, pomyślał David.

— Zauważyłeś to, kiedy mnie spotkałeś? — zapytał Frank, kiedy skończył jeść.

— Co? Twoją rękę?

— Nie. Wszyscy to zauważają. Mam na myśli tę moją cechę. Tę aurę. Moja matka dużo rozprawiała o aurach.

— Nie, Frank. Pomyślałem po prostu, że się boisz. Przypuszczałem, że może z powodu tamtej szkoły w Szkocji; nie mówiłeś o niej wiele, ale była chyba straszna.

— Straszna — potwierdził Frank, znowu wpatrując się we mgłę. — Ale większość ludzi przeżyło ją w miarę bezboleśnie. A ja jakoś nie mogłem. — Potrząsnął głową. — Jeśli nie byłeś taki jak oni i nie postępowałeś tak, jak chcieli, mogli ci zrobić wszystko. Pod wieloma względami przypominali nazistów. Wiesz co? Wciąż miałem poczucie, że moje życie skończy się naprawdę źle, że jestem na to skazany. — Nagle spojrzał z zaciekawieniem na

David. — Pamiętasz, jak wczoraj na tym polu powiedziałem, że zawsze chciałem być normalny, a ty odparłeś, że czułeś to samo. Dlaczego? Nie jesteś do mnie podobny, jesteś moim przeciwieństwem. Ludzie cię szanują i lubią. Zawsze tak było.

— Czyżby? — David poruszył się ze skrepowaniem na krześle. — Ciągłe mieli wobec mnie różne oczekiwania. Odkąd byłem dzieckiem, wszyscy spodziewali się po mnie czegoś nadzwyczajnego. Miałem pewne atuty, zgadzam się z tobą, ale, podobnie jak tobie, zawsze dawano mi do zrozumienia, że nie mogę być po prostu zwyczajnym facetem. — Przypomniał sobie, jak skakał w szkole do basenu. W ciszę i spokój. — Tak czy inaczej, sam to na siebie ściągnąłem. Wstąpiłem do ruchu oporu, oszukałem żonę i wszystkich, z którymi pracowałem, ponieważ...

— Ponieważ?

— Ponieważ w głębi serca byłem wściekły. Wydaje mi się, że chyba zawsze byłem. Ty też chyba jesteś wściekły, Frank. — David popatrzył na starego przyjaciela. — Musisz być.

Frank wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Może. Ale jaki jest sens wściekać się na swój los? Można się go bać, owszem, bo nie sposób go zmienić. Nie można nic poradzić na swój los — dodał, zniżając głos do szeptu.

— Wypchnąłeś swojego brata przez okno.

— To był wypadek. Ale masz rację, Edgar sprawił, że przestałem nad sobą panować — przyznał Frank. — Muszę nad sobą panować — dodał z nagłą determinacją. — Gdybym się nie kontrolował, wyciągnęliby ze mnie wszystko w szpitalu. Trzeba nad sobą panować — powtórzył powoli i z pasją. — Nauczyłem się tego w szkole.

— Spokojnie, Frank, spokojnie. Nikt ci tutaj nie zagraża. Ani pan O'Shea, ani żaden z nas.

— W porządku.

— To wymagało sporej odwagi, ukrywanie tego, co usłyszałeś od brata, kiedy byłeś sam w szpitalu i kiedy przesłuchiwała cię policja.

— Nie powinienem był ci tego mówić. Że to dotyczy bomby. Przykro mi, ale to... bardzo ciężkie brzemię. — Frank zmierzył nagle Davida surowym spojrzeniem. — Chyba nikomu nie powiedziałeś?

— Obiecałem, że tego nie zrobię.

— Tam, na tym polu, pomyślałem, że jeśli będziesz wiedział, jakie to ważne, uświadomisz sobie, że muszę umrzeć.

— Nie musisz. Wydostaniemy cię stąd. I ty też mi coś przyrzekłeś, pamiętasz? Że pozostaniesz przy życiu.

— Wiem. — Na chwilę zapadła cisza. — Jak tam będzie, w Ameryce? — zapytał w końcu Frank. — Spotkałem kilku Amerykanów, zawsze wydawali mi się tacy hałaśliwi. No i są jeszcze ci wszyscy gangsterzy, których oglądamy na filmach. Ale to duży kraj, może znajdę sobie jakieś spokojne miejsce. Myślisz, że mi się uda, Davidzie?

— Mam taką nadzieję.

— A ty dokąd pojedziesz? Ty i twoja żona?

— Nie wiem, co postanowi Sarah, ale ja chciałbym pojechać do Nowej Zelandii. To porządny kraj. Mieszkają w nim porządni ludzie, nienawidzą tego faszystowskiego draństwa.

Frank zrobił zdziwioną minę.

— Przecież pojedziecie tam razem?

— Nie wiem.

— Nie dotrzemy tam, wiesz o tym, Davidzie — powiedział cicho Frank. — To tylko marzenie. W końcu mnie złapią.

— Nie, nie złapią. Daj spokój, Frank, dotarliśmy aż tutaj. Musimy być dobrej myśli.

Frank wyciągnął luźną nitkę z materaca.

— Powiedziałeś, że gdyby próbowali nas złapać Niemcy, macie kapsułki z cyjankiem. I że Natalia zastrzeli mnie, żeby nie wzięli mnie żywcem. Ale co będzie, jeśli nie zdąży? Ja też chcę mieć kapsułkę z cyjankiem. Nie wezmę jej, jeśli mnie nie złapią, obiecuję, ale chcę mieć takie same szanse jak wy.

David spojrzał na niego. Wiedział, że Natalia i Ben nie zgodzą się na takie ryzyko; będą się bali, że Frank znowu spróbuje się zabić. Amerykanie chcieli mieć go żywego, ale Ben i Natalia też starali się go chronić, zależało im na tym, żeby przeżył.

— Porozmawiam z nimi — powiedział.

Frank pokiwał głową, ale poznał chyba po minie Davida, że nie może na wiele liczyć. Jaką ten człowiek ma niesamowitą intuicję, pomyślał. Intuicję skazanego na wymarcie zwierzęcia.



Po śniadaniu Ben przekonał Franka, żeby zszedł na dół. Eileen poszła zrobić zakupy i spotkać się z łącznikiem ruchu oporu. Siedzieli w salonie, Geoff nadal marnie wyglądał. Zanosił się suchym, rozdzierającym kaszlem. Ben zaproponował, żeby zagrali w jakąś grę planszową; Eileen powiedziała im, że mają kilka w sąsiednim pokoju. David poszedł po nie. Zapalił światło — mgła

sprawiła, że wszędzie panował półmrok. W saloniku unosił się charakterystyczny dla rzadko używanego pomieszczenia zapach stęchlizny. Pudełko z grammi znalazł pod stołem: były tam szachy, warcaby oraz monopoly.

Przez kilka godzin siedzieli, grając w tę ostatnią grę, zupełnie jakby brali udział w dziwnym rodzinnym przyjęciu. Okazało się, że Frank wygrywa z wszystkimi; przy jego boku szybko rósł stos papierowych pieniędzy.

— Jesteś prawdziwym kapitalistycznym krwiopijcą — zażartował Ben. — Zabrałeś mi wszystkie pieniądze. Zobacz, nic mi nie zostało.

Frank zrobił zadowoloną minę.

— Staram się po prostu myśleć z wyprzedzeniem — powiedział.

Ben pokręcił głową.

— Grałem trochę, kiedy siedziałem za kratkami, i szło mi całkiem nieźle, ale ty jesteś jakimś cholernym geniuszem, chłopie.

— Dlaczego siedziałeś? — zapytał Geoff. — Z powodów politycznych?

Ben wbił w niego wzrok.

— Nie, byłem niegrzecznym chłopcem już w szkole, robiłem różne złe rzeczy. Tak w każdym razie uważali sędziowie w Glasgow. Kiedy miałem siedemnaście lat, wsadzili mnie na dwa lata do Borstal i skazali na tęgą porcję batów. — David przypomniał sobie blizny, które widział poprzedniego wieczoru. — To położyło kres interesującej karierze — podjął Ben. — Rodzice wyrzekli się mnie, starzy dranie. Ale w mamrze wyrobiłem się politycznie, ludzie nauczyli mnie, czym jest system klasowy. Więc wcale tego nie żałuję.

David ze smutkiem się uśmiechnął.

— Dla ciebie wszystko ma podłoże klasowe, prawda?

— Zgadza się. Zauważyłem kilka razy, że nie zawsze rozumiesz, co mówię. To z powodu mojego akcentu?

— Czasami celowo go podkreślasz.

— Tam, gdzie się wychowałem, nie zrozumiałbyś ani słowa.

— Właśnie dlatego, że masz szkocki akcent.

— Nie. — Ben nie spuszczał z niego wzroku. — Dlatego że pochodzę ze szkockiej klasy robotniczej.

— On ma rację — przyznał Frank. — Moja szkoła była w Szkocji, ale wszystko rozumiałem.

— Bo mówili tam z akcentem szkockiej klasy średniej, oto dlaczego. *Morrningsiide*.

Sposób, w jaki Ben wymówił tę nazwę, spowodował, że Frank zrobił coś, czego David nie widział nigdy wcześniej. Roześmiał się.

— Tak naprawdę ludzie dzielą się nie ze względu na narodowość, ale przynależność klasową — oświadczył zdecydowanym tonem Ben i trącił w bok

Franka. — Do dzieła, Rockefellerze, Davidowi zostało jeszcze kilka domów.



Później David, tak jak obiecał, zagrał z Frankiem w szachy. Inni patrzyli, a Geoff poszedł na górę się położyć. Wczesnym popołudniem, kiedy Frank wygrał drugą partię, wrócił do domu Sean.

— Odesłali mnie — powiedział. — Są problemy wszędzie wokół Londynu. Pociągi towarowe nie jeżdżą. Maszyniści nie widzą cholernej sygnalizacji. Tutaj wszystko w porządku?

— Tak.

— Eileen nie wróciła?

— Jeszcze nie — odparła Natalia.

Sean przygryzł wargę.

— To przez tę mgłę. Nie przejmuj się — uspokoiła go.

Sean uśmiechnął się do Franka.

— Jak się czujesz, chłopie? Słuchaj, przepraszam, że potraktowałem cię wczoraj trochę obcesowo. Byłem zestresowany, rozumiesz.

Frank uśmiechnął się niepewnie.

— Nic się nie stało.

— Jesteśmy kumplami, tak? — Sean wyciągnął rękę, a Frank ją uścisnęła. David zastanawiał się, czy Eileen nie zwróciła mężowi uwagi. Sean rozejrzał się. — Gdzie jest ten blondyn?

— Poszedł na górę odpocząć — odparł David. — Marnie się czuje. Chyba z powodu mgły.

— Straszne cholerstwo. Jeden z moich kumpli w pracy jest astmatykiem, dziś po południu musieli go zabrać do szpitala. Mam nadzieję, że go tam dowieźli, wszystko stoi w miejscu. Jeśli planowali przewieźć dzisiaj Żydów, nic z tego nie będzie. — Sean westchnął. — Zrobię sobie kanapkę — powiedział i wyszedł do kuchni.

David sprzątnął ze stołu i odniósł gry. Zapalił światło w sąsiednim pokoju, wsadził pudełko pod stół i prostując się, zobaczył nagle, że ktoś stoi za oknem. Przyglądał mu się mały blady chłopiec. David zastygł na chwilę w bezruchu, a potem dał krok do przodu. Zdążył zobaczyć czapkę i dziecięcy płaszczyk i drobna postać zniknęła we mgle. Wrócił szybko do salonu.

— Co się stało? — zapytała Natalia.

— W ogródku od frontu stał mały chłopiec i zaglądał do środka. To mógł być ten szczeniak od sąsiadów.

— Cholera — zaklął Ben, unosząc się z krzesła. Sean wyszedł z kuchni, podbiegł do frontowych drzwi i otworzył je na oścież. Po minucie wrócił, ciężko sapiąc.

— Słyszałem, jak zatrzasnęły się drzwi pod numerem trzydziestym ósmym. Ten mały gnojek bez przerwy węszy po okolicy, ogląda w telewizji programy, w których apelują do ludzi, żeby uważali na terrorystów.

— Zobaczyl tylko Davida, którego widzial juz wczoraj — powiedziala Natalia.

Sean zmarszczył czoło.

— Powie swojemu tacie, że dwa domy dalej zatrzymał się mężczyzna, który mówi z akcentem z wyższych sfer. Nie wiem, co robić — dodał, siadając i gryząc nerwowo palce. — Zobaczymy, co powie Eileen.



Eileen wróciła pół godziny później, objuczona zakupami.

— Co za pogoda — powiedziała. — Autobus włókł się jak żółw. Smog zostawia na wszystkim tłuste plamy, powinniście zobaczyć schodki. — Spojrzała na nich i na jej twarzy odbił się niepokój. — Coś się stało?

Sean opowiedział jej o chłopcu, którego widział David.

— Niedobrze. W dodatku nie spotkałam dziś jego matki w żadnym sklepie. Miałam nadzieję, że pogadamy. Ale mały Philip zawsze zagląda do cudzych domów, bawi się w szpiegów i terrorystów jak inni chłopcy. — Eileen popatrzyła na Natalię. — Co o tym sądzisz?

— Nie wiem. Nie znam tych ludzi.

— Zaglądał przez okno już wcześniej, kiedy mieliśmy gości. To samotny mały chłopak. Kiedyś bawił się z naszymi dziećmi, ale rok temu zakazali mu tego rodzice. Chyba nic złego się nie stało. Nie widział nikogo z pozostałych?

— Nie.

— Muszę znaleźć pretekst, żeby porozmawiać z jego matką. Powiem jej, że jesteście naszym krewnym.

— Z takim akcentem? — powiedział Sean.

David zaczerwienił się.

— Powiedziałem tylko kilka słów — mruknął.

— Cóż, nic na to nie poradzimy — podsumowała Eileen.

— Idź, pogadaj z nią teraz — ponaglił ją Sean, lecz ona pokręciła głową.

— Nie, będzie się dziwić, dlaczego tak się przejmuję. To musi być zrobione mimochodem. — Eileen zmarszczyła czoło, cała ta sprawa najwyraźniej nie

dawała jej spokoju. — Wygląda na to, że zostanieie w Londynie jeszcze dzień albo dwa. Okręt podwodny jest już w kanale La Manche, ale trzeba poczekać na odpowiednią pogodę. Nie mogę jeszcze powiedzieć, skąd was odbiorą.

Geoff zszedł trochę wcześniej z piętra i usiadł przy kominku blade i spocony.

— Więc rzeczywiście czeka na nas okręt podwodny? — powiedział, kiwając głową.

— Zgadza się.

Naprawdę może nam się udać, pomyślał David.

— Są jakieś wiadomości o mojej żonie? — zapytał Eileen.

— Wszystko u niej w porządku. Jest poza Londynem, niedaleko miejsca, z którego zostanieie odebrani. To tylko godzina drogi stąd — dodała po krótkim wahaniu.

Natalia rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie. Ma rację, pomyślał David, im mniej wiemy, tym bezpieczniej dla nas.



Po obiedzie Eileen poprosiła ich, żeby w nocy pełnili wartę. Pierwszy miał ją objąć Ben. Natalia poszła na górę, żeby przespać się w pokoju Davida i Geoffa. Geoff bez przerwy kasłał; w salonie było ich sześcioro, w większości palących i wkrótce strasznie tam nadymili. Eileen poradziła Geoffowi, żeby przeniósł się do pokoju od frontu. Frank zapytał, czy może się położyć na górze. Ben spojrzał na Davida, który pokiwał głową; Frank dał mu słowo, że nie zrobi nic głupiego.

Obejrzeliby wiadomości. Londyn był kompletnie sparaliżowany przez mgłę, w szpitalach tłoczyli się ludzie z problemami oddechowymi. Kilka kolejnych kobiet zostało napadniętych, pobitych i okradzionych przez napastników, których nie zdołały zobaczyć. Jedną dźgnięto nożem.

— Niech dobry Pan ma je w swojej opiece, powiedziałyby moja mama — mruknął Sean. — Tyle że nie ma co na to liczyć.

— Wychował się pan w katolickiej rodzinie? — David zauważył, że w przeciwieństwie do innych irlandzkich domów, w których bywał, nie było tu żadnych katolickich obrazków.

— Oboje się wychowaliśmy — odparła Eileen. — A pan?

— Moi rodzice byli niewierzący.

Na jej twarzy odmalował się smutek.

— Jak ktoś może być członkiem Kościoła katolickiego po tym, gdy jego hierarchowie poparli wszystkie faszystowskie reżimy: w Hiszpanii, we Włoszech, w Chorwacji?

Sean pokiwał głową.

— Irlandia też nie jest rajem — powiedział. — Widział ktoś z was ten film, który papież nakręcił przed kilku laty?

— Ja widziałem — odparł David. — Pius Dwunasty spacerujący po swoim ogrodzie, pokazujący wszystkim, jak troszczy się o pokój. Jakby w ogóle nie żył na tym świecie.

— Żyje na nim. Mało tego — mruknął Sean. — Pomógł go zbudować. Dlatego pokazują go teraz nawet w brytyjskiej telewizji.

Pod koniec wiadomości puścili długi wywiad z premierem na temat nowych zredukowanych taryf celnych w Europie. Beaverbrook był zadziorny i pełen optymizmu, a dziennikarz jak zwykle uniżony. O deportacjach Żydów w ogóle nie wspomniano. Premier oznajmił, że w trakcie ostatniej wizyty nawiązał bardzo dobre relacje z doktorem Goebbelsem, i chwalił wszystko, co minister propagandy zrobił dla Niemiec.

— Goebbels przez cały czas rośnie w siłę — powiedział Sean. — Ciekawe, z kim sprzymierzy się po śmierci Hitlera, z Himmlerem czy Speerem?

— Beaverbrook wystawia Goebbelsowi polisę ubezpieczeniową — zgodził się z nim Ben. — Założę się, że to Goebbels kazał mu obiecać, że pozbędzie się Żydów. W ramach osobistej przysługi.

David poszedł na górę i zajrzał do Franka, który siedział na materacu, masując chorą rękę.

— Bolał mnie dzisiaj palec — oznajmił, krzywiąc się i podnosząc wzrok. — Nie lubią deszczowej pogody.

— Miejmy nadzieję, że za dzień albo dwa już nas tu nie będzie.

— Dokąd jedziemy?

— Dowiemy się w stosownym czasie — odparł David.

— Natalia weszła do mnie i przez chwilę rozmawialiśmy — powiedział Frank. — Jest miła, rozumie dużo rzeczy. Mówiła mi o swoim bracie. On też miał problemy. Kobiety na ogół nie rozumieją tych spraw, potrafią być jeszcze gorsze od mężczyzn. Ale ona jest inna, prawda?

David uśmiechnął się.

— Tak. Jest wyjątkowa.

— Opowiedziałem jej o mojej szkole. — Frank zerknął na swoją dłoń. — Zastanawiam się czasem, jak wyglądałoby moje życie, gdyby matka nie poznała pani Baker i gdybym nie trafił do Strangmans. W Ameryce jest fizyk, który uważa, że nasz świat jest jednym z miliona równoległych światów istniejących

obok siebie i różniących się małymi szczegółami. Może są wśród nich świąty, gdzie wszyscy są szczęśliwi. — Nagle sposepniał. — I takie, gdzie wszyscy zginęli w wybuchu bomby atomowej. Staram się o tym nie myśleć.

— Żyjemy w takim świecie, w jakim żyjemy — odrzekł David. — To złe miejsce, ale musimy dać z siebie wszystko.

— To samo powiedziała Natalia.

— Prześpię się tutaj, kiedy Ben obejmie wartę. Niech Natalia odpocznie trochę w moim pokoju.

— Ja też zaraz idę spać.

— Pójdę zapalić ostatniego papierosa, a ty przygotuj się do snu.

— Dobrze. — Na ustach Franka znów pojawił się łagodny uśmiech. — Dziękuję, Davidzie — powiedział. — Dziękuję za wszystko.



Przechodząc obok pokoju, w którym odpoczywała Natalia, David usłyszał jakieś ciche odgłosy. Zawahał się i zapukał lekko do drzwi. Zawołała, żeby wszedł. Siedziała na skraju materaca, na którym spał ostatniej nocy, i szcztokowała włosy. Uśmiechnęła się do niego.

— Nie możesz zasnąć? — zapytał.

— Nie. Normalnie potrafię zasnąć wszędzie, ale nie dziś wieczorem.

— Myślałem o tym, co mówiłaś wczoraj. — David zamknął drzwi. — Masz rację. Powiem ludziom, że jestem Żydem. Ale chcę, żeby moja żona dowiedziała się o tym pierwsza.

Natalia spojrzała na niego.

— Czy to będzie dla niej wstrząs?

— Nie sądzę. Nie wiem. Ale zależy jej, żeby nie było między nami więcej sekretów, więc chcę powiedzieć jej pierwszej.

— To wydaje się właściwe.

David potrząsnął głową.

— Po śmierci naszego syna... to dziwne, uważa się, że tragedia zbliża do siebie ludzi, ale często dzieje się odwrotnie.

— Mój mąż też miał przede mną sekrety. Mówiłam ci, że służył w niemieckim wywiadzie wojskowym, pamiętasz? W Abwehrze?

— Tak.

— Pod koniec czterdziestego drugiego roku wysłano go do Anglii. To było w tym samym roku, kiedy widzieliśmy latem pociąg z Żydami. Wzięliśmy ślub

w Berlinie, tuż przed jego wyjazdem. Wkrótce potem zginął mój brat. Gustav był szyfrantem w Senate House.

— Czy Abwehra nie została rozwiązana? Mówiło się o jakimś spisku na życie Hitlera.

— Owszem. W czterdziestym trzecim. Nie wiem, jakie Niemcy stworzyliby ci oficerowie... — Natalia uśmiechnęła się — na pewno byłby to jakiś staroświecki i porządny kraj. Gustav był bardzo staroświeckim mężczyzną.

— Czy był zamieszany w spisek?

— Tak. Nigdy nie otrząsnął się po tym, jak zobaczył tych Żydów w pociągu. Ktoś zdradził spiskowców, nigdy nie dowiedzieliśmy się kto. Wielu oficerów Abwehry zostało straconych. Innych, co do których winy naziści nie byli pewni, wysłano na Wschód. Już stamtąd nie wrócili. Podejrzewano nawet Rommla, ale nigdy mu nic nie udowodniono.

— Jak odkryłaś, że twój mąż był w to zamieszany?

— Kiedy wyjechał do Rosji, ja zostałam tutaj. Tak to załatwił. — Natalia głęboko westchnęła. — A potem pewnego dnia, niedługo po tym, jak zginął na froncie w czterdziestym piątym, skontaktował się ze mną tutejszy ruch oporu. To było we wczesnym okresie ich działalności, Churchill nadal był w parlamencie, ale widział, co się kroi. Stworzyli już siatkę sympatyków, ludzi, którzy dostarczali im informacji. A ja pracowałam jako tłumaczka, miałam styczność z wieloma Niemcami, którzy tu przyjeżdżali. Ruch oporu był w kontakcie z moim mężem, rozumiesz, Gustav współpracował z nimi, stał się, jak to mówicie, podwójnym agentem. Powiedział im, że jeśli coś mu się stanie, będę skłonna im pomóc. Chciał mnie chronić, tak jak ty chcesz chronić swoją żonę. I zależało mu chyba, żebym wiedziała, że nie zgadzał się z nazistami. — Natalia uśmiechnęła się ze smutkiem do Davida. — Jak widzisz, ja też miałam do czynienia z sekretami i dzielnymi ludźmi.

— I postanowiłaś wstąpić do ruchu oporu? — Prowadziła to niebezpieczne życie już od siedmiu lat, pomyślał.

— Tak. Bo nic mi nie zostało. I chciałam się na nich odegrać. Za Gustava, za mój rozbity kraj, za mojego brata. Zależało mi także, żeby położyć kres tej nacjonalistycznej gorączce w Europie. Więc nie chodziło tylko o zemstę. Chciałam czegoś lepszego, lepszego świata.

David wbił wzrok w podłogę.

— Frank powiedział mi właśnie, że chyba go rozumiesz. Przypuszczam, że to z powodu twojego brata.

Natalia pokiwała bez słowa głową.

— Przykro mi — rzekł cicho. — Zabrali ci wszystko, prawda?

Zobaczył w jej oczach łzy, ale po chwili dzielnie się uśmiechnęła.

— Gustav i ja spędziliśmy z sobą szczęśliwe chwile — powiedziała. — Z bratem, Peterem, też przeżyliśmy dobre lata, jeszcze przed wojną. Bratysława była wtedy kosmopolitycznym miastem, a my stanowiliśmy jego część. Studiowaliśmy na uniwersytecie. W tym pięknym starym mieście nad Dunajem — dodała, wzdychając. — Trochę je idealizuję; było także brudne i biedne. Ale w naszych kręgach, wśród naszych przyjaciół nie miało znaczenia, czy w twoich żyłach płynie węgierska, żydowska, słowacka, niemiecka, czy tatarska krew. Każdy ma w sobie jakąś domieszkę. W dziewiętnastym wieku brak narodowej tożsamości był czymś zupełnie normalnym we wschodniej Europie. Dopiero potem nacjonalizm sprawił, że stało się to niebezpieczne.

David wahał się przez chwilę i w końcu usiadł obok niej na łóżku.

— My, Anglicy, uważamy się za wyjątkowych — powiedział.

— To jest ta część waszej kultury, którą dzielicie z Niemcami. Tradycja wielkiego imperialnego narodu. W latach trzydziestych myśleliście pewnie, że w Wielkiej Brytanii faszyzm nigdy nie przejdzie; demokracja miała u was długie tradycje i czuliście się, jak powiedziałeś, wyjątkowi. Ale nie mieliście racji; w sprzyjających okolicznościach faszyzm może zarazić każdy kraj, karmiąc się już istniejącym nacjonalizmem i nienawiścią. Nikt nie jest bezpieczny.

— Wiem.

— Na Słowacji mamy własnych małych faszystów. Ludzi, dla których nacjonalizm jest wszystkim.

— Wasz przywódca jest księdzem.

— Tak. Wielebny Tiso. Partia rządząca łączy elementy faszystowskie i katolickie. Watykan i faszyci współpracują z sobą prawie w całej Europie. Jedni i drudzy lubią porządek. Chociaż kiedy deportowano Żydów, część katolickich księży protestowała. — Natalia pokręciła ze zdziwieniem głową. — Podczas gdy inni twierdzili, że Żydzi zasłużyli na swój los. Mój mąż, Gustav, był katolikiem, wiesz, dobrym katolikiem — powiedziała i odwróciła się do Davida. — Dobrym człowiekiem tak jak ty.

Zawahała się i położyła dłoń na jego dłoni. I tym razem David zareagował. Pochylił się do przodu i ją pocałował.

Rozdział czterdziesty czwarty

Od przybycia do domu Seana i Eileen Frank po raz pierwszy od tygodnia przez długie godziny nie myślał o śmierci. Siedząc z innymi, rozmawiając z nimi, czuł, jak wzbierają w nim ciepłe uczucia do ludzi, którzy narażali dla niego życie. Z początku bał się Seana, ale później ten przeprosił go za swoje zachowanie — Frank nie pamiętał, by kiedykolwiek spotkało go coś podobnego. Tamtego popołudnia, grając z nimi w salonie, właściwie zapomniał o grożącym mu ciągle niebezpieczeństwie, odrobinę się odprężył. Po obiedzie leki sprawiły, że poczuł się zmęczony. Poszedł na górę i trochę się zdrzemnął.

Obudziło go ciche pukanie do drzwi.

— Tak?

Do środka weszła ta kobieta, Natalia. Frank uśmiechnął się do niej nerwowo.

— Jak się czujesz? — zapytała.

— Nie najgorzej.

Oparła się o ścianę i spojrzała na niego. Ocenia mnie, pomyślał, ale robi to z sympatią.

— Musiało ci być bardzo ciężko — powiedziała cicho. — Od tego incydentu z twoim bratem. Lecz ucieczka na polu nie była w porządku.

— Wiem. Naraziłem was wszystkich na niebezpieczeństwo. Ale uważałem, że nie uda nam się wymknąć Niemcom.

Natalia uśmiechnęła się i rozłożyła ręce.

— A jednak dotarliśmy aż tutaj. I słyszałeś, co mówiła Eileen, okręt podwodny czeka, żeby nas zabrać. Z każdym dniem, Frank, mamy większe szanse. A ty zdążyłeś się już zmienić.

— Co przez to rozumiesz?

— Obserwowałam cię w ciągu tego tygodnia. Zaraz po tym, jak zabraliśmy cię ze szpitala, chodziłeś skulony, o mało się nie przewracałeś. To się już zmieniło. I wysławiasz się w bardziej... — uśmiechnęła się — ...bezpośredni sposób.

— Naprawdę? — Chciał jej wierzyć, chciał odzyskać nadzieję, ale nie było to łatwe. — Skąd pochodzisz? — zapytał, zmieniając temat.

— Ze Słowacji. Stanowiła kiedyś część Czechosłowacji, pamiętasz, tego kraju, który pan Chamberlain oddał Hitlerowi.

— Zawsze byłem przeciwko polityce appeasementu. Rozmawialiśmy o tym z Davidem i Geoffem na uniwersytecie.

Natalia wyjęła papierosy.

— Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

— Nie. Uciekłaś ze swojego kraju?

— Miałam szczęście. Poznałam Niemca, dobrego Niemca. Przyjechałam z nim do Anglii. Po jego śmierci postanowiłam pomagać ruchowi oporu.

— Poznałaś na pewno również nazistów. Mówią, że są naszymi przyjaciółmi, ale nigdy w to nie wierzyłem.

— Niemcy, w tym duża część niemieckiej armii, dali się uwieść szaleńcowi. Ale są również realistami, wiedzą, że nie uda im się podbić całej Rosji. Moim zdaniem po śmierci Hitlera dojdzie do walki między armią i SS. I to będzie szansa dla ruchu oporu w całej Europie — dodała z uśmiechem.

— Niemcy nigdy nie mogą poznać mojego sekretu — powiedział Frank. — Chyba to rozumiesz.

Natalia pokiwała z powagą głową.

— Tak. Musi ci być ciężko z brzemieniem takiej tajemnicy.

— Ale ty nie wiesz, czego dotyczy, prawda? — zapytał z nagłym niepokojem.

— Nie.

— Masz przy sobie kapsułkę z trucizną tak jak David? — zapytał po chwili.

— Tak.

— Prosiłem go, żeby zapytał cię, czy też mogę taką dostać.

Natalia pokręciła głową.

— Niestety, muszę ci odmówić. Ale jeśli wpadniemy w łapy Niemców, obiecuję ci, że nie wezmą nas żywych — powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. Podziwiał ją za to, że nie owijała niczego w bawełnę.

— Wy też musicie myśleć o śmierci, wy wszyscy — rzekł. — O nagle zapadającym mroku, końcu istnienia. Lub o niebie, o tym, że będziecie przechadzać się po niebiańskich ogrodach z Jezusem. — Frank gorzko się roześmiał. — Albo o piekle. Kiedy pomyślę, jakie życie daje nam Bóg, ile jest strasznych rzeczy, przed którymi nie ma ucieczki, dochodzę do wniosku, że po śmierci chętnie wtrąciłby nas do piekła.

— Moim zdaniem wszyscy zobaczymy po prostu mrok.

— Prawdę mówiąc, ja też tak myślę.

— Mogę usiąść? — zapytała Natalia.

— Oczywiście.

W pokoju nie było krzeseł, dlatego usiadła na podłodze naprzeciwko niego, opierając się plecami o ścianę.

— Dlaczego chcecie, żebym przeżył? — spytał Frank.

— Powiedziano nam, że tego chcą Amerykanie. Chcą, żebyśmy cię uratowali i dostarczyli na wybrzeże.

— Nie jesteś ciekawa? Ty i ludzie z ruchu oporu? Nie interesuje ich, co wiem?

Natalia uśmiechnęła się.

— Powiedziano nam, żebyśmy cię nie pytali. A ruch oporu przypomina wojsko, jesteśmy żołnierzami, słuchamy rozkazów.

— I zabijacie ludzi, tak jak robią to żołnierze, tak? Te historie o podkładaniu bomb i zabójstwach są prawdziwe?

— Wolalabym, żeby można było działać inaczej. Ale inne metody zostały uniemożliwione.

— Sama też kogoś zabiłaś?

Natalia nie odpowiedziała.

— To mój brat, on wszystko wywołał — powiedział Frank. — On naraził nas wszystkich na niebezpieczeństwo.

— Ja też miałam brata — odparła z uśmiechem.

— Naprawdę?

— Tak. Nie był podobny do twojego. Byliśmy z sobą blisko. Ale miał, jak to mówią, problemy z głową. Nie potrafił sobie poradzić ze światem. W młodości był bardzo pewny siebie, ale obawiam się, że w głębi duszy zawsze dręczył go lęk.

— Czy trafił do szpitala tak jak ja?

— Nie.

— Mój brat Edgar też był pewny siebie. Wszystko szło po jego myśli. Takie w każdym razie można było odnieść wrażenie.

Uśmiechnęła się do niego zachęcająco. I ku swojemu zaskoczeniu Frank zaczął opowiadać jej o swoim dzieciństwie, o bracie i matce, o pani Baker, a potem o szkole. Nigdy nie rozmawiał z nikim o tych sprawach, tak jak to robił teraz z Natalią. Bo ona słuchała go, wierzyła mu i niczego nie oceniała.

— Zawsze się bałem, tak jak twój brat — powiedział na koniec.

— Ale ty naprawdę miałeś się czego obawiać — odparła. — Z moim bratem było inaczej. Tak naprawdę nie miał żadnych powodów do obaw. Przynajmniej przed wybuchem wojny.

— Jaki był?

Uśmiechnęła się.

— Peter był ode mnie dwa lata starszy. Miał tatarskie oczy jak ja i jasne włosy jak nasza matka, w której żyłach płynęła niemiecka krew. Był mieszańcem. Pięknym mieszańcem. Dużym, hałaśliwym chłopcem, który zawsze wpadał w kłopoty. Ale wszyscy mu wybacжали, bo nigdy nie skrzywdziłby muchy. Kochały go wszystkie dziewczęta.

Frank lekko się skrzywił. To brzmiało zbyt pięknie, żeby było prawdziwe. Natalia zauważyła wyraz jego twarzy i uśmiechnęła się.

— To prawda, wszyscy go kochali. Ja go uwielbiałam. Ale czasami stawał bez ruchu w pokoju i wyglądał, jakby się strasznie bał. Pytałam, o co chodzi, a on odpowiadał: „Nic, tylko się zastanawiam”. Nasza matka zmarła zaraz po tym, jak zaczął studia, i to pogorszyło jego stan. Ja chodziłam jeszcze wtedy do szkoły.

— Przykro mi.

— Zmarła na zawał serca. Pamiętam, że któregoś dnia po jej śmierci weszłam do naszego salonu i Peter stał tam, wyglądając przez okno i zaciskając mocno dłonie. Miał łzy w oczach i tę swoją wystraszoną minę. Zapytałam, co się stało. „Wszyscy jesteśmy w swoim życiu sami, Natalio”, odparł. „Nic nie ma sensu, nikt nie jest bezpieczny. Coś może się nagle wydarzyć i zniszczyć nas tak, jak zniszczyło matkę, a my nie możemy na to nic poradzić. Przez całe życie stąpamy po cienkim lodzie, który w każdej chwili może się załamać i wtedy wpadniemy w otchłań”, powiedział, pamiętam to dokładnie. Widzę go teraz przed oczyma, jak stoi, wyrzucając z siebie te słowa, a za naszym oknem rozciąga się czysty błękit nieba. — Natalia nagle przerwała. — Przepraszam, nie chciałam cię denerwować.

— Cienki lód. Zgadza się. Zawsze o tym wiedziałem.

— Może wszyscy o tym wiemy. Ale wszyscy musimy mieć nadzieję, że się nie załame. — Natalia westchnęła. — W przeciwnym razie tak jak Peter albo twoja matka będziemy szukali ocalenia w jakiejś obłąkanej teorii, będziemy szukali w świecie jakiegoś wzoru, który w rzeczywistości nie istnieje.

— A w co uwierzył Peter?

— W komunizm. Zaraz po śmierci naszej matki wstąpił do partii. Wielu ludzi w Europie nawróciło się w tamtych latach na faszyzm albo komunizm. Peter został komunistą i przez jakiś czas był o wiele szczęśliwszy. Wydawało mu się, że znalazł klucz do historii. Faszyści uważali oczywiście, że też go znaleźli, w idei narodowości. Peter skończył uniwersytet, namalował parę obrazów... był malarzem tak jak ja, choć znacznie lepszym. Przed wstąpieniem do partii stworzył kilka znakomitych dzieł, surrealistycznych. Odzwierciedlały chyba zamęt panujący w jego głowie. Ale później zaczął projektować partyjne plakaty, z robotnikami o kwadratowych szczękach i hożymi dziewczętami, które machały

sierpami... — Natalia roześmiała się. — Nasz ojciec był kupcem. Wpadł we wściekłość, kiedy Peter został komunistą.

— Ja nigdy w nic tak naprawdę nie wierzyłem — stwierdził ze smutkiem Frank.

— Wierzyłeś w naukę. Pracowałeś na uniwersytecie.

— Wierzyłem? Interesowałem się nauką — sprostował Frank. — W moim dawnym życiu pracowałem, jadłem, spałem. Czytałem magazyny i książki fantastycznonaukowe. Miałem mieszkanie w Birminghamie. Raczej go już nie zobaczę.

— Peter zamieszkał w fantastycznonaukowej powieści pod tytułem komunizm — oświadczyła z nagłą goryczą Natalia. — Wydawało mu się, że w Rosji widzi przyszłość ludzkości, jej prawdziwy sens. No i potem tam pojechał. Z oficjalną wycieczką. Ja byłam wtedy w Londynie, studiowałam anglistykę.

— Dlatego tak dobrze mówisz po angielsku.

Natalia zapaliła kolejnego papierosa.

— Pamiętam, że jak wróciłam, Peter szykował się do swojego wyjazdu do Moskwy, myślał tylko o tym, mówił, że może nawet tam wyemigruje. Ale kiedy tam przyjechał, pewnego dnia odłączył się, jak to on, od wycieczki i zaczął na własną rękę zwiedzać Moskwę. Komuniści wyburzali wtedy stare miasto i stawiali wielkie domy mieszkalne, jasne i białe, żeby mogli w nich zamieszkać przyszli robotnicy.

— Tutaj też zaczynają je budować. Wysokościowce.

— Te bloki stały niedaleko miejsca, w którym Peter się zatrzymał, były nowe, nie ułożono nawet przy nich chodników. Peter opowiadał mi, jak brnął przez błoto, a potem wszedł do jednego z bloków. Powiedział, że to było nie do opisania, wszędzie brud, ludzie korzystali z jednej jedynej toalety na całym piętrze. W każdym mieszkaniu gnieździło się wiele rodzin, czasami dwie w małym pokoju, a pomieszczenia przedzielone były tylko lichym przepierzeniem. Wszyscy klęli i się kłócili; kiedy tam wszedł, obrzucili go przekleństwami. I po tym, jak zobaczył wnętrze tego bloku i w jakich warunkach ludzie mieszkają w tym komunistycznym rajku, coś się w nim odmieniło.

Frank wyobraził sobie Petera brnącego przez błoto moskiewskiego placu budowy.

— Biedny człowiek — powiedział.

— Tak. Biedny Peter. Nie wiem, co spodziewał się tam zobaczyć, pałac? — W jej głosie rozbrzmiewał gniew. — Miał przez to nieprzyjemności z organizatorami wycieczki. Całe szczęście, że miał zagraniczny paszport. To było w trzydziestym siódmym roku, w najgorszym okresie stalinowskich czystek.

Po powrocie do Bratysławy wystąpił z partii i coraz więcej czasu spędzał w domu, sam w swoim pokoju.

— Pokój, dom jest miejscem, w którym można się ukryć, prawda?

— Tak. — Natalia wypuściła z ust obłoczek dymu i westchnęła. — Tymczasem na świecie działo się coraz gorzej. W następnym roku Hitler zajął Sudety, a w trzydziestym dziewiątym zrobił ze Słowacji niepodległe marionetkowe państwo. A potem wybuchła wojna. Ojciec był już wtedy na emeryturze, ale miał pieniądze, a ja pracowałam jako tłumaczka, więc mogłam się zaopiekować Peterem. Zajmowałam się nim przez dwa lata. Ojciec też pomagał, ale był stary i niewiele rozumiał.

— Peter miał szczęście, że ktoś się nim zaopiekował.

— Robiłam, co mogłam. W czterdziestym pierwszym Niemcy napadli na Rosję. Słowacki rząd wysłał żołnierzy, żeby im pomóc. Mojego brata powołano do wojska. Był młody i sprawny fizycznie, nie obchodził ich jego stan psychiczny. Przebył całą drogę bojową na Kaukaz. Wrócił ze strzaskaną nogą. Noga się zagoiła, ale ślad, jaki to zostawiło w jego psychice... — Natalia pokręciła głową. — Panicznie bał się, że ktoś po niego przyjdzie. Komuniści, faszyci, księża... nie wiem kto, ktokolwiek. Ojciec zmarł, kiedy Peter był na wojnie. W końcu mój brat wyskoczył przez okno. — Natalia popatrzyła twardo na Franka. — To było straszne, co mi zrobił.

— Nie potrafił dalej żyć ze swoim lękiem — odparł Frank.

— Cały świat musi się teraz nauczyć przewycięzać lęk. — Natalia podniosła się i chrupnęło jej w kolanach. Frank uświadomił sobie, że jest w tym samym wieku co ona; nie była już taka młoda. — Przepraszam — powiedziała. — Nie chciałam mówić o tych wszystkich smutnych rzeczach.

— Nie szkodzi.

Podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Mgła wcale się nie zmniejszyła, była tak samo gęsta i lepka, niemal płynna; nic nie majaczyło w ciemności.

— Nie widać, żeby to się miało skończyć — zakomunikowała i odwróciła się do niego z uśmiechem. — Dziękuję.

— Za co mi dziękujesz? — zapytał zaskoczony.

— Że zrozumiałeś, co się działo z Peterem.



Czy jej brat był rzeczywiście do mnie podobny, zastanawiał się Frank po jej wyjściu. Zrobiło na nim wrażenie, że mówiła o Peterze tak otwarcie. A potem zjrzał do niego David. Frank próbował z powrotem zasnąć, ale nie był w stanie,

bez przerwy wracał myślą do rozmów, które odbył tego dnia. W końcu postanowił zejść na dół. Mijając drzwi sąsiedniego pokoju, z zaskoczeniem usłyszał prowadzoną półgłosem rozmowę. Czy mówili o nim? Stał przy drzwiach.

— Potrzebujesz kobiety tak samo jak ja potrzebuję mężczyzny — usłyszał cichy głos Natalii i odsunął się od drzwi. Poczł się nagle zdradzony. Ogarnęła go zazdrość i poczucie straty, a potem zapadł z powrotem w odrętwienie.



Na dole Ben siedział razem z Eileen i Seanem. Grali w karty.

— Wszystko w porządku? — zapytał, podnosząc wzrok. — Myślałem, że śpisz.

— Nie, nie. Nie mogłem usiedzieć w miejscu.

Ben bacznie mu się przyjrzał.

— Na pewno dobrze się czujesz?

— Tak.

— Trochę za wcześnie na ostatnią dzisiejszą tabletkę. Dam ci ją za godzinę, łatwiej ci będzie zasnąć.

— Może napijesz się herbaty? — spytała z uśmiechem Eileen. — I zjesz kawałek ciasta?

— Nie, nie, dziękuję. Gdzie jest Geoff?

Wskazała mu drzwi do pokoju od frontu.

— Poszedł się zdrzemnąć. Może zajrzysz i zobaczysz, jak się czuje?

Frank otworzył drzwi. Czuł na plecach ich wzrok. W pokoju paliło się światło. Geoff drzemał w fotelu, ale kiedy Frank wszedł do środka, obudził się i zakaszłał.

— Przepraszam. Obudziłem cię?

— Nie spałem głęboko. — Geoff wyprostował się w fotelu i znowu zaniósł się ostrym chrapliwym kaszlem. Nie wyglądał dobrze, na czole perlił mu się pot.

— Która jest godzina?

— Dziewiąta. Jak się czujesz?

— Podle. — Geoff popatrzył na Franka. — A ty? Jakoś się trzymasz?

— Tak, chyba tak. Trochę drapie mnie w gardle, ale nie jest gorzej, niż było.

— Chyba pójdę do swojego pokoju i się położę — mruknął Geoff.

Frank podniósł rękę.

— Nie, lepiej nie... — zająknął się, szukając odpowiednich słów. — Jeszcze nie teraz.

Geoff posłał mu zdumione spojrzenie.

— Dlaczego?

— Są tam chyba David i Natalia. — Frank poczuł, że się czerwieni. — Razem.

Geoff pokiwał ze zrozumieniem głową i smutno się uśmiechnął.

— Zastanawiałem się, czy coś się między nimi nie dzieje. Dzięki za ostrzeżenie. Ale nie przyszłoby mi do głowy, że... — Geoff zmarszczył brwi i popatrzył Frankowi prosto w oczy. — Słuchaj, jeśli spotkamy się z Sarah, żoną Davida, nie wolno ci nic mówić. David i Natalia... cóż, takie rzeczy zdarzają się, kiedy wszyscy są stłoczeni razem i żyją w napięciu...

— Nic nie powiem. Obiecuję.

Geoff opadł z powrotem na fotel.

— W takim razie chyba zostanę tu jeszcze przez chwilę.

— David i Natalia — mruknął Frank. — Jego żona... Nie powinni...

— Kim jesteśmy, żeby ich osądzać?

Frank spuścił wzrok.

— No nie wiem.

— Zaledwie przed piętnastu laty ty, ja i David studiowaliśmy razem na uniwersytecie — rzekł Geoff. — To był zupełnie inny świat, prawda?

— Tak, zupełnie.

Geoff uśmiechnął się.

— Pamiętasz ten dzień, kiedy siedzieliśmy wszyscy w pubie i ten hałaśliwy idiota z naszego college'u, zapomniałem już, jak się nazywał, dowodził, że Hitler chce tylko obudzić w Niemczech narodowego ducha, chce tylko odzyskać terytoria, które są historycznie niemieckie i ma do nich prawo...

— Nazywał się Carter — powiedział Frank.

— Zgadza się. A ty odparłeś: „To nie są terytoria, to są miejsca, gdzie żyją ludzie, i to oni są najważniejsi”. Pamiętam, że Carter po prostu siedział i się na ciebie gapił. Zdziwiło go chyba, że stawiałeś mu czoło.

— Pamiętasz to po tylu latach?

— O tak. Pamięć...

Geoff przerwał nagle, kiedy od frontowych drzwi dobiegł ich potężny huk. Frank odwrócił się tak gwałtownie, że o mało nie stracił równowagi. Hałas rozległ się ponownie. Geoff poderwał się z fotela i otworzył drzwi do holu. Sean wybiegł z salonu i z pistoletem w ręku stanął naprzeciwko frontowych drzwi, które na ich oczach pękły i otworzyły się na oścież. Z mgły wyłoniło się trzech uzbrojonych mężczyzn. Dwaj byli w mundurach pomocniczych formacji policji. Jeden trzymał w ręku młot, drugi pistolet. Trzeci mężczyzna był w cywilnym ubraniu i ku swojemu przerażeniu Frank rozpoznał w nim Syme'a, wysokiego,

chudego gliniarza, który złożył mu wizytę w szpitalu. On też trzymał w ręku broń. Sean strzelił do umundurowanego policjanta z pistoletem. W zamkniętej przestrzeni huk o mało ich nie ogłuszył. Policjant, z którego szyi trysnęła krew, przewrócił się na pozostałych dwóch, zwalając ich z nóg i blokując wejście, ale facet w cywilnym ubraniu zdążył strzelić do Seana i wielki Irlandczyk runął na podłogę, której deski zdrząły pod jego ciężarem.

Frank stał jak sparaliżowany. Wykorzystując to, że dwaj intruzi zmagali się w progu ze zwłokami swojego martwego kolegi, Geoff złapał go za ramię i wepchnął przez otwarte drzwi do salonu. Stał tam Ben, również z pistoletem w ręku. Musieli trzymać broń w szufladach pod stołem. Eileen patrzyła szeroko otwartymi oczyma na ciało męża. Frank zerknął na jego twarz: niebieskie oczy, których spojrzenia tak się z początku obawiał, były teraz nieruchome i martwe.

Na schodach zadudniły kroki i zobaczył zbiegających na dół Natalię i Davida. David gorączkowo zapinał ubranie, co w innych okolicznościach mogłoby się wydać śmieszne. Natalia trzymała w ręku pistolet. Syme i drugi policjant wdarli się do holu i obaj podnieśli broń, ale Natalia strzeliła pierwsza. Sekundę później zrobił to Ben, stając w drzwiach do salonu. Nie trafili Syme'a, ale Natalia postrzeliła w ramię mundurowego, który wrzasnął i zachwiał się na nogach. Przed domem zawyła policyjna syrena.

Geoff z Frankiem byli już w głębi salonu. Natalia i David wbiegli tam za nimi, David zatrzaskał drzwi.

— Uciekajcie tylnym wyjściem! — zawołała głośno Eileen. Geoff chwycił Franka za rękę i pociągnął go za sobą do kuchni. Inni złapali ciężki stół i zastawili nim drzwi do holu, do których podbiegał już policjant w cywilu. Do domu wpadali kolejni funkcjonariusze; za chwilę mogli je wyważyć. — Uciekajcie! — powtórzyła Eileen.

Ben otworzył ostrożnie tylne drzwi. Na zewnątrz nie widać było nic prócz mgły. Mogli się w niej kryć uzbrojeni policjanci, ale nie było innej drogi ucieczki. W domu przybywało napastników, którzy usiłowali wyważyć drzwi do salonu. Frank obejrzał się i zerknął na Eileen. Ta uśmiechnęła się słabo, sięgnęła za dekollet, wyciągnęła coś stamtąd i wsadziła sobie do ust. Zdążył zobaczyć, jak pada wstrząsana konwulsjami.

Tylne drzwi były do połowy otwarte. Ben wyjrzał przez nie z pistoletem w ręku i dał znak innym, żeby się cofnęli. Frank oczekiwał, że za chwilę z mgły wyłonią się niebieskie mundury, ale nic takiego się nie stało. Ben wziął głęboki oddech i trzymając w obu dłoniach pistolet, wyskoczył na dwór. David i Natalia wyszli w ślad za nim. Geoff wyciągnął Franka na dwór i zatrzaskał drzwi, żeby światło z kuchni nie padało na zewnątrz. Wcześniej wyjął klucz z drugiej strony i teraz przekręcił go w zamku.

Stanęli na podwórku, w ciemności i mgle. Nagle coś błysnęło i padł strzał. Stojący przy Franku Geoff krzyknął, przewrócił się i puścił jego rękę. Krew trysnęła mu z piersi, zadygotał raz i drugi, a potem znieruchomiał. Oboje, Ben i Natalia, strzelili na oślep w mrok i Frank usłyszał, jak ktoś pada, jęcząc i klnąc. Tyłu domu musiał pilnować tylko jeden policjant. Chwilę później Ben złapał Franka za rękę i pociągnął go przez podwórko.

— Geoff! — krzyknął Frank.

— Geoff nie żyje! — odparł Ben.

Nagle zamajaczył przed nimi ceglany mur. Stał przy nim duży metalowy pojemnik na śmieci. David pomógł wdrapać się na niego Natalii, która przeskoczyła przez mur. David poszedł w jej ślady. Za sobą usłyszeli łoskot wyważanych drzwi.

— Chodź! — wrzasnął Ben. Wdrapał się na mur, po czym pochylił się, chwycił Franka pod pachy i pociągnął w górę. Frank przywarł do muru, w każdej chwili spodziewając się kuli w plecy, mając nadzieję, że padnie strzał. Przyczajony na szczycie muru Ben strzelił w stronę domu.

— Przełaź, do kurwy nędzy! — wrzasnął mu prosto do ucha i przeciągnął go na drugą stronę.

Frank upadł na mokry bruk alejki z tak dużej wysokości, że zabrakło mu tchu. Ben i David podnieśli go i powlekli za sobą w stronę ulicy, gdzie kłębiła się żółtoszara masa dławiącej mgły. Rozległy się kolejne strzały, w ciemności przed sobą zobaczyli błyski. Na ulicy czekali na nich kolejni policjanci. Frank wpadł na ścianę i otarł sobie ramię. Ben trzymał go za drugą rękę, ale jego uścisk zelżał, kiedy oddawał kolejny strzał. Wszyscy strzelali na oślep, nikt nic nie widział. Frank usłyszał za sobą jakiś hałas: to byli na pewno Syme i inni policjanci. Przeskoczyli przez mur posesji i deptali im po piętach.

Wyrwał się Benowi. Ogarnęła go skrajna panika — w uszach rozbrzmiewały mu strzały, przed oczyma widział padających Seana i Geoffa, i wstrząsane konwulsjami ciało Eileen. Nie byli w stanie go ocalić, zaraz ich złapią, wiedział o tym od samego początku. Odwrócił się i pobiegł na oślep w mgłę.

Rozdział czterdziesty piąty

Frank myślał tylko o tym, by zniknąć, rozpuścić się we mgle. Pędząc na oślep z wyciągniętymi przed sobą rękoma, poczuł nagły ból w kręgosłupie, gdy niewiele widząc, zbiegł z krawężnika na jezdnię. Za sobą słyszał kolejne strzały i dźwięk policyjnego gwizdka. Obejrzał się, ale nie sposób było dostrzec, kto do kogo strzela, widział tylko niewyraźne, majaczące w mroku kształty, które sekundę później zniknęły. Po chwili dotarł do chodnika po drugiej stronie ulicy, potknął się o krawężnik i zaczął macać przed sobą rękoma. Dotknąwszy ściany, ruszył dalej, starając się iść tuż przy niej, a potem wzdłuż mokrego żywopłotu. Usłyszał ponownie policyjny gwizdek, tym razem dobiegający z większej odległości. Na rogu skręcił i szedł aż do momentu, gdy chwycił go atak kaszlu. W powietrzu unosił się okropny odór. Pochylił się nad żywopłotem, próbując złapać oddech. Rozległy się kolejne strzały, ale dobiegały z daleka.

Policja włamała się do domu; musiał na nich donieść mały chłopiec z sąsiedztwa. David, Ben i Natalia przepadli, prawdopodobnie już nie żyli; jeśli ich nie zastrzelono, rozgryźli pewnie kapsułki z cyjankiem. Na myśl o tym wstrząsnął nim stłumiony szloch.

Musiał iść dalej, jeśli trzeba nawet przez całą noc. Gdyby tylko mógł coś zobaczyć. Po świcie widoczność się poprawi, ale oznaczało to, że będzie można go łatwiej znaleźć. Chwała Bogu nie wziął swoich wieczornych tabletek; dzięki temu nie był przymulony, nie chciało mu się spać. Będą go szukali w całym Londynie. Nad liniami kolejowymi są mosty, pomyślał. Musiał tylko znaleźć jeden z nich, skoczyć w dół i skończyć z tym wszystkim. Ta myśl go uspokoiła; znowu miał przed sobą jakiś cel. Wiedział już wcześniej, że nie uda im się uciec, głupio zrobił, wyobrażając sobie, że to możliwe. Przypomniał sobie padającego na ziemię Geoffa, tryskającą z jego piersi krew, i znowu zaszlochał.

Na ulicy nie było poza nim nikogo. Dostrzegał niewyraźne kręgi światła przy najbliższych latarniach. Widział tylko, jak kłębiła się wokół nich i falowała mgła. Ludzie nie wychodzili z domów przy tej pogodzie, a tych, którzy zamierzali wyjść, powstrzymał odgłos strzałów. Frank zadrzał; miał na sobie tylko sweter pułkownika Brocka, koszulę i cienkie spodnie, a było bardzo zimno.

Pomyślał o Davidzie i Natalii na pół ubranych, którzy zbiegali po schodach. Teraz cieszył się, że mieli szansę być z sobą, zanim wszystko się skończyło.

Usłyszał zbliżający się jazgotliwy elektryczny dzwonek policyjnej suki i ruszył szybko dalej wzdłuż rosnącego obok żywopłotu. Po chwili dotarł do ociekającej wodą furtki. Sprawiała wrażenie, jakby pokrył ją obfity zimny pot. Otworzył ją, wślizgnął się do małego ogródka i przykucnął po drugiej stronie żywopłotu. Wysoka trawa zmoczyła mu nogawki spodni. Nie wolno mu było nawet pisnąć. Spomiędzy zasłon oddalonego o kilka metrów okna padała wąska smuga światła. Usłyszał zbliżający się samochód. Jechał bardzo powoli. Nie znajdą mnie tutaj, pomyślał, nie za tymi krzakami. Samochód przejechał. Frank nadal tkwił skulony przy żywopłocie, drżąc z zimna. Po kilku minutach ostrożnie wyszedł na ulicę. Miał przemoczone buty i nogawki spodni. Zadrżał, odkaszlnął i ruszył dalej.

Po jakimś czasie dotarł do rogu ulicy. Przed sobą widział lampy przy przejściu dla pieszych, dwie pomarańczowe zapalające się i gasnące kule, których światło było z jakiegoś powodu jaśniejsze od ulicznych latarni. Panowała niezwykła cisza; miał wrażenie, że jest gdzieś na wsi, a nie w środku Londynu. Ostrożnie przeszedł przez ulicę. Była szeroka, musiała należeć do głównych. Po drugiej stronie jego wyciągnięte ręce trafiły na wysoki ceglany mur. Obmacał go. Wysoko nad głową był parapet. To musiał być duży budynek, magazyn albo biurowiec. Może zdoła się dostać do środka i tam ukryć. Macając ścianę, ruszył dalej. Nagle usłyszał przed sobą czyjś głos odbijający się głuchym echem we mgle.

— Idźcie do końca tej ulicy, aż do blokady drogowej!

— To nie ma sensu, sierżancie! Oni mogą być wszędzie!

Oni. Wyraźnie usłyszał słowo „oni”. Zabiło mu szybciej serce i próbował uspokoić oddech. Przynajmniej niektórzy z jego towarzyszy musieli ocaleć. Przed sobą dostrzegł zbliżające się jasne punkciki. Latarki, silne latarki, w snopach ich światła kłębiła się mgła. Macając dłońmi mur, ruszył w przeciwną stronę. Za rogiem zobaczył wysoką żelazną bramę. Między jej prętami widać było kamienne schody. Usłyszał kolejny głos, tym razem bliżej.

— Niech to szlag! Nie wiem nawet, czy znajdę drogę do domu, a co dopiero tych drani!

Dalej jest blokada drogowa, pomyślał, muszę się gdzieś ukryć. Otworzył bramę — na szczęście, nie zaskrzypiała — i wspiął się po schodach. Na ganku były masywne drewniane drzwi. Bał się, że są zamknięte, ale ustąpiły pod naciskiem jego dłoni. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Zorientował się, że jest we wnętrzu ogromnego wiktoriańskiego kościoła z wysokimi witrażami i sklepieniem. W środku nie było nikogo, przy ścianach

palily się słabe żarówky. Rzędy ławek biegły ku odgrodzonemu balustradą ołtarzowi, na którym w ozdobnej złotej puszce paliła się czerwona świeczka. Na ścianach wisały malowidła przedstawiające drogę krzyżową. W środku panował taki sam chłód i wilgoć jak na zewnątrz, ale choć czuć było odór smogu, sama mgła nie dostała się do wnętrza przestronnego budynku.

Frank odwrócił się i zerknął na główne drzwi. Były zamykane na dużą żelazną zasuwę; bardzo powoli i ostrożnie zasunął ją i ponownie rozejrzał się. Po obu stronach nawy zobaczył kilkoro innych drzwi. Jeśli któreś z nich prowadziły na dzwonnice, mógł na nią wejść i rzucić się w dół. Obietnica, którą złożył Dawidowi, że nie odbierze sobie życia, już go chyba nie obowiązywała. Serce biło mu jak oszalałe. Jedyńm znanym mu kościołem była szkolna kaplica; zimna, z bielonymi ścianami i amboną, nad którą wyrzeźbiony był drapieźny orzeł. Pani Baker zabraniała swoim wyznawcom odwiedzać kościoły, nazywała je fałszywymi przybytkami dawnej religii.

Starając się stąpać jak najciszej po kamiennych płytach, podszedł powoli do najbliższych drzwi. Obok nich wisiał krucyfiks, białe gipsowe ciało Chrystusa przybite do krzyża. Na pociągłej brodatej twarzy malowało się skrajne cierpienie. Według pani Baker Chrystus czekający w ogrodzie na tych, którzy przechodzą na drugą stronę, był uśmiechnięty i odziany w białe szaty, ale ta postać była zupełnie inna: cierpiała niewymowne katusze.

Frank otworzył ostrożnie drzwi. Biegł za nimi korytarz. Zza zamkniętych podwójnych drzwi przy jego końcu słyhać było głosy. Przez sekundę stał jak wryty w miejscu, bojąc się, że go odkryli i czekają, żeby go dopaść. Nagle drzwi się otworzyły. Frank ze stłumionym okrzykiem dał krok do tyłu. Na korytarz wyszedł młody wysoki mężczyzna w sfatygowanym fartuchu założonym na czarną koszulę z koloratką. Miał niesforne brązowe włosy i okrągłą, pogodną twarz, na której malowało się zmęczenie. Z pomieszczenia za jego plecami zapachniało jedzeniem. Mężczyzna zobaczył Franka i uśmiechnął się.

— Witaj — powiedział wesoło. Miał akcent z wyższych sfer. — Przyszedłeś coś wrzucić na ruszt?

Frank wbił w niego wzrok: nie miał pojęcia, o czym mówi ten facet. Odwrócił się, mając zamiar uciec.

— Zaczekaj! — zawołał mężczyzna. — Nic ci nie grozi. Wyglądasz mi na głodnego.

Cofnął się i zachęcającym gestem otworzył szerzej drzwi sali. Frank zobaczył w niej drewniane stoły na kozłach, przy których siedzieli, jedząc zupę, obdarci mężczyźni i kobiety. Dwie kobiety stały przy olbrzymim kotle, nalewając do misek zupę i podając chleb. Zdał sobie sprawę, że to garkuchnia dla ubogich. Wiedział, że w związku z bezrobociem powstaje ich ostatnio coraz więcej, lecz

nigdy jeszcze żadnej nie widział. Nie był głodny, ale strasznie zmarzł i czuł ciepło bijące od dużego węglowego pieca. Nie ruszył się z miejsca, gdy mężczyzna podszedł do niego bliżej.

— Witaj. Jestem tutaj pastorem. Mów mi Terry.

Frank wiedział, że niektóre kościoły popierają Beaverbrooka i Mosleya, a inne są w opozycji. Zawahał się, a potem ruszył powoli w stronę ciepłego pomieszczenia. W środku unosił się zapach niemytych ciał i wilgotnego stęchłego ubrania. Siedzący przy stołach ludzie byli w większości żebrakami, takimi, jakich widuje się na rogach ulic, w podartych płaszczach przewiązanych sznurkiem, ze zmierzwionymi włosami i brodami oraz pobrużdżonymi, brudnymi twarzami. Kilku z nich miało na sobie poplamione, wyświecone surduty, które miały im dodać poważania. Były wśród nich także obdarte kobiety. Jedna trzymała w ramionach niemowlaka.

— Jak się nazywasz, przyjacielu? — zapytał pastor.

Frank zawahał się.

— David — odpowiedział.

Terry przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

— Nigdy jeszcze nie byłeś w takim miejscu, prawda? — spytał cicho. — Gdzie się o nas dowiedziałeś?

— Nie wiem... zapomniałem.

— Cóż, ostatnio od wielu ludzi odwróciło się szczęście, nie ma czego się wstydić. Chodź, zjedz coś. Tej nocy nie powinno się spędzać na ulicy. Ten paskudny smog... Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego. Nie masz płaszcza, musiałeś zmarznąć na kość.

Pastor spojrzał na niego uważnie jeszcze raz i nagle otworzył szerzej oczy. Frank podążył za jego wzrokiem i zobaczył na swoim swetrze ciemną plamę krwi. Zachłysnął się, przerażony, że jednak go trafili, a potem uprzytomnił sobie, że to musi być krew Geoffa.

— Jesteś ranny — powiedział cicho Terry.

— To nic takiego. Skaleczyłem się...

— Daj mi popatrzeć.

— To nie moja krew — szepnął Frank i przełknął ślinę. — To krew mojego przyjaciela, który nie żyje.

Terry zawahał się i przysunął do niego bliżej.

— Chodź ze mną, proszę.

Frank przyjrzał się zmęczonej twarzy pastora. Coś w jego głosie i zachowaniu sprawiło, że pozwolił się zaprowadzić do bocznego pokoju. W małym gabinecie stała stalowa szafka na akta i stół z telefonem. Na oparciu

krzesła wisiała ciemna marynarka, na kołkach przy ścianie, białe komże. Pastor zamknął za nimi drzwi.

— Kilku naszych stołowników mówiło, że słyszeli w okolicy strzały i widzieli policyjne suki. Myśleli, że to miejscowi bikiniarze. Czy to ma coś wspólnego z tobą? Nie martw się — dodał szybko. — Nie wydam cię.

Frank oparł się o stół. Nie odpowiedział Terry'emu, ale z jego ust wyrwało się rozpaczliwe westchnienie.

— Wiem, że coś się dzisiaj dzieje — podjął pastor. — Mimo mgły policja patroluje całe miasto. Jesteś z ruchu oporu? — Frank nadal milczał. — Mogę ci pomóc, ale musisz mi zaufać. Nawet mówiąc, że ci pomogę, dużo ryzykuję.

Terry głęboko odetchnął. Frank zorientował się, że on też się boi. Widać było po nim, że jest szczerzy, ale skoro nie potrafili go ocalić Ben, Natalia i David, jak mógł tego dokonać w pojedynkę ten człowiek? Zdradzenie mu czegokolwiek było wielkim ryzykiem.

Pastor podszedł do drzwi z drugiej strony pokoju i otworzył je. Do środka wpadło zimne powietrze i jęzory żółtej mgły. Zostawił drzwi otwarte i podszedł do drugich, które prowadziły do jadalni.

— Widzisz? — powiedział. — Jeśli chcesz odejść, możesz to zrobić. Może uda ci się uciec we mgle, a może nie. Pomogę ci, ale muszę wiedzieć, co się stało.

— Byłem z grupą przyjaciół — wyjaśnił Frank. — Są z ruchu oporu, próbowaliśmy wydostać się z kraju. Nocowaliśmy w pewnym domu kilka ulic stąd. Wpadła tam policja. Część moich przyjaciół zginęła. Ja zdołałem uciec. Ruch oporu nie chce, żebym wpadł żywy w ręce Niemców. Jestem kimś ważnym; wołałbym, żeby tak nie było, ale jestem. Proszę, niech pan zamknie drzwi. Jest zimno i ktoś może mnie zobaczyć.

Terry zamknął drzwi i zdjął marynarkę z oparcia krzesła.

— Siadaj, wyglądasz na wykończonego — powiedział.

Frank posłuchał go. Terry zarzucił marynarkę na ramiona i spojrzał na jego chorą dłoń.

— Co ci się stało w rękę? — zapytał. — To Niemcy?

Frank pokręcił głową.

— Nie. Zrobili to inni ludzie, kiedy byłem małym chłopcem. Nie należę do ruchu oporu. Jestem po prostu kimś, kto musi wyjechać z kraju.

— Dlaczego?

Tym razem Frank pokręcił głową bardziej stanowczo.

— Nie mogę ci tego powiedzieć. Ludzie z ruchu oporu wiedzą, o co chodzi.

— Czy naprawdę masz na imię David?

— Nie. Tak nazywał się jeden z moich przyjaciół. — Frank poczuł, że pieką go oczy.

— Czy mógłbyś mi podać swoje prawdziwe nazwisko? Jeśli to zrobisz, zadzwonię po pomoc. Mam do nich numer. — Terry wskazał stojący na stole telefon.

Frank zawahał się, ale wiedział, że musi się zdecydować.

— Muncaster — powiedział. — Nazywam się Frank Muncaster.

Terry podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

— Mówi wielebny Hadley z kościoła Saint Luke's. Mam tutaj faceta, który mówi, że ściga go policja — odezwał się z zaskakującą rzeczowością, gdy ktoś odebrał telefon. — W pobliżu mieliśmy policyjny nalot na jeden z domów. Nazywa się Frank Muncaster, powtarzam, Muncaster. Średniego wzrostu, chudy, brązowe włosy, kontuzjowana prawa dłoń. — Pastor umilkł. Przez jakiś czas kiwał tylko głową i powtarzał: „Tak jest”. — Wiesz, ilu twoim ludziom udało się uciec? — zapytał cicho po chwili.

— Sean i Eileen, para, u której mieszkaliśmy... — Frankowi zadrżał głos — ...widziałem, jak zginęli. Zginął też Geoff, jeden z moich przyjaciół. To jego krew jest na moim swetrze. Co do pozostałej trójki... nie wiem. Słyszałem na ulicy policjanta, który mówił, że nadal ich szukają, więc mam nadzieję, że udało im się uciec.

Pastor przekazał tę informację swojemu rozmówcy.

— W porządku — powiedział w końcu i odłożył słuchawkę. — Przyjadą po ciebie — oświadczył, patrząc na Franka. — Ale to może trochę potrwać, policja ustawiła blokady drogowe, zamknęła całą dzielnicę.

Frank zerwał się z krzesła. Czuł, jak ogarnia go panika.

— Będą sprawdzali ulicę po ulicy. Co się stanie, jeśli tutaj przyjdą?

— Nic się nie stanie — odparł Terry. — Jeśli to zrobią, porozmawiam z nimi. Nie wiedzą, że mam kontakty z ruchem oporu. — Uśmiechnął się ze smutkiem i jego twarz wydała się nagle o dziesięć lat starsza. — Uważają mnie za miejscowego pocziwca. Nasz człowiek powiedział mi, że byłeś w szpitalu psychiatrycznym i że próbowałeś się tam zabić — dodał łagodniejszym tonem.

— Zrobię to i teraz, jeśli tylko zdołam. Żeby mnie nie dopadli.

— Bóg by tego nie chciał — rzekł Terry.

— Tak? To dlaczego stworzył świat, gdzie czasami jest to jedyne wyjście, które nam zostaje?

Terry zamknął oczy. Wydawał się bardzo zmęczony.

— Może chciałbyś pomodlić się ze mną za swoich przyjaciół?

— Nie. — Głos Franka zadrżał z emocji. — Nie.

Obaj podskoczyli na dźwięk głośnego pukania.

— To do tylnych drzwi. Wyjdę i sprawdzę, kto to. Ty zostaniesz tutaj — oświadczył pastor rozkazującym tonem. — Jeśli usłyszysz, że z kimś wracam, wybiegnij na zewnątrz. Ale zaczekaj na mnie za drzwiami, nie wracaj na ulicę, bo cię złapią. Obiecasz mi? Jestem twoją jedyną szansą. Proszę, zrób, jak mówię. Moja żona pracuje w jadłodajni — dodał błagalnie.

Frank pokiwał ze znużeniem głową. Zgodnie z tym, co powiedział mu wtedy na polu David, był teraz odpowiedzialny za życie innych ludzi. A wszystko przez to, że przed kilkoma tygodniami Edgar chciał mu pokazać, jaki z niego waźniak.

Pastor wyszedł z gabinetu. Frank podszedł do drzwi i przystawił do nich ucho. Usłyszał jakieś głosy odbijające się echem w przestronnym wnętrzu kościoła. A potem kroki kilku osób dobiegające z jadłodajni. Stanął przy drzwiach zakrystii gotów wyskoczyć na zewnątrz.

Ale kiedy usłyszał ponownie kroki na korytarzu, były pojedyncze. Terry wszedł do gabinetu i usiadł na krześle. Odetchnął głęboko, wsadził palec pod koloratkę, jakby go dusiła, po czym wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił.

— Poszli sobie — powiedział. — To ty zasunąłeś zasuwę po tym, jak wszedłeś do środka?

— Ja.

— Chwała Bogu. Przekonałem ich, że zrobiłem to ja, przed kilkoma godzinami, więc nikt nie mógł się dostać z zewnątrz. W innym przypadku przeszukaliby cały kościół. Jest jeszcze wejście tutaj, rozumiesz, tędy właśnie wchodzi ludzie do jadłodajni. Dali mi twój rysopis i powiedzieli, że są z tobą dwaj mężczyźni i kobieta.

A więc David, Ben i Natalia również nie zostali złapani. Przynajmniej na razie.

— Najbardziej zależy im chyba na tobie — dodał Terry, przyglądając się z zaciekawieniem Frankowi. — Jesteś Żydem? Te łapanki nie mieszczą się w głowie.

— Nie. Nie jestem Żydem.

— Papierosa?

— Nie palę.

— Do naszej jadłodajni przychodziło kiedyś całkiem sporo Żydów, ale wszystkich ostatnio deportowali. Biedni ludzie, nie wolno im było nawet pracować w wyuczonym zawodzie. — Terry westchnął. — I wszyscy inni, bezrobotni i bezdomni. Mój poprzednik założył tę jadłodajnię jeszcze w latach trzydziestych, kiedy zaczął się wielki kryzys i bezrobocie. Od tego czasu działa ona nieprzerwanie przez dwadzieścia lat, z wyjątkiem krótkiego okresu podczas wojny w trzydziestym dziewiątym i czterdziestym, kiedy wszyscy mieli pracę.

Policja dobrze mnie zna, uwierzyli, jak powiedziałem, że nie wchodził tutaj nikt podobny do ciebie. Nie lubię nikogo okłamywać, rozumiesz. Nawet ich — dodał.

— Dziękuję — rzekł Frank. — Dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

Pastor uśmiechnął się.

— Może jednak Pan czuwa nad nami? — powiedział nieśmiało.

— Nie czuwał chyba nad moim przyjacielem Geoffem — odparł ponuro Frank. — I nad państwem O'Shea. Tak naprawdę, on nad nikim nie czuwa, nie rozumiesz tego? — dodał, patrząc w twarz Terry'emu.

Rozdział czterdziesty szósty

David, Ben i Natalia stali w miejscu, próbując złapać oddech. U wlotu do alejki, w której znaleźli schronienie, zobaczyli dwa wąskie snopy światła. Gdyby nie mgła, już dawno by nas złapali, pomyślał David. Ale stracili Geoffa, Seana i Eileen, a Frank przepadł jak kamień w wodę. Teraz go złapią i cały ich trud pójdzie na marne.

— Gdzie oni są, do cholery? — odezwał się gniewny głos z ulicy.

— Nigdy ich nie znajdziemy w tych warunkach. Otaczają cały teren kordonem. Będziemy musieli sprawdzać dom po domu.

Kroki policjantów ucichły. Gdzieś daleko słychać było dzwonki policyjnych suk.

Nagle tuż obok otworzyły się drzwi na podwórze. Ben i Natalia natychmiast podnieśli broń. David zobaczył grubego starszego mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym i czapce, który otworzył usta z przerażenia. U jego stóp zamajaczyło coś białego: mały kundelek na smyczy.

— Nie ruszaj się, chłopie — wycedził cicho, ale dobitnie Ben. — I nie odzywaj się, to nic ci się nie stanie.

Pies popatrzył na niego, a potem na swojego pana i zaczął cicho warczeć.

Zdesperowany mężczyzna wskazał swoje uszy.

— Głuchy — wyjąkał.

— Cholera jasna! — Ben nachylił się do niego. — Mieszkasz w tym domu?

— Tak.

— Sam?

— Tak.

Pies znowu zawarczał.

— Cicho, Rags — mruknął stary. — Nie skrzywdźcie go — poprosił. — Jest niegroźny, nic wam nie zrobi. Proszę, po śmierci żony mam tylko jego.

— Potrzebujemy płaszczy — powiedział Ben i dał mu znak pistoletem. — Szybko, wchodź z powrotem do środka.

— Kim jesteście? — zapytał żałośnie stary. — Co się dzieje?

— Nie twój interes. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.

— Jesteście z ruchu oporu, tak? — W głosie starego zabrzmiał gniew. — Wykorzystujecie mgłę, żeby kogoś napaść. Dlaczego nie zostawicie po prostu ludzi w spokoju?

— Potrzebujemy ciepłych ubrań — powtórzył ponuro Ben. — Włóż, do cholery, do środka.

Natalia dotknęła ręki Davida.

— Wejźdę razem z nimi. Zostań tutaj, nigdzie nie odchodź. Weź to. — Dała mu pistolet. — Wiesz, jak się z tym obchodzić?

— Służyłem w wojsku.

— To dobrze.

Dotknęła delikatnie jego ramienia, po czym weszła razem z Benem i starym do środka. David został na dworze, we mgłę. Zaczynał trząść się z zimna; żadne z nich nie miało płaszcza. Spojrzał w głąb alejki. Było teraz pusta, ale wkrótce ulice zaroją się od policjantów. Jak uda im się przedrzeć przez kordon? Złapią ich albo zastrzelą jak Geoffa. Dotknął w kieszeni kapsułki z cyjankiem. Przynajmniej Sarah jest bezpieczna, pomyślał.

Przypomniał sobie moment, kiedy rozległo się walenie do frontowych drzwi. Leżał wtedy nagi na materacu. Natalia tuliła się do niego ze szczęśliwym, figlarnym wyrazem twarzy, bawiąc się włosami na jego piersi, kręcąc je w małe loczki. Ale kiedy usłyszeli pierwszy łomot, natychmiast zerwała się na nogi. „Ubieraj się!” — zawołała ostro, sama narzucając na siebie ubranie. W wojsku David nauczył się ubierać błyskawicznie. Drugi ogłuszający trzask powiedział mu, że drzwi zostały wyłamane. Wciągając spodnie, wymacał w kieszeni kapsułkę z cyjankiem. Natalia posłała mu pełen żalu uśmiech.

Teraz wyszła razem z Benem na zewnątrz. Miała na sobie staroświeckie futro sięgające kostek, a Ben ciężkie palto i szalik, w które wcześniej był ubrany stary. Podał Davidowi niebieski płaszcz przeciwdeszczowy.

— Co zrobiłeś z tym facetem? — zapytał David, wkładając go.

— Zostawiłem go związanego na łóżku. Jest z nim pies. — Ben pokręcił głową. — W życiu nie widziałem takiego głupiego kundla. Stary powiedział, że jutro przyjdzie do niego sąsiadka, żeby zrobić zakupy. Znajdzie go. Jeśli policja nie zrobi tego wcześniej.

— Jesteś dobry w wiązaniu ludzi, prawda? — rzucił, nie mogąc się powstrzymać, David.

— Zawsze do usług, chłopie. I na litość boską, nie gadaj tak głośno.

Natalia ruszyła powoli do wylotu alejki, Ben i David podążyli w ślad za nią.

— Nie sądzę, żeby w tych warunkach udało nam się znaleźć Franka — powiedział David.

— Nie uda nam się — zgodziła się. — Musimy znaleźć jakąś kryjówkę. Mamy teraz przynajmniej palta, a oni szukają ludzi bez wierzchniego okrycia. Nie martwcie się, mamy plan awaryjny.



Przez następną godzinę wędrowali po omacku mrocznymi, pustymi ulicami, porozumiewając się z sobą szeptem, idąc powoli, żeby na coś nie wpaść, i starając się robić jak najmniej hałasu. Nie dochodził już do nich odgłos policyjnych syren. Dwukrotnie, słysząc jakieś kroki, schowali się w bocznej alejce albo za ogrodzeniem, a raz zobaczyli poruszające się w mroku snopy latarek i stali nieruchomo przy murze do chwili, gdy znikły.

— Będą potrzebowali setek ludzi, żeby przeczesać porządnie ulice w tej mgle — szepnęła Natalia.

— Pamiętajcie, że jeden z nich mówił coś o blokadach — odparł Ben. — To właśnie sam bym zrobił, otoczył kordonem cały teren. Chodźmy dalej, może uda nam się wydostać, zanim zamkną się.

Dotarli do szerszej ulicy i przez jakiś czas szli chodnikiem tuż przy ścianach budynków. A potem ściany ustąpiły miejsca prętom ogrodzenia, za którym widać było krzaki i niewyraźne zarysy drzew. Na furtce była tabliczka. Natalia nachyliła się i przeczytała napis. „Hanwick Park”. Trochę dalej widać było wysoki rozświetlony prostokąt, w którym David rozpoznał budkę telefoniczną.

— Wejdziemy do parku i schowamy się między drzewami — szepnęła Natalia. — A ja zadzwonię do naszych ludzi, postaram się, żeby ktoś spróbował nas stąd zabrać.

— A blokady drogowe? — zapytał David. — Przecież nie zdążą tu nikogo wysłać.

— Mamy plan awaryjny w podobnych sytuacjach.

— Jaki? Dotrą tutaj, strzelając do policjantów?

— Może nie będą musieli. — Natalia ścisnęła jego dłoń. — Nie mogę ci powiedzieć. Na wypadek gdyby nas wcześniej złapali. Zaczekaj, to zobaczysz.

— Chodź — powiedział Ben.

Zjął palto i położył je na zakończonych szpicami prętach ogrodzenia. David zrobił to samo i przeskoczyli na drugą stronę. Natalia odeszła ulicą i prawie natychmiast stracili ją z oczu. Po chwili David zobaczył, że światło wewnątrz budki przygasło i pojawiła się w niej sylwetka Natalii. Zabiło mu szybciej serce: była zbyt widoczna, mógł ją zobaczyć każdy zbliżający się policjant. Wydawało mu się, że minęły wieki, zanim wyszła z budki i ponownie

zniknęła w mroku. Po chwili pojawiła się po drugiej stronie ogrodzenia i pomogli jej przejść.

— Udało mi się z nimi skontaktować — oświadczyła triumfalnym tonem.
— Jadą po nas.

Wszyscy troje weszli między mokre zarośla i ruszyli wzdłuż płotu. Pośrodku niedużego parku był otwarty teren. Na ulicy po drugiej stronie widać było migające światła i sylwetki chodzących w tę i z powrotem ludzi. Zerkając między prętami ogrodzenia, dostrzegli stojący w poprzek ulicy policyjny samochód z zapalonym w środku światłem. Stały za nim kolejne pojazdy.

— O mało na nich nie wpadliśmy — szepnął Ben.

— W porządku — mruknęła Natalia. — Musimy teraz poczekać. Przyjadą po nas.

— Jak się przedostaną przez blokadę? — zapytał zdesperowany David.

Ponownie pomyślał o kapsułkach z cyjankiem. Mogli tu wszyscy zginąć, on, Natalia i Ben. Poczuł, jak ogarnia go lęk.

— Zaufaj mi — szepnęła Natalia.

Przez kilka chwil milczeli, natężając słuch i wzrok, by zorientować się, co się dzieje. Usłyszeli szum radia, a potem głos mężczyzny.

— Będziemy musieli mieć cholernie mocne reflektory, żeby zobaczyć coś w tej cholernej mgle. Macie takie na ciężarówce?

W padającym z wnętrza samochodu świetle widać było przesuwające się postaci.

— Cofnijmy się między drzewa, trochę dalej od ogrodzenia — powiedziała Natalia.

Przecisnęli się trochę głębiej, przytrzymując przed sobą gałęzie, żeby nie robić hałasu, i zatrzymali się w otoczonym przez drzewa miejscu, z którego widać było blokadę.

— Czy zobaczą nas, jeśli skierują reflektor na park? — zapytał Ben.

— Nie wiem — odparł David. — Tak jak mówili, to musiałyby być bardzo mocne światła. Czy nie powinniśmy wrócić na ulicę? — zapytał, spoglądając na Natalię.

— Nie, musimy tu zostać. Powiedziałam naszym, że będziemy na nich tutaj czekać.

Przez minutę się nie odzywali.

— Zabili Geoffa — szepnął w końcu David.

— Chyba tak — odparła cicho Natalia.

— Był moim najlepszym przyjacielem.

Natalia dotknęła jego ramienia. Nagle rozległ się za nimi jakiś szelest. David odwrócił się, ale to była tylko szara wiewiórka, która usiadła na gałęzi i się im

przyglądała. Po chwili zapiszczała i znikła.

— Coś się tam dzieje — odezwała się w pewnym momencie Natalia.

Spojrzeli z powrotem w stronę blokady. Usłyszeli dźwięk dzwonka, który był o wiele głośniejszy od tego, w jaki wyposażone były samochody policji, i który bardzo szybko się zbliżał.

— Ciężarówka z reflektorem — mruknął David. — Jezu, dlaczego oni tak pędzą?

Jego dłoń powędrowała do kieszeni z cyjankiem. Czy to już teraz?

— Nie — szepnęła Natalia. — To nasi ludzie.

Brzęk dzwonka był coraz głośniejszy. W jego dźwięku było coś znajomego. A potem z mgły wyłonił się wielki czerwony pojazd pędzący z niebezpieczną szybkością wzdłuż ogrodzenia w stronę policyjnej blokady. Minął miejsce, w którym stali, i z piskiem opon zatrzymał się przed stojącym w poprzek ulicy policyjnym samochodem. David zorientował się ze zdumieniem, że to wóz strażacki, wielki, kanciasty i solidny, z obrotową drabiną na górze. Dzwonek umilkł i w kabinie zapaliła się lampa, oświetlając kilku mężczyzn w wysokich hełmach, którzy zeskoczyli na jezdnię. Zerkając przez pręty ogrodzenia, David zobaczył, że do strażaków podeszli trzej policjanci.

— Straż pożarna — rzekł cicho do Natalii. — To są nasi ludzie?

Ben odwrócił się do niego, szczerząc zęby w uśmiechu.

— Strażacy zawsze mieli najbardziej lewicowy związek w Wielkiej Brytanii. Porządni socjaliści. Powiedzmy po prostu, że to nie jest wezwanie do prawdziwego pożaru.

Strażacy i policjanci zawzięcie się z sobą kłócili. Z początku David niezbyt dobrze ich słyszał, ale potem wszyscy zaczęli krzyczeć.

— Cały teren jest zablokowany! — wrzasnął jeden z policjantów. — Nikt tu nie wjedzie ani stąd nie wyjedzie!

— Ale policja przy Priory Street nas przepuściła. Jedziemy do dużego pożaru!

— Nie powinni was przepuścić! Rozkazy były jasne!

— Słuchajcie, płonie szpital. Ludzie są uwięzieni w środku, nie mogą się wydostać. A my musimy nadłożyć całe dwa kilometry, żeby tam dojechać. Chcecie mieć na sumieniu dzieci i starców, którzy spłoną w pożarze? Chcecie?

David zobaczył, że z wozu strażackiego ześlizgnęła się ukradkiem kolejna postać. Strażak przeszedł przez jezdnię i ruszył wzdłuż ogrodzenia. Ben potrząsnął krzakiem, żeby zwrócić na siebie uwagę. Mężczyzna stanął przed nimi. Był młody; pod hełmem, który wydawał się dla niego za duży, zobaczyli bladą plamę twarzy.

— Szybko — szepnął. — Przeskoczcie przez ogrodzenie i wdrapcie się z tyłu na wóz.

Policjanci w ogóle ich nie widzieli we mgle. Kilka metrów dalej wciąż trwała pyskówka. Młody strażak przebiegł z powrotem przez jezdnię, uciekinierzy przeskoczyli przez ogrodzenie i podążyli w ślad za nim.

— Właźcie na górę — powiedział strażak.

Nie było to łatwe — musieli wspiąć się dwa metry po śliskich metalowych stopniach. David znalazł się w otwartej, tylnej części pojazdu. Stłoczeni jedno obok drugiego przykucnęli przy długim zwiniętym wężu i podstawie obrotowej drabiny.

— Złapcie się czegoś — mruknął strażak. — To będzie szybka jazda.

David zacisnął palce na mokrej i śliskiej poręczy. Zobaczył, że strażak ściska w dłoni pistolet, a potem usłyszał zbliżające się kroki, trzaśnięcie zamykanych drzwi kabiny i warkot wchodzącego na wyższe obroty silnika. Strażacy przekonali chyba policjantów, żeby ci przesunęli swój pojazd. Chwilę później wóz ruszył ostro z miejsca i David poleciał do tyłu. Silnik zaryczał i policyjny samochód i otaczające go sylwetki policjantów zniknęły we mgle. Pędzili główną ulicą z szaloną, wydawałoby się, samobójczą szybkością. Wyprzedzając jadące przed nimi powoli auto, otarli się o jego bok i David wyraźnie to poczuł. Siedzący obok niego strażak wydał triumfalny okrzyk.

— Udało nam się, udało się, do jasnej cholery! Przejdziemy do cholernej historii! — zawołał, wymachując pięścią.

Włosy siedzącej z drugiej strony Natalii powiewały na wietrze.

— Był z nami jeszcze jeden mężczyzna — powiedziała do strażaka. — Jest bardzo ważny. Wpadł w panikę i uciekł.

— Jego też mamy! — odparł młody człowiek. — Trafił do miejscowego kościoła, przewieźli go w bezpieczne miejsce.

Usłyszeli głośnie trąbienie jadącego z przeciwka samochodu i wóz strażacki zjechał na bok, żeby go przepuścić. David miał nadzieję, że nie potracą jakiegoś przechodnia i nie wjadą w jakiś budynek. Wiedział jednak, że kierowcy straży pożarnej są niebywale sprawni i że potężny wóz strażacki wyjdzie bez szwanku ze zderzenia z każdym innym pojazdem.

— Jest zdrow i cały? — zapytał strażaka. — Frank?

Młodzieniec nie krył podniecenia.

— Tak. O tym właśnie mówię! Przejdziemy do cholernej historii.

Nagle to do nich dotarło: Frank przeżył.

Rozdział czterdziesty siódmy

Gunther siedział za swoim biurkiem w Senate House, mając przed sobą cztery fotografie oraz kartkę ze słowami *Nieznana kobieta* zapisanymi jego drobnym, porządnym charakterem pisma. Przyjrzał się zdjęciom: Muncaster sfotografowany, gdy przyjmowali go do szpitala, z wytrzeszczonymi oczyma i pociągłą twarzą wykrzywioną w małym grymasie tak, że widać było wszystkie zęby; wyciągnięte z teczek personalnych służby cywilnej fotografie Fitzgeralda i Draxa; i na koniec młody człowiek o gniewnym spojrzeniu, trzymający kartę z wypisanym na niej więziennym numerem. Archiwiści z Wydziału Specjalnego porządnie się natrudzili, by rozpoznać na tej fotografii Bena Halla, którego inne zdjęcia dostali ze szpitalnego działu kadr. Prawdziwe nazwisko: Donald McCall. Kryminalista, członek partii komunistycznej od lat trzydziestych, mający na sumieniu również inne rzeczy, niektóre bardzo nieprzyjemne.

Gunther przyjrzał się ponownie fotografii Draxa. Jedyne, którego ci klauni z Wydziału Specjalnego zdołali ująć w trakcie nalotu. Postrzelonego w pierś, lecz nadal żywego. Spojrzał na wydatny nos i podbródek, jasne włosy i wąsy. Twarz o mocnych rysach, lecz niezbyt szczęśliwa.

Okazało się, że miał rację: dzięki informacjom uzyskanym od konfidentów wpadli w Londynie na trop małżeństwa O'Shea, znanych oponentów reżimu. Ich lojalni sąsiedzi zawiadomili o wizycie osobnika z wyszukany akcentem, który odpowiadał rysopisowi Fitzgeralda. Niestety, kiedy Syme i policja wdarli się do ich domu, doszło do strzelaniny i ostatecznie zdołali ująć tylko Draxa. Czwórce pozostałych, w tym Muncasterowi, udało się uciec. Policja ustawiła blokady drogowe, ale smog opóźniał całą akcję. „Jeśli uciekinierom uda się zbiec, winę za to będziemy mogli przypisać wyłącznie Brytyjczykom”, stwierdził Gessler. Ale Berlin nadal chciał mieć Muncastera, żywego.



Gunther przesłuchał już raz Draxa, który leżał w celi na dole, z zakrwawionym bandażem na piersi. Normalnie dobrze było zostawić więźnia

na parę godzin, pozwolić mu wyobrazić sobie, co go czeka, ale Drax był zbyt ciężko ranny. Kiedy Gunther wszedł do niego do celi, spazmatycznie kaszłał; był chyba u kresu fizycznej wytrzymałości. W jego błękitnych oczach płonął bezsilny gniew.

— Widzę, że pana poskładali — powiedział Gunther.

Drax zmierzył go po prostu nienawistnym wzrokiem.

— Doktor uważa, że oprócz rany na piersi ma pan infekcję zatok. Wszystko przez ten paskudny smog. Mam podobne kłopoty z kurzem w Berlinie. Chce pan napić się wody?

— Nie — wyrzucił Drax.

— Cóż, jak pan sobie życzy. Powiedziano mi, że miał pan przy sobie kapsułkę z cyjankiem.

— Niestety, nie zdążyłem z niej skorzystać.

— Rozumiem, że pańscy przyjaciele też je mają. Wiemy, że pani O'Shea użyła swojej.

— Nic wam nie powiem — oznajmił ponuro Drax, bez cienia brawury. — Wiem, co robicie ludziom, którzy nie chcą mówić, więc równie dobrze możemy zacząć już teraz.

— Geoffrey Simon Drax. Studiował pan na uniwersytecie razem z Davidem Fitzgeraldem i Frankiem Muncasterem, pracował pan w Afryce, następnie zaś po podjęciu pracy w Ministerstwie Kolonii zaczął pan szpiegować na rzecz ruchu oporu. Cała ta szpiegowska siatka w służbie cywilnej zostanie teraz zlikwidowana.

Drax tylko na niego patrzył. Gunther przyjrzał się jego udręczonej twarzy. Miał czysto aryjskie rysy. Wśród jego przodków byli prawdopodobnie Sasi albo Normanowie. Należał pewnie do tych Anglików, którzy uważali, że *noblesse oblige*, nieśli więc cywilizację biednym tubylcom, jakby imperium można było zbudować na czymś innym niż sile. Na swój sposób podziwiał jednak ludzi pokroju Draxa, byli twardzi.

— Nie mam zamiaru pana skrzywdzić — powiedział łagodnie. — Dlaczego wstąpił pan do ruchu oporu?

— Mówiłem już panu, że nic nie powiem.

Gunther wzruszył ramionami.

— Pytam z czystej ciekawości. Nie obchodzą nas szpiegowie w służbie cywilnej. Tym mogą się zająć brytyjskie władze. Interesuje nas Frank Muncaster. Dlaczego zabraliście go ze szpitala? Co planowaliście z nim zrobić? Co wie i dlaczego zachowaliście go przy życiu?

— Nic nie powiem.

Gunther spodziewał się takiej odpowiedzi, ale było mu trochę szkoda. Miał swoje plany.

— Przyniosę panu tę wodę — rzekł, kierując się w stronę drzwi.



Wykonał kilka krótkich telefonów, potem zaś odbył długą rozmowę z ludźmi z marynarki wojennej w Portsmouth na temat monitorowania łączności radiowej na południowym wybrzeżu. Na koniec porozmawiał z Gesslerem, który chciał uczestniczyć w następnym etapie przesłuchania.

Pół godziny później rozległo się pukanie i do gabinetu wszedł Syme. Zmęczony i skwaszony, wniósł z sobą siarczany odór mgły. Gunther wskazał mu krzesło. Syme usiadł, założył nogę na nogę i natychmiast zaczęła mu podrygiwać stopa.

— Nie złapaliście ich, tak? — zapytał Gunther. — Muncastera i jego towarzyszy?

Gdyby tak było, Syme tryskałby entuzjazmem.

— Nie — odparł. — Doszło do kolejnej wpadki. Obawiamy się, że udało im się wymknąć z obszaru, który otoczyliśmy kordonem i który przeszukiwaliśmy dom po domu. Niestety, policja pozwoliła przejechać straży pożarnej przez zamknięty teren. Strażacy twierdzili, że wezwano ich do pożaru szpitala. Policja skontaktowała się ze strażą pożarną dopiero później i dowiedziała się, że nie było żadnego pieprzonego pożaru. Obawiamy się, że to ci strażacy zabrali Muncastera i jego ludzi. Wóz straży zaginął wraz z całą załogą.

Gunther odchylił się do tyłu na krześle. Nie czuł gniewu; nic, co dotyczyło tej misji, nie mogło go już wytrącić z równowagi.

— Związek zawodowy strażaków był zawsze zdominowany przez cholernych lewaków — podjął Syme. — Zdelegalizowaliśmy go, bo to służba publiczna, ale część tych sukinsynów nadal tam została. Przypuszczam, że gestapo pozwoliłoby raczej, żeby spłonął szpital — dodał, kręcąc głową.

— Zrobilibyśmy to, gdyby trzeba było złapać ważnych uciekinierów.

— Na pewno uważasz nas za bandę bezużytecznych ciot — oznajmił niespodziewanie Syme.

— Och, my też popełniamy błędy — odparł Gunther. Nadal potrzebował Syme'a i jego ludzi. — Nic ci się nie stało, nie zostałeś ranny podczas szturm?

— Nawet mnie nie drasnęli. Co z tym, którego postrzeliliśmy?

— Nie współpracuje. Co było do przewidzenia. Podjąłem pewne kroki, żeby go zachęcić.

Syme uśmiechnął się lubieżnie i to przypomniało Guntherowi, jak bardzo go nie lubi.

— Zaawansowane metody?

— Można tak powiedzieć — odparł Gunther, przechylając lekko głowę.

— I dobrze! — Syme spojrział na fotografię. — To oni? Grupa z tego domu?

— Tak.

Syme wskazał Davida i Bena.

— Widziałem ich. I tę kobietę. Wysoka, ładna, brązowe włosy. Sporządziłem jej rysopis. — Syme kwaśno się uśmiechnął. — Strzelała do mnie, więc dobrze ją zapamiętałem. I znowu widziałem Muncastera. — Spojrział na zdjęcie Franka. — Wszystko przez tego porąbanego świra.

Zadzwoił telefon. Gunther podziękował na koniec rozmowy dzwoniącemu i wstał.

— Przygotowania, które zarządziłem, dobiegły końca — powiedział. — Schodzę znowu na dół do Draxa. Standartenführer Gessler również bierze udział w przesłuchaniu.

— Ja też mogę? — zapytał Syme.

Gunther zawahał się, a potem pokiwał głową.

— Dobrze, czemu nie.



Drax nadal siedział na ławce, ale tym razem był z nim mężczyzna w mundurze SS: Kapp, nieduży trzydziestolatek o lisiej twarzy, szczupły, lecz muskularny, według wiedzy Gunthera specjalizujący się w tym, co Syme nazywał „zaawansowanymi metodami”. Gessler już tam był; stał w rogu ze skrzyżowanymi rękoma, zerkając gniewnie na Draxa przez swoje binokle. Co jakiś czas drgała mu nerwowo powieka. W drugiej części pomieszczenia siwy technik w okularach i białym fartuchu ustawiał na trójnogu projektor filmowy. Drax patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem, Kapp z zainteresowaniem, a Gessler z krzywym uśmieszkiem, bo wiedział, co się wydarzy.

— Pamięta pan tego człowieka? — zapytał Gunther, zwracając się do Draxa i wskazując głową Syme’a.

— Był w domu rodziny O’Shea.

— Zgadza się — odparł z uśmiechem Syme. — Pierś w porządku?

Drax nie odpowiedział. Technik otworzył puszkę z filmem i zainstalował go na projektorze.

— Co to jest? — zapytał Syme.

— Będziemy mieli seans filmowy — odparł z podłym uśmiechem Gessler. Technik rozwinął biały ekran i zawiesił go na przeciwległej ścianie.

— Powinniśmy zgasić światło, Herr Sturmbannführer — zwrócił się do Gunthera. — Jest bardzo jasne.

Gunther dał znak Kappowi, który wyszedł z celi, zgasił światło i wrócił, zamykając za sobą głośno drzwi. Technik włączył projektor i w ciemności rozległ się terkoczący dźwięk. A potem na ekranie pojawił się obraz innej celi. Film, co zauważył z aprobatą Gunther, był w kolorze. W celi na ekranie stał metalowy stół i krzesło, do którego przywiązana była kobieta, Carol Bennett. Jej ręce przymocowane były paskami do poręczy. Miała na sobie poplamiony biały fartuch, włosy zaczesano jej do tyłu. Dwaj stojący za nią strażnicy trzymali ją za ramiona. Bennett miała przerażone spojrzenie.

— O nie — usłyszał Gunther cichy głos Draxa.

— Poznaje ją pan? — zapytał.

— To panna Bennett, znajoma Davida. Nie ma z nami nic wspólnego. Nie ma nic wspólnego z ruchem oporu — dodał Drax, podnosząc głos.

— Wiemy.

Na ekranie pojawił się kolejny mężczyzna. Miał na sobie długi zielony fartuch chirurgiczny i trzymał w ręku dużą piłę do metalu z ząbkowanym ostrzem. Gunther zerknął na Syme'a, który pochylił się lekko do przodu.

— Trzymajcie nieruchomo jej prawą rękę — powiedział mężczyzna w fartuchu.

— Nie! Przestańcie! Nie! Nie! — krzyknęła Carol.

Zaczęła się teraz rozpaczliwie wyrywać, ale jeden ze strażników złapał ją mocno za ramiona, a drugi dał krok do przodu i położył jej dłoń płasko na stole. Nie mówiąc nic, mężczyzna z piłą pochylił się i złapał jej mały palec. Przystawił do niego piłę tuż nad kłykiem i zaczął piłować. Krew trysnęła na blat. Carol krzyczała i błagała, żeby przestali, ale żaden nie zwracał na nią uwagi. Byli niewzruszeni. Gunther usłyszał w ciemności, jak Drax łapie z przerażeniem oddech, a potem próbuje się podnieść. Kapp przytrzymał go na ławce. Drax zaniósł się znowu dławiącym kaszlem. Gunther spojrzął z powrotem na ekran. Mały palec Carol Bennett był już odcięty, leżał na stole, krew płynęła z okaleczonej ręki. Mężczyzna odłożył piłę, odpiął pasek krępujący jej dłoń, wprawnym ruchem podniósł rękę w górę i zawiązał jej opaskę na nadgarstku. Carol nie przestawała krzyczeć. Film skończył się nagle, ekran zgasł. Lampa w projektorze nadal się paliła, oświetlając słabo celę.

— Wy dranie! — krzyknął Drax i złapał go kolejny atak kaszlu.

— To miało miejsce przed kilkoma godzinami — powiedział cicho Gunther. — Zanim przekazaliśmy ją brytyjskiemu Oddziałowi Specjalnemu. Ostrzegła

Fitzgeralda, żeby uciekł z biura, rozumie pan.

Gessler odsunął się od ściany.

— To było coś, co nazywacie dodatkiem — powiedział. — Teraz zobaczymy główną atrakcję wieczoru.

Drax przestał kasłać i umilkł. Gunther dostrzegł w półmroku dziki błysk w jego oczach. Dał znak technikowi, który założył na projektor kolejną szpulę filmu. Robił to zaskakująco zręcznie, mimo że w celi było ciemno; Gunther przypuszczał, że miał w tym wprawę. Na ekranie pojawiła się kolejna cela i kolejny stół. Stał przy nim facet w skórzanym fartuchu i skórzanych rękawicach, z rzeźnickim nożem w ręku. Kamera zatoczyła krąg, pokazując starszego mężczyznę i kobietę, trzymanyh przez strażników. Oboje byli nadzy, bladzi i pomarszczeni, piersi kobiety były długie i obwisłe. Trzymając się za ręce, trzęśli się ze strachu, na ich twarzach malowało się przerażenie.

— Mamo! Tato! — krzyknął Drax. — Nie! Przestańcie!

Ekran ponownie zgasł.

— Przestańcie! Nie! — krzyczał Drax.

— Proszę zapalić światło — powiedział cicho Gunther.

Kapp wyszedł i ponownie wcisnął przełącznik. Na dany przez Gunthera znak technik zwinął ekran i zaczął pakować swój sprzęt. Głowę miał odwróconą od innych; przez cały czas na nikogo nie spojrzał. Syme opierał się o ścianę; trochę pobladł.

— Nakręciliśmy dopiero tę pierwszą scenę — rzekł z przekąsem Gessler do Draxa. — To może być całkiem długi film, jeśli pan zechce.

Drax odwrócił się z zdesperowaną miną do Gunthera.

— Nie róbcie im krzywdy — odezwał się błagalnym tonem. — Proszę, nie róbcie im krzywdy. Oni znają ważnych ludzi, będziecie mieli kłopoty.

— Raczej wątpię — odparł niemal ze współczuciem Gunther. — Są zwykłymi członkami prowincjonalnego oddziału Partii Konserwatywnej, Beaverbrook nie kiwnie nawet palcem, żeby pomóc takim płotkom. Od uciezki Muncastera Berlin wywiera całkiem dużą presję na wasz rząd, który nam ich przekazał. Przykro mi, że musiał pan to oglądać, ale chcemy, żeby zaczął pan mówić. Bohaterstwo na nic się nie zda. Pańscy rodzice są kilka pomieszczeń dalej, to, co pan obejrzał, nakręciliśmy dziesięć minut temu. — Gunther wziął głęboki oddech. — Pokazaliśmy panu, co jesteśmy gotowi im zrobić. Jeśli nie powie nam pan tego, co chcemy, zabierzemy się za nich. A potem pokażemy panu film.

Gunther miał nadzieję, że Drax zacznie teraz mówić. Nie lubił tego rodzaju metod i ucieszyłby się, gdyby skończyło się na małym palcu kobiety.

— W przeciwnym razie, wie pan... — odezwał się wesołym tonem Kapp. — Najpierw palce u rąk, potem u stóp. Temu dała do garnuszka, temu dała do dzbanuszka, a temu nic nie dała. Potem zajmujemy się oczyma.

— Zdaje pan sobie sprawę, że nie są nam potrzebni żywi — podjął Gunther. — A potem, jeśli nadal będzie pan milczał, przyjdzie kolej na pana. W tym przypadku połączymy metody fizyczne z lekami. Nauczyliśmy się paru rzeczy od Rosjan. Rozumie więc pan, że niezależnie od tego, jaki pan jest odważny, w ostatecznym rozrachunku na nic się to nie zda. Wolelibyśmy jednak, żeby był pan w pełni świadomy. Zacznie pan mówić najpóźniej jutro, musi pan to zrozumieć. — Popatrzył Draxowi prosto w oczy. — To żaden wstyd zeznawać, żeby ocalić innych. Cztery osoby są ścigane. Najprawdopodobniej zostaną złapane, ale nawet jeśli zdołają uciec, Amerykanie zapewne zabiją ich, kiedy już wyciągną to, czego chcą, od Muncastera.

Drax podniósł nagle głowę. Gunther nie wiedział, jakie plany mieli wobec nich Amerykanie, lecz biorąc pod uwagę, jak niebezpieczną wiedzę posiadał Muncaster, nie zdziwiłby się, gdyby go zabili. Widział, że Draxowi nie przyszło to na myśl.

— Niech pan się zastanowi, czy pańscy rodzice mają przez to zginąć w torturach — dodał.

Przez kilka sekund trwało milczenie, a potem Drax odezwał się znużonym głosem:

— Nic nie wiem. Tak postępujemy, mamy zasadę, żeby wiedzieć tylko to, co konieczne. Nie wiem, dlaczego Amerykanom tak zależy na Muncasterze. Nie mam pojęcia.

Gunther pokiwał głową.

— Wiemy więcej, niż pan sądzi — powiedział i wziął głęboki oddech. Teraz, kiedy Drax był osłabiony i zszokowany, nadeszła pora na blef. — Planowaliście opuścić kraj. Z tego, co wiemy, okrętem podwodnym, który podpłyne do wybrzeża Sussexu. Wybrzeże jest obserwowane, zgarniemy ich.

Poznał po zdziwionej minie Draxa, że jego przypuszczenia były trafne: takie właśnie mieli plany.

— Skąd o tym wszystkim wiecie? — zapytał z przerażoną miną Drax.

Gunther nie odpowiedział, przechylił tylko głowę. Anglik przez chwilę milczał, a potem opuścił głowę i rozplakał się. Szlochał jak dziecko, nie potrafiąc opanować drżenia ramion. Zniknęła gdzieś cała jego duma i opanowanie. Załamał się. Gessler uśmiechnął się drwiąco, Gunther zamknął oczy.

— Czy puścicie moich rodziców, jeśli powiem wam, co wiem? — spytał stłumionym, bezbarwnym głosem Drax. — Zresztą najwyraźniej i tak już wszystko wiecie.

— Oczywiście. Nie będą nam do niczego potrzebni.

Drax opuścił ramiona.

— Nie mam pojęcia, skąd mieliśmy zostać odebrani. Wiem tylko, że to miało być godzinę drogi stąd — powiedział.

Gunther przez chwilę się zastanawiał. Godzina drogi do wybrzeża. To musiało być gdzieś w środkowej części Sussexu. Znajdowało się tam sporo klifów, co zawężyło liczbę możliwych miejsc.

— Dziękuję — rzekł. — Przykro mi, że musiał pan to oglądać. Naprawdę mi przykro — dodał, wskazując ścianę, na której przed chwilą wisiał ekran.

— Te wszystkie informacje... kto panu powiedział? — zapytał Drax.

— Domyśliłem się tego. Wyraz pana twarzy potwierdził, że się nie myliłem. A teraz możemy jeszcze bardziej zawęzić pole poszukiwań.

Głowa opadła Draxowi na pierś, tak jak to się dzieje, gdy ludzie tracą ostatnią nadzieję. Gunther dał znak Gesslerowi i Syme'owi, którzy wyszli razem z nim, zostawiając na straży Kappa. Zatrzymali się kilka kroków dalej na korytarzu. Siedzący nieopodal przy biurku młody esesman wypełniał formularze. W pewnym momencie zadzwonił telefon. Esesman odebrał.

— Dobra robota, Hoth — rzucił Gessler. — To było mistrzowskie przesłuchanie. Prawdziwy majstersztyk. Może uda nam się jeszcze rozwiązać tę sprawę.

— Dziękuję. Chciałbym jednak prosić, żeby strażnik miał na niego oko. Drax może próbować popełnić samobójstwo. Będzie go teraz dręczyło poczucie winy.

— Zablefowałeś — powiedział Syme. — Mówiąc o tym okręcie podwodnym.

— Owszem. Możemy teraz powiedzieć naszym ludziom na wyspie Wight, żeby wypatrywali amerykańskiej łodzi podwodnej przy brzegach Sussexu. Drax nie jest zbyt skomplikowany. Ludzie jego pokroju są dzielni, ale koncentrują się tylko na jednym. Odkąd go ujęliśmy, myślał tylko o tym, jak znieść wielki fizyczny ból. Wytrzymałby chyba dość długo.

Gessler roześmiał się.

— Doprowadziłeś go do płaczu. Szlochał jak mała dziewczynka.

— Mój brat mówił mi, że to była rzecz, na którą najtrudniej było mu patrzeć — odparł ze smutkiem Gunther. — Kiedy dorośli ludzie płakali jak dzieci, klęcząc przy grobach, które kazali im wykopać jego podwładni.

Gessler nachmurzył się, słysząc tę zaskakującą uwagę.

— Cóż, informuj mnie o wszystkim — oświadczył i sztywno odszedł korytarzem, stukając obcasami po marmurowej podłodze.

Młody esesman odłożył słuchawkę i wstał. Był bardzo blady. Zasalutował Gesslerowi i powiedział coś do niego półgłosem.

— Na każdego trzeba znaleźć najlepszą metodę, rozumiesz — powiedział Gunther do Syme'a. — Nauczyłem się tego już dawno temu. — Zauważył, że Syme ma spoconą twarz i mruga szybko powiekami. Wyglądał, jakby miał zemdleć. — Dobrze się czujesz? — zapytał, wyciągając rękę.

— Tak — odparł szorstko Anglik. — Spodziewałem się po prostu czegoś bardziej brutalnego, bardziej... prostego. Ten film... wyprowadził mnie trochę z równowagi.

— Był dla ciebie zbyt mocny?

To dziwne, pomyślał Gunther, jak wrażliwi okazują się czasem ludzie, po których nikt by się tego nie spodziewał.

— Ależ skąd — odrzekł ostro Syme. — Po prostu było tam tak cholernie gorąco. Wszyscy ci ludzie... i projektor... taki sprzęt wytwarza mnóstwo ciepła. Mnóstwo ciepła — dodał ze złością.

Nagle usłyszeli za sobą kroki. Gessler szedł do nich szybko z podniesionymi rękoma, jakby próbował odsunąć od siebie coś strasznego. Siedzący za biurkiem esesman schował twarz w dłoniach.

— Co się stało? — zapytał Gunther.

Twarz Gesslera była ściągnięta bólem, drżały mu wargi.

— To Führer — wyjąkał. — Miał atak serca. Nasz Führer nie żyje.

Rozdział czterdziesty ósmy

W niedzielę trzydziestego listopada Sarah pojechała pociągiem do Brighton. O tym, dokąd ma się udać, poinformowała ją poprzedniego wieczoru Meg, która wróciła do mieszkania Dilys z walizką nowych ubrań, pewną kwotą pieniędzy oraz nowym dowodem osobistym i która przedstawiła jej zwięźle szczegóły nowej tożsamości. Od tej pory nazywała się Sarah Hardcastle i była wdową po londyńskim nauczycielu. Miała się zatrzymać w pensjonacie w Brighton i czekać, aż dołączy do niej David i kilka innych osób. Gdyby kogoś to interesowało, chciała wyrwać się na kilka dni z Londynu po śmierci męża, który zginął w wypadku samochodowym. Meg nie wiedziała albo nie chciała powiedzieć, dokąd mają się później udać.

Dilys skróciła już wcześniej jej włosy i ufarbowała je na ciemnorudy kolor, który zaskakująco dobrze jej pasował. Meg wyszła dopiero późnym wieczorem i Sarah była bardzo zmęczona. Przespała się na polowym łóżku w pokoju, w którym poznała Jacksona i gdzie, jak powiedziała jej Dilys, czekali jej klienci. W ciągu jednego dnia z podmiejskiej willi trafiła do poczekalni prostytutki. Miała ochotę wybuchnąć histerycznym śmiechem.

Nazajutrz rano Dilys odprowadziła ją na stację metra Piccadilly Circus. Sarah niosła walizkę i miała na nogach twarde, praktyczne buty. Dilys uściskała ją mocno w zatłoczonej hali wejściowej.

— Dziękuję — powiedziała Sarah. — Poradzisz sobie? — zapytała po chwili. — Dokąd teraz pójdziesz?

— Do nowego mieszkania. Powodzenia, kochanie — odparła Dilys, po czym jeszcze raz ją uściskała i poszła.

Sarah zmusiła się, by ruszyć z miejsca. Stojąc pośrodku hali, zwracałaby na siebie uwagę. Obok niej przemaszerowała w drodze na jakąś uroczystość niewielka grupa Czarnych Koszul z błyskawicami Brytyjskich Faszystów na opaskach i Sarah podeszła szybko do kasy. Wsiadła do metra jadącego na dworzec Victoria i kupiła tam bilet do Brighton. Na peronie zabiło jej szybciej serce, kiedy zobaczyła patrol policjantów. Znalazłszy się w pociągu, odetchnęła z ulgą.

Po chaosie ostatnich dni normalna podróż pociągiem wydawała jej się czymś nierealnym. Spoglądała pustym wzrokiem na wyszyte na siedzeniu naprzeciwko godło Southern Railway Company. Ktoś zostawił tam gazetę. To był „Guardian”, dawna liberalna gazeta, którą czytał zawsze jej ojciec. Beaverbrook kupił ją w zeszłym roku i teraz, podobnie jak w innych gazetach, pełno tam było prawicowej propagandy. W jednym z artykułów pisano o incydencie we Francji: komunistyczni agitatorzy z Resistance zaatakowali ciężarówkę wiozącą Żydów do obozu internowania w Drancy. Zginęło kilku żandarmów, uciekło paru Żydów. Zastanawiała się, ile było w tym prawdy; wiedziała, że francuski ruch oporu był podobno coraz silniejszy i uciekał się do przemocy w większym stopniu niż brytyjski. Inny artykuł opowiadał o wysokim urzędniku państwowym, podwładnym wiceministra zdrowia Churcha, podejrzewanym o utrzymywanie stosunków z prostytutką i odwiedzanie burdeli razem ze swoim kuzynem, dyrektorem szpitala psychiatrycznego, niejakim doktorem Wilsonem. Nie bardzo w to wierzyła; ludzie mówili, że takie przecieki służyły oczernianiu ludzi, których chciano się pozbyć z rządu. Tak czy owak, obu panów czekała szybka dymisja.

Pociągiem jechało niewielu ludzi. Kiedy minęli Haywards Heath, jej wagon był prawie pusty. Sarah była kilka razy w Brighton jako dziecko, na całodziennych wycieczkach ze swoją rodziną. W pociągu było wtedy pełno przejętych, podekscytowanych dzieci. Uświadomiwszy sobie, że może już nigdy nie zobaczyć swojej rodziny, rozplakała się i siedziała skulona w pustym wagonie, cicho szlochając. Wiedziała, że nie powinna na siebie zwracać uwagi, ale nie mogła na to nic poradzić.

Do hotelu kazano jej pojechać taksówką. Na dworcu w Brighton unosił się zapach dymu, ale kiedy wyszła na zewnątrz, powietrze było cudownie czyste, z ostrym posmakiem soli. Taksówka kluczyła przez chwilę zapuszczonymi uliczkami, a potem wyjechali na szeroką aleję Steine. Sarah zobaczyła kopuły Brighton Pavilion, indyjskiego pałacu króla Jerzego IV. Skręcili w boczną uliczkę z wąskimi trzypiętrowymi domami, z których luszczyla się farba. Nad drzwiami były szyldy hoteli, w oknach tablice z napisem „Wolne pokoje”. Na końcu uliczki zaskakująco blisko zobaczyła morze.



Hotel nazywał się Channel View. Nie było portiera i musiała sama wnieść walizkę do mrocznego ciasnego holu. Za niewielkim kontuarem siedziała nieduża

czterdziestoletnia kobieta o zmęczonej twarzy. Sarah położyła na blacie swój dowód.

— Pani Hardcastle — przeczytała kobieta i posłała jej niespokojne spojrzenie. — Proszę do kantorku, chciał się z panią widzieć mój mąż.

Miała miękką, prawie wiejską wymowę. Podniosła blat i Sarah udała się za nią do małego pokoiku, gdzie siedział nad jakimiś rachunkami pulchny, łysiejący mężczyzna w koszuli i kamizelce. Żona podała mu dowód Sarah. Mężczyzna zerknął na niego, po czym podniósł wzrok i uważnie jej się przyjrzał.

— Dotarła tu pani bez żadnych przygód?

— Tak.

— Wygląda pani, jakby płakała — rzekł karcącym tonem.

— Tak. W pociągu. W wagonie nikogo nie było.

Mężczyzna zmierzył ją surowym spojrzeniem.

— Ktoś mógł wejść — powiedział.

Sarah wzięła głęboki oddech.

— Dwa dni temu byłam zwyczajną gospodynią domową. Teraz jestem ścigana. Dowiedziałam się, że mój mąż był szpiegiem, nie mam domu, nie wiem, czy moja rodzina jest zdrowa i cała i czy ich kiedykolwiek jeszcze zobaczę. Więc przykro mi, ale się popłakałam.

— Nie wiedziała pani, że mąż dla nas pracuje?

— Nigdy mi o tym nie mówił.

— Cóż, tak często jest najlepiej — stwierdził łagodniejszym tonem mężczyzna. — Swoją drogą, z pani rodziną jest wszystko w porządku. Obserwowaliśmy ich domy. Pani siostrze i rodzicom złożyli wizytę funkcjonariusze Wydziału Specjalnego, ale to wszystko. Pani szwagier przyjaźni się z wieloma członkami Czarnych Koszul. — Mężczyzna znowu posłał jej ostre spojrzenie. — To z pewnością pomogło.

Sarah zamknęła oczy i głęboko odetchnęła.

— A co z moim mężem?

— W Londynie doszło do pewnej zwłoki. Może tu dotrzeć dopiero za kilka dni.

— A potem co z nami będzie? — zapytała Sarah. — Nikt mi tego nie chce powiedzieć.

— Macie wyjechać z Anglii. Pani z mężem i kilku przyjaciół.

— W jaki sposób? Dokąd?

— W bezpieczne miejsce — odparła kobieta. — Przykro mi, ale na razie nie możemy pani powiedzieć nic więcej. Swoją drogą, jestem Jane. A to jest Bert.

Bert oddał jej dowód.

— Mamy tu dla pani pokój. Może pani wybierać się na krótkie spacery po mieście, ale niech pani nie zapuszcza się zbyt daleko. O tej porze roku nie mamy wielu gości, zaledwie parę osób, które przyjechały tu w interesach. Najlepiej będzie, jeśli nie będzie pani nawiązywała żadnych znajomości.

— Kazano mi mówić, że chciałam się wyrwać na chwilę z Londynu po śmierci męża. Mogę powiedzieć, że nie lubię całego tego zgiełku z okazji Bożego Narodzenia. To prawda, nienawidzę go.

— Dobrze — mruknęła Jane. — Niech pani nie wdaje się w rozmowy z innymi gośćmi, niektórzy są bardzo wścibscy.

— Nie będę.

— Pory posiłków są na karcie w pani pokoju. — Jane dała jej klucz. — Jeśli chciałaby pani wziąć kąpiel, jest ciepła woda.

— Dziękuję — odparła Sarah i ruszyła ku drzwiom.

— Pani Hardcastle? — odezwał się cicho Bert.

— Tak? — odparła, odwracając się.

— Chciałem się tylko upewnić, czy pamięta pani swoje nowe nazwisko — powiedział z uśmiechem.



Pensjonat był dziwnym małym miejscem, z wąskimi korytarzami, niewielkimi pokoikami i wytartymi dywanami. Na łóżku w pokoju Sarah pozostało wgłębienie po setkach ludzi, którzy spali tu wcześniej. W lecie Channel View miał prawdopodobnie komplet gości, ale teraz mieszkało tu tylko kilku mężczyzn w średnim wieku, którzy pozdrawiali ją skinieniem głowy w jadalni. Odpowiadała im grzecznie, lecz z rezerwą. Jedzenie było okropne.

Przez kilka następnych dni prawie do nikogo się nie odzywała. Parę razy, gdy Jane była sama w recepcji, Sarah pytała, czy wiadomo już, kiedy dojedzie grupa jej męża, ale odpowiedź była za każdym razem odmowna. Jane była dość miła, lecz Sarah wyczuwała, że Bert nie darzy jej sympatią. Zastanawiała się, czy to dlatego, że nie należała do ruchu oporu, była tylko żoną agenta, obciążeniem.

Unikała saloniku, zaglądała tam tylko po to, żeby obejrzeć wiadomości na ekranie starego telewizora. Pierwszego wieczoru spodziewała się, że powiedzą coś na temat policjanta, którego zabiła Meg, być może nawet pokażą jej dom, ale nic takiego się nie stało. Sprawę oczywiście zatajono. Mówiono o tym samym, co zawsze — w Delhi odbyła się wielka demonstracja, należąca do Czarnych Koszul burmistrz Walsall został postrzelony przez terrorystów z ruchu oporu, Niemcy „wycofali się na z góry upatrzone pozycje” w kilku rejonach Nadwoźła.

W trakcie wiadomości podróżujący w interesach hotelowi goście wygłaszali nieprzychylnie komentarze na temat komunistów i brudnych czarnuchów.

Sarah spędzała długie godziny w swoim pokoju, czytając romanse z pozaginаныmi rogami, zostawione przez innych gości w małej biblioteczce, albo wyglądając przez okno z widokiem na zastawione pojemnikami na śmieci podwórko i tylne ściany sąsiednich budynków. W krótkie grudniowe popołudnia spacerowała po prawie pustym mieście, wstępując na herbatę do małych kawiarenek. Raz czy dwa widziała na rogach ulic małe grupki bikiniarzy w ich długich kolorowych płaszczach i rurkowych spodniach, ale byli bladzi i apatyczni i popalali tylko w milczeniu skręty. Być może byli to zwykli bezrobotni, lecz na wszelki wypadek się od nich oddaliła. Na murach widywała litery „V” i „R”, które sympatycy ruchu oporu malowali tu tak samo jak w Londynie. Było słonecznie, lecz bardzo zimno; mijany przez nią mały staw był ścięty lodem. Bez przerwy myślała o Davidzie: gdzie w tym momencie jest, co robi, kiedy tu dotrze. Martwiła się o niego i tęskniła, ale była również wściekła za to, że ją okłamał. Uświadamiała sobie, jak bardzo się od niej oddalił. Wiedziała, że kiedyś ją kochał, ale potem Charlie zginął w wypadku i David odwrócił się od niej, wzgardził spokojnym domowym życiem i został szpiegiem. Nie przyszło mu nawet na myśl, żeby jej o tym powiedzieć, żeby ją wtajemniczyć. Stała się tym, za co uważał ją Bert, obciążeniem. Przypomniała sobie swoje chorobliwe ataki zazdrości, kiedy myślała, że David romansuje z Carol. Uznała, że nigdy już nie pozwoli sobie na coś takiego. Jeśli przeżyją, jeśli zaczną nowe życie, nie będzie się kurczowo trzymać tego, co umarło. Chodząc po zimnym mieście i słuchając smutnego krzyku mew, miała ochotę sama krzyczeć: z rozpacz, gniewu i smutku, na myśl, że straciła jedynego mężczyznę, którego kiedykolwiek kochała.



Szóstego dnia pobytu w pensjonacie zobaczyła przy sąsiednim stoliku chudego, mniej więcej czterdziestoletniego mężczyznę z krzaczastymi wąsami, czytającego londyński „Evening Standard”. Jej wzrok przyciągnął tytuł: *Mgła paraliżuje Londyn*. Po krótkim wahaniu zapytała mężczyznę, czy mógłby jej pożyczyć gazetę, kiedy skończy.

— Oczywiście — odparł. Miał miłe brązowe oczy jak u psa. Sarah zauważyła łupież na jego kołnierzyku. — Właśnie przyjechałem z miasta — dodał, wskazując podbródkiem tytuł. — Istny chaos. Ludzie mówią, że czegoś

takiego jeszcze nie było. Sporo osób trafiło do szpitala. Jest pani z Londynu? — zapytał.

— Tak. Wyjechałam tylko na parę dni — odrzekła chłodno.

Mężczyzna uprzejmie się uśmiechnął.

— Zostawię pani gazetę, kiedy skończę — oznajmił i wrócił do posiłku.

Tego samego wieczoru Sarah zjrzała do Berta i Jane w ich małym kantorku. Powiedziała, że martwi się ciągłym brakiem wiadomości i zapytała, czy problemy, jakie się wyłoniły, nie są związane ze smogiem w Londynie. Jane nerwowo się uśmiechnęła.

— Nie wiemy nic ponadto, co pani powiedziano. Czekanie jest zawsze stresujące. Również dla nas — wyznała. Sarah domyśliła się, że nie po raz pierwszy pomagają ludziom wydostać się z Anglii.

W niedzielę wybrała się na kolejny spacer nadmorską promenadą. Nadal było słonecznie i bardzo zimno, morze zupełnie spokojne, promenada pusta z wyjątkiem kilku starszych osób wyprowadzających psy. Ruszyła w stronę Pałacowego Mola, mijając zamknięte budki z wyblakłymi reklamami sprzedawanych latem towarów.

Weszła na molo i stukając obcasami po drewnianych deskach, minęła karuzelę i zamknięty gabinet osobliwości. Dotarła aż do końca pomostu. Wiał tutaj zimny wiatr, dokoła szumiało morze.

Przy końcu mola stała tylko jedna osoba, opierając się o balustradę i spoglądając w stronę brzegu. Rozpoznała mężczyznę, od którego pożyczyła gazetę w hotelu. U jego stóp stała poobijana walizka. Słyszając jej kroki, podniósł wzrok i dotknął swojego melonika.

— Wyszła pani pooddychać morskim powietrzem? — zapytał.

Podeszła do niego bliżej.

— Tak. Strasznie zimno, prawda?

— Lodowato.

— Słyszałam w radiu, że w Londynie mgła nadal się utrzymuje.

— Tak mówią.

Miała zamiar ruszyć dalej, wiedziała, że nie powinna z nim rozmawiać, ale było coś wzruszającego w tym, jak kulił się żałośnie przy balustradzie. A ona była rozpaczliwie samotna.

— Nie pracuje pan dzisiaj? — zapytała.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Właśnie wymeldowałem się z hotelu. Jadę z powrotem do Londynu. Wyjazd nie był zbyt udany. Handluję zabawkami i ozdobami. Objeżdżam kurorty w Sussexie. Ludzie normalnie zamawiają towar na następną wiosnę, ale nastały

ciężkie czasy. — Uśmiechnął się ze smutkiem. — Nie sądzę, żebym w tym roku obchodził hucznie Boże Narodzenie.

— Zabawki i ozdoby? — Sarah przypomniała sobie swój komitet, zabawki dla biednych dzieci na północy i panią Templeman.

— Tak. Pochodzę z Brighton, wszyscy mnie tu znają. — Mężczyzna podał jej dłoń w rękawiczce. — Nazywam się Danny Waterson.

— Sarah Hardcastle.

Przez chwilę milczeli.

— Słyszałem, że koronację wyznaczono na czerwiec — powiedział w końcu.

— Naprawdę?

— Tak. Zadzwońłem dzisiaj do biura i od nich się dowiedziałem. Nadal nie znaleźli nikogo, kto by się z nią ożenił. Mówią, że królowa matka naciska, żeby to był niemiecki książę.

— Może pozostanie niezamężna jak pierwsza Elżbieta?

Danny ponownie popatrzył na wybrzeże.

— Pamiętam to miejsce z tysiąc dziewięćset czterdziestego. Druty kolczaste wzdłuż całej promenady i na plaży, betonowe zapory przeciwczołgowe. Trudno w to teraz uwierzyć.

— Owszem.

— I to racjonowanie, pamięta pani?

— Tak.

— Teraz można kupić wszystko, co się chce. Pod warunkiem że ma się pieniądze — dodał z lekką goryczą. — Przez parę miesięcy służyłem w Gwardii Krajowej. Pamięta ich pani?

Pamiętała kroniki filmowe pokazujące starszych panów i chłopców, którzy paradowali z drewnianymi kijami, bo zabrakło dla nich karabinów. Oglądając ich, myślała o rzezi czekającej wszystkich w razie inwazji.

— Byłem za młody, żeby powołali mnie do normalnego wojska — podjął Danny. — A po kilku miesiącach było już po wszystkim. — Znowu oparł się o balustradę. — Zastanawiam się, co by było, gdybyśmy nie podpisali traktatu pokojowego. Czy Niemcy by nas najechali? To byłoby trudne, wie pani, przetransportowanie całej armii przez kanał La Manche.

— Twierdzą, że byłoby łatwe. Straciliśmy cały sprzęt pod Dunkierką.

— Możliwe. Cóż, dokonaliśmy wyboru w czterdziestym roku i oto, gdzie jesteśmy. — Z jego tonu wynikało, że jest przeciwko obecnemu reżimowi, choć właściwie nie powiedział nic, co można by mu zarzucić.

— Zgadza się — odparła z ciężkim westchnieniem Sarah.

Danny pokręcił ze smutkiem głową.

— Boję się o przyszłość moich dzieci, naprawdę się boję. Wczoraj widziałem za Worthing jedno z tych miejsc, gdzie trzymają Żydów. Z daleka, z pociągu wyglądało jak dawne koszary. Otoczone drutem, z patrolującymi strażnikami. Moja żona twierdzi, że Żydzi sobie na to zasłużyli, że nie można im ufać, że nie są lojalnymi Brytyjczykami. — Znowu pokręcił głową. — No cóż, nic nie można na to poradzić.

Sarah zdała sobie sprawę, że przez kilka ostatnich dni prawie w ogóle nie myślała o Żydach.

— W wiadomościach nic o nich ostatnio nie było — powiedziała.

— Owszem. Ludzie wkrótce zapomną. Kiedy chodzi o coś, czego nie widzą i co nie wpływa bezpośrednio na ich życie, łatwo zapominają.

— W jakim wieku są pana dzieci? — zapytała.

— Mam dwóch synów. Sześć i osiem lat. A pani?

— Nie mam dzieci. Jestem... jestem wdową.

— Mąż zginął na wojnie w czterdziestym roku?

— Nie. Niedawno. W wypadku samochodowym.

— Aha. Przykro mi.

— Chyba powinnam już wracać. Jest zimno.

Danny spojrzał na nią.

— Boże Narodzenie to musi być dla pani trudny czas.

— Tak. Dlatego chciałam się wyrwać na kilka dni. — Uświadomiła sobie, że kłamstwa przychodzą jej z łatwością. Czy o tym samym przekonał się David? Popatrzyła na smutną twarz Danny'ego i odezwało się w niej poczucie winy.

— Może chciałaby pani się czegoś napić? — zapytał nerwowo. — W Lanes jest sporo miłych pubów z węglowymi kominkami. Właśnie je otwierają.

Próbuje mnie poderwać, pomyślała. Choć może nie, może szuka tylko towarzystwa w ten ponury poranek. Przez chwilę się wahała.

— Dziękuję bardzo, ale nie — powiedziała z uśmiechem. — Powinnam już wracać.

— Oczywiście, przepraszam — odparł lekko zakłopotany. — Mam nadzieję, że się pani nie gniewa...

— Skądże znowu. Po prostu muszę już iść.

Danny dotknął znowu kapelusza niezgrabnym, ukradkowym gestem.

— W zimie to niezbyt wesołe miasto. Nie chcę się wtrącać, ale może w Londynie poczuje się pani raźniej.

— Tak, być może — odrzekła z westchnieniem i odwróciła się.

— Mam nadzieję, że pani nie uraziłem.

— Nie. Miło było z panem porozmawiać.

Odeszła moim w stronę promenady, przez cały czas myśląc o samotności, która mogła jej już stale towarzyszyć.

Mijając kiosk przy wejściu do hotelu Old Ship, usłyszała gazeciarza.

— Hitler nie żyje! — wołał. — Führer zmarł na atak serca!

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Po minięciu blokady wóz strażacki przez cały czas pędził z niebezpieczną szybkością, nie wyłączając syreny. W pewnym momencie kierowca zatrąbił i przechodzący akurat przez jezdnię mężczyzna w białej masce na ustach w ostatniej chwili uskoczył na bok. Jego sylwetka na ułamek sekundy ukazała się w świetle reflektorów. Jakiś czas potem potężny pojazd zatrzymał się w miejscu tak nagle, że David poleciał do przodu. On i pozostali podnieśli się na lekko drżących nogach i wyjrżeli na zewnątrz. Kierowca nie zgasił reflektorów i chociaż ich światło z trudem przenikało mgłę, David zdołał zobaczyć, że zatrzymali się przed dużą ciężarówką, której kryta brezentem skrzynia zwrócona była w ich stronę. Uświadomił sobie z nagłym przerażeniem, że to samochód wojskowy. Młody strażak, który ich uratował, ściągnął z głowy hełm.

— No dalej — powiedział wesoło. — Wsiadajcie. Czeka na was nowy środek transportu.

— Ale to wojskowa ciężarówka...

Strażak roześmiał się.

— Ją też ukradliśmy. Pospieszcie się. Policja już wkrótce zorientuje się, że to było fałszywe wezwanie.

David zszedł po drabince na jezdnię. Ben, Natalia oraz ich młody ratownik poszli w jego ślady. Wyszli również trzej strażacy, którzy jechali w kabinie. David rozejrzał się. Znajdowali się na brukowanej ulicy, po obu stronach były zamknięte garaże. Przy ciężarówce stał wysoki barczysty mężczyzna w wojskowym mundurze.

— Kto to jest? — zapytał David, zwracając się do młodego strażaka.

— Nie mam pojęcia, chłopie. Kazali nam po prostu przywieźć was tutaj. — Młodzieniec poklepał wóz strażacki. — Porządna maszyna firmy Merryweather, jeszcze nigdy nas nie zawiodła.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i puścił ją w obieg. David z przyjemnością wziął jednego. Mężczyzna w mundurze podszedł do nich. Mniej więcej pięćdziesięcioletni, miał porytą zmarszczkami twarz, czarne wąsy i surowe, twarde oczy. Na jego ramionach widniały dystynkcje kapitana.

— Jest pan prawdziwym żołnierzem? — zapytał go Ben.

— Tak jest — odparł tamten, mierząc ich wzrokiem. — Przeszedłem na stronę Churchilla. W porządku. Wskakujcie wszyscy na skrzynię ciężarówki. Musimy się stąd wynosić. Fowler, otwieraj! — warknął.

Plandeka uniosła się. Drobnny żylasty mężczyzna w mundurze szeregowca zeskoczył na dół, opuścił klapę i machnął niecierpliwie ręką, żeby wsiadali. David zobaczył, że ma karabin.

— Dziękuję — powiedział, ściskając dłoń młodego strażaka. — Dziękuję wam wszystkim — dodał, spoglądając na innych strażaków, którzy unieśli ręce w geście pozdrowienia.

— Pospieszcie się — mruknął niecierpliwie kapitan. — Nie mamy dużo czasu.

Wszyscy wdrapali się na górę. W nozdrza uderzył ich zapach potu i oleju silnikowego. Szeregowiec oświetlił latarką tył ciężarówki i zobaczyli po bokach dwie długie ławki. Przy szoferce siedział kolejny szeregowiec z karabinem między kolanami. Obok niego kulił się cywil w ciemnej kurtce. David uświadomił sobie, że to Frank, i zabiło mu szybciej serce. Twarz jego przyjaciela rozjaśniła się w uśmiechu.

— A więc to prawda! Żyjecie! — zawołał.

— Nie dzięki tobie — burknął zrzędliwie żylasty szeregowiec.

Pokazał Davidowi, Benowi i Natalii, żeby usiedli na ławkach, po czym opuścił plandekę. Żołnierz siedzący przy Franku walnął w tylną ścianę szoferki. Przez znajdujące się tam małe okienko można było zobaczyć, co dzieje się z przodu. Kierowca, również w wojskowym mundurze, siedział już za kierownicą; kapitan zajął miejsce obok niego. Kierowca uruchomił silnik i ruszyli powoli ulicą.

Żylasty szeregowiec zaświecił im latarką w twarze.

— W porządku — powiedział. — Za chwilę zatrzymamy się gdzieś w bocznej uliczce i wszyscy przebierzecie się w mundury. Będziemy udawać grupę żołnierzy mającą objąć służbę wartowniczą w jednym z żydowskich obozów w Dover. Z wyjątkiem pani — dodał, kierując latarkę na Natalię. — Pani nie wezmą za żołnierza, jeśli nas zatrzymają. Wysadzimy panią i powiemy, co ma pani robić. Spotka się pani z innymi później.

— Gdzie? — zapytał Ben.

— Dowiedzie się, kiedy tam dojedziemy — odparł z akcentem z Yorkshire żołnierz, który siedział obok Franka. — Naprawdę nie możemy wam powiedzieć nic więcej. — Był dużym mężczyzną o wyglądzie zapaśnika, ale zachowywał się przyjaźniej od swojego towarzysza.

— Kim wy wszyscy jesteście? — spytał David. — Ten gość siedzący z przodu ma dystynkcje kapitana.

— Przed opuszczeniem przez Churchilla parlamentu był normalnym żołnierzem — odparł facet z Yorkshire. — Postanowił pomóc mu „podpalić Anglię”. Pamiętacie to przemówienie?

— A wy dwaj?

— Jesteśmy żołnierzami ruchu oporu — odrzekł żylasty. — Nie służymy w siłach zbrojnych faszystowskiego państwa. Kradniemy wojskowe mundury i ciężarówki. Ale z załogi, która was tu przywiozła, dwaj strażacy naprawdę pracowali w remizie. To oznacza, że stracili przez was pracę — dodał z wyrzutem. — Są teraz ścigani.

— Podobnie jak ja, chłopie — odpalił Ben. — Aż do ostatniego tygodnia miałem ciepłą posadkę w domu wariatów. Taka jest cena, którą wszyscy płacimy, nie?

— Wszyscy siedzimy w tym po uszy — rzekł pojednawczo facet z Yorkshire.

Ciężarówka zatrzymała się. Przejechali zaledwie kilka ulic. Żylasty skierował światło latarki pod ławki; David zobaczył tam kilka brezentowych toreb.

— W porządku — oświadczył żylasty. — Każdy bierze torbę, wysiada i się przebiera.

— Chcę wiedzieć, dokąd jedziemy — powiedział z uporem Ben.

Żylasty zaświecił mu latarką prosto w twarz.

— Słuchaj no. Straciliśmy dzisiaj przez was w Londynie porządných ludzi, więc rób, co ci, kurwa, każę. Wszyscy z ciężarówki!



Przy wąskiej uliczce, na której się zatrzymali, stała jakaś niewielka fabryka. Czekający tam na nich chudy mężczyzna w meloniku i długim płaszczu podszedł do kapitana, który wysiadł z kabiny, i zamienił z nim szeptem kilka słów. Następnie podszedł do Natalii.

— Pani pójdzie ze mną.

Natalia zerknęła na Davida.

— Może pan mi dać chwilę?

Mężczyzna niechętnie pokiwał głową.

— Dobrze. Ale tylko minutę.

David i Natalia odeszli na stronę.

— Przykro mi, że... — zaczął.

— Mnie nie jest przykro — odparła z uśmiechem. — Dlaczego miałyby mi być przykro? Wkrótce znów się spotkamy.

David spojrział na grupkę żołnierzy, których sylwetki majaczyły we mgle. Frank i Ben przebierali się w wojskowe mundury.

— Na pewno?

— Na pewno. Niedługo się z tobą zobaczę. — Natalia zawahała się. — Ale z tego, co mówiła Eileen, wynika, że zobaczysz się również ze swoją żoną.

David wziął ją za rękę.

— Wiesz, że po raz pierwszy nie dochowałem jej wierności?

Natalia głęboko odetchnęła.

— Więc może miałaś rację i między wami wszystko już skończone? — zapytała niepewnie.

Nie odpowiedział. Podeszedł do nich kapitan.

— Musi pani już iść — oświadczył stanowczo. — A pan... — spojrział z dezaprobatą na Davida — musi się przebrać w mundur. Natychmiast.

Natalia pochyliła się i szybko pocałowała Davida.

— Na razie — powiedziała ze smutnym uśmiechem. Dotknęła na chwilę jego dłoni, a potem podeszła do mężczyzny, który na nią czekał, i oboje bez słowa odeszli. Ich sylwetki natychmiast rozplynęły się we mgle.

— Szybciej! — zawołał niecierpliwie Ben.

David zastanawiał się, co myśli o nim i Natalii; nie dawał po sobie nic poznać. Geoff mógłby nie aprobować tego, co zrobili, ale Geoff już nie żył.

Przebrał się szybko w gruby, gryzący mundur, który przypomniał mu rok tysiąc dziewięćset czterdziesty. Byli teraz wszyscy szeregowcami. Poprawił czapkę na głowie i wymacał w kieszeni kapsułkę z cyjankiem, którą wcześniej tam przełożył. Wdrapali się z powrotem na ciężarówkę i ruszyli dalej pustymi ulicami. Przez okienko w kabinie David widział głowy kierowcy i kapitana. Przed nimi w świetle reflektorów kłębiły się tumany mgły.

— Jak się czujesz, stary przyjacielu? — spytał cicho Franka, który siedział obok niego i wydawał się pogrążony w letargu.

— Chyba dobrze. Dziwnie się czuję w mundurze. — Frank wziął głęboki oddech. — Przepraszam, że uciekłem, Davidzie. Złamałem obietnicę. Ale wydawało mi się, że zaraz nas złapią, a ja jeden nie miałem... no wiesz... kapsułki.

— Dokąd trafiłeś?

— Do kościoła. Szukała mnie tam policja. Znalazł mnie pastor. Pomógł mi, przekazał ludziom z ruchu oporu i dał swoją kurtkę. — Frank umilkł. — Wciąż myślę o Geoffie — dodał po chwili.

— Wiem. Był odważnym przyjacielem. — David zerknął na Bena, który siedział z chmurną miną naprzeciwko. — Wszystko w porządku? — zapytał go.

— Zastanawiam się po prostu, co zamierzają z nami zrobić — mruknął Ben i spojrzał na faceta z Yorkshire. — Dokąd teraz jedziemy?

— Wiem tylko, że wyjeżdżamy z miasta.

Przez jakiś czas jechali bardziej zatłoczonymi ulicami. Ciężarówka zwolniła do prędkości pieszego, a potem z powrotem przyspieszyła. Mgła była chyba trochę rzadsza.

— Uwaga! — usłyszał nagle David głos kapitana w kabinie. Zerknął przez małe okienko i zobaczył, że zbliżają się do blokady drogowej. W poprzek ulicy ustawiony był szlaban. Żyłasty wstał z ławki, odepchnął go i sam zaczął wyglądać przez okienko. Ciężarówka stanęła. Facet z Yorkshire pochylił się i poklepał Franka po kolanie.

— Zatrzymali nas. Ale kapitan da sobie z nimi radę — powiedział, jakby zwracał się do opóźnionego w rozwoju dziecka. — Po prostu siedźcie cicho. Jasne?

— Rozumiem, że tabletki Franka zostały u państwa O'Shea? — szepnął David do Bena.

— Largactil? Tak.

W tym momencie do ciężarówki podszedł policjant, oświetlając latarką szoferkę. Kapitan opuścił szybę.

— Dobry wieczór, konstablu — powiedział zdecydowanym tonem.

Policjant zasalutował.

— Dokąd pan jedzie, kapitanie? — zapytał. Zachowywał się grzecznie, ale robił wrażenie podenerwowanego.

— Zabieram chłopaków do żydowskiego obozu w Dover. Do służby wartowniczej. Na prośbę tamtejszego komendanta — odparł kapitan, podając stosowny dokument policjantowi. Ten przestudiował go w świetle latarki.

— Macie tam problemy z pejsatymi? — spytał zaniepokojonym tonem.

— Nie. Dlaczego? W obozach potrzebni są strażnicy. Po co ta blokada?

— Szukamy zbiegłych terrorystów. Trzej mężczyźni i kobieta, wszyscy w okolicach trzydziestki. Udało im się uciec z obławy przy New Cross. Wydział zmobilizował wszystkie siły do tej akcji.

— Zamykają stajnię po tym, jak spłoszyły się konie, tak?

— Można tak to określić, kapitanie — odparł z ciężkim westchnieniem policjant.

— Nikogo nie widzieliśmy. Chociaż w tej mgłę trudno jest dostrzec własną rękę.

— Wiem. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Dziwna noc... jeśli pomyśleć o tym, co zdarzyło się w Niemczech.

— To znaczy?

— Hitler nie żyje. To oficjalna wiadomość.

Mężczyźni w tyle ciężarówky popatrzyli po sobie i nagle pojaśniały im twarze.

— Czy on powiedział, że... — zaczął mówić Frank, ale facet z Yorkshire pochylił się i położył mu dłoń na ustach.

— Tss...

— Jest pan pewien? — zapytał kapitan.

— Na komisariacie mówią, że to prawda.

— Wielki Boże — mruknął kapitan. — I co teraz będzie?

— Kto wie? — odparł policjant. — Mam nadzieję, że Żydzi się nie dowiedzą. Dlatego myślałem, że doszło do jakichś niepokojów w obozach internowania. Tak czy owak, musimy kontrolować wszystkie pojazdy wyjeżdżające z Londynu. Nie pogniewa się pan, jeśli zerknę na pakę?

— Proszę bardzo. Podnieście plandekę! — zawołał kapitan, odchylając się do tyłu.

Żyłasty szeregowiec wykonał jego polecenie. Policjant zajrzał do środka i skierował światło latarki na mężczyzn i pod ławki.

— Nie mam nic wspólnego z tą brakującą skrzynką mielonki w Aldershot, konstablu! — rzucił żartem Ben. Pozostali wybuchli śmiechem.

Policjant mruknął coś, opuścił plandekę i dał znak, żeby jechali. Kiedy go mijali, zasalutował ponownie kapitanowi. Wszyscy z wyjątkiem Franka odetchnęli z ulgą. Tylko on siedział cały spięty, wpatrując się przed siebie.

Kapitan przesunął szybkę z tyłu szoferki. Miał podekscytowaną, ożywioną twarz.

— Słyszeliście, ludzie? Mówią, że Hitler nie żyje! — zawołał.

— Drań odwalił w końcu kitę — rzucił z pasją facet z Yorkshire.



Nie zatrzymano ich już więcej i jechali powoli dalej. David miał wrażenie, że kierują się raczej na wschód, nie na południe, ale nie był tego pewien. Zastanawiał się, gdzie jest Natalia i czy ją jeszcze zobaczy. I czy zobaczy się z Sarah. Czy wszystko między nimi było skończone? Nadal tego nie wiedział.

Mgła była coraz rzadsza i w końcu zniknęła. Na niebie pokazały się gwiazdy. Kiedy David przekręcił głowę i wyjrzał przez szybkę z tyłu szoferki,

zorientował się, że jadą teraz wiejskimi drogami; widział pojawiające się i znikające szkielety drzew, upiornie białe w świetle samochodowych reflektorów. Nie jedziemy w stronę morza, pomyślał, już byśmy tam byli. Zerknął na Bena, który patrzył przed siebie z nachmurzoną miną. Nawierzchnia drogi była coraz gorsza, ciężarówka podskakiwała na wybojach. Mimo tych niedogodności zachciało im się spać. David nachylił się do Bena.

— Frank zasnął — szepnął mu do ucha. — Nie wygląda najlepiej.

— Potrzebuje kolejnej dawki leków. A ja zostawiłem wszystkie u państwa O’Shea. Dokąd oni nas, do diabła, wiozą?

— Dlaczego tak się przejmujesz? — zapytał David.

— Chcę wiedzieć, dokąd jedziemy. Dlaczego nam tego nie mówią? Nie podoba mi się to, jak nas traktują.

— Stracili dzisiaj ludzi.

— My też.

David odchylił się do tyłu. Po jakimś czasie powieki opadły mu z czystego zmęczenia. Obudził się, kiedy ciężarówka zatrzymała się z nagłym szarpnięciem. Kapitan otworzył tylną szybę.

— Wsiadać! — zawołał.

Wszyscy zeskoczyli z ciężarówki. David pomógł Frankowi, który cały dygotał. Stali w kompletnej ciemności na zwirowanym podjeździe wysadzonym wysokimi drzewami. Gołe konary odznaczały się na tle nieba. Było bardzo zimno; w nozdrza wpadało im wilgotne, mroźne powietrze. Nigdzie nie paliły się światła.

— Gdzie jesteśmy, Davidzie? — zapytał go szeptem Frank.

— Nie wiem.

— Żadnych rozmów — warknął kapitan. — Za mną.

Pozostali żołnierze otoczyli ich z bronią gotową do strzału. David usłyszał, jak Ben bierze głęboki oddech. Zaraz nas zastrzelą, przeleciało mu przez głowę. Przysporzyliśmy im tylu problemów, że postanowili pozbyć się nas gdzieś na wsi, w ustronnym miejscu. Zachowają przy życiu tylko Franka; przesłuchają go i poznają jego sekret. Skoro Hitler nie żyje, wszystkie rachuby wzięły w łeb. Zerknął na maszerującego przed nim równym krokiem kapitana. Nie podobał mu się ten człowiek, było w nim coś chłodnego i nieprzejechanego.

Szli pogrążonym w mroku podjazdem, pod ich nogami chrzęścił żwir. Nagle w ciemności ukazała się przed nimi sylwetka dużego wiejskiego domu. David zobaczył rysujące się na tle nieba wysokie kominy. Powoli się do nich zbliżali.

Ktoś uchylił boczne drzwi w domu i ujrzeni padający przez nie wąski promień światła.

— Aztek — powiedział cicho kapitan.

Drzwi otworzyły się szerzej. Cała grupa wspięła się po kilku schodkach i mrużąc oczy przed światłem, weszła do środka. Znajdowali się w długim korytarzu, na ścianach wisiały obrazy. W jego drugim końcu pełnił wartę młody człowiek w mundurze khaki i z karabinem na ramieniu. Na kieszonce na piersi miał naszytą brytyjską flagę. Okna zasunięte były grubymi zasłonami z tkaniny, którą David zapamiętał z obowiązujących w latach 1939—1940 zaciemnień miasta. W oddali słyszał stłumione głosy; dom był duży, należał prawdopodobnie do jakiegoś arystokraty, który przeszedł na stronę ruchu oporu. Gdzieś w głębi budynku zadzwonił telefon i szybko został odebrany.

Drzwi otworzył im wysoki starszy mężczyzna; miał na sobie białą koszulę i czarną kamizelkę niczym kamerdyner. Przyjrzał im się uważnie i podszedł bliżej.

— Witajcie, panowie. Pan Fitzgerald?

David wystąpił do przodu.

— Słucham?

— Czy może pan zabrać doktora Muncastera na górę? Panie Hall, czy mógłby pan mi towarzyszyć? Chcemy poznać pańską relację o tym, co wydarzyło się w Londynie.

— W porządku — odparł Ben. — Wkrótce się zobaczymy, Frank — dodał i ruszył korytarzem wraz ze starszym mężczyzną i kapitanem.

Do Davida i Franka podszedł żołnierz w mundurze khaki.

— Proszę ze mną — powiedział przyjaźnie. Miał silny walijski akcent. — A wy, chłopaki — zwrócił się do umundurowanych mężczyzn — wyjdźcie na zewnątrz. Ktoś pokaże wam, gdzie możecie zaparkować ciężarówkę i się przespać.

Zaprowadził Davida i Franka do holu wejściowego z szerokimi centralnymi schodami. W jednym z pokoiów David zobaczył przez uchylone drzwi przykryte białymi pokrowcami meble. W towarzystwie kolejnego żołnierza z naszytą na kieszonce brytyjską flagą weszli na górę. Zza zamkniętych drzwi słychać było pomruk męskich głosów; po raz kolejny zadzwonił telefon. David domyślił się, że rezydencja jest czymś w rodzaju kwatery głównej. Wiadomość o śmierci Hitlera musiała wszystkich poruszyć.

Wprowadzono go razem z Frankiem do dużej sypialni, w której okna zasłonięte były grubymi kotarami. Przy ścianie stało podwójne łóże, pośrodku kilka połowych łóżek.

— Proszę, nie rozsuwajcie zasłon — powiedział Walijszyk. — Toaleta jest w końcu korytarza. Przyniesiemy wam coś do jedzenia. Pan Hall dołączy do was później. Nawiasem mówiąc, jestem Barry.

Był pierwszą osobą, która im się tego dnia przedstawiła.

— Może pan powiedzieć, gdzie jesteśmy? — zapytał David.

— Nie, przykro mi — odparł przepraszającym tonem Barry. — Nie teraz. Czy czegoś jeszcze potrzebujecie?

— Powinienem zażyć swoje leki — odezwał się Frank. — Żeby móc zasnąć. Potrzebuję ich. Ben wie o tym.

Walijczyk pokiwał głową.

— Porozmawiam z nim. Słyszeliście wiadomości? — zapytał z uśmiechem.

— Pogłoski o śmierci Hitlera? Tak.

— To coś więcej niż pogłoski. Niemieckie radio podało, że nowym Führerem został Goebbels. Może zacznie się coś w końcu dziać.

Po wyjściu Walijczyka Frank usiadł znużony na łóżku.

— Co o tym sądzisz? — zapytał go David.

— Nie wiem, czy w to wierzę. — Frank podrapał się po piersi. — Fatalnie się czuję. Nie mogę przestać myśleć o Geoffie, cały czas widzę, jak leży na ziemi. A także o Seanie i Eileen. Zdrzemnąłem się w ciężarówce, ale przychodziły mi do głowy takie rzeczy... — mruknął i schował twarz w dłoniach.

David usiadł obok niego. Zerknął na zegarek. Minęła już pierwsza w nocy. Był wyczerpany i nagle poczuł złość na Franka. Czy był w gorszej sytuacji niż pozostali? Wiedział, że to, co zdarzyło się dziś wieczorem, będzie miało wpływ na całe jego życie. Pod warunkiem że przeżyje. Popatrzył na zwieszoną głowę Franka i uświadomił sobie, że w przeciwieństwie do innych nie uczestniczy w tym z własnej woli. Położył mu rękę na ramieniu.

— Jesteśmy teraz bezpieczni — powiedział.

Frank podniósł wzrok.

— Na pewno?

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Barry. Przyniósł im na tacy kanapki, szklankę wody i słoiczek tabletek. Frankowi zaświeciły się oczy.

— Tego potrzebujesz? — zapytał Barry.

— Mieliście tutaj te leki? — zdziwił się David. — Wiedzieliście, że przyjedziemy.

— Nie wykluczaliśmy tego. Wiemy, jak ważne jest to, żeby doktor Muncaster miał pod ręką... jak to się nazywa... lar... coś tam.

— Largactil.

Frank wpatrywał się w słoiczek niczym narkoman na głodzie. Barry otworzył go i dał mu dwie tabletki i szklankę wody. Frank szybko je połknął i położył się na wznak na łóżku.

— Za kilka minut poczuję się lepiej — powiedział. — A potem zasnę.

Może nie jest fizycznie uzależniony, pomyślał David, ale nie potrafi żyć bez tych tabletek.

— Na pana miejscu trochę bym się przespał — poradził Davidowi Barry. — Może pan z nim... eee... spać w jednym pomieszczeniu?

— Oczywiście, że tak — odparł ostro David.

Barry wyszedł. Frank przekręcił się na bok i po minucie jego oddech stał się głęboki i regularny. Znużony David ściągnął z nóg buty i zdjął kurtkę od munduru. Zgasił światło, a potem podszedł do okna i uchylił lekko zasłony. Na dworze było kompletnie ciemno, widać było tylko gwiazdy wysoko na niebie i zarys drzew w oddali. Pod spodem był kamienny taras. Nagle na dole pojawił się żołnierz z karabinem i pokazał mu gniewnie, żeby zasunął zasłony. Wartownicy patrolują chyba teren wokół całego domu, pomyślał. Po omacku podszedł do jednego z polowych łóżek i położył się. Było przynajmniej ciepło; w sypialni działało centralne ogrzewanie. Słuchając regularnego oddechu Franka, zapadł w sen.



Obudził go Ben, który zapalił światło. Sprawiał wrażenie wykończonego. David usiadł i przystawił palec do ust, wskazując Franka. Ben podszedł cicho do łóżka, przyjrzał się swojemu podopiecznemu i wrócił do Davida.

— Śpi jak zabity — powiedział półgłosem.

— Dali mu jego tabletki. Przedtem nie czuł się najlepiej. Kiedy stąd wyjedziemy, będzie musiał spróbować je odstawić.

— Jeśli stąd wyjedziemy. — Ben usiadł na polowym łóżku i spojrzał na zegarek. — Chryste, już prawie czwarta. Przez cały czas mnie maglowali. Próbowali dojść, jak zdołali nas namierzyć ci dranie z Wydziału Specjalnego. Mimo mgły w całym Londynie trwa oblawa na tych, których podejrzewają o działalność w ruchu oporu. Ujęto parę osób, ale wygląda na to, że szukali właśnie nas.

— Moim zdaniem doniósł na nas ten szczeniak.

— Tak, chyba tak. Przesłuchiwali mnie sami wojskowi — dodał Ben, ścisząc głos. — Wkurzają ich kłopoty, których przysporzyła ta misja. Nie są z nas zadowoleni.

— Przecież wykonujemy tylko rozkazy.

— Najwyraźniej uważają, że mają z nami więcej problemów, niż jesteśmy warci.

— Bałem się, kiedy kazali nam wysiąść z tej ciężarówki — przyznał David.
— Myślałem, że nas zastrzelą. Ty też się tego obawiałeś?

— Zgadza się. Myślałem, że postanowili pozbyć się problemu.

— W dalszym ciągu chcą nas wysłać na wybrzeże?

— Nie powiedzieli. Ani gdzie, kurwa, jesteśmy.

— Zerknąłem na zewnątrz, ale zobaczyłem tylko taras na dole. Na dworze był wartownik, kazał mi zasunąć zasłony.

— W całym domu są ludzie z karabinami. Na korytarzu trzyma wartę strażnik.

— Myślisz, że gdzieś nas przeniosą?

— Cholera wie. — Ben spojrzał na Franka. — Biedaczysko, przynajmniej przez chwilę nie musi się niczym przejmować.

— Zastanawiałem się wcześniej — powiedział David — czy jest w gorszej sytuacji niż my wszyscy.

— Moim zdaniem życie jest dla niego w ogóle gorsze niż dla większości ludzi — odparł Ben. — W szpitalu niektórzy z nich są całkiem szczęśliwi, po prostu sobie tam żyją. Z kolei inni tylko udają zadowolonych. Ale Frank nienawidził szpitala. — Ben zmierzył Davida poważnym spojrzeniem. — Wiem, uważasz, że jestem dla niego czasem za ostry, ale w wariatkowie trzeba jasno pokazać, kto tu rządzi. Szpital psychiatryczny jest odzwierciedleniem systemu: chodzi o to, żeby jak najtańszym kosztem trzymać ludzi w ryzach. Po rewolucji będzie inaczej. — Ben wyraźnie się rozmarzył. — Mnie też tam się nie podobało — dodał. — Przypominało mi okres, kiedy sam siedziałem za kratami.

David przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Zdał sobie sprawę, że zaczyna się zaprzyjaźniać z tym młodym pyskatym komunistą.

— Mówiłeś, że trafiłeś za kratki, kiedy byłeś bardzo młody. Za co? — zapytał.

Ben spojrzał na niego z powątpiewaniem.

— Kiedy miałem siedemnaście lat, złapali mnie w łóżku z moim najlepszym kumplem — odparł rzeczowym tonem. — On miał wtedy szesnaście.

— O! — David nie krył zaskoczenia. Wydawało mu się, że pederasty są podobni do dziewczyn, zniewieściali jak pewien urzędnik, którego wyrzucono z Ministerstwa do spraw Dominiów w trakcie czystki sprzed kilku lat. Instynktownie lekko się odsunął. Ben zauważył to i uśmiechnął się z przekąsem.

— Tak, zgadza się. Jestem jednym z nich. Sędziowie w Glasgow wymierzili mi maksymalną karę i wydziedziczyła mnie własna rodzina. Wszyscy byli prezbiteriańskimi oranżystami, biednymi jak myszy kościelne i winiącymi o wszystko Irlandczyków. — Ben uśmiechnął się smutno. — Było nas pięcioro bachorów w trzech izdebkach, najmłodszy musiał w nocy spać w szufladach. Nie

było gdzie ich położyć. Pewnej nocy siostra zasunęła przypadkiem szufladę z moim braciszkiem Tamem. O mało się nie udusił, co spowodowało, że był potem trochę opóźniony. Ja byłem ten sprytny, choć nie na wiele mi się to zdało. Skazali mnie na rok w poprawczaku i sześć uderzeń trzcina.

David nie wiedział, co powiedzieć. Przypomnił sobie blizny, które widział na udach Bena.

— Kara chłosty — mruknął. — Mój ojciec miał klientów, którzy zostali na nią skazani. Mówił zawsze, że to barbarzyństwo.

— To nie brzmi tak strasznie, kiedy się o tym mówi, prawda? Ale kiedy przywiązują cię rozebranego do pręgierza i przynoszą te wiązki trzciny... co tu dużo gadać, zlałem się ze strachu. Z drugiej strony — dodał gorzko, patrząc Davidowi prosto w oczy — to mnie, jak powiadają, zahartowało. A musimy być zahartowani, jeśli mamy walczyć o lepsze jutro.

— Wiem. — Przez chwilę obaj milczeli. — Powiedzieli, kiedy przyjedzie Natalia? — zapytał David.

— Nic mi nie powiedzieli. — Ben znowu się zgryźliwie uśmiechnął. — A zatem zawarliście bliższą znajomość. Widziałem, jak zbiegaliście po schodach.

— Tak — odparł cicho David. — Tak, zawarliśmy bliższą znajomość.

Ben wzruszył ramionami.

— Mnie to nie wadzi, chłopie. Jestem ostatnim, który by was potępiał. Natalia to twarda sztuka. Podziwiam ją. Brała udział w paru trudnych misjach. Nie robiłbym sobie jednak jakichś romantycznych nadziei.

David pokręcił ze znużeniem głową.

— Nie wiem już, czy robię sobie jakiegokolwiek nadzieje.

— Tak to bywa, kiedy człowiek jest ścigany. Nigdzie się nie zakorzeni, niczego nie jest pewien, nie ma własnego domu. Czasami się z kimś spiknie, korzysta z okazji. To nie jest najlepszy sposób na życie.

— Tak. To prawda.

Ben popatrzył na niego z powagą.

— Dlatego cieszę się, że jestem marksistą. Mam coś, co mnie przerasta, coś, czego mogę się trzymać.

— Jakąś wiarę.

— Możesz tak to nazwać.

— Ja chcę tylko, żeby skończyło się to bestialstwo — oświadczył David.

— Czyż nie chcemy tego wszyscy? — Ben wstał z łóżka. — Idę się wysikać, a potem spróbuję się trochę przespać.



David nie mógł zasnąć. Wciąż rozmyślał o tym, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Leżący obok Ben zaczął cicho chrapać. Jego wyznanie całkowicie zaskoczyło Davida. Nic na tym świecie nie było takie, jak mu się wydawało. Nic z tego, w co wierzyłem, nie jest prawdą, pomyślał.

Po jakimś czasie poczłapał do drzwi w skarpetkach i ostrożnie je otworzył. Na korytarzu, trzymając karabin między kolanami i na pół drzemiąc, siedział młodzieniec w preferowanym tutaj mundurze khaki. Kiedy David wyszedł z pokoju, chłopak zamrugał, wyprostował się i na niego spojrział.

— Muszę do toalety — wyjaśnił cicho David.

Wartownik pokazał głową w prawo.

— Drugie drzwi.

— Dziękuję.

Korytarz był otynkowany, robił wrażenie, jakby niedawno go odnowiono. David otworzył drzwi, które mu wskazano. Ubikacja też wyglądała na nową; w pozbawionym okna, niewielkim pomieszczeniu zamontowana była toaleta i umywalka. Wchodząc do środka, usłyszał męskie głosy. Dochodziły gdzieś z dołu. Uklęknął, przystawił ucho do ściany w miejscu, gdzie wchodziła rura, i usłyszał, co mówią. Gdzieś obok, może w sąsiednim pokoju, trwała konferencja. Słyszał różne akcenty, mężczyźni głośno się spierali. Rozpoznał głos kapitana, który ich tu przywiózł.

— Musimy odwołać misję — mówił. — Powiemy Amerykanom, że ryzyko jest zbyt duże.

— I co zrobimy z Muncasterem i resztą? — zapytał ktoś z liverpoolskim akcentem.

— Nadal uważam, że moglibyśmy sami wyciągnąć od Muncastera to, co wie — wycedził jakiś facet z akcentem klasy wyższej. — Może nam się to przydać, cokolwiek to jest. Jeśli Niemcy upadną i Wielka Brytania odzyska suwerenność, będziemy sami rozwijali nowe technologie.

— Nie opowiadaj głupot, Brendan — odparł kapitan. — To naprawdę wkurzyłoby jankesów. A będziemy ich teraz potrzebowali bardziej niż kiedykolwiek.

— Więc co mamy z nimi zrobić? Zastrzelić?

— Ci ludzie ryzykowali życie, żeby sprowadzić tutaj Muncastera! — Kapitan podniósł głos. — Możemy wcielić ich do organizacji. Natomiast jeśli chodzi o samego Muncastera, sam nie wiem. Zważywszy jego stan psychiczny...

— Jeśli postanowimy się go pozbyć, równie dobrze możemy z niego wyciągnąć to, co wie — rzekł ten, którego nazywali Brendanem.

— Jak możesz mówić coś takiego? — zachnął się liverpoolczyk. — Przecież to niewinny człowiek!

— Potencjalnie niebezpieczny...

— Przecież Niemcy nic nie wiedzą o okręcie podwodnym.

— Jeśli nie odwołamy misji i ich złapią...

— Mają tabletki z cyjankiem — odezwał się nowy głos, chłodny i beznamiętny. — Z wyjątkiem Muncastera...

— No cóż, wiemy, jakie są opcje — podsumował ze znużeniem kapitan. — W tej chwili niczego nie uzgodnimy. Ostateczna decyzja zostanie podjęta wyżej. Odprawa zaczyna się o wpół do siódmej, więc proponuję, żebyśmy trochę odpoczęli i jeszcze raz wszystko przemyśleli. Decyzja musi zapaść z samego rana. Po śmierci Hitlera mamy cholernie dużo innych spraw do załatwienia.

David usłyszał pomruk głosów, szuranie krzesel, czyjś śmiech, a potem odgłos zamykanych drzwi. I nic więcej. Przez chwilę klęczał nadal przy sedesie z oczyma pełnymi łez, gryząc zaciśnięte palce i próbując zdławić gniew. Byli pionkami, zwykłymi pionkami. Choć z drugiej strony... trwała przecież wojna, a oni byli żołnierzami, ochotnikami. Lecz nie Frank.

Rozległo się ostre pukanie do drzwi.

— Wszystko w porządku?! — zawołał głośno strażnik.

David podniósł się z klęczek i otworzył drzwi. Strażnik spojrzał na niego podejrzliwie, a potem ze współczuciem.

— Marnie wyglądasz, chłopie.

— Tak. Mam zaparcie. Niezbyt dobrze się ostatnio odżywiałem.

David wrócił do pokoju. Ben i Frank nadal spali. Zastanawiał się, czy nie obudzić Bena i nie powiedzieć mu, co podsłuchał, ale bał się, że Frank też się obudzi i nie wiadomo, jak na to zareaguje. Musiał z tym poczekać do rana. Trzęsąc się z gniewu, położył się na połowym łóżku. Wiedział, że już nie zaśnie.



Krótko przed siódmą, według jego zegarka, usłyszał ludzi idących korytarzem. Zaczynało się rozjaśniać, choć w ich pokoju, za grubymi zasłonami nadal panował mrok. Frank i Ben wciąż spali. David wstał, przeciągnął się i podszedł do okna. Zebranie, na którym miano zdecydować o ich losie, już trwało. Uchylił ciężkie zasłony i wyjrzał na zewnątrz.

Piękno tego, co zobaczył, zapierało dech. Rozległe, pokryte szronem trawniki opadały ku okolonemu trzciną stawowi. Po spokojnej, przejrzystej wodzie pływały kaczki, zostawiając za sobą szerokie ślady. Czerwone słońce wychylało się właśnie zza drzew i na błękitnym niebie widać było zaróżowione strzępy chmur. Za stawem błonia biegły aż do gęstego mieszanego lasu, gdzie

część drzew była iglasta, a część miała gołe konary. Po spędzonych w smogu kilku ostatnich dniach niemal bolały go oczy od ostrych kolorów.

Za sobą usłyszał wstającego z łóżka Bena, który najpierw rzucił okiem na Franka, a potem stanął obok niego przy oknie i zagwizdał, podziwiając widok.

— Coś wspaniałego, nie?

— Gdzie my jesteśmy?

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Kiedy się odwrócili, do środka wszedł Barry, Walińczyk, którego poznali poprzedniego wieczoru. Był nieogolony i zmęczony. Ku zdumieniu Davida w ślad za nim do pokoju weszły dwie młode pokojówki w czarnych spódniczkach i bluzkach oraz białych fartuszkach i czepkach. Każda niosła dużą tacę z jedzeniem.

— Dzień dobry — przywitał ich Barry. — Musi pan obudzić doktora Muncastera — zwrócił się do Bena. — Zjedzcie śniadanie i szybko się umyjcie. Potem będziecie potrzebni na dole. Ogarnijcie się trochę, w łazience są przybory do golenia. — Barry podszedł do śpiącego Franka i uważnie mu się przyjrzał. — Będzie w stanie odpowiedzieć na kilka pytań?

— Zostaw go — powiedział ostro Ben. — Ja go obudzę. Nic mu nie będzie. Ale lepiej, żebyśmy mu przez cały czas towarzyszyli, bo może spanikować.

Barry pokiwał głową.

— Dobrze — odparł.

— O co chcecie go pytać?

Barry posłał mu poważne spojrzenie.

— To nie ja będę z nim gadał, chłopie. Kilka wysoko postawionych osób konferowało, co z wami teraz zrobić. Będziecie rozmawiać z nimi. No, moje panny, zostawcie te tace.

Po wyjściu pokojówek i Barry'ego w pokoju przez chwilę panowała cisza.

— Nie budź jeszcze Franka — powiedział cicho David. — Coś wczoraj odkryłem. Ty też powinieneś to wiedzieć.

Słuchając jego relacji, Ben nachmurzył się i zacisnął pięści.

— Sukinsyny — szepnął. — Chcesz powiedzieć, że po tym, co mu obiecano, sami będą próbowali wyciągnąć z niego, co wie, i może nawet go, kurwa, zabiją? Jak to chcą zrobić? Zabiorą go na ten taras i go kropną?

— Mów ciszej. Nie wiem. Ale nic nie możemy poradzić, jesteśmy zbyt dokładnie strzeżeni. — David wziął głęboki oddech. — Możemy co najwyżej być przez cały czas przy Franku i jeśli okaże się, że sprawy idą w złym kierunku, dać mu to — dodał, wyjmując z kieszeni kapsułkę z cyjankiem. — Zabrałeś swoją kapsułkę, kiedy przebierałeś się w mundur?

— Tak, oczywiście. — Ben nie spuszczał z niego wzroku. — Jeśli to zrobimy, wpadniemy naprawdę po uszy w gówno.

— Nie obchodzi mnie to — odparł David. — Mam dosyć. Nie będę tego tolerował.

Ben pokiwał głową na znak, że się zgadza. David zastanawiał się, czy jego reakcja byłaby taka sama, gdyby to Rosjanie chcieli poznać sekret Franka. Wszystko było teraz płynne, a oni znaleźli się w centrum wydarzeń.



Franka niełatwo było obudzić. Z początku był trochę przymulony, ale przy śniadaniu doszedł do siebie. Zapytał Bena, czy może wziąć swoją poranną tabletkę. Ten odparł, że musi o nią poprosić gospodarzy, i patrząc na Davida, pokręcił lekko głową; gdyby sprawy przybrały zły obrót, Frank powinien mieć jasny umysł. Jeden po drugim skorzystali z małej łazienki, żeby się umyć i ogolić. Kiedy wrócili do pokoju, Ben zakomunikował Frankowi, że pewni ludzie chcą z nim porozmawiać.

— O czym? — zapytał Frank. W jego oczach natychmiast pojawił się niepokój.

— Nie wiemy. — Ben spojrzał na Davida. — To może być po prostu komitet powitalny. Grube ryby chcą pogadać, co z nami teraz zrobić. Taką mamy w każdym razie nadzieję.

Frank upuścił z brzękiem sztućce.

— Co to znaczy? A o czym mamy innym mówić? Grube ryby? Mówiłeś, że nikt nie będzie mnie indagował o brata i o to, co się wydarzyło. Że po prostu spróbują mnie wysłać do Ameryki. Nie mogę im powiedzieć — dodał, zwracając się do Davida. — Nie zrobię tego...

— Dotrzymamy obietnicy — odparł mocnym głosem David. — Nie bój się, będziemy razem z tobą.

Ben popatrzył Frankowi prosto w oczy.

— Do samego końca, przyjacielu — powiedział. — Rozumiesz? Do samego końca.

Rozdział pięćdziesiąty

Żołnierze z karabinami sprowadzili ich na dół. Zza zamkniętych drzwi w końcu korytarza dochodził gwar kilku głosów. Wprowadzono ich do pokoju, z którego dużych okien rozciągał się widok na park i który był czymś w rodzaju gabinetu z licznymi obrazami, wielkim biurkiem i stojącym za nim fotelem. Wysoki sufit z dębowych desek był chyba w stylu Tudorów; musieli się znajdować w najstarszej części domu. Na biurku stało popiersie Napoleona, a obok Nelsona. Przy jednej ze ścian stały w rzędzie drewniane krzesła. Kazano im na nich usiąść i czekać.

— Nie powiem im niczego. Niczego — wycedził Frank, prawie sycząc. David nigdy jeszcze nie słyszał w jego głosie takiej determinacji.

— Może o nic nie będą cię pytać.

— Dajcie mi jedną z waszych kapsułek, proszę.

Ben i David wymienili spojrzenia. Gdyby dali mu cyjanek, mógł go od razu połknąć.

— Nie — odparł Ben.

Frank pochylił się do przodu i zacisnął dłonie w pięści.

— Nie powiem. Bez względu na to, co mi zrobią.

— Jakoś to załatwimy — zapewnił go Ben.

Z zewnątrz dobiegły ich głosy; otworzyły się chyba drzwi w końcu korytarza. Po chwili do ich pokoju wszedł wysoki, dość młody mężczyzna w nieskazitelnym ciemnym garniturze z wystającą z kieszonki białą chusteczką.

— Proszę wstać, panowie — powiedział.

Ben, David i Frank wstali. Do pokoju wmaszerowali dwaj uzbrojeni żołnierze i zajęli pozycje po obu stronach drzwi. Za nimi wszedł do środka, podpierając się laską, mężczyzna w bardzo podeszłym wieku — barczysty, zgarbiony, z pochyloną do przodu wielką okrągłą głową i przerzedzonymi siwymi włosami. Miał na sobie niezwykle strój, coś w rodzaju niebieskiego, rozpiętego pod szyją kombinezonu, a pod spodem koszulę i muszkę w grochy. Davida zdumiało, jak bardzo postarzał się Winston Churchill; jego fotografie na policyjnych plakatach pochodziły sprzed wielu lat. Przywódca brytyjskiego ruchu oporu okrążył powoli biurko i usiadł ciężko w fotelu. Był blady i sprawiał

wrażenie wyczerpanego. Dopiero gdy usiadł, odwrócił się i zmierzył wzrokiem trzech mężczyzn, którzy stali przy swoich krzesłach. Miał groźne i wyzywające spojrzenie; mimo że skóra na jego szyi była obwisła i pomarszczona, błękitne oczy patrzyły bystro, a duży kwadratowy podbródek wysunął się agresywnie do przodu. Frank też pochylił się do przodu i ze zdumieniem i przerażeniem patrzył na Churchilla. Wysoki mężczyzna w garniturze stanął obok biurka.

— Zatem dotarliście tutaj — zamruczał Churchill głębokim sepleniącym głosem, który David zapamiętał z kronik filmowych puszcanych w latach trzydziestych.

— Tak, milordzie — odparł.

— Z wieloma problemami i kosztem wielu ofiar w ludziach, jak dowiaduję się od pana Colville'a — dodał Churchill, wskazując mężczyznę w garniturze, który mierzył ich beznamiętnym spojrzeniem.

— Niestety, milordzie — odparł David.

— Hitler nie żyje — oświadczył grobowym głosem Churchill. — Słyszeliście?

— Tak, milordzie.

— Ten niegodziwiec... — W głosie Churchilla słychać było znużenie. — Kto wie, co się teraz będzie działo w Niemczech. Może zawrą pokój z Rosją? — Zabłyśły mu oczy. — Ale Niemcy są nadal bardzo groźni. — Spojrzał na Colville'a. — Nadal tu są, na wyspie Wight i w Senate House. I bez wątpienia mają swoich ludzi w tych koszmarnych obozach, w których zamknęli Żydów. Brytania jest nadal pod ich obcasem, naziści pociągają za sznurki w każdym mrocznym zakamarku tego kraju. — Zmarszczył krzaczaste brwi i przez chwilę milczał pogrążony w zadumie. A potem spojrzał prosto na Franka. David stęzał i przysunął się do przyjaciela.

— Doktorze Muncaster — przemówił stentorowym głosem Churchill. — Wygląda na to, że Niemcom zależy na panu tak samo mocno jak Amerykanom.

Frank zaczął szybciej oddychać. David zobaczył, że lekko drżą mu nogi. Zainscenizowano to wszystko, żeby nim wstrząsnąć, pomyślał z gniewem: tajemniczość, czekanie, nagłe pojawienie się Churchilla. Chodziło o to, by zmusić go do mówienia. Objął Franka ramieniem.

— Wszystko w porządku — szepnął uspokajająco.

— Niech pan go zostawi! — warknął Churchill, piorunując go wzrokiem i ponownie spojrzał na Franka. Jego ruchliwa twarz nagle złagodniała. — Proszę, doktorze Muncaster, niech pan podejdzie bliżej. John, postaw tutaj krzesło. — Churchill dał znak Frankowi, żeby przy nim usiadł. — Nie zrobię panu krzywdy — dodał niecierpliwie. — Chcę z panem tylko porozmawiać.

David zdał sobie sprawę, że jeśli Frank podejdzie do biurka, bardzo trudno będzie podać mu truciznę. Dwaj żołnierze przy drzwiach przez cały czas bacznie ich obserwowali. Musiałby do niego podbiec, Frank musiałby być na to przygotowany. A on wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. Powoli i niechętnie ruszył w stronę biurka i usiadł naprzeciwko Churchilla, wpatrując się w niego z fascynacją i przerażeniem.

— Wiesz, gdzie jesteś, młody człowieku? — zapytał go Churchill.

— Uważaliśmy, że lepiej im tego nie mówić, milordzie — mruknął Colville.

— Naprawdę? — Churchill łypnął na niego groźnie. — Cholerne środki bezpieczeństwa. Jesteś w Chartwell w hrabstwie Kent — oznajmił z dumą, zwracając się ponownie do Franka. — To była kiedyś moja wiejska posiadłość. Teraz należy do mojego syna. Randolph udaje, że z nimi współpracuje, dzięki temu zostawiają to miejsce w spokoju. — Cień troski przemknął po jego twarzy. — Biedny Randolph, uważają, że nie ma honoru; zapłacił tę cenę ze względu na mnie. — Churchill odchylił się do tyłu. — Przyjeżdżam tu, kiedy tylko mogę. Lepiej mi się myśli w tym miejscu. Chociaż moi opiekunowie uważają, że to niebezpieczne, prawda, Jock? — Ponownie spojrzął na wysokiego mężczyznę i wybuchnął gardłowym śmiechem. — Jak ci się podoba mój dom? — zapytał Franka.

— Dziś rano zobaczyłem widok z okna — odparł z wahaniem Frank. — Jest przepiękny.

— Najpiękniejszy widok w Anglii! — Churchill uśmiechnął się. — Powiedzieli mi, że byłeś chory. Trafiłeś do szpitala. Jakieś załamanie nerwowe — dodał łagodnie.

— Tak, milordzie.

— Nie ma się czego wstydzić. Ja sam przez całe życie cierpię na depresję. Nazywam ją moim czarnym psem. Czasami mam ochotę z tym wszystkim skończyć — powiedział po chwili Churchill.

Frank spojrzął na niego zaskoczony.

— Naprawdę, milordzie?

— Tak. Ale odpowiedzią jest działanie, zawsze działanie. — Churchill zmierzył go płomiennym spojrzeniem. — Choć może ty nie widzisz tego w ten sposób.

Frank wziął głęboki oddech.

— Zawsze za bardzo się bałem, żeby działać.

On i Churchill przez dłuższy czas na siebie patrzyli. David miał świadomość, że gdzieś w pobliżu tyka zegar.

— Wszedłeś w posiadanie pewnych informacji, prawda? — powiedział w końcu Churchill. — Natury naukowej. Moi doradcy uważają, że mogą być

ważne. Chodzi o przełom w badaniach nad bronią, przełom, którego dokonali Amerykanie.

— Przykro mi, milordzie, ale nie mogę panu zdradzić tych informacji. Mogę je przekazać tylko Amerykanom.

— Którzy i tak je znają. — Churchill pokiwał głową. — Nie chcesz, żeby ta wiedza się upowszechniła. Nie chcesz się nią podzielić nawet z nami, swoimi rodakami — dodał surowym tonem.

— Przykro mi, ale nie mogę panu tego powiedzieć. Obiecano mi, że nie będę o to pytany.

Frank rzucił Davidowi zrozpaczone spojrzenie.

— Obiecano mu — odezwał się David. — Powiedziano nam, że tego życzą sobie Amerykanie. Tylko pod tym warunkiem Frank... doktor Muncaster... zgodził się z nami pojechać. Uważa, że ta wiedza jest zbyt niebezpieczna, by ją upowszechniać.

Churchill spiorunował go wzrokiem.

— Nie odzywaj się niepytany! Cóż za impertynencja! Kim ty jesteś, młodszym urzędnikiem państwowym?

David wsadził rękę do kieszeni. Gdyby zdołał przebiec tych kilka metrów...

Churchill wyduł wargi i ponownie spojrzął na Franka, który drżał, ale patrzył mu prosto w oczy. Cisza trwała prawie minutę. David poczuł, że pot spływa mu po czole.

— Doktorze Muncaster, jest pan człowiekiem honoru — oświadczył w końcu Churchill i odwrócił się do Colville'a. — Wcześniejsze ustalenia pozostają w mocy. Obietnica, którą złożyliśmy Amerykanom i temu człowiekowi, będzie dotrzymana. Okręt podwodny nadal jest w pobliżu Brighton, tak? To dług honorowy. Wobec Ameryki, której wsparcie pod rządami nowego prezydenta jest kluczowe, a także wobec tego człowieka. Nie złamię obietnicy, którą złożyłem, nie poświęcę niewinnego człowieka! — dodał Churchill, waląc pięścią w biurko i mierząc groźnym spojrzeniem Colville'a.

— Tak się składa, milordzie, że się z panem zgadzam — odparł tamten. — Ale wielu wojskowych jest innego zdania.

— Do diabła z nimi! — Churchill spojrzął na Franka, a potem na Bena i Davida. — Nie pozwolisz, żeby Niemcy wzięli cię żywcem, prawda? — zapytał bardzo cicho Franka.

— Nie, milordzie.

— Na pewno?

— Na pewno.

Churchill spojrzął na Bena i Davida.

— To dotyczy również was?

— Tak jest — odparł Ben, patrząc mu prosto w oczy.

— Tak, milordzie — odpowiedział David. — Jeden z nas już poległ.

— W takim razie każ ich przewieźć do Brighton — powiedział Churchill do Colville'a. — Natychmiast. — Powoli podniósł się z fotela, złapał swoją laskę i obszedł dokoła biurko. Frank wstał. Na wargach Churchilla pojawił się dziwny, sztuczny uśmiech, jakby walczył z ogarniającymi go emocjami. Po chwili uścisnął rękę Frankowi. — Życzę wam wszystkim powodzenia — rzekł, po czym podszedł do Davida i Bena i z nimi też wymienił uścisk dłoni. — Życzę wam bezpiecznej podróży — dodał, a następnie poczłapał powoli do drzwi, które otworzył przed nim Colville, i wyszedł. Żołnierze wymaszerowali w ślad za nim. David, Ben i Frank zostali sami.

— Jezu Chryste — jęknął Ben, siadając na krześle.

David podszedł do Franka, wpatrującego się w biurko, za którym jeszcze przed chwilą siedział Churchill.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

— Tak — odparł cicho Frank. — Tak, chyba tak. Dziękuję — dodał, patrząc na nich obu.

— Czy możemy mu ufać? — zapytał Ben.

— Tak, widziałem to w jego oczach. Możemy — powiedział Frank.

Uwagę Davida przyciągnął jakiś ruch za oknem. W stronę domu szła po trawniku niewielka grupka ludzi. Wśród nich zobaczył Natalię.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Samochód sunął wysadzany drzewami i wrzynającym się w grunt wąskimi drózkami hrabstwa Sussex. Jadąc na południe z Chartwell, osiągnęli niezły czas; w poniedziałkowy rano ruch był niewielki. David przypomniał sobie swoją pierwszą podróż do Birminghamu, kiedy wybierali się do Franka. Choć działo się to zaledwie przed dwoma tygodniami, miał wrażenie, że żyje teraz w innym świecie. Wówczas wciąż pracował w ministerstwie. Pomyślał o panujących tam normach i obyczajach, o ludziach pokroju Dabba i Hubbolda. Rozumiał teraz, jak bardzo stłamszony i ograniczony czuł się tam nawet przed śmiercią Charliego. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy pomyślał o Carol, której kariera również legła w gruzach, i o swoim nieżyjącym przyjacielu Geoffie. Siedząc w samochodzie obok Natalii, czuł przy sobie ciepło jej ciała. Zerknął na nią i jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Kiedy zobaczył ją poprzedniego dnia przez okno, zabiło mu szybciej serce. Teraz znowu poczuł falę pożądania. Skąd wziął się ten seksualny pociąg, którego wcześniej nie doświadczał przecież tak często? Czy wynikał z tego, o czym mówił Ben? Że szuka się pociechy w obliczu zagrożenia? Wiedział, że chodzi o coś więcej; w czasach, gdy brak korzeni stanowił niebezpieczeństwo, był, podobnie jak Natalia, wykorzeniony; wykorzeniony i samotny.

Po spotkaniu z Churchillem przez cały dzień odpoczywali w Chartwell. Nie pozwolono im opuszczać pokoju, dlatego nie zobaczył się z Natalią. Na zewnątrz stale słyhać było czyjeś głosy, dzwoniące telefony, czasami tupot biegnących stóp. Po zmierzchu w oknach znowu zasunięto grube kotary.

Wieczorem mieli krótką odprawę z oficerem, którego zobaczyli po raz pierwszy. Dowiedzieli się, że nazajutrz rano pojedą samochodem do Brighton. Każde z nich otrzymało po raz kolejny nową tożsamość. Wszyscy czworo — David, Ben, Natalia i Frank — udawali się do Brighton na pogrzeb starej ciotki. Mieli zatrzymać się w pensjonacie; w tym czasie dograne zostaną ostatnie szczegóły dotyczące odebrania ich przez amerykański okręt podwodny, który czekał w kanale La Manche. Nie dowiedzieli się, gdzie dokładnie ma to nastąpić. David, Ben i Frank mieli być kuzynami, a Natalia żoną Davida; z jej akcentem trudno było udawać siostrzenicę Angielki. David przypuszczał, że Frank nie był

w stanie uchodzić za czyjegokolwiek męża; co do Bena, ich mocodawcy znali, być może, jego sekret i uznali, że nie nadaje się do tej roli. Sarah, jak im powiedziano, przebywała już w Brighton. Właściciele pensjonatu otrzymali wiadomość, że grupa jest w drodze.



Wyruszyli z Chartwell wielkim czarnym volvo w poniedziałek, ósmego grudnia, o dziewiątej rano. David uświadomił sobie, że ludzi w Brighton zawiadomiono o ich przyjeździe dopiero wczoraj, ponieważ mogli tam w ogóle nie dotrzeć. Frank mógł być teraz przesłuchiwany albo nawet martwy. Churchill podjął taką, a nie inną decyzję częściowo dlatego, że Frank zaapelował do jego poczucia honoru; David zastanawiał się, czy było to decydującym czynnikiem. Spojrzał na głowę siedzącego z przodu przyjaciela, który jak wszyscy miał na sobie ciemne grube palto i czarny melonik. Nadal nie mógł uwierzyć, że Frank postawił się Winstonowi Churchillowi; właściwie rzucił mu w twarz, że nie wyjawi swojego sekretu.

— No i co myślicie o Churchillu? — zapytał Ben, zwracając się do reszty towarzystwa. — O mało nie spadłem z krzesła, kiedy wszedł.

— Jest bardzo stary — powiedziała Natalia. — Widziałam go wczoraj na korytarzu i wtedy to sobie uświadomiłam. Stary i bardzo zmęczony.

David zgadzał się z nią; jego zdaniem Churchill robił wrażenie znużonego i leciwego, uginającego się pod brzemieniem odpowiedzialności.

— Dobia osiemdziesiątki — rzekł.

— To klasa robotnicza ponosi główny ciężar walki z faszystami — stwierdził Ben. — Ruchem oporu powinien kierować jeden z naszych przywódców, Attlee lub Bevan. Albo Harry Pollitt.

— Churchill sprzeciwiał się faszyzmowi już w latach trzydziestych — powiedziała cicho Natalia.

— Żeby uratować imperium. Choć dziś nawet on wie, że nie da się go uratować.

— On zrozumiał — odezwał się nagle Frank.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Ben.

— Zrozumiał mnie.

Zapadła cisza; nikt nie wiedział, jak to skomentować. Samochód wjechał na szczyt wzniesienia i David zobaczył przed sobą pofałdowane łąki, na których pały się owce, a dalej skrzące się pod szerokim niebem morze. Frank pochylił się do przodu i patrzył na nie z uśmiechem.



Zatrzymali się przed samym pensjonatem i zerkając ostrożnie w górę i w dół wąskiej ulicy, wysiedli i wyjęli walizki z bagażnika. Było bardzo jasno, zimno i prawie bezwietrznie. Przy końcu ulicy widać było niebieskie i zupełnie gładkie morze. Ben podszedł do Davida i stanął tuż przy nim.

— Nie przewidujesz chyba żadnych problemów z żoną i Natalią? — zapytał bardzo cicho.

David spojrzął na niego ostro.

— Wiesz, o co mi chodzi — wyjaśnił Ben, patrząc mu prosto w oczy. — Żona czeka pewnie na ciebie w środku. Dopóki nie znajdziemy się w bezpiecznym miejscu, nie możemy sobie pozwolić na żadne awantury.

David wziął do ręki swoją walizkę.

— Nie będzie żadnych problemów — odparł sztywno.

W mrocznej małej recepcji Channel View nie znalazł Sarah. Za biurkiem siedziała znużona kobieta w średnim wieku. Poważnym niskim głosem, jak przystało żałobnikowi, podał ich fałszywe nazwiska. Wiedział, że kobieta należy do ruchu oporu, lecz nie miał pojęcia, czy ktoś jeszcze ich nie słyszy. Pochyliła się w jego stronę z nerwowym uśmiechem.

— W porządku. Nasz ostatni podróżujący w interesach gość właśnie się wymeldował. I nie mamy żadnych rezerwacji na jutro. Na wszelki wypadek trzymajcie się jednak waszej legendy.

— Czy jest tu moja żona? — zapytał David.

— To pan jest jej mężem? Tak. Wszystko u niej w porządku. Zameldowała się pod nazwiskiem Hardcastle jako wdowa. Nie wie, że przyjechaliście, poinstruowano nas, żeby jej nie uprzedzać. Wyszła na spacer. Często wychodzi na spacer w ciągu dnia, żeby nie siedzieć przez cały czas w pokoju. Wróci na lunch. — Kobieta uśmiechnęła się. — Pozwoliliśmy jej wychodzić, choć to wbrew instrukcjom. Nie chcieliśmy jej tu więzić, wydawała się taka smutna.

— Wie pani, jak długo tu zostaniemy? — spytał Ben.

— Mąż właśnie wyszedł. Wkrótce wróci, może będzie miał jakieś informacje. Idźcie na górę i się rozpakujcie, zawołam was, kiedy się pojawi. — Kobieta zdjęła klucze z wiszącej za nią na ścianie tablicy. — Jestem Jane — dodała. — Moim zdaniem już wkrótce udacie się w dalszą drogę.

Wnieśli swoje walizki po ciemnych, skrzypiących schodach. Frank szedł obok Davida.

— Jak się czujesz? — zapytał go David.

— Całkiem dobrze — odparł Frank, kiwając jakby ze zdumieniem głową. — Zobaczyłem morze. Zawsze je lubiłem. Pomyślałem sobie, że po tym

wszystkim jesteśmy już prawie u celu. Może nam się uda. Prawda, Davidzie?



David dostał klucz z numerem szesnastym, dla siebie i Natalii. Ben i Frank weszli do swojego pokoju, a oni zatrzymali się na chwilę przed drzwiami. Natalia niepewnie się do niego uśmiechnęła.

— Chyba lepiej wejdźmy — zaproponowała.

Pokój był mały i obskurny, z okna widać było tylne ściany sąsiednich budynków. Pośrodku stało wielkie podwójne łóżko z pluszową narzutą w nieprzyjemnym żółtym odcieniu. David postawił walizkę i spojrzał nieśmiało na Natalię.

— Więc Sarah wyszła na spacer — powiedziała.

— Tak.

— Jak się czujesz, wiedząc, że zaraz się zobaczycie?

David usiadł na łóżku.

— Nie wiem. Chyba się boję. — Roześmiał się ze smutkiem. — Nie sądzisz, że to paradoks? Według naszych papierów to ty jesteś teraz moją żoną.

— Wrócisz do niej, prawda?

— Tyle razem przeszliśmy. Tyle przeze mnie przecierpiała. Potrzebuje mnie. Ale...

Natalia usiadła obok i spojrzała na niego tymi lekko skośnymi, zielonymi oczyma.

— W końcu do niej wrócisz — rzekła ze smutkiem. — Bo jesteś lojalny.

— Nie wiem.

Natalia nie odpowiedziała.

— Czy coś dla ciebie zaplanowali, jeśli uda nam się wypłynąć do Ameryki? — zapytał.

Popatrzyła na niego. Wpadające przez okno promienie słońca rozświetlały jej brązowe włosy.

— Zanim dojechałam do was do Chartwell, powiedzieli, że ja też mam popłynąć do Ameryki. Muszę odpocząć. Może zajmę się malowaniem. Działam w ruchu oporu od bardzo dawna. Ich zdaniem grozi mi wypalenie.

— Zgadzasz się z tą opinią? — Na myśl, że popłynie z nimi Natalia, zabiło mu szybciej serce.

— Ta misja była inna — odparła. — Po śmierci męża przez wszystkie te lata nikogo nie miałam. Zdarzały się oczywiście krótkie romanse, ale to nie było nic poważnego, liczyła się tylko praca. Ale teraz poznałam ciebie. — Natalia wstała.

— Ludzie tacy jak ja są wyjątkowo przydatni w ruchu oporu. Ludzie bez narodowości, tożsamości, rodziny. Miałam w sobie wiele nienawiści, wiele gniewu, to napędzało mnie przez cały ten okres. — Łzy napłynęły jej do oczu. — I teraz... tak, jestem zmęczona. To, że cię poznałam, pomogło mi to sobie uświadomić.

— Odkąd cię poznałem, ja też uświadomiłem sobie dużo rzeczy.

Uśmiechnęła się.

— Może jesteś trochę zakochany?

— Tak, jestem.

— Siedząc wieczorami w Soho, cieszyłam się na spotkania z tobą. Twoi znajomi, a zwłaszcza ty sam, wydawaliście się tacy... uczciwi. Wielu z tych, z którymi miałam do czynienia w ciągu ostatnich siedmiu lat, byli inni, zależało im na pieniądzach i władzy. A tobie zależało tylko na wolności, na tym, żeby skończyło się to całe draństwo. — Natalia miała łzy w oczach. — Lecz na przeszkodzie stała twoja żona, podobnie jak teraz.

Ktoś zapukał do drzwi i oboje się wzdrygnęli. Spojrzeli na siebie. David podszedł i otworzył drzwi. Bał się, że to Sarah, że zobaczy siedzącą z nim Natalię ze łzami w oczach, ale to był Ben.

— Wrócił mąż Jane — powiedział. — Chce się z nami widzieć. Siedzimy obok. Zajdźcie do nas.

— Daj nam chwilę.

Ben zamknął drzwi. Natalia podeszła do małej umywalki, szybko przemyła i wytarła twarz.

— Ben się niepokoi, prawda? Nie chce komplikacji? — zapytała.

David wyciągnął do niej rękę, lecz ona pokręciła głową i idąc do drzwi, dotknęła tylko lekko ramienia.



Pokój Bena i Franka był taki sam jak ich, tyle że zamiast jednego znajdowały się tu dwa małe łóżka. Stojący przy oknie tęgi mężczyzna bez marynarki, z zaczesanym na łysinę pasmem brązowych włosów, popatrzył niecierpliwie na Davida i Natalię. Frank i Ben siedzieli obok siebie na jednym z łóżek. Na drugim rozpostarta była duża mapa linii brzegowej.

— Mam na imię Bert — oświadczył mężczyzna. — Musimy się pospieszyć. Nie chcę zostawiać Jane zbyt długo samej na dole, nie wtedy, kiedy mamy do załatwienia takie sprawy.

— Odpręż się, chłopie — mruknął uspokajającym tonem Ben.

— Tak to jest na wojnie, zdarzają się długie okresy, kiedy nic się nie dzieje i panuje spokój, ale wszyscy muszą być w każdej chwili gotowi do akcji. O tak — dodał, strzelając palcami i spoglądając na Davida. — Gdzie jest pańska żona?

— Jane powiedziała, że poszła na spacer.

Bert westchnął.

— No dobrze — burknął poirytowanym tonem. — Przez kilka dni czekaliśmy, nie mając z Londynu żadnej wiadomości, kiedy przyjeżdżacie. I nagle wczoraj wszyscy powariowali. Dziś wieczorem ruszacie w drogę.

— Załoga okrętu podwodnego wie, że tu jesteśmy? — zapytała Natalia.

— Tak. Oni też zastanawiali się, co się, do diabła, dzieje.

— Jak się z nimi kontaktujecie?

— Mamy radio. Nie tutaj, w mieście. — Bert przyjrzał się uważnie każdemu z nich. — Wszystko jest już ustalone, dzisiaj po zmierzchu jedziecie do Rottingdean. Okręt podwodny będzie na was czekał na morzu. Odbiorą was o pierwszej w nocy. Prognoza pogody jest dobra, ma być zimno i sucho, morze spokojne.

Bert podszedł do leżącej na łóżku mapy.

— Popatrzcie tutaj. — David i Natalia podeszli bliżej. Natalia znowu była opanowana i skoncentrowana. — Czy ktoś z was zna w ogóle to wybrzeże? — zapytał Bert. — Nie? W porządku, widzicie te szare miejsca? To są klify, opadają stromo do morza. W porze przypływu między nimi i wodą jest tylko wąska ścieżka, zwana Szlakiem pod Klifami. Klify zaczynają się zaraz na wschód od Brighton i ciągną aż do tego miejsca... widzicie? To wioska Rottingdean, pięć kilometrów na wschód od Brighton. Jest tam mała zatoczka, Rottingdean Gap. A potem klify zaczynają się ponownie.

— Co to za miejsce, to Rottingdean? — zapytał Ben.

— Mała, stara rybacka wioska, w lecie przyjeżdżają tam turyści. Są też ludzie, którzy po przejściu na emeryturę przenieśli się tam na stałe. Czasami dość znani; mieszkał tam Rudyard Kipling. W późną poniedziałkową noc będzie bardzo spokojnie. Tuż przed północą zjedziecie do zatoczki. Między klifami jest mała plaża. Będzie tam czekała łódka, którą wypłyniecie na morze.

— I stamtąd nas zabiorą — powiedział David.

Bert pokiwał głową.

— To szpiegowski okręt podwodny. Amerykanie często zapuszczają się na kanał La Manche, próbują podsłuchiwać łączność radiową. Lecz na ogół nie przyjmują na pokład naszych ludzi, boją się, że w przypadku jakichś komplikacji dojdzie do incydentu dyplomatycznego. Najwyraźniej jednak bardzo im na nim zależy — dodał Bert, przyglądając się bacznie Frankowi.

— Tak — odparł tamten spokojnym tonem. — Bardzo.

— Wie pan, dokąd dokładnie popłyniemy? — spytał Ben.

— Nie mam pojęcia — odparł Bert. — Na początek pewnie gdzieś na Wschodnie Wybrzeże.

— Co będzie, jeśli pojawią się kutry patrolowe? — pytał dalej Ben.

— Nasi ludzie obserwują morze z klifów po obu stronach Rottingdean. Na kanale La Manche nie zauważyliśmy zwiększonego ruchu. Morze przy brzegu jest dość płytkie, więc okręt podwodny będzie musiał się wynurzyć i czekać na was prawie dwa kilometry od wybrzeża. To dla nich duże ryzyko; dlatego powinniście do nich dopłynąć o czasie. Jeśli na morzu pojawią się inne jednostki, nasi ludzie to zauważą. W takim przypadku misja zostanie odwołana, a wy wróćcie tutaj. — Bert wziął głęboki oddech. — Rozumiemy się?

— Wszystko jasne — odparł Ben.

Pozostali pokiwali głowami. Bert zabrał mapę i złożył ją.

— Świetnie. Przed waszym wyjazdem spotkamy się ponownie. Mój łącznik w mieście będzie miał po południu więcej informacji. Do Bożego Narodzenia zostało już, dzięki Bogu, niewiele czasu i firmy przestały wysyłać przedstawicieli handlowych; ostatni wyjechał dzisiaj. Mimo to chcę, żebyście wszyscy zostali w hotelu i trzymali się swoich ról. Nawet o tej porze roku trafiają nam się przypadkowi goście. Nie chcemy, żeby ktoś zauważył coś niezwykłego. W porządku? Teraz muszę iść na dół i pomóc Jane przy lunchu. — Bert uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Jeśli to możliwe, trzeba trzymać się utartej drogi. Lunch będzie za godzinę.

— Często zajmujecie się takimi przerzutami? — zapytała Natalia.

— Zdarzało nam się przyjmować ludzi na kilka dni. W zeszłym tygodniu kilku Żydów. Ale nigdy jeszcze nie braliśmy udziału w tak poważnej misji.

Natalia spojrzała na Davida i wzięła głęboki oddech.

— Nie spałam dziś w nocy — powiedziała. — Chętnie bym się teraz zdrzemnęła. Może posiedzisz kilka godzin w salonie, Davidzie. Przywitałbyś się z żoną, kiedy wróci.

— Tak, to dobry pomysł — przytaknął Ben. Rzucił to lekkim tonem, ale jego spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości. Frank też przyglądał się bacznie Davidowi.

— Pokażę panu, gdzie jest salon — rzekł z uśmiechem Bert. — Widać z niego ulicę. Może pan jej wypatrywać.

Kiedy szli na dół, obejrzał się na Davida.

— Ten Muncaster był podobno w wariatkowie? — zapytał. — Czy na pewno da sobie radę? Nie wpadnie w szal czy coś w tym rodzaju? Z jakiegoś powodu to bardzo ważne, dla nas i dla jankesów.

— Nie sądzę, żebyśmy mieli z nim jakieś kłopoty — odparł David.

— Mam nadzieję — powiedział Bert, po czym podniósł klapę i zniknął w swoim kantorku.

David wszedł do salonu. Stało tam kilka sfatygowanych foteli z zatłuszczonymi poręczami, biurko, telewizor oraz regał ze szmatławymi powieściami. Podeszedł do okna i wyglądając przez nie, próbował się uspokoić, zebrać myśli.

Usłyszał, że drzwi za nim cicho się otwierają. Przez chwilę myślał, że to Natalia, która zmieniła jednak zdanie, ale do salonu wszedł Frank. Zamknąwszy za sobą drzwi, niepewnie przy nich stanął.

— Chciałem ci podziękować za to, co mi wczoraj zaproponowałeś — powiedział. — Gdyby... gdyby z Churchillem nie poszło tak gładko.

David uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Nie mogłem pozwolić, żeby złamali daną nam obietnicę.

— Niełatwo byłoby ci podać mi kapsułkę.

— Podałbym ci ją albo Ben.

— Więc jednak dotarliśmy do Brighton — powiedział Frank.

— Tak. Udało nam się.

— Odkąd jako mały chłopiec wyjechałem nad morze, zawsze je kochałem. Brałeś kiedyś udział w zawodach pływackich, prawda?

— Jeszcze w szkole. W Oksfordzie dałem sobie z tym spokój, przerzuciłem się na wioślarstwo, pamiętasz? Ale nadal chodzę czasami na basen... to znaczy chodziłem. — David westchnął. — Zawsze lubiłem dać nurka w głęboką wodę... w ciszę.

— Tak. Cisza, spokój. Inny świat. Może nauczę się pływać w Ameryce. — Frank przez chwilę wbijał wzrok w podłogę, a potem znowu spojrzał na Davida. — Wkrótce pojawi się twoja żona.

— Tak.

Frank przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

— Natalia... to dobra kobieta. Bardzo dobra kobieta — powiedział.

— Wiem.

— Nie powiem ani słowa o tym, co widziałem wtedy, podczas obławy. Ale Sarah jest twoją żoną...

— To nie twoja sprawa, Frank — przerwał mu cicho David.

Frank westchnął.

— Tak, masz rację. Wciąż myślę o Geoffie.

— Wiem.

— Zapłacił najwyższą cenę.

Przez chwilę milczeli.

— Ten sekret... tajne informacje na temat broni nuklearnej, które zdradził ci twój brat... — odezwał się w końcu David.

— Nie powinienem ci mówić, że tego dotyczą. Przepraszam...

— Nie — przerwał mu David. — Zastanawiałem się... co to za informacje? Co to za informacje, dlaczego tak wiele nas kosztowały? Chodzi o to... — szukał odpowiednich słów — że może łatwiej byłoby mi pogodzić się z tym wszystkim, pogodzić się ze śmiercią Geoffa, gdybym wiedział. W końcu po dzisiejszym wieczorze albo trafimy do ludzi, dla których nie jest to żadną tajemnicą, albo...

— Albo będziemy martwi. Wiem.

— Przepraszam, nie powinienem cię o to pytać — powiedział David. — Mam dzisiaj mętlik w głowie...

— Edgar był bardzo pijany tamtej nocy — odparł bardzo cicho Frank. — Nie chciałem, żeby do mnie przychodził, nie chciałem go więcej widzieć. Ale on musiał mi pokazać, że jest ode mnie lepszy, zawsze tak robił. „Chcesz wiedzieć, czym się zajmuję?”, zapytał. „Na czym polega moja praca?”. I zaraz potem mi powiedział, pilnował, żebym nie uronił ani słowa. Oświadczył, że chodzi o bombę atomową. Mimo tego filmu z chmurą w kształcie grzyba, nigdy nie wierzyłem, że naprawdę ją zbudowali. Uważałem, że w tym akurat przypadku nasz rząd i Niemcy słusznie uważają, że to mistyfikacja. Ponieważ ilość uranu, materiału wybuchowego w takiej bombie musiałaby być olbrzymia, niewyobrażalna.

— Rudy uranu Amerykanie sprowadzają z Kanady — powiedział David.

— Skąd o tym wiesz? — zapytał ze zdziwieniem Frank.

— Zajmowaliśmy się tym w Ministerstwie do spraw Dominiów. Przekazywałem stosowne dokumenty ruchowi oporu.

— Od roku tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego, kiedy odkryto, że jest to teoretycznie możliwe — rzekł Frank — wszyscy w świecie akademickim, którzy zajmowali się naukami ścisłymi, mówili o bombie atomowej. Ale Edgar powiedział mi, że Amerykanie eksperymentowali od wielu lat, przez całe lata czterdzieste, i wyodrębnili nowy typ uranu, izotop, jak to nazywają, i że kilka walizek tego materiału wystarczy, żeby zniszczyć całe miasto. Podał mi podstawowe informacje i ponieważ ja też jestem naukowcem, zrozumiałem. Wystarczyło tylko kilka minut. Kilka minut. — Frank potrząsnął głową. — Gdyby ktokolwiek, kto chce zbudować bombę atomową, wiedział to, co wyjawiał mi Edgar, zaoszczędziłoby mu to lat badań. Długich lat. Niemcy potrafiliby tego dokonać. Pamiętam, jak Edgar przechwalał się, że tylko jedna posiadana przez Amerykanów bomba... tylko jedna... mogłaby w okamgnieniu zniszczyć całe śródmieście Londynu.

— Jezu Chryste — mruknął David.

— Potem zdał sobie sprawę, co zrobił, i kazał mi o wszystkim zapomnieć.
— Frank roześmiał się i przez chwilę David usłyszał w jego śmiechu jakąś szaleńczą nutę. — To mnie najbardziej rozwścieczyło — dodał półgłosem Frank.
— To sprawiło, że straciłem nad sobą panowanie i go odepchnąłem. Zrobiłem to tak mocno, że wypadł przez okno. I wtedy chyba straciłem rozum.

— Każdy, kto by to usłyszał, mógłby chyba stracić rozum.

Frank smutno się uśmiechnął.

— Ale ja już wcześniej byłem trochę pomyłony. Choć teraz już nie jestem.

— Myślę, że wszyscy jesteśmy trochę pomyleni na tym strasznym świecie.

— Chyba tak — odparł Frank. — Nie zdajesz sobie sprawy, jaka to ulga, móc o tym wszystkim komuś opowiedzieć. Wiem, że nie powiesz nikomu ani słowa. Teraz chyba pójdę i na chwilę się położę. — Roześmiał się nerwowo. — Dziś w nocy raczej nie zmrużymy oka, prawda?

— Raczej nie — odrzekł David.

— Do zobaczenia później — powiedział Frank. — I powodzenia.



David przez chwilę patrzył na zamknięte drzwi, a potem odwrócił się i wyjrzał przez okno. I nagle zobaczył idącą ku niemu ulicą Sarah. Była dziwnie ubrana i miała umalowane na rudo krótkie włosy. Wydawała się wyczerpana, wyzuta z sił. Na co ja ją naraziłem, pomyślał.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Mgła już od trzech dni trzymała w kleszczach stolicę; wydawało się, że nigdy się nie skończy. Gunther kupił sobie w aptece białą maskę, ale niewiele to pomogło; miał obolałe gardło i zatoki i prawie bez przerwy bolała go głowa. Nie brał środków przeciwbólowych; sprawiały niewielką ulgę i jego zdaniem zamulały umysł. Wieczorem po tym, jak dotarła do nich wiadomość o śmierci Hitlera, wrócił po omacku do swojego mieszkania. Goebbels, nowy Führer, wygłosił przemówienie, w którym wychwalał Hitlera za to, że przywrócił Niemcom wielkość, opanował Europę, zniszczył Stalina i wyrównał rachunki z Żydami. Wypełnił historyczne przeznaczenie Niemiec. Mówił o wspaniałym pogrzebie, jaki miał zostać wyprawiony w Berlinie w ciągu tygodnia; ciało Hitlera zostało tymczasem wystawione w Kancelarii Rzeszy, przed którą ustawiały się już długie kolejki. Goebbels nie powiedział jednak ani słowa o kontynuacji wojny na Wschodzie. Pozostawił to Himmlerowi, który wystąpił kilka godzin później i mówił swoim monotonnym głosem o potrzebie zrównania z ziemią ostatnich szanów rosyjskich *Untermenschen*.

Przed każdym radiem i telewizorem w ambasadzie gromadziły się tłumy ludzi. I już teraz esesmani i wojskowi tworzyli osobne grupki i rozmawiali z sobą półgłosem. Gunther wyczuwał, że jeśli wybuchnie walka o władzę, stanie się to w bardzo krótkim czasie.

Gessler szybko doszedł do siebie po pierwszym szoku. Zaprosił Gunthera do swojego gabinetu i siadł za biurkiem, zadufany i znowu pełen energii.

— Jeśli dojdzie do jakiejś zmiany w kwestii wojny z Rosją albo do akcji przeciwko SS, jesteśmy gotowi uderzyć. W imię Adolfa Hitlera i jego dziedzictwa.

— To może doprowadzić do wojny domowej — zauważył cicho Gunther.

— Przegrają ją. Wszyscy ci ograniczeni umysłowo, sztywni junkrzy. Mamy po naszej stronie milion funkcjonariuszy SS, wszystkich Gauleiterów i większość członków partii.

— Czy Speer zajął jakieś stanowisko?

— Jeszcze nie.

— A Bormann?

Gessler machnął lekceważąco ręką.

— Po śmierci Hitlera już się nie liczy. Bormann nie ma żadnego znaczenia. — Pochylił się do przodu. — Za to nasza misja ma znaczenie o wiele większe niż wcześniej. Już wkrótce powinienem wiedzieć, gdzie dokładnie pojawią się Muncaster i jego ludzie. — Gessler uśmiechnął się. — Mam rozmawiać przez telefon z samym Heydrichem. Dam ci znać, jaki będzie rezultat. Jestem teraz w tej ambasadzie emisariuszem Heydricha i Reichsführera Himmlera.

Tego samego dnia po południu Gunther ponownie przesłuchał Draxa. Dowiedział się od niego, jak porwali Muncastera ze szpitala. Z nutką satysfakcji w chrapliwym, załamującym się głosie Drax powiedział mu, że dzięki systemowi niezależnych komórek nikt w danej grupie ruchu oporu nie wie nic o działalności innych grup. Opowiedział także o kobiecie, która im towarzyszyła. Miała na imię Natalia i pochodziła ze wschodniej Europy; to było wszystko, co o niej wiedział. Uzyskane od niego informacje w bardzo niewielkim stopniu przekraczały to, co Gunther miał już w swoich aktach; nawet jej imię było prawdopodobnie pseudonimem. Anglik zdawał sobie sprawę, że te strzępy informacji na niewiele im się zdadzą — widać to było w jego oczach. Podczas przesłuchania stale zanosił się kaszlem i przykładał rękę do zabandażowanej klatki piersiowej. Najwyraźniej bardzo cierpiał. Lekarz poinformował Gunthera, że Drax ma wewnętrzny krwotok i długo nie pociągnie. Powinni go szybko przekazać Wydziałowi Specjalnemu, żeby tamci zdążyli go przesłuchać w sprawie infiltracji służby cywilnej przez ruch oporu.

— MI5 odkryła siatkę szpiegowską w waszych ministerstwach — powiedział Gunther. — W trakcie tak szeroko zakrojonej operacji normalne jest, że kilka osób zaczyna sypać. Wśród nazwisk, które podali, był wysoki urzędnik w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, sir Harold Jackson. — Po błysku w oczach Draxa poznał, że Anglik zna to nazwisko. — Kiedy Wydział Specjalny chciał go aresztować, Jackson z żoną stanęli w progu swojego domu w Hertfordshire i zaczęli do nich strzelać z dubeltówek. A potem sami się zastrzelili. Naszym zdaniem to on był przywódcą waszej komórki.

Drax nie odpowiedział. Gunther uśmiechnął się z przekąsem.

— Ten aspekt sprawy nas nie interesuje — przyznał. — Wkrótce prześlemy pana Wydziałowi Specjalnemu. Będą mogli o tym z panem porozmawiać.

— Dlaczego jeszcze tego nie zrobiliście? Dlaczego znów mnie pan przesłuchuje? Nie udało wam się jeszcze złapać Franka Muncastera i innych, tak?

— Niedługo go złapiemy.

— Spokojny z pana człowiek, prawda? — Oczy Draxa płonęły w jego śmiertelnie bladej twarzy. — Lubi pan uchodzić za rozsądnego. Ale to, co zrobił

pan wcześniej moim rodzicom i Carol, to czyste diabelstwo!

Gunther pochylił się nad Draxem, od którego czuć już było śmiercią.

— Czy przyszło panu kiedykolwiek do głowy, panie Drax, że gdyby pracował pan, żył i pilnował własnego nosa jak zwyczajny rozsądny człowiek, pańskim rodzicom i kolegom z pracy z pewnością nie przytrafiłoby się to, co się przytrafiło? To pan postanowił zdradzić własny rząd i przystać do bandy oprychów i morderców. To była pańska decyzja. Ludzie pańskiego pokroju po prostu tego nie widzą, prawda? Że wszystko, co robicie, sprzeciwia się biegowi historii. Której tryby pana zmiążdżą — dodał i wyszedł z celi.



Wieczorem Gessler miał dla niego kolejne wiadomości. Nasłuch w Sussexie odnotował zwiększoną aktywność radiową ruchu oporu.

— Na wyspie Wight pracuje dla mnie cała grupa. Oddali mi ich do dyspozycji już wcześniej. Na polecenie samego Heydricha. — Mówiąc to, wyprężył z dumą pierś i Gunther zdał sobie sprawę, że jeśli dojdzie do konfliktu między armią i siłami SS, Gessler będzie, podobnie jak on, do końca walczył po stronie tych ostatnich.

— Zgarniemy ich. Zgarniemy ich wszystkich — powiedział Gessler. — Swoją drogą, Speer wygłosił właśnie w Berlinie przemówienie — dodał, marszcząc czoło. — O tym, że trzeba ograniczyć werbunek zagranicznych robotników do przemysłu wojennego. I o konieczności zatrudnienia kobiet... tak, kobiet... po to, żeby zredukować zapotrzebowanie na siłę roboczą dostarczaną nam przez Francję i inne kraje na mocy traktatów z czterdziestego roku.

— Próbuje łagodzić powstające tam napięcia.

Gessler pokręcił głową.

— Chodzi o coś więcej. Speer przygotowuje nas do zawarcia pokoju z Rosją. On i Goebbels. Goebbels rozumiał zagrożenie ze strony Żydów, ale nie ze strony Rosjan. Zobaczymy, co z tego wyniknie. — Gessler spojrział na Gunthera. — Jeśli chodzi o Muncastera, nie sądzę, żeby w najbliższych godzinach coś się wydarzyło. Później wypadki potoczą się pewnie bardzo szybko. Wróć do siebie i czekaj na wiadomości. I spróbuj się trochę przespać — dodał. — Sprawiasz wrażenie wykończonego.



W domu Gunther usiadł i zaczął oglądać BBC. Spiker pełnym szacunku, żalobnym głosem mówił o stracie, jaką poniosły Niemcy; mimo że była noc i w Berlinie padał śnieg, przed Kancelarią Rzeszy ustawiały się długie kolejki. Następnie przedstawiono sylwetkę Goebbelsa. Gunther wyłączył telewizor i zaczął się zastanawiać, co oznacza śmierć Hitlera dla Wielkiej Brytanii. Brytyjczycy mieli z pewnością nadzieję, że Goebbels będzie sprawował stabilne rządy i zawrze porozumienie z Rosją. Jak zawsze liczą na łatwe, przyjemne życie, pomyślał z goryczą. Mieszkańcy tego kraju nie rozumieli kwestii rasowych; ważna była dla nich duma narodowa i duma z imperium. Miało to coś wspólnego z rasą, ale nigdy nie wyciągnęli z tego właściwych wniosków. Mosley obejmie prawdopodobnie z czasem tekę premiera. Pomyślał o możliwej wojnie domowej w Niemczech, konflikcie między armią a SS. Nawet jeśli SS zwycięży, Niemcy wyjdą z tego straszliwie osłabieni. I to po tym wszystkim, czego dokonali.

Poprzedniego dnia dostał bożonarodzeniową kartkę od syna. Na odwrocie było zdjęcie choinki w Sewastopolu. Michael pisał, że matka i ojczym byli zmuszeni oddać w ręce policji ich ukraińską służącą. Kobieta ukradła srebrne łyżki, które należały kiedyś do matki Gunthera. Miała zostać powieszona. Michael uważał, że to hańba, ale matka powiedziała, że takie środki są konieczne.

Gunther pomyślał o swoim bracie bliźniaku. Przypomniał sobie pierwsze święta Bożego Narodzenia, kiedy Hans wrócił z frontu rosyjskiego. Pamiętał, jak ze smutną determinacją rozmawiali o tym, że wojna z Rosją jest historyczną kulminacją walki pomiędzy niższymi a wyższymi rasami. Rasowy tygiel w zaatakowanej przez Niemcy wschodniej Europie był czymś niegodnym, był kloaką. Rasy nie mogły się z sobą mieszać, nie wolno im było się mieszać. Hans opowiadał o tysiącach rosyjskich jeńców, których wzięto do niewoli po wielkich oskrzydających natarciach, zamknięto w ogrodzonych drutem kolczastym i strzeżonych przez uzbrojonych strażników obozach na stepie i pozostawiono, by zmarli z głodu i pragnienia. Widział jeńców wykopujących dziury w ziemi, żeby schronić się przed deszczem i chłodem.

— Czuć było te obozy z odległości wielu kilometrów — powiedział. — Ludzie wrócili w nich do stanu zwierzęcego.

Mimo to Rosjanie nie przestawali walczyć, pomyślał Gunther. I sądząc z tego, co mówił Adlai Stevenson, wkrótce mieli im zacząć pomagać Amerykanie. Ta wojna przez długie lata pochłaniała wszystkie niemieckie zasoby. Mając do dyspozycji zasoby Rosji, jakich rzeczy mogliby dokonać, gdyby mieli także lepszych generałów. Zwyciężywszy w końcu w Rosji, mogliby zbudować nową Europę, w której wszystkie państwa sprzymierzone byłyby

z Niemcami, a jednocześnie pielęgnowały własną rasę i narodowość. Być może Niemcy mogłyby wtedy użyć swoich wielkich rakiet, żeby badać kosmos, być może wysłałyby ludzi na Księżyc. Kiedyś tego dokonamy, pomyślał.



Przespał kilka godzin kamiennym snem. O siódmej rano obudził go telefon od asystenta Gesslera, który wzywał go ponownie do ambasady. Założył białą maskę i potykając się, ruszył po omacku przez mgłę. Dopiero się rozjaśniało i niewiele osób było na nogach. Przez chwilę czuł się kompletnie dezorientowany, zagubiony w wielkiej bezkresnej pustce. Skupiwszy wzrok na niewyraźnym żółtawym blasku ulicznej latarni, powiedział sobie z gniewem, że musi się opanować, nie wolno mu ulegać śmiesznym fantazjom. To była jedynie zła pogoda, zewsząd otaczały go światła i cała maszyna cywilizacji, chwilowo tylko skryta we mgle. Któregoś dnia, jeśli dać im dość czasu, niemieccy naukowcy będą mogli wpływać również na pogodę.



W swoim gabinecie Gessler ponownie tryskał pewnością siebie. Oczy błyszczały mu za binoklami. Gunther zauważył, że na biurku szefa znów panuje porządek. Gessler wymachiwał kartką, na której nagryzmolił jakieś cyfry.

— Namierzyliśmy okręt podwodny, Hoth — oznajmił z triumfem. — Wiemy, gdzie się wynurzy! Odbiorą ich dziś w nocy.

Gunther poczuł, że serce rośnie mu w piersi.

— Jak? Jak udało nam się to ustalić?

— Częściowo dzięki tobie! — rozpromienił się Gessler. Gunther był teraz jego ulubieńcem. — To ty domyśliłeś się, że odbierze ich okręt podwodny, ty podszedłeś Draxa, który ujawnił, że to będzie gdzieś w odległości godziny jazdy od Londynu. Od wczoraj wszystkie stacje nasłuchowe na wyspie Wight śledziły komunikaty radiowe, które mogłyby dotyczyć ewentualnego przejścia ludzi przez okręt podwodny. I właśnie udało im się odczytać taką depeszę! Jutro o pierwszej w nocy Muncaster i jego czterej towarzysze mają zostać odebrani na morzu nieopodal niewielkiej miejscowości o nazwie Rottingdean w hrabstwie Sussex. Chyba że zepsuje się pogoda, na co się jednak nie zanosi.

— Udało im się odszyfrować depeszę?

— Tak. Chwała Bogu, Brytyjczycy po tysiąc dziewięćset czterdziestym przekazali nam całą swoją technologię z Bletchley Park. Postanowienia dotyczące tej kwestii umieściliśmy sprytnie w tajnej części traktatu. Amerykanie nadal nie mają pojęcia, że złamaliśmy ich szyfry. Muncaster i jego ludzie będą łatwym celem — podsumował z uśmiechem Gessler.

— Rozumiem, że nie informujemy o niczym Brytyjczyków.

— Nie. I nikogo spoza SS. — Gunther odchylił się w fotelu. — Przy odrobinie szczęścia wpadną nam prosto w ręce. Na wybrzeżu nie ma mgły, widoczność będzie dobra. O wpół do pierwszej łódź wiosłowa ma ich zabrać z plaży i dostarczyć do okrętu podwodnego, który wynurzy się w tym celu na powierzchnię. To dosyć ryzykowny manewr. Pokazuje, jak wielkie znaczenie przywiązują do tej misji Amerykanie.

Gunther poczuł, jak ogarnia go fala czystej satysfakcji.

— Muncaster, Hall, Fitzgerald i ta Natalia — wyliczył na palcach. — Piątą osobą będzie zapewne żona Fitzgeralda. Jak to zorganizujemy, Herr Standartenführer? — zapytał, spoglądając na Gesslera.

Ten splótł ręce na płaskim brzuchu.

— To będzie nasza operacja, misja SS prowadzona z tej ambasady. Chcę cię tam wysłać z kilkoma dobrymi funkcjonariuszami. Nawet sześcioma, jeśli uda mi się tyłu zebrać. Chciałbym, żeby był wśród nich Kapp, który uczestniczył w przesłuchaniu Draxa.

Gunther pokiwał głową.

— Chyba może się przydać.

— Studiowałem mapy i już teraz wyślemy kogoś na południe, żeby zrobił rozeznanie w terenie — odparł Gessler. — Ta miejscowość, Rottingdean, to niewielka wioska w szczelinie między klifami, położona przy małej zatoczce. Ukryjcie się tam i zgarniecie Muncastera i jego ludzi, kiedy się pojawią. — Gessler popatrzył z powagą na Gunthera. — Ale musimy to rozegrać bardzo ostrożnie. Nie chcemy, żeby Brytyjczycy zwietrzyli pismo nosem — dodał zdecydowanie mniej entuzjastycznym tonem. — Mieli już dziś zacząć deportować Żydów na wyspę Wight, ale przeszkodziła temu mgła. Z tego, co słyszałem, zabiorą się za to dopiero po Nowym Roku. Zastanawiam się, czy nie z powodów politycznych. Rommel powiedział podobno Beaverbrookowi, żeby nie spieszył się z transportami.

Gunther zmarszczył czoło.

— Armia nigdy wcześniej nie sprzeciwiała się wywózkom Żydów — zauważył.

— Nie, ale często potrzebowali zachęty z góry, od samego Führera, niech spoczywa w pokoju. Wiesz, jacy oni są. Powtarzają, że powinni się skupić na

wojnie z Rosją, że to niepotrzebnie angażuje ich środki. — Gessler ponownie popatrzył na Gunthera. — Po śmierci Führera wszystko się zmieniło. Jeśli, broń Boże, dojdzie do zmiany polityki w Berlinie, Waffen SS jest w stanie pokonać armię. A jeśli walka potrwa dłużej, powiedziano mi, że to, co wie Muncaster, może się okazać bardzo ważne. Heydrich wie, o co chodzi, i teraz mi to zdradził. Rzecz dotyczy broni nuklearnej. Bomby atomowej. Najcenniejszej zdobyczy, która może wpaść teraz w ręce SS. Dlatego ta misja traktowana jest jeszcze bardziej priorytetowo. Upoważniono mnie, żebym ci o tym powiedział. — Gessler uśmiechnął się. — Widzisz, jakim obdarzono cię zaufaniem? — zapytał.

Żebym dał z siebie wszystko, pomyślał Gunther. Dla Niemiec, dla mojego syna, żeby uczcić pamięć ukochanego brata.

— Dziękuję — powiedział cicho.

Gessler odkaslnął.

— Pojedzie z tobą William Syme — oświadczył.

Gunther wyprostował się na krześle.

— Czy to rozsądne, Herr Standartenführer? Jeśli Muncaster coś chlapnie, jeśli Syme domyśli się, o co chodzi...

— Potrzebujemy tam jakiegoś Anglika. Miejscowa policja zostanie poinformowana, że coś się dzieje i mają nie wtykać w to nosa. Będą wiedzieli, że zajmuje się tym ktoś z Wydziału Specjalnego. Zresztą Syme wie prawie wszystko o Muncasterze i jego ekipie. A jeśli dowie się czegoś, czego nie powinien... rozmawialiśmy już o tym. Zawsze można się go pozbyć.

Gunther poczuł zaskakujące ukłucie żalu. Gessler zauważył to i przechylił głowę.

— Myślałem, że go nie lubisz.

— To prawda. Ale bardzo nam przy tym wszystkim pomógł. — Gunther wziął głęboki oddech. — Jeśli zajdzie taka konieczność, nie będzie to stanowiło problemu.

— Chcę, żebyś cały czas był blisko niego. W trakcie tej nocnej operacji i potem. I sprowadź go później do ambasady, razem z Muncasterem i jego ludźmi. — Gessler popatrzył prosto w twarz podwładnemu. — Spodziewasz się w tej kwestii jakichś trudności?

Czy to oznaczało, że mieli jednak zamiar uśmiercić Syme'a? Czyżby uznali, że wie za dużo już teraz? Twarda decyzja, ale tak to jest na wojnie.

— Nie, Herr Standartenführer — odparł Gunther.

— Kiedy sprowadzicie tutaj Muncastera, chcę, żebyś najpierw spróbował go rozgryźć, Hoth. Rozważył, jakie zastosować metody przesłuchania, zanim wyślemy go do Berlina. Pamiętaj, że on nie jest... normalny.

— Tak jest, Herr Standartenführer. — To był rodzaj pracy, w którym Gunther czuł się najpewniej; poza tym interesujące mogło się okazać ustalenie, jak pracuje umysł Muncastera, jak i dlaczego przestał dobrze funkcjonować. — Co się stało z tą Bennett? — zapytał.

Gessler machnął lekceważąco ręką.

— Wczoraj po południu przekazaliśmy ją Brytyjczykom. Zostanie pewnie skazana w tajnym procesie i trafi na pięć lat do Holloway. — Roześmiał się. — Pięć lat i ucięty palec. Czy kobiety poddaje się tutaj karom cielesnym? Nie pamiętam. Tak czy owak, uznają pewnie, że wystarczy jej to, czego już doświadczyła.

— A co z Draxem?

— Zajął się nim Wydział Specjalny. Rodziców wypuściliśmy. Wątpię, żeby długo pociągnął.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Sarah wracała z kolejnego spaceru. Ostatnio tak dużo spacerowała, że Brighton, z początku obcy, znała teraz prawie od podszewki. Tego ranka dotarła w zimowym słońcu aż do Hove, idąc bulwarami i mijając zabudowane wiktoriańskimi budynkami place i mało zatłoczone sklepy ze świątecznymi dekoracjami, które sprawiały dziwne wrażenie w nadmorskim kurorcie. Wszystkie gazety zamieszczały zdjęcia tłumów sunących obok otwartej trumny Hitlera w Kancelarii Rzeszy. Führer leżał z zamkniętymi oczyma, jego martwa twarz była biała, bielsza od białych włosów i wąsów.

I nagle, podchodząc do hotelu, zobaczyła wpatrującego się w nią przez okno Davida. Poczowała radość, a zaraz potem niepokój, bo tak bardzo wychudł, postarzał się i zapadły mu się policzki. Na koniec ogarnął ją gniew. Wchodząc po schodkach do hotelu, odwróciła od niego wzrok, choć serce waliło jej jak młotem.

Jane, która siedziała w recepcji, odetchnęła z ulgą na jej widok.

— Właśnie przyjechali. Pani mąż jest w bawialni — szepnęła z uśmiechem, który szybko spęłzył jej z ust, kiedy Sarah zmierzyła ją posępnym spojrzeniem.

David stał pośrodku pokoju. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem szybko podszedł i wziął ją w ramiona.

— Tak mi przykro — powiedział. — Nie mogłem dać ci znać, że przyjeżdżamy. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero wczoraj.

Nie odpowiedziała, stała sztywno jak posąg. Czuła, że wypełnia ją tyle sprzecznych emocji, że jeśli nie będzie nad sobą panować, rozpadnie się na kawałki. David dał krok do tyłu, nadal trzymając ją za ramiona.

— Dobrze się czujesz? — zapytał. — Co się stało z twoimi włosami?

Sarah strąciła z ramion jego rękę.

— No cóż, zostałam ujęta przez Niemców, od których dowiedziałam się, że szpiegowałeś dla ruchu oporu, i którzy przesłuchiwali mnie w Senate House — oznajmiła tak chłodno, że samą ją to zdziwiło. — Potem zwolniono mnie do domu i zostałam uprowadzona przez ruch oporu, którego bojowniczką zabiła, nawiasem mówiąc, policjanta w naszym domu. — Wzięła głęboki oddech. — Następnie wysłali mnie tutaj, żebym czekała na ciebie i jakichś obcych ludzi

i razem z nimi udała się Bóg jeden wie, na jaką poniewierkę. Ostrzygli mnie i umalowali włosy, ponieważ poszukuje mnie Wydział Specjalny i Niemcy. I nigdy już nie zobaczę swojej rodziny — dodała, podnosząc z gniewem głos. — Poza tym czuję się świetnie. Swoją drogą, kim są, do diabła, ci inni ludzie?

— To mężczyzna i kobieta z ruchu oporu, a także Frank Muncaster, mój stary znajomy z uniwersytetu. Pamiętasz, mówiłem ci o nim. O co chodzi z tymi Niemcami... chcesz powiedzieć, że cię aresztowali? — W błękitnych oczach Davida pojawił się strach. — Nasi ludzie nic mi o tym nie mówili, stwierdzili tylko, że jesteś bezpieczna. Co się tam wydarzyło? Czy...

— Czy mnie skrzywdzili? Nie, nic mi nie zrobili, bo nic nie wiedziałam. I nadal nic nie wiem, do cholery! — odparła, znowu podnosząc głos. — Odpowiedz na moje pytanie! Co tu się dzieje? Co tu robi Frank Muncaster i ci inni ludzie?

David podniósł dłonie, próbując ją uspokoić.

— Frank jest naukowcem. Przytrafiło mu się coś strasznego i wylądował w szpitalu psychiatrycznym w Birminghamie. Amerykanom bardzo na nim zależy. Ze względu na to, co wie. Więc... zabraliśmy go ze szpitala. Przewieźliśmy go do Londynu, a teraz udało nam się dotrzeć aż tutaj. Posłuchaj, Sarah — dodał z nagłą żarliwością. — Dziś w nocy odpłyniemy wszyscy okrętem podwodnym do Ameryki.

Popatrzyła na niego osłupiałym wzrokiem.

— Okrętem podwodnym?

— Tak. Przykro mi, że tak wszystko się ułożyło, Sarah, ale wyznaczyli mnie do tej misji, bo znałem Franka. Bo mi ufał.

— I co? Nie zawiodłeś jego zaufania? — W jej głosie pobrzmiwał sarkazm.

— Nie. Nie zawiodłem.

— Jasne. Jest umysłowo chory. Musi być, skoro ci ufa.

Nadal dziwiła ją własna wściekłość i sarkazm, ale miała tego dosyć. Żadna żona by tego nie zniosła.

— Sarah... wróciłem po ciebie... odkryli, że jestem w ruchu oporu, ale próbowałem cię zabrać z domu...

Sarah wzięła długi, głęboki oddech.

— Ten człowiek w Londynie, Jackson, powiedział mi, że szpiegowałeś dla ruchu oporu, dostarczałeś im informacje z ministerstwa. Wciągnąłeś w to tę biedaczkę Carol Bennett! To dlatego się z nią zaprzyjaźniłeś? Tego dnia, kiedy mnie aresztowali, pojechałam do Highgate i spotkałam się z nią, bo myślałam, że masz z nią romans. Ta biedna, głupia kobieta jest w tobie zakochana! Wiedziałaś o tym? Pewnie zdążyli ją już aresztować tak jak mnie.

David miał łzy w oczach.

— Geoff nie żyje — powiedział.

Sarah zastygła w bezruchu.

— Nie żyje? Jak to? — zapytała zszokowana.

— Ukrywaliśmy się w pewnym domu w Londynie. Geoff wchodził w skład naszej ekipy. Pojechał z nami, żeby wykraść Franka ze szpitala. Policja urządziła nalot na dom, para, u której mieszkaliśmy, zginęła i Geoff też poległ w walce.

— Jezu Chryste! — jęknęła Sarah, opadając na jeden z foteli.

David ukląkł przy niej.

— Jest bardzo ważne, żeby pomóc Frankowi dostać się do Ameryki. To wielka rzecz, Sarah, naprawdę wielka. Frank jest w posiadaniu pewnych informacji... nie mogę ci powiedzieć, o co chodzi, ale gdyby Niemcy je przejęli, bardzo by im to pomogło. Gestapowcom bardzo na tym zależy. Gdyby po śmierci Hitlera zaczęła się walka o władzę, SS miałyby w rękach ważne atuty.

— Od jak dawna robiłeś to z Geoffem? Byłeś szpiegiem?

— Geoff wstąpił do ruchu oporu jeszcze przede mną. Zwerbował mnie przed dwoma laty.

— Po śmierci Charliego...

— Niedługo potem, tak...

— I wszystko to przede mną ukrywałeś. — Zamiast gniewu w jej głosie zabrzmiał smutek. — Wiedziałam, że coś się dzieje, po śmierci Charliego wyraźnie się ode mnie odsunąłeś. Więc czym dla ciebie byłam? Zwykłą przykrywką, pocziwą kurą domową?

David pokręcił energicznie głową.

— Nie, nie. Nie wolno ci tak myśleć. Kiedy do nich wstąpiłem, powiedzieli, że lepiej ci nic nie mówić. Na wypadek gdyby coś poszło nie tak i cię przesłuchiwali. — Spojrzał błagalnie na Sarah. — I mieli rację. Nic nie wiedziałaś i to cię uratowało.

— Nie przyszło ci nigdy do głowy, że gdybym wiedziała, mogłabym ci pomóc? — zapytała z cichym gniewem.

— Nie sądziłem, że zaaprobujesz to, co robię. Zawsze krytykowałeś ruch oporu, że nie cofa się przed użyciem przemocy. Ponieważ ludzie giną w walce.

— Nie wiem, może przekonałbyś mnie do zmiany zdania, gdybyś kiedykolwiek spróbował to zrobić. Nawiasem mówiąc, teraz sama zmieniłam zdanie. Widzę, że trzeba walczyć. — W jej oczach malował się smutek. — Choć wiem, że przemoc deprawuje wszystkich, bo taka jest natura rzeczy.

— To nie było łatwe...

— Postanowiłeś mnie od tego odsunąć. Po śmierci Charliego odsuwałeś mnie od wszystkiego.

— Nigdy nie zdawałem sobie sprawy — powiedział — jak musiałaś się czuć, siedząc sama w domu. Tak mi przykro...

— Nie udawaj, że nic mi nie mówiłeś ze względu na moje dobro. Tak było ci po prostu łatwiej. Przez całe lata byłem ślepa, dlatego że tak bardzo cię kochałam — dodała ponuro i przyjrzała się jego udręczonej twarzy. — Czy zacząłeś z nimi współpracować, bo Charlie zginął, a ja ci nie wystarczałam? — zapytała, znowu podnosząc głos. — Bo potrzebowałeś czegoś więcej?

— Nie! — zawołał. — Zrobiłem to, bo zaczęły się prześladowania, a ja jestem Żydem!

— O co ci chodzi? — Sarah spojrzała na niego nierozumiejącym głosem. — O czym ty, u licha, mówisz?

David podszedł i złapał ją za nadgarstki.

— Rodzina mojej matki przybyła do Irlandii ze wschodniej Europy — powiedział. — Na długo przedtem, zanim matka poznała mojego tatę. Nie wiedziałem o niczym aż do jej śmierci. Mama i tato trzymali to w tajemnicy, żebym nie padł ofiarą prześladowań. Tato przekonał mnie później, żebym też zachował to w tajemnicy. — David zmierzył ją twardym wzrokiem. — Miał rację. Gdyby wiedzieli, kim jestem, wyrzuciliby mnie ze służby cywilnej. Siedziałbym teraz w jednym z tych obozów. Znasz reguły: pół-Żyd to nadal Żyd.

Sarah odepchnęła go od siebie, wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Była kompletnie oszołomiona.

— Jesteś Żydem. Wiedziałeś o tym, kiedy mnie poznałeś, i trzymałeś to w tajemnicy... Przecież nie jesteś obrzezany — dodała po chwili.

— Mama nie była wierząca. Tato zresztą też. Jeśli spojrzeć na to z jakiegokolwiek rozsądnego punktu widzenia, nie jestem żydem i nie jestem katolikiem. Ale czy ktoś jeszcze kieruje się w dzisiejszych czasach rozsądkiem?

Sarah zatrzymała się nagle i zmierzyła go wzrokiem.

— Przez wszystkie te lata miałam za męża Żyda. I nic mi nie powiedziałeś.

— Miałoby to dla ciebie jakieś znaczenie?

Spojrzała na niego zbита z tropu.

— Byłabym zaskoczona. To chyba oczywiste. Ale przecież mnie znasz, wiesz, że zawsze byłam przeciwko antysemityzmowi.

— Nawet przed rokiem czterdziestym byliśmy wszyscy wychowywani w duchu uprzedzeń rasowych — powiedział cicho. — Antysemityzm jest stale obecny, czasami wyłazi z ludzi, kiedy się tego najmniej spodziewasz.

— Nie ze mnie! — krzyknęła. — Zapomniałeś już, jak wychowali mnie rodzice?

— A Irene?

— Irene wyszła za głupiego kołtuna! Wiesz, co o nim myślę! Ale ty mi nie ufałeś. Wszystkie te tajemnice... W żadnej z tych spraw nigdy mi nie ufałeś.

David wstał i znowu do niej podszedł.

— Przepraszam. Przywykłem po prostu do tego, że nikt nic nie wie. Dopóki nie zaczęły się te represje, czasami sam na jakiś czas o tym zapomniałem. A jeśli chodzi o całą resztę, robiłem to tylko po to, by cię chronić.

— Wsparcie, którego mogłam ci udzielić, pomoc, miłość... — szepnęła zdesperowana. — Nic z tego nie miało znaczenia?

— Myślałem, że tak będzie najlepiej.

Uznała jego odpowiedź za żalowaną. Nie usłyszała w niej miłości. Przez dłuższą chwilę stała naprzeciwko męża. Chciała pogłodzić go po twarzy i ukoić jego cierpienie, lecz jednocześnie miała ochotę go uderzyć. Zamknęła oczy. A potem przeszła do spraw praktycznych — tylko w ten sposób mogła stawić czoło sytuacji, a tak się składało, że miała do niego sporo pytań. Wzięła głęboki oddech.

— Co się dzisiaj wydarzy? — zapytała.

— O wpół do pierwszej w nocy kilka kilometrów stąd będzie na nas czekała łódka. Zabierze nas na amerykański okręt podwodny na kanale La Manche. Ciebie, mnie, Franka i jeszcze dwie osoby, które nam towarzyszą. Wszyscy są teraz na górze.

— Frank był w domu wariatów. Czy jest w stanie popłynąć? Czy tego chce?

— Owszem. Jego stan się poprawił.

— Kim jest pozostała dwójka?

— Ben był pielęgniarzem w szpitalu, a Natalia... to ona dowodzi całą grupą. — Davidowi załamał się lekko głos. Wziął głęboki oddech. — W trakcie tej misji Natalia i ja udajemy małżeństwo, a Ben i Frank występują jako nasi kuzyni; oficjalnie przybyliśmy tu, żeby wziąć udział w pogrzebie naszej starej ciotki. Nawiasem mówiąc, ty i ja nie powinniśmy zdradzać, że się znamy; musimy udawać...

— Udawać? — Sarah gorzko się roześmiała.

— Tak mi przykro, Sarah — odparł cicho. — Z powodu tego wszystkiego. Nie...

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Do bawialni weszła Jane. Miała wystraszoną minę.

— Przepraszam, ale nie podnoście tak bardzo głosu. Słyszać was na górze i w sąsiednim hotelu. Ściany są tu cienkie. — Spojrzała z przestachem na Davida. — To, co pan tu krzyczał wcześniej...

— Że jestem Żydem? — David pokiwał z wściekłością głową. — Tak, to bardzo niebezpieczne, prawda?

— W porządku — mruknęła Sarah. — Pójdę do swojego pokoju. Nie idź za mną — poprosiła Davida.

Jane wyszła w ślad za nią.

— Proszę, niech pani nie myśli, że się wtrącam — powiedziała — ale dziś w nocy musicie się skupić na tym, co was czeka. Nie możecie się kłócić, nie teraz.

Sarah zdała sobie sprawę, że Jane jest cała roztrzęsiona. Jej też groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.



W swoim pokoju zamknęła drzwi, usiadła na łóżku i schowała twarz w dłoniach. Było tak źle, jak się obawiała, a nawet jeszcze gorzej. Uświadomiła sobie, że gdzieś w głębi duszy kołatała w niej nadzieja, iż David ze wszystkiego się wytłumaczy, że uda im się naprawić ich związek. Lecz on żył w świecie kłamstw i pozorów, nie tylko odkąd został szpiegiem, ale na długo przed tym, zanim się poznali. Miała wrażenie, że nawet teraz nie o wszystkim jej powiedział. Jak mogła mu znowu zaufać?

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Frank i Ben znowu grali w szachy. Ben, który nieodmiennie dostawał baty, pałał żądzą rewanżu, ale Frank oświadczył, że gra go znudziła i musi odpocząć. Podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył wysoką kobietę, która szła pustą ulicą i skręciła w stronę hotelu. Nagle zatrzymała się jak wryta, wpatrując się w okno na parterze, a potem weszła zgarbiona po schodkach i zniknęła z pola widzenia.

— Ktoś przyszedł — powiedział cicho. — To chyba żona Davida.

Ben siedział na łóżku przy małym stoliku, na którym rozłożyli szachownicę. Słyszając słowa Franka, też podeszedł do okna.

— Już weszła — wyjaśnił Frank.

— Jak wyglądała?

— Dość wysoka. Ruda. To dziwne, ale wcale nie taka ładna. Myślałem, że David ożeni się z kimś ładnym.

— Miłość nie zawsze wygląda w ten sposób — mruknął Ben. — W życiu układa się trochę inaczej niż w kinie. Nie wybieramy tych, w których się zakochujemy.

W jego głosie słychać było smutek. To prawda, pomyślał Frank, właściwie miłość znam tylko z kina. Usiadł z powrotem na łóżku. W drodze do hotelu dostał od Bena kolejną tabletkę, ale miał wrażenie, że nie są mu już aż tak potrzebne. Nadal odczuwał dziwny spokój, który spłynął na niego podczas rozmowy z Churchillem; stary przywódca w jakiś sposób go zrozumiał. Frank miał teraz pewność, że ludzie z ruchu oporu nie będą usiłowali poznać jego sekretu. Wiedział jednak, że ich małej grupce grozi tutaj takie samo niebezpieczeństwo jak w Londynie. A dzisiejsza noc, kiedy będą próbowali dostać się na pokład okrętu podwodnego, niosła z sobą największe zagrożenie.

Ben przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

— Tak.

— Jesteś jakiś dziwnie spokojny.

— Co się ze mną stanie, jeśli trafimy do Ameryki?

Ben zapalił papierosa.

— Na pewno zapytają cię o to, co powiedział ci brat. Ale przecież nie powiesz im niczego, czego sami by nie wiedzieli.

— Zastanawiam się, co ze mną później zrobią.

— Może dadzą ci jakąś pracę przy produkcji bomby atomowej. Amerykanie uwielbiają swoją superbroń prawie tak samo mocno jak Niemcy.

— Nie mógłbym tego zrobić — mruknął Frank.

— Wiem. Tylko żartowałem.

Frank zacisnął wargi.

— Nie chcę się znowu widzieć ze swoim bratem — powiedział. — Mam nadzieję, że z powodu tego, co wiem, nie dojdą do wniosku, że trzeba usunąć mnie z drogi. Albo umieścić z powrotem w szpitalu.

— Nie, przyjacielu. Będiesz bohaterem, który przybył do nich po brawurowej ucieczce przed Niemcami. Może umieszczą cię w jakimś słonecznym, spokojnym miasteczku w Kalifornii — rzucił Ben, jednak Frank zdawał sobie sprawę, że, podobnie jak on, nie ma pojęcia, co z nim zrobią Amerykanie.

— Wcześniej chciałem umrzeć, lecz teraz, jeśli mi się uda, chciałbym chyba żyć. Byle nie w szpitalu.

— Nie trafisz do szpitala. Wiem, że było ci tam ciężko. W komunizmie nie będzie takich ciężkich warunków. Do diabła, nie będzie nawet powodów, żeby ludzie świrowali.

Frank nie odpowiedział. Teraz, kiedy wiedział już, ile zrobił dla niego Ben, polubił go i nawet podziwiał, ale wolałby, żeby jego opiekun nie był tak bezkrytyczny wobec komunizmu.

— Po śmierci tego sukinsyna Hitlera — dodał Ben — wszystko się zmieni. Zobaczysz...

Nagle usłyszeli dobiegające z parteru donośne głosy, najpierw kobiety, a potem Davida, który krzyknął: „Nie! Zrobiłem to, bo zaczęły się prześladowania, a ja jestem Żydem!”. Frank i Ben spojrzeli na siebie zdumieni. Ben zagwizdał pod nosem.

— To coś nowego. David Żydem? Wiedziałeś o tym? — zapytał Franka.

— Nie miałem pojęcia.

Ben zmarszczył brwi.

— Nie powinni tak na siebie wrzeszczeć, ściany mają uszy.

Więcej krzyków już nie było, słyszać było tylko prowadzoną półgłosem rozmowę. W końcu usłyszeli trzaśnięcie zamykanych drzwi i szybkie kroki na schodach.

— Muszą to jakoś między sobą załatwić — mruknął zaniepokojony Ben. — Dziś w nocy powinniśmy być zvarci i gotowi.

Frank nie odpowiedział. W absurdalny sposób poczuł się znowu zdradzony, podobnie jak wówczas, gdy w domu państwa O'Shea usłyszał kochających się Davida i Natalię. David był Żydem! Przez cały ten czas, kiedy się przyjaźnili, on też coś przed nim ukrywał. Tłumaczył sobie, że to z jego strony głupota: David nie musiał mu się przecież z tego zwierzać.

— Wszyscy myśleli, że rodzice Davida byli Irlandczykami — powiedział.

— W ich żyłach musiała płynąć żydowska krew i ukryli to. — Ben westchnął. — W dzisiejszych czasach ludzie często kłamią w kwestii pochodzenia. W pewnych częściach Szkocji, tam gdzie silni są szkoccy nacjonaści, ci, którzy pochodzą z Anglii, wołają o tym nie mówić. — Ben wydał z siebie gniewny pomruk. — Nacjonalizm... pozwoliliśmy mu zawładnąć światem.

— To dziwne. Wydaje się to takie... szokujące. A przecież to, czy ktoś jest Żydem, nie ma chyba większego znaczenia, prawda?

— Nie. Wielu najlepszych komunistów było Żydami. Choćby sam Karol Marks.

— Wśród kapitalistów też jest sporo Żydów — oświadczył z uśmiechem Frank. — Na przykład Rothschildowie. I wśród naukowców. Na przykład Einstein. Ten nazistowski pomysł, że bolszewicy i żydowscy kapitaliści zawiazali tajne porozumienie, zawsze wydawał mi się wzięty z księżycy. Przecież jedni nienawidzą drugich.

— To dlatego, że faszystowska ideologia w ogóle nie ma sensu. Kiedy się nad nią spokojnie zastanowić.

— Nic nie ma wielkiego sensu — zauważył ze smutkiem Frank.

Ben przyjrzał mu się z powagą.

— Wiesz, że David i Natalia... widziałeś, jak zbiegali ze schodów, kiedy wszyscy wialiśmy z domu państwa O'Shea?

— Tak — odparł z westchnieniem Frank. — Widziałem. Myślisz, że David powiedział o tym żonie? Teraz, na dole?

— Nie wiem. Ale nie sądzę, wtedy usłyszelibyśmy również coś na ten temat. Tak czy owak, nie możemy pozwolić, żeby tych dwoje wybuchło nagle jak dwa szrapnele. Może będę musiał zamienić z nimi słówko. — Ben spojrzał na Franka. — Nie za bardzo chcesz o tym mówić. Czyżbyś też zadurzył się w Natalii?

Frank nieśmiało się uśmiechnął.

— Nie. Natalia jest bardzo atrakcyjna, ale... — roześmiał się z zakłopotaniem — zbyt prawdziwa. Jeśli idzie o te sprawy, wyobrażam sobie na ogół gwiazdy filmowe, kogoś nieosiągalnego. — Zaczerwienił się. — A ty? Natalia ci się podoba?

— Jest świetnym przywódcą. Zdecydowana, szybka. Ale nie... — Ben cierpko się uśmiechnął. — Nie jest w moim typie.

— Nie masz nikogo? — zapytał Frank.

Ben skrzyżował ręce na piersi. Wydawał się zawsze tak bardzo skoncentrowany na działaniu, na tym, co trzeba było zrobić dziś i jutro, że Frank nie bardzo go sobie wyobrażał w życiu prywatnym.

— Nie — odparł teraz. — Nigdy nie spotkałem odpowiedniej dziewczyny. Odpowiedniej osoby — dodał i parsknął smutnym śmiechem.

— Jak by wyglądała, gdybyś ją spotkał?

— To byłby ktoś z mojej klasy społecznej. Ale miłszy, łagodniejszy.

Frank zmarszczył brwi. Ben mówił o tym wszystkim w nieco dziwny sposób, ale nie umiał określić, na czym to polega.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wygląda życie małżeńskie — powiedział. — Mój ojciec zginął, zanim jeszcze się urodziłem. W okopach.

— Moi rodzice nadal gdzieś żyją. Para sukinsynów.

— Nie utrzymujesz z nimi stosunków?

— Powiedzmy po prostu, że nie spełniłem ich oczekiwań.

— Małżeństwa... Tak naprawdę z żonami kolegów spotykałem się tylko na uniwersytecie. Na bożonarodzeniowych przyjęciach, przy tego rodzaju okazjach. Niektóre wydawały się zadowolone, inne sprawiały wrażenie nieszczęśliwych. Nie można winić żony Davida, że jest wściekła. Skoro w ogóle o niczym nie wiedziała. Że był szpiegiem, Żydem...

— To nie są nasze problemy, Frankie. Ważne jest wyłącznie to, żebyśmy skupili się na tym, co mamy do zrobienia. Ty też.

— Czy możesz nie dawać mi dziś wieczorem tabletki? Chciałbym być czujny. We mgle po prostu się zagubiłem.

— Na pewno? Nie będziesz roztrzęsiony?

— Nie, jeśli przesuniemy to tylko o parę godzin. — Frank niewyraźnie się uśmiechnął. — Zażyję tabletkę, kiedy znajdziemy się na pokładzie.

Ben uważnie się mu przyjrzał.

— W porządku. Ale cokolwiek się wydarzy, tym razem zostań z nami.

— Dobrze.



Pół godziny później Frank usłyszał kroki na korytarzu, a potem głos Berta. Rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszli Bert, Jane oraz kobieta, którą

widział przez okno, żona Davida. Robiła wrażenie zmęczonej i podenerwowanej. Bert trzymał pod pachą zwiniętą w rulon dużą mapę.

— Musimy się spotkać i porozmawiać o dzisiejszej nocy — powiedział. — Jeszcze raz wszystko omówić.

— Sprowadzę innych — mruknęła Jane i wyszła.

Ben dał krok do przodu i wyciągnął rękę.

— Pani musi być Sarah, żona Davida — rzekł wesoło, tym razem nie afiszując się zbyt z swoim szkockim akcentem. — Jestem Ben.

Sarah uścisnęła mu dłoń.

— Jak długo towarzyszy pan mojemu mężowi? — zapytała grzecznie, lecz chłodno.

— Może pani w to wierzyć albo nie, ale pierwszy raz spotkałem go przed dwoma tygodniami. Choć wydaje się, że to było wieki temu, prawda, Frank?

Sarah przyjrzała się bacznie Frankowi. Pewnie uważa, że to ja wciągnąłem ich w tarapaty, pomyślał. W końcu uśmiechnęła się z przymusem i wyciągnęła do niego rękę.

— Witam pana. Mąż opowiadał mi kiedyś o panu, o listach, które pan pisał.

Zauważyła, że ma zdeformowaną dłoń, i delikatnie ją uścisnęła.

— David był moim dobrym przyjacielem — powiedział Frank. — Od dawna.

— Proszę, siadajcie. Przepraszam za nieporządek. — Ben był szarmancki i uśmiechnięty. — Wiecie, jak to jest, kiedy dwóch facetów mieszka razem w pokoju — dodał, zabierając z łóżka zabłąkaną skarpetkę.

Drzwi otworzyły się i do środka weszła Jane, a za nią David i Natalia. David spojrzał na swoją żonę, która odpowiedziała mu gniewnym spojrzeniem i uśmiechnęła się niepewnie do Natalii.

— Jestem Sarah Fitzgerald — powiedziała.

— Natalia.

Obie kobiety uścisnęły sobie dłonie. Natalia zmierzyła Sarah chłodnym wzrokiem. Frank domyślił się, że Sarah nie wie nic o niej i Davidzie; nie powiedział jej.

Bert rozłożył mapę na łóżku.

— No dobrze. Dzisiaj o wpół do jedenastej wieczorem Natalia zawiezie was wszystkich do Rottingdean. Można tam się dostać nadmorską drogą, o tędy, ale naszym zdaniem bezpieczniej będzie pojechać w głąb lądu, a potem skręcić do Rottingdean tutaj. — Wskazał palcem na mapie. — Na razie wszystko jasne? — Obecni pokiwali głowami. — Z Brighton do Rottingdean prowadzi jeszcze ścieżka pod klifami, ale jest odsłonięta i gdyby coś poszło nie tak, nie ma się tam gdzie schować. Po przyjeździe do Rottingdean udacie się do jednego z domów

w wiosce i tam spotka się z wami nasz człowiek. Wszyscy przebierzecie się w ciemne ubrania, żeby trudniej was było zobaczyć, i zejdzicie do zatoczki. Ubrania będą ciepłe, bo na morzu jest bardzo zimno.

— Wygląda to na małą miejscowość. — Sarah popatrzyła na mapę.

— Jest mała. Sporo tam eleganckich domów zamieszkanym w większości przez emerytów. W Rottingdean zawsze mieszkało wielu pisarzy i artystów, ludzi tego rodzaju. Przy głównej ulicy są sklepy i mniejsze domy. Tam właśnie mieszka nasz człowiek. To emerytowany rybak. Miejsce jest spokojne, w zimną grudniową noc nie powinni się tam kręcić ludzie. Następnie zejdzicie do zatoczki. — Bert powiódł wzrokiem po ich twarzach. — Od tego momentu jesteście narażeni na największe niebezpieczeństwo. Niełatwo będzie wytłumaczyć, dlaczego grupa ludzi schodzi na plażę w grudniową noc.

Sarah pokręciła lekko głową.

— O co chodzi? — zapytał David.

— Nic takiego. Pomyślałam tylko, ile razy w ciągu tych kilku dni zmieniałam tożsamość, ile dostałam nowych kompletów ubrań. Macie do dyspozycji spore środki — powiedziała, patrząc na Bertę. — Większe, niż sądziłam.

— Zareczam pani, że zorganizowanie tego wszystkiego nie było łatwe — odparła chłodno Natalia. — Wszyscy biorący udział w tej akcji ryzykowali życie. Niektórzy je stracili — dodała po chwili.

Sarah spojrzała jej prosto w oczy.

— Wiem. W ciągu ostatnich dwóch tygodni na moich oczach zginęło dwoje ludzi.

— Wydostanie stąd tego człowieka jest naprawdę ważne — powiedziała Natalia, wskazując wzrokiem Franka. — Dziś w nocy tylko to się liczy. My jesteśmy tylko pasażerami. Warto to sobie uświadomić.

Sarah nie spuściła wzroku.

— Rozumiem to bardzo dobrze. Wiem, co nam grozi, szybko sobie to uświadomiłam. Nie jestem idiotką, więc proszę mnie tak nie traktować. Powiedzcie po prostu, co mam robić.

Natalia przechyliła głowę i spojrzała na nią z większym szacunkiem.

— Natalia dowodzi — oświadczył Bert. — Wszyscy wykonujecie jej rozkazy. Z tego, co wiemy, nie grozi nam żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. Nasi ludzie obserwują klify, wioskę, nadmorską ścieżkę i morze. Nie zauważyli nic niezwykłego. Kiedy się ściemni, kilka osób nadal będzie obserwowało morze z klifów, żeby sprawdzić, czy nie pojawiły się jakieś łodzie.

— Jest ważne, żebyśmy wszyscy poruszali się szybko i cicho — powiedział Ben, spoglądając na Franka.

— Zgadza się — potwierdził Bert. — Wioska będzie pogrążona we śnie, nie wolno wam nikogo obudzić. Noc powinna być spokojna i jasna, księżyc jest w pierwszej kwadrze. Morze jest gładkie jak staw. Nasz człowiek, który zaprowadzi was na plażę, ma łódź wiosłową i o wpół do pierwszej popłynie z wami do okrętu podwodnego. Mamy dokładne współrzędne miejsca, gdzie będą na was czekali, mniej więcej dwa kilometry od brzegu. Ponieważ woda jest tam płytka, okręt podwodny będzie przez cały czas na powierzchni. Kiedy wejdziecie na jego pokład, wypłynie na głębsze wody, zanurzy się i zabierze was na amerykański statek na Atlantyku.

— I wtedy będzie po wszystkim — powiedział Frank, kręcąc ze zdumieniem i niedowierzaniem głową.

Bert spojrzał na niego, a potem na Sarah.

My dwoje jesteśmy najsłabszymi ogniwami, pomyślał Frank. Pozostali umieją walczyć.

— Musimy ustalić, jak powinniście się zachować, gdyby coś poszło nie tak — podjął Bert. — Ben, David i ty, Natalio, będziecie uzbrojeni.

— Możemy użyć broni tylko w ostateczności — powiedziała Natalia. — Żeby nie robić hałasu.

Ben pokiwał głową.

— Zgadza się. Jeśli zostaniemy zaatakowani. A jeśli trafimy przypadkowo na jakiegoś pijaka lub kogoś w tym rodzaju? — zapytał, spoglądając na Berta.

— Będziecie musieli go uciszyć — odparł tamten. — Tak jak zwykle.

— To znaczy zabić? — odezwała się Sarah. — Kogoś niewinnego?

— Oczywiście, że nie — zachnęła się Natalia. — Za kogo nas pani uważa? Ogłuszamy ich i wiążemy.

— Mam w tym pewną wprawę — dodał wesoło Ben.

— Jeszcze jedna sprawa, pani Fitzgerald — dodał Bert, patrząc na Sarah. — Gdyby sprawy przybrały zły obrót, jest bardzo ważne, żeby nikt z was nie został wzięty żywcem. Dlatego wszyscy otrzymali kapsułki z cyjankiem.

Sarah wzięła głęboki oddech i spojrzała na Davida.

— Przykro mi — powiedział — ale jeśli nas złapią...

— Dobry Boże — szepnęła.

— Geoff też taką miał — wyjaśnił David — ale nie zdążył jej zażyć. Mgła spowodowała wielkie zamieszanie. Dziś w nocy nie będzie takich problemów.

Sarah rozejrzała się.

— Macie je wszyscy?

— Ja nie — oświadczył Frank.

— W razie czego zajmiemy się tobą — obiecał Ben. — Wiesz o tym.

— Wtedy we mgle w Londynie byliście bezradni. Nikt mnie nie widział. Jak mówił David, doszło do wielkiego zamieszania.

Sarah ponownie spojrzała na męża. Bert wyjął z kieszeni małą okrągłą kapsułkę.

— Pozwól. — David wziął ją od niego i podał żonie. — Załatwiliśmy ją dla ciebie. Użyj jej tylko, gdyby nas złapali. — Miał łzy w oczach. Sarah też z trudem powstrzymała płacz. Odetchnęła głęboko i wyciągnęła dłoń. David położył na niej kapsułkę. — Wsadzasz ją do ust i rozgryzasz — pouczył ją łamiącym się głosem. — W środku jest mała szklana fiolka. Śmierć następuje natychmiast, nic nie poczujesz.

— Więc ostatecznie odejdziemy razem z tego świata — powiedziała.

— Tak, razem.

Tak reaguje ktoś, kto nigdy nie myślał o tym, żeby się zabić, pomyślał Frank. To dla niego trudne. Spojrzał na Natalię, która wpatrywała się z kamienną twarzą w Davida.



Przez następną godzinę omawiali szczegóły tak długo, aż nauczyli się wszystkiego na pamięć. Bert zabrał w końcu z łóżka swoją mapę.

— Za chwilę przygotuję coś do jedzenia — powiedziała Jane. — Proszę, żeby przez resztę dnia nikt nie wychodził.

Bert zwinął mapę i oboje wyszli.

Cała piątka została w pokoju. Po chwili Sarah wstała i podeszła do drzwi. Stała powoli, jak ktoś, kto brnie po pas w wodzie. David ruszył za nią i położył jej rękę na ramieniu.

— Muszę pobyć jeszcze trochę sama. Porozmawiamy później — powiedziała cicho i poszła do swojego pokoju.

David wyszedł zaraz po niej. Frank usłyszał, jak idzie na dół.

— Nie będzie z nimi problemów? — zapytał Ben.

— Nie może być żadnych problemów — odparła krótko Natalia.

Frank spojrzał na nią. Przez całe życie był gapiem, obserwatorem. Czasami zadziwiało go, jak wiele wiedział o życiu i myślach innych. A tych akurat ludzi udało mu się bardzo dobrze poznać w ciągu ostatniego tygodnia. Żonę Davida spotkał dopiero teraz, ale widział — każdy mógł to chyba zauważyć — jak bardzo kochała męża i jak głęboko była zraniona. Zdawał sobie jednak sprawę, że Natalia też kocha Davida. I teraz, kiedy na nią patrzył, przyszedł mu do głowy zupełnie nowy pomysł.

Czując, jak sztywniej mu nogi, dał krok do przodu.

— Czy mógłbym z tobą o czymś porozmawiać, Natalio? — zapytał. —
W cztery oczy?

— To nie jest nasza sprawa — mruknął cicho Ben.

— Proszę — nie dawał za wygraną Frank.

Natalia zrobiła zdziwioną minę, a potem uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

— Dobrze. Czemu nie? Możemy przejść do mojego pokoju.

Podeszła do drzwi, Frank ruszył w ślad za nią. Ben odprowadził ich wzrokiem.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Gunther szedł równym krokiem alejką, która prowadziła pod stromymi kredowymi klifami z Brighton do Rottingdean. Na nogach, podobnie jak idący za nim Syme i wyprzedzający go Kollwitz z SS, miał buty z gumowymi podeszwami, które prawie nie skrzypiały, gdy stąpali po betonowych płytach. Szli w milczeniu, trzymając się jak najbliżej klifu, na wypadek gdyby ktoś z ruchu oporu obserwował z góry teren. Wszyscy mieli na sobie ciężkie ciemne płaszcze, czarne swetry z golfem, czarne rękawiczki i kominiarki. Zaczernili sobie również twarze węglem. Kollwitz, jeden z czterech esesmanów biorących udział w operacji, weteran tajnych akcji w Rosji, twierdził, że może to mieć kluczowe znaczenie podczas zasadzki. Z drugiej strony szli do Rottingdean trzej pozostali esesmani: Kapp, uczestniczący w przesłuchaniach Draxa, Hauser z podziemi oraz Borsig, kolejny weteran operacji specjalnych w Rosji, który, podobnie jak Kollwitz, służył w wywiadzie SS w ambasadzie. Dwie grupy miały się spotkać w Rottingdean Gap, na małej kamienistej plaży połączonej ścieżką z leżącą wyżej wioską.

Było niesamowicie zimno. Od kanału wiała słaba, ale przenikająca na wskroś bryza. Zaczynał się przypływ, cichy i łagodny, ponieważ morze było zupełnie spokojne. W świetle księżyca widać było małe fale łamiące się całkiem niedaleko od ścieżki. Na czarnym rozgwieżdżonym niebie wisiał wysoko księżyc w pierwszej kwadrze, rzucając na morze srebrzystą poświatę. Gunther pomyślał o Michaelu, opowiadającym, jak pływał w Morzu Czarnym i jak pięknie wygląda tam brzeg ze wznoszącymi się w oddali górami. Zamyślony potknął się o kawałek kredowej skały, która odpadła od ściany urwiska. Syme złapał go mocno za ramię, pomagając odzyskać równowagę.

Przeklinając się w duchu, Gunther skinął mu z wdzięcznością głową: powinien bardziej uważać. Zdawał sobie sprawę, jak mało jest wysportowany w porównaniu z dwoma pozostałymi mężczyznami, jaki kluchowaty.



Cały ranek ślęczeli w gabinecie Gesslera nad mapami, w towarzystwie policjanta z Wydziału Specjalnego z Sussexu, kolejnego z cennych znajomków Syme'a. Facet wiedział tylko, że wydział współpracuje z Niemcami, którzy chcą zatrzymać kogoś, kto będzie przebywał tej nocy w Rottingdean. Napomknął, że wydział ma w tej chwili własne zmartwienia: po ogłoszeniu wiadomości o śmierci Hitlera w kilku żydowskich obozach doszło do prób wzniesienia zamieszek. Policja w całym kraju została postawiona w stan pogotowia. Oprócz Gunthera, Syme'a i faceta z Wydziału Specjalnego obecni byli również czterej esesmani, których Gessler wyznaczył do operacji. Dwóch z nich Gunther zobaczył po raz pierwszy. Dobiegający trzydziestki i służący w wywiadzie SS w ambasadzie Kollwitz był blondynem o jasnobłękitnych oczach i młodzieńczej, niewyróżniającej się niczym twarzy. W wywiadzie służył również jego kolega Borsig, który miał twarde kanciaste rysy, ciemne włosy i krzaczaste brwi nad przenikliwymi oczyma. Kapp, energiczny, sprężysty młodzieniec, który uczestniczył w przesłuchaniu Draxa służył wcześniej na Wschodzie. Hauser, dowodzący zespołem SS w podziemiach ambasady, był starszy i tęższy, ale również emanowała z niego siła. Cała czwórka była bezgranicznie oddana SS. Podobnie jak Gunther, wybierając się na odprawę, włożyli garnitury, żeby nie wystraszyć kolegi Syme'a. Jako pracownicy ambasady wszyscy Niemcy mówili dobrze po angielsku.

Kolega Syme'a poinformował ich, że Rottingdean jest małą miejscowością, właściwie wioską, leżącą między dwoma klifami i od niepamiętnych czasów stanowiącą kryjówkę przemytników. Ruch oporu nie był tu silny, miejscowi zajmowali się własnymi sprawami. W lecie wioskę odwiedzali turyści, ale w zimną grudniową noc powinien tam panować spokój. Miejscową policję uprzedzono, że Wydział Specjalny przeprowadzi na plaży operację. Mieli się trzymać z daleka, nawet jeśli usłyszą strzały. Chociaż podążając alejką pod klifami, grupa Gunthera nie musiała właściwie wchodzić do wioski. Mogli dotrzeć na plażę prosto z Brighton, a pozostali trzej z drugiej strony.

Gessler podziękował policjantowi z Wydziału Specjalnego i facet wyszedł z gabinetu. Pozostali pochyliли się nad mapą. Spodziewali się, że ruch oporu wyśle na nadmorskie klify ludzi, którzy będą wypatrywali, czy na kanale La Manche nie panuje zwiększony ruch. Obserwatorzy nie mieli jednak powodu sądzić, że Niemcy czekają na uciekinierów na plaży. Z nasłuchu radiowego wynikało, iż w wiosce grupa Muncastera skontaktuje się z rybakiem, który sprowadzi ich na plażę, gdzie czekała łódka. Mieli nią dopłynąć do okrętu podwodnego. Z wioski prowadziła szeroka asfaltowa alejka, którą musieli dojść do krótkiej promenady, a stamtąd na kamienistą plażę. Gunther, Syme i esesmani

powinni ukryć się gdzieś na promenadzie albo na plaży i zaatakować z zaskoczenia uciekinierów, kiedy ci o wpół do pierwszej zejdą na dół.

— Będzie z nimi tylko ten rybak? — zapytał Kollwitz. — Nie będą im towarzyszyć ani czekać na plaży inni członkowie ruchu oporu?

— Nie. Tak wynika z naszego nasłuchu — odparł z satysfakcją Gessler. — Nieliczni miejscowi, którzy współpracują z ruchem oporu, będą obserwowali morze z klifów. Ale zachowajcie ostrożność na wypadek, gdyby zmienili plany.

— Czy nasza szóstka wystarczy? — pytał dalej Kollwitz.

— Jesteście jedynymi doświadczonymi ludźmi, których mogę tam posłać.

— Spodziewamy się sześciu osób, tak? — powiedział Borsig. — Tego rybaka, dwójki agentów ruchu oporu oraz trzech cywili, mężczyzny, kobiety, no i tego świra... To będzie bułka z masłem — dodał, wzruszając ramionami.

— Zgadza się. — W głosie Gesslera zabrzmiała buńczuczna pewność siebie. — Każdy z was będzie miał do pokonania jednego z nich. Moim zdaniem dacie sobie radę.

— Ta dwójka agentów może nam przysporzyć kłopotów — ostrzegł Syme. — Miałem z nimi do czynienia podczas nalotu w Londynie. Mężczyzna i kobieta. Ale inni, owszem, to tylko cywile.

— Ten urzędnik, Fitzgerald, jest chyba sprawny fizycznie. Brał udział w wojnie w czterdziestym roku — rzekł Gunther.

— Będą mieli broń — zauważył Kollwitz. — Dwójka agentów na pewno, Fitzgerald i ten rybak prawdopodobnie.

Gunther pokiwał głową.

— Za to żona Fitzgeralda chyba nie będzie uzbrojona — powiedział. — Należy do tych angielskich pacyfistów. — Kapp prychnął lekceważąco. — Muncaster też nie.

— Wariaci potrafią być silni — zauważył Borsig.

— Nie ten — zapewnił go Syme. — Spotkałem się z nim. To mały pokurcz, boi się własnego cienia.

Gunther powiódł wzrokiem po esesmanach.

— Ale pamiętajcie, że on jest najważniejszy. Berlin chce go mieć żywego. Przydatni mogą się również okazać agenci ruchu oporu, ale to, czy weźmiemy ich żywcem, ma drugorzędne znaczenie.

Gessler pochylił się do przodu w swoim fotelu.

— Mogą mieć przy sobie kapsułki z cyjankiem, więc element zaskoczenia ma tutaj kluczowe znaczenie — powiedział. — Najważniejsze, żeby natychmiast odebrać im broń. Postarajcie się dotrzeć tam wcześniej i wybrać dobre miejsce. Będzie świecił księżyc, według prognozy pogody noc ma być bezchmurna.

Gunther popatrzył na Syme'a.

— Mówisz, że plaża jest kamienista?

— Tak.

— W takim razie dobrze będzie się schować właśnie tam. Usłyszymy, jak się zbliżają.

Kollwitz pokiwał głową.

— Słuszna uwaga. Nie mamy pojęcia, gdzie aktualnie przebywają?

Gunther pokręcił głową.

— Mogą być wszędzie, skąd można łatwo i szybko dotrzeć na wybrzeże Sussexu. Wiemy tylko, że o wpół do pierwszej znajdą się na plaży w Rottingdean.

Hauser uśmiechnął się i uderzył potężną pięścią w drugą dłoń.

— Przypominają mi się dawne czasy w Rosji. To, jak walczyliśmy z partyzantami.

Kollwitz popatrzył na pozostałych.

— Jak radzicie sobie z bronią palną?

— Ja ćwiczę regularnie na strzelnicy — odparł z dumą Hauser. — Podobnie jak towarzysz Kapp; widziałem go.

— Ja również ćwiczę w Berlinie — powiedział Gunther. Choć nie tak regularnie, jak powinienem, pomyślał.

— Ukończyłem z wyróżnieniem kursy strzeleckie — pochwalił się Syme.

— A zatem wyskakujemy na nich, rozbrajamy i zabieramy kapsułki z cyjankiem — podsumował Gunther. — Jeśli będziecie strzelać, postarajcie się ich tylko zranić. Będziemy mówić po angielsku, żebyśmy się wszyscy rozumieli — dodał, wskazując głową Syme'a.

— Operacją dowodzi Sturmbannführer Hoth — oświadczył Gessler. — Zna tych ludzi lepiej niż ktokolwiek. Będziecie wykonywać wszystkie jego rozkazy. I pamiętajcie, że chcemy mieć Muncastera żywego. — Postukał palcem w biurko, żeby to podkreślić. — To szalenie ważne. Ten rozkaz wydał sam zastępca Reichsführera Heydrich. — Pochylił się nad biurkiem i podał rękę Guntherowi. Ten uścisnął ją. W oczach Gesslera mignął triumfalny błysk. — Powodzenia, Hoth — powiedział. — I dziękuję.



Wyjechali do Brighton o zmierzchu dwoma samochodami. W ciągu dnia w Londynie zerwał się wiatr i mgła zaczęła w końcu rzednąć. Kiedy wyjeżdżali z miasta, Gunther po raz pierwszy od kilku dni zobaczył porządnie oświetlone ulice. Ściany budynków były mokre i lśniące, okna i dachy zaparkowanych

samochodów pokrywała warstwa tłustego brudu. W wielu miejscach kobiety wyszły już z domów z wiadrami i szczotkami i myły szyby oraz schodki. Nawet ścięte lodem kałuże robiły wrażenie brudnych. Za to w witrynach sklepów sporo było świątecznych dekoracji, szyby przyprószono w rogach sztucznym śniegiem. Mijany kiosk oblepiony był plakatami ogłaszającymi *Koniec wielkiego londyńskiego smogu*.

Ponieważ nie musieli zwalniać z powodu mgły, osiągnęli niezły czas. Samochód z trzema esesmanami, którzy mieli dotrzeć do Rottingdean od wschodu, skręcił w stronę Newhaven. Na szosie przed Rottingdean czekały dwa kolejne samochody, które miały stamtąd zabrać więźniów.

Gunther siedział razem z Syme'em na tylnym siedzeniu. Prowadził Kollwitz. Włosy na karku miał przystrzyżone i wygolone w esesmańskim stylu. Gunther widział na nim zbierającą się krostę. Siedzący obok niego Syme był w pogodnym nastroju.

— Szykują już dla mnie nowe stanowisko — powiedział Guntherowi. — Będziemy mieli nową ogólnokrajową policyjną służbę wywiadowczą. MI5 zostanie z nami zintegrowane. Najwyższy czas. Kwiczą jak pieprzone świny, ale to my, a nie oni, odkryliśmy siatkę szpiegowską w służbie cywilnej. — Mówił znowu z silnym akcentem cockney, co mogło świadczyć, że jest zestresowany. Zbliżała się godzina prawdy. Za to Gunther był całkowicie spokojny. — Wygląda na to — podjął Syme, bębniąc palcami po kolanie — że nie tylko przeniosą mnie na północ, ale awansują na nadinspektora.

— To znakomicie — mruknął Gunther. Pamiętając o niedawnej rozmowie z Gesslerem, wolał nie patrzeć Anglikowi w oczy.

— Musisz przyjechać tu ponownie i złożyć mi wizytę — kontynuował Syme. — Może przylecisz latem na koronację? Co ty na to?

— Tak — odparł Gunther. — Niewykluczone.

Syme, mimo całej swojej przenikliwości, nie miał chyba pojęcia, że Gunther nigdy go nie polubił. A może było mu wszystko jedno.



Zeszli ze ścieżki na promenadę; była niewielka, miała może sto metrów długości. Nie paliły się tam żadne latarnie, jedyne światło dawał księżyc, ale oczy przywykły im do ciemności i widzieli, że promenada jest pusta. Od strony lądu widać było wysoki betonowy mur, a za nim niewielkie trawiaste wzniesienie i duży budynek, w którym, jak im powiedziano, mieścił się Hotel pod Białym Koniem. Nie paliły się w nim żadne światła. Gunther zauważył, że w betonowym

murze jest luka, przez którą biegnie stroma brukowana alejka. Za murem po drugiej stronie alejki zaczynał się olśniewająco biały klif.

Z promenady schodziło się po schodkach na kamienistą plażę. Nieopodal w morze wrzynała się betonowa ostroga. Po jej drugiej stronie zabłysło trzy razy światełko kieszonkowej latarki. Był to umówiony sygnał: trzej pozostali esesmani już tam dotarli. Gunther odetchnął z ulgą i razem z Syme'em i Kollwitzem zszedł na dół. Pod stopami chrzęściły im duże okrągłe kamyki. O cichym poruszaniu się nie było mowy. Borsig, Hauser i Kapp wyszli im na spotkanie zza ostrogi. Oni również mieli na sobie ciężkie, czarne stroje. Kapp uśmiechnął się i w ciemności błysnęły jego białe zęby: najwyraźniej świetnie się bawił.

— *Heil Hitler* — powiedział cicho. W Berlinie Goebbels rozkazał właśnie, by w narodowym pozdrowieniu w dalszym ciągu używano nazwiska Hitlera.

— I *Heil Himmler* — dodał mimo to Kollwitz.

— Cisza i spokój? — zapytał Gunther.

— Tak. Szliśmy ścieżką z Saltdean. Wysiadając z samochodu, widzieliśmy kobietę, która szła z psem na spacer wzdłuż klifu i obserwowała morze. Prawdopodobnie z ruchu oporu. Ale nie mogła nas usłyszeć ani zobaczyć, kiedy szliśmy ścieżką na dole. Jesteśmy tu już od pół godziny. Nikt się nie pokazał.

— Za zimno na romantyczny spacer — mruknął Kapp.

Gunther pokiwał głową. Nikt przy zdrowych zmysłach nie włączyłby się tutaj w tę chłodną noc. Zadrzał, czując, jak przenika go na wskroś wiejąca od morza bryza, która była tutaj trochę silniejsza. Nadal trwał przypływ, cienka kreska syczącego cicho przyboju była zaskakująco blisko. Zerknął na zegarek. Pięć po jedenastej.

Syme również patrzył na morze.

— Na pewno nie zobaczą nas tutaj z okrętu podwodnego? — zapytał.

— Są prawie dwa kilometry od brzegu — odparł Kollwitz. — Moim zdaniem przez peryskop widzą tylko ciemną przerwę między klifami. Poza tym, nawet jeśli zobaczą, jak aresztujemy Muncastera, zanurzą się i uciekną. Nie będą chcieli ryzykować poważnego incydentu dyplomatycznego.

— Coś znaleźliśmy — powiedział Borsig. — Chodźcie zobaczyć.

Poprowadził ich wzdłuż betonowej ostrogi. Prawie przy samym brzegu zobaczyli masywny kształt przykryty ciężką szarą plandeką. Borsig i Kapp unieśli ją; pod spodem była odwrócona do góry dnem łódź wiosłowa.

— Zmieści się sześć osób. Są pod nią wiosła. To łódź, której zamierzają użyć — oświadczył z triumfem Kapp.

— Zgadza się — odparł Gunther, zerkając na plażę i ścieżkę, którą wkrótce mieli zejść po chrzęszczących kamieniach Brytyjczycy.

— Jeśli my trzej wejdziemy pod łódkę, a pozostała trójka schowa się pod brezentem między łódką i ostrogą, wtedy wpadną nam prosto w ręce — powiedział Borsig.

Gunther uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Tak, to idealne rozwiązanie. Kto schowa się pod łódką?

— Pan, Syme i Kapp — zaproponował Borsig. — Kapp i Syme są najszczuplejsi. Jeśli odgarnie pan trochę kamyków, zobaczy pan, jak tamci się zbliżają, i będzie mógł dać rozkaz do ataku. Kiedy zejdą na plażę, wszyscy usłyszymy, że idą, więc proponuję, żeby zapukał pan w bok łodzi. Wtedy pchniemy ją na nich, wy od środka, a my z tyłu. To ich kompletnie zaskoczy. A my wyskoczymy i zanim się zorientują, wyłapiemy ich co do jednego.

— Tak, to brzmi rozsądnie. — Gunther popatrzył na Borsiga i Kollwitza. — Urządzaliście już wcześniej podobne zasadzki?

— Owszem, na Wschodzie.

— Ja też, w gestapo. Ale tylko w miastach, na ogół przeciwko cywilom. Będę wdzięczny za wskazówki.

— Proszę bardzo. Teraz podnieśmy łódkę do góry.

— Cholernie tu zmarzniemy — zauważył Syme.

— To drobiazg — odparł Kollwitz. — Niech pan spróbuje czekać w zasadzce podczas rosyjskiej zimy.

Ściągnęli plandekę i złapali za burty łódki. Była duża i ciężka, ale Borsig i Kollwitz unieśli ją bez trudu. Kapp i Syme wślizgnęli się pod spód i odsunęli na bok leżące na kamykach wiosła. Kładąc się na ziemi i wczołgując pod łódź, Gunther czuł, jak buntują się jego mięśnie.

— Dam sygnał, kopiąc w bok łodzi — powiedział. — Jest ciężka. Wy trzej musicie ją mocno pchnąć do góry.

Odgarnawszy kamyki, zdołał zrobić niewielką szparę, przez którą, leżąc płasko na brzuchu, widział ścieżkę na plażę i ciemną lukę w promenadzie. Pod łódką było kompletnie ciemno i cuchnęło mocno wodorostami. Stopy już teraz miał zmarznięte na kość. Leżący obok niego Syme wiercił się, wbijając mu kościsty łokieć w żebra. Ten człowiek nigdy nie mógł usiedzieć spokojnie w miejscu.

— Nie ruszaj się, na litość boską — szepnął. — Usłyszą chrzęst kamieni, jeśli będziesz się wiercił.

— Dobrze, przepraszam.

Gunther zdjął z ręki zegarek i położył go przy twarzy. Na jego podświetlanym cyferblacie widniała 11.45. Do nadejścia grupy Muncastera zostały jeszcze trzy kwadransy.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Po odprawie z Bertem David zszedł z powrotem do pustej bawialni. Siedząca w recepcji Jane posłała mu niespokojne spojrzenie, kiedy ją mijał.

Usiadł w fotelu i wyjrzał przez okno. Co miał robić? Rozsądek, poczucie przyzwoitości i żywione od dawna głębokie uczucie mówiły mu, że powinien zostać z Sarah. Jeśli będzie go nadal chciała. Ale to Natalia oferowała mu emocje i szansę na coś nowego. Co więcej, była kimś, kto rozumiał jego przeszłość, jego prawdziwe korzenie.

Po jakimś czasie wrócił na górę, do pokoju, który z nią dzielił. Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Miał wrażenie, że Natalia jest w środku, ale nie słyszał żadnego dźwięku, żadnej odpowiedzi na swoje pukanie. Nagle otworzyły się drzwi do sąsiedniego pokoju i stanęła w nich jego żona.

— Sarah.

Odwróciła się i weszła z powrotem do środka, ale nie zamknęła drzwi. Wszedł do jej pokoju. Sarah usiadła na łóżku i zmierzyła go ponurym spojrzeniem.

— Proszę, nie mów znowu, że ci przykro. Chyba tego nie zniosę.

David zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami.

— Cóż innego mogę powiedzieć?

— Nic — odparła, kręcąc głową. — Nic.

— Jeśli chodzi o to, że jestem Żydem, po tysiąc dziewięćset czterdziestym musiałem to trzymać w tajemnicy. Szczególnie po urodzeniu się Charliego.

— Powinieneś mi powiedzieć, Davidzie. To byłby dla mnie szok, byłabym zaskoczona, nie twierdzą, że nie, ale to nic by między nami nie zmieniło. I mogłabym cię wesprzeć. — Spojrzała na niego. — A to był dopiero początek kłamstw. Jeśli mnie w ogóle kiedykolwiek kochałeś. To skończyło się po śmierci Charliego, prawda? — dodała, świdrując go oczyma.

— Nie. Ale jego śmierć spowodowała, że oddaliliśmy się od siebie. Nie wiem dlaczego. A później, kiedy wstąpiłem do ruchu oporu, dręczyło mnie poczucie winy, że znowu cię okłamuję. To jeszcze bardziej pogorszyło sytuację. — David złapał się dwoma palcami za grzbiet nosa i mocno go ścisnął. — Byłem rozpieszczonym dzieckiem i wyrosłem na samolubnego mężczyznę.

— Wierzysz w obowiązek, w to, że trzeba się poświęcać — powiedziała cicho. — Zawsze cię za to podziwiałam. Ale nie chcę, żebyś został ze mną z obowiązku. I nie wiem, czy zdołam ci jeszcze kiedykolwiek zaufać.

David pomyślał o swoim kolejnym sekrecie, o Natalii. Biedna Sarah niczego się nie domyśliła. Nawet teraz tego nie dostrzegła. Wziął głęboki oddech.

— Nie powiedziałaś, czy mnie jeszcze kochasz.

— To chyba nie wystarczy.

David zamknął oczy, a ona westchnęła i wstała z łóżka.

— Nie możemy o tym teraz dyskutować, Davidzie. To właśnie chciałam ci powiedzieć. Jane bardzo się niepokoi. Cokolwiek później się zdarzy, teraz musimy się skoncentrować, żeby przeżyć tę noc. Jesteśmy to winni innym.

— Znowu obowiązek... — mruknął, uśmiechając się półgębkiem.

— Tak, obowiązek. A teraz powinieneś już chyba iść.

Wyszedł na korytarz. Drzwi do pokoju Natalii były nadal zamknięte, więc zszedł z powrotem do saloniku, usiadł w fotelu i zaczął się gapić na pustą ulicę. Uderzyło go, że po raz pierwszy to Sarah grała pierwsze skrzypce w ich związku.



O ósmej Jane poprosiła ich wszystkich do jadalni na kolację. Sarah leżała w łóżku, czytając powieść Agathy Christie i starając się o niczym nie myśleć. Wzięła głęboki oddech i zmobilizowała się, by pójść na dół. Pozostała czwórka — David, Frank, Szkot oraz kobieta ze słowiańskim akcentem — siedziała już przy jednym ze stołów. Bert siedział obok, czytając „Daily Express”. Kiedy podeszła do stołu, Ben rzucił żartem, że ich następnym posiłkiem będzie jakaś amerykańska potrawa na pokładzie okrętu podwodnego.

Jane podała gulasz wołowy z ziemniakami i brukselką, gorący i pożywny, ale podobnie jak wszystko, co Sarah jadła w hotelu, pozbawiony smaku.

— Piszą tutaj — powiedział Bert, unosząc wzrok znad gazety — że Goebbels zwołuje konferencję wszystkich wyższych oficerów armii. Himmler i Heydrich nie są zaproszeni. Wygląda na to, że między nazistami naprawdę zaczynają się podziały.

— I piszą o tym w „Daily Express”? — zdziwił się Ben. — Przecież to gazeta Beaverbrooka. Normalnie nie mogą przestać powtarzać, jak silni i zjednoczeni są nasi niemieccy sojusznicy.

— Cóż, nasz rząd chce, żeby Goebbels zakończył wojnę w Rosji. Nawet Mosley wie, że jest nie do wygrania.

— Myślicie, że naprawdę może do tego dojść? — zapytał Frank. — Do jakiejś wojny domowej w Niemczech?

David wcześniej w ogóle się nie odzywał, ale teraz podniósł wzrok.

— Tak. Hitler trzymał w rękach całą władzę. Zawsze zachodziło ryzyko, że po jego śmierci wszystko się rozpadnie. Twierdził, że Trzecia Rzesza będzie istnieć tysiąc lat i ludzie mu wierzyli, ale czy jakiegokolwiek imperium trwało kiedyś tak długo? Nawet cesarstwo rzymskie tyle nie istniało. Większość imperiów rozpada się po kilkuset latach, niektóre jeszcze szybciej.

— Jak na przykład imperium brytyjskie — zauważył cicho Ben.

— Owszem — zgodził się ze smutkiem David.

— Przypuszczam, że w gazecie nadal nic nie ma o Żydach? — spytał Ben, zwracając się do Berta.

— Nie. Ale słyszałem, że plany ich przewiezienia na wyspę Wight, a potem do Niemiec, są odłożone na czas nieokreślony.

— Przecież obaj, Goebbels i Himmler, nienawidzą Żydów tak samo mocno jak Hitler. To jedyna rzecz, co do której ci dranie są zgodni.

— Rząd brytyjski czeka na to, co się wydarzy — powiedziała Natalia. — Jeśli w Niemczech dojdzie do załamania, a Wielka Brytania będzie chciała zbliżenia z Ameryką, lepiej mieć Żydów żywych. To będzie argument przetargowy. Mgła stała się pretekstem, żeby odłożyć transporty na później. Przyszła w odpowiednim momencie. Wtedy, kiedy Żydzi przebywają jeszcze w obozach internowania. Przy tej pogodzie musi im być strasznie zimno, muszą marznąć — dodała z przejęciem.

Sarah spojrzała na nią. Nie lubiła Natalii, uważała ją za chłodną i bezwzględną, dlatego zaskoczyły ją jej ostatnie słowa.

Jane weszła z tacą, na której stał parujący pudding i custard.

— Oni różnią się od nas, nie są lojalni wobec Anglii — powiedziała, nakładając im porcje.

Bert spiorunował żonę wzrokiem.

— Myślałem, że wybiłaś już sobie z głowy te bzdury, kobieto. Kiedy Żydzi byli nielojalni wobec tego kraju? A mówiąc, że różnią się od nas, masz na myśli, że w ich żyłach nie płynie angielska krew?

— Nie, przepraszam, ja tylko... — Jane urwała, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— W moich żyłach też nie płynie angielska krew — odezwał się Ben z silnym akcentem z Glasgow, próbując poprawić atmosferę.

— Przepraszam, powinienem powiedzieć „brytyjska”, nie „angielska”...

— Nie przejmuj się — odparł ze śmiechem Ben. — Nie spędza mi snu z powiek to, jaka krew płynie w moich żyłach. Chociaż szkoccy nacjonaści

ostro by cię skarcili za to przejęzyczenie. Właśnie przez całe to zawracanie głowy związane z pochodzeniem i dziedzictwem krwi Europa pogрузyła się w tym szambie — dodał, spoglądając znacząco na Jane.

— Przepraszam. Cieszę się, że ich nie deportowali. To, co z nimi robią, jest złe. I ma pani rację. — Jane spojrzała na Natalię. — Tym biedakom musi być strasznie zimno w barakach czy gdziekolwiek ich trzymają. Chodzi o to, że wychowywano mnie w niechęci do Żydów.

— Tam, gdzie wysłano by ich na Wschód, jest jeszcze zimniej — zauważyła Natalia. — Chociaż nie marzliby zbyt długo.

Frank spojrział na nią.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wierzę, że prawdziwe są pogłoski, że zabijają ich w obozach zagłady. — Natalia popatrzyła na Davida i wymienili między sobą spojrzenia. I w tym momencie Sarah zorientowała się, że David powiedział jej, że jest Żydem, i zobaczyła na ich twarzach dokładnie to, co ich łączyło. Wbiła szybko wzrok w talerz, ale nie mogła wziąć do ręki łyżeczki, nie mogła jeść. Gwałtownie wstała od stołu.

— Nie czuję się zbyt dobrze. Pójdę na górę — powiedziała.

— Co się stało? — zapytał David.

— Niedobrze mi. Myślę, że to na tle nerwowym. Żołądek podchodzi mi do gardła. Położę się na chwilę, może mi się polepszy.



Ostatnia tajemnica. To koniec. Sarah żałowała, że nie może wybiec z hotelu i wrócić do Londynu, do Irene, do swojej matki i ojca. Pomyślała o opustoszałym domu i wyobraziła sobie tam nagle Charliego, małego samotnego upiora błakającego się po pustych pokojach. Nie mogła przestać płakać, ale robiła to cicho, żeby nie usłyszeli jej inni.



Ku swojemu zaskoczeniu, pewnie dlatego, że była u kresu sił, w końcu zasnęła. Kiedy Ben zapukał do jej drzwi, było ciemno. Powiedział, żeby zeszła na dół i wzięła udział w ostatniej odprawie. Dochodziła dziesiąta. Zebrali się w kantorku za recepcją. David posłał jej uśmiech, ale ona nie była w stanie go odwzajemnić. Frank i Ben zauważyli to i wymienili między sobą spojrzenia.

Natalia bacznie obserwowwała Davida i Sarah, na jej twarzy nie malowały się żadne uczucia. Obawia się, żeby nie doszło między nimi do jakiegoś wybuchu, pomyślała Sarah. Nie wolno mi do tego dopuścić, muszę nad sobą panować.

Bert i Jane oświadczyli, że w Rottingdean panuje spokój, akcja nie została odwołana. Prognoza pogody mówiła, że noc będzie jasna i zimna. A potem Bert podszedł do sejfu w ścianie i wyjął z niego dwa pistolety. Sarah wzdrygnęła się na ich widok. Przypomniała sobie ojca, pistolet, który miał podczas wielkiej wojny. Bert podał jeden z nich Benowi.

— Wiesz, że mam już jeden? — zapytała Natalia.

— Tak. — Bert popatrzył na Davida. — Umie pan obchodzić się z bronią? — zapytał.

— Brałem udział w kampanii norweskiej, nie pamięta pan? — David wziął do ręki pistolet i dokładnie go obejrzał. — Dam sobie radę — powiedział i pewnym ruchem schował go do kieszeni.

Bert spojrział na Sarah.

— A pani?

— Nie mogę — odparła, kręcąc głową. — Zresztą i tak nie wiedziałabym, jak się nim posługiwać. — Odetchnęła głęboko i wyciągnęła z kieszeni kapsułkę, którą David dał jej wcześniej. — Ale w razie potrzeby skorzystam z tego — dodała.

— Wszyscy musimy to zrobić — mruknął cicho Ben.

— Czy jest coś jeszcze, co powinniśmy przedyskutować przed wyjściem? — spytała Natalia, omiatając ich wzrokiem i zatrzymując spojrzenie na Sarah. — Od tej chwili musimy być całkowicie skoncentrowani na akcji, na tym, żeby się stąd wyrwać.

Sarah pokiwała głową.

— Wiem — powiedziała i po raz kolejny wzięła głęboki oddech. — Jestem gotowa.



Wyszli z hotelu o wpół do jedenastej i wsiedli do samochodu. Minęli Pavilion, którego kopuła odcinała się na tle rozgwieżdżonego nieba, i wyjechali z Brighton na północ. Natalia prowadziła, Ben zajął miejsce przy niej. David siedział z tyłu, Frank między nim i Sarah.

Jechali przez puste, pokryte szronem pola. Przez jakiś czas panowało milczenie.

— W wiadomościach mówili, że w Londynie skończyła się mgła — powiedział w końcu Ben. — Ale w szpitalach jest pełno ludzi z bronchitem i astmą. Na targach bydła w Smithfield pozdychały zwierzęta. Więcej było o tym niż o wydarzeniach w Niemczech. Piszą tylko, że władzę objął Goebbels. Jutro mają wiać silne wiatry, w Szkocji będzie śnieżycy.

— Chodziłem tam do szkoły — powiedział cicho Frank.

Sarah spojrzała na niego. Był bardzo blady i wystraszony, ale spokojny. Nie sprawiał wrażenia pomyłonego, chociaż było w nim coś dziwnego, niezrównoważonego.

— A potem zaczął pan studia w Oksfordzie i poznał Davida? — zapytała łagodnie. Potrafiła sobie wyobrazić Davida biorącego Franka pod swoje skrzydła, opiekującego się nim.

— Tak. Przykro mi, że wciągnąłem was oboje w to szaleństwo.

— Sam zostałeś w nie wciągnięty przypadkowo — powiedział David. — Chociaż to po prostu fragment większego szaleństwa, które ogarnęło cały kraj i cały świat, prawda?

Frank spojrzał mu prosto w oczy.

— Jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem — stwierdził nagle.

— Daj spokój, Frank — odparł żartobliwym tonem David. — Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

Frank odwrócił się do Sarah. Jego oczy lśniły w ciemnym wnętrzu samochodu.

— Nie, to prawda i mam może ostatnią szansę, żeby to powiedzieć. Twój mąż jest dobrym człowiekiem. Opiekuje się ludźmi, chroni ich. Ze świecą takich szukać.

W samochodzie znowu zapadła cisza. Po jakimś czasie skręcili na południe, z powrotem w stronę morza.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Wjechali do Rottingdean, mijając kilka dużych domów, wiejskie błonia z zamarzniętym stawem oraz zwieńczony krzyżem wysoki pomnik ku czci poległych. Na wzgórzu po prawej stronie Frank zobaczył wielki wiatrak odcinający się na tle gwiaździstego nieba. Po lewej stronie stał stary kościół. Przypomniał sobie dzielnego i miłego pastora w Londynie; gdyby nie on, błąkałby się we mgle, aż by go złapali, a wtedy... przeszedł go zimny dreszcz.

Przy domach stało już kilka samochodów. Natalia zaparkowała cicho między dwoma. Powietrze było mroźne. Paliło się kilka latarni, ale w pobliżu nie było widać żywego ducha i we wszystkich budynkach panowała ciemność.

Natalia zakazała im się odzywać i ruszyli w ślad za nią, starając się możliwie cicho stawiać kroki. Idąc obok Davida, Frank czuł, jak wali mu serce. Za nimi szli Ben i Sarah, Natalia prowadziła pochód. Skręcili w wąską uliczkę ze sklepami po obu stronach. Witryny ozdobione były świątecznymi dekoracjami. U wylotu ulicy na powierzchni morza migotała księżycowa poświata.

Frank przypominał sobie swoją popołudniową rozmowę z Natalią. W jej pokoju, zacinając się, poprosił, żeby dała Davidowi szansę odbudować swoje małżeństwo.

Bał się, że Natalia potraktuje go obcesowo lub z pogardą, ale jego obawy się nie sprawdziły.

— Nic z tego nie rozumiesz — powiedziała łagodnym, lecz stanowczym tonem.

— Przypuszczam, że pod pewnymi względami to prawda — odparł. — Ale widzę, że Sarah go kocha, mimo że jest teraz taka wściekła. I on nadal żywi do niej uczucia, na pewno.

Natalia zapaliła papierosa i przechyliła głowę.

— A może do mnie żywi większe uczucia niż do niej?

— Pomyśl o poczuciu winy, które będzie go dręczyć, jeśli porzuci ją w Ameryce. David nie zapomina ludzi. Nie zapomniał o mnie, kiedy poprosiłaś go, żeby wyciągnął mnie ze szpitala.

Natalia uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Jesteś taki podobny do mojego brata. Problem z tobą nie polega na tym, że nie rozumiesz różnych rzeczy, ale że za dużo rozumiesz. Jednak musisz pozwolić, żebyśmy to ja i David postanowili, co robić.

— Wiem — powiedział cicho.

Natalia skrzyżowała ręce na piersi i przez chwilę patrzyła w zadumie przez okno. W końcu z powrotem się do niego odwróciła.

— Proszę, nie rozmawiaj o tym z innymi. Musimy się teraz wszyscy skoncentrować na naszej ucieczce.

— Dobrze — odparł i wziął głęboki oddech. — Ale jest coś jeszcze, o co chciałem cię prosić. W związku z dzisiejszą nocą.



Natalia skręciła w małą uliczkę, przy której stało kilka kamiennych domków, i podeszła do drugiego z nich. Jak wszystkie mijane przez nich wcześniej budynki pogrążony był w ciemności, lecz kiedy podeszła bliżej, drzwi lekko się uchyliły. Ktoś ich obserwował.

— Aztek — podała szeptem hasło misji.

Drzwi otworzyły się szerzej i Natalia weszła do środka. Pozostali wślizgnęli się w ślad za nią. Przez chwilę otaczała ich ciemność. A potem zapaliło się światło i zobaczyli, że znajdują się w małej izbie z poobijanymi meblami. Na kominku stały fotografie. Pośrodku czekał krępy czterdziestoletni mężczyzna w grubym niebieskim swetrze. Miał pooraną zmarszczkami, ogorzałą twarz i zarost na policzkach, ale jego małe, ciemne oczy były czujne i przenikliwe, gdy im się przyglądał.

— Były jakieś problemy? — zapytał cicho. Miał głęboki głos i silny wiejski akcent.

— Żadnych — odparła Natalia.

— Widzieliście kogoś?

— Nikogo.

— Chodźcie do kuchni.

Weszli za nim do drugiego nieposprzątanego pomieszczenia. W środku pachniało mocno rybami. Mężczyzna zasunął brudne zasłony i wskazał im stół, do którego dostawione były drewniane krzesła i dwa stołki.

— Siadajcie — powiedział, po czym usiadł razem z nimi przy stole i splótł sękate dłonie. — W porządku. Podajcie mi swoje imiona.

Zrobili to.

— Ja mam na imię Eddie. Jestem rybakiem. Popłynę z wami do okrętu podwodnego. Mam starą dużą łódź wiosłową. Zostawiłem ją na plaży. Ktoś z was będzie musiał mi pomóc, mamy do przepłynięcia mniej więcej dwa kilometry. Znam współrzędne i dam czerwoną latarką sygnał, kiedy zbliżymy się do okrętu. Na pewno go dostrzeżecie, kiedy tam dopłyniemy; jest wielki. Spodziewają się nas o pierwszej w nocy. Musimy wypłynąć o wpół do pierwszej. Teraz jest dopiero wpół do dwunastej, więc mamy mnóstwo czasu. — Eddie wskazał głową ciemne kuchenne okno i po raz pierwszy się do nich uśmiechnął, pokazując braki w uzębieniu. — Kiedy wypłyniemy, będziemy musieli uważać, żeby nie wpaść na stare zatopione moło — dodał. — Mam dla was nowe ubrania, ciepłe i ciemne. Będziecie ich potrzebowali, na morzu jest bardzo zimno. Rozumiecie?

Wszyscy pokiwali w milczeniu głowami.

— Nasi ludzie od rana patrolowali klify z lornetkami. Nie zaobserwowali na morzu niczego podejrzanego. A w wiosce przez cały dzień panował spokój. — Eddie jeszcze raz bacznie im się przyjrzał, podobnie jak większość ludzi, zatrzymując dłużej wzrok na Franku. — Czy wszyscy są gotowi?

— Tak — odparła Natalia.

— Czy ktoś z was ma wprawę w wiosłowaniu?

— Należałem do drużyny wioślarskiej w Oksfordzie — powiedział David. — Od tamtego czasu nie miałem zbyt wiele okazji wiosłować, ale takich rzeczy się nie zapomina.

— Świetnie. — Eddie wziął lornetkę i zawiesił ją sobie na szyi. — W takim razie idźcie na górę się przebrać. Mężczyźni w pokoju po lewej, kobiety po prawej.

Wspięli się na piętro. W małej izdebce Frank, David i Ben włożyli grube swetry i spodnie, wysokie buty i czapki z daszkiem. Kiedy się ubrali, Ben przekrzywił na bakier czapkę i wyszczerzył zęby.

— No i co, moje złotka? — zapytał, naśladowując akcent Długiego Johna Silvera.

David uśmiechnął się lekko i spojrzał na Franka.

— Uda nam się — zapewnił go. — Już prawie się udało.

Frank pokiwał głową.

— Odkąd tu przyjechaliśmy, prawie się nie odzywasz — zauważył David. — Na pewno dobrze się czujesz?

— Tak — odparł cicho Frank.



Wyszli z powrotem na dwór. Eddie szedł pierwszy. Przez chwilę podążali w milczeniu główną ulicą, a potem na dany przez niego sygnał przebiegli przecinającą ją pod kątem prostym nadmorską drogę. Po przeciwnej stronie stał hotel z szyldem, który kołysał się, skrzypiąc w podmuchach wiejącej od morza bryzy. Obok zaczynała się okolona wysokimi betonowymi murami brukowana alejka, która schodziła stromo ku morzu. Ruszyli nią w ślad za Eddiem. Na dole była promenada ograniczona z obu stron przez klify.

— Zaczekajcie chwilę, aż oczy przywykną wam do ciemności — powiedział Eddie. — Rozejrzę się.

Oddalił się, zostawiając ich przy wylocie ścieżki. Jedyne światło dawała połówka księżycy, rzucająca na morze długą smugę srebrzystego światła. Patrząc na swoich towarzyszy, Frank poczuł się nagle od nich dziwnie oddalony, jakby cała ta historia nie miała z nim nic wspólnego. Przypomniał sobie swoje mieszkanie w Birminghamie. Wiedział, że nigdy go już nie zobaczy. Mało go to obeszło.

Usłyszał, jak Sarah odzywa się cicho do Davida:

— Przyszła mi na myśl pani Templeman. Nie wiem dlaczego. Zastanawiam się, co by o tym wszystkim sądziła.

— Na pewno uznałaby, że słusznie postępujemy.

— A Charlie?

— Dla niego byłaby to wielka przygoda — rzekł łamiącym się głosem David.

Eddie wrócił do nich.

— Wygląda na to, że wszystko w porządku — powiedział. — Przetniemy promenadę i zejdziemy po stopniach na plażę. Chodźcie za mną. Powoli, gęsiego, nie spieszcie się.



David patrzył, jak Ben idzie za Eddiem w stronę promenady. Następny był Frank, za nim Sarah. Miał już zamiar pójść za nią, gdy poczuł na ramieniu dłoń Natalii. Obejrzał się. W ciemności nie widział dobrze jej twarzy, ale wydawała się poważna i zatroskana.

— Posłuchaj, Davidzie — powiedziała szybko. — Mamy tylko chwilę. Nie płynę z wami.

Popatrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem.

— O co ci chodzi? Musisz...

— Nie chcę płynąć do Ameryki. To nie tam toczy się walka. To, co ważne, dzieje się tu, w Europie. Nadchodzi w końcu przesilenie. Chcę w tym uczestniczyć. Wracam do Londynu. A ty... twoje miejsce jest przy żonie.

— Ale dlaczego...

Natalia przystawiła palec do jego ust. Smakował słonym powietrzem. Jej brązowe włosy powiewały na wietrze.

— Twój przyjaciel Frank odbył ze mną rozmowę. — Natalia cierpko się uśmiechnęła. — To przeważało szalę. Poza tym... nigdy już nie potrafiłabym prowadzić spokojnego życia, nawet z tobą. Za każdym razem, kiedy myślałam, że mam taką szansę, nic z tego nie wychodziło.

Od strony promenady słychać było kroki; inni na pewno niepokoili się, co ich zatrzymało.

— Od tej chwili to Ben dowodzi operacją — oznajmiła Natalia. Złapała Davida za ramiona i szybko go pocałowała. Zobaczył łzy, które lśniły w jej skośnych oczach. — *Ich hob dich lieb* — szepnęła.

David przytrzymał ją.

— Co powiedziałaś?

— To samo, co powiedziała ci matka. To znaczy: Kocham cię. Wybacz, że nie powiedziałam ci tego wcześniej. *Ich hob dich lieb*, Davidzie.

Natalia odwróciła się i ruszyła szybkim krokiem pod górę. Po chwili zniknęła z pola widzenia w grubym ciemnym ubraniu. Chwilę później stanął przy nim Ben. Rękę miał w kieszeni, w której trzymał pistolet.

— Co się tu, kurwa, dzieje? — syknął.

— Chodzi o Natalię — odparł David. — Nie płynie z nami, zostaje tutaj.

— Jezu. — Ben przez chwilę się wahał, spoglądając w górę ścieżki.

— Powiedziała, że ty teraz dowodzisz. Chodź — rzekł cicho David. — Nie znałem nawet jej nazwiska — dodał łamiącym się głosem.

— Nikt go nie znał.



Zaraz potem u wylotu ścieżki pojawiła się Sarah, a obok niej Frank i Eddie.

— Co się stało? — zapytał zaniepokojony Eddie.

— Natalia zostaje — wyjaśnił Ben.

Sarah spojrzała na męża.

— Dlaczego?

— Nieważne — mruknął Ben. — Odeszła. Teraz ja dowodzę. Idziemy.

Cała piątka przecięła promenadę i trzymając się metalowej śliskiej poręczy, zeszła po kamiennych schodkach. Linia szumiącego przyboju była zaskakująco blisko, trwał przypływ. Eddie wskazał oddaloną o dwadzieścia metrów dużą betonową ostrogę.

— Łódź jest tam — powiedział cicho. — Podejźmy i obrócimy ją dnem do dołu. Jest kwadrans po dwunastej.

Stąpając po chrzęszczących kamykach, pokonali niewielki dystans. Po ciemku trudno było zachować równowagę. Sarah o mało się nie poślizgnęła i David złapał ją za ramię. Skinęła mu z wdzięcznością głową.

I nagle rozpętało się piekło. Łódź przechyliła się na bok, przewracając na ziemię Eddiego i Bena. Dokoła zaroilo się od ciemnych postaci. Silne dłonie złapały Davida za ręce, wykręcając je do tyłu. Rozglądając się desperacko, zobaczył, że Sarah i Frank zostali w podobny sposób obezwładnieni. Trzymali ich mężczyźni w czarnych strojach i czarnych kominiarkach, z zaczernionymi węglem twarzami. Czwarty mężczyzna szarpał Eddiego, próbując podnieść go z ziemi. Kolejny zmagął się z Benem. Ben był silny, ale tamten okazał się silniejszy i chwilę później Szkot również stanął z wykręconymi do tyłu rękoma.

Szósty z napastników był tęższy od innych. Stał przy łodzi, rozglądając się.

— Jednej osoby brakuje — powiedział z niemieckim akcentem. — Tej kobiety z ruchu oporu. — Podszedł do Davida i skinął mu głową. — Witam, panie Fitzgerald. Poznaje pana z fotografii. Gdzie ona jest?

— Kto?

— Druga kobieta, która powinna wam towarzyszyć.

— Nie przyjechała — odparł David.

Niemiec zdjął kominiarkę i zmarszczył czoło.

— W takim razie, kto wami dowodzi?

— Ja dowodzę, ty pierdolona nazistowska cipo — warknął Ben.

Trzymający go wysoki chudzielec wykręcił mu mocniej ręce i Ben krzyknął z bólu.

— Komunistyczny pomiot — warknął chudzielec i David zdał sobie sprawę, że to Brytyjczyk. Eddie i Frank stali bez ruchu. W oczach Eddiego płonął gniew, ale Frank wpatrywał się w morze i wydawał się nieobecny duchem. Tego właśnie przez cały czas się obawiał, pomyślał David. I miał rację. Nie udało nam się go jednak uratować.

— To ten człowiek przesłuchiwał mnie w Senate House — powiedziała Sarah. — Uważaj na niego, Davidzie!

David przyjrzał się twarzy Niemca. Pod smugami węgla wydawała się pulchna i nabrzmiała, ale usta zaciśnięte były w wąską kreskę, a oczy przenikliwe i bezwzględne.

— Kto nas zdradził? — zapytał David.

Niemiec uśmiechnął się.

— Udało mi się przekonać pańskiego przyjaciela Geoffreya Draxa, żeby udzielił mi kilku informacji. Przede wszystkim jednak doszedłem do wszystkiego sam, posiłkując się materiałami z nasłuchu radiowego.

— Przekonać Geoffa? Mój Boże. On żyje?

— Chyba już nie. Został śmiertelnie ranny. Przykro mi, był dzielny. — Niemiec podszedł do Franka. — Pamięta mnie pan, doktorze Muncaster? — zapytał cicho.

— Tak — odparł tak samo cicho Frank.

— I pamięta pan pewnie inspektora Syme'a, który odwiedził pana ze mną w szpitalu — dodał Gunther, wskazując wysokiego chudzielca, który trzymał Bena. — Muszę przyznać, że nauganialiśmy się za panem. To z pewnością były dla pana ciężkie chwile, musiał pan żyć w wielkim napięciu — powiedział ze współczuciem.

David zdał sobie sprawę, że Niemiec urabia już Franka przed przesłuchaniem.

Gunther westchnął.

— Już po wszystkim, Frank. Staraleś się, jak mogłeś. Odpręż się, teraz będziesz tylko musiał z nami trochę pogadać, kiedy przewieziemy cię do Londynu. To wszystko, czego od ciebie chcemy. Przytrzymajcie ich, kiedy będą ich rewidował — zwrócił się do swoich kolegów, po czym metodycznie przeszukał więźniów. Znalazł broń Bena i Davida i przekazał ją Kollwitzowi i Kappowi. Wyjął im również z kieszeni kapsułki z cyjankiem. Położył je na dłoni i spojrzał na Franka.

— Ty nie masz czegoś takiego? — zapytał.

Frank pokręcił głową.

— Pewnie bali się, że skończy z sobą przy pierwszej nadarzającej się okazji. Podobnie jak to zrobił wtedy w szpitalu — rzucił kpiącym tonem Syme.

— To prawda? — zapytał Gunther, zwracając się do Bena.

— Tak. — Ben spojrzał na Franka. — Przepraszam, chłopie.

Frank odwrócił w bok głowę i przełknął ślinę.

— Nie ma za co — mruknął.

— No dobrze, zwiążcie ich — rzucił z werwą Gunther. — Zaczynajcie od niej — dodał, wskazując Sarah. — Niech pani nie próbuje żadnych numerów, pani Fitzgerald, bo panią zastrzelę — powiedział, wyjmując pistolet. — Można panią spisać na straty. Widzę, że ufarbowała pani włosy. Wy z ruchu oporu jesteście zawsze tacy metodyczni. Niech pani trzyma ręce z tyłu — rozkazał i wyjął z kieszeni kilka zwojów mocnego drutu.

Kiedy ją związał, trzymający Sarah Niemiec pchnął ją brutalnie na ziemię i cofnął się. Gunther podszedł do Eddiego, który nie powiedział do tej pory ani słowa.

— Mój ojciec i wuj zginęli podczas wielkiej wojny, są pochowani we Flandrii — odezwał się, kiedy Gunther związał mu ręce. — Cieszę się, że zabrali na tamten świat kilku waszych.

Trzymający Eddiego Niemiec uderzył go mocno w głowę i pchnął na ziemię obok Sarah. Gunther spojrział na Franka, Davida i Bena stojących z wykręconymi do tyłu rękoma.

— Teraz on — powiedział, wskazując Franka.

David zobaczył, że Frank drży i kurczowo łapie oddech. Gunther wycelował z pistoletu w jego nogi.

— Nie zabiję cię, bo potrzebujemy cię żywego. Ale jeśli spróbujesz uciec, przestrelę ci kolano — zagroził.

David patrzył, jak trzymający Franka wysoki Niemiec puszcza jego ręce i bierze zwój drutu od Gunthera. Jeszcze tylko ja i Ben, pomyślał, i będzie po nas. Facet, który go trzymał, nachylił mu się do ucha.

— Byłem ze Sturmbannführerem Hothem, kiedy przesłuchiwał twojego przyjaciela, Draxa — szepnął. — Jest taki subtelny. To prawdziwy mistrz.

David spojrział na Sarah i Eddiego, którzy leżeli na kamienistej plaży pilnowani przez dwóch Niemców.

Nagle rozległy się dwa strzały, odbijając się głośnym echem od klifów. Dwaj Niemcy zachwiali się i padli, jeden na kamyki, drugi na skrzepowanych Sarah i Eddiego. David zobaczył, jak oboje zalała struga krwi. Gunther odwrócił się na pięcie.

— Schowajcie się za więźniami! — wrzasnął do swoich ludzi.

Davida ustawiono obok Franka i Bena. Wszyscy trzej stali teraz twarzami do promenady, tworząc ludzką tarczę, za którą kryli się trzymający ich trzej Niemcy i Anglik. Wszyscy dyszeli ciężko, ich oddechy zamieniały się w białe obłoczki. To Natalia, pomyślał David, odczekała chwilę, żeby upewnić się, czy bezpiecznie odpłynęliśmy, i zobaczyła, że wpadliśmy w zasadzkę. Natalia, która świetnie strzelała.

— Ilu strzelców? — zapytał z wściekłością w głosie Gunther.

— Chyba jeden — odparł Niemiec, który trzymał Franka. — Widziałem dwa błyski w jednym miejscu.

— Chcę, żebyś go załatwił. Ja przytrzymam Muncastera i będę cię osłaniał. Myślisz, że dasz radę, Kollwitz? Wiem, że teren jest odsłonięty.

Mężczyzna o nazwisku Kollwitz zmierzył Gunthera chłodnym, nieustraszonym wzrokiem.

— Schowam się w cieniu ostrogi — powiedział.

— Dziękuję — mruknął Gunther.

David patrzył, jak Kollwitz, poruszając się zaskakująco szybko, podbiegł zygakiem do ostrogi i przykucnął. Zerknął na Sarah. Jeden martwy Niemiec leżał na niej, drugi tuż obok. Ich pistolety leżały tam, gdzie upadły, na kamienistej plaży. Na twarzy Sarah widniała ciemna plama. Zdał sobie sprawę, że to musi być krew Niemca. Wpatrując się w niego uporczywie, skinęła lekko głową. Eddie patrzył w stronę promenady, skąd padły strzały.

Kollwitz dotarł już prawie do końca ostrogi, kiedy rozległ się kolejny strzał. Tym razem David zobaczył ogień wylotowy tuż nad balustradą. Gunther też go zobaczył i natychmiast strzelił. Frank skrzywił się. David usłyszał dobiegający od promenady krzyk, kobiecy krzyk, i oparł się o trzymającego go Niemca.

— To ona, tak?! Kobieta z ruchu oporu?! — zawołał Gunther do Bena z wykrzywioną wściekłością twarzą. — Zostawiliście ją na czatach. Przez ciebie dwóch moich ludzi nie żyje! Ty kłamliwy draniu!

Ben nie odpowiedział. David obserwował ciemną zgarbioną sylwetkę Kollwitza, który wspinał się po schodach. Po chwili zobaczył, że przemierza promenadę, jakby czegoś szukał, a potem macha rękoma na znak, że nic im nie grozi. Czyżby Natalia leżała tam martwa? — pomyślał. Kollwitz zbiegł z powrotem po schodkach i ruszył w ich stronę. Oprócz własnego niósł drugi pistolet.

— Wygląda na to, że go pan trafił, Herr Sturmbannführer — rzekł do Gunthera. — Na promenadzie leżał pistolet, a krwawy ślad prowadził wyżej. Dużo krwi, facet mocno oberwał.

— To kobieta — poprawił go Gunther. — Trochę potrwa, zanim dotrze do swoich ludzi, jeśli w ogóle jej się to uda.

— Pomyślałem, że lepiej jej nie ścigać — oznajmił Kollwitz. — Jest teraz nieszkodliwa.

Gunther pokiwał głową i głęboko odetchnął.

— Dobrze, zwiążmy teraz pozostałych. Ty następny — powiedział do Franka, puszczać jego ręce i sięgając do kieszeni po kolejny kawałek drutu.

Frank przez chwilę stał, dygocząc w miejscu, i nagle puścił się biegiem. W pierwszej chwili o mało nie wywrócił się na kamykach, ale odzyskał równowagę i potykając się, pognął w stronę linii przyboju. Morze było zaskakująco blisko; to musiał być szczytowy moment przyływu.

— Co wyprawiasz, ty głupia cioto?! — zawołał ze śmiechem Syme, który trzymał Bena.

Gunther podniósł pistolet.

— Stój! — krzyknął. — Co chcesz zrobić?!

Frank biegł dalej, był już przy samym morzu. Gunther obniżył lufę pistoletu, mierząc w jego nogi i strzelił. Frank runął z jękiem na ziemię. Gunther podszedł do niego po kamykach, pochylił się i obrócił go na plecy. David zobaczył pobladłą z bólu twarz przyjaciela.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał Gunther poirytowanym głosem, niczym dyrektor szkoły, którego uczeń popełnił jakieś głupstwo. Frank nie odpowiedział. Gunther przyjrzał się jego nodze. — To tylko powierzchowna rana — powiedział. — Zajmiemy się tobą. — Zdjął z szyi gruby szalik i obwiązał nim łydkę Franka, żeby zatamować krew. — Chodź tutaj! — zawołał do Syme'a. — Pomóż mi go podnieść. Kollwitz i Kapp, pilnujcie pozostałych dwóch.

Kollwitz zastąpił Syme'a, łapiąc za wykręcone ręce Bena, a chudzielec z Wydziału Specjalnego podszedł do Gunthera. Razem udało im się dźwignąć z ziemi Franka, który stanął na jednej nodze, opierając się o Syme'a. Nogawka jego spodni była ciemna od krwi. Gunther wyjął z kieszeni latarkę i zaświecił mu w twarz. Była biała i ściągnięta, oczy miał wytrzeszczone.

— Nie obciążaj rannej nogi — poradził. — Pomożemy ci podejść do łodzi, możesz tam usiąść.

Frank oparł cały ciężar ciała na lewej zdrowej nodze, a potem zaczerpnął powietrza i patrząc na Gunthera, wyszczerzył zęby w szerokim strasznym uśmiechu, dawnym grymasie Muncastera. Choć tym razem grymas był trochę inny: Frank trzymał coś w zębach.

— Nie! — krzyknął Gunther.

W tym samym momencie Frank zacisnął zęby i David usłyszał cichy chrzęst tłuczonego szkła. Ciałem Franka wstrząsnęły konwulsje. Padając, umyślnie wywrócił się na Niemca, by zwalić z nóg jego i Syme'a. Gunther poślizgnął się na kamykach i runął na plecy. Frank upadł na niego. Natalia musiała mu dać kapsułkę, pomyślał David. Udało mu się ją przekonać. Musiał wsadzić ją do ust, kiedy wysiedli z samochodu w Rottingdean; dlatego prawie w ogóle się nie odzywał. A teraz był martwy. Frank nie żył.

Wykorzystując to, że wszyscy byli w szoku, Ben pchnął gwałtownie do tyłu wykręcającego mu ręce Kollwita. Niemiec stracił równowagę, zachwiał się i Ben zdołał się wyrwać. David wbił obcasy w kamyki i próbował dokonać tej samej sztuczki z wykręcającym mu ręce mężczyzną, ale ten zapał się, mruknął gniewnie i zdołał go utrzymać. Kollwitz odzyskał równowagę i sięgnął po pistolet, lecz Ben był szybszy. Złapał jeden z pistoletów leżących obok Sarah i Eddiego i strzelił Kollwitzowi prosto w pierś. Niemiec, który trzymał Davida, odepchnął go i wycelował w Bena. Strzelili równocześnie. Oba strzały były celne i obaj padli na ziemię, Niemiec martwy, z przestrzelonym czołem, Ben wijąc się z bólu i trzymając za bark.

Plaża usłana była teraz ciałami zabitych, rannych i związanych ludzi. Gunther starał się zsunąć z siebie zwłoki Franka. Tylko David i Syme pozostali na nogach i stali naprzeciwko siebie. Syme wyciągnął pistolet i wycelował w Davida.

— Nawet nie waż się ruszyć, palancie — warknął z wyraźnym akcentem cockney. — Ręce do góry!

David uniósł ręce, patrząc inspektorowi prosto w oczy.

Gunther stęknął głucho i zrzucił z siebie ciało Franka, ale zamiast wstać, ukląkł i przykucnął przy człowieku, którego ścigał po całej Anglii. Oświetlił ponownie latarką jego twarz. David zobaczył oczy Franka, tak samo nieruchome i martwe jak oczy Charliego tamtego strasznego dnia. Między zębami lśniły okruchy szkła. Gunther złapał go za ramiona i pochylił głowę. Syme spojrzał na Davida.

— No, kutasie, ręce na kark! — warknął. — Zwiążemy cię. Możesz się jeszcze przydać Wydziałowi Specjalnemu. Hoth, osłaniaj mnie. — Gunther przyglądał mu się przez chwilę niewidzącym wzrokiem. — Możesz mnie, kurwa, osłaniać? — powtórzył głośniejszym głosem Syme.

— Tak, tak. — Gunther wziął się w garść, wyciągnął swój pistolet i wziął na muszkę Davida.

Leżący na ziemi Ben nadal jęczał, trzymając się za bark. Syme posłał mu wściekłe spojrzenie.

— Stul dziób, ty cipo! — krzyknął.

— Mam odstrzelone pół ręki! — wrzasnął Ben.

— Uciszę cię, kurwa, na dobre!

Syme podniósł pistolet i ruszył w jego stronę, mijając po drodze leżących na ziemi Sarah i Eddiego. David zobaczył nagle, że Sarah podkurcza nogi i z całej siły kopie Syme'a prosto w krocze. Ten wrzasnął, zgiął się wpół i upuścił pistolet, który wylądował na ziemi obok jej twarzy. Kiedy chciał go podnieść, poderwała się i ugryzła go w rękę.

— Ty pierdolona dziwko! — krzyknął i runął z jękiem na ziemię.

David skoczył do przodu i złapał jego pistolet. Robiąc to, usłyszał, jak od pobliskiego kamyka odbija się rykoszetem pocisk, i zobaczył syjące się z niego iskry. Gunther. Odwrócił się szybko i postrzelił Niemca w ramię. Z rany trysnęła krew, pistolet wypadł Guntherowi z dłoni. Ze zdumieniem spojrzał na swoją rękę, a potem na Davida, który podszedł i wycelował z pistoletu Syme'a w jego szerokie, zaczerwienione węglem czoło. Za nimi Ben nadal jęczał, a skulony w pozycji płodowej Syme łkał z bólu. Może ciężkie wellingtony Sarah uszkodziły mu jądra. David miał taką nadzieję. Żona uratowała mu życie.

Spojrzał Niemcowi prosto w oczy. Wbrew temu, czego się spodziewał, nie były nikczemne i bezwzględne i nie malował się w nich lęk, lecz smutek i niewymowne znużenie. David zdał sobie nagle sprawę, jak bardzo jest zziębnięty; nogi miał jak bryły lodu, ręka trzymająca pistolet niemal zdrętwiała z zimna.

Niemiec stał w miejscu, najwyraźniej nie przejmując się krwią, która spływała po jego płaszczu z rannego ramienia. Uśmiechnął się półgębkiem do Davida i pokręcił lekko głową.

— Nie wygracie. To opóźni tylko trochę nasze zwycięstwo. Tyle uda wam się osiągnąć — powiedział cicho. — Za Niemcy! — zawołał po chwili głośniej i zaraz potem David strzelił mu między oczy.

Gunther padł na plecy i legł bezwładnie ze strzaskanym czołem, z którego sączyły się krew i mózg, czarna i biała maź w świetle księżyca. Na jego twarzy wciąż malował się cierpki uśmiech, jakby nawet teraz wiedział lepiej, co się wydarzy. Obok niego leżał Frank z wykrzywionymi w grymasie Muncastera ustami. David zerknął ponownie na Syme'a, który trzymając się za krocze, usiłował z trudem dźwignąć się z ziemi. Wycelował do niego z pistoletu i Syme podniósł ręce do góry. David pochylił się nad Frankiem i delikatnie zamknął mu oczy.

Nagle usłyszał chrzęst kamiaków i zorientował się, że Syme rzucił się do ucieczki i potykając się, biegnie powoli w stronę promenady. Strzelił do niego, ale chybił. Zdrętwiała z zimna dłoń nie pozwoliła mu dobrze wycelować. Syme dobiegł do schodków i zaczął się po nich wspinać. David strzelił ponownie i tym razem trafił. Syme wywrócił się, lecz nadal żył; zaczął pełznąć po schodach na górę. Czując ból w skostniałych nogach, David puścił się biegiem w jego stronę.

— Nie! — zawołał leżący na ziemi Eddie. — Musisz nam pomóc wsiąść do łódki. To ostatni moment, żeby dopłynąć do okrętu podwodnego. Za chwilę będzie za późno!

David stał przez chwilę niezdecydowany. Zerknął na zegarek. Była za piętnaście pierwsza. Cała groza i strzelanina trwały tylko pół godziny. Syme pokonał już prawie wszystkie schodki i wpełzał na promenadę. David podniósł ponownie broń.

— Nie, Davidzie! — zawołała Sarah. — Zostaw go! Musisz pomóc nam odpłynąć! A Ben jest ranny!

— Jeśli się tam zaraz nie zjawimy, Amerykanie odpłyną — dodał Eddie. — Rozwiąż nas, szybko!

David pomyślał o Natalii. Miał nadzieję, że udało jej się uciec. A potem spojrzał w oczy Sarah i pokiwał głową. Podszedł do Bena, który nie wyglądał

zbyt dobrze. Twarz miał wykrzywioną bólem, z paskudnej rany na barku sączyła się krew. Widać tam było białą, odsłoniętą kość.

— Nie czuję w ogóle ręki — poskarżył się Ben.

— Przetransportujemy cię na okręt podwodny.

Ben przyjrzał się leżącym na plaży trupom.

— Daliśmy łupnia tym pierdolonym nazistom, nie?

— Tak, daliśmy im łupnia.

Ben spojrzął w stronę morza.

— Frank nie żyje, prawda? Co się stało? Nie widziałem tego.

— Miał jednak kapsułkę z cyjankiem. Dała mu ją Natalia.

Łzy stanęły Benowi w oczach.

— Biedny Frankie. Biedny mikrus.



Przemarznięci, przemoczeni i rozdygotani David i Eddie wiosłowali, jak mogli najszybciej, oddalając się od brzegu. Na morzu bryza była silniejsza i przenikliwie zimna. Ben leżał na dnie łodzi. Sarah rozpięła płaszcz, zdjęła sweter i przycisnęła go do jego barku, żeby zatamować upływ krwi.

Byli już w pewnej odległości od wybrzeża. Oglądając się przez ramię, David zobaczył białe kredowe klify Seven Sisters. Przez sekundę wydawało mu się, że widzi jakiś ruch na szczycie urwiska.

— Możesz mi dać lornetkę, Eddie? — poprosił.

— O co chodzi? — zapytał ostro tamten.

— Zdawało mi się, że widzę kogoś na klifach.

— Pospiesz się — mruknął Eddie, podając mu lornetkę.

Opierając ramię o dulkę, David zlustrował szczyt urwiska. Zobaczył dwie sylwetki, kobietę z długimi włosami, która opierała się o mężczyznę i machała w stronę morza. To Natalia, pomyślał, udało jej się. Znalazła jednego z obserwatorów ruchu oporu.

— I co? — spytał niecierpliwie Eddie.

— Widzę chyba machającą ręką kobietę. To może być Natalia.

David zerknął na Sarah, lecz ona nie podniosła wzroku i doglądała dalej Bena.

— Stracił przytomność — powiedziała. — Jest w złym stanie.

Eddie i David nie zwalniali tempa. Eddie położył obok siebie kompas i co chwila dawał Davidowi wskazówki, jak zmieniać kurs. Po strzelaninie i krzykach

na plaży panujący na morzu spokój dziwnie wytrącał z równowagi. David spojrzął na zegarek. Zbliżał się kwadrans po pierwszej.

— Już niedaleko — powiedział Eddie. — Wiosłuj równo.

— Popłyniesz z nami do Ameryki? — zapytał go David.

Rybak splunął do wody.

— Raczej nie. Mieszkałem w Sussexie przez całe życie — wyjaśnił, szczerząc się i pokazując braki w uzębieniu. — Wiecie, że po traktacie z czterdziestego roku, kiedy wprowadzono cło na handel z Europą, znowu zaczął się szmugiel? Francuskie perfumy to ulubiony towar. Od tego czasu nie wiedzie mi się najgorzej.

— Nie boisz się wracać do wioski? — zapytała Sarah. — Jeśli Syme przeżyje, może cię rozpoznać.

— Mam przyjaciół na całym wybrzeżu, w większości z ruchu oporu. Nic mi się nie stanie.

— Dlaczego do nich przystałeś? — chciał wiedzieć David.

— Nie podobało mi się, że naziści i faszyci mówią, co mam robić. To takie proste, przyjacielu. Nie trzeba niczego więcej.

— Jeśli ma się odwagę — dodała Sarah.

Było straszliwie zimno. David nie czuł już prawie dłoni, w których ścisnął wiosła. Ponownie zerknął na Sarah.

— Co z Benem? — zapytał.

— Leży cicho. Dlaczego Natalia nie popłynęła razem z nami?

David nie odpowiedział, pochylając się nad wiosłami. Nagle poczuł jej dłoń na swojej ręce. Podniósł wzrok. Sarah uśmiechała się do niego, na jej pobrudzonej krwią twarzy zobaczył dawny krzepiący uśmiech, na który wcale nie zasłużył. Uśmiechnął się do niej w odpowiedzi. Chwilę później Eddie wyprostował się na ławce i wskazał coś ręką.

— Patrzcie! — zawołał. — Tam!

Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę.

Przed sobą zobaczyli na wodzie olbrzymi ciemny kształt podobny do wieloryba. Eddie wyjął latarkę i błysnął kilka razy czerwonym światłem. Po chwili odpowiedziały mu podobne czerwone sygnały. Przyłożyli się do wiosła. Widzieli coraz wyraźniej wielki, przypominający cygaro kształt z mokrymi, śliskimi burtami. Zobaczyli reling na pokładzie i działko z długą lufą. W miarę jak się zbliżali, okręt podwodny coraz bardziej nad nimi górował. Ujrzeni najeżony peryskopami kiosk i przesuujące się na dziobie ciemne sylwetki. Właz na kiosku otworzył się i oślepił ich silny reflektor.

— Aztek! — wykrzyknął hasło David.

Łódka uderzyła o kadłub okrętu. Jego burty lśniły nad nimi w świetle księżyca. Jedna z postaci przy kiosku przerzuciła linę przez reling. Eddie złapał ją i fachowo przywiązał.

— Zgadza się, Aztek! — usłyszeli pewny siebie głos z amerykańskim akcentem. — Postaramy się was bezpiecznie zaokrętować!

Epilog

Październik 1953

Dziesięć miesięcy później

Przyjechali do Chartwell w tajemnicy wczesnym rankiem. Trzy duże nieoznakowane samochody sunęły niespiesznie alejkami, wzbijając spod kół jesienne liście. Konferencja odbyła się przy stole w dużej jadalni z widokiem na błonia i jezioro. Nie byli obecni żadni urzędnicy służby cywilnej, wyłącznie protokolanci obu stron: reprezentujący ruch oporu Jock Colville i reprezentujący rząd asystent z kancelarii premiera.

Colville nie widział osobiście Beaverbrooka od 1940 roku. Premier był zgaszony, stracił całą swoją werwę i bombastyczność, ramiona miał zgarbione, twarz bladą i pooraną bruzdami. Towarzyszyli mu trzej ministrowie gabinetu. Minister spraw zagranicznych Rab Butler przywitał się z negocjatorami ruchu oporu z wielką serdecznością, jakby byli starymi kumplami, z którymi przypadkiem nie spotykał się przez jakiś czas w klubie. Ale przywódca Koalicyjnej Partii Pracy, masywny i tęgi Ben Greene, już teraz sprawiał wrażenie przegranego i siedział zgarbiony przy stole. Tylko Enoch Powell nie stracił nic ze swojej hardości. Na jego pociągłej, bladej twarzy malowała się gniewna pogarda, głos miał dźwięczny i chłodny, w oczach jak zawsze płonęła pasja.

Ruch oporu reprezentowali poza Churchillem trzej czołowi politycy, którzy po podpisaniu w 1940 traktatu pokojowego wybrali podobną do niego drogę. Zarówno Clement Attlee, jak i Harold Macmillan traktowali z lodowatą grzecznością ludzi, którzy postawili ich poza prawem i chcieli ująć i zabić. Za to Aneurin Bevan nie krył triumfalnego uśmiechu.

Colville martwił się o Churchilla; starzec czuł się coraz gorzej. Wcześniej w tym roku miał udar i chociaż fizycznie doszedł do siebie, coraz bardziej widoczne były umysłowa ociężałość i trudności z koncentracją, które dały o sobie znać w ostatnich latach. Czasami jednak, tak jak tego ranka, Churchill nadal potrafił zmobilizować całą swoją energię. Choć wypowiedali się głównie

jego koledzy, to on dominował przy stole, mierząc pogardliwym spojrzeniem swoich dawnych wrogów, jego uwagi zaś były zawsze celne i zdecydowane.

Po śmierci Hitlera w grudniu ubiegłego roku wypadki potoczyły się dość prędko. Mimo początkowych wahań Goebbels nie zamierzał stawiać czoła SS, które zdeterminowane było toczyć wojnę w Rosji do samego końca. W marcu grupa oficerów armii, w porozumieniu z Albertem Speerem oraz wpływowymi niemieckimi przemysłowcami, nawiązała kontakty z członkami partii nazistowskiej, którzy zdawali sobie sprawę, że wojna w Rosji jest nie do wygrania. Spiskowcy dokonali wojskowego zamachu stanu, zabijając Goebbelsa i zawierając tymczasowe zawieszenie broni z Rosją. Ale Himmler i jego liczące milion członków SS natychmiast odpowiedzieli wspieranym przez większą część partii nazistowskiej kontrpucczem. W Niemczech wybuchła wojna domowa, w której obie strony traktowały swoich przeciwników z takim samym okrucieństwem, jakie okazali wcześniej podbitym narodom. Niemieccy cywile uciekali na wieś albo kryli się w piwnicach. Wehrmacht i Waffen SS zaczęły z sobą walczyć również w Rosji. Hitler przez dwadzieścia lat trzymał w rękach całą władzę; po jego śmierci załamała się cała chybotliwa, wstrząsana rywalizacjami struktura państwa. Wykorzystując sytuację, Rosjanie złamali zawieszenie broni i ruszyli na zachód.

Armia miała nadzieję na szybkie zwycięstwo, lecz wojna domowa toczyła się ponad sześć miesięcy; odzyskanie kontroli nad kolejnymi niemieckimi regionami trwało długo i nie było łatwe. Armia miała poparcie marynarki wojennej i było tajemnicą poliszynela, że Amerykanie pod rządami Adlaia Stevensona wysyłają jej zaopatrzenie przez Hamburg. Jednak SS dowodzone przez Himmlera, który ogłosił się nowym Führerem, oraz jego zastępcę, Heydricha, walczyło wszędzie do ostatniej kropli krwi. Tydzień wcześniej padł Wiedeń i siły nazistów oblegano teraz w ich ostatnich bastionach w bawarskich i austriackich Alpach. Kończyła im się żywność i paliwo. Front wschodni kompletnie się załamał; wojska Federacji Rosyjskiej parły na zachód, dalej i szybciej, niż ktokolwiek się tego spodziewał. Rosjanie odkryli straszliwe rzeczy, obozy pracy nieodbiegające niczym od tego, co stworzył Stalin, oraz wielkie obozy zagłady z komorami gazowymi i krematoriami. Obecnie kontrolowali prawie całą Ukrainę i fragmenty wschodniej Polski. Tydzień wcześniej weszli na Półwysep Krymski, skąd dochodziły wieści o okrutnych masakrach niemieckich osadników. Pozbawione niemieckiego wsparcia satelickie reżimy w Europie chwiały się i upadały; wszędzie na Wschodzie etniczni Niemcy, nawet ci, którzy od stuleci zamieszkiwali te rejony, padali ofiarą masakr albo uciekali na zachód. We Francji trwały tajne rozmowy między rządem Pétaina i Laval'a a francuskim Résistance; francuscy Żydzi zostali zwolnieni z obozów internowania, w których

przetrzymywano ich od kilku miesięcy. We Włoszech Mussolini został usunięty przez własną Partię Faszystowską, a w Hiszpanii grupa oficerów obaliła i zastrzeliła generała Franco. W całej Europie trwał zamęt, a gdzieniegdzie walki. W Wielkiej Brytanii doszło do zażartej bitwy w Senate House, gdzie Rommel i wojskowi starli się z esesmanami. Wojsko wygrało, Rommel był nadal ambasadorem; wszystkich z frakcji SS zabito lub uwięziono. Rommel obiecał, że po zakończeniu wojny domowej w Niemczech odbędą się wybory. A teraz przyszła kolej na Wielką Brytanię.



Przy jadalnianym stole w Chartwell Beaverbrook zaproponował Churchillowi czołową rolę w rządzie jedności narodowej, który mieli utworzyć wszyscy obecni, bez udziału Mosleya i faszystów. Churchill stanowczo odmówił, wskazując, że tylko brytyjski ruch oporu ma moralne prawo, by rządzić. Poradzą sobie z wszystkimi zausznikami Mosleya, którzy stawiają im opór, a potem zarządzają wybory.

— Faszyci będą chcieli zachować władzę, którą zdobyli — powiedział Beaverbrook. — Lepiej, jeśli będziecie mieli nas po swojej stronie, kiedy dojdzie do negocjacji.

— Ty już się nie liczysz — odparł brutalnie Bevan. — Poza tym to wy daliście im władzę, którą mają.

Beaverbrooka zbiło to wyraźnie z tropu.

— Byliśmy kiedyś przyjaciółmi, Nye — powiedział.

— To był mój błąd. Który popełniłem dawno temu.

Beaverbrook rozłożył szeroko ręce.

— Żydzi zostaną zwolnieni z obozów. Zapowiedziałem to już publicznie. Prawdę mówiąc, nigdy nie chciałem ich internować.

— I odzyskają swoje domy oraz inną własność — zaznaczył Churchill. — Poplecznicy Mosleya i twój, którzy się tam wprowadzili, zostaną z nich wyrzuceni.

— To może się okazać trudne...

— Wyrzuceni! — zawołał Churchill. — Co do jednego!

— Oczywiście. Obiecałem ponadto, że zwolnię Mosleya ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych. To dowód naszej dobrej woli.

— Ale czy Mosley odejdzie po dobroci? — zapytał Attlee. Do tej pory niewiele się odzywał, pykając cicho ze swojej fajki, lecz jego oczy śledziły każdy ruch. — Jego ludziom nie podoba się uwolnienie Żydów. Dobrze, że przekazałeś

obozy pod kontrolę armii. Gdyby nadal rządziły tam pomocnicze formacje policji, mogliby nie wykonać rozkazów.

— Rozwiążę formacje pomocnicze. Jeśli jednak ludzie Mosleya spróbują zablokować zmianę rządu, będziecie musieli mieć po swojej stronie całą starą policję i wojsko, wszystkie siły prawa i porządku. Myślicie, że was posłuchają, jeśli nie będzie z wami mnie i moich ludzi? Rządziliśmy tym krajem przez dwanaście lat. Połowa waszych ludzi to socjaliści, walczyliście z policją i wojskiem na ulicach. Co będzie, jeśli siły prawa i porządku stawią wam opór? Czy chcecie uzbroić czerwonych, żeby z nim walczyć? Uzbroić górników i robotników?

— Oni i tak już walczą — odparł cicho Bevan. Attlee pokiwał głową.

Churchill popatrzył na Beaverbrooka.

— Kiedy odejdziesz, ci, którzy mają trochę oleju w głowie, zrozumieją, że dni autorytarnego rządu się skończyły, i przesiądą się z twojego tramwaju do naszego, żeby ratować skórę. To dzieje się już teraz. — Churchill oparł się o stół. — A z tymi, którzy tego nie zrobią, fanatykami i Czarnymi Koszulami Mosleya, rozprawimy się bez względu na koszty. Sytuacja się odwróciła, Max. Wiedziałem o tym od samego początku. Jak powiedział Bevan, przestałeś się liczyć.

— Co będzie z Indiami? — warknął Powell, patrząc Churchillowi prosto w oczy. — Przez całe życie sprzeciwiał się pan niepodległości Indii. Nazywał pan Gandhiego półnagim fakirem. Tymczasem ci ludzie, pańscy ludzie — wskazał Attlee i Bevana — chcą je oddać.

— Nie uda nam się zachować Indii — odparł ciężko Churchill. — Być może się myliłem. Tak czy owak, przegrałem.

Powell powiódł z wściekłością wzrokiem po obecnych.

— Indie są nasze — powiedział ostrym nosowym głosem.

Colville zastanawiał się, czy Powell, najzagorzalszy nacjonalista z nich wszystkich, nie zdecyduje się jednak stawić oporu razem z Mosleyem.

Ale Beaverbrook nie miał takich zamiarów.

— Co się ze mną stanie, jeśli się zgodzę? — zapytał i Colville zauważył, że zadrżały mu usta. — I z innymi, którzy siedzą przy tym stole?

Churchill przez chwilę milczał.

— Jeśli zgodzicie się po cichu oddać władzę, pozwolimy wam odejść — powiedział w końcu.

— Zamieszkał z powrotem w swojej wiejskiej rezydencji — rzucił szyderczym tonem Bevan.

— Nie, będziesz musiał wyjechać z kraju, Max — odezwał się Churchill. — Nie wiem, może zechce cię z powrotem Kanada — dodał, machając ręką.

— A moje gazety...

— Oddasz je — oświadczył Bevan, podnosząc głos. — Dwaj albo trzej magnaci prasowi, którzy narzucają swoje uprzedzenia społeczeństwu, to nie jest jeszcze wolna prasa. Sprzedamy twoje gazety, każdą komuś innemu.

Beaverbrook zaczerwienił się.

— Chcecie skazać mnie na banicję, bo wiecie, że ludzie będą mnie bronić...

— Nie. Robimy to, bo jesteś trucizną — odpowiedział twardo Attlee. — Zawsze nią byłeś.



Kiedy Beaverbrook i jego ludzie wyjechali, żeby skonsultować się z pozostałymi członkami gabinetu, przywódcy ruchu oporu zdali sobie sprawę, że odnieśli zwycięstwo. Attlee, Bevan i Macmillan nie kryli radości, lecz Churchill wydawał się zmęczony. Po kilku minutach poprosił pozostałych, żeby zostawili go z Colvillem. Kiedy wyszli, powoli i z wysiłkiem wstał od stołu i usiadł w fotelu.

— Whisky, Jock — powiedział. — Sobie też nalej. — Wsadził cygaro między zęby, zapalił je i mocno przygryzł.

Colville stanął przy nim. Churchill spojrział przez okno na usłany liśćmi trawnik.

— Dojdzie do walk — oświadczył z ponurą miną. — Może już wkrótce. Mosley nie zgodzi się odejść. Jak powiedziałem wcześniej, ludzie Beaverbrooka już się nie liczą, ale Mosley i jego poplecznicy mają broń. I mogą liczyć na poparcie pomocniczych formacji policji.

— Nie do końca — odparł Colville. — Niektórzy z nich już się do nas zgłosili. Pamięta pan tego inspektora Syme'a, który był zaangażowany w sprawę Muncastera? Został ranny w nogę, ale przeżył. — Churchill pokiwał głową. — Zwrócił się do nas w zeszłym miesiącu. Zna dużo kluczowych osób, które mogą przejść na naszą stronę. Możemy dać mu do odegrania ważną zakulisową rolę w nowo powstającej policji.

— Musimy się układać z samym diabłem — zamruczał gniewnie Churchill. Najwyraźniej wpadł w posępny nastrój, znowu towarzyszył mu jego „czarny pies”. — Kto wie może Beaverbrook każe swoim ludziom przyjechać tu w nocy i nas aresztować.

— Nie zrobią tego, milordzie. Wiedzą, że są skończeni. Będą teraz próbowali ratować własną skórę, zachować to, co się uda. Niemniej dobrze będzie poprosić Amerykanów, żeby oświadczyli, iż przywitają z zadowoleniem

zmianę rządu w Wielkiej Brytanii. Wczoraj złożyli takie oświadczenie w sprawie Francji.

— Dobry pomysł. — Pokrzepiony na duchu Churchill pokiwał głową. — Zatelefonuj do Białego Domu.

Colville zawahał się.

— Trzeba będzie to ostrożnie ująć. Stevenson nie jest izolacjonistą, ale boi się rewolucji w Europie. A Beaverbrook ma rację. Kiedy faszyści stawią opór, będziemy musieli... jak to mówili podczas hiszpańskiej wojny domowej... uzbroić robotników?

— I tak są już uzbrojeni. A dla ludzi Attlee i Bevana wolne wybory są ważne, zawsze były ważne. — Churchill pokiwał głową. — Wkrótce się odbędą. Co sądzisz o najnowszych pogłoskach z Rosji? Że Chruszczow został obalony?

— Moim zdaniem mogą być prawdziwe, milordzie. Część KGB wspomagana przez ludzi z państwowego przemysłu twierdzi, że opanowała Moskwę i ma zamiar stworzyć kapitalistyczne państwo podobne do tego, które Niemcy planowali dla Rosji na wschód od Astrachania. Tyle że większe i bardziej nacjonalistyczne. Ludziom się to spodoba. Rosjanie nie chcą powrotu komunizmu.

— Kto to firmuje?

— Kilka nieznanymi osób. Burmistrz Moskwy i ktoś z KGB. Moim zdaniem taki reżim będzie dość skorumpowany. Podobnie jak Związek Sowiecki. Nawiasem mówiąc, Polska i kraje bałtyckie ogłosiły niepodległość. Walczą z Rosjanami i Niemcami.

Churchill potrząsnął ze smutkiem głową.

— A zatem ta udręka prędko się nie skończy. Gdybyśmy zajęli zdecydowane stanowisko w dziewięćset czterdziestym, byłoby już po wszystkim — dodał, opuszczając głowę.

— Czy po nadchodzących wyborach będzie pan chciał objąć stanowisko premiera? — zapytał Colville.

— Nie wiem. Starość to diabelstwo. Zwłaszcza bez mojej Clemmie. — Churchill przez chwilę milczał, a potem spojrzał ostro na Colville'a. — Ale jeśli nim nie zostanę, tekę premiera z ramienia konserwatystów powinien objąć Macmillan, nie Eden. Anthony nie da sobie rady.

— Może się zdarzyć, że zostanie nim Bevan z ramienia laburzystów. Chce go wielu ludzi, mówią, że Attlee jest zbyt stary i zbyt umiarkowany. Mogą wygrać. Socjaliści pełną gębą.

— Jeśli ludzie dokonają takiego wyboru, trzeba to uszanować. Najważniejsze, żeby skończyć z całym tym rozlewem krwi i prześladowaniami. — Churchill znów zamilkł i wpatrywał się w przestrzeń.

— Czy mam zostawić pana samego, milordzie? — zapytał po minucie Colville. — Zająć się przygotowaniem rozmowy z Waszyngtonem?

— Ten Muncaster... — mruknął Churchill. — Człowiek, który znał sekrety bomby atomowej. Pamiętasz go?

— Tak, milordzie. Zginął w trakcie strzelaniny w Sussexie.

Churchill odchrząknął.

— Dzielny człowiek. Wolał zabrać swój sekret do grobu, niż przekazać go Niemcom. — Spojrzał ostro na Colville'a. — Niektórzy z nas bardzo chcieli wyciągnąć od niego te informacje. Mieli nadzieję, że będziemy mogli wdrożyć nasz własny program nuklearny.

Colville westchnął.

— Te informacje i tak się w końcu rozprzestrzenia. Nie ma innego wyjścia. Niech Bóg ma wtedy w opiece cywilizację.

Churchill pokręcił głową.

— Tak się baliśmy, że Niemcy mogą znać te sekrety, pamiętasz? Ale w ostatecznym rozrachunku nie miałyby to znaczenia. I tak nie mieliby czasu wyprodukować bomby przed wybuchem wojny domowej.

— Nie wiedzieliśmy wtedy, że ich reżim tak szybko upadnie — rzekł Colville.

Churchill ponownie odchrząknął.

— No cóż, na razie bombę ma wyłącznie Ameryka. Misja zakończyła się sukcesem. Swoją drogą, co stało się z jej innymi uczestnikami? Z tą kobietą... skąd ona pochodziła?

— Ze Słowacji. Wróciła tam na wiosnę. Tuż przed tym, jak słowacka armia wystąpiła przeciwko faszystom.

— Nadal trwają tam walki, prawda?

— Z tego, co słyszałem, dość zażarte.

— A co z innymi? Z tym Anglikiem ze służby cywilnej i tym Szkotem? Pamiętam, że towarzyszyli tamtego ranka Muncasterowi. Żonie Anglika też udało się uciec?

— Owszem. Wiem, że wszystkich dość dokładnie przesłuchano w Ameryce. Starszy brat Muncastera już wtedy nie żył. Zmarł na udar w miejscu odosobnienia.

— Więc nie został już nikt z jego rodziny.

— Nikt. Były pewne wątpliwości co do Szkota... był komunistą. Odesłano go chyba do Kanady. Stracił rękę w tej potyczce. Anglik i jego żona nie wzbudzili żadnych podejrzeń. Dostali wizę pobytową w Stanach. Nie wiem, co się z nimi później działo. — Colville uśmiechnął się. — Może teraz wróca.

Churchill wyprostował się w fotelu. Odzyskał chyba dobry nastrój.

— Tak — oznajmił, waląc pięścią w poręcz fotela. — Uchodźcy wkrótce wrócą. Żeby pomóc nam odbudować kraj! Będziemy ich wszystkich potrzebowali.

Podziękowania

Każda powieść, szczególnie powieść historyczna, jest w pewnym sensie dziełem zbiorowym. Pisząc *Papierowe imperium*, korzystałem w większym niż zazwyczaj stopniu z pomocy innych. Przede wszystkim muszę podziękować mojej wspaniałej redaktorce Marii Rejt z Mantle/Macmillan i mojemu niezrównanemu agentowi Anthony'emu Toppingowi z Greene & Heaton. Dziękuję również ich znakomitym współpracownikom — zwłaszcza Sophie Orme, Ali Blackburn i Susan Opie z Mantle oraz Chrisowi Wellbelove'owi z Greene & Heaton, któremu udało się odnaleźć nadany w 1999 na Channel 4 kluczowy film dokumentalny na temat wielkiego smogu w 1952 roku.

Jestem wdzięczny Marii i Anthony'emu za to, że nie szczędzili mi wsparcia, kiedy — po długiej i ostępiającej chorobie, która opóźniła pracę nad książką — rozpoznano u mnie w tym roku nowotwór szpiku kostnego. To ich wiara w tę książkę i we mnie sprawiła, że *Papierowe imperium* zostało ukończone na czas i wydane w październiku 2012 roku.

Becky Smith po raz kolejny z podziwu godną szybkością i precyzją przepisała tekst. Olivia Williams zebrała dla mnie kluczowe materiały w Londynie, kiedy nie czułem się dość dobrze, by wybrać się tam samemu. Jestem jej wdzięczny za wspaniałą robotę, którą wykonała.

Kolejny raz dziękuję grupie przyjaciół: Rozowi Brody'emu, Mike'owi Holmesowi, Jan King i Williamowi Shawowi, którzy przeczytali książkę w rękopisie i jak zwykle w wyczerpujący i przenikliwy sposób ją skomentowali.

Lou Taylor, profesor historii ubioru i tekstyliów, oraz dr Gillian Scott, oboje ze School of Humanities Uniwersytetu w Brighton, poświęcili wiele czasu omówieniu ze mną wybranych aspektów historii społecznej i mody w latach trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku, co w znacznym stopniu pomogło mi zbudować mój alternatywny świat.

Serdecznie dziękuję dr Françoise Hutton za dyskusję na temat rodzaju leków, które mógłby zażywać Frank, a także najnowszej historii szpitali psychiatrycznych.

Robert Edwards bardzo mi pomógł, dzieląc się swoją olbrzymią wiedzą na temat hrabstwa Sussex, co pozwoliło mi lepiej opisać rozgrywające się tam

sceny. Martin Foster zapoznał mnie, kompletnego laika w tej dziedzinie, z podstawowymi pojęciami łączności radiowej.

Już przy drugiej z kolei książce w kwestiach dotyczących marynarki wojennej, które były ważne pod koniec fabuły, pomógł mi kontradmirał John Lippiett, dyrektor Mary Rose Trust. Jestem wdzięczny, że znalazł na to czas mimo absorbującej pracy przy urządzaniu Mary Rose Museum. (Mogę go zapewnić, że w planowanej przeze mnie następnej powieści Matthew Shardlake ani na chwilę nie opuści suchego lądu). Apel w sprawie muzeum pozwolił zebrać imponujące fundusze, ale nadal brakuje czterystu tysięcy funtów. Kiedy zostanie ukończony, będzie można we wspaniałej oprawie obejrzeć największy na świecie zbiór artefaktów z epoki Tudorów. Więcej informacji i zdjęć można znaleźć na stronie www.maryrose.org. Datki wspierające ostatni etap projektu można wysyłać za pośrednictwem tej strony albo na adres The Mary Rose Trust, HM Naval Base, Portsmouth PO1 3LX.

Alan Purdie z Legionu Brytyjskiego bardzo mi pomógł, dostarczając informacji, które pozwoliły odtworzyć obchody Dnia Pamięci w rozdziale pierwszym. W moim alternatywnym świecie jest to zupełnie inny Dzień Pamięci, lecz mam nadzieję, że udało mi się zachować coś z pełnej szacunku atmosfery, na jaką zasługuje ta ceremonia.

Za wszelkie popełnione w tej książce błędy faktograficzne ja sam ponoszę oczywiście wyłączną odpowiedzialność.

Dziękuję mojemu przyjacielowi Robynowi Youngowi za dyskusje o historii i strategii pisania książek, a także za wsparcie, gdy nie było mi łatwo. Dziękuję także Paulowi Tempestowi i Peterowi Allinsonowi za to, że pozwolili mi pracować w swoim domu, kiedy w moim trwały prace budowlane. Ostatnie, choć nie mniej ważne podziękowania kieruję do Grahama Browna z Fullertons za częste użyczenie kserokopiarki oraz nieograniczone dostawy materiałów piśmiennych.

Nota bibliograficzna

Zbierając materiały do *Papierowego imperium*, korzystałem z rozleglejszego zestawu lektur niż przy którejkolwiek z moich wcześniejszych powieści.

Jeśli chodzi o społeczną i polityczną historię Wielkiej Brytanii od lat trzydziestych do lat pięćdziesiątych, najbardziej przydatna okazała się praca Angusa Caldera, *The People's War: Britain 1939—45* (1971), moim zdaniem wciąż najlepsza społeczna historia Wielkiej Brytanii czasu wojny. Bardzo przydatne okazały się również *The Thirties: An Intimate History* (2010) Juliet Gardiner, *Wartime Britain 1939—45* (2004) oraz *The Morbid Age: Britain between the Wars* (2009).

Bardzo wiele fascynujących informacji znajduje się w *Never Again: Britain 1945—51* (1992) i *Having It So Good: Britain in the Fifties* (2000) Petera Hennessy'ego. Pomocne okazały się również *Austerity Britain 1945—51* (2008) oraz *Family Britain 1951—57* (2010) Davida Kynastona. Uważam za kluczowe spostrzeżenie Kynastona, że w dekadzie, która nastąpiła po drugiej wojnie światowej, Wielka Brytania w wielu kwestiach społecznych cofnęła się kulturowo do lat trzydziestych. W pierwszym dziesięcioleciu po wojnie oceniano bardzo surowo takie zjawiska, jak nieślubne pochodzenie, homoseksualizm i rozwody, wróciło także przekonanie, że kobieta powinna siedzieć w domu. W moim alternatywnym świecie Wielka Brytania jest w roku 1952 jeszcze bardziej podobna do tej z lat trzydziestych: nie doszło tam do reform społecznych ani pełnego zatrudnienia obiecane przez rząd Clementa Attlee w latach 1945—1951.

Jeśli chodzi o zagadnienia szczegółowe, *The Great Silence* (2009) Juliet Nicolson w poruszający i sugestywny sposób opowiada o Wielkiej Brytanii usiłującej pogodzić się z poniesionymi podczas pierwszej wojny światowej straszliwymi stratami, które wywarły tak silny wpływ na rodzinę Sarah w mojej książce. *West End Girls* (2010) Barbary Tate to fascynujący i niezwykle zapis życia w burdelu w Soho w tamtym okresie i lokal Dilys wiele mu zawdzięcza. Wyprodukowany przez Channel 4 dokumentalny film *Killer Fog* (1999) przedstawia niezwykłą historię wielkiego smogu, poświęcając wiele uwagi jego licznym ofiarom śmiertelnym. *The Branch* (1983) Ruperta Allasona jest bardzo

przydatnym wprowadzeniem do historii Wydziału Specjalnego; choć przypuszczam, że autor nie zgodziłby się z tym, jak według mnie wydział mógł rozwinąć się w autorytarnej Wielkiej Brytanii. Moim zdaniem jest to całkowicie prawdopodobne.

W zrozumieniu tego okresu pomogło mi wiele powieści, zwłaszcza autorstwa Patricka Hamiltona. [Zajazd, w którym David i jego towarzysze zatrzymują się w drodze do Birminghamu, przypomina w pewnym stopniu Kings Head z trzeciego tomu jego trylogii Gorse'a (1952—1955)]. Wspaniała, lecz, niestety, zapomniana powieść *London Belongs to Me* (1945) Normana Collinsa w niepowtarzalny sposób przywołuje do życia Londyn z traumatycznego okresu 1938—1940. *Noblesse Oblige* pod redakcją Nancy Mitford (1956) zawiera jej humorystyczny esej na temat snobizmu i posługiwania się językiem we współczesnym społeczeństwie.

Opowieść o Brytanii lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych to po części opowieść o upadającym imperium. Szczególnie przydatna i sugestywna jest tu *Farewell the Trumpets* (1976) Jan Morris, stanowiąca ostatnią część jej trylogii *Pax Britannica*. Z kilku przeczytanych przeze mnie relacji z życia pracowników służby cywilnej z tego okresu najbardziej pomocna okazała się bez wątpienia *The Commonwealth Office, 1925—68* (1968) Joego Garnera. Wydana ostatnio *Britain and the Dominions in the Second World War* (2008) Andrew Stewarta stanowi użyteczną i bogatą w informację monografię naukową. Bardzo pomocna okazała się także praca *Whitehall* (1989) Petera Hennessy'ego.

Jeśli chodzi o Churchilla i kryzys w maju 1940 roku, najlepszą, moim zdaniem, wydaną do tej pory jednotomową biografią tego polityka jest *Churchill* (2001) Roya Jenkinsa. *Churchill: The End of Glory* (1993) Johna Charmleya zawiera multum informacji, lecz traktuje tę postać w męcząco nieprzychylny sposób. Za to książka *Churchill's Secret War* (2010) Madhusree Mukerjee, opowiadająca o niezwykłej bezwzględności, z jaką Churchill potraktował klęskę głodu w Bengalu w 1942 roku, okazała się niezbędnym zimnym prysznicem dla kogoś takiego jak ja, kto, pamiętając o roli Churchilla w 1940 roku, miał skłonność do traktowania tej postaci ze zbyt wielką rewerencją.

Co do prowadzonych na forum gabinetu dyskusji, czy zawrzeć pokój w 1940 roku, bardzo przydatne okazały się prace *Eminent Churchillians* (1994) oraz *The Holy Fox: A Life of Lord Halifax* (1991) Andrew Robertsa, a także *Five Days in London: May 1940* (2001) Johna Lukacsa i *Fateful Choices* (2007) Iana Kershawa. We wstępnym etapie zbierania materiałów bardzo pomocna była książka *The Battle of Britain* Richarda Overy'ego. Początkowo zastanawiałem się, czy nie umieścić akcji książki w Wielkiej Brytanii, w której rzeczywiście doszło do planowanej przez Niemców w 1940 roku inwazji, Operacji Sealion.

Sporo debatowano, czy taka inwazja mogła się zakończyć sukcesem; książka Overy'ego przekonała mnie ostatecznie, że było to niemożliwe.

W Wielkiej Brytanii istniała dość duża mniejszość, która w latach 1939—1940 z różnych przyczyn sprzeciwiała się podjęciu działań w nieunikniony sposób prowadzących do totalnej mobilizacji i walki na śmierć i życie z nazistowskimi Niemcami. Było tam wielu pacyfistów i kilku nacjonalistów, ale najważniejszą rolę odgrywali antysemita i jawni naziści. Szczególnie pomocne w kwestii tych różnych osób i grup były *British Fascism 1918—39* (2000) Thomasa Linehana i *Fellow Travellers of the Right: British Enthusiasts for Nazi Germany 1933—39* (1993), a także *Patriotism Perverted: Captain Ramsay, the Right Club and British Anti-Semitism 1939—40* (1998) Richarda Griffithsa. Ta ostatnia książka opowiada o jednym z czołowych antysemitów i sympatyków nazizmu, który wylądował ostatecznie w więzieniu razem z Oswaldem Mosleyem. Kiedy tam siedział, ekscytował się — podobnie jak Szkocka Partia Narodowa — kwestią szkockich kobiet wysyłanych do pracy w Anglii. (Ramsay był parlamentarzystą z ramienia Szkockich Konserwatystów). O tym, jak SPN sprzeciwiała się udziałowi Szkotów w wojnie przeciwko nazizmowi, można przeczytać w pracach takich jak *The History of the Scottish National Party* (Cardiff, 2002) Petera Lyncha.

Jeśli chodzi o historię brytyjskiego antysemityzmu, bardzo wyważona i pouczająca w części dotyczącej okresu przed 1945 rokiem jest, moim zdaniem, praca *Trials of the Diaspora: A History of Anti-Semitism in England* (2010) Anthony'ego Juliusa; niestety, nie można tego powiedzieć o części poświęconej okresowi powojennemu. Biografia *Beaverbrook: a Life* (1992) Anne Chisholm i Michaela Daviego przekonała mnie, że jeśli istnieje zdecydowany kandydat do przewodzenia reżimowi takiemu jak ten opisany w tej książce, to jest nim Beaverbrook.

W kwestii szpitali psychiatrycznych w latach pięćdziesiątych (ta dekada, w której wdrażano eksperymentalne i czasami niebezpieczne nowe metody leczenia i nie podjęto jeszcze radykalnych reform lat sześćdziesiątych, musiała być jednym z najgorszych okresów, żeby chorować psychicznie) szczególnie pomocne wydały mi się *Madness in Its Place: Narratives of Severalls Hospital 1913—97* (1998) Diany Gittins, *Park Prewett Hospital: the History 1898—1984* (1986) Dilys Smith oraz *Certified and Detained: A True Account* (2009) Dereka McCarthy'ego. Co ciekawe, wszystkie trzy książki opisują identyczny reżim, choć czynią to z całkowicie odmiennych punktów widzenia. Szpital Bartley Green jest fikcyjny, ale chyba reprezentatywny.

Wielki smog z grudnia 1952 roku spowodowany został przez nietypowe warunki pogodowe panujące w Anglii Południowej w okresie, kiedy Londyn

nadal wypluwał tony węglowego dymu z domów i elektrowni (w tamtym tygodniu było niezwykle zimno), a także coraz większe ilości samochodowych spalin. Był to najgorszy smog w dziejach stolicy. Ocenia się dzisiaj, że zmarło wówczas dwanaście tysięcy osób, w większości na choroby dróg oddechowych. W moim alternatywnym świecie warunki atmosferyczne i poziom zanieczyszczeń nie różniłyby się od rzeczywistych. W świecie rzeczywistym rząd zataił liczbę zmarłych, lecz smog przyczynił się do wprowadzenia kilka lat później Ustawy o czystym powietrzu.

Przy wyobrażaniu sobie, w jaki sposób brytyjski ruch oporu mógł walczyć z kolaboracyjnym reżimem, najbliższą (choć nie do końca dokładną) paralelę stanowi francuski Résistance. Przydatne wydały mi się tutaj *Choices in Vichy France* (1994) Johna F. Sweetsa i *The Resistance* (2009) Matthew Cobba.

Stany Zjednoczone są w tej powieści neutralne i nie walczą z Japonią, co, moim zdaniem, mogłoby się zdarzyć, gdyby Wielka Brytania upadła albo skapitulowała w 1940 roku. To wzmocniłoby dominujący w Ameryce republikański izolacjonizm i w rezultacie doprowadziło do przegranej Roosevelta w wyborach prezydenckich w roku 1940. Gdyby, jak w tej książce, demokrata wygrał w końcu ponownie wybory w 1952 roku, najbardziej prawdopodobnym kandydatem wydaje się człowiek, który przegrał z Eisenhowerem w 1952 i 1956, czyli Adlai Stevenson. Biografia *Adlai Stevenson* (1989) Portera McKeevera opowiada historię człowieka, który w rzeczywistości przegrał o włos, w tej książce zaś został zwycięzcą.

Zbieranie materiałów do *Papierowego imperium* wymagało licznych lektur na temat nazistowskich Niemiec. Moim zdaniem najlepszą nową monografią reżimu jest trzypomowe dzieło Richarda Evansa: *The Coming of the Third Reich* (2003), *The Third Reich in Power* (2005) i *The Third Reich at War* (2008). Jeśli chodzi o człowieka, który w mojej książce przejął władzę po Hitlerze, i w ogóle o politykę reżimu, bardzo pomocna okazała się książka Toby'ego Thackera *Joseph Goebbels: Life and Death* (2010). Znakomitym studium jest książka *Hitler's Empire: Nazi Rule in Occupied Europe* Marka Mazowera, przedstawiająca między innymi szaleńcze i mordercze plany nazistów co do przyszłości Rosji. Niezastąpiony okazał się *Dictionary of the Third Reich 1937-1945* Jamesa Taylora i Warrena Shawa. Syn Warrena Shawa, mój przyjaciel William Shaw, należał do tych, którzy przeczytali tę książkę w rękopisie; z tego względu *Papierowe imperium* zawdzięcza coś dwóm pokoleniom tej samej rodziny.

Russia's War (1997) Richarda Overy'ego, którego głębokiej wiedzy na temat drugiej wojny światowej dorównuje tylko jego pocztytność, jest, jak sądzę, najlepszym krótkim opisem niemożliwej do wygrania pod względem wojskowym wojny Niemiec przeciwko Związkowi Sowieckiemu. *Moscow 1941: a City and*

Its People at War (2006) Rodrica Braithwaite'a w pasjonujący sposób opowiada o pierwszej niemieckiej klęsce w bitwie o Moskwę. W moim alternatywnym świecie siły niemieckie — nie mając za przeciwnika Wielkiej Brytanii — są w stanie zaatakować Rosję wcześniej, z udziałem większej liczby żołnierzy i z tego względu zająć Moskwę, lecz później i tak utykają w bezkresnych rosyjskich przestrzeniach, co, moim zdaniem, było nie do uniknięcia. *The Taste of War: World War II and the Battle for Food* (2011) Lizzie Collingham przedstawia w fascynujący sposób rolę dostaw żywności w zwycięstwach i klęskach drugiej wojny światowej, nie tylko na terenie Rosji.

W kwestii broni nuklearnej i raketowej bardzo przydatne dla kogoś, kto nie jest naukowcem, okazały się monografie Michaela Neufelda *Von Braun: Dreamer of Space, Engineer of War* (2007) oraz Jamesa P. Delgado *Nuclear Dawn: the Atomic Bomb from the Manhattan Project to the Cold War* (2009). *The New Men* (1954) C.P. Snowa jest fascynującą powieścią o wysiłkach Wielkiej Brytanii, by wyprodukować broń nuklearną, napisaną przez urzędnika służby cywilnej czasu wojny.

Najlepszą ze wszystkich zbyt licznych relacji o tym, jak Watykan papieża Piusa XII kolaborował z reżimem nazistowskim i jego marionetkami i mimo starań odważnych lokalnych katolików nie zrobił nic, by przeciwstawić się Holocaustowi w krajach katolickich, wydaje się *Hitler's Pope* (1999) Johna Cornwella. Rozmiary kolaboranckiego podejścia hierarchii Kościoła katolickiego do masowych zbrodni nazistów i faszystów wydawały mi się dość szokujące już w kontekście hiszpańskiej wojny domowej; w kontekście drugiej wojny światowej wydają się plamą, której chyba nic nie zdoła zmazać.

Dochodzę w ten sposób do tragicznej historii Słowacji i Holocaustu. Wydarzenia, o których Natalia opowiada Davidowi, miały miejsce w Słowacji zarówno w rzeczywistym, jak i alternatywnym świecie. Kolaborancki, nacjonalistyczny, antysemicki reżim kierowany przez katolickiego księdza, ojca Tiso, oraz jego zastępcę, zbrodniczego faszystę Vojtecha Tukę, posłużył się własnymi formacjami paramilitarnymi, Gwardią Hlinki, by załadować słowackich Żydów do pociągów, które wywiozły ich do obozów śmierci w pierwszych dużych deportacjach Holocaustu. Wysłał także słowackie oddziały, żeby walczyły w Rosji. Część słowackich katolików popierała deportacje, inni protestowali tak energicznie, że zostały one w końcu — choć dla większości zbyt późno — wstrzymane. Istnieje dobra literatura na ten temat. *Slovakia: the Escape from Invisibility* (2002) Karen Henderson stanowi przydatny wstęp do współczesnej historii tego kraju. *Axis Slovakia: Hitler's Slavic Wedge 1938—45* (2002) Marka W. Axworthy'ego opowiada historię reżimu Tiso. *Katarina* (1998) Kathryn Winter, *Trust and Deceit: a Tale of Survival in Slovakia and Hungary*

1939—1945 (2006) Gerty Vrbovej oraz *I Escaped from Auschwitz* (2006) jej męża Rudolfa Vrby przedstawiają tę historię z punktu widzenia słowackich Żydów. Opowieść Vrby należy do najbardziej niezwykłych pamiętników z okresu drugiej wojny światowej. Na koniec materiały zamieszczone w *Racial Violence Past and Present* (Slovak National Museum and Museum of Jewish Culture, Bratislava 2003) stanowią historyczne ostrzeżenie dla dzisiejszej Europy.

Nie mogę też nie wspomnieć o książce Roberta Harrisa *Fatherland*⁶ (1992) — według mnie najlepszej, jaka kiedykolwiek powstała, powieści z gatunku historii alternatywnej.

Nota historyczna

Urodziłem się w 1952 roku, tym samym, w którym toczy się akcja *Papierowego imperium*. Mój ojciec, mieszkaniec Anglii Środkowej, poznał moją matkę w Szkocji, gdzie podczas wojny służył w marynarce wojennej. Jestem więc, podobnie jak wielu innych Brytyjczyków z mojego pokolenia, dzieckiem wojennych migracji.

Kiedy się urodziłem, premierem był Winston Churchill i przez całe moje dzieciństwo otaczano go wielkim szacunkiem. Na początku lat siedemdziesiątych, zyskawszy polityczną świadomość i ku rozbawieniu i zaskoczeniu rodziców porzuciwszy ich konserwatyzm na rzecz sympatii lewicowych, które zachowałem po dziś dzień, odkryłem, że w tych nowych kręgach Churchill traktowany jest inaczej. Wielu twierdziło, że był podżegaczem wojennym, fanatycznym imperialistą, który sprzeciwiał się wszelkim poczynaniom mającym przynieść niepodległość Indiom, zaciekłym antysocjalistą, pogromcą robotników podczas strajku generalnego w 1926 roku, a także oficerem, który wysłał oddziały, by strzelały do górników w Tonypandy w 1910. Wszystkie te zarzuty są prawdziwe z wyjątkiem, co dziwne, ostatniego, mimo uporu, z jakim jest powtarzany⁷.

Istnieje, jak sądzę, kilku Churchillów — co nie powinno dziwić w przypadku człowieka, którego kariera polityczna trwała sześćdziesiąt cztery lata i który przez całe życie znany był z wysoce oryginalnych idei, czasami szalonych, a czasami wręcz genialnych. Początkowo, w latach przed rokiem 1914, był radykalnym liberałem, sytuującym się na lewicy swojej partii. W trakcie wielkiej wojny i po niej objawił się drugi Churchill: zażarty antykomunista i antysocjalistyczny konserwatysta, niewzruszony przeciwnik politycznego awansu Hindusów, w tej kwestii reakcyjny, nawet biorąc pod uwagę ówczesne standardy własnej partii. Po 1935 roku narodził się trzeci Churchill, antynazista, który spostrzegł, że Hitler oznacza wojnę, a polityka ustępstw zakończy się katastrofą. Autentycznie gardził fanatycznym nacjonalizmem i antysemityzmem nazistów i potępiał ich za podeptanie demokracji. Ten Churchill zwalczał politykę appeasementu wraz z przywódcami związkowymi i laburzystowskimi w rodzaju Ernesta Bevina, a w 1940 roku sprzymierzył się

z Partią Pracy przeciwko dużej części własnej partii, pragnąc poderwać naród do walki i toczyć wojnę do samego końca. Jego przemówienia, osobowość i talenty przekonały zarówno polityków, jak i społeczeństwo. W podeszłym wieku, kiedy po raz drugi objął tekę premiera, pojawił się czwarty Churchill. Jego polityka stała się centrowa i ugodowa, a on sam przyznał w rozmowie z Jawaharlalem Nehru w 1949 roku, że bardzo go skrzywdził⁸.

Nie da się oczywiście zaprzeczyć, że przez całe życie Churchill był brytyjskim imperialistą starej daty i że jego wojenne przemówienia przepojone są przekonaniem o brytyjskiej wyjątkowości. Dlatego może się wydać dziwne, że w książce, której dominującym tematem są zagrożenia i niegodziwości polityki opartej na nacjonalizmie i rasie, Churchill występuje jako postać heroiczna. Powinno się jednak pamiętać, że Churchill nigdy nie był ograniczonym nacjonalistą i że w latach 1940—1945 zawsze widział Wielką Brytanię w kontekście szerszych europejskich i światowych zmagania. Widać to w przemówieniu z czerwca 1940 roku, którego fragment wybrałem na motto tej książki: Churchill dostrzegał z niezwykłą przenikliwością mrok, w którym nazizm i naziści pograżyli Europę i który będzie się rozprzestrzeniał, jeśli nie zostaną powstrzymani.

Zawsze fascynował mnie pomysł historii alternatywnej — to, jak mógłby się zmienić świat, gdyby jakieś doniosłe wydarzenie przybrało inny obrót. I czasami, tak jak w maju 1940 roku, historia świata mogłaby rzeczywiście potoczyć się inaczej. Oczywiście przedstawiona tu opowieść o tym, co mogło się stać, gdyby Churchill nie został premierem, jest tylko jedną z wielu, a nie jedyną alternatywną historią, ponieważ nie ma czegoś takiego jak jedna jedyna alternatywna historia. Każda dająca się wyobrazić zmiana toru historii, każda droga, którą nie podążono, otwiera przed historykiem różne możliwości i ewentualności, lecz nie pewność. Uważam jednak, że Churchill miał rację, sądząc, że gdyby Wielka Brytania przyjęła w 1940 roku niemieckie propozycje pokojowe, w nieunikniony sposób zostałaby zdominowana przez nazistowskie Niemcy. Świat, który stworzyłem, jest tylko jednym ze scenariuszy, jakie mogłyby nastąpić, lecz wierzę, że scenariuszem wysoce prawdopodobnym.

Wróćmy zatem do kluczowego momentu rzeczywistej historii świata, gdy Churchill został premierem zamiast lorda Halifaxa. Między rokiem 1935, kiedy od ataku Mussoliniego na Etiopię zaczęła się faszystowska agresja, a marcem 1939, kiedy Hitler ostatecznie zniszczył Czechosłowację, polityka appeasementu, czyli ugłaskiwania, popierana była przez większość w łonie koalicyjnego brytyjskiego rządu, będącego u władzy od 1931 roku i tworzonego głównie przez konserwatystów, z niewielkim udziałem dysydentów z Partii Liberalnej i Partii Pracy.

Ugłaskiwanie nie było wówczas brzydkim słowem — oznaczało, ogólnie rzecz biorąc, działanie na rzecz pokoju poprzez negocjowanie pokojowych rozwiązań problemów międzynarodowych. Nie powinno się nigdy lekceważyć znaczenia pamięci o horrorach wielkiej wojny i uzasadnionego lęku, że biorąc pod uwagę rozwijającą się technologię, zwłaszcza powietrzną, druga wojna europejska będzie jeszcze bardziej katastrofalna i dojdzie w niej do bombardowania cywilów potężnymi ładunkami wybuchowymi oraz, jak się obawiano, gazem trującym. Stanley Baldwin miał rację, kiedy mówił w 1932 roku, że „bombowiec zawsze się przedrze”.

Byli również tacy, którzy uważali, że traktat wersalski — z jednej strony ograniczający terytorium Rzeszy, a z drugiej podnoszący do rangi dogmatu zasadę narodowego samostanowienia — jest niesprawiedliwy. Zwłaszcza wśród konserwatystów nie brakowało ludzi, którzy nie pałając sympatią do reżimu nazistowskiego i uważając jego czołowych przywódców za pospolitych zbirów, byli zdania, że nie można się wtrącać w wewnętrzne sprawy Niemiec, i widzieli w nazistach zapórę przeciwko komunistycznemu zagrożeniu. „Nacjonalizm i rasa to potężna siła, nie wydaje mi się jednak, żeby było w niej coś nienaturalnego lub niemoralnego”, napisał lord Halifax, zanim jeszcze jako minister spraw zagranicznych złożył wizytę Hitlerowi w 1937 roku, niedługo później zaś dodał: „Nie mam wątpliwości, że ci faceci autentycznie nienawidzą komunizmu”⁹.

Wiemy teraz lepiej, niż wiedzieli to ludzie w latach trzydziestych, jak bardzo morderczy był w rzeczywistości reżim stworzony przez Lenina i Stalina, w latach trzydziestych nie stanowił on jednak militarnego zagrożenia dla Zachodu. Obawy brytyjskiej prawicy przed tym, że w kraju rozprzestrzeni się komunizm, nie opierały się na realnych przesłankach.

Byli także ludzie, którzy nie kryli podziwu dla nazizmu. Lloyd George, pełniący funkcję premiera podczas wielkiej wojny, nazwał Hitlera „bezsprzecznie wielkim przywódcą” i „największym Niemcem swojej epoki”¹⁰. Były Czarne Koszule Oswalda Mosleya, wspierane przez jakiś czas przez „Daily Mail” lorda Rothermere’a. Hitler miał również wpływowych wielbicieli w biznesie i w kręgach bogatej prawicowej arystokracji. Bardzo niewielu polityków

laburzystowskich wypowiedało się pozytywnie o nazistach, ale kilku dałoby się wymienić, wśród nich Bena Greene'a, odgrywającego przez jakiś czas ważną rolę w latach trzydziestych. W *Papierowym imperium* staje się on przywódcą laburzystów w protraktatowej koalicji.

Byli poza tym pacyfiści, którzy nawet po wybuchu drugiej wojny światowej totalnie sprzeciwiali się wojnie w każdej postaci. Pacyfizm wewnątrz Partii Pracy był silny na początku lat trzydziestych, ale osłabł wraz ze wzrostem agresywności faszyzmu, zwłaszcza podczas hiszpańskiej wojny domowej. Pozostał jednak liczącą się siłą zarówno w Partii Pracy, jak i poza nią. Zważywszy na panującą wtedy atmosferę, ludzie tacy jak Vera Brittain i około dwudziestu parlamentarzystów Partii Pracy, którzy utworzyli Parlamentarną Grupę Pokojową, wykazali się odwagą, ale w 1940 roku Grupa Pokojowa głosowała bez wątpienia za traktatem i — być może już wkrótce — gorzko by tego żałowała.

W 1938 roku w Monachium Chamberlain wierzył, że oddając Hitlerowi niemieckojęzyczne rejony Czechosłowacji, spełnia ostatnie żądanie Führera. Gdy wiosną następnego roku Hitler zajął pozostałe ziemie czeskie i utworzył marionetkowe państwo słowackie, Chamberlain zdał sobie sprawę, że został oszukany. Kiedy we wrześniu 1939 roku Niemcy napadły na Polskę, wypowiedział im wojnę, ale okazał się niechętnym i nieefektywnym przywódcą wojennym. Mając świadomość, że przysły jego od dawna hołubione nadzieje na pokój, stał się postacią tragiczną. Kiedy wiosną 1940 roku oświadczył, że Hitler „spóźnił się na autobus” wiosennej ofensywy, a Niemcy zaraz potem najechały Danię i Norwegię i brytyjska operacja w tej ostatniej zakończyła się klęską, jego pozycja jako premiera znacznie osłabła. W norweskiej debacie w parlamencie w maju 1940 roku spora część konserwatywnych parlamentarzystów głosowała przeciwko rządowi albo wstrzymała się od głosu. Chamberlain zaproponował koalicję przywódcom Partii Pracy, którzy zgodzili się do niej wejść pod warunkiem, że przywódcą zostanie inny konserwatywny lider. Chamberlain zrozumiał, że musi odejść.

W takich okolicznościach dziewiątego maja 1940 roku doszło do brzemiennego w skutki spotkania, w którym wzięli udział Chamberlain, szef klubu konserwatystów David Margesson oraz dwaj kandydaci do objęcia teki premiera, Halifax i Churchill. Każdy z uczestników zostawił zapis tego, co zaszło. Różnią się one znacznie w szczegółach, lecz nie w kwestiach zasadniczych¹¹. Pełniący u Chamberlaina stanowisko ministra spraw zagranicznych Edward Wood, lord Halifax, miał premierostwo na wyciągnięcie

ręki. Był arystokratą, doświadczonym, niezawodnym politykiem, którego darzono zaufaniem i szacunkiem, należał jednak do głównych zwolenników appeasementu i czasami było coś pasywnego w jego naturze. Popierał go trzon Partii Konserwatywnej, Chamberlain oraz król. Jego wiceminister, Rab Butler, przez cały poprzedni wieczór błagał go, by przyjął propozycję. Partia Pracy nie zajmowała wyraźnego stanowiska. Z drugiej strony Churchill, którego dokooptowano do gabinetu po wypowiedzeniu wojny, był twardy, wojowniczy, cudownie kreatywny i cieszył się popularnością w społeczeństwie; wśród konserwatystów miał opinię niepoprawnie nielojalnego eksliberała i niesolidnego awanturnika, posiadającego (bo też tak było) kontrowersyjnych przyjaciół.

Halifax nie ubiegał się jednak zbyt usilnie o stanowisko i zgodził się zostać podwładnym Churchilla. Najwyraźniej zdał sobie sprawę, że brak mu siły osobowości, by podołać nadchodzącym tytanicznym zmaganiom; już nazajutrz Niemcy najechali Belgię, Holandię i Francję. W kryzysowych momentach cierpiał na silne bóle żołądka, prawdopodobnie o podłożu psychosomatycznym. Honorowo stanął z boku. Churchill został premierem i wszedł do Izby Gmin witany głośnymi brawami z ław Partii Pracy i nielicznymi ze strony konserwatystów. Długo trwało, zanim go pokochali.

Churchill natychmiast powołał nowy Gabinet Wojenny, składający się z najważniejszych ministrów, którzy mieli prowadzić wojnę. Konserwatystów reprezentowali w nim oprócz niego Halifax i Chamberlain — inni prominentni zwolennicy appeasementu zostali wyrzuceni (sir Samuel Hoare zorientował się nagle, że jest ambasadorem we frankistowskiej Hiszpanii). Churchill powołał też do tego gabinetu dwóch laburzystów, przywódcę partii Clementa Attlee oraz jego zastępcę Arthura Greenwooda. Dał Partii Pracy więcej, niż wynikałoby z liczby miejsc w parlamencie, ale było to sprytne posunięcie — nie na darmo od czterdziestu lat działał w polityce — ponieważ obaj byli przeciwnikami appeasementu i mógł liczyć, że będą go wspierali w bezwzględnym prowadzeniu wojny. Dało mu to większość w Gabinetcie Wojennym, Chamberlain zaś — chociaż śmiertelnie chory — również wykazał się nowym zdecydowaniem.

Było to potrzebne. Pod koniec maja 1940 roku siły brytyjskie i francuskie były w pełnym odwrocie, Brytyjczycy wycofywali się do Dunkierki. W tym momencie Niemcy wysunęli propozycje pokojowe i uczynili to jeszcze raz w tym samym roku. Inicjatorem był Hitler, który nigdy nie chciał wojny z bratnim aryjskim narodem i w zamian za wolną rękę w Europie gotów był zostawić imperium brytyjskie w spokoju. Halifax chciał podjąć rozmowy; wydawało się, że wojna na Zachodzie jest przegrana i nadszedł czas, by zawrzeć porozumienie

i uniknąć dalszego rozlewu krwi. Churchill utrzymywał jednak, że traktat pokojowy w nieunikniony sposób doprowadzi do niemieckiej dominacji w Wielkiej Brytanii, która wspierana (choć nie zawsze z całego serca) przez imperium i chroniona przez kanał La Manche powinna ze swoją marynarką wojenną i siłami powietrznymi walczyć dalej i jeśli będzie trzeba, stawić czoło inwazji. Churchill wygrał ten spór i zyskał poparcie całego gabinetu. Reszta należy do historii.

Gdyby premierem został Halifax, rezultat byłby prawdopodobnie zupełnie inny. Halifax mianowałby inny gabinet wojenny, w którym panowałyby inna równowaga sił. Taki gabinet mógł śmiało wynegocjować pokój po kapitulacji Francji. Gdyby tak potoczyły się wypadki, moim zdaniem zarówno w Partii Konserwatywnej, jak i w Partii Pracy doszłoby do rozłamu. Mniejszość laburzystów zawarłaby protraktatową koalicję z większością konserwatystów. Uważam, że król Jerzy VI pozostałby na tronie — konstytucyjnie miał obowiązek wspierania decyzji rządu — i panowałby dalej, aczkolwiek niechętnie, w miarę jak reżim przybierałby coraz ostrzejsze formy. Nigdy nie przekonywała mnie hipoteza, że gdyby Wielka Brytania poddała się albo została pokonana, Niemcy umieściliby ponownie na tronie Edwarda VIII, choć naziści z pewnością brali pod uwagę ten pomysł. To prawda, Edward VIII sprzyjał nazistom, lecz wielu Brytyjczyków pogardzało nim za to, że abdykował. Był poza tym tak głupim i nieodpowiedzialnym człowiekiem, który jako król przysporzyłby bólu głowy każdemu rządowi.

Rozstrzygnięcie, kto mógłby rządzić w Wielkiej Brytanii w następnych latach, nie jest łatwe. Nawet jeśli pewni ludzie od dawna już nie żyją, nie chce się ich niesprawiedliwie ocenić. Sądzę, że lord Halifax, gdyby mógł zobaczyć skutki tego, co przyniósł traktat w tej książce, podałby się do dymisji w poczuciu winy i rozpaczy. Chamberlain zmarł pod koniec 1940 roku, jeśli zaś chodzi o innego czołowego kandydata do zastąpienia Halifaxa, sir Samuela Hoare'a, to zdaję sobie sprawę, że doświadczenia z faszyzmem, jakie miał z pierwszej ręki w Hiszpanii, uczyniły z niego antyfaszystę. Jako polityka, który stanął na czele protraktatowej Partii Pracy, lecz później, podobnie jak Halifax, wycofał się w rozpaczy, sportretowałem Herberta Morrisona, który był antyfaszystą, ale uważał się za realistę i zawsze zżerała go żądza władzy. Z drugiej strony jestem przekonany, że Lloyd George byłby zachwycony późnym powrotem do władzy, a sympatia, jaką żywił do Hitlera, nie ulega wątpliwości.

Co do człowieka, który został w *Papierowym imperium* premierem po Lloydzie George'u, jeśli ktoś szuka zakochanego we władzy zwolennika

appeasementu, fanatyka wierzącego w zjednoczone imperium brytyjskie, które powinno wprowadzić taryfy handlowe przeciwko reszcie świata, oraz człowieka zepsutego do szpiku kości i pozbawionego wszelkich skrupułów (wyjechał ze swojej rodzinnej Kanady w atmosferze podejrzeń o nieuczciwy sposób zdobycia fortuny), oczywistym kandydatem musi być Max Aitken, lord Beaverbrook. Clement Attlee, który nie rzucał takich słów na wiatr, opisał go jako jedyne drania, jakiego miał okazję poznać, i nie był w tej opinii odosobniony¹², podobnie uważał Churchill, choć miewał okresy, gdy się z nim przyjaźnił. Szczerze mówiąc, Beaverbrook nigdy nie był aktywnym antysemitą, ale ani nie lubił Żydów, ani ta kwestia nie była dlań szczególnie ważna. Dopóki Stanley Baldwin odważnie go nie zmiażdżył, opisując właścicieli gazet jako ludzi „dzierżących władzę bez odpowiedzialności, co na przestrzeni dziejów było prerogatywą nierządnic”, Beaverbrook od pierwszej wojny światowej aż do wczesnych lat trzydziestych był uosobieniem magnata prasowego, który z powodzeniem miesza się do polityki. Żaden inny magnat prasowy nie miał ponownie takiej władzy aż do okresu, który nastąpił po zwycięstwie Margaret Thatcher w 1979 roku, kiedy ona, a w ślad za nią Tony Blair (i Alex Salmond ze Szkockiej Partii Narodowej) pozwolili zdobyć tak wielkie wpływy Rupertowi Murdochowi.

Enoch Powell należał zawsze do najbardziej fanatycznych brytyjskich nacjonalistów i choć w latach sześćdziesiątych stał się skrajnym izolacjonistą, wcześniej, pracując u schyłku lat czterdziestych w Departamencie Badań Partii Konserwatywnej, był imperialistą pełną gębą. W 1946 roku wysłał do Churchilla, będącego wówczas przywódcą opozycji, memorandum, w którym zalecał ponowny militarny podbój Indii, co sprawiło, iż Churchill zaczął się obawiać o jego zdrowie psychiczne, i dopiero Rabowi Butlerowi udało się uśmierzyć jego obawy¹³. Powell wydaje mi się oczywistym kandydatem na ministra do spraw Indii. Rab Butler stał się później czołowym przedstawicielem umiarkowanego skrzydła konserwatystów, lecz przed 1939 rokiem należał do najbardziej zagorzałych zwolenników appeasementu, czym zasłużył sobie na dożgonną wrogość Harolda Macmillana, który nienawidził faszyzmu.

Szkocka Partia Narodowa powstała w 1934 roku z połączenia dwóch małych partii: prawicowej Partii Szkockiej i lewicowej Narodowej Partii Szkocji. Nowa partia, która nadal była bardzo mała, obejmowała elementy sympatyzujące z faszyzmem, ale nie miała spójnej polityki dotyczącej ważnych ówczesnych problemów — masowego bezrobocia, trwającego kryzysu i coraz mroczniejszej sytuacji międzynarodowej — poza wspólnym dla wszystkich nacjonalistycznych i faszystowskich partii w Europie marzeniem, że pielęgnowanie narodowości wyzwoli coś w rodzaju mistycznego „ducha narodowego”, który w cudowny

sposób rozwiąże wszystkie problemy. Walka z faszyzmem nie była dla nich priorytetem; na zjeździe partii w 1939 roku zagłosowano przeciwko poborowi. Ich przywódca, Douglas Young, został uwięziony za to, że sprzeciwił się powołaniu do wojska, argumentując, iż nie istnieje szkocki rząd, który o tym zdecydował. Rezolucja SPN z 1939 roku i ich późniejsze zachowanie pokazuje, jak mało ważna była dla nich walka z faszyzmem, podczas gdy reszta brytyjskiego narodu, wśród nich moja szkocka matka i mój angielski ojciec, albo harowała na froncie wewnętrznym, albo służyła w wojsku, by pokonać największe zagrożenie, jakiemu kiedykolwiek stawiała czoło cywilizacja.

W moim alternatywnym świecie w Szkockiej Partii Narodowej dochodzi do rozłamu; jej prawe skrzydło wspiera rząd Beaverbrooka w zamian za zwrot symboli narodowych takich jak Kamień ze Scone oraz mgliste obietnice autonomii bądź niepodległości. Jak mówi w książce Gunther, jednanie sobie miejscowych nacjonalistów od Bretanii do Chorwacji stanowiło ważny element polityki nazistów w całej Europie.

W latach osiemdziesiątych powstała nowa szkoła myślenia, krytykująca decyzję Churchilla, żeby prowadzić wojnę za wszelką cenę. Tym razem pojawiła się ona na prawicy. Akademik John Charmley wydał w 1993 roku książkę *Churchill: The End of Glory*¹⁴, która skłoniła kontrowersyjnego konserwatywnego parlamentarzystę Alana Clarka do zapytania na łamach „Timesa”, czy Wielka Brytania nie znalazłaby się w lepszej sytuacji, gdyby zawarła w 1940 roku pokój z Hitlerem. Stanowisko Charmleya ulega tu przejęskrawieniu, niemniej jego książka kwestionuje politykę Churchilla prowadzenia wojny za wszelką cenę: „Jeśli chodzi o sprawy międzynarodowe, to Sowietom i Amerykanie podzielili świat między sobą; w polityce krajowej to socjaliści zebrali plony Wielkiej Koalicji lat 1940—1945”¹⁵.

W przypadku tej ostatniej kwestii rząd Clementa Attlee z lat 1945—1951 został powołany do władzy przez wyborców, a nie przez Churchilla. Czy wprowadzenie państwa opiekuńczego, pełnego zatrudnienia oraz nacjonalizacja części gospodarki były dobre czy złe — to kwestia do oceny. (Przedstawiłem w mojej książce to, jak, moim zdaniem, wyglądałyby warunki życia zwykłych ludzi pod rządami, które sprzeciwiały się tym rozwiązaniom). Ale pokój z Hitlerem — z pewnością wymagający poparcia przez Wielką Brytanię niemieckiej polityki w Europie — doprowadziłby, moim zdaniem, nie tylko do końca chwały, ale i do końca demokracji w tym kraju. Co na przykład by się stało (co w mojej książce wydaje się całkiem prawdopodobne podczas wyborów

w 1950 roku), gdyby duże szanse na zwycięstwo miała partia lub grupa sprzeciwiająca się traktatowi?

Charmley zgadza się, że w roku 1939 imperium brytyjskie, a zwłaszcza Indie, było na dłuższą metę trudne do utrzymania, i wini Churchilla, że tego nie dostrzegł. Ma tutaj rację. Niemniej rząd, który przyjąłby warunki pokojowe możliwe w 1940 roku, stałby się w nieunikniony sposób w większym stopniu zależny od imperium; niepokoje w Indiach byłyby jeszcze gwałtowniejsze, gdyby Wielka Brytania związała się z nazistami; rozpad „starego” Commonwealthu stałby się realną możliwością. Zwłaszcza Nowa Zelandia potępiłaby zbliżenie z nazistami.

Jest prawdą (i stanowi to najsilniejszy argument podnoszony przez tych, którzy nie zgadzają się, że druga wojna światowa była „dobrą wojną”), że zwycięstwo Stalina uczyniło Związek Sowiecki drugą światową potęgą i pozwoliło mu zapanować nad wschodnią Europą, która w powojennych latach zaznała z jego strony morderczych prześladowań i gospodarczego wyzysku. Mimo to, gdyby we wschodniej Europie i Rosji dać Hitlerowi wolną rękę, los tych krajów byłby jeszcze gorszy. Zakończenie w 1945 roku wojny w Europie wymagało wysiłku Wielkiej Brytanii, Rosji i Stanów Zjednoczonych. Zanim do tego doszło, wydarzył się Holocaust i zginęło ponad dwadzieścia milionów obywateli sowieckich, a także ponad dwa miliony Polaków i wielu innych mieszkańców Europy Wschodniej. Gdyby zmagania na Wschodzie trwały dłużej, a Rosja samotnie walczyłaby z Hitlerem, wojna pochłonęłaby nieskończenie więcej ofiar. Hitler planował uśmiercenie całej ludności Leningradu i Moskwy, być może siedmiu milionów ludzi, i wzięcie do niewoli bądź wymordowanie wszystkich Rosjan i Polaków, którzy nie mogliby się wykazać aryjskim pochodzeniem.

Moim zdaniem wojny w Rosji nigdy nie dałoby się wygrać; ten kraj był po prostu zbyt rozległy, a ludność zbyt wroga. Działo się tak nie dlatego, że Rosjanie kochali Stalina, lecz ponieważ Hitler planował wymordować albo wziąć do niewoli ich wszystkich, więc walczyli po prostu o życie, podobnie jak Polacy, którzy zwalczali zaciekle wszelkie próby zasiedlenia części ich kraju Niemcami. Według mnie rezultat byłby taki, jak przedstawiłem w tej książce: Europa na wschód od Niemiec stałaby się jedną wielką rzeźnią; konwencjonalne metody walki mieszałyby się z ciągłą partyzantką, jednym słowem, Wietnam na niewyobrażalną skalę. Jeśli ktoś uważa, że ocalenie jakiejś hipotetycznej brytyjskiej chwały byłoby warte tego wszystkiego, nie jest to stanowisko, które bym podzielał.

Można sobie również zadać pytanie, jaki wpływ miałyby brytyjska kapitulacja na Amerykę. Stany nie miałyby wtedy żadnego militarnego

przyczółka w Europie i mogłyby równie dobrze odwrócić się do niej plecami i dogadać z Japończykami. To z kolei wydłużyłoby jeszcze bardziej japońską wojnę przeciwko Chinom, która jeśli idzie o morderczą skalę pod wieloma względami przypominała wojnę niemiecko-rosyjską.

Z tego względu mimo wszystkich okropności stalinowskich rządów, do których doszło w Związku Sowieckim i wschodniej Europie po rosyjskim zwycięstwie, uważam, że brytyjska kapitulacja jeszcze bardziej pogorszyłaby globalną sytuację, nie mówiąc już o przedłużeniu faszystowskiego panowania w Europie Zachodniej.

Hitler wierzył, że jego Rzesza przetrwa tysiąc lat. To nigdy nie było możliwe. Świadomie oparł swój reżim na zwalczających się frakcjach, umieszczając się na samej górze. A fizycznie nie pożyłby długo — większość historyków zgadza się, że w ostatnim roku życia zdradzał symptomy wczesnej, szybko się rozwijającej choroby Parkinsona. W mojej książce w 1952 roku choroba weszła w swoje najostrejsze i raptowne stadium. Gdyby Hitler zmarł albo stał się niesprawny, doszłoby do walki o sukcesję między konkurującymi z sobą frakcjami, w tym między armią i SS. W rzeczywistym świecie część armii usiłowała zgładzić Hitlera w 1944 roku, kiedy stało się jasne, że wojna jest przegrana. Zamach nie udał się; gdyby zakończył się sukcesem, całkiem możliwe, że doszłoby do wojny domowej między armią i SS¹⁶. Moim zdaniem byłoby to jeszcze bardziej prawdopodobne, gdyby Hitler zmarł w roku 1952; grupa oponentów w armii byłaby wówczas liczniejsza od tej, która istniała w 1944 roku, walczyliby oni bowiem osiem lat dłużej w niedającej się wygrać wojnie w Rosji.

Wbrew panującemu mitowi reżim nazistowski miał od początku niestabilne podstawy. To samo można powiedzieć o dyktaturze Stalina; po jego śmierci reżim w olbrzymim stopniu się zmienił i stał mniej morderczy, choć pod względem gospodarczym pozostał monolitycznie komunistyczny i brutalny wobec wszystkich osób i satelickich krajów, które naruszały ustalone zasady.

W ostatecznym rozrachunku uważam zatem, że druga wojna światowa była „dobrą wojną”. Zachodnia Europa rzeczywiście przez wiele lat znajdowała się „na rozległych, słonecznych wyżynach”, które przewidział Churchill. Ale nic nie trwa wiecznie i w czasie, gdy to piszę, w sierpniu 2012 roku, Europa zмага się z kryzysem gospodarczym i politycznym. W reakcji na niego na całym

kontynencie rosną znowu w siłę nacjonalizm i ksenofobia. Europejska historia pierwszej połowy dwudziestego wieku była — z wyjątkiem Rosji — historią triumfującego nacjonalizmu. Rywalizacja między nacjonalizmami wielkich narodów osiągnęła swój szczyt w wojnie 1914 roku. Duch nacjonalizmu sprawił, że mimo bezprecedensowej rzezi trwała ona cztery lata. Odważni ludzie w rodzaju lorda Lansdowne'a w Wielkiej Brytanii, który mówił o zawarciu porozumienia, zostali odsunięci na bok, a może czekał ich jeszcze gorszy los. Po wojnie zawarty został traktat wersalski, który gloryfikował nacjonalizm małych narodów. Na gruzach starych imperiów powstały nowe państwa, z których większość zaczęła szybko dyskryminować nowe mniejszości — wśród nich Żydów — we własnych granicach i przeobraziła się w nacjonalistyczne dyktatury. Zarówno w dużych, jak i w małych europejskich krajach nacjonalizm zrodził swoje potworne dzieci: oparty na zorganizowanym kulcie narodu faszizm i nazizm, czczący nie tylko narodowość, lecz także rasę.

Nacjonalizm nie umarł po drugiej wojnie światowej. Wystarczy tylko spojrzeć na Francję de Gaulle'a i antykomunistyczne ruchy we wschodniej Europie. Jednak na ogół był on mniej gwałtowny, mniej ksenofobiczny. Teraz jednak objawił się ponownie w swojej najostrzejszej formie; wszędzie w Europie — we Francji, na Węgrzech, w Grecji, Finlandii, a nawet w Holandii i co najbardziej niepokojące w Rosji — zaciekle nacjonalistyczne, antyimigranckie, czasami otwarcie faszystowskie partie ponownie odgrywają ważną rolę w polityce. A straszliwa historia Jugosławii lat dziewięćdziesiątych przypomina, jak mordercze mogą się stać współczesne europejskie nacjonalizmy.

Pęka mi serce — dosłownie mi pęka — gdy widzę, jak mój własny kraj, Wielka Brytania, która w okresie międzywojennym była stosunkowo mało podatna na nacjonalistyczny ekstremizm, pada dziś ofiarą ideologii partii nacjonalistycznych. Większe z nich nie stawiają na piedestale rasy, ale łączy je przekonanie, że tożsamość narodowa jest w polityce sprawą o fundamentalnym, nadrzędnym znaczeniu; to atawistyczna wiara, że narodowość jest w stanie wyzwolić ludzi z opresji — nacjonalizm zawsze definiuje się w opozycji do jakiegoś „obcego” wroga — i rozwiązać ich wszystkie problemy. Partia Niepodległości Zjednoczonego Królestwa obiecuje przyszłość, która cudownym zrządzeniem losu stanie się świetlana, jeśli tylko Wielka Brytania wyjdzie z Unii Europejskiej. (Dokąd? Żeby handlować z kim?). Mają przynajmniej dość

przyzwoitości, by przyznać, że przewidują pewien szczególny rodzaj politycznej ekonomii opartej na kolejnym nowoczesnym dogmacie, który zawiódł tak często i katastrofalnie, nie tylko w Rosji, mianowicie „czysty” wolny rynek rozwiąże wszystkie gospodarcze problemy.

O wiele większe jest niebezpieczeństwo, które grozi całej Wielkiej Brytanii ze strony Szkockiej Partii Narodowej, tworzącej obecnie szkocki rząd w Edynburgu. SPN jest i zawsze była partią, która nie prowadzi polityki w konwencjonalnym sensie tego słowa, sytuując się na scenie politycznej po stronie prawej (w latach siedemdziesiątych), lewej (w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych) lub w centrum (obecnie), jeśli tylko jej członkowie uważają, że pomoże im to zdobyć niepodległość. W pogoni za władzą obiecują wszystkim wszystko. To bardzo szczeni polityczni manipulatorzy. Będąc u władzy, przedstawiają się jako kompetentni, postępowi demokraci (którymi w wielu przypadkach są), w głębi duszy odwołują się jednak do mistycznej chwały niepodległości, o którą zawsze chodziło tej partii. Kiedy zaczną rządzić niepodległym państwem, niełatwo ich będzie usunąć. Zupełnie nie mieści mi się w głowie, jak ludzie uważający się za postępowych mogą popierać partię, wśród której największych sponsorów można znaleźć Ruperta Murdocha i prawicową rodzinę Souterów, właścicieli Stagecoach. Jak wszyscy, którym wydaje się, że potrafią ujeździć nacjonalistycznego tygrysa, przekonają się poniewczasie o własnym błędzie.

SPN nie zajmuje i nigdy nie zajmowała autentycznego stanowiska w żadnej z kluczowych kwestii ekonomicznych, które mają wpływ na życie ludzi; podstawą ich myślenia jest stary mit, że uwolniona świadomość narodowa w jakiś sposób zrobi wszystkim dobrze. Obiecują niski poziom regulacji i niskie podatki korporacyjne, żeby zadowolić prawicę, a także silne państwo opiekuńcze, żeby zadowolić lewicę. Ropa naftowa nie rozwiąże problemu polegającego na tym, iż jak wskazują wszystkie wyliczenia, niepodległa Szkocja rozpocznie swoje istnienie z deficytem.

Wystarczy krótki rzut oka na jej historię, żeby zorientować się, że Szkocka Partia Narodowa nigdy nie interesowała się praktycznymi konsekwencjami niepodległości. Obchodzi ich ideał narodu, a nie ludzie, którzy go tworzą. Ignorują lub unikają kluczowych pytań o gospodarkę i członkostwo w Unii Europejskiej. Niedawno, jeszcze przed kryzysem euro, rozprawiali wesoło o niepodległej Szkocji, która wstąpi do strefy euro (nie zajmują stanowiska w ważnej i najeżonej minami kwestii, czy niepodległa Szkocja, a także pozostała część Zjednoczonego Królestwa nie będą musiały wystąpić ponownie o członkostwo w Unii). Przed 2008 rokiem mówili, że jądrem niepodległej szkockiej gospodarki będzie przede wszystkim sektor bankowy, przewidując dla

Szkocji przyszłość porównywalną z przyszłością Irlandii i Islandii — na krótko przed tym, jak oba te kraje wpadły w tak katastrofalne kłopoty. Teraz twierdzą, że zachowają funta, ale będą prowadzić niezależną politykę gospodarczą. (Jak to ma funkcjonować? Dlaczego pozostała część Zjednoczonego Królestwa miałyby im podpisać czek in blanco? Na czym dokładnie polegałaby ta niezależność?). Praktyczne problemy rzeczywistego świata nigdy nie interesowały partii bazujących na nacjonalizmie; wprost przeciwnie, populistyczni politycy pokroju Alexa Salmonda proszą ludzi, by odwrócili się plecami od prawdziwych problemów społecznych i gospodarczych, by szukali pociechy w romantycznej przeszłości i dzielili ich — często wyimaginowane — żale. Za problemy narodowe zawsze ponosi winę ktoś inny. Podziału brytyjskiej gospodarki i brytyjskiego długu po prawie trzystu latach jednolitego funkcjonowania nie da się dokonać przy użyciu żadnej znanej formuły rozrachunkowej. Spory już teraz prowadzą do rozgoryczenia i wzrostu wrogości po obu stronach granicy. Takie skutki wywołuje nacjonalizm i tym się karmi. A wszystkie te spory, wszystkie pretensje są tragicznie niepotrzebne.

Tymczasem SPN próbuje manipulować referendum w sprawie niepodległości, by zdobyć dla siebie jak najwięcej głosów, urządzając je w roku, w którym przypada okrągła rocznica bitwy pod Bannockburn, i obniżając wiek wyborczy, by wzięli w nim udział szesnasto- i siedemnastolatki, ponieważ sondaże wykazały, że ta właśnie grupa wiekowa głosuje na nich najchętniej. To ociera się niebezpiecznie o wyborczą manipulację ze strony partii rządzącej w celu pozostania przy władzy i jej poszerzenia. Bóg wie, że oglądaliśmy dosyć takich rzeczy w najnowszej historii Europy. John Gray napisał ostatnio, że choć dyktatury z lat trzydziestych raczej już nie wrócą, „toksyczne demokracje mogą pojawić się w większej liczbie krajów i dłużej pozostawać przy władzy”¹⁷. Szkoci są słusznie dumni, widząc swój kraj w europejskim kontekście. To jest właśnie ten kontekst.

Od ponad trzech stuleci Szkocja i Anglia są z sobą związane politycznie i gospodarczo. Jako państwa nie wojowały z sobą od szesnastego wieku. Wojny domowe w wieku siedemnastym i wojny jakobickie w wieku osiemnastym, choć silne w nich były elementy narodowe, toczyły się głównie o charakter królestwa i jego relacje z parlamentem, społeczeństwem i religią i dotyczyły wszystkich narodów zamieszkujących Wyspy Brytyjskie. Nie jest to oczywiście narracja, którą zaaprobowałaby SPN. Jej działacze chcą, by ludzie upajali się historycznymi legendami, czcili święte narodowe miejsca (takie jak Bannockburn) i sycili mitami. Takie rzeczy tworzą martwe, puste jądro

nacjonalizmu, który twierdzi, że jest unikalny w każdym kraju i zawsze jest upiornie podobny do innych. Naród brytyjski doświadczył wspólnie wszystkiego, całego dobra i zła, które wiązały się z doświadczeniami pierwszej rewolucji przemysłowej, rozwoju i upadku imperium brytyjskiego oraz dwóch wojen światowych. Od lat trzydziestych gospodarcze podziały w Wielkiej Brytanii przebiegają nie pomiędzy Szkocją a Anglią, lecz pomiędzy południowo-wschodnią Anglią a resztą kraju. Istnieją prawdopodobnie miliony podobnych do mnie ludzi, będących brytyjskimi Anglo-Szkotami i pragnących nimi pozostać.

Uprzedzenia między Szkotami a Anglikami nie są generalnie zbyt głębokie. Przynajmniej, moim zdaniem, zarówno jedni, jak i drudzy są dobrzy w łagodzeniu ostrych narodowych kantów. Lecz mimo gładkiej populistycznej serdeczności Alexa Salmonda perspektywa rozpadu Wielkiej Brytanii już teraz tworzy nową kulturę wrogości i rozgoryczenia po obu stronach granicy. Z całego serca wierzę, że Szkocja zagłосуje za pozostaniem w Brytanii — zniknie wówczas z Europy przynajmniej jeden z nacjonalistycznych upiorów, które pojawiły się za mojego życia. Jeśli ta książka przekona choćby jedną osobę, jak duże zagrożenia niesie z sobą nacjonalizm w Szkocji i gdzie indziej w Europie, i sprawi, że zagłосуje ona na „nie” w referendum na temat szkockiej niepodległości, wtedy warto było ją napisać. Najnowszy dorobek innych partii w Szkocji nie jest zbyt imponujący, ale to w żadnym wypadku nie jest powodem, by głosować za czymś gorszym i zrobić to tak nieodwołalnie; partia zaś taka jak SPN, którą sami jej członkowie często określają mianem „Ruchu Narodowego”¹⁸, powinna przyprawić o ciarki każdego, kto pamięta, co te słowa tak często znaczyły w Europie.

- ¹ Winston Churchill, *Krew, znój, łzy i pot. Sławne mowy*. Wybrał, opracował i wstępem opatrzył David Cannadine, przekł. Maria Zborowska, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2001.
- ² Daphne du Maurier *Rebeka*, przeł. Eleonora Romanowicz-Podoska, Prószyński i S-ka, Warszawa 1997.
- ³ W rzeczywistości oba te kościoły zostały zniszczone podczas niemieckich bombardowań Londynu.
- ⁴ Początek wiersza *Brama roku* Minnie Louise Haskins, który król Jerzy VI odczytał w nadawanym przez radio bożonarodzeniowym orędziu w 1940 roku.
- ⁵ Łk 4,5-7. Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.
- ⁶ Wydanie polskie pod tytułem *Vaterland*, 1993.
- ⁷ R. Jenkins, *Churchill* (London 2001), s. 197—200.
- ⁸ M. Mukerjee, *Churchill's Secret War* (2010), s. 276.
- ⁹ A. Roberts, *The Holy Fox* (1991), s. 67.
- ¹⁰ R. Griffiths, *Fellow Travellers of the Right* (1980), s. 223—224.
- ¹¹ Najlepszą relację można znaleźć u Roberta, op. cit., w rozdziale 21.
- ¹² R. Pearce, *Attlee* (1997), s. 97.
- ¹³ R. Butler, *The Art of the Possible*, s. 143, cytowane w: D. Sandbrook, *Never Had It So Good* (2005), s. 85—86.
- ¹⁴ J. Charmley, *Churchill: The End of Glory. A Political Biography* (1993).
- ¹⁵ Ibidem, Przedmowa, s. XVII.
- ¹⁶ R. Evans, *The Third Reich at War* (2008), s. 645.
- ¹⁷ J. Gray, *A Point of View: The Trouble with Freedom*: BBC News Magazine (24 sierpnia 2012).
- ¹⁸ D. Torrance, *Salmond: Against the Odds* (2011), XI.

Spis treści

O książce
Strona tytułowa
O autorze
Tego autora
Strona redakcyjna
Dedykacja
Motto
Europa w 1952 r. Mapa
Prolog
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty
Rozdział czterdziesty
Rozdział czterdziesty pierwszy
Rozdział czterdziesty drugi
Rozdział czterdziesty trzeci
Rozdział czterdziesty czwarty
Rozdział czterdziesty piąty
Rozdział czterdziesty szósty
Rozdział czterdziesty siódmy
Rozdział czterdziesty ósmy
Rozdział czterdziesty dziewiąty
Rozdział pięćdziesiąty
Rozdział pięćdziesiąty pierwszy
Rozdział pięćdziesiąty drugi
Rozdział pięćdziesiąty trzeci
Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Rozdział pięćdziesiąty piąty
Rozdział pięćdziesiąty szósty
Rozdział pięćdziesiąty siódmy
Epilog
Podziękowania
Nota bibliograficzna
Nota historyczna
Przypisy